

Jacqueline Susann

Dolina lalek

Trzeba wspiąć się na szczyt Mount Everest,  
żeby dotrzeć do Doliny Lalek.  
Wspinaczka to brutalna przygoda  
i niewielu doszło do końca.  
Nie wiesz, co cię czeka na górze,  
ale z pewnością nie spodziewałaś się,  
że to będzie Dolina Lalek.  
Stoisz tam, czekasz  
na falę radości.  
Przecież tak miało być.  
Ale nic nie czujesz.  
Stoisz zbyt wysoko, żeby słyszeć brawa  
i chwytać rzucane kwiaty.  
Wyżej już nic nie ma.  
Jesteś sama  
i przytłacza cię uczucie samotności.  
Rozrzedzonym powietrzem trudno oddychać.  
Udało ci się  
i świat cię podziwia.  
Ale tam na dole było weselej,  
kiedy zaczynałaś,  
uzbrojona tylko w nadzieję  
i wielkie marzenia.  
Widziałaś jedynie szczyt wielkiej góry -  
nikt cię nie uprzedził  
o istnieniu Doliny Lalek.  
Z góry  
wszystko wygląda inaczej.  
Po ciężkiej wspinaczce  
nic nie słyszysz, nie widzisz i jesteś zbyt zmęczona,  
żeby cieszyć się zwycięstwem.  
Anna Welles nie chciała się wspinać.  
Jednak niechcący zrobiła pierwszy krok w górę  
w dniu, kiedy rozejrzała się wokół  
i stwierdziła, że to za mało,  
że pragnie czegoś więcej.  
Potem poznała Lyona Burke  
i nie mogła już zawrócić.

ANNA

Wrzesień, 1945

W dniu jej przyjazdu do Nowego Jorku temperatura przekroczyła trzydzieści stopni w cieniu. Miasto parowało w gorącym powietrzu, jak wściekłe betonowe zwierzę, które niespodziewanie dało się schwytać w pułapkę upałów niezwykłych jak na tę porę roku. Jednak wysoka temperatura jej nie przeszkadzała, tak samo jak śmieci zalegające centralny punkt miasta, zwany Times Square. Wydawało jej się, że Nowy Jork to najbardziej ekscytujące miejsce na świecie.

- Na pewno znajdziesz pracę - powiedziała jej z uśmiechem urzędniczka w agencji zatrudnienia. - Nie szkodzi, że nie masz praktyki. Wszystkie dobre sekretarki wyjechały z miasta na dobrze płatne posady, które im daje wojsko. Ale szczerze mówiąc, kochana, z twoim wyglądem poszłabym prosto do Johna Powersa albo do Conovera.

- Kim oni są? - zapytała Anna.

- Prowadzą najlepsze agencje modelek w Nowym Jorku. Marzę, żeby dla nich pracować, ale jestem za niska i za gruba. Oni szukają takich jak ty.

- Wolałabym raczej pracować w biurze.

- No dobrze, ale moim zdaniem zwariowałaś. - Wręczyła Annie kilka kartek papieru. - Masz tutaj adresy samych dobrych firm, ale radziłabym ci najpierw pójść do Henry'ego Bellamy. To prawnik, zajmujący się sprawami ludzi sceny. Jego dotychczasowa sekretarka właśnie wyszła za mąż za Johna Walsha. - Kiedy Anna nie zareagowała na to nazwisko, dziewczyna zawołała: - Nie powiesz mi chyba, że nigdy o nim nie słyszałaś! Zdobył trzy Oscary. Niedawno czytałam, że zamierza namówić Gretę Garbo, żeby znowu wróciła przed kamerę, bo chce wyreżyserować jej film.

Anna z uśmiechem zapewniła dziewczynę, że zapamięta sobie, kto to jest John Walsh.

- Teraz już rozumiesz, w jakim środowisku będziesz pracowała - ciągnęła urzędniczka. - Bellamy i Bellows to wspaniała firma. Ich klientami są same sławy. A Myrna, ta dziewczyna, która poślubiła Johna Walsha, urodą nie dorastała ci do pięt. Ty pewnie zaraz kogoś złowisz.

- Kogo?

- Jakiegoś faceta... może nawet męża. - Spojrzała na podanie Anny. - Skąd ty właściwie przyjechałaś? Czy to jest za granicą?

Anna uśmiechnęła się.

- Z Lawrenceville. Godzinę pociągiem z Bostonu. Gdybym chciała złowić męża, zostałabym w Lawrenceville. Tam wszystkie dziewczyny wychodzą za mąż zaraz po skończeniu szkoły. Ja chciałabym przedtem trochę popracować.

- I ty wyjechałaś z takiego wspaniałego miasta? Tutaj wszystkie dziewczyny, włącznie ze mną, szukają mężów! Może wysłałabyś mnie do Lawrenceville z listem polecającym?

- Chcesz powiedzieć, że wyszłabyś za mąż za każdego? - zaciekawiała się Anna.

- Nie za każdego, ale za kogoś, kto kupiłby mi futro z bobra, zatrudnił służącą na przychodne i codziennie pozwolił spać do południa. Wszyscy znajomi chłopcy nie tylko oczekują, że będę nadal zarabiała na siebie, ale w dodatku chcą, żebym wyglądała jak modelka i gotowała niczym francuski mistrz kuchni. - Kiedy Anna się roześmiała, dziewczyna dodała: - Sama zobaczysz, jak to jest. Poczekaj tylko, aż poznasz tutejszych bawidamków. Jestem pewna, że wsiądziesz do pierwszego pociągu do Lawrenceville. Jak będziesz wyjeżdżała, nie zapomnij po mnie wstąpić.

Za żadne skarby nie wróciłaby do Lawrenceville! Ona stamtąd nie wyjechała, tylko po prostu uciekła. Uciekła przed małżeństwem z porządnym miejscowym chłopcem i uporządkowanym, monotonnym życiem. Takie właśnie życie prowadziła jej matka. A przedtem babka. W tym samym porządnym domu. Taki dom w przyzwoitej rodzinie z Nowej Anglii przechodzi z pokolenia na pokolenie. Jego mieszkańcy żyją według ustalonych reguł, a rzadkie emocje i uczucia skrywają pod skrzypiącą zbroją, zwaną dobrymi manierami.

Anno, dama nigdy głośno się nie śmieje. Anno, dama nigdy publicznie nie płacze. Ależ mam, nie robię tego publicznie. Przecież jesteśmy w kuchni, tylko we dwie. Prawdziwa dama płacze w samotności. Nie jesteś już dzieckiem, masz dwanaście lat. W dodatku jest tu ciocia Amy. Idź do swojego pokoju.

Od piętna Lawrenceville nie mogła uwolnić się w Radcliffe. Koleżanki z college'u śmiały się razem i płakały, dzieliły się radościami i troskami życia, ale nigdy nie włączyły Anny do swego grona, jakby miała na czole wypisane: „Nie zbliżać się. Zimny, powściągliwy typ z Nowej Anglii”. Coraz więcej czasu poświęcała na czytanie książek, ale nawet tam znalazła powtarzający się schemat.

Każdy pisarz, na którego prace się natknęła, w końcu uciekał z rodzinnych stron. Hemingway krążył między Europą, Kubą a Bimini. Biedny zagubiony utalentowany Fitzgerald też wyjechał za granicę. Nawet rumiany, pulchny Sinclair Lewis znalazł miłość i przygody w Europie.

Ucieknie z Lawrenceville! Trudno o prostsze rozwiązanie. Podjęła tę decyzję podczas ostatniego roku nauki w college'u i obwieściła ją matce i ciotce Amy, kiedy pojechała do domu na Wielkanoc.

- Mamo... ciotciu Amy... Po skończeniu college'u chcę wyjechać do Nowego Jorku.

- Co za okropne miejsce na wakacje.

- Zamierzam tam zamieszkać.

- Czy omówiłaś to z Williem Hendersonem?

- Nie. Dlaczego miałabym to robić?

- Spotykacie się, odkąd oboje ukończyliście szesnaście lat. Naturalnie wszyscy się spodziewają...

- No właśnie. W Lawrenceville wszystko jest takie łatwe do przewidzenia.

- Anno, podnosisz głos - upomniała ją spokojnie matka. - Willie Henderson to dobry chłopiec. Chodziłam do szkoły z jego rodzicami.

- Ale ja go nie kocham.

- Mężczyzny się nie kocha. - To zdanie padło z ust ciotki Amy.

- Ty nie kochałaś taty, mamo? - Pytanie Anny zabrzmiało niemal jak oskarżenie.

- Oczywiście, że go kochałam - zaszeleścił sucho głos matki. - Ciotcia Amy chciała powiedzieć, że... hmm... mężczyźni są inni. Nie myślą i nie reagują tak jak kobiety. Weźmy na przykład twojego ojca. Bardzo trudno było go zrozumieć. Miał impulsywny charakter i nie stronił od alkoholu. Gdyby ożenił się z kimś innym, być może bardzo źle by skończył.

- Nigdy nie widziałam, żeby tata pił - wojowniczo odparła Anna.

- Naturalnie, że nie. Obowiązywała prohibicja i w domu nigdy nie trzymałam ani kropli alkoholu. Zwalczyłam jego nałóg, zanim zdążył się zakorzenić. Och, twój ojciec z początku miał wiele dziwnych skłonności. Wiesz przecież, że jego prababka była Francuzką.

- Francuzi zwykle są trochę szaleni - przytaknęła ciotka Amy.

- Ojciec wcale nie był dziwny! - Nagle Anna pożałowała, że nie zdążyła lepiej go poznać. Wydawało się, że upłynęło już tyle czasu... Nagle się zatoczył, właśnie tutaj, w kuchni. Anna miała wtedy dwanaście lat. Nie powiedział ani słowa, tylko osunął się na podłogę i cicho umarł, jeszcze zanim przyjechał lekarz.

- Masz rację, Anno. Twój ojciec był po prostu mężczyzną, i to dobrym mężczyzną. Nie zapominaj, droga Amy, że jego matka pochodziła z Bannisterów. Ellie Bannister chodziła do szkoły razem z naszą mamą.

- Ale mammo, czy ty w ogóle kochałaś tatę? Chodzi mi o to, że kiedy ukochany mężczyzna bierze cię w ramiona i całuje, powinnaś czuć się cudownie, prawda? Czy ty to czułaś przy tacie?

- Anno! Jak śmiesz zadawać matce takie pytania! - zganiła ją ciotka Amy.

- Niestety, mąż oczekuje od żony nie tylko pocałunków - oświadczyła sztywno matka i ostrożnie zapytała: - Czy całowałaś się z Williem Hendersonem?

Anna się skrzywiła.

- Tak, kilka razy.

- Podobało ci się to?

- Było okropnie. - Miał miękkie, oślizgłe wargi i kwaśny oddech.

- Całowałaś się z jakimś innym chłopcem? Wzruszyła ramionami.

- Och, kilka lat temu, kiedy Willie i ja zaczęliśmy się spotykać, czasami na wieczorkach towarzyskich graliśmy w listonosza. Zdaje się, że się wtedy całowałam prawie z każdym chłopcem z miasta. O ile dobrze pamiętam, wszystkie pocałunki okazały się jednakowo odrażające. - Uśmiechnęła się. - Mammo, wydaje mi się, że w Lawrenceville nie ma ani jednego chłopaka, który umiałby się dobrze całować.

Matce wrócił dobry humor.

- Jesteś damą, Anno. Właśnie dlatego nie lubisz się całować. Prawdziwe damy tego nie lubią.

- Och, mammo, ja nie wiem, co naprawdę lubię ani kim jestem. Właśnie dlatego chcę wyjechać do Nowego Jorku.

Matka wzruszyła ramionami.

- Masz pięć tysięcy dolarów. Ojciec ci je zostawił, do twojego wyłącznego użytku. Kiedy mnie już nie będzie, przypadnie ci o wiele

więcej. Nie jesteśmy bogaci jak Hendersonowie, ale stać nas na wygodne życie i nasza rodzina liczy się w Lawrenceville. Chciałabym mieć pewność, że wrócisz i zamieszkasz w tym domu. Tutaj urodziła się moja matka. Oczywiście, Willie Henderson być może zechce dobudować nowe skrzydło, przecież teren jest wystarczająco duży. Jednak wciąż będzie to nasz dom.

- Ale ja nie kocham Williego Hendersona!

- Miłość nie istnieje, przynajmniej nie taka, o jakiej mówiłaś. Takie emocje spotyka się tylko w tanich filmach i powieściach. Miłość to życie razem, wspólni przyjaciele i zainteresowania. Mówiąc o miłości myślisz o seksie i powiem ci, młoda damo, że jeśli to coś w ogóle istnieje, to po ślubie bardzo szybko umiera, kiedy tylko dziewczyna przekona się, jak on w rzeczywistości wygląda. Ale jedź do Nowego Jorku. Nie przeszkodzę ci w tym. Jestem pewna, że Willie Henderson zaczeka. Tylko zapamiętaj moje słowa. Po kilku tygodniach wrócisz tu jak na skrzydłach i będziesz szczęśliwa, że opuszczasz to brudne miasto.

W dniu przyjazdu Anna stwierdziła, że Nowy Jork rzeczywiście jest brudny, a do tego duszny i zatłoczony. Marynarze i żołnierze tłumnie przechadzali się po Broadwayu. W ich spojrzeniach odbijał się wakacyjny nastrój i żywiołowa radość, wywołana końcem wojny. Chodząc po zaśmieconych, rozgrzanych, obcych ulicach podekscytowana Anna czuła, że żyje. W porównaniu z popękanymi, brudnymi chodnikami Nowego Jorku zielone drzewa i czyste powietrze Nowej Anglii wydawały się zimne i martwe. Zarośnięty człowiek, który przyjął od niej zaliczkę na nadchodzący tydzień i zdjął z okna napis „Pokój do wynajęcia”, przypominał pana Kingstona, mleczarza z jej rodzinnego miasta, tylko uśmiechał się cieplej.

- To niezbyt elegancki pokój - przyznał. - Ale jest wysoki i przez to nie taki duszny. Jeśli coś nawali, zawsze jestem w pobliżu i mogę pomóc.

Czuła, że wzbudziła jego sympatię, a i ona też go polubiła. W Nowym Jorku każdy akceptował cię takim, jakim jesteś, jakby wszyscy urodzili się dopiero wczoraj i nie mieli żadnej przeszłości, którą mogliby się chwalić albo musieli ukrywać.

Teraz, kiedy stanęła pod imponującymi szklanymi drzwiami, na których wyryto napis „Bellamy i Bellows”, miała nadzieję, że Henry Bellamy również ją zaakceptuje jak inni nowojorczy.



Henry nie wierzył własnym oczom. Ta dziewczyna chyba mu się przyśniła. Nigdy jeszcze nie spotkał takiej piękności, chociaż był przyzwyczajony do towarzystwa urodziwych dziewcząt. W dodatku zamiast szokującego tapiru na głowie i modnych ostatnio butów na platformach, miała bezpretensjonalną fryzurę z rozpuszczonych włosów, których jasnozłoty kolor wyglądał na naturalny. Jednak najbardziej poruszyły go jej oczy - prawdziwie niebieskie, jak lodowiec pod błękitnym niebem.

- Dlaczego chce pani dostać tę pracę, panno Welles? - Z jakiegoś powodu był trochę zdenerwowany. W dodatku zżerała go ciekawość. Dziewczyna miała na sobie prosty kostium z ciemnego lnu i żadnej biżuterii, oprócz małego, skromnego zegarka. Jednak było w niej coś, co mówiło, że tak naprawdę nie musi sama na siebie zarabiać.

- Chcę zamieszkać w Nowym Jorku, panie Bellamy.

Tylko tyle. Prosta, szczerza odpowiedź. Dlaczego nagle poczuł się tak, jakby wtykał nos w nie swoje sprawy? Miał prawo zadawać jej pytania. Jeśli da jej odczuć, że zbyt łatwo dostać tę posadę, dziewczyna może zrezygnować. Co za niedorzeczna myśl. Przecież siedziała tu przed nim na krześle dla petentów. Nie wpadła tu na kawę. W takim razie dlaczego czuł się tak, jakby to on ubiegał się o pracę, i robił wszystko, żeby wywrzeć na niej jak najlepsze wrażenie?

Spojrzał na formularz, który przesłano z agencji.

- Ma pani dwadzieścia lat i dyplom uniwersytecki, tak? Skończyła pani anglistykę w Radcliffe. Żadnego doświadczenia w pracy biurowej. Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób pani wykształcenie przyda się w naszej firmie? Czy ułatwi ono pani rozmowy z taką jędzą jak Helen Lawson? Albo czy pomoże pani zmusić tego pijaka Boba Wolfa, żeby na czas dostarczył nam scenariusz cotygodniowej audycji radiowej? A może łatwiej będzie pani przekonać jakiegoś zniewieściałego piosenkarza, żeby opuścił biuro Johnsona Harrisa i pozwolił nam zająć się swoimi sprawami?

- Czy na tym miałyby polegać moja praca? - zapytała.

- Nie, to są moje zadania. Ale pani musiałyby mi pomagać.

- Myślałam, że jest pan prawnikiem.

Zauważył, że podniosła z kolan rękawiczki. Przywołał na twarz beztroski uśmiech.

- Jestem doradcą. To trochę co innego. Układam kontrakty dla klientów. Zapewniam, że nie będzie w nich żadnych haczyków, a jeśli

już, to takie, które działałyby na korzyść moich podopiecznych. Zajmuję się też ich podatkami, pomagam inwestować pieniądze, wyciągam ich ze wszelkich kłopotów, rozstrzygam problemy małżeńskie, pilnuję, żeby żony nie dowiedziały się o kochankach, trzymam do chrztu ich dzieci i niańczę ich, szczególnie kiedy przygotowują nowy program.

- Myślałam, że aktorzy i pisarze mają menedżerów lub agentów.

- Tak jest. - Spostrzegł, że z powrotem odłożyła rękawiczki na kolana. - Ale ci najwięksi, a właśnie z takimi mamy do czynienia, potrzebują moich rad. Dam przykład. Agent nakłania swojego klienta, żeby przyjął najwyżej płatną pracę, bo ma z tego procent. Ja natomiast zastanawiam się, jaki kontrakt będzie dla niego najodpowiedniejszy. Krótko mówiąc, doradca łączy w sobie cechy agenta, matki i Boga. A pani, jeśli zdobędzie pani tę posadę, zostanie świętą patronką naszych podopiecznych.

Anna uśmiechnęła się.

- Dlaczego doradcy nie zastąpią wszystkich agentów?

- Pewnie by to zrobili, ale nie każdy z nich to taki pełen poświęcenia schmuck jak ja. - Natychmiast ugryzł się w język. - Przepraszam za wulgarne słowo. Kiedy się rozkręcę, czasami coś takiego mi się wyrzywa.

- Co to znaczy „schmuck”? - zapytała ciekawie.

Słowo zabrzmiało w jej ustach tak zabawnie, że wybuchnął głośnym śmiechem.

- To po żydowsku. Dokładne tłumaczenie wywołałoby rumieniec na pani policzkach. Ale w potocznym języku oznacza tyle co dureń. Niech pani nie da się oszukać eleganckiemu brzmieniu mojego nazwiska ani nawet greckim rysom twarzy. Urodziłem się jako Birnbaum. W młodości pracowałem na statkach wycieczkowych jako oficer kulturalny. Pisywałem biuletyny pokładowe. Dyrekcji nie podobał się tytuł „Rejs z Birnbaumem”, więc ktoś podpowiedział mi zmianę nazwiska na Bellamy. Podczas tych wypraw poznałem wielu wpływowych ludzi. Moim pierwszym klientem został piosenkarz, który występował na statku w czasie jednego z rejsów. Wiele osób zapamiętało mnie pod nazwiskiem Bellamy, więc już go nie zmieniałem. Jednak nie pozwalałam nikomu zapomnieć, że pod nim nadal kryje się Birnbaum. - Uśmiechnął się. - Teraz wszystko pani już wie. Czy da sobie pani radę?

Tym razem jej uśmiech wyglądał szczerze.

- Chciałabym spróbować. Całkiem dobrze piszę na maszynie, ale nie potrafię szybko stenografować.

- Nic nie szkodzi. - Machnął ręką. - Mam tu dwie dziewczyny, które potrafiłyby wygrać każdy konkurs stenografii. Pani byłaby czymś więcej niż zwykłą sekretarką.

- Wydaje mi się, że pana nie rozumiem. - Jej uśmiech zniknął. Cholera! Nie miał na myśli nic z tych rzeczy. Zdusił papierosa

w popielniczce i zapalił następnego. Anna siedziała sztywno wyprostowana. Odruchowo poprawił się w fotelu.

- Pani praca nie polegałaby na rutynowych zajęciach za biurkiem od dziewiątej do piątej. Będą dni, kiedy przyjdzie pani do biura dopiero w południe. Jeśli wypadnie pani pracować do późnego wieczora, nie będę oczekiwał, że zjawi się tu pani z samego rana. Ale z drugiej strony, w wypadku jakiegoś nagłego kryzysu, nawet jeśli będzie pani zajęta do czwartej nad ranem, będę się spodziewał zobaczyć tu panią jeszcze przed otwarciem biura, ponieważ pani sama uzna, że istnieje taka potrzeba. Innymi słowy, sama sobie pani wyznacza godziny pracy. Ale też w niektóre wieczory będę wymagał od pani pełnej dyspozycyjności. - Umilkł na chwilę, ale nic nie odpowiedziała, więc pospiesznie mówił dalej: - Założmy, że umówiłem się na kolację z potencjalnym klientem w „21”. Jeśli odpowiednio go ugoszczę i umiejętnie przeprowadzę rozmowę, prawdopodobnie podpisze ze mną kontrakt. Ale pewnie wypiję z nim sześć czy siedem drinków i wysłucham jego skarg na dotychczasowego agenta. Będę się kłął na własne życie, że nie popełnię takich samych grzechów. Obiecuję mu wszystko, nawet jeśli zażąda, żebym wypisał jego nazwisko na Księżycu. Oczywiście, nie będę w stanie spełnić wszystkich obietnic. Nie jestem cudotwórcą. Ale z całych sił się postaram uniknąć pomyłek jego byłego agenta i dotrzymać tak wielu przyrzeczeń, jak to tylko możliwe. Tyle że następnego ranka nie będę pamiętał ani słowa z naszej rozmowy. I właśnie tutaj pani mi pomoże. Nie będzie pani cierpiała na kaca, bo podczas tego emocjonującego wieczoru wypije pani tylko jeden kieliszek sherry. Zapamięta pani każde moje słowo. Nazajutrz zaprezentuje mi pani listę wszystkich obietnic, które złożyłem, a ja przestudiuję je na trzeźwo.

- Mam grać rolę żywego dyktafonu? - zapytała z uśmiechem.

- Dokładnie tak. Potrafi pani to robić?

- Cóż, cieszę się doskonałą pamięcią i nienawidzę sherry. Tym razem roześmiali się oboje.

- Dobrze, Anno. Mogę tak panią nazywać? Chcesz zacząć już jutro?

Skinęła głową.

- Czy będę pracowała również dla pana Bellowsa? W milczeniu popatrzył gdzieś w przestrzeń.

- Nie ma tu żadnego pana Bellowsa. A, prawda, pracuje tu George, jego bratanek, ale to nie ten Bellows, którego nazwisko widnieje na szyldzie naszej agencji. Tamten był jego stryjem, nazywał się Jim. Wykupiłem jego udział, zanim poszedł na wojnę. Próbowałem go od tego odwieść, ale nie udało mi się. Pojechał do Waszyngtonu i tam skusił go mundur marynarki wojennej i wysoki żołd. - Westchnął. - Wojna jest dla młodych. Jim Bellows miał pięćdziesiąt trzy lata. Był za stary, żeby walczyć, ale za młody, żeby umierać.

- Zginął w Europie czy na Pacyfiku?

- Zmarł na atak serca w łodzi podwodnej. Cholerny głupiec! - Szorstki ton głosu tylko podkreślał uczucie, jakie Henry Bellamy zachował dla zmarłego przyjaciela. Nagle nowy zwierzchnik Anny wpadł w zupełnie odmienny nastrój i uśmiechnął się ciepło.

- Chyba już dowiedzieliśmy się o sobie wystarczająco dużo. Na początek będę ci płacił siedemdziesiąt pięć dolarów na tydzień. Odpowiada ci to?

Anna spodziewała się znacznie mniejszej pensji. Wydawała piętnaście dolarów tygodniowo na jedzenie, a za pokój płaciła osiemnaście. Zapewniła go, że za tę sumę zdoła się utrzymać.

Październik, 1945

Wrzesień okazał się dla Anny udanym miesiącem. Znalazła pracę, w której dobrze się czuła, poznała przyjaciółkę o imieniu Neely i łagodnego, pogodnego młodego człowieka, Allena Coopera, z którym zaczęła się spotykać. W październiku pojawił się Lyon Burke.

Recepcjonistka i dwie sekretarki z sympatią przyjęły ją do swojego grona. Codziennie jadła z nimi lunch w barze na rogu. Ulubionym tematem rozmów był Lyon Burke. Najwięcej wiedziała o nim panna Steinberg, starsza sekretarka. Pracowała u Henry'ego Bellamy od dziesięciu lat. Znała Lyona osobiście.

Lyon pracował w agencji od dwóch lat, kiedy Ameryka wypowiedziała wojnę Niemcom. Zaciągnął się do wojska w dzień po ataku na Pearl Harbor. Jim Bellows często sugerował, że jego bratanek powinien zostać współnikiem w firmie. Henry nie miał nic przeciwko George'owi, ale uparcie odmawiał. Jego zdaniem nie należało mieszać rodziny w interesy. Jednak kiedy Lyon poszedł na wojnę, Henry nie miał innego wyboru.

George'owi trudno było cokolwiek zarzucić. Dowiódł swoich zdolności prawniczych, ale nie miał takiej osobowości jak Burke. Tak przynajmniej twierdziła panna Steinberg. Wszyscy pracownicy biura w napięciu śledzili wojenne losy Lyona, a kiedy otrzymał belki kapitańskie, Henry zrobił sobie pół dnia wolnego, żeby uczcić to święto. Ostatni list od Lyona nadszedł w sierpniu. Żył, przysyłał pozdrowienia, ale nie wspominał nic o powrocie.

Z początku Henry codziennie przeglądał pocztę. Kiedy wrzesień minął bez żadnej wiadomości, ponuro pogodził się z faktem, że Lyon na dobre wycofał się z firmy. Jednak panna Steinberg nie traciła nadziei. I okazało się, że słusznie. W październiku otrzymali bezpośrednią i konkretną depezę.

DROGI HENRY WOJNA SIĘ SKOŃCZYŁA A JA WYSZEDŁEM Z NIEJ CAŁO STOP ODWIEDZIŁEM KREWNYCH W LONDYNIE I ZATRZYMAŁEM SIĘ W BRIGHTON STOP ŻEBY ODPOCZAĆ NAD MORZEM STOP JESTEM W WASZYNGTONIE STOP CZEKAM NA OFICJALNĄ DEMOBILIZACJĘ STOP WRÓCĘ JAK TYLKO POZWOLĄ MI ZAMIENIĆ MUNDUR NA MÓJ STARY GRANATOWY GARNITUR STOP POZDROWIENIA LYON.

Henry przeczytał depeszę i twarz mu się rozjaśniła. Skoczył na równe nogi.

- Lyon wraca! Do diabła, wiedziałem, że tak będzie!

Przez następne dni w biurze panowało zamieszanie. Wyremontowano wszystkie pomieszczenia, a pracowników ogarnęło podniecenie. Krążyły najróżniejsze plotki.

- Nie mogę się już doczekać. - Recepcjonistka westchnęła. - Z tego co mówią, wnioskuję, że to ktoś w moim typie.

Panna Steinberg uśmiechnęła się jak osoba wtajemniczona.

- On jest w typie każdej kobiety, złotko. Jeśli nie oszołomi cię wyglądem, to na pewno swoim angielskim akcentem.

- Jest Anglikiem? - spytała zaskoczona Anna.

- Urodził się w Ameryce - wyjaśniła panna Steinberg. - Jego matka nazywała się Nell Lyon. Ty nie możesz jej pamiętać, zresztą ja też nie, ale była wielką gwiazdą angielskiej komedii muzycznej. Przyjechała tu na występy i wyszła za mąż za amerykańskiego prawnika, Toma Burke. Rzuciła pracę i Lyon urodził się tutaj, przez co jest obywatelem amerykańskim. Matka zachowała brytyjski paszport i kiedy zmarł jej mąż - Lyon miał wtedy chyba pięć lat - wróciła z synem do Londynu. Znowu zaczęła występować, a on skończył tam szkołę. Kiedy zmarła, wrócił do Stanów i poszedł na studia prawnicze.

- Czuję, że się w nim zakocham do szaleństwa - wyszeptała młodsza sekretarka.

Panna Steinberg wzruszyła ramionami.

- Wszystkie dziewczyny w biurze się w nim podkochiwały. Nie mogę się tylko doczekać chwili, kiedy spotka ciebie, Anno.

- Mnie? - zdziwiła się.

- Tak, ciebie. Macie jedną wspólną cechę, jakąś taką wewnętrzną rezerwę. Tylko Lyon maskuje ją urzekającym uśmiechem, więc z początku się tego nie zauważa. Robi wrażenie bardzo przyjacielskiego. Ale tak naprawdę nigdy nie pozwala się zbliżyć do siebie. Jeszcze nikomu się to nie udało. Nawet panu Bellamy. W głębi duszy pan B. czuje respekt do Lyona, i to nie tylko ze względu na jego wygląd i maniery. Lyon jest świetny w pracy. Jeszcze zobaczycie, że kiedyś to miasto będzie do niego należało. Nieraz widziałam, jak pan B. zawierał wspaniałe kontrakty, a nie jest to takie proste, ponieważ wszyscy wiedzą, że jest sprytny i nabierają czujności. Lyon, ze swoim

angielskim urokiem i wyglądem amanta filmowego, zniewala klienta i zawsze dostaje, czego chce. Dopiero po pewnym czasie zdajesz sobie sprawę, że tak naprawdę nie wiesz, jaki jest i co myśli o tobie i innych. Chodzi o to, że on zachowuje się tak, jakby lubił wszystkich jednakowo. Trudno nie podejrzewać, że w rzeczywistości na nikim ani na niczym mu nie zależy, oprócz pracy. Dla agencji zrobi wszystko. Jednak to nieważne, co o nim myślisz. I tak będziesz go uwielbiać.

Druuga depesza przyszła dziesięć dni później, w piątek rano.

DROGI HENRY STOP MAM JUŻ GRANATOWY GARNITUR  
STOP BĘDĘ W NOWYM JORKU JUTRO WIECZOREM STOP  
PRZYJADĘ PROSTO DO TWOJEGO MIESZKANIA STOP MOŻE  
UDA CI SIĘ ZAREZERWOWAĆ DLA MNIE POKÓJ W HOTELU  
STOP PLANUJĘ ZACZAĆ PRACĘ W PONIEDZIAŁEK STOP  
POZDROWIENIA LYON

Henry Bellamy wyszedł z biura w południe, żeby uczcić powrót współpracownika. Anna kończyła właśnie przeglądać pocztę, kiedy przy jej biurku zatrzymał się George Bellows.

- Może my też wybralibyśmy się gdzieś z tej okazji? - zaproponował lekko.

Anna nie potrafiła ukryć zdumienia. Jej kontakty z George'em ograniczały się do oficjalnego powitania co rano i zdawkowego skinięcia głową.

- Zapraszam cię na lunch - wyjaśnił.

- Bardzo mi przykro, ale obiecałam koleżankom, że dołączę do nich w barze.

Podał jej płaszcz.

- Szkoda - odparł. - To może być nasz ostatni dzień na ziemi. - Uśmiechnął się bez humoru i wrócił do swojego gabinetu.

Przy lunchu nieuważnie słuchała bezustannej paplaniny o Lyonie Burke. Z roztargnieniem zastanawiała się, dlaczego odrzuciła zaproszenie George'a. Bała się komplikacji? Jakie komplikacje mogły wyniknąć z jednego wspólnego lunchu? To niemądre. Chciała się zachować lojalnie wobec Allena Coopera? Cóż... Rzeczywiście, Allen był jedynym mężczyzną, jakiego знаła w Nowym Jorku, i odniósł się do niej bardzo miło. Może właśnie tym zasłużył sobie na jakiś rodzaj lojalności.

Przypomniała sobie dzień, kiedy Allen wpadł do biura, żeby zaoferować jakąś tam usługę. Później się dowiedziała, że chodziło o

ubezpieczenie. Henry zachował się nadzwyczaj chłodno i szybko się go pozbył. Był tak niemiły, że Annie zrobiło się żal młodego człowieka. Kiedy odprowadzała go do drzwi, szeptem życzyła mu szczęścia w dalszych próbach. Był najwyraźniej zaskoczony ciepłem, które usłyszał w jej głosie.

Dwie godziny później zadzwonił telefon.

- Mówi Allen Cooper. Pamiętasz mnie? To ja, ten dynamiczny akwizytor. Chciałem ci tylko powiedzieć, że w porównaniu z wizytami w innych firmach moja rozmowa z Henrym była wyjątkowo przyjemna. Przynajmniej spotkałem ciebie.

- Nie udało ci się nic sprzedać? - spytała z niekłamanym współczuciem.

- Nic a nic. Wszędzie natrafiałem na mur. Pewnie mam dzisiaj zły dzień... chyba że zechciałabyś to zmienić i umówić się ze mną na drinka.

- Ja nie...

- Nie pijesz? Ja też nie. W takim razie zapraszam cię na kolację.

Tak to się właśnie zaczęło i trwało do dzisiaj. Allen był sympatyczny i miał poczucie humoru. Uważała go raczej za przyjaciela niż swojego chłopaka. Często nawet się nie przebierała, kiedy spotykała się z nim po pracy. On chyba nie zwracał uwagi na stroje Anny, ale zawsze był wdzięczny, że chce spędzić z nim czas. Chodzili do małych, nieznanymi restauracji i zwykle wybierała z karty najtańszą potrawę. Miała ochotę zaproponować, że zapłaci za siebie, ale bała się, że Allen przez to jeszcze dotkliwiej odczuje, że jest nieudacznikiem.

Zupełnie nie nadawał się na akwizytora. Był o wiele za miły i za łagodny, jak na tę profesję. Wypytywał ją o Lawrenceville, szkołę, a nawet o pracę w biurze. Przy nim czuła się jak najciekawsza i najbardziej fascynująca dziewczyna pod słońcem.

Spotykała się z nim, ponieważ nic od niej nie żądał. Czasami w kinie brał ją za rękę. Nie próbował nawet całować jej na do widzenia. Przyjmowała to z ulgą zmieszaną z dziwnym poczuciem niespełnienia. Niemal ją zawstydzalo, że nie potrafi obudzić żadnych namiętności w biednym Allenie, ale nie zamierzała tego zmieniać. Na myśl, że mogłaby się z nim całować, ogarniała ją taka sama odraza, jakiej doświadczała całując Williego Hendersona w Lawrenceville. Zastanawiała się, czy jest zdolna do miłości. Może nie była normalna,



a może jej matka miała rację - namiętność i miłość istnieją tylko w książkach.

Później tego samego dnia George Bellows znów zatrzymał się przy jej biurku.

- Przyszedłem z następnym zaproszeniem - oświadczył. - Co powiesz o szesnastym stycznia? To niemożliwie, żebyś miała aż tak odległe plany.

- Przecież to dopiero za kilka miesięcy.

- Z przyjemnością umówię się z tobą wcześniej, jeśli tylko dasz mi szansę. Ale właśnie dzwoniła Helen Lawson, domagając się rozmowy z Henrym. Przypomniała mi, że szesnastego ma premierę.

- Rzeczywiście. Próby do musicalu Pod samo niebo zaczynają się w przyszłym tygodniu.

- Pójdiesz ze mną czy nie?

- Ależ z przyjemnością. Helen Lawson jest cudowna. Często miewała premiery w Bostonie. Kiedy byłam małą dziewczynką, ojciec zabrał mnie na Madame Pompadour z nią w roli głównej.

- W takim razie jesteśmy umówieni. Och, Anno, kiedy zaczną się próby, Helen pewnie stale będzie nas nachodziła. Jeśli kiedykolwiek zdarzy ci się z nią gawędzić, nie mów, że ją uwielbiasz już od dzieciństwa. Mogłaby cię udusić.

- Ale ja wtedy rzeczywiście byłam małą dziewczynką. Brzmi to nedorzecznie, bo minęło dopiero dziesięć lat. Już wtedy Helen Lawson wyglądała na dojrzałą kobietę. Miała przynajmniej trzydzieści pięć lat.

- My tutaj udajemy, że wciąż ma dwadzieścia osiem.

- George, chyba nie mówisz poważnie! Przecież dla Helen Lawson wiek nie powinien mieć znaczenia. Jest wielką gwiazdą. Liczy się tylko jej osobowość i talent. Na pewno jest zbyt inteligentna, żeby sobie wmawiać, że wygląda jak młoda dziewczyna.

George wzruszył ramionami.

- Coś ci powiem. Zadzwoń do ciebie za dwadzieścia lat i zapytam, jak się czujesz. Udawanie dwudziestoosmiolatek to jakaś zakaźna choroba, która dopada wszystkich kobiet po czterdziestce. Żeby się nie narażać, po prostu nie wspominaj o wieku w towarzystwie Helen. I zaznacz w kalendarzu, że szesnastego stycznia jesteśmy umówieni. Tymczasem baw się dobrze w weekend i niczym

się nie przejmuj. W piątek będziemy tu mieli niezłe zamieszanie, kiedy powróci z frontu nasz zwycięski bohater.

Recepcjonistka miała na sobie nową obcisłą spódnicę. Młodsza sekretarka natapirowała włosy pięć centymetrów wyżej niż zwykle. Nawet panna Steinberg zmieniła wreszcie granatowy kostium, który nosiła od wiosny. Anna siedziała w swoim pokoiku tuż przy gabinecie Henry'ego i starała się skupić na poczcie. Ale tak jak inni, wciąż kierowała wzrok na drzwi.

Pojawił się o jedenastej. Mimo że wiele o nim wiedziała z rozmów i biurowych plotek, nie była przygotowana, że zobaczy tak przystojnego mężczyznę.

Henry Bellamy był wysoki, ale Lyon Burke przerastał go o dobre siedem centymetrów. Miał kruczoczarne włosy i oliwkową, jakby wiecznie opaloną cerę. Henry promieniał nie skrywaną dumą, kiedy oprowadzał Lyona po biurze i przedstawiał mu pracowników. Recepcjonistka wyraźnie się zarumieniła, kiedy uściskał jej dłoń, młodsza sekretarka uśmiechała się głupawo, a panna Steinberg w podnieceniu zachowywała się jak pensjonarka.

Po raz pierwszy w życiu Anna była wdzięczna losowi, że w dzieciństwie nauczono ją zachowywać się chłodno i z rezerwą. Wiedziała, że pod spokojną pozą potrafiła ukryć wrażenie, jakie zrobił na niej Lyon.

- Henry nie przestaje o tobie mówić. Teraz, kiedy cię poznałem, doskonale go rozumiem - powiedział ściskając jej dłoń. Angielski akcent z pewnością dodawał mu uroku. Anna zdołała odpowiedzieć coś sensownego i ucieszyła się, kiedy Henry Bellamy poprowadził gościa do jego świeżo odremontowanego gabinetu.

- Anno, pójdziesz z nami - polecił Henry.

- Wygląda tu imponująco - stwierdził Lyon. - Aż za bardzo. Obawiam się, że w zamian każesz mi pracować dwa razy ciężiej. - Usiadł w fotelu i uśmiechnął się swobodnie. Anna nagle zrozumiała, o czym mówiła panna Steinberg. Lyon Burke uśmiechał się do wszystkich, ale jego uśmiech trudno było rozszyfrować.

Henry promieniał ojcowską dumą.

- Wystarczy, jeśli będziesz się tak samo obijał, jak przed wyjazdem, a w nagrodę będę ci co roku odnawiał gabinet. Przejdźmy do rzeczy. Anno, Lyon potrzebuje mieszkania. Zatrzyma się u mnie,

dopóki czegoś mu nie załatwimy - wyjaśnił. - Pewnie nie uwierzysz, ale nie mogliśmy znaleźć dla niego hotelu.

Uwierzyła. Nie wiedziała tylko, co to ma wspólnego z nią.

- Chcę, żebyś ty poszukała dla niego jakiegoś odpowiedniego lokum - oznajmił.

- Ja mam znaleźć mieszkanie dla pana Burke?

- Na pewno dasz sobie radę. Mówiłem ci, że będziesz kimś więcej niż zwykłą sekretarką.

Tym razem Lyon roześmiał się żywiołowo.

- Ona jest piękna, Henry. Dokładnie taka, jak opowiadałeś. Ale przecież nie potrafi czynić cudów. - Mrugnął do Anny. - Henry prowadzi bardzo spokojne życie. Dawno nie zdarzyło mu się szukać mieszkania w Nowym Jorku.

Bellamy potrząsnął głową.

- Słuchaj, ta dziewczyna przyjechała tutaj dwa miesiące temu i nie odróżniała Siódmej Alei od Broadwayu. Nie tylko pierwszego dnia znalazła mieszkanie, ale w dodatku zdobyła tę pracę i owinęła mnie sobie wokół małego palca.

- To nie jest prawdziwe mieszkanie, tylko pokój, w dodatku bardzo mały i...

Spojrzenie Lyona wytręcało ją z równowagi.

- Moja droga Anno, podczas wojny zdarzało mi się sypiać w ruinach, więc wszystko, co ma dach, wydaje mi się teraz apartamentem w hotelu Ritz.

- Anna na pewno coś znajdzie - zapewnił Henry. - Spróbuj na East Side. Salon, sypialnia, łazienka i kuchnia, umeblowane, za około sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Jeśli będziesz musiała, zaoferuj sto siedemdziesiąt pięć. Zacznij od razu, jeszcze dzisiaj. Jutro masz wolne. Zresztą szukaj, aż znajdziesz. Nie wracaj tutaj bez mieszkania.

- Henry, być może nigdy już nie zobaczymy tej dziewczyny - ostrzegł go Lyon.

- Postawiłbym na nią wszystkie pieniądze. Coś dla ciebie znajdzie.

Pokój Anny znajdował się na drugim piętrze ceglanej kamienicy. Dzisiaj wydawało jej się, że nigdy nie pokona schodów. Stała na podeście, ściskając w dłoni wymięty „New York Times”. Przez całe popołudnie oglądała mieszkania z ogłoszeń, ale wszystkie zostały już wynajęte. Bolały ją nogi. Rano ubrała się w strój odpowiedni do biura,

a nie do chodzenia po ulicach. Jutro rozpocznie poszukiwania z samego rana i włoży buty na niskim obcasie.

Zanim ruszyła na górę, zapukała do drzwi Neely. Nikt nie odpowiadał. Wspięła się po trzeszczących schodach i weszła do swojego pokoju. Z ulgą usłyszała, że w starym kaloryferze syczy gorąca para.

Mimo zapewnień Lyona, że odpowiada mu każde mieszkanie, nie potrafiła go sobie wyobrazić w takim pokoju jak ten. Nie był najgorszy. Panował w nim porządek i wszędzie było stąd blisko. Oczywiście, w porównaniu z jej sypialnią w rodzinnym domu przypominał norę. Stary tapczan wyglądał tak, jakby miał się za chwilę rozpaść. Czasami zastanawiała się, ilu ludzi na nim sypiało. Może setki. Ale ona ich nie знаła i dzięki tej anonimowości uważała go za swoją wyłączną własność. Dopóki płaci komorne, wszystko w tym pomieszczeniu należy do niej: mały, zniszczony stolik nocny, odrapany i wypalony papierosami, biurko z trzema szufladami, które trzeba było zostawiać lekko otwarte, bo jeśli wsunęło się je do końca, zacinały się, a przy silniejszym pociągnięciu odpadały gałki, wybrzuszony fotel, którego sprężyny miały ochotę przebić tapicerkę i wydostać się na zewnątrz.

Pokój można było jakoś ozdobić, ale pod koniec tygodnia Annie zwykle brakowało na to pieniędzy. (Postanowiła, że nie tknie złożonych w banku pięciu tysięcy dolarów.) Wciąż spłacała raty u Bloomingdale'a za elegancką czarną suknię i wyjściowy czarny płaszcz.

Usłyszała znajome pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołała nie odwracając głowy.

Weszła Neely i opadła na fotel, który jęknął niebezpiecznie. W każdej chwili mógł się rozlecieć.

- Po co czytasz ogłoszenia w „Timesie”? Zamierzasz się przeprowadzić?

Kiedy Anna wytłumaczyła, na czym polega jej najnowsze zadanie, Neely roześmiała się głośno.

- Chcesz powiedzieć, że Burke nie chce apartamentu z tarasem i czterema wbudowanymi szafami, w których można by się schować? - Stwierdziła, że to niemożliwe, i uznała rozmowę na ten temat za zakończoną. Wróciła do najważniejszej dla niej sprawy. - Anno, czy dzisiaj udało ci się o tym porozmawiać?

Miała na myśli przysługę, o którą od dawna prosiła przyjaciółkę.

- Neely, jak miałabym to zrobić? Szczególnie dzisiaj... kiedy wrócił Lyon Burke.

- Ale ja muszę się znaleźć w obsadzie Pod samo niebo. Nie wiem dlaczego, ale Helen Lawson spodobał się nasz numer. Trzy razy wzywano nas na przesłuchania. Ona była obecna podczas każdego z nich. Jedno słowo Henry'ego przeważałoby szalę.

Mówiąc „nas”, Neely miała na myśli siebie i dwóch partnerów. Według urzędowych dokumentów nazywała się Ethel Agnes O'Neill („Czy to nie koszmar!” - wykrzyknęła przedstawiając się.), ale od dzieciństwa wszyscy mówili do niej Neely. Ponieważ stanowiła jedną trzecią grupy tanecznej o nazwie Gaucheros, nie potrzebowała żadnego pseudonimu artystycznego i nadal używała tylko imienia Neely.

Ich znajomość zaczęła się od zdawkowych pozdrowień na schodach i szybko przekształciła się w bliską przyjaźń. Neely wyglądała jak rozszczebiotana, pełna entuzjazmu nastolatka. Miała zadarty nos, duże brązowe oczy, piegi i kręcone ciemne włosy. Prawdę mówiąc, Neely rzeczywiście była nastolatką, która jeździła po kraju z grupą wodewilową, od kiedy skończyła siedem lat.

Trudno było wyobrazić ją sobie jako artystkę estradową. Jednak któregoś wieczoru zaciągnęła Annę do jakiegoś klubu w śródmiejskim hotelu, gdzie akurat występowała. Anna zobaczyła tam zadziwiającą transformację. Piegi zniknęły pod grubą warstwą szminki, a dziecięca figura, opięta błyszczącą, ciasną sukienką, nabrała kobiecych kształtów. Występ grupy nie budził zachwyty, ale dał się oglądać. Dwóch mężczyzn w zniszczonych sombreroach i obcisłych spodniach strzelając palcami wirowało i przytupywało obcasami na scenie w tańcu, który miał uchodzić za hiszpański. Anna widziała podobne zespoły w Lawrenceville. Jednak nigdy dotąd nie widziała kogoś takiego jak Neely. Nie potrafiła zdecydować, czy przyjaciółka jest wyjątkowo dobrą czy kiepską tancerką. W zasadzie nigdy nie stała się częścią Gaucheros. Tańczyła i wirowała wraz z nimi, a po występie kłaniała się publiczności, ale wyraźnie się wybijała z całej trójki. Tylko ona przykuwała uwagę.

Jednak bez kostiumu i makijażu, siedząc w zniszczonym fotelu, Neely była tylko pełną energii siedemnastolatką. Pierwszą prawdziwą przyjaciółką Anny.

- Bardzo chciałabym ci pomóc, ale nie mogę prosić pana Bellamy'ego o osobistą przysługę. Łączą nas tylko sprawy służbowe.

- No to co? Wszyscy w mieście wiedzą, że był kiedyś kochankiem Helen Lawson i że ona wciąż go słucha jak wyroczni.

- Kim był?

- Jej kochankiem. Jej facetem. Nie powiesz mi, że o tym nie wiedziałaś!

- Neely, gdzie usłyszałaś taką bzdurę?

- Bzdurę! Rany, czyżby nikt ci o tym nie powiedział? To było dawno temu i od tego czasu miała już trzech mężów, ale kiedyś przez wiele lat aż huczało od plotek na ich temat. Jak myślisz, dlaczego cię zamęczam, żeby porozmawiała z Bellamym? Może jutro mogłabyś mu o tym wspomnieć?

- Jutro będę szukała mieszkania. Poza tym już ci mówiłam, że tak się nie robi. Nie można załatwiać w biurze swoich prywatnych spraw.

Neely westchnęła.

- Te wyszukane maniery przeszkadzają ci żyć. Trzeba zmierzać do celu najkrótszą drogą. Bez zahamowań prosić o to, na czym ci zależy.

- A co będzie, jeśli spotka cię odmowa?

- Nic. Będiesz w tym samym punkcie co przedtem, ale przynajmniej dasz sobie jakąś szansę.

Anna uśmiechnęła się, słuchając wywodów przyjaciółki. Neely nie była wykształcona, ale miała wrodzoną inteligencję nierasowego szczeniaka, zabarwioną jakąś szczególną cechą, która sprawia, że właśnie ten szczeniak wyróżnia się z całego miotu. Była niezdarna, szczerą i pełną zapału, niewinna, a jednocześnie nie pozbawiona sprytu, niezwykłego u tak młodej dziewczyny.

Pierwsze siedem lat życia Neely spędziła w domach dziecka. Potem siostra, starsza od niej o dziesięć lat, poznała Charliego, jednego z Gauchos, i wyszła za niego za mąż. Zamienili duet w trio i siostra natychmiast wybawiła Neely od monotonii domu dziecka i szkoły. Wprowadziła ją w życie trzeciorzędnej trupy wodewilowej, stale przenoszącej się z miasta do miasta. Oznaczało to koniec szkolnej edukacji, ale w zespole zawsze znalazł się ktoś, kto pomagał Neely w nauce czytania i rachowania. Poznawała geografii kraju z okna pociągu, a historię Europy z opowieści artystów, występujących razem z zespołem. Zawsze też znajdował się jakiś przyjacielski

portier, który wszczynał alarm, kiedy na horyzoncie pojawiał się jakiś kontroler z władz oświatowych.

Neely miała czternaście lat, kiedy siostra wycofała się ze sceny, żeby urodzić dziecko. Ponieważ na pamięć znała program, występowała w jej zastępstwie. A teraz, po latach podróży po prowincji, Gauchos mieli szansę wystąpić w musicalu na Broadwayu.

- Może uda mi się zagadnąć o to George'a Bellowsa - oznajmiła z namysłem Anna, odświeżając makijaż. - Zaprosił mnie na premierę Pod samo niebo.

- To jeszcze bardzo daleko. - Neely skrzywiła się. - Ale lepsze to niż nic. - Patrzyła, jak Anna przebiera się w tweedowy kostium. - Spotykasz się dzisiaj z Allenem?

Anna skinęła głową.

- Zgadłam. Kiedy wychodzisz z panem Bellamym, zawsze wkładasz czarną suknię. Rany, czy ona się jemu nigdy nie znudzi?

- Podczas tych wieczorów pan Bellamy nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi. Chodzi mu wyłącznie o interesy.

- Akurat! - prychnęła Neely. - Ale masz fajnie, że pracujesz w tym biurze. W porównaniu z tym występy w klubach to nudziarstwo. Na premierę wybierasz się z George'em, pan Bellamy zabiera cię na eleganckie kolacje do „21”, nawet Allena poznałaś w agencji. A teraz Lyon Burke! Rany, Anno, masz czterech facetów, a ja ani jednego!

- Pan Bellamy to nie jest mój kolega - wyjaśniła ze śmiechem Anna. - Premiera odbędzie się dopiero w styczniu, a dla Lyona Burke jestem po prostu sekretarką, która mu szuka mieszkania. Allen... cóż... Po prostu od czasu do czasu się spotykamy,

- I tak masz cztery razy więcej rozrywki niż ja. Nigdy jeszcze nie umówiłam się na prawdziwą randkę. Jedyńi mężczyźni, jakich znam, to mój szwagier i jego partner, Dickie. W dodatku Dickie jest pedałem. Najciekawszy przejaw mojego życia towarzyskiego to wyprawa do baru Walgreena i rozmowa z innymi bezrobotnymi aktorami.

- Nie poznałaś tam żadnego aktora, który gdzieś by cię zaprosił?

- Ha! Widać, że nie znasz aktorów, skoro zadajesz takie pytania. Oni mieliby mnie gdzieś zaprosić? Nie postawią nikomu nawet szklanki coli za dwadzieścia pięć centów. Nie znaczy to, że są z natury skąpi, ale tak często są bez pracy, że muszą oszczędzać.

Większość z nich pracuje po nocach, jako pomocnicy kelnerów, windziarze, portierzy. Biorą każdą nocną robotę, która da im czas na poszukiwanie pracy i spotkania z agentami za dnia.

- Jak myślisz, szybko wyjedziecie w trasę? - Anna nagle zdała sobie sprawę, że bardzo jej będzie Neely brakowało.

- Mam nadzieję, że nie. Dziecko mojej siostry dopiero zaczyna rozpoznawać ojca. Dlatego właśnie Charlie tak się zaharowuje i bierze wszystkie występy w klubach nocnych. Ale Dickie zaczyna się wściekać. W objeździe zarobiliśmy więcej. Chcą nas zaangażować na występy w klubach nocnych w Buffalo, Toronto i w Montrealu. Dlatego właśnie musimy się załapać do Pod samo niebo. Musical z Helen Lawson to pewny sukces. Moglibyśmy zostać w Nowym Jorku na cały sezon, a nawet dłużej. Wtedy może poznałabym jakiegoś przyzwoitego chłopaka i wyszła za niego za mąż.

- Dlatego chcesz dostać angaż do musicalu? Żeby znaleźć kogoś odpowiedniego i wyjść za mąż?

- Jasne. Wtedy byłabym kimś. Czyjaś żoną. Mieszkałabym na stałe w jednym miejscu. Znalazłabym przyjaciół. Ludzie w sąsiedztwie by mnie znali.

- A miłość? Niełatwo znaleźć kogoś, kogo można naprawdę pokochać.

Neely zmarszczyła nos.

- Słuchaj, gdyby ktoś mnie pokochał, ja też zaraz bym go pokochała. Rany, Anno, gdybyś tylko zechciała porozmawiać z panem Bellamym...

- Dobrze, zrobię to - odparła Anna z uśmiechem. - Przy pierwszej okazji. Kto wie, może zostaniesz następczynią Pawłowej?

- A kto to taki?

- Była wielką tancerką. Neely się roześmiała.

- Nie marnuję czasu na głupie marzenia o tym, że kiedyś stanę się sławna. Och, myślę, że mogłabym kiedyś zostać gwiazdą. Oczywiście nie z tym zespołem. Ale coś dziwnego się ze mną dzieje, kiedy staję przed publicznością. Nieźle tańczę, ale zdaje mi się, że mogłabym ulecieć w powietrze, gdyby wystarczająco głośno bili mi brawo. Nie mam dobrego głosu, ale gdyby mnie pokochali, potrafiłabym wyśpiewać im nawet arię z opery. Tak właśnie się czuję na scenie... jakby ludzie mnie obejmowali i przytulali do serca.



Opowiedziałam o tym Dickiemu i Charliemu, ale oni myślą, że jestem stuknięta. Im nic takiego się nie przytrafia.

- Neely, powinnaś studiować, zapisać się na lekcje gry aktorskiej. Może wtedy wspięłabyś się na sam szczyt.

Przyjaciółka potrząsnęła głową.

- Marne szanse. Widziałam w trasie zbyt wielu podstarzałych artystów, którym prawie się udało.

- Mówisz o ludziach, którzy nie byli wystarczająco utalentowani - stwierdziła Anna.

- Słuchaj, nikt nie idzie na scenę dlatego, że chce mieć stałe godziny pracy i regularne zarobki. Wszystkim się wydaje, że zdobędą sławę. Ale na każdą Mary Martin, Ethel Merman albo Helen Lawson przypadają tysiące drugoplanowych artystów, którzy „prawie” stali się sławni, ale tymczasem głodują w podrzędnych zespołach objazdowych.

Anna milczała. Nie potrafiła zbić logicznej argumentacji Neely. Skończyła pudrować nos.

- Dobrze, Neely. Zrobię, co będę mogła. Ale kto wie, może i bez tego dostaniesz ten kontrakt. Chyba spodobał im się wasz występ, jeśli wzywali was aż trzy razy.

- Właśnie tego nie rozumiem - roześmiała się przyjaciółka. - Dlaczego nas wzywali? Jak to możliwe, że Helen Lawson spodobały się nasze żalosne wygibasy? Chyba że wszystkie inne grupy taneczne w mieście zachorowały na ospę albo coś w tym rodzaju. Gdybym uważała, że dobrze gramy, nie zawracałabym ci głowy. Nie rozumiem, dlaczego Helen Lawson zainteresowała się nami. Może Charlie wpadł jej w oko. Mówią, że goni za każdymi spodniami, a chociaż Charlie nie jest zbyt inteligentny, to uchodzi za całkiem przystojnego mężczyznę.

- A co by zrobił, gdyby rzeczywiście jej się spodobał? W końcu jest mężem twojej siostry.

- Och, przespałby się z Helen, gdyby musiał - stwierdziła Neely spokojnie. - Wytłumaczyłby sobie, że robi to dla żony. Przecież tak naprawdę nie miałby z tego żadnej przyjemności. Helen Lawson nie jest zbyt piękna.

- Neely, chcesz powiedzieć, że nic byś nie zrobiła, żeby mu w tym przeszkodzić? Siostra nigdy by ci tego nie wybaczyła.

- Mówisz jak dziewczica, a myślisz jak ksiądz. Sama jestem dziewczicą, ale wiem, że seks i miłość to dla mężczyzny dwie różne rzeczy. W trasie Charlie zawsze wynajmował najtańszy pokój i wysyłał żonie trzy czwarte wypłaty, żeby ona i dziecko mogli żyć wygodnie. Ale to nie znaczy, że co jakiś czas nie szedł do łóżka z jakąś ładną dziewczyną z zespołu. Potrzebował seksu... To nie miało nic wspólnego z jego uczuciem do Kitty i dziecka. Ja zachowałam dziewictwo, bo wiem, że mężczyźni przywiązują do tego wielkie znaczenie, a chcę, żeby kiedyś ktoś tak mnie pokochał, jak Charlie kocha Kitty. U mężczyzn wygląda to inaczej. Nikt od nich nie oczekuje, żeby byli prawiczkami.

W pokoju rozległ się brzęczyk - znak, że Allen stoi pod drzwiami. Nacisnęła guzik, żeby zawiadomić go, że zaraz schodzi. Chwyciła płaszcz i torebkę.

- Muszę już iść. Allen pewnie przyjechał taksówką, a licznik bije.

- Zaczekaj! Zostało ci jeszcze trochę tych pysznych pianek czekoladowych? - Neely przeszukiwała szafkę Anny.

- Weź całe pudełko - odparła Anna i otworzyła drzwi.

- Cudownie! - Neely wyszła za nią na korytarz, ściskając pudełko. - Wypożyczyłam z biblioteki Przemięło z wiatrem, mam butelkę mleka i te czekoladki. Rany! Co za orgia!

Poszli do małej francuskiej restauracji. Allen słuchał uważnie, kiedy opowiadała mu o swoim najnowszym zadaniu. Gdy skończyła, szybko wypił resztkę kawy i poprosił o rachunek.

- Anno, myślę, że nadszedł już czas.

- Na co?

- Czas, żebyś dowiedziała się prawdy. Czas, żebyś w glorii chwały odeszła od Bellamy'ego.

- Ale ja nie chcę rzucać pracy.

- Zrobisz to. - Uśmiechał się dziwnie. Z pewnością siebie. Całkowicie zmienił się jego sposób bycia. - Zdaje się, że znalezienie mieszkania dla Lyona Burke zostanie przyjęte jako twój wielki sukces.

- Chcesz powiedzieć, że słyszałeś o czymś odpowiednim? Skinął głową i uśmiechnął się tajemniczo. Na ulicy przywołał taksówkę i podał adres na Sutton Place.

- Allen, dokąd jedziemy?

- Obejrzeć nowe mieszkanie pana Burke.

- O takiej późnej godzinie? A w ogóle, czyje to mieszkanie?

- Zobaczysz - odparł. - Cierpliwości. - Reszta drogi upłynęła im w milczeniu.

Taksówka zatrzymała się przed eleganckim budynkiem w pobliżu East River. Portier wyprężył się służyć.

- Dobry wieczór, panie Cooper.

Windziarz skinął głową i bez polecenia zawiózł ich na dziesiąte piętro. Allen nonszalancko wsunął klucz do zamka i otworzył drzwi. Zapalił światło. Oczom Anny ukazał się przemyślnie urządzonej salon. Allen nacisnął kolejny guzik i rozległy się łagodne dźwięki muzyki. Mieszkanie było wspaniałe, jakby urządzone na zamówienie dla Lyona Burke.

- Allen, kto tu mieszka?

- Ja. Chodź, zobaczysz resztę. Sypialnia jest całkiem spora, z dużą szafą w ścianie. - Otworzył rozsuwane drzwi. - Tutaj jest łazienka, a tam kuchnia, mała, ale z oknem.

Podążała za nim w milczeniu. To nie do pomyślenia. Miły, cichy Allen mieszkał w takim apartamencie?

- Teraz pokażę ci jedyną wadę. - Wrócił do salonu i odsunął długie zasłony. Ukazało się sąsiednie mieszkanie, którego okno było tak blisko, że niemal można go było dotknąć ręką.

- Oto jedyny minus. W tym wymarzonym gniazdku jest wszystko, oprócz widoku. Muszę jednak przyznać, że ten facet z naprzeciwka mnie fascynuje. Mieszka sam i od dwóch lat nie widziałem, żeby cokolwiek jadł. Odżywia się wyłącznie piwem. Piwo na śniadanie, obiad i kolację. Spójrz! - Jak na zawołanie do widocznej za oknem kuchni wtoczył się otyły mężczyzna i otworzył butelkę piwa. Allen zaciągnął zasłony.

- Kiedyś się o niego martwiłem. Byłem pewien, że dostanie awitaminozy czy jakiejś innej choroby. Ale piwo chyba mu służy. - Zaprowadził ją na kanapę. - Jak myślisz, czy panu Burke się tu spodoba?

- Mieszkanie jest cudowne, mimo tego grubasa. Jednak nie rozumiem, dlaczego chcesz się go pozbyć?

- Znalazłem lepsze. Mogę się wyprowadzić, choćby jutro. Ale chcę, żebyś je najpierw obejrzała. Bardzo mi zależy, żeby ci się spodobało.

Dobry Boże! On zaraz poprosi ją o rękę. Słodki, mały Allen? Nie chciała go zranić. Może powinna udawać, że nie rozumie, do czego zmierza.

Nadała głosowi lekki, bezosobowy ton.

- Allen, to że zlecono mi znalezienie mieszkania dla Lyona Burke, nie robi ze mnie eksperta od spraw dekoracji wnętrz. Dostałam takie zadanie, bo pan Burke jest bardzo zajęty w biurze. Jeśli sam potrafiłeś znaleźć taki klejnot jak ten, jestem pewna, że nie potrzebujesz mojej rady... - Wiedziała, że mówi za szybko.

- Powiedziałaś, że Burke może płacić sto pięćdziesiąt, a nawet sto siedemdziesiąt pięć, jeśli okaże się to konieczne. Coś ci powiem. Wynajmiemy mu to mieszkanie za sto pięćdziesiąt. To zrobi z ciebie prawdziwą bohaterkę. Lyon Burke przejmie moją umowę najmu. Tyle właśnie zgodziłem się płacić. Meble są moje, ale zostawię mu je jako dodatkową premię.

Anna zaniepokoiła się.

- Będiesz ich potrzebował w nowym mieszkaniu - zaprotestowała. - Poza tym, z pewnością dużo kosztowały...

- To nie ma znaczenia - oznajmił wesoło. - Czy Lyon Burke wprowadzi się tu od razu?

- Chyba...

- Jestem pewien, że tak. Chodź, pokażę ci moją nową siedzibę. - Zaprowadził ją do windy, chociaż wzbraniała się i twierdziła, że jest już zbyt późno.

Na ulicy podszedł do nich usłużny portier.

- Zawołać taksówkę, panie Cooper?

- Nie, Joe. Nie idziemy daleko.

Minęli jedną przecznicę i stanęli pod budynkiem, który zdawał się wisieć nad brzegiem rzeki.

Nowe mieszkanie wyglądało jak dekoracja do filmu. W salonie leżał puszysty biały dywan ogromnych rozmiarów. Podłogę wokół baru wyłożono włoskim marmurem. Długie schody wiodły do pokoi na górze. Najpiękniejszy był jednak widok, który wprost zapierał dech w piersi.

Szklane drzwi prowadziły na olbrzymi taras, z którego rozciągał się widok na rzekę. Allen podprowadził ją do barierki. Zimne, wilgotne powietrze owiało jej twarz, ale nie zwróciła uwagi na chłód, tak urzekła ją panorama. Jasne światła mostu przecinały rzekę i

migotały na przeszłach jak małe brylanciki. Patrzyła zdumiona, zapominając o obecności Allena.

- Wypijemy za nowe mieszkanie? - zapytał.

Otrząsnęła się z zamyślenia i wzięła od niego szklankę z colą.

- Czyje to mieszkanie? - zapytała cicho.

- Moje, jeśli tylko zechcę tu zamieszkać.

- Ale kto jest właścicielem?

- Człowiek imieniem Gino. On twierdzi, że jest dla niego za duże. Przeniósł się do hotelu Waldorf. Tam mu się bardziej podoba.

- Ale czy ciebie stać na taki luksus?

- Byłabyś zaskoczona, gdybyś wiedziała, na jak wiele mnie stać.

- Znowu dziwnie się uśmiechnął.

Weszli do środka.

- Allen, lepiej będzie, jeśli już pójdę. Jestem bardzo zmęczona...

I nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

- Anno... - Chwycił ją za ramię. - Jestem bogaty, i to bardzo.

Patrzyła na niego w milczeniu. Nagle zrozumiała, że Allen nie kłamie.

- Kocham cię, Anno. Z początku nie mogłem uwierzyć, że spotykasz się ze mną tak długo i nic nie wiesz.

- Czego nie wiem?

- Kim jestem.

- A kim jesteś?

- Och, rzeczywiście nazywam się Allen Cooper. I to jedyna prawdziwa rzecz, którą o mnie wiesz. Znasz moje nazwisko. Tylko tobie nic ono nie mówi. Polubiłaś mnie jako agenta ubezpieczeniowego, który nie potrafi dać sobie rady w życiu. - Odsłonił zęby w uśmiechu. - Nawet sobie nie wyobrażasz, co czułem przez te wszystkie tygodnie, kiedy zapraszałem cię do skromnych restauracji na uboczu i patrzyłem, jak zamawiasz najtańsze dania. Wiedziałem, że się martwisz o moje zarobki. Anno, jeszcze nikomu nie zależało na mnie jako na człowieku. Najpierw myślałem, że to jakaś sztuczka, że wiesz, kim jestem, i tylko udajesz. Niejedna już tego próbowała. Dlatego tak cię wypytywałem o Lawrenceville i o rodzinę. Potem wynająłem detektywa, żeby cię sprawdził. - Zauważył, że oczy jej się zwęziły, i chwycił ją za rękę. - Nie złość się. Byłaś zbyt wspaniała, żeby to mogło być prawdziwe. Gino też w to nie wierzył. Ale kiedy nadszedł raport i okazało się, że wszystko, co mówiłaś, jest

prawdą - dom, owdowiała matka, ciotka i porządna rodzina z Nowej Anglii... Anno, ty masz klasę, prawdziwą klasę. Chryste, kiedy się tego dowiedziałem, miałem ochotę skakać z radości. Nie przypuszczałem, że w życiu spotka mnie coś takiego. Dziewczyna, którą uwielbiam, polubiła mnie dla mnie samego! Nie rozumiesz, co to dla mnie znaczy? - Zatańczył z nią po pokoju. - Zależy ci na mnie! Tylko na mnie. Nie obchodzi cię, co posiadam, tylko jaki jestem!

Wyrwała się z jego objęć i złapała oddech.

- Skąd miałam wiedzieć, kim jesteś i co posiadasz, skoro nic mi nie powiedziałeś?

- A ja nie rozumiem, jak mogłaś o tym nie wiedzieć. Moje nazwisko wciąż ukazuje się w gazetach w kronice towarzyskiej. Spodziewałem się, że przyjaciółki z biura wszystko ci powiedzą, a już na pewno Henry Bellamy.

- Nie czytuję kroniki towarzyskiej i nie mam przyjaciółek, oprócz Neely, a ona czyta jedynie „Variety”. Nigdy też nie rozmawiam na tematy osobiste z panem Bellamym ani z nikim z biura.

- Teraz możesz obwieścić im wielką nowinę. O nas! - Wziął ją w ramiona i pocałował.

Przez chwilę stała bezwładna, a potem wyrwała się z jego objęć. Boże, historia się powtarza! Dotyk jego ust wywołał w niej falę obrzydzenia.

Allen spojrzał na nią czule.

- Moja słodka Ania. Wiem, że jesteś oszołomiona.

Podeszła do lustra i umalowała usta. Ręka jej drżała. Coś z nią jest nie tak. Dlaczego całując się z mężczyzną czuje tę zimną odrazę? Wiele dziewcząt lubi się całować z mężczyznami, których nie kochają. Podobno to normalne. Ona przecież lubi Allena, nie jest dla niej nikim obcym. Więc nie chodzi tylko o Williego Hendersona i innych chłopców z Lawrenceville. Problem leży w niej samej.

Allen stanął za nią.

- Kocham cię, Anno. Zdaję sobie sprawę, że to wszystko spadło na ciebie tak nagle. Każdy by się czuł nieswojo. Ale pragnę się z tobą ożenić. I chcę, żebyś poznała Gino, mojego ojca. - Wręczył jej klucz. - Daj to jutro Lyonowi Burke. Powiedz mu, żeby zadzwonił do mnie do biura. Natychmiast załatwię przepisanie umowy na niego. Jeśli ci się wydaje, że to mieszkanie jest umeblowane zbyt ostentacyjnie, możesz wyrzucić wszystkie meble. Urządź je według własnego gustu. Gino

wydał na nie fortunę, ale wydaje mi się, że ten styl zupełnie do ciebie nie pasuje. A może wolałabyś, żebyśmy kupili dom? Zrobię, co zechcesz.

- Allen... ja...

- Wystarczająco długo już rozmawiamy, jak na jeden wieczór. Kocham cię i ożenię się z tobą. Na razie myśl tylko o tym.

Kiedy wracali do domu, zatoneła w myślach. Poznała wreszcie prawdę o sobie. Była oziębła. Dziewczęta w szkole często wymawiały szeptem to okropne słowo. Niektóre kobiety już się takie rodzą - nigdy nie osiągają orgazmu i nie czują prawdziwej namiętności. Ona do takich należy. Boże, nawet nie lubi się całować! To chyba szczęście, że znalazła kogoś takiego jak Allen - miłego chłopaka, który być może będzie w stanie jej pomóc. Powinna wyjść za niego za męża. Matka miała rację. To wspaniałe uczucie nie zdarzało się „damie”, która nie znośiła się całować. Przynajmniej zdołała uciec od Williego Hendersona i Lawrenceville. Niektórym ludziom nie udaje się spełnić nawet połowy marzeń.

Kiedy dojechali do jej domu, kazał taksówkarzowi poczekać.

- Może ci się przyśnię, Anno. - Nachylił się i pocałował ją lekko w policzek. - Dobranoc.

Patrzyła, jak taksówka znika w perspektywie ulicy, a potem wbiegła do domu i głośno zapukała do przyjaciółki. W drzwiach stanęła Neely, z głową pochyloną nad Przemineño z wiatrem. Nie odkładając książki dała Annie znak, by weszła do środka. Ani na chwilę nie przestała czytać.

- Neely, odłóż tę książkę choć na minutę. Mam ważną sprawę.

- Za nic w świecie nie zostawię teraz Rhetta Butlera!

- Neely, czy słyszałaś kiedyś o Allenie Cooperze?

- Hej, co to ma być? Jakiś kawał?

- Mówię poważnie. Kto to jest Allen Cooper? Czy to nazwisko coś ci mówi?

Neely ziewnęła i zamknęła książkę, starannie zaginając róg na odpowiedniej stronie, żeby nie zgubić wątku.

- No, dobrze. Skoro nalegasz. Allen Cooper to bardzo miły chłopak, z którym spotykasz się trzy albo cztery razy w tygodniu. Z tego, co widziałam przez okno, wiem, że nie przypomina Cary Granta, ale można na nim polegać. Czy teraz pozwolisz mi wrócić do Rhetta?

On jest wiele bardziej interesujący, ale ta Scarlett chyba wcale go nie docenia.

- Więc nigdy przedtem nie słyszałaś o Allenie Cooperze?

- Nie. A powinnam? Grał może w filmie czy coś w tym guście? Znam Gary Coopera i Jackie Coopera, ale Allen Cooper... - Wzruszyła ramionami.

- Dobrze, wracaj do Rhetta Butlera. - Anna ruszyła do drzwi.

- Dziwnie się dzisiaj zachowujesz - wymamrotała Neely. - Może coś piłaś?

- Nie. Do zobaczenia jutro.

Neely niedbale skinęła głową. Znów wciągnęły ją losy Rhetta i Scarlett.

Anna leżała w ciemnościach i rozmyślała nad ostatnimi wydarzeniami. Allen nie jest ubogim agentem ubezpieczeniowym, tylko bogaczem. Ale dlaczego miałby być powszechnie znany? Czy jest coś, o czym powinna wiedzieć? Kto mógłby jej coś o nim powiedzieć? George Bellows! Naturalnie. Jeśli Allen, lub ktokolwiek inny, kiedyś się czymś wsławił, George na pewno to wie.

George Bellows podniósł głowę i spojrzał na nią zaskoczony, kiedy weszła do jego gabinetu.

- Przecież miałaś od rana szukać mieszkania!

- Czy mogę z tobą chwilę porozmawiać? Chodzi o sprawę osobistą.

Podszedł do drzwi i zamknął je.

- Jestem stale do usług. Siadaj. Możemy porozmawiać tak osobiście, jak sobie tylko życzysz. Napijesz się kawy? - Sięgnął po termos i napełnił filiżankę. - Proszę bardzo. Zaczynajmy. Wpadłaś w jakieś kłopoty?

Wpatrywała się w czarny płyn.

- George, czy znasz Allena Coopera?

- A kto go nie zna? - Przyjrzał się jej uważnie. - Hej... Nie powiesz chyba, że coś cię z nim łączy!

- Znam go. Rozumiem, że jest dość bogaty.

- Bogaty! - Parsknął złośliwie. - Skarbie, to za mało powiedziane. Rzecz jasna, to jego ojciec, Gino, założył imperium. Połowa nieruchomości w tym mieście należy do nich. Plotka głosi, że prowadzą interesy z greckimi armatorami, najbogatszymi ludźmi na świecie. Kilka lat temu „Time” zamieścił artykuł o Gino. Może uda mi



się dla ciebie znaleźć ten egzemplarz w bibliotece. Załączyli też zdjęcie Allena, jedynego dziedzica imperium. Wyobrazasz sobie, co to była dla nich za reklama. Od tej pory nie mogą opędzić się od kobiet. Jeśli znasz Allena, dam ci jedną radę. Nie traktuj go poważnie. To drań.

- Wydał mi się bardzo miły - upierała się.

- To gładki bawidamek - roześmiał się George. - Ale w rzeczywistości jest tak samo twardy jak ojciec. Samodzielnie zrobił kilka bardzo sprytnych interesów. Udało mu się wymigać od wojska, bo kupił fabrykę produkującą spadochrony. Tak słyszałem.

Wstała z fotela.

- Dziękuję ci, George.

- Zawsze do dyspozycji. Mogę ci złożyć raport na temat każdego podrywacza w mieście. Z twoją urodą prędzej czy później poznasz ich wszystkich.

Twarz pana Bellamy'ego wykrzywiła się w grymasie rozczarowania, kiedy Anna pojawiła się w jego gabinecie.

- Nie mów mi tylko, że już zrezygnowałaś z poszukiwań. Słuchaj, wiem, że to trudne. Sam dzisiaj dzwoniłem do kilku agencji mieszkaniowych. Ale musisz nadal próbować.

- Znalazłam już mieszkanie dla pana Burke.

- Nie! Dobry Boże, ty jesteś nie z tej ziemi! - Podniósł słuchawkę i wezwał Lyona.

- Mam klucz - oznajmiła. - Pan Burke może obejrzeć mieszkanie dziś po południu.

- A dlaczego nie teraz? - zapytał Lyon, zamykając za sobą drzwi.

- Nie mogę ryzykować, że właściciel zmieni zdanie. Anno, jesteś cudowna! Gdzie to jest? - Zapisała adres na kartce. - Bardzo dobra okolica. Czy będzie mnie na to stać?

- Kosztuje sto pięćdziesiąt dolarów na miesiąc. Kiwnął głową.

- Prawdziwa z ciebie czarodziejka. Ale skąd ten klucz? Czy lokator wyjechał?

- Nie. Pewnie jest teraz w swoim biurze.

- Jak się nazywa?

- Allen Cooper - odpowiedziała cicho.

Lyon tylko zapisał nazwisko, ale Henry spojrzał na nią ciekawie.

- Jak trafiłaś na to mieszkanie, Anno? Przez ogłoszenie?

- Nie. Allen Cooper jest moim przyjacielem. Henry rozluźnił się.

- Jeśli jest twoim przyjacielem, to nie może chodzić o tego Allena Coopera, którego miałem na myśli.

- Poznałam go w naszej agencji, panie Bellamy.

- Tutaj? - zdziwił się Henry. - Rzeczywiście! - Zerwał się z miejsca tak gwałtownie, że fotel uderzył o ścianę. - Anno! Ty i Allen Cooper! Nie... - Kręcił głową z niedowierzaniem.

- Kiedy go poznałam, myślałam że jest agentem ubezpieczeniowym.

- Ten sukinsyn przyszedł tu, żeby się pozbyć jakiejś tancerki z rewii, jednej z naszych mniej ważnych klientek. Chciał, żebym jej zapłacił albo dobrze ją nastraszył. Bardzo szybko go wyrzuciłem. - Kipiał złością. - Zdaje się jednak, że nie wystarczająco szybko.

- Henry! - wtrącił ostro Lyon. - Anna na pewno potrafi sama wybierać sobie przyjaciół. - Potem, z przelotnym uśmiechem doświadczonego człowieka, dodał: - Jesteś niesprawiedliwy. Zlecasz Annie niemożliwe do wykonania zadanie, a kiedy jej udaje się je wypełnić, zamiast ją chwalić, oskarżasz o Bóg wie co i wtrącasz się do jej życia osobistego.

- Allen Cooper... - powtarzał Henry z niedowierzaniem. - Lyon, gdybyś go znał...

Lyon uśmiechnął się.

- Wcale nie chcę go znać. Chodzi mi tylko o mieszkanie.

- Słyszałeś o nim? - zapytał Henry.

- Chyba tak - odparł Lyon po namyśle. - Zdaje się, że jest strasznie bogaty. Ale to nie jest argument przeciwko niemu.

- Anna nie poradzi sobie z takim facetem. Nigdy nie miała z takimi do czynienia. On ją skrzywdzi - upierał się Henry.

Stała w milczeniu, trochę zła, że rozmawiają o niej, jakby jej tu nie było.

- Dobrze! - Henry przysunął sobie fotel. - To nie moja sprawa. Zapamiętaj sobie tylko, że cię przed nim ostrzegałem. Od tej chwili nie będę się do niczego wtrącał.

- Jestem pewien, że Anna zna reguły gry - stwierdził Lyon. Odwrócił się do niej z uśmiechem. - Bardzo bym chciał obejrzeć to mieszkanie. Henry, czy Anna może iść ze mną?

Henry przyzwalająco machnął ręką i wrócił do pracy. Zamykając drzwi, Anna usłyszała, że ciężko westchnął.

Kiedy jechali przez miasto, w skupieniu wpatrywała się w okno taksówki. Był to jeden z ostatnich pięknych październikowych dni, kiedy blade słońce próbuje udawać, że to wiosna.

- Nie złość się - powiedział cicho Lyon. - Henry się zdenerwował tylko dlatego, że bardzo cię lubi, jak ojciec. Nie chce, żeby cię spotkała krzywda.

- Nie jestem zła. Po prostu nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

- Ponieważ wszyscy udzielają ci rad nie proszeni, ja też sobie na to pozwolę. Nigdy nie osądzaj ludzi według opinii innych. Każdy człowiek pokazuje inną stronę swojej osobowości różnym ludziom.

Uśmiechnęła się.

- Chce pan powiedzieć, że nawet Hitler potrafił być miły dla Ewy Braun.

- Coś w tym rodzaju. A król Henryk VIII nie zabił wszystkich swoich żon. O ile dobrze pamiętam, ostatnia wzięła go pod pantofel.

- Allen rzeczywiście jest bardzo miły - przekonywała go.

- Nie wątpię. To chyba ten budynek. Nieźle wygląda. Taksówka się zatrzymała. Przed drzwiami trzymał straż inny portier.

- Przyszliśmy obejrzeć mieszkanie pana Coopera - oznajmiła Anna.

Skinął głową.

- Pan Cooper mnie uprzedził. Dziesiąte piętro. Wręczyła Lyonowi klucz.

- Zaczekam w holu na dole.

- Co takiego? Nie oprowadzisz mnie? Daj spokój. Miałem nadzieję, że opiszesz mi wszystkie zalety mieszkania i pokażesz, gdzie się trzyma pościel, jak włączyć kuchenkę, gdzie są korki...

Poczuła, że się rumieni.

- Byłam tam tylko raz, żeby sprawdzić, czy będzie panu odpowiadało.

- W takim razie i tak wiesz o nim więcej niż ja - odparł lekko.

Mieszkanie bardzo mu się podobało. Twierdził nawet, że nie przeszkadza mu widok na grubasa za oknem.

- Przynajmniej czuję, że nie jestem sam. Po południu zadzwonię do Allena Coopera i mu podziękuję. Ale najpierw chciałbym okazać wdzięczność tobie. Proponuję, żebyśmy zjedli wytworny lunch na koszt Henry'ego.

Poszli do Barberry Room. Annie podobał się niebieski półmrok, elektryczne gwiazdki migoczące na suficie i wygodne fotele. Lyon zamówił dla niej sherry. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zbyt szybko wydarzyło się zbyt wiele. Czuła się zagrożona i dziwnie wytrącona z równowagi.

Lyon nie zmuszał jej do rozmowy. Opowiadał lekkim tonem o radości z nowego mieszkania, zaletach cywilnej kuchni i na nowo docenionym życiu bez munduru. Zdenerwowanie stopniowo Annę opuszczało. Z przyjemnością słuchała jego angielskiego akcentu, chłonęła spokojną atmosferę restauracji. Lubiła patrzeć na twarz Lyona... lubiła jego mimikę i przelotne uśmiechy.

- Musisz wybaczyć Henry'emu, że wtrącił się w twoje życie - powiedział zapalając jej papierosa. - Robi to dlatego, że chce dla ciebie jak najlepiej. Wyniósł cię na piedestał.

- To pana umieścił na piedestale, i to bardzo wysokim. Jest pan przyszłością firmy Bellamy i Bellows.

- Tak myślał cztery lata temu. Przez cztery lata człowiek może się zmienić.

- Pan Bellamy nie zmienił zdania. Lyon wziął ją za rękę.

- Anno, skończmy z tym oficjalnym tonem. Nazywam się Lyon, a „pan” Bellamy to Henry.

Uśmiechnęła się.

- Dobrze... Lyonie. Chyba wiesz, jak niecierpliwie Henry oczekiwał twojego powrotu? - Nagle umilkła. Przecież to nie jest jej sprawa. Przedtem nigdy nie rozmawiała o osobistych sprawach innych ludzi. Ale odczuła nagłą potrzebę, żeby bronić Henry'ego. Zrozumiała, dlaczego Henry tak się zezłościł z powodu Allena. Po prostu jest jej przyjacielem. W nowym świetle ujrzała argumenty Neely. Nie można się z nikim przyjaźnić, jeśli zachowuje się uprzejmy chłód i dystans. Porozmawia z Henrym o sprawie Neely. Poczwała, że stała się trochę bardziej wolna, jakby odpadł jeden z łańcuchów łączących ją z Lawrenceville.

- Wiem, jakie są plany i nadzieje Henry'ego - odparł Lyon. - I być może go nie zawiodę. Ale na Boga! Taka praca, ni to prawnika, ni agenta, jest bardzo ciężka.

- Przecież wszyscy mówią, że działasz jak rozpedzony taran. Chyba lubisz to zajęcie, skoro poświęcasz mu tyle energii.

- Lubię ostrą walkę... wyzwania... nawet pokrętne interesy. Czują zamęt w głowie. Nic z tego, co mówił, nie zgadzało się z opiniami, które o nim słyszała.

Wziął jej milczenie za wyraz troski o Henry'ego.

- Nie martw się. Chyba po prostu muszę się otrząsnąć ze zmęczenia wojną.

- Ale cieszysz się, że wróciłeś do Henry'ego?

- Przecież zrobiłem to z własnej woli. Spojrzała na niego zdziwiona.

- Powiedziałeś to tak, jakbyś w rzeczywistości wolał robić coś innego.

- Czy kogokolwiek stać na luksus robienia tego, czego pragnie?

- Ja to robię.

Uśmiechnął się do niej uwodzicielsko.

- Bardzo mi to pochlebia.

- Miałam na myśli pracę dla Henry'ego. I to, że mieszkam w Nowym Jorku. A co ty chciałbyś robić?

Wyciągnął długie nogi pod stolikiem.

- Przede wszystkim chciałbym być bardzo bogaty. Siedzieć w jakimś pięknym miejscu na Jamajce w otoczeniu kilku pięknych dziewcząt, które wyglądałyby dokładnie tak jak ty. One by się mną opiekowały, a ja pisałbym bestseller, książkę o wojnie.

- Chciałbyś zostać pisarzem?

- Oczywiście. - Wzruszył ramionami. - Przecież każdy, kto wrócił z wojny, uważa, że nosi w sobie jedyną prawdziwą powieść o niej.

- W takim razie dlaczego nie piszesz?

- Po pierwsze, praca u Henry'ego to zajęcie na pełny etat. A i to urocze mieszkanie nie jest za darmo. Obawiam się, że wielka strata dla literatury będzie czystym zyskiem dla agencji.

Zdała sobie sprawę, że Lyona trudno było określić jednym zdaniem i włożyć do odpowiedniej szufladki. Nie był pozbawiony uczuć, ale skrywał je pod maską uśmiechu i sprzecznych wypowiedzi.

- Może się zdziwisz, ale nie uważałam cię za człowieka, który łatwo rezygnuje - stwierdziła odważnie.

Zmrużył oczy.

- Słucham?

- Poddajesz się, chociaż jeszcze nie próbowałeś walczyć. Przecież jeśli chcesz pisać i naprawdę czujesz, że masz coś do powiedzenia, to zrób to. Każdy powinien przynajmniej spróbować osiągnąć to, czego pragnie. Kiedy ludzie są starsi, sytuacje i zobowiązania zmuszają ich do kompromisów. Ale rezygnować teraz... to jakby poddać się przed startem.

Pochylił się nad stolikiem i ujął ją pod brodę. Ich oczy się spotkały. Spoglądał na nią w skupieniu.

- Henry w ogóle cię nie zna. Nie jesteś tą dziewczyną, o której mi opowiadał. Nie mylił się tylko co do twojej niezwykłej urody. Ty jesteś odważna jak prawdziwy wojownik.

Odsunęła się od niego.

- Dzisiaj nie jestem w pełni sobą. - Czowała się wyczerpana. - Nie mogę uporządkować myśli. Kilka rzeczy zdarzyło się zbyt szybko. A ponieważ od dwudziestu lat nic emocjonującego mi się nie przytrafiło, teraz zachowuję się trochę dziwnie. Mam na myśli tę historię z Allenem Cooperem. Do wczoraj nawet nie podejrzewałam, kim jest naprawdę.

- Nie przejmuj się zdaniem Henry'ego. On po prostu nie chce, żebyś odeszła z pracy. Gdyby mógł, siłą przepędzałby twoich wielbicieli.

- Allen to tylko przyjaciel...

- To wspaniała wiadomość. - Tym razem spojrzął na nią bez uśmiechu.

Zrobiło jej się gorąco.

- Powiedziałam ci, że ludzie powinni starać się robić to, o czym marzą - odezwała się, żeby ukryć zmieszanie. - Mówiłam poważnie. Ja tak postąpiłam, przyjeżdżając do Nowego Jorku. Nie można porzucać marzeń, zanim spróbuje się je zrealizować.

- Ja o niczym nie marzę. Nigdy nie marzyłem. Pomysł, żeby pisać, wpadł mi do głowy po wojnie. Przedtem zależało mi tylko na sukcesie, na zarabianiu góry pieniędzy. Teraz nie jestem nawet pewien, czy nadal tego chcę. Prawdę mówiąc, chyba niczego szczególnie nie pragnę. - Niespodziewanie zmienił ton i uśmiechnął się. - Nie, jest jedna taka rzecz. Chciałbym być świadomy każdej przeżytej minuty i sekundy. I żeby wszystkie miały sens.

- Doskonale cię rozumiem - odparła. - To naturalne pragnienie u kogoś, kto wrócił z wojny.

- Tak? Zastanawiałem się już, czy żadna kobieta w tym kraju nie pamięta, że jeszcze niedawno szalała wojna.

- Jestem pewna, że wszyscy zdają sobie z tego sprawę.

- Nieprawda. Kiedy jesteś tam, w samym środku, wydaje ci się, że nie istnieje nic innego. Nie wierzysz, że gdzieś daleko ludzie śpią w wygodnych łóżkach albo jedzą w restauracjach takich jak ta. W Europie wszystko wygląda inaczej. Wszędzie spotyka się ruiny. One nie dają zapomnieć o wojnie. Jednak kiedy tu wróciłem i zostawiłem za sobą śmierć i rozlew krwi, to wszystko stało się takie odległe. Zdaje mi się, że nie zdarzyło się naprawdę. Nowy Jork się nie zmienił, nadal chodzi zegar na Paramount Building. Chodniki są tak samo popękane i te same gołębie, albo jacyś ich bliscy krewni, brudzą na Plaza. Przed Copa ludzie nadal ustawiają się w kolejce, żeby zobaczyć te same gwiazdy. Zeszłego wieczoru spotkałem się z piękną dziewczyną, która przez długie godziny opowiadała mi o trudach, jakie znosiła podczas wojny. Nie mogła kupić nylonowych pończoch, szminki w plastikowym opakowaniu ani odpowiednich spinek... koszmar. Sądzę, że najbardziej dokuczył jej brak nylonów. Jest modelką, więc wygląd nóg bardzo się dla niej liczy. Powiedziała, że bardzo się cieszy, że wynaleźliśmy wreszcie bombę atomową. Została jej ostatnia para pończoch, kiedy zrzuciliśmy ją na Hiroszimę.

- Pewnie kiedy się walczy, nie myśli się o niczym innym, tylko o tym, jak wyjść z tego cało - powiedziała cicho.

- Nie można wybiegać myślą tak daleko - odparł. - Planuje się z dnia na dzień. Jeśli pozwolisz sobie na zastanawianie się nad przyszłością, tą osobistą, zaczynasz się bać. Przypominasz sobie wszystkie te bezsensowne rzeczy, które robiłeś... zmarnowane minuty nie do odzyskania. Zdajesz sobie sprawę, że czas jest najważniejszy, bo oznacza życie. To jedyne, czego nie da się cofnąć. Można stracić dziewczynę, a potem ją odzyskać albo znaleźć inną. Ale sekunda, właśnie ta sekunda, bezpowrotnie odchodzi w przeszłość. - Kiedy wspominał, jego głos stawał się miękki. Zauważyła, że Lyon ma w kącikach powiek drobne zmarszczki. - Był ze mną pewien kapral. Razem przeczekiwaliśmy noc w ruinach jakiejś stodoły. Nie chciało nam się spać. Kapral cały czas przesiewał ziemię między palcami. Wciąż powtarzał, że to dobra ziemia. Miał farmę, chyba w Pensylwanii. Opowiadał mi o kłopotach z drzewkami brzoskwińowymi i o planach powiększenia gospodarstwa po

powrocie. Chciał, żeby to była dobra farma, kiedy będzie ją zostawiał dzieciom. Martwiła go ziemia. Nie była wystarczająco urodzajna. Tylko o tym mówił. Wkrótce sam zacząłem się martwić o jego cholerną ziemię. Nawet starałem się coś mu poradzić. W końcu zasnąłem i zdaje się, że śniły mi się nawozy i hektary drzewek brzoskwiniowych. Następnego dnia był ciężki. Natrafiliśmy na pola minowe... snajperów. Pogoda bardzo się pogorszyła. Następnego wieczora sporządzałem raport o stratach w ludziach. Sprawdzaliśmy identyfikatory. Jeden z nich należał do kaprała. Siedziałem i patrzyłem na tę blaszkę... Zeszłej nocy to był człowiek, który stracił ostatnie godziny na tym świecie rozmyślając o nawozach i farmie. A teraz jego krew użyźnia obcą ziemię. - Spojrzał na nią i niespodziewanie się uśmiechnął. - A teraz ja marnuję twój czas opowiadając ci ponure historie.

- Mów dalej, proszę. Spojrzał na nią dziwnie.

- Wiele ci dzisiaj powiedziałem... chociaż powinienem to na zawsze zamknąć na dnie pamięci. - Dał znak, żeby przyniesiono im rachunek. - Zabrałem ci wystarczająco dużo czasu. Zwolnij się na resztę popołudnia. Kup sobie nową sukienkę, odwiedź fryzjera albo zajmij się czymś innym. Jest tyle cudownych rzeczy, które może robić młoda dziewczyna.

- Ta dziewczyna musi wrócić do biura.

- Nic podobnego. To jest polecenie służbowe. Henry się spodziewał, że stracisz na poszukiwania kilka dni. Zasłużyłaś sobie na wolne popołudnie. I premię w wysokości dwóch tygodniówek. Dopilnuję tego.

- Nie oczekuję...

- Bzdura. I tak się spodziewałem, że będę musiał zapłacić agentowi prowizję równą miesięcznemu czynszowi. Powiedzmy, że to moje pierwsze służbowe polecenie w firmie Bellamy i Bellows. Dostaniesz premię i wolne popołudnie.

Nie wróciła już do pracy, ale nie zajęła się też tym, co sugerował Lyon. Spacerowała po Piątej Alei. Obejrzała nowe jesienne kreacje. Posiedziała chwilę na Plaza. I cały czas myślała o Lyonie Burke. Usuwał w cień wszystkich innych mężczyzn. Urzekł ją nie ten uśmiechnięty, nieprzenikniony Lyon, ale ten, który opowiadał o wojnie. Wydawał się wtedy taki przystępny, zdolny do głębokich uczuć. Przejmował się losem kaprała. Kim naprawdę jest Lyon Burke?



Opuściła plac i poszła w dół Piątej Alei. Robiło się późno. Musiała iść do domu, żeby się przebrać. Allen wkrótce miał po nią przyjechać. Allen! Nie mogła wyjść za niego za mąż. Zaprzeczyłaby wszystkiemu, co powiedziała Lyonowi. Małżeństwo znaczyłoby, że się poddała! Jest zbyt wcześnie, żeby rezygnować nawet z części marzeń.

Powie mu o tym przy kolacji. Ale musi zrobić to delikatnie, taktownie. Nie może po prostu oznajmić: „Cześć Allen, nie wyjdę za ciebie za mąż”. Ale podczas kolacji tak poprowadzi rozmowę, żeby go o tym zawiadomić, łagodnie, ale stanowczo. To przecież proste.

Myliła się. Tym razem nie poszli do żadnej cichej francuskiej restauracji. Allen nie musiał już ukrywać swojej tożsamości. Wybrali się do „21”. Kelnerzy kłaniali mu się w pas i wszyscy zwracali się do niego po imieniu. On znał chyba każdego gościa na sali.

- A tak przy okazji, Anno, co sądzisz o życiu na wsi? - zapytał nagle. - Mamy dom w Greenwich...

Dobra okazja.

- Nie. Po dzieciństwie spędzonym w Lawrenceville mam dosyć prowincji. Allenie, jest coś, co muszę ci powiedzieć... Musisz mnie zrozumieć...

Spojrzał na zegarek i szybkim ruchem przywołał kelnera.

- Allen!

- Mów dalej. Ja słucham - zachęcił podpisując rachunek.

- Chodzi mi o to, co powiedziałaś wczoraj wieczorem. Teraz wspomniałaś o przeprowadzce na wieś. Allenie, bardzo cię lubię, ale...

- Jak dobrze, że mi przypomniałaś. Wysłałem dokumenty Lyonowi Burke. Rozmawiałem z nim dzisiaj po południu. To chyba bardzo miły człowiek. Anglik, prawda?

- Wychował się w Anglii. Wysłuchaj mnie, Allenie. Wstał zza stołu.

- Powiesz mi o tym w taksówce.

- Proszę, usiądź. Wolałabym, żebyśmy porozmawiali tutaj. Z uśmiechem podał jej płaszcz.

- W taksówce jest ciemno, bardziej romantycznie. A poza tym jesteśmy spóźnieni.

Wstała bezradna.

- Dokąd jedziemy?

- Do El Morocco. - Wychodząc rozdawał napiwki kelnerom niemal niezauważalnym ruchem dłoni. W taksówce rozsiadł się wygodnie. - Mój ojciec czeka na nas w El Morocco. Powiedziałem mu, że tam wpadniemy. Co chciałaś mi powiedzieć?

- Allenie, bardzo mi pochlebia, że tyle do mnie czujesz. Jestem ci też wdzięczna za mieszkanie dla Lyona Burke. Oszczędziłaś mi wiele kłopotów i chodzenia po mieście. Jesteś jednym z najsympatyczniejszych ludzi, jakich w życiu spotkałam, ale... - Zobaczyła neon El Morocco, więc szybko wyrzuciła: - Chodzi mi o małżeństwo. O to, co wczoraj powiedziałaś. Przykro mi, bo...

- Dobry wieczór, panie Cooper! - Portier z El Morocco entuzjastycznie przywitał Allena i szeroko otworzył drzwi taksówki. - Pana ojciec już jest w środku.

- Dzięki, Pete. - Jeszcze jeden banknot zmienił właściciela. Czy wyraża się niejasno, czy Allen specjalnie udaje, że nie wie, do czego zmierza?

Gino Cooper siedział z grupą mężczyzn przy wielkim okrągłym stole w pobliżu baru. Pomachał Allenowi, dając znak, że za chwilę się do nich przyłączy. Kelner zaprowadził ich do stolika pod ścianą. Dochodziła dziesiąta trzydzieści i jak na El Morocco było jeszcze wczesnie. Chociaż Anna po raz pierwszy odwiedzała ten słynny klub, widziała wiele zdjęć w gazetach i czasopismach, przedstawiających różne sławne osobistości, sfotografowane na tle ścian pomalowanych w pasy przypominające skórę zebry. Rozejrzała się. Rzeczywiście, ściany pomalowane były w czarno - białe pasy, ale poza tym w wielkiej sali nie było nic szczególnego. Dość dobra orkiestra grała przeboje z musicali.

Gino szybko zjawił się przy ich stoliku. Nie czekając, aż zostanie oficjalnie przedstawiony, chwycił rękę Anny i energicznie nią potrząsnął.

- A więc to ona, co? - Gwizdnął cicho. - Synu, miałeś rację. Na taką dziewczynę warto było czekać. Ma prawdziwą klasę. Widać to, jeszcze zanim otworzy usta. - Strzelił palcami. Szef sali wyrósł obok nich jak spod ziemi. - Szampana - polecił Gino, nie odrywając oczu od Anny.

- Anna nie pije - odezwał się Allen.

- Dzisiaj się napije - oznajmił Gino serdecznie. - Jest okazja. Anna uśmiechnęła się. Pogodny nastrój Gino łatwo się udzielał.

Ojciec Allena był śniady, dobrze zbudowany i uderzająco przystojny. Czarne włosy przyprószyła siwizna, ale ogromna witalność i zapał sprawiały, że miał w sobie coś chłopięcego.

Kiedy podano szampana, wznosił toast na cześć Anny.

- Zdrowie nowej kobiety w naszej rodzinie. - Jednym haustem wypił połowę kieliszka. Otarł usta dłonią i zapytał: - Jesteś katoliczką?

- Nie, ja... - zaczęła Anna.

- Kiedy będziesz wychodziła za Allena, zmienisz wiarę. Umówię cię z księdzem Kellym w Paulist Center. Dzięki niemu szybciej przebrniesz przez nauki.

- Panie Cooper... - Anna z fizycznym wysiłkiem wydobywała z siebie głos.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze o religii, tato - szybko przerwał jej Allen. - Zresztą nie ma powodu, żeby Anna zmieniała wiarę.

Gino się zastanowił.

- No, rzeczywiście... jeśli tak jej na tym zależy. Jeśli tylko weźmiecie ślub kościelny, a ona obieca, że wychowa dzieci na katolików...

- Panie Cooper, ja nie wyjdę za Allena! - Proszę bardzo! Powiedziała to głośno i wyraźnie.

Zmrużył oczy.

- Dlaczego? Jesteś przeciwniczką katolicyzmu?

- Nie jestem przeciwniczką żadnej religii.

- W takim razie, o co chodzi?

- Nie kocham Allena.

Z początku Gino patrzył na nią w osłupieniu. Potem zdziwiony zwrócił się do Allena.

- Co ona, do diabła, mówi?

- Powiedziała, że mnie nie kocha - odparł syn.

- Czy to jakiś żart? Zdawało mi się, że postanowiłeś się z nią ożenić.

- Tak jest. I zrobię to. Ale najpierw muszę się postarać, żeby się we mnie zakochała.

- Czy wy oboje zwariowaliście? - zapytał Gino. Allen uśmiechnął się miło.

- Już ci mówiłem, tato. Do wczorajszego wieczoru Anna myślała, że jestem ubogim, niezaradnym agentem ubezpieczeniowym. Musi się przyzwyczaić do nowej sytuacji.

- Do czego tu się przyzwyczajają? Od kiedy to pieniądze przeszkadzają w miłości?

- Nigdy nie rozmawialiśmy z Anną o miłości, tato. Nie sądzę, żeby dotychczas traktowała mnie poważnie. Zbyt wiele czasu traciła na zamartwianie się, że wyrzucą mnie z pracy.

Gino spojrzał ciekawie na Annę.

- Naprawdę spotykałaś się z nim przez tyle tygodni i jadałaś w tych wszystkich nędznych knajpach, o których mi opowiadał?

Anna uśmiechnęła się blado. Zaczynała się czuć nieswojo. Gino mówił donośnym głosem i Anna była pewna, że połowa sali słucha ich rozmowy.

Gino klepnął się po udzie i wybuchnął głośnym śmiechem.

- A to dobre! - Nalał sobie jeszcze szampana. Natychmiast doskoczył do niego kelner, żeby pomóc. Gino odprawił go stanowczym gestem. - Kiedyś otwierałem takie butelki zębami. Teraz sześciu fagasów rzuca mi się na pomoc, kiedy chcę sobie napełnić kieliszek. - Odwrócił się do Anny. - Podobasz mi się! Witaj w rodzinie.

- Ale ja nie wyjdę za Allena. Lekceważąco machnął ręką.

- Jeśli przeżyłaś sześć tygodni jadając w kiepskich restauracjach i polubiłaś go jako nieudacznika, to teraz go pokochasz. Wypij szampana. Zaczynaj się przyzwyczajając do luksusów, będzie cię na nie stać. Cześć, Ronnie, - Szczupły młody człowiek zmaterializował się cicho przy ich stole.

- To Ronnie Wolf - wyjaśnił jej Gino. - Siadaj, Ronnie. - Strzelił palcami i zawołał w przestrzeń: - Dla pana Wolfa to co zwykle! - Znowu kelner pojawił się nie wiadomo skąd i postawił dzbanek kawy przed nieznanym. - Nie powiesz mi chyba, że nigdy nie słyszałaś o Ronniem. Wszyscy czytują jego kolumnę towarzyską - oznajmił dumnie.

- Anna od niedawna mieszka w Nowym Jorku - szybko wyjaśnił Allen. - Zna tylko „Timesa”.

- Dobra gazeta - stwierdził krótko Ronnie. Wyjął z kieszeni zniszczony notatnik w czarnej skórzanej oprawie. Ciemne oczy dziennikarza spoglądały raz na Allena, raz na Gino. - Dobrze, zapiszmy imię tej pani. I czyja to zdobycz? Ojca czy syna?

- Tym razem jesteśmy obaj z nią związani - odparł Gino. - Ta dziewczyna wkrótce dołączy do naszej rodziny. Anna Welles. Poprawnie zapisz to nazwisko. Ona zostanie żoną Allena.

Ronnie gwizdnął. Spojrzał na Annę z dziwnym respektem.

- To wielka sensacja. Początkująca modelka łowi najgrubszą rybę w stawie. A może aktorka? Nie, proszę nic nie mówić. Pewnie przyjechała pani z... niech zgadnę... z Teksasu?

- Pochodzę z Massachusetts i pracuję w biurze - odparła chłodno Anna.

Oczy Ronniego zamigotały.

- Pewnie zaraz mi pani powie, że umie pani pisać na maszynie.

- Nie sędzę, żeby to była interesująca wiadomość dla czytelników kolumny towarzyskiej. Powinam też chyba pana uprzedzić, że Allen i ja...

- Daj spokój, Anno - wtrącił szybko Gino. - Ronnie to przyjaciel.

- Pozwól jej mówić. - Ronnie spoglądał na nią niemal z szacunkiem.

- Napij się jeszcze szampana. - Gino już napełniał jej kieliszek. Wolno sączyła musujący napój, starając się opanować gniew.

Chciała wyraźnie oznajmić, że nie poślubi Allena, ale wiedziała, że Gino specjalnie jej przerwał i pewnie zrobi to jeszcze raz. Czułby się zawstydzony, gdyby ktoś w publicznym miejscu zaprzeczył jego słowom. Kiedy tylko Ronnie Wolf odejdzie, poprosi Gino, żeby nie składał więcej oświadczeń. Wyraźnie powiedziała im obu - ojcu i synowi - że nie ma zamiaru wychodzić za Allena. Czy pieniądze odbierają ludziom wzrok i słuch?

- Dla kogo pani pracuje? - zapytał Ronnie.

- Dla pana Bellamy'ego - wyjaśnił Allen. - To tylko tymczasowe zajęcie.

- Allen! - zawołała gniewnie, ale Ronnie jej przerwał.

- Panno Welles, zadawanie pytań to mój zawód. - Uśmiechał się do niej szczerze i przyjacielsko. - Polubiłem panią. To miła odmiana spotkać wreszcie dziewczynę, która przyjechała do Nowego Jorku nie po to, żeby zostać modelką albo aktorką. - Przyjrzał się jej uważnie. - Wspaniała twarz. Gdyby tylko pani zechciała, mogłaby pani zbić majątek. A jeśli trafiłaby pani do Powersa lub Longwortha, zdobyłaby pani większą fortunę niż Allen. - Puścił oko do Gino.

- Jeśli będzie chciała zostać modelką, kupię dla niej całą agencję  
- zagrział Gino. - Ale ona się ustatkuje i urodzi dzieci.

- Panie Cooper... - Annę paliła twarz.

- Tato, nie sprzedajmy biegu wydarzeń - wtrącił Allen. Ronnie roześmiał się.

- Nadchodzi twoja przyjaciółka, Gino. Czy zna najświeższe nowiny? Wszyscy podnieśli wzrok, kiedy do stolika podeszła wysoka, piękna dziewczyna. Nie wstając z miejsca Gino przesunął się i poklepał sąsiednie krzesło.

- To jest Adele Martin. Siadaj, dziecinko, i przywitaj się z Anną Welles, narzeczoną mojego syna.

Nakreślone ołówkiem brwi Adele uniosły się jeszcze wyżej. Jakby nie dostrzegając Anny, pytająco spojrzała na Allena i Ronniego.

Ronnie skinął głową. Oczy mu się śmiały na widok zmieszania Adele. Jednak dziewczyna szybko doszła do siebie. Przytuliła się do Gino i posłała Annie blady uśmiech.

- Jak ci się to udało, skarbie? Ja od siedmiu miesięcy robię wszystko, żeby zaciągnąć tego szympana do ołtarza. Zdradź mi swój sekret, a urządzimy podwójną ceremonię. - Spojrzała na Gino z uwielbieniem.

- Adele, ty jesteś pracującą kobietą - odezwał się Ronnie i mrugnął do ojca Allena.

Adele spojrzała na niego z wściekłością.

- Słuchaj Ronnie, żeby zostać artystką rewiową, trzeba mieć talent. Nie przeciągaj struny.

Ronnie uśmiechnął się i schował notatnik.

- Uważam, że jesteś najlepszą artystką rewiową w mieście.

- No pewnie - odparła Adele, trochę ułagodzona. - Właśnie odrzuciłam dwie oferty filmowe, żeby zostać tutaj, przy moim skarbie.  
- Pocałowała Gino w policzek.

Ronnie wstał i skinął głową na pożegnanie. Anna zobaczyła, że dosiadł się do innego stolika i znów pojawił się kelner i postawił przed nim nowy dzbanek z kawą. Ronnie, wolno popijając z filiżanki, znowu wyjął czarny notes. Jego bystre oczy wciąż spoglądały na drzwi, żeby sprawdzić, czy nie zjawili się jacyś ciekawi goście.

Allen podążył za jej wzrokiem.

- Ronnie to miły chłopak. Nie słucha plotek. Opisuje tylko to, co sam zobaczy.

- Wtyka nos w nie swoje sprawy - syknęła Adele.

- Jesteś na niego wściekła, bo napisał, że jesteśmy po słowie, tylko nie wiadomo jakim - odezwał się Gino.

- Pewnie. To było złośliwe. Zrobił ze mnie idiotkę. - Nagle uśmiechnęła się. - No i co ty na to, skarbie? Przecież nie możesz pozwolić, żeby syn wyprzedził cię w biegu do ołtarza.

- Ja już byłem przed ołtarzem - oświadczył Gino. - Kiedy umarła Rosanna, skończyło się moje życie małżeńskie. Mężczyzna powinien mieć tylko jedną żonę. Romanse? Mnóstwo. Ale żona jest tylko jedna.

- A kto tak postanowił? - zapytała Adele.

Gino nalał dziewczynie szampana. Anna wyczuła, że już nieraz prowadzili takie rozmowy.

- Adele, wybij to sobie z głowy. - Jego głos brzmiał chłodno. - Nawet jeśli się kiedyś ożenię, to nie z tobą. Jesteś rozwódką. - Widząc, że dziewczyna się obraziła, dodał: - Coś mi się przypomniało. Powiedziałem Irvingowi, żeby przyniósł ci jutro dwa futra. Będziesz mogła sobie wybrać.

Adele natychmiast się rozpogodziła.

- Oba z nerek?

- A co, myślałaś, że z piźmoszczurów?

- Och, Gino... - Przytuliła się do niego. - Czasami tak mnie złościsz, ale zawsze ci wybaczam. Tak bardzo cię kocham.

Gino spojrzał na płaszcz Anny z jedwabnej surówki, który leżał zmięty na krześle.

- Słuchaj no, Allen, nie masz nic przeciwko temu, że podaruję jedno Annie jako prezent ślubny? - Nie czekając na odpowiedź zwrócił się do Anny: - Jaki kolor ci najbardziej odpowiada?

- Kolor? - Anna zawsze sądziła, że norki są wyłącznie brązowe.

- Chodzi mu o to, czy chcesz dzikie czy hodowlane, złotko - wyjaśniła Adele, - Wydaje mi się, że dzikie norki doskonale by pasowały do twoich włosów.

- Obawiam się, że nie mogę przyjąć takiego prezentu - odparła cicho Anna.

- Dlaczego nie? - warknął Gino.

- Może Anna wolałaby dostać futro ode mnie, już po ślubie - szybko wtrącił Allen.

Gino parsknął śmiechem.

- To znaczy, że jeśli masz dostać futro, chcesz, żeby się to odbyło w pełni legalnie?

- A co jest nielegalnego w przyjęciu takiego prezentu? - zapytała Adele. - Moim zdaniem to odmowa powinna być karalna.

Anna czuła się nieswojo. Od szampana zrobiło jej się gorąco. W klubie zapanował tłok. Parkiet taneczny się skurczył, ponieważ kelnerzy gorączkowo dostawali wokół niego dodatkowe małe stoliki dla ważnych gości. Za aksamitną taśmą tłoczyli się oczekujący, a po tej stronie sali nie było gdzie wetknąć szpilki. O dziwo, na drugim końcu zostało kilka wolnych stolików. Allen wyjaśnił jej, że tamta część klubu to „Syberia”. Jeśli ktoś tam usiadł, tracił szacunek. Nie wtajemniczeni i przybysze z prowincji zwykle tam właśnie siadywali. Nie widzieli żadnej różnicy. Jednak stali bywalcy umarliby ze wstydu, gdyby ktoś ich tam zobaczył.

Przy stoliku kłębili się ludzie, stale przedstawiano kogoś nowego. W pewnej chwili na krótko przysiadł się do nich jakiś inny reporter. Ktoś zrobił zdjęcie. Gino zamówił więcej szampana. Dziewczyny, wyglądające jak wierne kopie Adele, zatrzymywały się obok nich, gratulowały Allenowi i uśmiechały się współczująco do Adele. Niektóre witały się z Allenem jak dobre znajome, ścisnęły go i całowały. Czasami któraś deklarowała mu swe wieczne uczucie albo pytała Annę, czy zdaje sobie sprawę, jakie szczęście ją spotkało. Inne patrzyły na nią z zawiścią lub z ciekawością.

Siedziała w milczeniu. Pozorny spokój maskował narastającą panikę. W drodze do domu musi wszystko z Allenem wyjaśnić. Potem będzie mógł zadzwonić do Ronniego Wolfa i tego drugiego reportera. Powinien ją zrozumieć.

Klepnęła go lekko w ramię.

- Już pierwsza. Muszę wracać do domu. Gino spojrzał na nią zdziwiony.

- Do domu? Cóż za nieprzyzwoite słowo. Zabawa dopiero się rozkręca.

- Idę jutro do pracy, panie Cooper.

- Młoda damo! - odparł Gino z szerokim uśmiechem. - Od tej chwili jedyna pani praca to dbanie o mojego syna.

- Ale ja mam obowiązki...

- Więc odejdz z biura - zaproponował Gino nalewając wszystkim szampana.



- Miałabym rzucić pracę?

- Dlaczego nie? - Tym razem pytanie padło z ust Adele. - Gdyby Gino poprosił mnie o rękę, od razu bym zrezygnowała z kariery.

- Z jakiej kariery? - roześmiał się ojciec Allena. - Co wieczór przez dwie godziny stoisz w tylnym rzędzie. - Zwrócił się do Anny: - Nasza Miss Ameryki musi regularnie chodzić do pracy. Należy do jakiegoś tam związku aktorów. Ale ty nie podpisałaś żadnego kontraktu.

- Lubię swoją pracę i nie mogłabym nikogo zawieść - odparła. Gino wzruszył ramionami.

- Dobrze. Przyjmuję takie wyjaśnienie. Masz klasę. Szef powinien wcześniej się dowiedzieć, że odchodzisz. Porozmawiaj z nim jutro, żeby miał czas poszukać nowej pracownicy. - Dał znak, żeby mu przyniesiono rachunek. - Dla odmiany chyba wszyscy możemy dziś wcześniej pójść do łóżka.

Anna włożyła płaszcz. Wy tłumaczy wszystko Allenowi, kiedy znajdą się sami w taksówce...

Ale nie pojechali taksówką. Przed drzwiami czekała na nich długa czarna limuzyna z kierowcą. Gino dał znak, żeby weszli do środka.

- Wsiadajcie - polecił. - Najpierw podwieziemy naszą pracownicą pszczołkę.

Kiedy dotarli pod jej dom, Gino i Adele zostali w samochodzie, a Allen odprowadził ją do drzwi.

- Muszę z tobą porozmawiać - wyszeptała. Nachylił się i lekko ją pocałował.

- Wiem, że dzisiejsza noc była szalona, ale to się zmieni. Chciałem, żebyś poznała mojego ojca. Mamy to już za sobą. Jutro wybierzemy się gdzieś tylko we dwoje.

- Bardzo polubiłam Gino. Ale musisz mu wszystko wyjaśnić!

- Co mam mu wyjaśniać?

- Allen, ja za ciebie nie wyjdę! Nigdy ci tego nie obiecywałam. Pogłaskał ją delikatnie po głowie.

- Nie dziwię się, że wpadłaś w panikę. Taki wieczór jak ten przeraziłby każdego. Jutro wszystko będzie inaczej. - Objął jej twarz dłońmi. - Możesz mi wierzyć albo nie, ale wyjdiesz za mnie.

- Nie, Allenie.

- Kochasz się w kimś innym?

- Nie, ale...

- To mi wystarczy. Tylko daj mi szansę.

- Hej! - krzyknął Gino, wychylając się przez opuszczone okno. -  
Przestań głądzić i pocałuj ją na dobranoc!

Allen czule ją pocałował.

- Przyjadę po ciebie o w pół do ósmej wieczorem. - Odwrócił się  
i zbiegł po schodach.

Samochód odjechał, a ona stała przed drzwiami i drżała. Cóż,  
próbowała. Jeśli Ronnie Wolf wydrukuje wiadomość o ślubie, będzie  
musiał zamieścić sprostowanie. Wbiegła na górę. Na drzwiach do  
pokoju zobaczyła przyklejoną białą kopertę. Tekst wypisany  
dziecięcymi dużymi literami głosił: „Obudź mnie bez względu na  
porę. To pilne! Neely”.

Spojrzała na zegarek. Druga. Ale słowo „pilne” zostało  
podkreślone. Zeszła wolno piętro niżej i cicho zapukała, z nadzieją, że  
przyjaciółka jej nie usłyszy. Dobiegło ją skrzypienie łóżka. Pod  
drzwiami pojawiła się smuga światła. W otwartych drzwiach stanęła  
Neely i przetarła oczy.

- Rany, która godzina?

- Już późno, ale napisałaś, że to pilne.

- Tak. Wejdz.

- Czy nie możemy poczekać do jutra? Ja też jestem bardzo  
zmęczona.

- A ja właśnie całkiem się rozbudziłam. I marznę! - Neely  
przestępowała z jednej bosej stopy na drugą, balansując na zimnej  
podłodze. Anna poszła za nią do pokoju. Przyjaciółka wskoczyła do  
łóżka i przykryła się kołdrą. Podwinęła kolana i śmiejąc się zapytała:

- Wiesz, co się stało?

- Neely, albo mi zaraz powiesz, albo idę do siebie.

- Zaangażowali nas!

- Świetnie. Teraz, jeśli pozwolisz, muszę już...

- Tylko tyle? Świetnie? I dobranoc? To najwspanialsza rzecz,  
jaka mi się w życiu przydarzyła! Dostaliśmy się do Pod samo niebo, a  
ty zupełnie się nie przejęłaś?

- Bardzo się cieszę - odparła Anna, starając się przybrać  
entuzjastyczny ton. - Po prostu miałam okropny wieczór.

Neely spojrzała na nią z troską.

- Co się stało? Czyżby Allen dobierał się do ciebie?

- Nie. Poprosił mnie o rękę.

- Co w tym straszego?
- Nie chcę za niego wychodzić.
- To mu powiedz.
- Zrobiłam to, ale nie słuchał. Neely wzruszyła ramionami.
- Jutro powiesz mu to jeszcze raz.
  - Ale wiadomość ukaże się w kolumnie towarzyskiej. Neely spojrzała na nią badawczym wzrokiem.
    - Anno, znowu zachowujesz się dziwnie. Dlaczego, u diabła, jakiś reporter miałby pisać w gazecie, że wychodzisz za mąż za jakiegoś tam faceta od ubezpieczeń?
    - Ponieważ ten facet od ubezpieczeń jest milionerem.
- Kiedy ta wiadomość wreszcie do Neely dotarła, dziewczyna wpadła w ekstazę.
  - Anno! - Wyskoczyła z łóżka i zatańczyła po pokoju. - Udało ci się!
  - Ale ja go nie kocham.
  - Z takimi pieniędzmi szybko go pokochasz - zapewniła ją przyjaciółka.
  - Nie chcę teraz wychodzić za mąż ani rezygnować z pracy. Pierwszy raz w życiu jestem samodzielna i nie chcę tego tracić. Miałam dopiero dwa miesiące wolności...
  - Wolność! Ty to nazywasz wolnością?! - wrzasnęła Neely. - Mieszkasz w klitce, wstajesz o siódmej i biegniesz do biura, jadasz lunch w tanim barze, czasami idziesz do „21” i marznąc w tym czarnym płaszczyku przysłuchujesz się nudnym rozmowom o interesach. Chcesz zachować wolność dla takich wspaniałości? Jutro jest pierwszy listopada. Zobaczysz, jak będzie w styczniu i lutym. Zima w Nowym Jorku jest straszna. Na ulicach szara plucha. A ten cholerny kaloryfer daje tyle ciepła co zapałka. Z czego rezygnujesz? No, powiedz mi!
  - Z własnej osobowości, może z przyszłości, z całego życia. Poddałabym się jeszcze przed walką. Neely, w mojej rodzinie nikomu nic się nie przydarzało. Wszyscy we właściwym czasie się żenili lub wychodzili za mąż, a potem mieli dzieci, i na tym koniec. Ja chcę mieć ciekawe życie, w którym coś mi się przydarzy. Chcę doświadczać różnych uczuć i...
  - Ale przecież to wszystko już się stało! - krzyknęła przyjaciółka.
  - Wygrałaś główną nagrodę na loterii trochę szybciej, niż się mogłaś

spodziewać. Złości cię, że nie musiałaś harować przez długie lata, nosić butów za sześć dolarów i sukien z wyprzedaży? Jeśli przepuścisz tę szansę, druga się już nie zdarzy. Myślisz, że kiedy znudzi ci się zabawa w sekretarkę, natychmiast pojawi się jakiś inny milioner i zaproponuje ci małżeństwo? Ciekawe!

- Ja nie szukam nikogo bogatego. Nie to się liczy.

- Bo nigdy nie byłaś biedna - przygadała jej Neely.

- Postaram się to wytłumaczyć. Jesteś teraz szczęśliwa, bo dostałaś angaż do musicalu. Wyobraź sobie, że po kilku próbach zjawia się w twoim życiu ktoś taki jak Allen. Prosi cię, żebyś za niego wyszła i rzuciła pracę jeszcze przed premierą. Zrobiłabyś to?

- Czybym zrobiła? Jasne, i to natychmiast. Powiedzmy, że naprawdę mam talent i być może kiedyś nadarzy się okazja, żeby to udowodnić. Jeśli przez długie lata będę ciężko pracowała, co w końcu osiągnę? Pieniądze, sławę i szacunek. To wszystko. To się najbardziej liczy. Być może doszłabym do tego po bardzo długim czasie. Allen ofiarowuje ci wszystkie te rzeczy na srebrnej tacy.

Nie wierzyła własnym uszom. Neely o świeżej twarzy, wyglądająca na mniej niż swoje siedemnaście lat, tak cynicznie wszystko podsumowała. Anna ruszyła do drzwi. Była zbyt zmęczona, żeby się spierać.

- Dobranoc. Porozmawiamy o tym jutro.

- O niczym nie będziemy rozmawiać. Wyjdź za niego! Może zamieszkać razem z wami, jeśli Pod samo niebo zrobi klapę.

Listopad, 1945

Zadzwonił budzik. Anna jak zwykle obudziła się w pogodnym nastroju. Jednak kiedy się przeciągnęła i otrząsnęła z resztek snu, poczuła nagle ukłucie niepokoju. Coś się stało...

Allen! Wczorajszy wieczór! Ronnie Wolf! Niepokój zamienił się w gniew. Zrobiła, co mogła. Na ile sposobów można mówić nie?

Kiedy przybyła do pracy, kilku mężczyzn stało w holu naprzeciw biura. Rozstąpili się, żeby zrobić jej miejsce. Nagle ktoś krzyknął:

- Hej, to ona!

Błysnęły flesze, zewsząd zaczęły padać pytania. Ze zgiełku wyłowiła imię Allena. Przecisnęła się przez grupę reporterów, ale oni podążyli za Anną do biura, wołając ją po imieniu. Przypominało to jeden z dręczących ją w dzieciństwie koszmarów, w których uciekała przed niebezpieczeństwem, nie znajdując nigdzie pomocy. W drzwiach stała recepcjonistka. Uśmiechała się! Młodsza sekretarka i panna Steinberg również się uśmiechały! W końcu stanęła za swoim biurkiem, otoczona tłumem, ale samotna.

- Kiedy poznała pani Allena Coopera! - Błyski fleszy ją oślepiały. - Hej, Anno! Spójrz tutaj, dobrze... Grzeczna dziewczynka... Uśmiech! - Błysk flesza! Trzask migawki! - Czy ślub odbędzie się w kościele? Hej, Anno! Jak się czujesz jako Kopciuszek?

Miała ochotę krzyczeć. Wyminęła wścibskich reporterów i skryła się w gabinecie Henry'ego Bellamy. Kiedy potykając się wpadła do środka, podtrzymał ją Lyon Burke. Chciała coś powiedzieć, ale drzwi rozwarły się z rozmachem. Przyszli tu za nią! A Henry powitał ich z uśmiechem. Lyon też miał pogodną minę.

Bellamy po ojcowsku otoczył ją ramieniem.

- Musisz się do tego przyzwyczaić. Nie co dzień zdarzają się zaręczyny milionera. - Poczul, że Anna drży, więc objął ją mocniej. - Daj spokój. Rozluźnij się i powiedz im coś. W końcu ci chłopcy muszą jakoś zarabiać na życie.

- Czego chcecie? - zwróciła się do reporterów.

- Chcieliby usłyszeć jakiś komentarz do tego. - Henry wziął z biurka egzemplarz porannego brukowca. Popatrzyła na wielkie zdjęcie na pierwszej stronie. Zobaczyła siebie, uśmiechniętą, w towarzystwie Allena, na tle czarno - białych pasów. Wypisany dużym drukiem tytuł głosił: KOPCIUSZEK Z BROADWAYU - ALLEN COOPER ŻENI SIĘ Z SEKRETARKĄ.

Henry znów ją objął.

- Dobrze, chłopcy. Ostatnie zdjęcie. Możecie je podpisać: „Henry Bellamy gratuluje swojej sekretarce - milionerce”.

Następna seria błysków. Ktoś mówił jej, żeby się uśmiechnęła... inny prosił o jeszcze jedno zdjęcie... jeden z mężczyzn wszedł na krzesło i sfotografował ją z góry... kilka głosów wołało, żeby spojrzała w ich stronę, głosy dobiegały gdzieś z daleka. Czuła się tak, jakby w jej uszach huczało rozszalałe morze. Widziała Lyona Burke, który obserwował ją z półśmiechem.

Potem Henry ścisnął wszystkim dłonie i przyjmując rolę serdecznego gospodarza wyprowadził ich z biura. Kiedy drzwi się zamykały, usłyszała, jak wyjaśniał reporterom, że Anna i Allen poznali się właśnie tutaj.

Oszołomiona patrzyła na drzwi. Nagła cisza wydawała się jeszcze mniej realna niż uprzednie zamieszanie. Podeszedł Lyon i dał jej zapalonego papierosa. Zaciągnęła się głęboko i zakasłała.

- Spokojnie - odezwał się życzliwie. Opadła na krzesło i podniosła na niego oczy.

- Co mam robić?

- Świetnie sobie radzisz. Przyzwyczaisz się. Za jakiś czas być może nawet to polubisz.

- Nie wyjdę za mąż za Allena Coopera.

- Nie daj się zastraszyć reporterom. Każdy wpada w panikę na widok swojego zdjęcia na pierwszej stronie.

Henry wrócił do gabinetu.

- No, no! - Spojrzał na nią z niekłamaną dumą. - Dlaczego wczoraj pozwoliłaś, żebym zrobił z siebie głupca? Gdybym wiedział, że ten chłopak traktuje cię poważnie, nie wygadywałbym takich bredni.

- Anna ma rzadki talent - stwierdził Lyon. - Pozwala innym mówić.

Poczuła, że coś ją ścisną w gardle. (Dama nie płacze w miejscu publicznym.) To jakieś szaleństwo. Lyon z tym chłodnym uśmiechem na ustach... Henry, zachowujący się jak dumny ojciec.

- Zaraz zadzwonię do biura zatrudnienia - oznajmił Bellamy. - Pewnie będziesz teraz bardzo zajęta. Nie martw się o sprawy biurowe. Jakoś damy sobie radę. Znajdziemy kogoś na twoje miejsce.

Zakręciło jej się w głowie. Poczwała dziwną słabość, mającą źródło gdzieś na dnie żołądka, która jakby oddzielała jej głowę od reszty ciała. Wszyscy się od niej odsuwali. Henry już przerzucał kartki książki telefonicznej w poszukiwaniu numeru agencji pracy!

- Spodziewasz się, że odejdę z biura? - Głos Anny wydobywał się z wysiłkiem.

Henry wziął ją za ramiona i uśmiechnął się ciepło.

- Moja droga, ty chyba jeszcze nie rozumiesz, co się stało. Poczekaj, aż zaczniesz się układowanie listy gości, wysyłanie zaproszeń, przymiarki, wywiady... Sama będziesz potrzebowała sekretarki.

- Henry, muszę z tobą porozmawiać.

- Już wychodzę - oznajmił Lyon. - Henry zasłużył na odpowiednie pożegnanie. - Skinął Annie głową i mrugnął. - Życzę szczęścia. Zaslugujesz na nie.

Patrzyła, jak zamykają się za nim drzwi.

- To nie do wiary - zwróciła się do Henry'ego. - Żadnego z was nic to nie obchodzi.

- Jak to nie obchodzi? - zdziwił się Henry. - Nie widzisz, jacy jesteśmy przejęci? Bardzo się cieszymy.

- Ale przyjąłeś to tak po prostu. Oczekujesz, że rzucę posadę i nigdy już mnie nie zobaczysz. Nie ma to dla ciebie znaczenia. Zastąpisz mnie jakąś inną dziewczyną i życie potoczy się dalej.

- To wszystko ma dla mnie wielkie znaczenie - powiedział cicho Henry. - Czy myślisz, że ktoś naprawdę mógłby cię zastąpić? Wydaje ci się, że z chęcią przyjmę kogoś innego na twoje miejsce? Ale co byłby ze mnie za przyjaciel, gdybym robił ci jakieś trudności? A czy ty jesteś dobrą przyjaciółką? Wydaje ci się, że stąd odejdziesz i już się nigdy nie spotkamy? O, nie! Nie puszczę cię tak łatwo. Spodziewam się, że zaprosisz mnie na ślub... Będę trzymał twoje pierwsze dziecko do chrztu, może nawet wszystkie twoje dzieci. Może nawet uda mi się polubić Allena. W zasadzie nie mam nic przeciwko niemu. Po prostu jest taki bogaty, że aż się bałem, żeby cię nie skrzywdził. Ale teraz to co innego, teraz kocham te jego pieniądze!

Znowu poczuła ucisk w gardle.

- Lyon też się wcale nie przejął.

- Lyon? - zapytał skonsternowany Henry. - Dlaczego miałby się przejmować? Jego pocztą zajmuje się panna Steinberg, a... - Urwał

nagle i zmienił się na twarzy. - O, nie! - To był niemal jęk. - Nie ty, Anno. Jeden krótki lunch i już dałaś się złapać?

Odwróciła wzrok.

- Nie o to chodzi... Ale rozmawialiśmy tak szczerze... Sądziłam, że zostaliśmy przyjaciółmi...

Henry opadł na skórzaną kanapę.

- Chodź tutaj. - Usiadła obok niego. Wziął ją za rękę. - Słuchaj, Anno. Gdybym miał syna, chciałbym, żeby był taki jak Lyon. Ale własnej córce zabroniłbym się do niego zbliżać!

- Nie bardzo rozumiem...

- Moja droga... niektórzy mężczyźni, chociaż nie robią tego specjalnie, sprowadzają na kobiety tylko smutek. Allen taki był, ale ty to zmieniłaś.

- Jak to smutek? - zapytała. Wzruszył ramionami.

- Zbyt łatwo im wszystko przychodzi. Allenowi pomagały w tym pieniądze, natomiast Lyon dostaje to, co chce, bo jest taki cholernie przystojny. Do pewnego stopnia to rozumiem. Dlaczego tacy jak oni mieliby zadowolić się jedną kobietą, skoro mogą mieć wszystkie, wystarczy, że kiwną palcem. Ty, Anno, zdołałaś usidlić Allena, chociaż nikt nie przypuszczał, że to się komukolwiek uda. A teraz zamiast świętować, siedzisz tu i się zamartwiasz.

- Ja nie kocham Allena. Umawiałam się z nim przez prawie sześć tygodni w bardzo niezobowiązujący sposób. Nawet nie wiedziałam, kim jest. To znaczy, myślałam, że pracuje jako agent ubezpieczeniowy. To wszystko zaczęło się tak nagle, zaledwie dwa dni temu.

- Wydaje ci się teraz, że to ktoś obcy, tak? - Henry zmrużył oczy.

- Właśnie.

- Ale wystarczył jeden lunch z Lyonem i nagle znalazłaś w nim bratnią duszę?

- To nieprawda. Rozmawiamy teraz o Allenie. Nie kocham go. Lyon nie ma z tym nic wspólnego.

- Kłamczucha.

- Henry, przysięgam. Allen nigdy nic dla mnie nie znaczył.

- Więc jak to się stało, że spotykałaś się z nim przez te wszystkie tygodnie? Nie miałaś nic przeciwko niemu, dopóki nie zjawił się Lyon.



- To nie tak. Umawiałam się z nim, bo nie miałam innych znajomych. I było mi go żal. Wydawał mi się taki bezbronny. Nigdy nie rozmawialiśmy o miłości. Prawdę mówiąc, nigdy nawet nie próbował mnie pocałować. I nagle, przedwczoraj... - Umilkła, starając się odzyskać samokontrolę. - Henry, powiedziałam Allenowi, że go nie kocham - ciągnęła cichym głosem. - To samo powiedziałam jego ojcu.

- Powiedziałaś im to? - W głosie Henry'ego słysząc było niedowierzenie.

- Tak.

- I co oni na to?

- To właśnie jest niewiarygodne. Nigdy dotąd nie znałam takich ludzi. Nie słyszą tego, czego nie chcą słyszeć. Allen wciąż powtarza, że mnie kocha i że ja też nauczę się go kochać.

- To się może zdarzyć - oznajmił cicho Henry. - Czasami wystarczy tylko dać się kochać. Taka miłość jest najlepsza.

- Nie! Chcę czegoś więcej!

- Jasne! Na przykład wiecznie pracować w biurze! - odciął Henry. - Opowiedz ci, co będzie? Odrzucisz oświadczyzny Allena. Pewnie, dlaczego nie? Milionerów, którzy chcą się żenić, spotyka się na każdym rogu ulicy. Za jakiś czas mu przejdzie. Zacznie spotykać się z kimś innym. Pewnie masz nadzieję, że wtedy Lyon zacznie się z tobą umawiać. Czy nie chodzi ci właśnie o to? Och, będzie wspaniale... na początku. Może przez miesiąc. Potem pewnego dnia zjawisz się w biurze z zaczerwienionymi oczami. Wytłumaczysz mi, że boli cię głowa. Tylko że przez następne dni twoje oczy nadal będą czerwone. Widząc, co się dzieje, porozmawiam z Lyonem. On wzruszy ramionami i powie: „Jasne, umawiałem się z tą dziewczyną. Bardzo ją lubię, ale nie jestem jej własnością. Porozmawiaj z nią, dobrze? Postaraj się, żeby się ode mnie odczepiła”.

- Wygląda na to, że masz doświadczenie - stwierdziła gorzko. - Zawsze wygłaszasz takie mowy do swoich sekretarek?

- Nie, nie do sekretarek. Ale też nigdy jeszcze nie miałem takiej jak ty. Jednak masz rację, prowadziłem już takie rozmowy, chyba z tuzin razy, i to z dziewczynami o wiele sprytniejszymi niż ty. Niestety, rozmawiałem z nimi dopiero po wszystkim, kiedy już zupełnie straciły głowę. Ale przynajmniej żadna z nich dla Lyona nie odrzuciła oświadczyzn milionera.

- Z twoich opowieści wynika, że Lyon to kawał drania.

- Jakiego drania? Jest mężczyzną, kawalerem bez zobowiązań. Może się związać z każdą dziewczyną, która mu się podoba... na krótki czas. A w tym mieście jest wiele dziewczyn, które mogą się podobać.

- Nie wierzę, że wszyscy mężczyźni tak rozumują.

- Lyon Burke nie jest taki jak wszyscy. Tak samo Nowy Jork to miasto zupełnie odmienne od pozostałych. Z pewnością nadejdzie czas, kiedy Lyon się wyszaleje i usatkuje u boku jednej dziewczyny. Ale to jeszcze długo nie nastąpi. A poza tym, tak naprawdę jedna dziewczyna nigdy mu nie wystarczy.

Zadzwonił telefon. Anna podniosła się odruchowo i ruszyła do drzwi. Henry zatrzymał ją.

- Siadaj, milionerko. Nie zapominaj, że już tu nie pracujesz. - Podszedł do biurka. - Halo... jasne, łączyć. Cześć, Jennifer. Tak, wszystko załatwiłem... Co? Tak. I co o tym myślisz? Prawdę mówiąc siedzi tu obok mnie. Jasne, że się cieszy. Szkoda, że tego nie widzisz. Tańczy z radości, mało mi nie połamie mebli. - Zwrócił się do Anny: - Jennifer North przesyła ci gratulacje. - Znów mówił do słuchawki: - No jasne, że to szczęściara. Słuchaj, skarbie, umowy dziś będą gotowe. Jak tylko je sprawdzę, wyślę je do ciebie do podpisu... Dobrze, skarbie. Zadzwonię o piątej. - Odłożył słuchawkę. - To dopiero bystra dziewczyna. Jennifer North.

- Kto to taki?

- Daj spokój! - jęknął. - Nie czytujesz gazet? Właśnie rozstała się z księciem. Prawie codziennie piszą o niej na pierwszych stronach. Zjawiała się w mieście jak cyklon, nie wiadomo skąd. Podobno pochodzi z Kalifornii. Jest mniej więcej w twoim wieku. Nagle wytrzasnęła skądś tego księcia. Prawdziwego, i to w dodatku z pieniędzmi. Zalecał się do niej tak jak trzeba, kupował futra, pierścionki z brylantami. Wszystkie agencje o tym pisały. Ślubu udzielił im burmistrz. Wszystkie osobistości zjawily się na przyjęciu weselnym. A cztery dni później gazety doniosły, że Jennifer chce unieważnienia małżeństwa.

- Ma talent?

- Nie potrzebuje go - uśmiechnął się Henry. - Jest jakby stworzona dla filmu. Nie widziałem jeszcze, żeby ktoś tak potrafił się całować przed kamerą. A jej figura... Według mnie Jennifer North jest

najpiękniejszą dziewczyną na świecie. - Przerwał. - Nie, to nieprawda. Ty ją przewyższasz, Anno. Im dłużej się na ciebie patrzy, tym wydajesz się piękniejsza. Ale uroda Jennifer od pierwszego spojrzenia poraża jak piorun. Ta dziewczyna ma przyszłość. Kiedy tylko unieważni małżeństwo i zadebiutuje w Pod samo niebo, załatwię jej wspaniały kontrakt filmowy.

- Potrafi śpiewać?

- Mówiłem ci, że nic nie potrafi.

- Ale jeśli wystąpi w musicalu...

- Dostanie małą rolę w tle, ale będzie się wybijała. Helen się na to zgodziła. Tego jednego nauczyłem ją w dawnych czasach. W głównych rolach należy obsadzać utalentowanych artystów, ale ci w tle muszą być piękni. Ale dlaczego rozmawiamy o Helen i Jennifer? To o ciebie się martwię. Na nie później przyjdzie kolej.

- Henry, chciałabym nadal u ciebie pracować...

- W tłumaczeniu znaczy to, że chcesz spróbować szczęścia z Lyonem Burke - warknął.

- Jeśli o to się martwisz, to obiecuję, że nawet na niego nie spojrzę.

Henry potrząsnął głową.

- Sama się dopraszasz, żeby ci złamał serce, ale ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Teraz uciekaj stąd. Zwalniam cię! Wyjdź za Allena Coopera i bądź szczęśliwa.

Wstała.

- Dobrze. Już wychodzę. Ale nie poślubię Allena. Znajdę inną pracę. - Podeszła do drzwi.

- Proszę bardzo. Zmarnuj sobie życie, przynajmniej nie będę musiał na to patrzeć.

- Nie jesteś prawdziwym przyjacielem.

- Jestem najlepszym, jakiego kiedykolwiek będziesz miała.

- W takim razie pozwól mi zostać - poprosiła. - Nic nie rozumiesz. Nie chcę wychodzić za Allena, ale jeśli stąd odejdę i znajdę inną pracę, może się zdarzyć tak, że nie będę jej lubiła. Allen będzie nalegał. Prasa znów się mną zainteresuje... Ojciec Allena zasypie mnie pytaniami. Nawet sobie nie wyobrażasz, co się dzieje, kiedy Allen i Gino zejdą się razem. Przestają wtedy być sobą, tracę silną wolę. Henry, błagam... pomóż mi. Nie chcę być żoną Allena Coopera!

- Anno, to milioner, może nawet miliarder.

- Uciekłam od Williego Hendersona z Lawrenceville. Może nie był milionerem jak Allen, ale też miał pieniądze. W dodatku znałam go i całą jego rodzinę od dzieciństwa. Nie rozumiesz, że pieniądze nic dla mnie nie znaczą?

Milczał przez chwilę.

- Dobrze - odezwał się w końcu. - Możesz zostać... pod jednym warunkiem. Nie zerwiesz zaręczyn z Allenem.

- Henry! Oszalałeś? Chyba w ogóle mnie nie słuchałeś. Nie chcę wychodzić za niego za mąż!

- Nie mówiłem nic o ślubie, tylko o zaręczynach. W ten sposób będziesz bezpieczna.

- Bezpieczna?

- Tak. Przynajmniej nie będę się martwił, że wplącesz się w związek z Lyonem. Jedno trzeba mu przyznać, nie odbija facetom dziewczyn.

Uśmiechnęła się blado.

- Więc przyznajesz, że ma swój kodeks honorowy?

- Jaki znowu kodeks? Po prostu wystrzega się kłopotów, a dokoła jest wiele wolnych dziewcząt, które aż piszczą, żeby się z nim umówić.

- A co ze mną? Jeśli nie zerwę zaręczyn, jak mam postępować z Allenem?

- Zwódź go. Potrafisz to robić. Jeśli wystarczyło ci sprytu, żeby go usidlić, bez trudu uda ci się nim manipulować.

- Ale to nieuczciwe. Nie chcę zostać jego żoną, co nie znaczy, że go nie lubię jako człowieka. To nie byłoby w porządku.

- Na dłuższą metę tylko takie postępowanie będzie w porządku. Przede wszystkim wobec mnie. Mam na głowie premierę musicalu i nie potrzebuję dodatkowych trosk, szczególnie o ciebie. Dla Allena również tak będzie najlepiej, bo przynajmniej powinnaś dać mu szansę, żeby ci się pokazał z jak najlepszej strony. A przede wszystkim to będzie najlepsze dla ciebie, bo teraz potrafisz myśleć tylko o Lyonie. - Uniósł rękę, by uciszyć jej protesty. - Bez względu na to, co o tym sądzisz, jesteś w nim zadurzona. Ale wstrzymaj się trochę, zacznij czytywać kolumny towarzyskie z Broadwayu. Zobaczysz, jak szybko zmienia towarzyszki. Powoli zatrze się wspomnienie tego wspaniałego lunchu. Zachowasz dziewictwo i

oszczędzisz sobie wielu cierpień. - Uśmiechnął się na widok jej rumieńca. - Anno, jesteś rzadkim klejnotem. Musimy tu o ciebie dbać.

Zamyśliła się nad jego słowami, a potem potrząsnęła głową.

- Nie mogłabym tak postąpić. Żyłabym w kłamstwie.

- Anno - przemówił łagodnie. - Z czasem się nauczysz, że nie wszystko jest albo czarne, albo białe. Zachowaj się szczerze wobec Allena. Powiedz mu, że Nowy Jork to cały czas dla ciebie nowość, i że chciałabyś jeszcze trochę pożyć samodzielnie, więc nie zamierzasz tak szybko pędzić do ślubu. Kiedy kończysz dwadzieścia jeden lat?

- W maju.

- Dobrze. Powiedz mu, że chcesz poczekać do dwudziestych pierwszych urodzin.

- A co potem?

- Do tego czasu może wybuchnąć następna bomba atomowa. Może Allen pozna inną dziewczynę, a Lyon Burke okaże się pedałem. Kto wie? Wszystko może się zdarzyć. Być może nawet zakochasz się w Allenie. W maju zawsze możesz zmienić zdanie. Pamiętaj, nigdy nie jest za późno, dopóki nie staniesz przed ołtarzem. A i wtedy możesz jeszcze uciec, zanim powiesz ostateczne „tak”.

- W twoich ustach brzmi to tak prosto.

- Nic nie jest proste, kiedy się wspinasz na Mount Everest. Rób krok za krokiem, nie oglądaj się za siebie i nigdy nie trać szczytu z oczu.

Dostrzegła reporterów i fotografów stojących przed jej domem. Spuściła głowę i przeciskając się wśród zgromadzonych wbiegła po schodach. Wreszcie udało jej się skryć we wnętrzu budynku. Neely czekała na nią w holu.

- Anno, mało nie zemdlałam, kiedy dziś rano zadzwoniła do mnie siostra. Proszę. - Dumnie podała jej płaską paczkę. - To mój zaręczynowy prezent dla ciebie. - W paczce znajdował się album z wycinkami prasowymi i zdjęciami Anny. - Pracowałam nad nim cały dzień - pochwaliła się przyjaciółka. - Zapełniłam już sześć stron, a przecież to dopiero początek. Poczekał do ślubu... Rany, będziesz sławna!

Tego wieczoru Allen przyjechał pod jej dom limuzyną.

- Zjemy kolację we dwoje, ale Gino dołączy do nas na kawę - zapowiedział. - Wiem, że obiecałem ci kameralny wieczór, ale ojciec

nalega, żeby nas zabrać na premierowy występ Tony'ego Polara w La Ronde.

- Tony'ego Polara?

- Czyżbyś nie była jedną z jego wielbicielk? - zapytał z uśmiechem.

- Nigdy o nim nie słyszałam. Allen roześmiał się.

- Jest największą sensacją estrady od czasów Franka Sinatry. - Wychylił się do przodu i wydał polecenie kierowcy. - Leonie, będziesz jeździł po parku, dopóki nie każę ci jechać dalej. - Zasuwał szybę oddzielającą tył samochodu. - Pewnie umierasz z głodu, ale są powody, dla których chcę cię zabrać na tę przejażdżkę.

Wziął ją za rękę, ale wysunęła dłoń z uścisku.

- Allenie, muszę z tobą porozmawiać.

- Nie teraz. Zamknij oczy. - Otworzył aksamitne pudełeczko. - Teraz możesz już patrzeć. Mam nadzieję, że będzie pasował.

Nawet w mroku wnętrza limuzyny, rozświetlanego tylko błyskami mijanych latarni, brylant wyglądał imponująco.

Anna wystraszyła się.

- Nie mogę tego przyjąć!

- Nie podoba ci się?

- Czy mi się podoba? Przecież to najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam!

- Dziesięć karatów - oznajmił lekko. - Ale ma kwadratowy szlif, więc nie wygląda tak ostentacyjnie.

- Oczywiście, że nie. - Anna roześmiała się nerwowo. - Każda sekretarka ma taki.

- A właśnie, skoro o tym mowa. Czy złożyłaś rezygnację Bellamy'emu?

- Nie i nie zamierzam tego robić. Allen, wysłuchaj mnie tylko. Nie jesteśmy zaręczeni...

Wsunął jej pierścionek na palec.

- Pasuje jak ulał - stwierdził. Spojrzała na niego uważnie.

- Allen, czy ty nie rozumiesz, co chcę ci powiedzieć?

- Rozumiem. Że mnie nie kochasz.

- Więc dlaczego tak postępujesz?

- Ponieważ wszystko na świecie można zdobyć, jeśli się bardzo tego pragnie. Nigdy niczego nie pragnąłem, do chwili, w której poznałem ciebie. Zrobię wszystko, żeby cię zdobyć. Daj mi tylko

szansę. Tylko o to proszę. Przez minione tygodnie widziałas we mnie wystraszonego nieudacznika. Po miesiącu przebywania z prawdziwym mną albo mnie pokochasz, albo znienawidzisz. Zaryzykuję.

Opuścił szybę.

- Już dobrze, Leonie. Zawieź nas do Stork Club.

Milczała. Czy jemu się naprawdę wydaje, że coś się zmieni? Biedny czy bogaty, budził w niej takie same reakcje. Allen pozostawał Allenem, czy to w taniej francuskiej knajpcie, czy w El Morocco.

Czuła, że za dużo się na nią zważyło. Łatwo było Henry'emu zastanawiać się nad faktami i wysuwać propozycje nie do odrzucenia, kiedy siedział za biurkiem. Nie miał do czynienia z żywymi ludźmi. Anna nie mogła dostrzec wyrazu oczu Allena,

Przebyła całą drogę zatopiona w ponurych myślach i niewiele miała do powiedzenia, kiedy kolejni szefowie sal w Stork Club prowadzili ich do Cub Room („Tylko tę salę uznaję“). Podarowano jej elegancko zapakowaną paczuszkę („To perfumy. Sherman wysyła je wszystkim swoim ulubienicom“) i szampana („Lepiej go wypijmy, bo urazimy uczucia Shermana“).

Gino przybył o dziesiątej. Hałaśliwie witał się z przyjaciółmi przy wielu stolikach, co wywołało lekki grymas na twarzy Allena. W końcu Gino zjawił się przy ich stoliku i z ochotą wypił szampana.

- Tata, nie powinienes przesiadać się od stolika do stolika - cicho upomniał go Allen. - Wiesz, że tutaj tego nie lubią.

- No to co? - odparł głośno Gino. - Słuchaj, synu, to twój ulubiony lokal. Rób, jak uważasz. Ale ja nie lubię snobizmu. Kiedy za coś płacę, zachowuję się tak, jak mam ochotę... Nie będę przestrzegał żadnych głupich zasad. Ty możesz postępować, jak ci się podoba.

Allen z widoczną ulgą opuścił Stork Club. Potem pojechali do La Ronde.

Po serdecznych powitaniach, jakie zgotowali Gino szefowie sali w La Ronde, można było poznać, że jest to jeden z jego ulubionych i najczęściej odwiedzanych klubów. Kilku z pracowników uściskał i zwracał się do nich protekcjonalnie, kiedy prowadzili go do najlepszego stolika przy estradzie. Minęła jedenasta i w klubie zrobiło się już pełno. Gino zamówił szampana i butelkę szkockiej.

- Adela lubi whisky - wyjaśnił. - Dołącz do nas po koncercie. Twierdzi, że szampan ma za dużo kalorii.

Anna obserwowała ludzi zasiadających przy stolikach, wyklócających się o lepsze miejsca i dyskretnie wsuwających banknoty w dłonie kelnerów. Fotoreporterzy wynajęci przez klub, którzy robili zdjęcia do gazet, sfotografowali Annę i Allena, a potem wrócili do drzwi i czekali na inne znane postacie.

Adela zjawiała się o wpół do dwunastej z pełnym scenicznym makijażem na twarzy.

- Po co ci te szminki? - zapytał gniewnie Gino. - Wiesz, że tego nie znoszę.

- Ojej, skarbie, trochę się przypudrowałam i zdjęłam sztuczne rzęsy. Nie chciałam się spóźnić, a zmycie makijażu i umalowanie się na nowo zabrałoby mi wiele czasu. - Mówiąc rozglądała się po sali. - To chyba najgłośniejsza premiera miesiąca. Wszyscy się zjawili. - Energicznie pomachała jakiemuś reporterowi.

- Kilka lat temu taką sensację wzbudzał Sinatra - odezwał się Allen. - Teraz kobiety szaleją za Tonym Polarem. Nic z tego nie rozumiem.

- Nie przesadzaj - uśmiechnął się Gino. - Obaj są w końcu od tego, żeby nas zabawiać.

- Hej, patrzcie... - Adela wskazała na drzwi. - Tam stoi Helen Lawson. Spójrzcie tylko na jej futro z norek, całe zrudziało. Założy się, że nie zmieniła go od dziesięciu lat. A przecież ma tyle forsy. Słyszałam, że to najbardziej skąpa... Ojej, to chyba Jennifer North!

- Maron! - Gino uderzył pięścią w stół. - To się dopiero nazywa figura! Ty wyglądałabyś przy niej jak chłopak, Adelo.

Jennifer North, otoczona przez fotografów, przyciągnęła również uwagę Anny. Ta dziewczyna niezaprzeczalnie była piękna - wysoka, obdarzona wspaniałą figurą. Głęboko wycięty dekolt białej sukni, ozdobionej skrzącymi się kryształkami, dowodził wszystkim, że bujny biust Jennifer jest autentyczny. Długie włosy były tak jasne, że niemal białe. Jednak Anna zwróciła przede wszystkim uwagę na twarz dziewczyny, tak naturalnie piękną, że aż nie pasującą do teatralnego wyglądu włosów i figury. Miała ona doskonały owal, delikatny, ale stanowczy podbródek, wysokie kości policzkowe i inteligentnie zarysowane brwi. Oczy spoglądały ciepło i przyjaźnie, a krótki, prosty nosek bardzo pasowałby do twarzy dziecka, tak samo jak równe białe zęby i dziewczęce dołeczki. Twarz Jennifer była uosobieniem niewinności, spoglądała na wszystko z radością i ufnym entuzjazmem,



jakby nie zdawała sobie sprawy z wrażenia, jakie na otoczeniu wywiera reszta ciała. Odbijało się w niej prawdziwe zainteresowanie ludźmi, którzy domagali się jej uwagi. Każdego nagradzała uśmiechem. Ciało opięte prowokującą suknią cały czas gięło się i falowało, urzekając zapatrzony tłum i obiektywy aparatów, ale twarz jakby nie brała w tym udziału; wydawało się, że życzliwie wita ludzi jak nowych znajomych, poznanych na jakimś kameralnym przyjęciu.

Szefowi sali udało się doprowadzić Jennifer North do stolika przy estradzie po drugiej stronie sali. Anna nie zauważyła Henry'ego Bellamy, dopóki wszyscy nie usiedli.

- Twój szef wie, z kim się warto umówić na randkę - powiedział Allen. - Helen Lawson i Jennifer North. Niezłe towarzystwo.

- Jeszcze ktoś do nich dołączył - stwierdziła Adela. - Widzicie, właśnie siada. To chyba z nim umówiła się Jennifer. No, no, jaki przystojny!

- To Lyon Burke - oznajmiła cicho Anna.

- A więc to on - powiedział Allen.

Anna skinęła głową i patrzyła, jak Lyon pomaga Jennifer ułożyć futro na oparciu krzesła. Dziewczyna nagrodziła jego uprzejmość oszałamiającym uśmiechem.

Allen gwizdnął.

- Ciekawe, czy ta złotowłosa Wenus wyląduje z nim dzisiaj w łóżku.

- Jest klientką pana Bellamy - wyjaśniła chłodno Anna. - Lyon Burke pewnie został zaproszony, żeby nie została bez pary.

- Jasne. I pewnie zażąda od Henry'ego dodatkowej zapłaty za ciężką pracę w nadgodzinach.

- Cóż, Henry zarobił górę pieniędzy na Helen Lawson - odezwał się Gino. - Ta baba przynosi lepsze dywidendy niż AT&T. Nie jest młoda, ale bez wahania zapłacę pięćdziesiąt dolarów za dwa bilety na jej show. Potrafi śpiewać.

Allen wskazywał jej wchodzące do sali znane osoby i ze szczegółami opowiadał o ich życiu osobistym. Anna udawała, że słucha z zainteresowaniem, ale wciąż spoglądała na stolik Henry'ego. Co taka dziewczyna jak Jennifer mogła powiedzieć zabawnego, że wszyscy się tak śmieją? Co mówi do niej Lyon? Najwyraźniej nie opowiadał jej o zrujnowanej stodole i kapralu. Zobaczyła, że odrzucił głowę w tył i roześmiał się. Nie zachowywał się tak w Barberry

Room. Nie, bo przecież ona była tylko nudną dziewczyną z pracy, która namawiała go, żeby pisał i wprawiła go w taki nastrój, że zaczął wspominać tragiczną przeszłość. Odwróciła się, kiedy zapalił papierosa i podał go Jennifer.

Nagle światła przygasły. Kelnerzy uwijali się pomiędzy stolikami, w ostatniej chwili przyjmując zamówienia. Stopniowo zamieszanie ucichło, publiczność zamilkła w oczekiwaniu, sala pogrążyła się w mroku, a orkiestra zagrała piosenkę, która była znakiem firmowym Tony'ego Polara. Reflektor oświetlił środek podium. Nagle na scenie pojawił się Tony. Rozległy się gromkie brawa. Ukłonił się i podziękował za owację z miłą skromnością. Był wysoki i przystojny. Miał w sobie coś chłopięcego, przez co wydawał się bezbronny i ujmujący. Dziewczyna mogła mu zaufać, kobieta miała ochotę się nim zaopiekować.

Chociaż wydawał się nieśmiały, śpiewał dobrze i z niewymuszoną pewnością siebie nawiązywał doskonały kontakt z widownią. Po pierwszej serii piosenek rozluźnił krawat, dając w ten sposób dowód, że ciężko pracuje. Wziął do ręki mikrofon i zszedł między stoliki. Podchodził do znanych osób, śpiewał do nich, dowcipkował z reporterami. Wybrał też kilka dojrzałych matron i zaśpiewał dla nich liryczne piosenki. Uśmiechał się nieśmiało, kiedy wylewnie mu dziękowały, nie zwracając uwagi na obecność zakłopotanych mężów.

Kiedy mijał Jennifer, ich oczy się spotkały. Pomylił słowa i szybko poszedł dalej. Potem, jakby nie wierząc własnym oczom, wrócił do jej stolika i dokończył piosenkę nie odrywając oczu od dziewczyny. Widownia obserwowała ich w napięciu, jakby podglądała jakąś intymną scenę. Kiedy skończył utwór, skłonił się, wrócił na środek estrady i przez resztę koncertu już nie spojrzał na Jennifer.

Publiczność nie chciała wypuścić go ze sceny. Piosenkarz nie przestawał się kłaniać. Rozbłysły światła, ale ludzie wciąż bili brawa, tupali i głośno domagali się bisu. Orkiestra niepewnie zagrała kilka taktów z jego piosenki, jakby czekała na jakieś konkretne polecenie. Brawa rozbrzmiewały coraz bardziej natarczywie. Tony stał na podium i uśmiechał się z chłopięcą wdzięcznością. Dotknął ręką gardła, dając znak, że jest zmęczony. Aplauz stał się jeszcze gorętszy.

Piosenkarz z pogodną rezygnacją wzruszył ramionami, szybko naradził się z akompaniatorem i wrócił na środek sali.

Kiedy rozległa się muzyka, zwrócił się w stronę Jennifer i śpiewał wyłącznie dla niej. Wykonywał znaną balladę miłosną, której słowa, jak to bywa w przypadku wielu popularnych piosenek, mogą nabrać bardzo osobistego znaczenia. Zdawało się, że zostały napisane specjalnie po to, żeby Tony Polar mógł wyznać Jennifer i ośmiusetkom ludzi zgromadzonych na sali, że nagle odnalazł miłość.

Skończył śpiewać, uklonił się publiczności, a potem przez nienaturalnie długą chwilę spoglądał w skupieniu na Jennifer. Wreszcie odszedł. Znowu rozległy się owacje, ale tym razem światła się zapaliły na dobre i orkiestra głośno zagrała wiązanek przebojów do tańca.

Allen zaprosił Annę na parkiet. Wstając zauważyła, że Lyon również prowadzi tam Jennifer. Zobaczył ją i pomachał na powitanie.

- Witaj, Anno. A to pewnie Allen, któremu zawdzięczam mieszkanie. - Uśmiechnął się serdecznie. Wszyscy przedstawili się sobie nawzajem, kołysząc się w takt muzyki. Annę kilka razy potrąciły jakieś pary, które chciały precyzyjnie się bliżej Jennifer.

Dziewczyna ciepło uśmiechnęła się do Anny.

- Okropnie tu, prawda? Za każdym razem, kiedy się poruszę, z sukienki odpada chyba ze sto kryształków.

Anna szukała odpowiedzi, ale udało jej się tylko przywołać na twarz sztywny uśmiech. Rozdzielili się i Allen w tańcu poprowadził ją w przeciwny koniec małego parkietu.

Tłum szybko się przerzedził. Zostało już tylko kilku maruderów, którzy chcieli dokończyć drinki. Anna zauważyła, że stolik Jennifer i jej towarzystwa opustoszał jako jeden z pierwszych. Zastanawiała się, gdzie poszli. Zapewne do jakiegoś lokalu z większym parkietem. Dokuczał jej ból głowy i marzyła o tym, by jak najszybciej wrócić do domu, ale Gino nie miał jeszcze ochoty kończyć wieczoru.

- Chodźmy do El Morocco. Napijemy się czegoś przed snem - zaproponował, kiedy kelner przyniósł rachunek.

Anna w głębi duszy była wdzięczna Adeli, która oznajmiła, że dla niej jest już za późno, bo jutro gra w popołudniowym przedstawieniu.

Po paru dniach nazwisko Anny znów ukazało się w kolumnie towarzyskiej. Ronnie Wolf napisał notatkę o jej pierścionku

zaręczynowym. Kiedy Anna przyjechała do biura, dziewczęta, na czele z panną Steinberg, już na nią czekały, drżąc z podniecenia.

- Pokaż nam go! - zażądała recepcjonistka. - Kiedy go dostałaś?

- Naprawdę ma dziesięć karatów? - zaciekała się panna Steinberg.

Anna niechętnie wyciągnęła rękę, a koleżanki westchnęły zachwycone. Dotychczas nosiła pierścionek oczkiem na dół, więc go nie zauważyły. Był zbyt cenny, żeby zostawiać go w wynajętym pokoju, a obiecywała sobie, że zwróci go Allenowi tak szybko, jak tylko możliwe. Teraz jednak wszyscy dowiedzieli się o jego istnieniu.

Segregowała pocztę, kiedy wszedł Lyon Burke. Zatrzymał się przy jej biurku, wziął ją za rękę, gwizdnął i wypuścił jej dłoń.

- Ale ciężki! - powiedział i dodał po chwili: - Allen jest bardzo miły.

- Owszem - przyznała niepewnym głosem. - Jennifer North też wydaje się miła.

Dziwny uśmiech przebiegł przez jego usta.

- Jennifer North to jedna z najsympatyczniejszych dziewczyn, jakie znam - oznajmił cicho. - Jest naprawdę miła. - Zniknął za drzwiami gabinetu.

Anna siedziała z nieszczęśliwą miną. Czyżby wziął jej wypowiedź za złośliwość? Przecież Jennifer rzeczywiście zrobiła na niej miłe wrażenie. Powiedziała to szczerze. Może tylko zabrzmiało to niezbyt przekonująco, bo była zmieszana.

Wymówiła się od lunchu z koleżankami i przez godzinę spacerowała po Piątej Alei. Patrzyła z roztargnieniem na wystawę sklepu z różnymi drobiazgami i myślała o Neely. Wczoraj kupiła jej talizman, zajęczką łapkę - dziś rano zaczynały się próby do musicalu. Zazdrościła przyjaciółce - jest taka żywiołowa i nieskomplikowana. Komuś takiemu jak Neely nigdy nie przydarzy się nic złego.

Kiedy wróciła, zobaczyła na biurku gazetę. Pomyślała, że z pewnością zostawiła ją tu któraś z koleżanek. Pewnie w środku jest jakaś wzmianka o jej pierścionku. Miała już wyrzucić ją do kosza, kiedy zobaczyła kartkę firmowego papieru przyklejoną do rogu. U góry wydrukowany był napis: „Wiadomość od Lyona Burke”. Na dole Lyon napisał własnoręcznie: „Może zainteresować Annę Welles. Strona druga”.

Zobaczyła tam piękne zdjęcie Jennifer - w towarzystwie Tony'ego Polara! Tytuł głosił: NAJNOWSZY ROMANS NA BROADWAYU. Notatka była utrzymana w lekkim, ironicznym tonie. Zacytowano słowa Tony'ego: „Czułem się tak, jakby uderzył we mnie piorun”. Język Jennifer był mniej kwiecisty, ale dziewczyna skromnie przyznała, że sympatia jest obopólna. Po koncercie przedstawił ich sobie wspólny przyjaciel, Lyon Burke.

„Lyon przyprowadził ją i po prostu rzucił w moje ramiona” - mówił dalej Tony. „Powiedział mi: «Tony, obiecałem ci, że w dniu premiery dostaniesz prezent».”

Anna złożyła gazetę i usiadła wygodniej. Poczowała jakąś niewytłumaczalną radość. „Lyon rzucił ją w moje ramiona...” Wciąż powtarzała w myślach to zdanie.

- Anno...

Otrząsnęła się z zamyślenia. Przed jej biurkiem stała Neely.

- Wiem, że nie powinnam cię tu nachodzić, ale nie mogę wrócić do domu. Musiałam się z tobą zobaczyć. - Na twarzy Neely błyszczały łzy.

- Dlaczego nie jesteś na próbie? - zapytała Anna. Neely nagle wybuchnęła nieopanowanym płaczem.

Anna spojrzała z niepokojem na zamknięte drzwi do gabinetu Henry'ego.

- Siadaj. - Usadziła przyjaciółkę na swoim krześle. - Zaczekaj tu... Postaraj się opanować. Wezmę płaszcz i pójdziemy do domu.

- Nie chcę jechać do domu - upierała się Neely. - Nie potrafiłabym wejść do tego pokoju. Kiedy z niego rano wychodziłam, byłam taka szczęśliwa. Napisałam szminką na lustrze: „Gauchos podbijają Broadway!” Teraz nie mogłabym na to patrzeć.

- Ależ Neely, nie możesz tu siedzieć... i dostawać ataku hysterii.

- A dlaczego nie? Ja nie skończyłam Radcliffe. Jeśli mam ochotę histeryzować, robię to, gdzie zechcę. A teraz jestem właśnie tutaj. - Łzy spływały po policzkach i kapały na sukienkę. - Ooo! - Neely zawodziła coraz głośniej. - Spójrz... moja nowa sukienka. Poplamiłam ją łzami. Tego pewnie nie da się wyczyścić?

- Zapnij płaszcz. Plamy wyschną i znikną. - Patrzyła, jak Neely posłusznie zapina guziki. W głębi duszy nie żałowała, że Neely zniszczyła sukienkę. Ta kreacja była okropna. („Neely, nikt nie chodzi do pracy w sukni z fioletowej tafty” - powiedziała jej, kiedy

przyjaciółka pokazała jej nabytek. „Ty się tak nie ubierasz - odparła Neely - ja się chcę wyróżniać na próbie".)

Anna usiadła.

- Dobrze, jeśli chcesz, możemy tu zostać. Postaraj się wszystko spokojnie mi opowiedzieć. Dlaczego nie jesteś na próbie?

- Nie przyjęli mnie do obsady.

- Chcesz powiedzieć, że nie podpisali umowy z Gaucheros?

- Och, Anno! To okropne! I podpisali, i nie...

- Zaczniij od początku. Co się stało?

- Przyjechałam tam rano, nawet pięć minut wcześniej niż trzeba. Umalowałam się ładnie i schowałam do torby łapkę od ciebie, na szczęście. Potem zjawił się jakiś chudy pedzio, ostrzyżony na jeża. Miał ze sobą egzemplarz tekstu. Potem przyszli Dickie i Charlie...

- Neely, przejdź do sedna sprawy!

- Nie ma sedna sprawy. Opowiadam ci, jak było. Następnie przyjechały tancerki. Poczułam się okropnie, mimo nowej sukienki. Szkoda, że nie widziałas, jak one były ubrane. Sześć miało prawdziwe futra z norek, a reszta była w bobrach i srebrnych lisach. Żadna nie miała zwykłego płaszcza! Wszyscy wokół się znali, oprócz nas. A kiedy weszła Jennifer North, można by pomyśleć, że to wkroczyła sama Rita Hayworth. Asystent reżysera podbiegł do niej cały w ukłonach i dziękował jej, że raczyła do nas dołączyć. Spóźniła się dziesięć minut, a on się zachwycał, że w ogóle przyszła. Czułam się podle. W ogóle tam nie pasowaliśmy. Widać było, że występujemy w tanich klubach.

Charlie się nie ogolił porządnie, a Dickie zachowywał się jeszcze bardziej pedziowato niż zwykle. Moja sukienka wyglądała tak, jakbym zapłaciła za nią dziesięć dolarów. Przez jakieś piętnaście minut wszyscy witali się ze wszystkimi i rozmawiali o ostatnich przedstawieniach, w których razem występowali. Nawet dziewczyny z chórką się znały. Potem przyszedł reżyser. Wydaje mi się, że to też pedał.

- Neely... - Anna starała się ukryć zniecierpliwienie. - Powiedz mi wreszcie, co się stało.

- Przecież mówię! Niczego nie opuszczam. Potem zjawiała się Helen Lawson, niby jakaś angielska królowa. Reżyser ją przedstawił. Powiedział: „Oto nasza gwiazda, pani Lawson". Miałam wrażenie, że zaraz wszyscy wstaną i odśpiewają hymn narodowy czy coś w tym

rodzaju. Reżyser po kolei podchodził z nią do wszystkich i przedstawiał tych, których jeszcze nie знаła. Potem podeszli do nas... - Neely przerwała. W jej oczach znów pokazały się łzy.

- I co dalej? - ponagliła Anna.

- Kiwnęła głową Dickiemu i Charliemu, ale na mnie spojrzała jak na powietrze, jakby mnie tam wcale nie było. Anno, ona jest jak bryła lodu. Wreszcie odezwała się do Charliego i Dickiego takim okropnym tonem: „A tak. To wy jesteście Gauchos. Będziemy razem tańczyć. Lepiej zacznijcie jeść dużo szpinaku, bo będziecie musieli mnie podrzucać wysoko do góry”.

- Ją?

- No właśnie. Ją. Wstałam i powiedziałam: „Dzień dobry, pani Lawson. Jest troje Gauchos. Ja też należę do grupy. Nazywam się Neely...” Ona nawet na mnie nie popatrzyła, tylko zwróciła się do reżysera: „Myślałam, że wszystko zostało załatwione”. Potem odwróciła się na pięcie i odeszła. Kilka minut później reżyser odwołał Charliego do kąta i chwilę rozmawiali. Wyglądało to tak, jakby reżyser na niego krzychał, a Charlie próbował się tłumaczyć. Wreszcie Charlie wrócił i powiedział: „Słuchaj Neely, oni nie wybrali nas po to, żebyśmy pokazali nasz numer. Chcą zrobić parodię naszego tańca. To wymarzony epizod. Będziemy tańczyć z Helen Lawson”.

- Ale co z tobą? - zapytała Anna. - Przecież masz umowę. Neely potrząsnęła głową.

- Charlie zawsze podpisuje nasze umowy. W tej jest po prostu napisane „Gauchos”. Płacą pięćset dolarów na tydzień. On z Dickiem mieli dostać po dwieście, a ja sto. Teraz Charlie mówi, że i tak dostanę swoje pieniądze, mimo że nie będę pracowała. Ale ja mu nie ufam. Jeśli tak łatwo się mnie pozbyli z zespołu, jak mam uwierzyć, że mi zapłacą? A poza tym, co mam robić? Siedzieć w tej klatce i patrzeć w ścianę? Nikogo nie znam, całe życie występowałam.

- To okropne - zgodziła się Anna. - Ale rozumiem problem Charliego. Jeśli zgodzili się tylko na nich dwóch, nie mógł tego odrzucić i zrezygnować z takich pieniędzy. Może znalazłabyś sobie inną pracę, żeby się czymś zająć?

- Co miałabym robić?

- Cóż... Porozmawiamy o tym w domu. Coś wymyślimy. Mogę cię wysłać do tej samej agencji, która znalazła dla mnie pracę i...

- Nie umiem pisać na maszynie. Nie skończyłam college'u. Nic nie umiem robić, a poza tym chcę wystąpić w tym musicalu! - Neely gwałtownie się rozszlochała.

- Neely, proszę - błagała Anna. Widziała, że panna Steinberg i pozostałe dziewczęta przyglądają im się ciekawie. Jej najgorsze obawy się urzeczywistniły, kiedy Lyon Burke otworzył drzwi. Uśmiechnęła się do niego niepewnie, kiedy stanął nad zawodzącą przyjaciółką.

- To Neely. Jest trochę zdenerwowana.

- Można by to dosadniej określić. Neely podniosła wzrok.

- Rany, przepraszam. Kiedy płaczę, zawsze robię to głośno. - Spojrzała na niego rozszerzonymi oczyma. - Pan nie jest Henry Bellamy, prawda?

- Nie, nazywam się Lyon Burke. Neely uśmiechnęła się przez łzy.

- Rany, teraz rozumiem, o czym mówiła Anna.

- Neely spotkało dzisiaj wielkie rozczarowanie - wtrąciła szybko Anna.

- Rozczarowanie! Ja mam ochotę umrzeć. - Udowodniła to kolejnym wybuchem płaczu.

- Nie będzie ci wygodnie umierać na tym twardym krześle - stwierdził Lyon. - Może się przeniesiemy z tą tragiczną ceremonią do mojego gabinetu?

Usadowiona wygodnie w skórzanym fotelu Lyona, Neely jeszcze raz opowiedziała całą historię, przerywając ją gorzkim łkaniem. Kiedy skończyła, Anna spojrzała na Lyona i powiedziała:

- To rzeczywiście mogło przyprawić ją o szok. Ten angaż wiele dla niej znaczył.

Lyon współczująco skinął głową.

- Nie mogę uwierzyć, że Helen Lawson tak postąpiła.

- To wstrętna jędza! - krzyknęła Neely.

- Nie będę jej bronił. Jest twarda, ale to do niej niepodobne. Kazałaby komu innemu wykonać za siebie taką brudną robotę, chyba ze sama została zaskoczona.

- Wszystko się odbyło tak, jak opowiedziałam. Nic nie zmyśliłam - przekonywała Neely.

Lyon zapalił papierosa i na chwilę się zamyślił.



- Czy chciałabyś wystąpić w tym musicalu, nawet gdybyś nie należała już do Gauchos? - zapytał w końcu.

- To dranie! Po tym, jak mnie urządzili, już nigdy nie będę z nimi pracować. Ale co mogłabym tam robić?

- Musical można rozciągnąć jak gumkę - wyjaśnił Lyon. - To już od nas zależy, czy znajdziemy tam dla ciebie miejsce. - Podniósł słuchawkę i wykręcił jakiś numer. Obie słuchały z zaciekawione, kiedy poprosił do telefonu Gilberta Case'a, producenta spektaklu. Lyon powitał go wylewnie i z początku rozmawiał z nim o nadchodzących rozgrywkach futbolowych. Na końcu, niby przypadkiem, przystąpił do rzeczy.

- Przypomniało mi się, Gil, że podpisałeś umowę z zespołem tanecznym Gauchos... Tak, wiem, że Helen chce wykonać z nimi parodię tańca. Ale czy wiesz, że Gauchos to trio?... Tak... jasne, że nic cię to nie obchodzi... - Gil Case mówił dalej, ale Lyon nakrył dłonią słuchawkę i wyszeptał do Neely: - Twój szwagier to niezły drań. Wiedział, że nie wystąpisz, jeszcze zanim podpisał kontrakt.

Neely zerwała się na równe nogi.

- To znaczy, że ten łobuz pozwolił mi przyjść na próbę wiedząc, że zrobię z siebie idiotkę? Ja go... - Lyon uciszył ją ruchem dłoni, ale oczy Neely nadal płonęły gniewem. - Pójdę tam i go zabiję - wymamrotała.

- Słuchaj, Gil - zaczął Lyon lekkim tonem. - Wiem, że to nie twój problem. Technicznie rzecz biorąc, nic ci nie można zarzucić. Jeśli ci chłopcy obiecali ci, że zaopiekują się swoją partnerką, trudno się dziwić, że im uwierzyłeś.

Anna zauważyła, że Lyon przygląda się Neely z uwagą. Wiedziała, że starał się zyskać na czasie. Znów zasłonił ręką słuchawkę i wyszeptał:

- Neely, ile masz lat? Tylko mów prawdę!

- Dziewiętnaście...

- Ma siedemnaście - syknęła Anna.

- Muszę mówić, że mam dziewiętnaście, bo inaczej w niektórych stanach nie mogłabym pracować - upierała się Neely.

Na twarzy Lyona wykwitł zwycięski uśmiech.

- Gil, to jasne, że nie chcemy mieć żadnych kłopotów - oświadczył pogodnie. - Ściągnęliśmy Helen Lawson, mamy też dobrego choreografa, no i Jennifer North. Zależy nam na tym, żeby

wszystko szło gładko. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy, to żeby nam wytoczyli proces. Tak, powiedziałem proces. Gil, ta dziewczyna, której pozbyli się Gauchos, ma dopiero siedemnaście lat. A oni ciągali ją po całym kraju i zatajali jej prawdziwy wiek. Jeśli ich zaskarży, wpadniemy w tarapaty. Zdaje się, że na kontrakcie jest napisane tylko Gauchos... nie ma tam nic o zmianie dotychczasowego składu zespołu. Gil, wiem, że według nich wszystko jest w porządku, ale tak naprawdę możemy mieć kłopoty. Skąd wiem, że nas zaskarży? Bo właśnie siedzi w moim biurze. - Mrugnął do Neely i leniwie zapalił papierosa. - Tak, wiem, że teraz trudno będzie znaleźć nowy zespół taneczny. Ale wydaje mi się, że możemy rozwiązać ten problem przez telefon. Gauchos mają typowy kontrakt związkowy na pięćset dolarów, tak? Możesz w każdej chwili go zerwać w ciągu pierwszych pięciu dni, bez płacenia grosza odszkodowania, prawda? Więc powiedz im, jak wygląda sytuacja, daj im nową umowę na czterysta i sporządź jeszcze jedną dla ich partnerki na sto dolarów. Włącz ją do chórkę, zrób z niej dublerkę, niech zagra epizod, cokolwiek, niech tylko będzie w obsadzie. Nie będzie cię to nic kosztowało, a wszyscy się ucieszą... Oczywiście. Tak, powiem jej, żeby przyszła jutro na próbę... świetnie... W Copa? Kiedy, dzisiaj wieczorem? Z przyjemnością do was dołączę. Dobrze, do zobaczenia w klubie. - Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się do Neely. - Młoda damo, dostałaś się do musicalu.

Przebiegła przez pokój i zarzuciła mu ramiona na szyję w żywiołowym wybuchu radości.

- Och, panie Burke... Pan jest wspaniały! - Potem podbiegła do Anny i uściskała ją. - Anno, kocham cię! Nigdy tego nie zapomnę!

Jesteś moją jedyną przyjaciółką. Nawet mój własny szwagier zwrócił się przeciwko mnie. A siostra... wstrętne gnida musiała o wszystkim wiedzieć! Charlie nie śmiałyby wykręcić takiego numeru bez jej wiedzy. Och, Anno, jeśli mi się kiedykolwiek powiedzie i zrobię jakąś karierę... Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, odwdzięczę ci się. Przysięgam, że...

Anna łagodnie wyswobodziła się z jej uścisku.

- Bardzo się cieszę, Neely. Naprawdę. Zadzwoił telefon. Odebrał go Lyon.

- To znowu Gil Case - wyszeptał z dłonią na słuchawce. Anną szarpnął niepokój, ale zaraz się uspokoiła, bo usłyszała, że Lyon się

roześmiał. - Nie mam pojęcia, Gil. - Zwrócił się do Neely. - Tak na marginesie, jak się nazywasz?

Dziecinne oczy rozwarły się szeroko.

- Neely.

- Neely - powtórzył Lyon do telefonu. - Tak, Neely. - Spojrzał na dziewczynę, żeby się upewnić, czy nie przekreślił imienia. Niepewnie skinęła głową. - A nazwisko? - zapytał.

Patrzyła na niego zaskoczona.

- Rany... no, nie wiem. To znaczy, zawsze występowałam jako jedna z Gauchos, więc nie podawałam żadnego nazwiska. Nie mogę przecież występować jako Ethel Agnes O'Neill.

Lyon znów położył dłoń na słuchawce.

- Czy mam mu powiedzieć, żeby zaczekał do jutra, aż coś wymyślisz?

- Żeby miał okazję zmienić zdanie? Nigdy w życiu! Anno, jak mam się nazwać? Mogę użyć twojego nazwiska? Neely Welles?

- Jestem pewna, że wymyślisz coś ładniejszego - uśmiechnęła się Anna.

Neely w popłochu spojrzała na Lyona.

- Panie Burke?

- Neely Burke nie brzmi tak jak trzeba. - Potrząsnęła głową. Neely przez chwilę stała bez ruchu. Nagle oczy jej rozbłyły.

- Neely O'Hara!

- Co takiego? - chórem wykrzyknęli Anna i Lyon.

- Neely O'Hara. Doskonale. Jestem Irlandką z pochodzenia, a Scarlett jest moją ulubioną bohaterką...

- Niedawno przeczytała Przemięło z wiatrem - wyjaśniła Anna.

- Neely, jestem pewien, że wymyślisz coś bardziej eufonicznego - zapewnił ją Lyon.

- Bardziej jakiego?

- Tak, Gil. Jeszcze się nie rozłączyłem - powiedział do telefonu. - Mamy tu krótką naradę na temat nazwiska.

- Chcę grać jako Neely O'Hara - nalegała Neely.

- Ona nazywa się Neely O'Hara - przekazał odsłaniając zęby w uśmiechu. - Tak, O'Hara. Zgadza się. Przynieś umowę jutro na próbę - to bardzo porywcza dziewczyna. Wypisz zwykły kontrakt związkowy, nie do baletu. Od razu włączmy ją do zespołu. - Odłożył słuchawkę. - A teraz, panno O'Hara, lepiej niech pani idzie do związku aktorów i

natychmiast się do niego zapisze. Żądają wysokiej opłaty wstępnej, być może nawet ponad sto dolarów. Jeśli potrzebujesz zaliczki...

- Odłożyłam siedemset dolarów - dumnie wyznała Neely.

- Świetnie. Jeśli jesteś zdecydowana na to nazwisko, z przyjemnością dopilnuję wszystkich formalności, żeby cię pod nim zarejestrowano.

- To znaczy, żeby nikt mi go nie ukradł?

- Powiedzmy, że po to, żeby ci ułatwić życie. Będziesz miała konto, ubezpieczenie...

- Konto? Rany, a po co mi konto? Znowu zadzwonił telefon.

- O, rany - jęknęła Neely. - Założę się, że się rozmyślił. Lyon odebrał.

- Halo? Cześć... - Głos mu się zmienił. - Tak, widziałem artykuł w gazecie. Mówiłem ci od początku, że tylko zabawiałem się w Amora... Daj spokój... - Roześmiał się. - Przy tobie czuję się bohaterem. Słuchaj, Diano, skarbie, mam tu kogoś w biurze i nie chcę, żeby czekał. Porozmawiamy o tym wieczorem. Masz ochotę obejrzeć występy w Copa? Gil Case nas zaprosił... Dobrze, przyjadę po ciebie około ósmej... Grzeczna dziewczynka. Cześć. - Odwrócił się do Neely i Anny i uśmiechem poprosił o wybaczenie za tę przerwę w rozmowie.

Anna wstała.

- Zajmujemy ci za dużo czasu. Bardzo dziękuję, Lyon.

- Nie ma za co. Mam wobec ciebie wielki dług wdzięczności... Prawdę mówiąc, to twoja zasługa, że mam gdzie spać. Tą przysługą zacząłem spłacać swój dług.

Kiedy wyszły z jego gabinetu, Neely wykonała piruet, zatańczyła i serdecznie uściśnęła Annę.

- Jestem taka szczęśliwa, że mogłabym krzyknąć na całe gardło!

- Ja też się cieszę, że ci się udało. Neely przyjrzała się przyjaciółce.

- Co ci jest? Wyglądasz na zmartwioną. Jesteś zła, że przyszłam bez zapowiedzi? Przepraszam. Ale Lyon się nie zdenerwował, a pan Bellamy nawet nie wiedział, że tam jestem. Anno, proszę cię, powiedz, że nie jesteś na mnie zła, bo inaczej będę miała popsuty cały dzień.

- Nie jestem zła, tylko zmęczona. Mówię prawdę, Neely. - Usiadła za biurkiem.

Neely spojrzała na nią zdziwiona.

- No, tak. Ostatnio obie wiele przeżyłyśmy. - Nachyliła się i uściskała przyjaciółkę. - Kiedyś ci się odwdzięczę. Jeszcze nie wiem jak, ale to zrobię. Przysięgam!

Patrzyła, jak Neely w podskokach wybiega z biura. Mechanicznie wsunęła papier do maszyny do pisania. Kalka pobrudziła jej pierścionek zaręczynowy. Starannie go wytarła i zaczęła pisać.

Anna uświadomiła sobie, że żyje przygotowaniami do wystawienia musicalu Pod samo niebo. Z początku jej kontakt z tym ograniczał się do wysłuchiwanie szczegółowych sprawozdań Neely z codziennych prób. Przyjaciółkę dołączono do baletu, więc przez trzy kolejne dni pokazywała Annie każdy nowy krok. Wtem nadeszła zaskakująca wiadomość: Neely dostała „rolę” - trzy linijki tekstu w scenie grupowej. Ale jej szczytowym osiągnięciem było to, że została dublerką.

- Możesz to sobie wyobrazić? - zapytała Neely. - Ja miałabym zastępować Terry King! Ona gra najważniejszą drugoplanową rolę i zwykle Helen dobiera sobie najbrzydszą i najgłupszą debiutantkę, jaką można znaleźć. Ale Terry King jest seksowna i piękna. Nawet sobie nie wyobrażam, że mogłabym wyglądać seksownie i pięknie.

- Więc dlaczego cię wybrali?

- Chyba nie mieli innego wyjścia. Ja jedyna z całego baletu potrafię śpiewać. A poza tym zwykle nie angażują prawdziwych dublerów aż do czasu premiery. Ja będę to robić tylko na tournée.

- Dobrze śpiewasz?

- Co? Pewnie tak samo, jak tańczę. Chociaż muszę się przyznać, że szybciej uczę się kroków niż większość innych dziewcząt z baletu.

- Wyrzuciła wysoko nogę i omal nie rozbiła lampy. - Teraz muszę tylko znaleźć jakiegoś chłopaka i będę urządzona.

- Podoba ci się ktoś z zespołu?

- Chyba żartujesz. Musical to pod tym względem pustynia, chyba że się jest pedałem. Dickie ma używanie wśród tych chłopców z baletu, może sobie wybierać według uznania. Odtwórca głównej roli nie jest pedałem, ale ma żonę, która wygląda jak jego matka, ciągle siedzi na widowni i ani na sekundę nie spuszcza go z oka. Facet, który partneruje Terry King, jest łysy i nosi perukę. Jedyne normalny to stary rozpustnik, który gra ojca Helen. Ma co najmniej sześćdziesiąt pięć lat i tylko jedno mu w głowie. Ale jedna z dziewczyn z baletu ma

chłopaka, a on ma przyjaciela, Mela Harrisa. On jest agentem prasowym. Ta dziewczyna obiecała, że kiedyś wybierzemy się gdzieś we czworo. Mam nadzieję, że coś z tego wyjdzie... To byłoby okropne, gdybym nie mogła umówić się z chłopakiem po własnej premierze. Nadal masz zamiar przyjść z George'em Bellowsem?

- Oczywiście, że nie. Jestem... zaręczona z Allenem.

- W takim razie kupię ci dwa bilety. To będzie mój prezent dla ciebie.

- Nie dostajesz darmowych wejściówek?

- Ależ skąd! Nikomu ich nie dają, nawet Helen Lawson. Ale ona wykupuje cztery miejsca na każdy wieczór i ktoś mi mówił, że jeśli musical chwyta, sprzedaje bilety konikom i zarabia na tym fortunę.

- Neely, nie mogę pozwolić, żebyś kupowała mi bilety... Allan to załatwi. Słuchaj, jeśli z Melem nic nie wyjdzie, po premierze zaprosimy cię na kolację.

Neely spotkała się z Melem Harrisem następnego tygodnia. Stwierdziła, że jest boski. Zabrał ją do Toots Shor's i wszystko jej o sobie opowiedział. Miał dwadzieścia sześć lat, skończył nowojorski uniwersytet, pracował jako agent prasowy i miał nadzieję, że kiedyś zostanie producentem. Mieszkał w małym hoteliku w centrum i co piątek jeździł do Brooklynu, żeby zjeść kolację z rodziną.

- Wiesz, Żydzi są bardzo rodzinni - wyjaśniła Neely.

- Lubisz go? - zapytała Anna.

- Kocham go!

- Neely, spotkałaś się z nim tylko raz i już zdążyłaś się zakochać?

- I kto to mówi. Ty też tylko raz byłaś na lunchu z Lyonem Burke.

- Neely! Nic mnie z nim nie łączy. Nawet o nim nie myślę. Prawdę mówiąc, zaczynam bardziej lubić Allena.

- Cóż, ja wiem, że kocham Mela. Jest przystojny. Może nie tak jak Lyon, ale i tak wspaniały.

- Jak wygląda?

Neely wzruszyła ramionami.

- Przypomina trochę Georgie Jessela, ale ja za nim szaleję. I wcale się do mnie nie dobierał, mimo że skłamałam i powiedziałam mu, że mam dwadzieścia lat. Bałam się, że się wystraszy, kiedy się dowie, że mam siedemnaście.

Neely wysunęła głowę w stronę otwartych drzwi. Siedziały u Anny, a telefon znajdował się na dole, tuż obok pokoju Neely. Było to jednocześnie wygodne i bardzo kłopotliwe, bo dziewczyna musiała przekazywać wiadomości wszystkim mieszkańcom domu.

- Tym razem to do mnie - pisnęła, kiedy usłyszała cichy dzwonek. Pięć minut później przybiegła na górę, zdyszana i uszczęśliwiona.

- To był on! Zabiera mnie dzisiaj do Martinique! Zajmuje się jakimś piosenkarzem, który tam występuje.

- Chyba dobrze mu się powodzi - domyśliła się Anna.

- Nie, zarabia tylko stówę tygodniowo. Pracuje dla Irvinga Steinera, który ma co najmniej dwunastu poważnych klientów. Mel niedługo założy własny interes, chociaż stara się też zaczepić w radiu. Wiesz, podobno Żydzi są wspaniałymi mężami.

- Też tak słyszałam. Ale co myślą o irlandzkich żonach? Neely zmarszczyła brwi.

- Zawsze mogę mu powiedzieć, że jestem trochę Żydówką, i że O'Hara to tylko sceniczny pseudonim.

- Nie uda ci się go nabrać.

- Spróbuję, jeśli będę musiała. Wyjdę za niego za męża. Sama zobaczysz. - Splotła ramiona i zatańczyła po pokoju, cicho nucąc.

- Jaka ładna piosenka. Co to jest?

- Z musicalu. Hej, Anno, dlaczego nie przyjmiesz tego futra z norek, które chce ci podarować ojciec Allena? Mogłabyś mi wtedy sprzedać swój czarny płaszcz. Potrzebuję czarnego płaszcza.

- Neely, zaśpiewaj to jeszcze raz.

- Dlaczego?

- Po prostu zaśpiewaj.

- To numer Terry King. Ale wydaje mi się, że Helen Lawson chce jej go zabrać. Już podkrađa Terry dwie piosenki. Biedaczce zostały tylko dwie, ta i jeszcze jedna, która jest strasznie sentymentalna, więc Helen nie może jej zabrać, bo zupełnie nie pasuje do jej roli.

- Zaśpiewaj, Neely. Tę, którą przed chwilą nuciłaś.

- A sprzedasz mi swój czarny płaszcz, kiedy dostaniesz futro?

- Oddam ci go za darmo... jeśli kiedykolwiek przyjmę te norki. Zaśpiewaj piosenkę.

Neely westchnęła i jak dziecko poproszone, żeby wyrecytowało wiersz, stanęła na środku pokoju i zaśpiewała balladę. Anna nie wierzyła własnym uszom. Neely miała nadzwyczajny głos, czysty jak kryształ. Niskie dźwięki śpiewała mocno i melodyjnie, a jej wysokie tony miały siłę i piękno.

- Neely, ty naprawdę potrafisz śpiewać!

- Przecież każdy to umie - odparła przyjaciółka ze śmiechem.

- Ale nie tak. Ja nie zaśpiewałabym żadnej melodii nie fałszując, nawet gdyby od tego zależało moje życie.

- Gdybyś wychowywała się wśród artystów wodewilowych, zaśpiewałabyś. Potrafię tańczyć, zonglować, a nawet chodzić na rękach. Nauczyłam się tego stojąc w kulisach.

- Ale Neely, ty naprawdę dobrze śpiewasz.

- Może dzięki temu zarobię na kawałek chleba - odparła lekceważąco.

Pod koniec drugiego tygodnia prób Anna osobiście zaangażowała się w przygotowania do wystawienia Pod samo niebo. Henry zadzwonił późnym popołudniem, kiedy miała już wychodzić z biura.

- Jak dobrze, że cię jeszcze zastałem. Słuchaj, skarbie, możesz ocalić mi życie. Utknąłem w NBC. Mają dzisiaj o dziewiątej nadawać program Eda Holsona, a ostatnie dwadzieścia minut trzeba napisać od nowa. Ed jest niemożliwy - scenarzyści chcą odejść, a on wyrzucił już producenta. Nie mogę teraz wyjść, a Helen Lawson oczekuje, że wpadnę do niej i przyniosę jej teczkę z nowymi akcjami. Leży na moim biurku.

- Mam ją wysłać przez posłańca?

- Nie, zanieś ją osobiście. Ale nie mów, że jestem w NBC. Powiedz jej, że utknąłem na naradzie zarządu w sprawie tej sprzedaży nieruchomości, która tak ją interesowała. Jeśli będzie myślała, że nie przyszedłem, bo zarabiam dla niej pieniądze, nie wścieknie się. Oddaj jej teczkę do rąk własnych i, na litość boską, przekaz tę wiadomość przekonującym tonem.

- Postaram się - obiecała.

- Pojedziesz do Booth Theatre, wejdiesz drzwiami dla artystów. Za chwilę powinni skończyć próbę. Powiedz Helen, że wszystko jej szczegółowo wyjaśnię jutro, kiedy się spotkamy.



Żałowała, że Henry ją zastał. Szkoda, że nie wyszła wcześniej. Nie umiała załatwiać takich spraw. Myśl o spotkaniu twarzą w twarz z Helen Lawson napawała ją niepokojem.

Kiedy dotarła do teatru, była zdenerwowana. Nieśmiało pchnęła czarne przerdzewiałe drzwi. Nawet stary woźny, siedzący obok kaloryfera, onieśmiał ją. Podniósł wzrok.

- No, czego?

Zastanawiała się, jak to się dzieje, że w filmach zawsze pokazują woźnego teatralnego jako serdecznego staruszka, do którego wszystkie wesołe tancerki mówią „tatku”. Ten spoglądał na nią, jakby ją podejrzewał o jakieś nieczne zamiary.

Wyjaśniła, po co tu przyszła, i na dowód pokazała teczkę.

- Tam - burknął wskazując kierunek ruchem głowy i wrócił do czytania gazety.

„Tam” natknęła się na rozgorączkowanego człowieka ze scenariuszem w dłoni.

- Co tutaj robisz? - wyszeptał ze złością.

Jeszcze raz wyjaśniła cel swojej wizyty, w duchu przeklinając Henry'ego.

- Próba jeszcze trwa - wymamrotał niechętnie. - Nie możesz tutaj stać. Wyjdź tymi drzwiami i poczekaj na widowni, aż skończymy.

Po omacku szła po ciemnym, pustym teatrze. Gil Case siedział z boku w trzecim rzędzie w kapeluszu nasuniętym na czoło dla ochrony przed jaskrawym roboczym oświetleniem sceny. Zmęczone tancerki siedziały na pustej scenie w grupce pod ścianą. Kilka z nich coś między sobą cicho szeptało, inne masowały łydki, a jedna robiła na drutach. Tylko Neely siedziała wyprostowana, nie odrywając oczu od Helen Lawson. Helen stała na środku sceny i śpiewała piosenkę miłosną w duecie z wysokim, przystojnym mężczyzną.

Wyrzucała z siebie słowa ballady w swoim niepowtarzalnym stylu. Uśmiechała się szeroko i radośnie i nawet romantyczne słowa w jej ustach brzmiały energicznie i żywiołowo. Kiedy nastrój ballady się zmienił na komediowy, oczy Helen rzucały wesołe błyski, a kiedy nieuchronnie wracała do skargi porzuconej kochanki, twarz jej poważniała. Zbyt szeroka talia i rozłożyste biodra zdradzały, że Helen jest już kobietą w średnim wieku. Anna przypomniawszy sobie jej występy sprzed lat i miała wrażenie, że patrzy na jakiś okrutnie zniekształcony posąg. Zwykli ludzie starzeją się z większą gracją, ale

dla słynnych gwiazd, szczególnie kobiet, czas staje się wandalą, który niszczy dzieło sztuki, jakim jest ich ciało. Figura Helen zawsze była jej mocnym punktem. Znana ją przede wszystkim z komedii, w których prezentowała wspaniałe kreacje. Twarz, chociaż nigdy nie była klasycznie piękna, tchnęła żywiołowością i przyciągała wzrok, tak samo jak grzywa kręconych, długich czarnych włosów.

Helen od pięciu lat nie miała żadnej premiery na Broadwayu. Jej ostatni musical wystawiano tu przez dwa lata, a potem pokazywano w całym kraju podczas rocznego tournée. Właśnie wtedy poznała ostatniego męża. Podczas występów w Omaha i Nebrasce odbyły się pospieszne zaloty, o potem huczny ślub, na którym Helen powiedziała reporterom, że zamierza zamieszkać na rancho męża, kiedy tylko dojedzie do końca trasy. Tam odegra najwspanialszą, ostatnią rolę - dobrej żony. Potężnie zbudowany, uśmiechnięty mąż, Red Ingram, też zapewniał dziennikarzy, że miejsce Helen jest na jego rancho. „Nigdy nie widziałem tej dziewczyny na scenie - oznajmił całemu światu. - Może to i dobrze, bo już dawno przerwałbym jej karierę. Ta dziewczyna jest dla mnie stworzona.”

Helen osiadła na wsi - na dwa lata. Potem agencje AP i UP znowu zaczęły przekazywać jej zdjęcia, kiedy wyznała wszem wobec, że „życie na rancho to istne piekło”, i że jej prawdziwym domem jest Broadway. Henry szybko załatwił jej rozwód w Reno, a kompozytorzy i libreciści zasypali ją propozycjami. Teraz Helen wróciła tam, gdzie jej miejsce - na scenę. Miała zagrać główną rolę w Pod samo niebo.

Ona nie może grać amantki - pomyślała Anna. Nie z takim otłuszczonym podbródkiem. Przecież to niemal podwójna broda. A jednak Helen właśnie śpiewała miłosną piosenkę, oczy błyszczały jej wesoło, dawna żywotność pozostała nietknięta, a czarne włosy wciąż spływały w lokach na ramiona... Z tekstu ballady Anna wywnioskowała, że Helen gra wdowę, która szuka nowej miłości. Być może miałyby jakieś szanse, gdyby tylko zrzuciła przed występem jakieś siedem kilogramów. Czy nie zdawała sobie sprawy, jakich zmian dokonały w jej wyglądzie upływające lata? Może dokonało się to stopniowo, tak że nic nie zauważyła? Anna nie widziała jej od ośmiu lat i pewnie dlatego wygląd artystki tak ją zaskoczył. Może Helen we własnych oczach nadal wygląda młodo i szczupło.

Takie myśli przebiegały jej przez głowę, kiedy patrzyła, jak gwiazda wykonuje swój numer. Jednocześnie rozumiała, że magnetyzm Helen nie wynika z jej twarzy czy figury. Było w niej coś, co przykuwało uwagę i kazało szybko zapomnieć o pulchnej talii i obwisłym podbródku. Dostrzegało się tylko jej niezwykle ciepło i zawadiacki humor.

Kiedy skończyła śpiewać, Gilbert Case zawołał:

- Wspaniale, Heleno! Cudownie!

Stała na skraju sceny i spojrzała na niego z góry.

- To gówno! - oznajmiła. Gilbert nie zmienił wyrazu twarzy.

- Polubisz tę piosenkę. Z początku nie podoba ci się żadna romantyczna ballada.

- Chyba żartujesz! Ta, którą śpiewałam z Hugh Millerem w Miłej damie, bardzo mi się podobała, i to od chwili, kiedy ją usłyszałam. W dodatku Hugh był głuchy jak pień. Musiałam śpiewać za niego i za siebie. Bob przynajmniej nie fałszuje. - Ruchem głowy wskazała na przystojnego, sztywnego mężczyznę przy jej boku. - Nie wmawiaj mi więc, że z czasem ją polubię. Nienawidzę, kiedy się miesza komedię z melodramatem. Melodia jest w porządku, ale radzę ci, żebyś kazał Lou napisać lepsze słowa.

Odwróciła się i zniknęła za kulisami. Asystent reżysera zapowiedział, że jutrzejsza próba rozpocznie się o jedenastej, i przypomniał, że nazwiska tych, którzy mają zgłosić się do przymiarki, są wywieszane na tablicy. Błagał, żeby wszyscy przyszli do Brooksa na czas. Wokół panowało ogólne zamieszanie i wyraźnie nikt się nie przejmował atakiem Helen na piosenkę - nawet Gilbert Case. Wstał wolno z fotela, zapalił papierosa i wyszedł z widowni.

Kiedy scena opustoszała, Anna ostrożnie wróciła za kulisy. Młody człowiek ze scenariuszem wskazał jej drzwi do garderoby Helen.

Anna zapukała i słynny schrypnięty głos zawołał:

- Wejść!

Helen spojrzała na nią zaskoczona.

- Kim, u diabła, jesteś?

- Nazywam się Anna Welles i...

- Słuchaj, jestem zmęczona i zajęta. Czego chcesz?

- Przyniosłam tę teczkę. - Anna położyła ją na toalecie. - Przysyła ją pan Bellamy.

- Aha. A gdzie, do cholery, podziewa się Henry?

- Zatrzymano go na jakimś zebraniu zarządu w sprawie nieruchomości. Powiedział, że jutro z panią porozmawia i wyjaśni, jeśli czegoś nie będzie pani rozumiała.

- Dobra, dobra. - Helen odwróciła się do lustra i dała znak ręką, że chce być sama. Anna ruszyła do drzwi, ale Helen zawołała: - Hej, zaczekaj chwilę. Czy to nie ty jesteś tą dziewczyną, o której czytałam? To ty zdobyłaś Allena Coopera, pierścionek z brylantem i tak dalej?

- Nazywam się Anna Welles. Helen roześmiała się.

- Miło mi cię poznać. Siadaj. Nie chciałam być niegrzeczna, ale nawet sobie nie wyobrażasz, jakim typom udaje się prześlizgnąć obok woźnego i nachodzić mnie w garderobie. Wszyscy chcą mi coś sprzedać! - Chwyciła Annę za rękę i gwizdnęła z uznaniem. - Piękny! Mam dwa razy taki, ale kupiłam go sobie sama. W zasadzie żaden mężczyzna nigdy mi nic nie dał - poskarżyła się, a potem wzruszyła ramionami. - Trudno, zawsze jest jakieś jutro. Może spotkam odpowiedniego człowieka, który zasypie mnie prezentami i wyzwoli od ciągłej pogoni za sukcesem. - Roześmiała się widząc zaskoczenie Anny. - Tak, dobrze słyszałaś. Myślisz, że to zabawne przez cztery tygodnie męczyć się na próbach, a potem przejść przez piekło próbnej premiery na prowincji? Nawet jeśli będzie z tego przebój, to co? Wielkie rzeczy, i tak po przedstawieniu będę chodziła do łóżka z gazetą. - Podeszła do drzwi. - Dokąd się wybierasz? Mam samochód, mogę cię podwieźć.

- Przejdę się - odparła szybko Anna. - Mieszkam bardzo blisko.

- Ja też, ale to jedna rzecz, którą zastrzegłam sobie w umowie - producent wynajmuje mi samochód z kierowcą, żeby przywoził mnie do teatru i odwoził do domu w czasie prób i przedstawień w Nowym Jorku. Chyba, że mi się poszczęści i umówię się na randkę - dodała ze śmiechem.

Kiedy wyszły na ulicę, siąpił drobny deszcz, więc Anna przyjęła propozycję Helen.

Najpierw odwieź mnie - poleciała kierowcy gwiazda. - Potem zabierz pannę Welles, gdzie sobie zażyczy.

Zatrzymali się przed jej domem. Helen impulsywnie wzięła Annę za rękę.

- Wejdz na góre na drinka, Anno. Nie znoszę sama pić. Jest dopiero szósta. Zadzwonisz ode mnie do narzeczonego. Może tu po ciebie przyjechać.

Anna chciała wracać do domu. Miała za sobą ciężki dzień. Jednak w głosie Helen usłyszała skargę samotnej kobiety, więc poszła za nią do mieszkania.

Kiedy weszły do środka, nastrój Helen się odmienił. Rozejrzała się z dumą.

- Podoba ci się? Zapłaciłam majątek temu pedałowi, który mi je urządził. Tam wisi prawdziwy Vlaminc. A to jest Renoir.

Mieszkanie było ciepłe i miłe. Anna patrzyła na ponury, zaśnięzony pejzaż Vlaminka z wielkim podziwem. Nie podejrzewała, że Helen ma i takie oblicze...

- Znam się na sztuce jak kura na pieprzu - oznajmiła gospodyni. - Ale lubię otaczać się przedmiotami w najlepszym gatunku. W tym momencie życia stać mnie na to, więc powiedziałam Henry'emu, żeby poszukał dla mnie obrazów, które będą pasowały do mieszkania i z czasem zwiększą swoją wartość. Ten Renoir jest niezły, ale Vlaminc... Koszmar! Jednak Henry twierdzi, że kiedyś będzie wart trzy razy więcej niż w dniu, kiedy go kupiłam. Chodźmy do gabinetu. To mój ulubiony pokój. Mam tam barek.

Ściany gabinetu przypominały ilustrowaną kronikę życia teatralnego Heleny. Błyszczące fotografie oprawiono starannie i zawieszono precyzyjnie w równych rzędach. Były tu zdjęcia Helen w krótkich spódnicach i fryzurach charakterystycznych dla lat dwudziestych; Helen podpisującej kij baseballowy Babe Rutha; uśmiechniętej Helen w towarzystwie burmistrza Nowego Jorku... Helen ze sławnym senatorem... Helen ze znanym autorem piosenek... Helen odbierającej nagrodę dla największej gwiazdy Broadwayu... Helen na statku do Europy z drugim mężem... Helen w czułych pozach z innymi sławami teatru. Zgromadzono tu też plakietki, oprawione wycinki z gazet i listy pochwalne. Ściany pokoju głośiły wielkość Helen Lawson.

Stała tu też biblioteczka wypełniona oprawnymi w skórę tomami - Dickens, Szekspir, Balzac, De Maupassant, Thackeray, Proust, Nietzsche. Anna domyśliła się, że to również Henry zadbał o zapełnienie półek książkami.

Helen zauważyła, że Anna przypatruje się jej zbiorom.

- Wszystko to solidna klasyka, co? Mówię ci, ten Henry zna się na wszystkim. Ale nigdy mi nie wmówisz, że ludzie rzeczywiście czytają te gówna. Kiedyś próbowałam przebrnąć przez kilka stron... Chryste!

- Niektóre z nich są rzeczywiście trudne - zgodziła się Anna. - Zwłaszcza Nietzsche.

Oczy Heleny rozszerzyły się ze zdumienia.

- Czytasz te książki? Wiesz co? W życiu nie przeczytałam ani jednej.

- Pani chyba żartuje.

- Nie. Kiedy gram w spektaklu, haruję jak wół. Po przedstawieniu, jeśli mam szczęście, wychodzę z kimś na randkę. Jeśli nie, wracam do domu sama. A kiedy wyjdę z wanny i przeczytam wszystkie pisma branżowe, recenzje i kroniki towarzyskie, już prawie zasypiam. Śpię do dwunastej, czytam popołudniową prasę, przeglądam korespondencję, dzwonię po znajomych i już jest pora kolacji. Kiedy gram, nigdy nie wychodzę z nikim na kolację i nigdy przed spektaklem nie piję. Ale po przedstawieniu lubię sobie poszaleć. No tak... Kiedyś o mało nie przeczytałam jednej książki. To było w czasie mojego ostatniego małżeństwa. Wtedy właśnie dotarło do mnie, że ten związek jest już do niczego. Jak pijesz szampana? Z lodem?

- Poproszę Coca - Colę, jeśli się pani nie pogniewa - powiedziała Anna.

- Och, daj spokój, napij się trochę mojej lemoniadki z bąbelkami. To jedyne, co piję, i jeśli mi nie pomożesz, sama wyłopię tę butelkę do dna. A wiesz, że wino tuczy? - Znacząco poklepała się po talii. - Wciąż usiłuję zrzucić ten tłuszcz, którym obrosłam na ranczo. - Podała Anne kieliszek. - Chryste! Mieszkałaś kiedyś na ranczo?

- Nie. Pochodzę z Nowej Anglii.

- Myślałam, że zapuszczę już na tym ranczo korzenie. Chodź tu... - Zaciągnęła Annę do sypialni. - Widzisz to łóżko? Ma dwa czterdzieści szerokości. To jest łóżko, które zrobiono mi na zamówienie, kiedy byłam żoną Franka. Spośród wszystkich mężczyzn tylko jego kochałam. Kazałam sobie przysłać to pieprzone łóżko do Omaha, kiedy wyszłam za Reda, a teraz sprowadziłam je sobie z powrotem.

Na pewno więcej zapłaciłam za wszystkie te przewozy, niż w ogóle jest warte. To Frank. - Wskazała fotografię stojącą na nocnej szafce. - Bardzo przystojny - wymamrotała Anne.

- Nie żyje. - W oczach Helen zalśniły łzy. - Zginął w wypadku samochodowym dwa lata po naszym rozwodzie. Ta dziwka, z którą się potem ożenił, doprowadziła go do tego. - Od westchnienia zatrzęsło się całe jej ciało.

Anna zerknęła na budzik na szafce. Było wpół do siódmej.

- Czy mogę skorzystać z telefonu?

- Chodź do salonu i zadzwoń stamtąd. Będzie ci wygodniej. Helen dolewała szampana, podczas gdy Anna wybierała numer Allena.

- Gdzie jesteś? - zapytał. - Trzy razy do ciebie dzwoniłem i za każdym razem odbierała Neely. Miała mnie naprawdę dość, zwłaszcza że się akurat szykowała na randkę z największą miłością życia. Co mi przypomina... Jestem teraz z Gino. Pyta, czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli wybierze się z nami dzisiaj na kolację.

- Zupełnie nic. Będzie mi bardzo miło, wiesz o tym.

- Świetnie. Podjedziemy po ciebie za pół godziny.

- Dobrze, tylko nie jestem w domu. Siedzę teraz u Helen Lawson. Na króciutką chwilę w słuchawce zapadła cisza.

- Opowiesz mi o tym przy kolacji - powiedział w końcu. - Chcesz, żebym wpadł tam po ciebie?

Zapisał adres.

- Jest teraz u Helen Lawson. - Słyszała, jak mówi do Gino. - Co?! Żartujesz chyba! - To też była część rozmowy z Gino. Wreszcie zwrócił się do niej: - Anno, nie wiem, czy uwierzysz, ale Gino chce, żebyś ją wzięła ze sobą.

- Och! A oni się znają?

- Nie, ale co to za różnica?

- Allen, nie mogę...

- Zapytaj ją!

Anna wahała się. Nie wypada zapraszać kobiety o pozycji Helen na randkę w ciemno! I to akurat z Gino! Allen wyczuł, że jest niezdecydowana.

- Anno, jesteś tam?

Odwróciła się do Helen.

- Allen pyta, czy nie miałyby pani ochoty wybrać się z nami na kolację. Jego ojciec też idzie.

- Mam dotrzymywać towarzystwa jego ojcu?

- Hm... Będzie nas tylko czworo.

- Jasne! - krzyknęła Helen. - Widziałam go w El Morocco. Wygląda całkiem seksownie.

- Tak, chętnie pójdzie - powiedziała chłodno do słuchawki, a potem ją odłożyła. - Będą tu za pół godziny.

- Pół godziny? Jakim cudem zdążysz w pół godziny wrócić do domu i się przebrać?

- Nie będę się przebierać. Pójdę tak, jak jestem.

- Ale masz przecież tylko kurtkę i tweedowy kostium.

- Allen już mnie tak zabierał. Nie będzie mu przeszkadzało. Helen nadeła policzki jak małe dziecko.

- No wiesz, Anno, chciałam się jakoś wystroić. A teraz nie będę mogła. Wyglądałabym przy tobie jak choinka w Boże Narodzenie. A przecież chcę zrobić wrażenie na Gino. Niezły z niego facet.

To chyba jakiś sen! Helen Lawson, wybierając się na randkę z Gino, nagle zaczęła się krygować jak mała podfruwajka. I to zaskakujące przeobrażenie w nieśmiałą panienczkę nie pasowało do niej zupełnie. Helen była silną, zasadniczą kobietą, której godność brała się między innymi stąd, że nie zginała karku. Anna miała nadzieję, że te dziecięce dąsy nie zdarzają się Helen zbyt często.

- Zadzwoń do nich jeszcze raz i powiedz, żeby przyjechali później - zaproponowała. - Będiesz miała czas, żeby wrócić do siebie i szybko się przebrać.

Anna potrząsnęła głową.

- Jestem za bardzo zmęczona. Cały dzień pracowałam.

- A co ja niby robiłam cały dzień, twoim zdaniem? - Helen spytała tonem skrzywdzonego dziecka. - Od dziewiątej jestem cały czas na nogach. Przez trzy godziny ćwiczyłam tańce z tymi bubkami z Gaucheros. Z sześć razy padłam przy tym na tyłek. Sto razy zaśpiewałam tę głupią piosenkę. A mimo to chce mi się jeszcze wyjść. No i jestem w końcu starsza od ciebie. Mam... trzydzieści cztery lata.

- Nie czuję w sobie aż takiej energii - powiedziała Anna, cudem ukrywając zdziwienie. Trzydzieści cztery! George Bellows miał rację.

- Ile ty masz lat, Anno?

- Dwadzieścia.

- Nie zalewaj! To przeczytałam w prasie. Pytam cię, ile naprawdę masz lat. - Wyraz oczu Anny sprawił, że Helen zmieniła ton. Uśmiechnęła się jak dziewczątka. - Hej, ty może jesteś z tych, co to mdleją, jak usłyszą brzydkie słowo? Moja matka dostaje szału, kiedy



je u mnie słyszy. Wiesz co, spróbuję się tego oduczyć. Za każdym razem, jak usłyszysz dziś, że się brzydko wyrażam, pošlij mi to swoje lodowate spojrzenie.

Anna uśmiechnęła się. W nagłej zmianie nastrojów Helen odkryła coś miłego. Helen Lawson była najprawdziwiej szczerą i - mimo wypracowanej pozycji - czasem zupełnie bezbronna.

- Naprawdę masz dopiero dwadzieścia lat? - spytała, a potem szybko dodała: - Fantastyczne, że tak szybko udało ci się złapać takiego Allena. Włożę czarną sukienkę i jakąś drobną biżuterię. - Ruszyła do sypialni, nie przestając mówić po drodze: - Hej, chodź ze mną. Podobno mam najsilniejszy głos na Broadwayu, ale nie dam rady stąd krzyczeć.

Przebierając się, bez przerwy monologowała. Jej opowieści dotyczyły głównie byłych mężów i tego, jak ją źle traktowali.

- Całe życie zależało mi tylko na jednym: na miłości - zwierzała się żałośnie. - Frank mnie kochał. Był artystą. Boże, gdybyż tylko mógł mnie zobaczyć z najprawdziwszym Renoirem. Nie, on nie malował w tym stylu. Był ilustratorem, ale na boku malował sobie „na poważnie” - tak to nazywał. Marzył, że któregoś dnia będzie go stać na to, żeby rzucić ilustrowanie i malować to, na co ma ochotę.

- A pani wtedy dopiero zaczynała?

- A skąd! Kiedy się pobieraliśmy, śpiewałam główną rolę w Sadie. To była moja trzecia główna rola. Zarabiałam trzy tysiące tygodniowo, a on ledwie stówę. Sama więc widzisz, że wyszłam za mąż z miłości.

- No to dlaczego nie malował tego, na co miał ochotę?

- I ja miałabym go utrzymywać? Żartujesz chyba! Gdyby tak było, skąd miałabym wiedzieć, że ożenił się ze mną z miłości, a nie dla pieniędzy? Przedstawiłam mu wszystko prosto z mostu. Powiedziałam: „Frankie, możesz się wprowadzić. Będę płacić komorne. W końcu i tak je dotąd sama opłacałam. Zapłacę też za swoją pokojówkę, ubrania, alkohol i jedzenie. Ale kiedy pójdziemy do knajpy, ty będziesz regulował rachunki”. Uskarżał się potem, że dwa wieczory poza domem kosztowały go całą tygodniową gażę. A przecież nie płacił za mieszkanie ani za nic innego. Boże, jak ja go kochałam! Chciałam nawet mieć z nim dziecko, a to by przecież znaczyło, że mam do tyłu cały sezon na scenie. Widzisz, jak go

kochałam? Ale jakoś nie zaszłam w ciążę. No, zaciągnij mi teraz suwak. I jak wyglądam?

Wyglądała dobrze. Anna co prawda pomyślała sobie, że Helen za bardzo jest obwieszona biżuterią... No, ale to w końcu Helen Lawson we własnej osobie. Jej wszystko uchodziło.

Usłyszały dzwonek. Helen sięgnęła po ognisty płaszcz z czerwonego jedwabiu, obszywany cekinami. Spojrzała na Annę.

- Za bardzo jaskrawy?

- A może włoży pani te norki, które miała pani dziś po południu?

- Mam wyglądać jak stara konserwa? Czarna suknia i brązowe futro? Wiesz, ja uważam, że jak się ma jakiś ciuch, to go trzeba nosić. Nie jestem z tych grzecznych pensjonarek.

Znów zadzwieczał dzwonek.

- Dobra! Dobra! - wrzasnęła Helen. Wahala się przez chwilę, a potem chwyciła norki i uśmiechnęła się. - Wygrałaś, moja złota. Wiem, że masz dobry gust.

Spotkanie Helen i Gino mknęło jak burza. Oboje postanowili pójść do Morocco, bo oboje uwielbiali tę knajpę. Zamówili takie same dania, chichotali z opowiadanych sobie kawałów, wypili morze szampana. Felietoniści i recenzenci zatrzymywali się przy ich stoliku, żeby bić przed Helen pokłony; orkiestra grała wiązanek jej znanych przebojów. Anna szybko poddała się nastrojowi ogólnej wesołości i nawet śmiała się głośno z mizernych dowcipów gwiazdy. Naprawdę trudno było tej Helen nie lubić.

Gino nie krył zadowolenia.

- Uwielbiam tę dziewczynę! - ryczał i klepał ją po plecach. - Ona mówi dokładnie to, co myśli. Nic nie udaje. Wiesz, co ci powiem, Helen? - zwrócił się wprost do niej. - Wydamy wielkie przyjęcie z okazji twojej premiery.

Helen natychmiast przeszła gwałtowną metamorfozę. Uśmiechnęła się nieśmiało i głosem małego dzieciątka wykrzyknęła:

- Och, Gino! Wspaniale! Chciałabym cię mieć przy sobie na premierze.

To go zaskoczyło. Anna wiedziała, że na przyjęcie premierowe chciał przyjść z Adelą. Sądził, naturalnie, że Helen będzie ze swoim partnerem.

- A kiedy to właściwie wypada? - zapytał ostrożnie.

- Szesnastego stycznia. Za dwa tygodnie wyjeżdżamy do New Haven. A potem trzy tygodnie będziemy w Filadelfii.

- Przyjedziemy do New Haven. Ja, Allen i...

- Nie! - jęknęła Helen. - W New Haven będzie straszliwe urwanie głowy. Mamy tam tylko trzy spektakle na rozgrzewkę przed występem w Filadelfii.

- Będziemy wyrozumiali - powiedział Gino swobodnie.

- Nie o to chodzi. - Helen zrobiła minkę, wykrzywiając twarz w mało pociągającym dziecięcym grymasie. - Tylko że zaczynamy w piątek wieczorem, a następnego dnia gramy po południu. Często też robimy rano próbę, żeby zgrać wszystkie nowe rzeczy. Jak przyjdziecie, będę chciała posiedzieć dłużej wieczorem i dobrze się zabawić. A przecież nie mogę hulać, kiedy następnego dnia gram w popołudniówce.

- Styczeń to dla mnie za bardzo odległy termin, żebym już mógł coś planować - oznajmił Gino stanowczo. - Nie wiadomo, czy nie będę musiał wyjechać z kraju w interesach. Na New Haven możemy się umówić... Chyba że nie masz ochoty.

Helen przysunęła się do niego bliżej, ujęła go pod ramię i mrugnęła nieśmiało.

- No nie... Nie puszczę cię tak łatwo. Zadowolę się New Haven w takim razie. A jeśli będziesz w mieście, przyjdiesz też na nowojorską premierę.

- Chcesz powiedzieć, że mam dwa razy oglądać to samo?

- Słuchaj no, ty draniu, ludzie chodzą na moje spektakle i po pięć razy! - krzyknęła pogodnie. - Chodź, Anno. Pójdziemy do kibelka i przypudrujemy nos.

Zatrudniona tam kobieta rzuciła się jej na szyję.

- To była moja pierwsza garderobiana - Helen wyjaśniła Annie.

- Trzeba ją było wtedy widzieć! - odezwała się kobieta. - Same nogi! A ufna była jak szczenię.

- Nogi mam dalej dobre, muszę tylko zrzucić kilka kilogramów. Ale bez trudu je zgubię gdzieś w trasie. - Usiadła i przypudrowała twarz. Kiedy kobieta odwróciła się i zainteresowała nową klientką, Helen powiedziała do Anny:

- Podoba mi się ten Gino.

Powiedziała to cicho i prawdopodobnie poważnie, bo nie robiła przy tym żadnych min. Bawiła się włosami i przyglądała się swemu

odbiciu w lustrze. - Naprawdę mi się podoba, Anno. Myślisz, że ja jemu też?

- Na pewno - odparła Anna, dokładając starań, żeby wypadło to szczerze.

Helen raptownie odwróciła się do niej.

- Potrzebny mi mężczyzna. Naprawdę, Anno. To wszystko, czego potrzebuję. Chcę mieć kogoś, kogo mogłabym kochać.

Annie mało serce z piersi nie wyskoczyło, kiedy patrzyła na tę zniszczoną, żalną twarz gwiazdy i czuła na sobie jej błagalne spojrzenie - Helen czekała na słowa pokrzepienia. Anna przypominała sobie wszystkie te dzikie historie, które krążyły o Helen. Niewątpliwie zmyślali je mali, zawistni ludzie - zazdrośni o sukcesy lub zszokowani jej szorstkim sposobem bycia. Ale nie rozumiała, jak można było nie lubić tej kobiety, która pod maską rubaszności skrywała wrażliwą osobowość i tęsknotę za prawdziwym uczuciem.

- Wiesz, lubię cię, Anno. Podtrzymamy tę znajomość, co? I będziemy we dwie często chodzić na randki. Nie mam za wielu koleżanek. Hej, Amelio... - zwróciła się do byłej garderobianej - Daj no mi jakąś kartkę i coś do pisania!

Kobieta przyniosła jej notatnik.

- Pani Lawson... Skoro już pani pisze, czy mogłabym dostać autograf dla siostrzenicy?

- Dałam ci trzy w zeszłym tygodniu - mruknęła Helen niezadowolona. - Co ty z nimi robisz? - Wręczyła kobiecie podpisaną kartkę. - Handlujesz nimi, czy jak? - Naskrobała szybko numer i wcisnęła go Annie. - To mój telefon domowy. Nie zgub, bo nie ma go w książce. I na litość boską, nie dawaj nikomu. Oprócz Gino. Możesz go nim nawet wytatuować, jeśli chcesz. No dobra, daj mi swój.

- Zawsze możesz mnie zastać w biurze Bellamy'ego.

- Tak, wiem, wiem, ale daj mi domowy, na wypadek gdybym chciała cię złapać w domu.

Anna podała jej numer telefonu na wspólnym korytarzu przy Pięćdziesiątej Drugiej.

- Ale codziennie jestem w biurze od wpół do dziesiątej do piątej - powtórzyła. - A wieczorami zazwyczaj wychodzę gdzieś z Allenem.

- Kapuję. - Helen wetknęła karteczkę do torebki. - Wracajmy już, bo pomyślą, żeśmy się potopiły.

Dochodziła trzecia, kiedy Anna zajechała pod dom. Najpierw odwieźli Helen. Gino już prawie zasypiał, Allen był zmęczony, tylko ona nie czuła senności po tak emocjonującym wieczorze. Pod drzwiami Neely zobaczyła światło, więc lekko zastukała.

- Czekam i czekam na ciebie - rzuciła Neely. - Ale miałam randkę! Powiedziałam Melowi prawdę, że mam dopiero siedemnaście lat. Na szczęście jemu to nie przeszkadza. Mówi, że lepiej znam życie niż niejedna dwudziestolatka. Powiedziałam mu też, że jestem dziewczicą. - I nagle zapytała: - A gdzie ty się tak długo włóczyłaś?

Anna opowiedziała jej o wieczorze z Helen, który zaczął się od spotkania na próbie. Kiedy skończyła, Neely potrząsnęła głową.

- Zachowujesz się tak, jakbyś się setnie bawiła. Za chwilę jeszcze mi powiesz, że ją polubiłaś.

- Bo to prawda. Bardzo ją lubię, Neely. Wszystkie te plotki o niej wymyślają ludzie, którzy jej wcale nie znają. Jak się ją już pozna, nie sposób jej nie lubić! Sama przyznaj... Teraz, kiedy już przebolełaś, że wyrzuciła cię pierwszego dnia, i kiedy z nią pracujesz, na pewno ją lubisz.

- No jasne, jest cudowna!

- Ja mówię poważnie.

- Odbiło ci? - Neely wyciągnęła rękę i dotknęła czoła Anny. - Przecież to potworna baba. Nikt jej nie lubi.

- Nieprawda. Wszyscy ci, którzy mówią o niej wstrętne rzeczy, po prostu jej nie znają.

- Wiesz co? Jedyne publiczność ją uwielbia. I to tylko dlatego, że dzieli ją od niej orkiestra i scena. Zresztą publiczność lubi nie tyle samą Helen, ile jej rolę. Wiesz, ludzie o jednym ciągle zapominają. Helen to nie tylko gwiazda musicali, ale i świetna aktorka. Gra te ciepłe dziewczątka o złotych sercach i wszyscy wierzą, że taka właśnie jest. Ale ona tak naprawdę jest zimna. Zupełnie jak maszyna.

- Neely, nie wiesz, bo jej dobrze nie znasz.

- O rany! Ty mnie naprawdę wykończysz! Wychodzisz z Allenem przez cały miesiąc, wieczór w wieczór, i mówisz, że nic o nim nie wiesz. A tu nagle, proszę! Wystarczy kilka godzin z Helen Lawson, i od razu stajesz się wyrocznią. Gotowa jesteś walczyć ze wszystkimi ludźmi, którzy ją znają, oni w końcu z nią pracują i nie znoszą jej, nawet nią pogardzają. To jest gruboskórna baba - twarda jak stal, nieczuła, szorstka i zepsuta. Może przy tobie była dzisiaj inna,

bo cię potraktowała towarzysko albo czegoś od ciebie chce. Ale daj sobie powiedzieć, że jak jej wejdiesz w drogę, to przejedzie po tobie jak walec i rozgniecie cię jak robaka.

- To ty ją tak widzisz. Tak długo słuchałaś różnych opowieści, że nie chcesz się nawet przekonać, jaka naprawdę jest. Nie wątpię, że umie być zasadnicza podczas pracy. To w końcu jej zawód. Musi walczyć o efekty. Ale spotkaj się z nią po pracy, a zobaczysz wrażliwą, samotną kobietę, która tęskni za prawdziwym przyjacielem. I za kimś, kogo mogłaby kochać.

- Kochać! - wybuchnęła Neely. - Anno, prawdziwa Helen Lawson to ten potwór, którego oglądam na próbach. I to nie ma nic wspólnego z faktem, że jest wielką gwiazdą. Taka się już urodziła. Człowiek się takim nie staje. Boże, gdybym ja kiedyś została gwiazdą, byłabym tak strasznie wdzięczna, że ludzie mnie kochają... że płacą za to, żeby mnie zobaczyć... że ktoś pisze teksty właśnie dla mnie... Jak rany! Uściskałabym cały świat. Posłuchaj, nawet Mel, który ją widział raz, nazywa ją Kubą Rozpruwaczem.

- Nie chcę się dłużej sprzeczać - powiedziała Anna znużonym głosem. - Tylko bardzo cię proszę, żebyś nie obrażała Helen w mojej obecności. Ja ją lubię, Neely.

- Rany...

Za drzwiami odezwał się telefon.

- Co za kretyn dzwoni o tej porze? - spytała Neely. Chyba jakaś pomyłka.

- Odbiorę. - Anna wyszła do telefonu.

- Cześć, dziewczyno... - w słuchawce zabrzmiał rozochocony głos.

- Helen! Coś się stało?!

- Helen! - wykrzyknęła Neely przez otwarte drzwi. - Jasny gwint, ty wcale nie żartowałaś! Naprawdę jesteście za pan brat!

- Chciałam ci tylko powiedzieć dobranoc - odparła Helen wesoło.

- Już się rozebrałam, wyprałam majtki i rajstopy, posmarowałam się kremem, ułożyłam włosy i leżę sobie w łóżku.

Anna pomyślała, jak Helen musi być dobrze w tym przepastnym łóżku, i bezwiednie zadrżała z zimna w nie ogrzewanym korytarzu. Ale mimo że Neely nadstawiała ucha, pofolgowała własnej ciekawości.

- Powiedziałaś, że sama wyprałaś majtki i pończochy?

- Cholera, chyba żartujesz - szepnęła Neely.

- Pewnie, że tak - odpowiedziała Helen. - Słowo ci daję. To nawyk, który wpoila we mnie matka, i chociaż mam pokojówkę, zawsze sama to robię, zanim pójde spać. Odzywa się we mnie Irlandka, ze strony O'Leary.

- To twoje prawdziwe nazwisko?

Neely nie mogła już dłużej tego znieść.

- Zaraz wracam, ale skoro mamy sobie tak gadać, włożę jednak szlafrok. Zimno tu jak w psiarni. - Pobiegnę do pokoju.

- Nie, naprawdę nazywam się Laughlin - mówiła Helen. - To szkockie nazwisko. Jestem szkocko - francusko - irlandzką mieszanką. Ale zmieniłam Laughlin na Lawson. Wydawało mi się, że będzie lepiej wyglądało na afiszach.

- Mówisz tak, jakbyś od początku wiedziała, że trafisz na afisze.

- No jasne, stara! Śpiewałam na koncertach dobroczynnych, jak miałam dziesięć lat. Kiedy skończyłam szesnaście, zaczęłam brać lekcje śpiewu. Po dwóch latach poszłam na przesłuchanie. Dostałam małą rolę w spektaklu na Broadwayu i od razu zaczęli o mnie pisać. Wszyscy się bardzo dziwili, ale nie ja. Gdybym nie uważała, że świetnie śpiewam, nie poszłabym przecież na to cholerne przesłuchanie.

- Więc od razu szło ci jak z płatka? Nigdy tak naprawdę nie szukałaś pracy?

- Wystartowała jak rakieta. - Neely wróciła opatulona w ciepły szlafrok i pogryzała figi. - Dlatego jest obrzydliwa dla takich jak ja. Ona nie wie, co to jest walka o byt.

- Nie, udało mi się od samego początku - ciągnęła Helen. - Wiem, że nie każdemu idzie aż tak łatwo. Ale jeśli ma się w sobie coś, wszystko się musi udać, i kropka. Czasem to trwa trochę dłużej, ale nikt, kto naprawdę ma talent, nie ginie po drodze. Nie mogę znieść tego uzalania się nad sobą i opowieści o pechu, których wiecznie wysłuchuję. O tych zaprzepaszczonych talentach, którym nie dano szansy... Nie wystarczy mieć czym oddychać... Kupa dziewczyn umie dobrze śpiewać. Słyszałam mnóstwo dziewczyn w rozmaitych zespołach, które dostają siedemdziesiąt pięć tygodniowo, a ich głos brzmi lepiej niż mój. Ale widzisz, nie mają tego czegoś.

Anna trzęsła się z zimna i przestępowała z nogi na nogę. Zostawiła kurtkę w pokoju Neely.

- Helen, muszę już iść do łóżka. Ogrzewanie jest wyłączone i zmarzłam na kość.

- Zaczekam.

- Ale ja nie mogę... To znaczy... Telefon...

- Nie starcza ci kabla?

- Telefon jest w korytarzu na klatce.

- Co?!

- W korytarzu. Mieszkam w domu, gdzie wynajmuje się pojedyncze pokoje, i nie mam swojego telefonu.

- Chyba żartujesz! Chcesz powiedzieć, że nosisz na palcu pierścioneń wart pięćdziesiąt kół, a nie masz swojego telefonu? A gdzie ty, do cholery, mieszkasz?

- Na Zachodniej Pięćdziesiątej Drugiej. Niedaleko Leona i Eddiego.

- Przecież to zaszrań dzielnica! - wrzasnęła Helen. - No, ale co tam! Niedługo wychodzisz za mąż - zmitygowała się i dodała innym tonem. - Tylko jak ty możesz żyć bez prywatnego telefonu?

- Do niczego mi nie jest potrzebny.

- No wiesz, coś podobnego... - Anna usłyszała głośnie ziewnięcie i szelest gazety. - O, widzę właśnie, że napisali o mnie na dwóch szpaltach - mruknęła Helen sennie. - No dobra, moja złota. Idź spać. Wpadnij jutro na próbę po pracy.

- No wiesz, kończę raczej późno. A potem zaraz pędzę do domu, żeby się przebrać na spotkanie z Allenem.

- I bardzo dobrze. Mówię o przebieraniu. Naprawdę ładna z ciebie dziewczyna, Anno, ale ta kurtka i ten tweedowy kostiumik czas już wyrzucić do śmieci. Pamiętaj, że najważniejszą sprawą w życiu jest mieć faceta, który będzie cię kochał. Ubieraj się dla niego. Zadzwoń do ciebie jutro do biura. - Stuknęła odkładana słuchawka.

Anna wróciła do pokoju Neely. Wzięła kurtkę i torebkę. Neely odprowadziła ją do drzwi.

- Nic z tego nie rozumiem, Anno. - Stała w progu i potrzasała głową. - Naprawdę nie rozumiem. Gdybym nie słyszała tego na własne uszy, nigdy bym w to nie uwierzyła. - Nagle jej twarz nabrała innego wyrazu. - Dalej się jednak upieram, że ona ma w tym swój cel.

- Żadnego. Dobrze się dzisiaj bawiła... Jest naprawdę taka samotna. No i podobał jej się Gino.



- I to jest to! - krzyknęła Neely. - Wykorzystuje cię, żeby mieć doście do Gino!

- Na pewno nie. Była ciepła i serdeczna, zanim zorganizowałam to wspólne spotkanie. Zaprosiła mnie do swojego mieszkania...

Neely uśmiechnęła się szeroko.

- Może ten koń bojowy nabiera dziwnych skłonności na stare lata.

- Neely!

- To się przecież zdarza. Słuchaj, niektóre z wielkich gwiazd, zwłaszcza takie baby jak Helen, te, które lubią seks, mają po jakimś czasie dość wiecznego kosza od facetów i żeby sobie ulżyć, zwracają się w stronę kobiet. Wiesz, była taka jedna wyblakła gwiazda kina, która śpiewała w naszym klubie, i...

- Neely, Helen jest zupełnie normalna! Neely ziewnęła.

- No dobra, nie będę się o to kłócić. Za bardzo jest znana z tego, że ma fioła na punkcie chłopów. Rozłoży nogi przed każdym portkami. Od lat z tego słynie. Przez to właśnie straciła pierwszego męża. Wrócił do domu i nakrył ją w łóżku z jakimś gangsterem, z którym się prowadziła wcześniej.

- Neely, to nieprawda. Kochała pierwszego męża.

- Anno, ja siedzę na próbach i cały dzień na okrągło rozmawiam z dziewczynami. Wszyscy wiedzą, że Helen śpiewała kiedyś w spelunie, której właścicielem był Tony Lagetta. Szalała za nim. Ale to był Włoch, katolik i miał żonę i siedmioro dzieci. Sypiał z nią, jasne, ale na tym się jednak kończyło. Kiedy zauważono Helen w jej pierwszym spektaklu, na scenę wkroczył Henry Bellamy i kazał jej zerwać z Tonym. Robiła się za bardzo sławna i gdyby żona Tony'ego wniosła sprawę do sądu, to zaszkodziłaby bardzo publicznemu wizerunkowi Helen. Helen wdała się w długi romans z Henrym, ale po kryjomu wciąż sypiała z Tonym. Wszyscy o tym wiedzieli, oprócz Henry'ego. On tymczasem zajmował się jej interesami, kreował ją na gwiazdę i robił z niej milionerkę. Potem Tony znalazł sobie kogoś innego, a Helen wpadła w szal i wyszła za mąż za pierwszego faceta, który jej się nawinał. Jakiegoś artystę. Wtedy już nie było takich spelun, a Tony został właścicielem eleganckiej francusko - włoskiej knajpy. Helen chodziła do tej knajpy z mężem artystą i tam się z nim całowała na oczach Tony'ego. Najwyraźniej wzbudziła w nim zazdrość, bo któregoś dnia artysta wrócił do domu i ujrzał, że Helen i

Tony urządzili sobie spotkanie pod hasłem „przeżyjmy to jeszcze raz”... Odszedł, ale nigdy już nie był sobą. Wprawdzie ożenił się ponownie, ale pił na umór.

- I skąd wytrzasnęłaś te opowieści?

- O Tonym wiedziałam już sto lat temu. Rany, zawsze, ilekroć ktoś wspomniał o Helen, ktoś inny dodawał „dziewczyna Tony'ego”, ale o Henrym Bellamy i o mężu dowiedziałam się od dziewczyn z teatru. Wszyscy wiedzą...

- Wszyscy wiedzą, zupełnie jak ty - przerwała jej Anna niecierpliwie - bo od kogoś zasłyszeli. I jak wszyscy, ty też puszczasz dalej te same wiadomości. I w ten sposób rodzą się plotki. Ale czy ty tam byłaś? Czy kiedykolwiek widziałaś Helen z Tonym? Bo ja z nią rozmawiałam. Ja wiem, co ona czuła do pierwszego męża. Posłuchaj, Neely... Oczywiście, że Helen ma pewne nieprzyjemne cechy. Sądzę, że ponieważ tak szybko weszła na szczyt, nie zdążyła jakoś dorównać swojemu talentowi. Ten talent wyniósł ją bardzo wysoko, ale w głębi serca Helen jest wciąż małą dziewczynką z Rochelle. I żeby jej nikt nie mógł zranić, udaje, że jest taka twarda.

- Dobra, już dobra, poddam się - powiedziała Neely. - Jest cudowna, słodka i skoro będziecie teraz we dwie takie nierozłączne, a ty jesteś jedyną osobą, która ją rozumie, mogłabyś jej napomknąć przy okazji, że twoja druga najlepsza przyjaciółka też jest utalentowana. Może rzuci mi kilka ochłapów ze spektaklu.

Anna uśmiechnęła się.

- Neely, jesteś jedyna w swoim rodzaju.

- Jasne. Już to widzę. Zasiadamy we trzy i rozmawiamy jak najlepsze kumpelki.

- A dlaczego nie? Neely, podejdź jutro do Helen w czasie próby. Powiedz jej, że jesteś moją bliską przyjaciółką.

- No pewnie!

- Co stoi na przeszkodzie?

- Nikt nie podchodzi do Helen i do niej nie zagaduje.

- Spróbuj. Może się zdziwisz.

- Jasne. Może nawet wymienimy uwagi na temat prania pończoch. Ciekawe, czy pierze je Luxem czy Ivory? A jeśli to ją tak bardzo podnieca, to mogę jej nawet podesłać kilka par swoich majtek do prania.

- Dobranoc, Neely.

- Dobranoc. Ale, Anno... Mówiłam poważnie. Jeśli ta wasza wspaniała przyjaźń jeszcze potrwa i będziesz miała okazję, wspomnij Helen o mnie. Spróbuj... Proszę cię.

- A to dopiero jest niezwykła czwórka - powiedział George Bellows, kładąc poranną gazetę na biurku Anny. Spojrzała na zdjęcie, które jeden z fotografów zrobił poprzedniego wieczoru w Morocco. Helen wyglądała groteskowo; Gino uśmiechał się od ucha do ucha, Allen wyszedł częściowo za kadr, natomiast jej zdjęcie było niezwykle udane.

Uśmiechnęła się z trudem.

- Kto to jest Nick Longworth? - zapytała przyglądając się karteczkom z zapiskami, które czekały na nią na biurku.

- Właściciel jednej z najlepszych agencji modelek w mieście. Pytasz, bo złożył ci ofertę?

- Nie wiem. Widzę wiadomość, żeby do niego zadzwonić.

- No i powinnaś. Jesteś urodzoną modelką. Ale i tak pewnie wszystko się skończy tak samo. Wszystko jest tam, na górze, zapisane. - Spojrzał na jej pierścionek.

Zadzwonił telefon.

George machnął ręką i zniknął w swoim gabinecie. To był Allen.

- Jak się czujesz po wczorajszym wieczorze?

- Było bardzo fajnie, prawda? - powiedziała pogodnie. Milczał.

- Allen?

- Nie wierzę w to, co słyszę.

- Lubię Helen Lawson - zaperzyła się.

- Co ci się w niej podoba? Jej czarujące dowcipy? Jej światowe maniere? No wiesz, Gino też bywa uciążliwy, ale jestem na niego skazany. To mój ojciec. Jednak co do Helen...

- Lubię twojego ojca.

- Nie musisz być aż tak uprzejma, Anno. Zawsze mówię, że rodziny człowiek sobie nie wybiera, ale znajomych jak najbardziej.

- Allen, co ty wygadujesz?

- Co takiego? Jestem po prostu uczciwy. Gdybym gdzieś poznał Gino jako obcego sobie człowieka, uważałbym go za sprośnego, okropnie hałaśliwego faceta. Mogę podziwiać jego zdolności prowadzenia interesów, tak jak podziwiam talent sceniczny Helen, ale towarzysko wolałbym ich jednak nie spotykać. Kiedy się pobierzemy,

znajdziemy sobie zupełnie innych znajomych, takich jak trzeba. Wytłumaczę ci to lepiej, jak się dziś zobaczymy.

Od dobrych kilku chwil czuła bolesne łupanie w głowie.

- Wiesz, bardzo mało dziś spałam. Poproszę cię chyba, żebyśmy odwołali nasze wieczorne spotkanie. Chciałabym po pracy pójść prosto do domu i rzucić się na łóżko.

- O, i mamy następną sprawę, o której powinniśmy porozmawiać. Jak długo zamierzasz jeszcze pracować? Aż do ostatniej chwili przed ślubem?

- Chcę pracować, Allen... Nie chcę wychodzić za mąż. Już ci przecież mówiłam.

Parsknął wymuszonym, niby lekkim śmiechem.

- Rzeczywiście jesteś zmęczona. No dobrze, dam ci wolny wieczór. Anno... Wiem, że obiecywałem ci, że cię nie będę poganiał, ale zacznij już myśleć o małżeństwie. Pomyśl, tylko o to cię proszę.

Dzień ciągnął się w żółwym tempie. Ktoś ponownie zadzwonił z agencji Longwortha. Powiedziała im, że nie chce zostać modelką. Tak, owszem, odezwie się, gdyby nagle zmieniła zdanie.

Po lunchu przyszedł Henry. Zaniósł mu korespondencję na biurko, ale odsunął od siebie wszystkie listy.

- Siadaj. - Zapalił papierosa. - Hm, dostaliśmy dobre recenzje za spektakl Eda Holsona, ale to czysty koszmar.

- Spektakl czy Ed Holson? - Odchyliła głowę na oparcie skórzanego fotela i rozmasowywała sobie skronie.

- Holson. No i co zrobić, kiedy się ma klienta pijaka? Prawdziwy geniusz, ale moczymorda! - Potrząsnął głową. - Urznął się tuż po przedstawieniu, i to na oczach sponsora. Naturalnie musiałem udawać, że nigdy dotąd nic takiego mu się nie zdarzyło. Dwadzieścia tysięcy tygodniowo i zalewa się pod nosem sponsora! I tak miałem szczęście, że upił się na grzecznie. Mógł zupełnie inaczej. Wtedy wyzywa ludzi od żydowskich pomiotów.

- To po co się z nim zadajesz?

- Policz sobie, ile wynosi dwadzieścia pięć procent od dwudziestu tysięcy tygodniowo, a będziesz miała odpowiedź. Poza tym to prawdziwy talent. Przyjaciół dobieram sobie, jak chcę, ale klientów dla talentu.

Coraz bardziej dokuczała jej głowa. Czuła łupanie tuż za oczami.

- Przypuszczam, że trudno jest we wszystkim osiągnąć ideał - powiedziała ze znużeniem.

- Tu nie idzie o ideał człowieka, tylko o idealnego partnera w interesach. Wybierasz najlepszego i nie możesz dopuścić do głosu emocji. Z chwilą kiedy zaczniesz kierować się sercem zamiast rozumem, dostajesz natychmiast w łeb.

Na jego biurku rozdzwonił się telefon do prywatnych rozmów.

- Halo... O cześć, kochanie. Jak leci? No pewnie, że widziałem. Wyglądałaś świetnie. Tak, siedzi tutaj. - Podał Annie słuchawkę. Spojrzała na niego pytająco. - To Helen - wyjaśnił.

- Czołem! - krzyknęła Helen wesoło. - Jak tam nasz pracuś?

- Jestem troszkę zmęczona.

- Ja też. Musiałam być na próbie już o dziesiątej. Właśnie zrobiłam sobie pięć minut przerwy. Posłuchaj... Dziś wieczorem w Copa jest premiera. Dzwoniłam do Gino i zaproponowałam, żebyśmy wybrali się tam dzisiaj we czworo. Bardzo mu się spodobał ten pomysł. Możemy pójść na ten późniejszy występ. Zdamy przedtem trochę się jeszcze przespać.

- Allen o tym wie?

- Mnie pytasz? - Helen umilkła na chwilę, a potem dodała głosem małej dziewczynki: - Nie chcesz iść do Copa, Anno?

- Mmm... Myślę, że może być fajnie. Jeśli tylko zdążę przedtem trochę odsapnąć.

- No jasne. I dzisiaj odpicuj się tak jak trzeba, bo będzie kupa ludzi.

- Mam włożyć długą sukienkę?

- Nie, krótką, ale wystrzałową. I proszę cię, włóż futro, a tę kurtkę z wielbłądziej wełny już wyrzuć.

- Mam czarny płaszcz... - Anna gwałtownie podniosła oczy. - Do gabinetu wszedł Lyon Burke.

- Świetnie. W domu czeka na ciebie mały prezent ode mnie - powiedziała Helen.

- Prezent? Z jakiej okazji?

- A tak sobie, bez powodu. Żeby ci sprawić przyjemność. No dobra, muszę już iść zarabiać. - Odłożyła słuchawkę.

- Anna jest nową przyjaciółką Helen Lawson.

Lyon usiadł i wyciągnął nogi.

- Anna pochodzi z twardej rasy osadników Nowej Anglii. Jakoś to przeżyje.

Uśmiechnęła się blado.

- Zaczyna mnie męczyć to ciągle powtarzanie, że naprawdę ją lubię.

- Doskonale - powiedział Henry dziarsko. - Prawdziwa przyjaciółka bardzo się Helen przyda. Myślę, że w gruncie rzeczy jest bardzo samotna.

Lyon parsknął śmiechem.

- Ona ma co sezon nową przyjaciółkę.

- Nigdy nie miała takiej prawdziwej - upierał się Henry. - Większość kobiet usiłuje wykorzystać Helen, w dodatku naśmiewa się z niej na boku. Za szybko zrobiła karierę i wiele miłych rzeczy minęło ją po drodze. Połowa dziewcząt w tym mieście zaczyna piąć się w górę, nie wiedząc co to dobry smak i dobre maniery. Ale się jakoś uczą - w garderobach chórzystek, od innych dziewcząt. Uczą się, co należy czytać albo do jakich książek powinny się przyznawać i co na siebie włożyć. A kiedy wreszcie robią karierę, mają już pewien szlif i ogładę. Helen dwa lata śpiewała w byle jakiej knajpie, gdzie niczego się nie nauczyła. A potem, od chwili gdy pierwszy raz wystąpiła w spektaklu, śmignęła w górę jak rakieta. A ludzie tolerują wszystko u takiej gwiazdy jak ona. Nagle się okazało, że Helen jest zbyt wielka, żeby ktokolwiek mógł ją pouczać, jak ma się ubierać czy mówić. Wszyscy bawili się setnie jej rynsztokowym językiem i uważali, że to takie barwne i pikantne. Bądź przy niej, Anno. Jej naprawdę potrzebna jest dziewczyna taka jak ty.

Odezwał się telefon. Telefonistka zapowiedziała dzwoniącego. Henry skinął głową i podał słuchawkę Annie.

- Allen - mruknął.

- Odbiorę u siebie - powiedziała szybko. Henry machnął dłonią.

- Spokojnie, jesteś wśród przyjaciół.

Wzięła do ręki słuchawkę. Wiedziała, że Lyon nie spuszcza z niej oka.

- Byłaś za bardzo zmęczona, żeby pójść ze mną na kolację! - Głos Allena trzeszczał w słuchawce. - A teraz słyszę, że wszyscy idziemy do Copa!

- To robota Helen i Gino - odpowiedziała pokornie.

- Jasne. Mnie umiesz splawić jednym zdaniem, tylko Helen nie możesz powiedzieć „nie”. Co się z tobą dzieje? Masz świra na punkcie sław?

- Allen, jestem teraz w gabinecie pana Bellamy'ego. Jeśli chcesz, odwołam dzisiaj spotkanie.

- Nie, nie... Zaczekaj. Nie chciałem nic odwoływać. Pójdziemy. Rozdzwieczył się aparat do rozmów prywatnych.

- Porozmawiamy później, Allen.

- Anno, przepraszam. Zdaję sobie sprawę, że pracujesz dla Henry'ego, a ona jest jego klientką. Ale splawmy ją po dzisiejszym wieczorze. Jeśli musisz się z nią widywać, weź ją na zakupy, zjedzcie razem lunch, tylko trzymaj ją ode mnie z daleka.

Henry nie odkładał słuchawki. To na pewno telefon od Helen.

- Allen, zobaczymy się dzisiaj wieczorem. - Przerwała połączenie. Henry wręczył jej słuchawkę prywatnego telefonu.

- Wygląda na to, że będziemy musieli zatrudnić dla niej osobną sekretarkę. - Mrugnął do Lyona.

- Hej, jaki jest twój adres? - spytała śpiewnie Helen. - Muszę go mieć, bo inaczej nie wyślę ci tego prezentu.

Anna podyktowała jej adres.

- O kurde! Wcięło gdzieś ołówki. Zaczekaj...

- Helen - Anna wstrzymała ją przytomnie. - Zapytaj Neely O'Hara.

- Kogo?

- Neely O'Hara. Gra w twoim spektaklu. Mieszkamy w tym samym domu. Ona zapisze ci adres.

- A co ona robi? Wywija nogami?

- Tak. Na początku występowała z Gaucheros.

Helen na chwilę zamilkła.

- A, ta!

- To moja bardzo serdeczna koleżanka. Ma raptem siedemnaście lat. W tym musicalu tylko tańczy, ale potrafi też śpiewać. Jest bardzo utalentowana.

- Dobra - rzuciła pogodnie Helen. - Adres wezmę od niej. Mówisz, że śpiewa, tak? Może uda mi się wykręcić coś dla niej. Nieźle się jej oberwało! Słowo daję, że nie miałam z tym nic wspólnego. Ale nie szkodzi, może teraz jej coś wykołuję. Mam pomysł.

Anna wróciła do siebie i zajęła się swoją robotą. Kiedy kończył się dzień pracy, w głowie wciąż czuła pulsujący ból.

Biegając po schodach do swego pokoju, myślała tylko o tym, żeby się trochę przespać. Neely czekała na nią, trzymając drzwi na korytarz szeroko otwarte. Puściła się za Anną po schodach.

- Padam na nos, Neely. Porozmawiamy później.

- Nie będę ci siedzieć na głowie. Chcę tylko zobaczyć, jak zareagujesz, kiedy zobaczysz ten prezent. Czeka na ciebie w pokoju. Wyrwałam się na chwilę podczas próby i zadzwoniłam do administratora, żeby otworzył twój pokój.

Anna rozejrzała się. Nie dostrzegła żadnej paczki - w ogóle żadnych zmian.

- Tam! - rzuciła Neely, wskazując rozchwierutany nocny stolik. Anna, ogłupiała, wpatrywała się w błyszczący czarny aparat telefoniczny.

- Helen opłaca instalację i przez dwa pierwsze miesiące będzie ci płacić rachunki. Powiedziała, że potem już pewnie będziesz żoną Allena.

- Nie mogę na to pozwolić.

- Ona już to zrobiła. Sama nie wiem, Anno, może jakoś ją zaczarowałaś... Naprawdę była dla mnie miła, kiedy jej powiedziałaś, że jestem twoją przyjaciółką - mruknęła, ale potem, widząc uśmiech Anny, czym prędzej dodała: - To i tak nic nie zmienia! Nadal uważam, że to skończona małpa!

Wieczór w Copa był dublem poprzedniego. Helen skupiała na sobie uwagę wszystkich gości - śmiała się piskliwie i wesoło, głośnym, zachrypniętym głosem pozdrawiała znajomych. Gino wciąż podbijał jej bębenka i dolewał szampana. Anna, rozgrzana okazywaną jej przez Helen uwagę, rozweselona drugim kieliszkiem szampana, włączyła się ochoczo do zabawy. Allen zachowywał chłodny dystans.

- Najpierw odwieziemy Annę - oznajmiła Helen, kiedy wreszcie rozsiedli się w limuzynie.

- Tak, do mnie jest stąd najbliżej - szybkoitko przyklasnęła Anna, unikając wzroku Allena. Kiedy samochód zatrzymał się pod kamienicą, wyskoczyła nie czekając, aż szofer otworzy jej drzwi. - Siedź, siedź - powiedziała Allenowi. - Jest lodowato. - Pomachała wszystkim i wbiegła na schody prowadzące do drzwi wejściowych.



Mimo szarej ciemności doskonale widziała, jak Allenowi opada szczeka, a na jego twarzy odmalowuje się wyraźne niezadowolenie.

Dwadzieścia minut później po raz pierwszy rozdzwonił się jej nowy telefon.

- Musiałam zrobić inaugurację - odezwała się Helen radośnie. - Obudziłam cię może?

- Nie... Ale już leżę w łóżku. - Było jej naprawdę dobrze. Nawet w Lawrenceville nikt nie słyszał o takich luksusach jak telefon na stoliku nocnym.

- Fajnie było, co?

- Świetnie się bawiłam. To był jeden z najwspanialszych wieczorów w moim życiu.

- Taa... - Helen umilkła na chwilę. A potem oznajmiła zmienionym głosem: - Anno, sprawa z Gino w ogóle nie posuwa się naprzód.

- Doskonale się bawił - powiedziała Anna z całą szczerością.

- Ale nie próbował mnie nawet pocałować na dobranoc - jęknęła Helen. - Zaraz po tobie odwieźliśmy synka. Byłam przekonana, że Gino wprosi się na strzemiennego. Przytuliłam się do niego w samochodzie i powiedziałam, że mam na górze schłodzoną butelkę Dom Perignon. Ale kiedy stanęliśmy pod domem, po prostu klepnął mnie w plecy i ryknął: „Bywaj, stara!”

- Hm... - Anna nerwowo szukała właściwych słów. - To znaczy, że cię szanuje.

- Sram na szacunek! Chcę z nim pójść do łóżka!

Helen usłyszała pełne zaskoczenia westchnienie swej młodej przyjaciółki, ale nie zważając na to ciągnęła:

- Posłuchaj, moja droga, jak będziesz miała tyle lat co ja, sama się przekonasz, że dla faceta jedynym sposobem okazania ci, że mu na tobie zależy, jest wciągnąć cię do łóżka.

- Nie mówisz poważnie, Helen. Bo tak naprawdę jest akurat przeciwnie.

- Przeciwnie! Sranie po ścianie! A jak inaczej ma to niby okazać?

- Zabierając cię gdzieś wieczorem, spędzając z tobą czas, dbając o to, żebyś się dobrze z nim czuła.

- Zwariowałaś? Po mojemu, jeśli się facetowi podobasz, od razu chce iść z tobą do wyra. Nawet ten sukinsyn Red Ingram, mój ostatni mąż, rzucił się na mnie już pierwszego wieczoru, kiedyśmy się

poznali. Po ślubie zwolnił trochę tempo do jakichś trzech, może czterech razy na tydzień. Potem zrobiło się już tylko raz w miesiącu, a na końcu wcale. Wtedy właśnie nasłałam na niego detektywów i wyszło na jaw, że zdradza mnie z jakąś dziwką.

- Ależ, Helen, mam za sobą wiele randek z Allenem i on wcale nie chciał... zaciągnąć mnie do łóżka.

- Nie pieprz mi tu, mała!

Na chwilę zaległa ciężka cisza. W końcu Helen odezwała się słodkim głosem.

- Nie złość się na mnie, Anno, moja śliczna. Wierzę ci. Ale, Jezu, naprawdę tego nie chcesz? Rozumiesz, co mam na myśli? Skąd wiesz, że będzie ci się podobać małżeństwo z tym facetem? Potem się może okazać, że on jest całkiem do chrzanu. Masz chyba zamiar spróbować przed ślubem, co?

- Absolutnie nie.

Tym razem Helen oniemiała. Wreszcie, głosem dziwnie zabarwionym podziwem, powiedziała:

- Więc chodzi ci tylko o tę forszę.

- Przez sześć tygodni chodziłam z Allenem i cały czas myślałam, że jest biednym agentem ubezpieczeniowym.

Krótką ciszą.

- No to co jest, u diabła? A może ty jesteś oziębła, co?

- Nie sądzę.

- Tu nie ma co sądzić! Za chwilę usłyszysz, że jesteś dziewicą. Anno, nie odłożyłaś słuchawki? O Jezu, chyba rzeczywiście jesteś jeszcze dziewicą.

- W twoich ustach to brzmi jak choroba.

- Nie, ale większość dwudziestoletnich dziewczyn... No wiesz... Do licha, jak facet ci się podoba, to oczywiście chcesz, żeby się dobrał do ciebie, nie? Nie możesz się doczekać.

- To właśnie czujesz wobec Gino?

- Jasne, a przecież nawet nie jestem w nim zakochana. Ale niewykluczone, że z czasem...

- Hm, poczekaj z tym chwilę - odparła Anna znużonym głosem.

- Spróbuję jutro wieczorem. W La Martinique wystawiają coś nowego.

- Jesteście już umówieni?

- Jeszcze nie. Zadzwoń do niego do biura i wtedy się z nim umówię.

- Helen... Poczekaaj trochę.

- Na co?

- Daj mu szansę, żeby sam zadzwonił.

- A co będzie, jak ja zaczekam, a on nie zadzwoni?

- Myślę, że chyba nie chciałabyś z nim wychodzić wiedząc, że wymuszasz na nim te spotkania, prawda?

Usłyszała, jak Helen ziewa.

- Dlaczego nie? Z czasem facet tak się przyzwyczajają, że potem już nie ma znaczenia, czy chciał ciebie, czy nie.

Anne czuła, że Gino nie może zostawiać Adeli przez trzy wieczory z rzędu, lecz przede wszystkim chciała uchronić Helen przed ewentualnym poniżeniem.

- Helen, proszę cię, zrób coś dla mnie. Nie dzwoń do niego jutro. Zaczekaj, niech on zadzwoni pierwszy.

- A jeśli się nie odezwie?

- Może i nie. Może nie dzwonić nawet przez kilka dni, nawet przez tydzień.

- Tydzień! O nie! Nie będę czekać tak długo!

- Może wcale nie będzie takiej potrzeby. Ale spróbuj... Odczekaj jutro. Skąd wiesz, czy jest z tych, którzy mogą tak hulać przez trzy noce z rzędu?

- No dobrze. - Helen westchnęła. - Ale i tak uważam, że moja taktyka jest najlepsza. Dam mu dzień, żeby do mnie zadzwonił. Tyle że tak miałam ochotę na ten nowy występ w La Martinique...

- Nie masz nikogo innego, z kim mogłabyś tam pójść?

- No wiesz, zawsze mogę kogoś sobie ściągnąć. Mogę pójść z moim projektantem kostiumów albo z Bobbym Eavesem, moim akompaniatorem. Ale to są pedały. Na tym polega kłopot. Trudno dziś o prawdziwych mężczyzn. Wszędzie jest kupa różnych ciot, ale nie ma mężczyzn. Nienawidzę chodzić na premiery z ciotami. To tak, jakbyś niosła transparent: „To wszystko, na co mnie stać”.

- Wydaje mi się, że mogłabyś mieć mężczyzn do wyboru, do koloru.

- Tak myśli każda, która przyjeżdża do Nowego Jorku. Ja też tak myślałam, w dawnych dobrych czasach prohibicji. Pewnie wiedzieli, co robią, legalizując sprzedaż alkoholu, ale prohibicja to był naprawdę

świetny okres. Genialne były te knajpy, gdzie wóda po kryjomu lała się strumieniami - takie jak Park Avenue Club czy Ha - Ha. Teraz już nie ma takiego nocnego życia. Lubiłam się odstrzelić na występ Eddy'ego Duchina w Casino - in - the - Park, lubiłam, jak szampańscy chłopcy siadywali przy scenie i kiedy się jeździło na śniadania do Harlemu... W tamtych czasach Tony lekką ręką dawał pięćdziesiąt dolarów napiwku... Dzisiaj jak facet w kiblu zostawia dwadzieścia pięć centów, uważa, że ma gest. Matko, jak ja kochałam tego Tony'ego! To dopiero był facet!

- Myślałam, że Frank był jedynym, którego naprawdę kochałaś.

- Bo to prawda. Przy Tonym życie nabierało rumieńców. Był świetny w łóżku, ale tak naprawdę to skończony drań. Frank był za to dobry, czuły... - Nagle się rozszlochała. - Och, Anno, naprawdę kochałam Franka... Słowo daję... To jedyny mężczyzna, którego szczerze kochałam. A teraz już go nie ma...

- Helen, przynajmniej przeżyłaś wielką, najprawdziwszą miłość...  
- wydusiła Anna.

- Chyba tak. - Helen uspokoiła się. - Sądzę, że miałam szczęście, że mogłam być z facetem, którego tak kochałam. Niektóre kobiety nie wiedzą, co to znaczy.

- Nie kochałaś Henry'ego?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Hm, chyba byłaś zakochana w Henrym Bellamy, prawda? - Anna czuła, że potrąciła niewłaściwą strunę.

- Mówił ci o tym? - spytała Helen zimno.

Nagła zmiana tonu Helen wstrząsnęła Anną. W okamgnieniu ich zażyłość zniknęła bez śladu.

- Nie. Wywnioskowałam to ze sposobu, w jaki wyraża się o tobie. Zawsze ciepło - powiedziała spokojnie. W głowie szumiało jej ze zmieszania i zmęczenia.

- Hej, ależ ty jesteś obrażalska! Pewnie, że kiedyś chodziłam z Henrym. Że też ludzie nie mogą o tym zapomnieć! Spaliśmy ze sobą, ale nie miało to żadnego znaczenia. Przynajmniej dla mnie. Nigdy mnie nie pociągał. Ale byłam młoda, a on miał wpływ na moją karierę i nikt inny się wtedy nie nawinął, z kim mogłabym się pokazywać w mieście. Ale, do ciężkiej cholery, to stara historia! Czasem zapominam nawet, że coś takiego w ogóle miało miejsce. Ale

ponieważ Henry nadal kieruje moimi finansami, więc bardzo cię proszę, nigdy mu o tym nie mów.

- Dlaczego miałabym mu mówić? Lubię go i nie chcę go zranić. Helen ziewnęła w słuchawkę.

- Śmieszne. Wyszliśmy gdzieś razem z Henrym jakiś rok temu. Byłam w kiepskim nastroju, więc Henry wszedł na górę. Postanowiliśmy spróbować, jak by to było po latach. I nic! Ja nie mogłam udawać, a jemu nie chciał stanąć. No cóż, Henry ma już te swoje pięćdziesiąt kilka lat. W tym wieku pewnie trudno podnieść kutasa.

Anna stłumiła mimowolny okrzyk.

- Ale Gino też jest po pięćdziesiątce... - zauważyła w końcu.

- Gino to Włoch, a we Włochach diabeł długo pali. Nie ma to jak makaroniarz w łóżku. Ach ten Gino! Nie mogę się już doczekać! Wiesz co? Zadzwoń do niego teraz i powiem mu dobranoc... Niech sobie o mnie pomarzy.

- Helen, nie możesz tego zrobić! Jest czwarta nad ranem. Obudzisz go.

- Nie. Bo nie wiadomo dlaczego właśnie przed chwilą o nim pomyślałam. A wiesz, co to znaczy? Że on o mnie myśli. Zawsze kiedy nagle, zupełnie bez powodu przypominasz sobie o kimś, to znaczy, że on akurat wtedy na pewno o tobie myśli.

- To wcale nie było bez powodu - upierała się Anna. Ciepły głos Helen odbudował jej wiarę w ich przyjaźń. - Rozmawiamy o nim co chwilę już prawie od godziny. Nie możesz teraz do niego dzwonić.

- No dobrze, dobrze - obiecała. - Posłucham cię. Zaczekam, aż on zadzwoni do mnie.

- O właśnie.

- Dobra, moja kochana - mruknęła Helen sennie. - Porozmawiamy jutro. Śpij dobrze...

Trzy dni minęły, a Gino nie zadzwonił. Helen wytykała to przyjaciółce po kilka razy dziennie. Telefonowała do niej do biura, telefonowała do domu, kiedy Anna szykowała się na randkę z Allenem, telefonowała o drugiej nad ranem.

Neely też siedziała jej na głowie, oczekując porady - wybierała się do Brooklynu na kolację z rodziną Mela. Wyciągnęła na środek pokoju wszystkie ubrania i chciała, żeby Anna pomogła jej podjąć decyzję. Naturalnie, wiedziała, że suknia z czerwonej tafty jest

najlepsza - chciała się tylko upewnić. Rozpętała się gwałtowna burza, kiedy Anna nalegała, żeby Neely poszła w sukience z beżowej wełny.

- Rany koguta, ta starość ma już ze dwa lata!

Spirały się bez końca. Wreszcie Neely posłuchała przyjaciółki i włożyła beżową sukienkę, chociaż uważała to za gruby błąd.

W biurze aż wrzało od rozmaitych działań związanych z programem radiowym Eda Holsona. Ale ruch wokół Anny przysparzał jej tylko miłego zawrotu głowy. Miała co robić: Henry jej potrzebował, Helen i Neely też - wspinała się na szczyt Everestu, a powietrze na górze było wprost cudowne i dodawało jej sił. Nawet jeśli codziennie balansowała na granicy jakiegoś dramatu, to przecież na tym właśnie polegało najprawdziwsze życie - przestała w końcu być biernym obserwatorem.

Czwartego dnia milczenia ze strony Gino Helen zażądała podjęcia konkretnych kroków.

- Słuchaj, mam w nosie, jak bardzo jest zajęty! - krzyczała w telefon. - Jeśli facet ma na ciebie chęć, na pewno może chociaż wziąć za słuchawkę i powiedzieć ci ze dwa zdania!

- Hm... Może się pomyliłam. To znaczy... może mu wcale tak bardzo nie zależy - powiedziała Anna ostrożnie. Allen kupił już bilety do kina. Chciała jeszcze wpaść do domu przed seansem i zdążyć się przebrać.

- Wiem, że go biorę. Czuję to - upierała się Helen. - Zaraz do niego zadzwonię.

- Helen, proszę cię...

- Wiesz co? Możesz się wypchać tymi swoimi radami. Słuchałam cię i wylądowałam z niczym.

- Ale przecież sama powiedziałaś, że gdyby mu zależało, toby do ciebie zadzwonił - mówiła Anna cierpliwie.

- Za długo zwlekałam. Gdybym od razu zadzwoniła, teraz już weszłabym mu w krew. Chryste! I znów to samo. Takie mam zaszrane życie. Zawsze mnie ktoś kopie w dupę... - Zaczęła łkać w słuchawkę. - Naprawdę, Anno... Jak tylko jestem miła dla faceta, od razu mnie wystawia. Żadna dziewczyna nie dostawała tak często po głowie jak ja. Nic nie mam z życia. Wiecznie tylko praca, praca i praca... Zarabiam pieniądze dla innych i jestem taka samotna. Myślałam, że mu się podobam. Ty też tak mówiłaś, tamtego wieczoru w Morocco, pamiętasz? Dlaczego on nie zadzwonił, Anno?

Z żalu omal jej serce nie wyskoczyło z piersi, kiedy słuchała Helen. Czuła się jakoś odpowiedzialna za to wszystko - w końcu ona ich ze sobą poznała. Nieładnie, że Gino nie zadzwonił choćby raz. Nic by mu się nie stało, gdyby od czasu do czasu spotkał się z Helen. Powinno mu to nawet schlebiać.

- Helen, odczekaj jeszcze tylko dzień. Proszę...

Tego wieczoru, po teatrze, Anna poprosiła Allena, żeby ją wziął do Morocco. Gino siedział przy swoim stałym stoliku. Zamachał do nich wylewnie i nalegał, żeby się przysiedli. Adele jaśniała w nowym futrze z nerek i wyraźnie podkreślając swoje prawa do Gino, trzymała go pod ramię. Anna nagle doszła do wniosku, że nie wie, co właściwie chciała dzisiaj osiągnąć. Zapomniała już, jak piękna jest Adele. Ronnie Wolf też do nich dołączył. Adele wspomniała, że następnego dnia wieczorem odbędzie się kolejna premiera w nowym klubie nocnym i Gino spontanicznie zaproponował, żeby Anna i Allen wybrali się tam z nimi.

Przyjazd do Morocco okazał się błędem. Po co właściwie kazała się tu przywieźć? Miała jakąś zwariowaną nadzieję, że jej widok przypomni Gino o Helen? Patrzyła, jak Gino głaszcząc ramię Adele, i wyobraziła sobie Helen - jej brzydką, przekrwioną cerę i ciężką figurę. Ze współczucia dla nie najmłodszej już gwiazdy ścisnęło się jej serce.

- Chodź, Anno, zatańczymy.

Gino wysuwał już pełny tors zza stolika.

- Jeszcze nigdy nie tańczyłem z narzeczoną syna. - Mrugnął do Ronniego Wolfa. - Nie mogę przepuścić takiej okazji.

Kiedy już okrążyli parkiet i Gino skinieniem głowy pozdrowił znajomych, ścisłym głosem powiedział:

- Słuchaj, Anno, musisz coś dla mnie zrobić. Zdejmij mi tę Lawson z karku.

- Nie rozumiem - zdziwiła się jak najniewinniej.

- Dzwoniła dziś do mnie. Dopytywała się, kiedy znów ruszymy w miasto. Wiesz, jaka jest bezczelna? Zapytała mnie nawet, czy czasem nie byłem chory, bo wcale się nie odzywałem!

- Ale dlaczego nie zatelefonowałeś do niej? Wydawało mi się, że ją lubisz.

- Jasne. Byłaby z niej dobra kumpelka. Fajnie byłoby pójść z nią tu czy tam. Kupa śmiechu. Zaprosiłbym ją ponownie, gdyby się na tym skończyło.

- Myślę, że wyobrazasz sobie coś, co wcale nie istnieje - zauważyła Anna chłodno.

- Anno. - Gino zniżył głos. - Nie chciałem ci o tym mówić, ale musisz jednak wiedzieć, żebyś zrozumiała, w czym rzecz. Kiedy tamtego wieczoru odwieźliśmy najpierw ciebie, a potem Allena, ta stara purchawka chwyciła mnie za... za przyrodzenie. Wiła się pod drzwiami, żebym wszedł do niej na górę. Udałem, że nie rozumiem, co ma na myśli. Matko, zwiewałem gdzie pieprz rośnie! - Aż wstrząsnął się na to wspomnienie.

- Wydaje mi się, że Helen jest... atrakcyjna - powiedziała bez przekonania.

- Chyba tylko dlatego, że na dobrą sprawę mogłaby być twoją matką, a ty masz szacunek dla starszych. Poza tym podziwiasz jej talent. Ale to nie jest typ, który się podoba mężczyznom. No jasne, inna sprawa, jak jest na scenie, śpiewa i nikt nie może jej dotknąć. Ale kiedy idzie o prawdziwy romans... - Zerknął na Adele przy stoliku. - Mnie interesuje tylko to ciało, które mam w ramionach.

Zaczerpnęła głęboko tchu. Nie mogła znieść myśli, że ktoś może tak bardzo nie chcieć Helen, tak bardzo ją poniżać. Za jakiś czas Helen zapomni o Gino, zwłaszcza że zespół za chwilę wyruszy w trasę. Ale w tej chwili musiała bronić jej dumy.

- Dziwię ci się, Gino - powiedziała spokojnie. - Mężczyzna taki jak ty... Mężczyzna, który stworzył takie wielkie imperium, może zakochać się w dziewczynie tylko dla jej ładnej buzi? Przecież Helen Lawson to chodząca legenda. Powinieneś być dumny, że pokazuje się z tobą. To ktoś, kto się liczy.

- Kochanie, nic z tego nie rozumiesz. Kto mówi o miłości? Myślisz, że jestem zakochany w tej pustogłowej laleczce przy stole? Raz kochałem naprawdę. Matkę Allena. To była prawdziwa dama. Kiedy mężczyzna w moim wieku zaczyna paplać o miłości, to znaczy, że doprasza się kłopotów. Czy mnie jest potrzebna miłość? Ja chcę mieć dziewczynę z ładną buzią i zgrabną figurką. Nie musi być ani mądra, ani legendarna. Ma wyglądać dobrze i zaspokajać moje potrzeby. Ja zaś ze swojej strony ofiarowuję jej futra i jakieś świecidełka, żeby była szczęśliwa. - Wzruszył ramionami. - Co ty się



tak czepiłaś tej Helen Lawson? Toż ona jest jak suka w rui! A teraz, bardzo cię proszę, uwolnij mnie od niej na dobre, bo inaczej będę ją musiał obrazić.

- Ale pojedziesz na premierę do New Haven?

- New Haven?

- Gino, to był twój pomysł! Obiecałeś!

- New Haven... Chryste Panie! Toż to godziny jazdy pociągiem. Chyba miałem dobrze w czubie. Wiesz co, jej też zbytnio nie zależało, żebyśmy tam przyjechali. Powiedz jej, że przyjadę do Filadelfii.

- Naprawdę?

- Nie, ale do Filadelfii jest więcej czasu. Do tej pory jeszcze coś wymyślę.

- Nie, Gino. To moja koleżanka. Nie będę jej tak oszukiwać.

- No dobra, więc sam jej powiem. Powiem jej, że jest starą krową i żeby się wreszcie ode mnie odczepiła.

- Jeśli to zrobisz, nigdy ci nie wybaczę. - Anna mówiła spokojnie, ale oczy pociemniały jej z gniewu.

Spojrzał na nią. Uśmiechnął się.

- Anno, Anno... Czego ty ode mnie oczekujesz? Nie chcę jej zrobić przykrości. Ale nie mogę być jej kochankiem.

- Możesz przyjechać do Filadelfii na premierę.

- A potem co? To ją tylko zachęci.

- Nie traktowałabym tego tak poważnie - stwierdziła chłodno. - Jesteś szalenie atrakcyjnym mężczyzną, ale nie wyobrażam sobie, żeby Helen miała się jakoś załamać, jeśli jej nie zechcesz. Chodzi tylko o to, że was poznałam ze sobą, a jeśli ktoś składa jakąś obietnicę, to uważam, że musi jej dotrzymać. Jak tylko ten spektakl wejdzie na Broadway, będziesz godzinami czekał w kolejce za kulisami, żeby się z Helen zobaczyć.

- Dobra, dobra, moja strata. Niech Bóg uchwata, żebym miał sprowokować nieporozumienia z przyszłym członkiem rodziny. Pójdę z tobą na układ. Pojadę do Filadelfii... jest w końcu nocny pociąg, którym mogę wrócić... ale tylko pod warunkiem, że do tego czasu będziesz ją trzymać ode mnie jak najdalej. Umowa stoi?

- Dobrze, Gino, stoi.

Helen zrobiła się jeszcze bardziej uciążliwa. Anna powiedziała jej, że Gino jest zajęty dopinaniem nowych kontraktów i ma za mało

czasu, żeby teraz się z nią widywać, ale na pewno przyjedzie na premierę w Filadelfii.

- Co to znaczy, że dopina jakieś interesy? - wrzasnęła Helen. - A co ja twoim zdaniem robię? Skrobię ziemniaki czy co?

- Ale przecież wolałaś, żeby raczej przyjechał do Filadelfii niż do New Haven.

- Tak, ale co to za gadanie o interesach? Posłuchaj no, żebym nie wiem jak była zajęta, jeśli ktoś mi się podoba, zawsze znajdę czas, żeby się z nim spotkać.

- No cóż, to lepiej zapomnij o Gino - powiedziała Anna ostrożnie. - Niewart jest tego zachodu.

- Ale ja potrzebuję faceta i nie mam nikogo, Anno. - Znow odezwała się głosem małej dziewczynki: - Muszę mieć Gino.

- Helen, może Gino nie chce nikogo na stałe...

- Pewnie, że chce. Wiem o nim wszystko. Chodzi z jakąś tancerką. Taką dużą dziewczuchą... jakąś Adele czy kimś takim.

- Wiesz o tym?

- Pewnie. Czytani kroniki towarzyskie. Ale przecież spotkał się ze mną, chociaż ciągle z nią jest, prawda? To znaczy, że nie jest już na nią taki napalony. Słyszałam, że to między nimi trwa gdzieś od pół roku, ale jak widać nie prosił jej o to, żeby rzuciła pracę i była z nim od rana do wieczora. Przypuszczam więc, że dojrzał już do zmiany. I to ja ją zastąpię! Te dwa wieczory, kiedy byliśmy razem, mieliśmy ubaw po pachy. Wiem, że na mnie leci. Może się trochę boi, bo jestem, kim jestem. Wiesz cała ta legenda i w ogóle... Zaraz do niego zadzwonię!

- Helen!

- Co jest, u licha? Najwyżej powie „nie” i nie zobaczymy się dzisiaj. Ale jak będę siedzieć beczynnie, to nic nie popchnę do przodu.

- Helen, on przyjedzie do Filadelfii.

- Skąd jesteś taka pewna?

- Bo my też się tam wybieramy z Allenem. Obiecuję ci, że go tam zobaczysz.

- No dobra. - Helen znow nabrała humoru. - Może to i lepiej? Przez następnych kilka dni będziemy tu mieć prawdziwe urwanie głowy. A po premierze w Filadelfii mają nam zrobić jakieś wielkie przyjęcie. Pokażemy się z Gino na początku, a potem wymkniemy się

we dwójkę do mojego pokoju i dopiero wtedy urządzimy bal. Kurde, Anno, jak tylko wciągnę go do łóżka...

Tydzień przed „wielkim wydarzeniem”, jak Neely nazwała dzień premiery w Filadelfii, był jednym nie kończącym się dramatem. Biuro pękało w szwach od organizowanych w atmosferze hysterii spotkań na temat spektaklu Eda Holsona; odwiedzinom dziennikarzy nie było końca. Helen wydzwaniała po kilka razy dziennie - czasem, żeby zwyczajnie pogadać, częściej jednak, żeby pouskarzać się na Gino. Siedział w Morocco aż trzy wieczory z rzędu z niejaką Adele Martin. Projektant Helen widział ich tam razem. No i co można myśleć o jego interesach?

- Ależ Helen... mógł się z nią spotkać dopiero po jedenastej. Być może umówili się tylko na jeden kieliszek.

- Ja też bym się z nim umówiła tylko na kieliszek.

- Jestem pewna, że za bardzo cię ceni, żeby kazać ci na siebie czekać cały wieczór...

Nagle, w samym środku tego straszliwego chaosu, Allen postanowił wyjaśnić pewne sprawy i zająć konkretne stanowisko. Skoro na jakiś czas uwolnili się od Helen, ich spotkania znów nabrały swobodnego charakteru.

Siedzieli sobie w Stork Club; Anna leniwie mieszała szampana drewnianą pałeczką i udawała, że pije.

- Anno - zaczął nagle Allen. - Jak długo to jeszcze będzie trwać?

- Co masz na myśli?

- Kiedy się pobierzemy?

- Pobierzemy? - powtórzyła bezdźwięcznie.

- No cóż, takie przyjęliśmy założenie.

- Ależ, Allen... Zdawało mi się, że rozumiesz. To znaczy...

- Powiedziałem ci, że zaczekam. I czekałem. Minał już miesiąc.

- Allen, ja nie chcę wychodzić za mąż.

Kiedy odezwał się wreszcie, jego oczy nabrały dziwnego wyrazu.

- Chciałbym coś ustalić. Żeby się ustawić właściwie. Czy tobie się nie podoba małżeństwo, czy ja?

- Wiesz, że nie chodzi o to, że mi się nie podobasz. Jesteś bardzo miły.

- O Boże... - jęknął.

- Nie mogę ci powiedzieć, że cię Kocham, skoro tego nie czuję - powiedziała ze smutkiem.

- Powiedz mi jedno. Czy w ogóle kiedyś kochałaś?

- Nie, ale...

- Myślisz, że jesteś w stanie kogoś kochać?

- Oczywiście!

- Ale nie mnie.

Znów zamieszała szampana i patrzyła na musujące bąbelki. Nie mogła spojrzeć mu w oczy.

- Anno, myślę, że się boisz seksu. Tym razem podniosła wzrok.

- Za chwilę mi powiesz, że jestem nie rozbudzona i że ty to wszystko odmienisz.

- Właśnie.

Pociągnęła szampana, żeby uniknąć jego spojrzenia.

- Przypuszczam, że ktoś już ci to mówił.

- Nie, słyszałam coś takiego w jakichś fatalnych filmach.

- Dialogi brzmią często trywialnie, dlatego że są prawdziwe. No i łatwo się wyśmiewać z prawdy.

- Jakiej znów prawdy?

- Że boisz się życia... Że się boisz żyć.

- Tak właśnie myślisz? I wszystko dlatego, że nie pędzę na łeb na szyję z tobą do ołtarza? - W jej oczach pojawił się błysk uśmiechu.

- A uważasz, że to naturalne, żeby mieć dwadzieścia lat i nadal być dziewicą?

- Dziewictwo nie jest upośledzeniem.

- W Lawrenceville pewnie nie. Ale przecież tyle razy powtarzałaś, że chcesz być inna od tych, którzy tam mieszkają. Powiem ci parę rzeczy. Większość dziewcząt w wieku dwudziestu lat nie jest już dziewicami. Na ogół, w przeważającej liczbie, do tej pory były już w łóżku z facetami, za którymi wcale specjalnie nie szalały. Chciały tego spróbować. Albo z prostej ciekawości, albo wiedzione naturalną potrzebą organizmu. Przypuszczam, że nigdy nawet nie całowałaś się z nikim tak naprawdę porządnie. Jak możesz zakładać, że coś ci się nie podoba, skoro nigdy dotąd tego nie spróbowałaś? Naprawdę nic wobec nikogo nie czujesz? Nie ciągnie cię do nikogo? Nie ma człowieka, przy którym byłabyś skłonna choć trochę się otworzyć? Czy kiedykolwiek zarzuciłaś komuś ramiona na szyję? Mężczyźnie, kobiecie, dziecku? Anno, muszę się przedrzeć przez ten twój pancerz. Kocham cię. Nie mogę pozwolić na to, żebyś cofając się przed wszystkim, została kolejną starą panną z Nowej Anglii. -

Chwycił ją za rękę. - Posłuchaj... przez chwilę nie myśl o mnie. - Naprawdę nie ma nikogo, na kim ci zależy? Czasami mam ochotę potrząsnąć tobą i sprawdzić, czy może w ten sposób nie wywołam jakichś uczuć na tej prześlicznej twarzy. Czy nasz ostatni czwartek nie dla ciebie nie znaczył?

- Czwartek? - Cofnęła się myślą do ubiegłego tygodnia.

- Święto Dziękczynienia, Anno. Obchodziliśmy je w „21”. Chryste, naprawdę nic do ciebie nie dociera? Miałem nadzieję, że zaprosisz mnie na ten dzień do Lawrenceville. Chciałem poznać twoją matkę i ciotkę.

- Ktoś musiał przyjść w piątek do biura, a panna Steinberg pojechała do Pittsburgha, żeby odwiedzić rodzinę.

- A ty? Przecież jesteś jedynaczką. Nie czujesz się związana z matką? Co ona myśli o naszym związku? Wiesz, że nigdy o niej nawet nie wspominasz?

Znów zabawiała się drewnianym patyczkiem. Z początku pisała do domu co tydzień. Ale odpowiedzi matki były wymuszone - pisane z obowiązku - po kilku listach zatem przestała pisać w ogóle. Matki naprawdę nie interesował ani Nowy Jork, ani Neely, ani Henry Bellamy.

- Dzwoniłam do domu po tym, jak w prasie ukazała się wiadomość o naszych zaręczynach.

- Co powiedziała?

(No cóż, Anno, pewnie wiesz, co robisz. Wszyscy w Lawrenceville dowiedzą się o tym na pewno z bostońskich gazet. Przypuszczam, że wszyscy nowojorczyki są wariaci dokładnie tyle samo. Człowiek nic nie wie o ich rodzinach... Nie sądzę, żeby ten twój narzeczony był jakoś spokrewniony z Cooperami z Plymouth?)

Uśmiechnęła się blado.

- Powiedziała, że pewnie wiem, co robię. I pomyliła się. Jak zwykle.

- Kiedy ją poznam?

- Nie wiem, Allen.

- Chcesz tak pracować dla Henry'ego aż do końca życia? To już szczyt twoich ambicji?

- Nie...

- To czego ty chcesz, Anno?

- Nie wiem. Wiem tylko, czego nie chcę robić! Nie chcę wrócić do Lawrenceville. Wolałabym raczej umrzeć. - Wstrząsnął nią dreszcz. - Nie chcę wychodzić za mąż... dopóki się nie zakocham. A ja naprawdę chcę się zakochać, Allen. Naprawdę. Uwierz mi, że bardzo tego pragnę. I chcę mieć dzieci. Chcę mieć córeczkę... Będę ją mocno kochać... będę z nią taka zżyta...

Rozpromienił się.

- Nareszcie! Chyba nigdy dotąd tak się przede mną nie otworzyłaś. Może mnie nie kochasz, ale pragniesz wszystkiego tego, czego i ja pragnę. Będziemy mieć tę małą dziewczynkę... Tylko nie protestuj. - Położył jej palec na ustach, kiedy otworzyła je, żeby coś powiedzieć. - Poślemy ją do najlepszych szkół i urządzimy wielki bal, na którym wprowadzimy ją w świat. Przy twojej urodzie i pochodzeniu będzie my obracać się w najlepszych kręgach. Wynajdę odpowiedniego dziennikarza, który nagłośni historię twojej rodziny i jej tradycje. Zobaczysz, będziemy piąć się w górę. Pojedziemy do Newport, do Palm Beach. Skończę z Miami i Copa.

- Ale ja cię nie kocham, Allen.

- Nie kochasz nikogo. Ale widziałem ten błysk w twoim oku, kiedy mówiłaś, że chcesz być zakochana, że chcesz mieć dziecko. To wszystko jest w tobie, tylko czeka, żeby nareszcie wyjść z głębokiego ukrycia. Należysz do tych kobiet, które w łóżku rozsadza namiętność, kiedy już raz spróbują...

- Allen!

Uśmiechnął się.

- Nie potępiaj w czambuł tego, czego jeszcze nie znasz. Nie chciałbym się przechwalać, ale trochę już się kręciłem po świecie. Rozbudzę cię. Zobaczysz, że będziesz chciała jeszcze i jeszcze...

- Nie będę tego słuchać!

- No dobrze. Nie powiem już jednego słowa na ten temat. Nie będę cię namawiał na małżeństwo. Do Bożego Narodzenia. Wtedy ustalimy datę.

- Nie, Allen...

- Zawsze zdobywam to, co chcę, Anno. A teraz chcę ciebie. Chcę, żebyś mnie kochała. I będziesz mnie kochać! Wystarczy. Nie będziemy już o tym rozmawiać. Do świąt.

Ta rozmowa miała miejsce we wtorek.

W środę zespół występujący w Pod samo niebo wyjechał do New Haven na piątkową premierę.

W czwartek Henry Bellamy powiedział:

- A, słuchaj no, Anno, jutro o pierwszej po południu wsiadamy w pociąg do New Haven. Zarezerwowałem ci pokój w hotelu Taft.

- Dla mnie?

- Nie chcesz jechać? Musimy być z Lyonem na premierze i wydawało mi się zupełnie oczywiste, że zechcesz tam z nami pojechać. W końcu jesteś tak bardzo zaprzyjaźniona z Helen... No i znasz tę małą O'Hara, która też występuje w spektaklu.

- Ależ bardzo chcę! Nigdy nie byłam na premierze!

- No to dobrze. Lepiej trzymaj się mocno, bo nic na świecie nie równa się z premierą w New Haven.

Grudzień, 1945

Spotkali się na stacji Grand Central. Dzień był chłodny i rześki. Henry, mimo iż świeżo ogolony, miał trochę napuchniętą twarz z niewyspania i ze zmęczenia. Lyon Burke przywitał Annę przelotnym, ciepłym uśmiechem.

Usiedli na zarezerwowanych miejscach w salonce, po czym obydwaj mężczyźni otworzyli aktówki i zgarbili się nad umowami i innymi dokumentami. Podróż pociągiem stanowiła część ich zwykłego dnia pracy.

Anna próbowała czytać jakieś czasopismo. Jasne słońce błyskając za szybą w pełni obnażało nagość zimowego krajobrazu. Widok za oknem sprowokował ją do wspomnień o Lawrenceville. W Nowym Jorku człowiek zapominał, jak chłodna i bezbarwna potrafi być zima.

Nowy Jork lśnił światłami neonów, a tłum na ulicach i taksówki na jezdniach rozgniatając śnieg zamieniały go w brudne błoto, które z kolei zamieniało się w szybko znikającą burą wodę, i wreszcie człowiek zapominał o nagiej, posępnej ziemi świata poza miastem. Samotność zimą. Długie wieczory spędzane przy dużym, czystym stole w kuchni - tylko z matką i ciotką Amy. Rzadkie wyprawy do kina czy do kręgielni albo partyjki brydża. O Boże, dzięki ci wielkie, że dałeś mi siłę wyrwać się stamtąd - myślała. Nie zmusz mnie nigdy, żebym tam wróciła. Nigdy!

Kiedy pociąg wjechał na ciemny dworzec New Haven, obie aktówki zostały z trzaskiem zamknięte i mężczyźni wstali, żeby rozprostować nogi. Na twarzy Henry'ego odmalowało się zmęczenie i niepokój.

- No to co? Prosto na linię ognia? Lyon ujął Annę pod ramię.

- Chodź, dziewczyno. Ciesz się swoją pierwszą premierą w New Haven. Nie dopuścimy do tego, żeby Henry ci popsuł zabawę.

- Byłem tu już chyba z pięćdziesiąt razy - powiedział Henry. - I wciąż zapominam, jak bardzo nienawidzę tej dziury, dopóki tu nie przyjadę. W New Haven są zawsze kłopoty. Chyba że przyjeżdżamy tu ze spektaklem Helen Lawson. Wtedy czeka nas istna katastrofa!

Hotel Taft robił wrażenie ponurego i zakazanego miejsca.

- Obmyj się i zejdź do nas do baru - zwrócił się Henry do Anny. - A, i na twoim miejscu nie dzwoniłbym do Helen. Tu, w New Haven, wstępuje w nią prawdziwy diabeł. Zresztą prawdopodobnie jest



jeszcze w teatrze. Przejdę się tam i zobaczę, co słyhać. Teatr jest dwa kroki stąd.

Anna szybko rozpakowała torbę. Pokoik był mały i przygnębiający. Nic jednak nie mogło zepsuć jej wspaniałego humoru. Czuła się jak dziewczyna na pierwszym wyjeździe bez opieki matki. Przepęłniało ją jakieś dziwne oczekiwanie, jakby już za chwilę miało się zdarzyć coś absolutnie cudownego.

Podeszła do małego okna i wyjrzała na ulicę. Wczesny zimowy zmierzch otulał miasto; uliczne latarnie budziły się do życia. Po drugiej stronie jezdni, naprzeciwko hotelu, niepewnie mrugał neon małej restauracji. Na przenikliwy dźwięk dzwonka telefonu Anna odwróciła się gwałtownie.

To Neely.

- Właśnie wróciłam z próby. Pan Bellamy zajrzał do teatru, żeby zobaczyć się z Helen. Powiedział mi, że przyjechałaś. Tak bardzo się cieszę!

- Ja też. Jak poszło?

- Okropnie! - Neely, jak to zwykle ona, aż się zachłysnęła powietrzem. - Wieczorem mieliśmy próbę w kostiumach. Wyobraź sobie, że trwała do czwartej rano! Helen usiłuje wyrwać Terry King kolejną piosenkę. Terry wściekła wybiegła wczoraj z teatru i dziś po południu przyjechał jej agent na rozmowę z Gilem Case'em. Terry twierdzi, że Helen nie może jej wyciąć tej piosenki. A taniec z Gaucheros jest po prostu straszny. Założę się, że go skasują, a Charlie i Dickie polecą na bruk - Neely zakończyła pogodnie.

- Wszystko razem brzmi dość zatrważająco. Czy Helen już wróciła?

- Nie, ciągle siedzi w teatrze, zamknięta w garderobie z Henrym Bellamy. Nie mam pojęcia, jak to można rozwiązać.

- Chcesz powiedzieć, że odwołają dzisiejszą premierę?!

- No nie, kurtyna pójdzie w górę - uspokajała ją rozweselona Neely. - Ale będą numery. Zobaczysz! Hej, Anno, wiesz, że Mel przyjechał?

- Pewnie tym samym pociągiem co my.

- Nie, wczoraj wieczorem - sprostowała Neely. - Anno... I wiesz... zrobiliśmy to.

- Co?

- No wiesz...

- Neely... chcesz powiedzieć...?
  - Mhm. Bolało mnie bardzo i nie miałam orgazmu. Ale Mel zrobił mi to inaczej.
  - O czym ty mówisz?
  - Językiem.
  - Neely!
  - No wiesz, nie zachowuj się jak cnotka! To, że ciebie Allen nie bierze, nie oznacza jeszcze, że ja jestem od razu jakąś zdzirą. Tak się składa, że kocham Mela.
  - I dlatego wszystko jest w porządku?
  - A właśnie że tak! Oboje chcemy być ze sobą. W dzisiejszych czasach ludzie nie pobierają się tylko po to, żeby iść do łóżka. Mel mnie kocha i szanuje dzisiaj dokładnie tak samo jak wczoraj. A nawet jeszcze bardziej, bo dziś mnie kocha naprawdę. I ja kocham jego. Poza tym nie możemy się jeszcze pobrać. On trochę pomaga finansowo rodzicom. Ale jeśli ten spektakl wypali i będę mogła liczyć na stówę tygodniowo, od razu bierzemy ślub.
  - Ale Neely... to, co zrobiłaś... - Zakłopotana Anna nie mogła skończyć zdania.
  - Mówisz o tym, że pozwoliłam mu się tam całować? Posłuchaj, Mel mówi, że wszystko, co robią ze sobą zakochani, jest zupełnie normalne. A poza tym to naprawdę cudowne! Rany, nie mogę się już doczekać dzisiejszej nocy. I wiesz, kiedy dotyka moich piersi, czuję to aż tam, na dole... Myślę, że orgazm inaczej nie może być nawet w połowie aż taki wspaniały...
  - Neely, na litość boską!
  - Poczekaj, aż sama poczujesz to na własnej skórze. Zobacysz wtedy. To co? Zobaczymy się po przedstawieniu? Wypatruj mnie dobrze. Mam trzy linijki w drugiej scenie.
- Lyon czekał na nią przy stoliku w barze.
- Henry wciąż siedzi w teatrze. - Zrobił pełną współczucia minę.
  - Zamówiłem ci lemoniadę imbirową. Może być?
- Z uśmiechem spojrzała na szklanę.
- Chyba powinnam się nauczyć pić whisky. Mam uczucie, że kelnerzy patrzą na mnie z niechęcią.
  - To patrz i ty na nich. Nie pozwól, żeby ktoś tak cię zawstydził, żebyś zrobiła coś, na co nie masz ochoty. Zachowaj własną osobowość.

- Myślę, że jeszcze jej nie mam.

- Wszyscy mają. Jedną na prywatny użytek, inną na pokaz. Mam wrażenie, że podoba ci się odgrywanie przed światem biernego dziewczątka, a tymczasem wciąż szukasz sama siebie.

- Przypominam sobie, jak mówiłeś, że potrafię walczyć...

- Tak, ale o innych.

Upiła trochę lemoniady. zaproponował jej papierosa.

- Powiedziałem może coś niewłaściwego?

- Nie. Sądzę, że trafiłeś w sedno. - Spojrzała na niego rozjaśnionym wzrokiem. - Ale jedną rzecz wywalczyłam dla siebie...

- Tak, przyjechałaś do Nowego Jorku. Tylko powiedz mi, Anno... Czy to ma być największe osiągnięcie twojego życia?

- A co ty będziesz robił? - Jej oczy rozbłysły nagle gniewem. - Wojna się skończyła. Życie idzie naprzód. Znowu będziesz się bił?

- Już się biję - odparł cicho.

- Jakoś nigdy nie udaje mi się przy tobie błysnąć lekką, dowcipną uwagą - powiedziała cierpko. - Ale tym razem to nie ja zaczęłam. Chyba napiję się szkockiej.

Kiwnął na kelnera i zamówił dwie szklaneczki whisky. Anna wzniosła toast.

- Może jak to wypiję do dna, wreszcie mi się uda cię rozśmieszyć?

- Bardzo bym tego chciał. Ale z tego powodu nie musisz pić whisky. Wypiła pół zamówionego drinka.

- Paskudnie smakuje i wciąż nie przychodzi mi do głowy nic zabawnego - powiedziała niepewnie.

Wyjął jej szklankę z ręki.

- A po co miałybyś mnie rozśmieszać?

- Pamiętam cię z tamtego wieczoru w La Ronde. Razem z Jennifer North. Śmialiście się prawie bez przerwy. Myślałam o tym... - Sięgnęła po szkocką. Co też ona właściwie wygaduje? Upiła trochę szkockiej.

- Pij, pij. Nie był to w końcu aż taki zły pomysł. Przynajmniej wreszcie zaczynasz walczyć o siebie.

- A ty o co walczysz, Lyon?

- O ciebie. Spojrzeli sobie w oczy.

- Nie musisz o mnie walczyć - powiedziała cicho.

Szybko ujął jej dłoń. Brylant od Allena ostrą krawędzią wbił się jej w palec, jakby manifestując swoją wściekłość. Ale Anna nawet się nie skrzywiła. Oczy Lyona były tak blisko...

- No, no, widzę, że jesteście już po paru głębszych - zauważył pogodnie Henry Bellamy, zbliżając się do stolika. Dał znak kelnerowi, żeby przyniósł mu drinka.

Anna pospiesznie cofnęła dłoń. Pierścionek naprawdę rozciął jej skórę. Henry usiadł i westchnął.

- Trzymajcie się za ręce. Nie mam nic przeciwko temu - powiedział nonszalancko. - Do diabła, jesteście młodzi oboje i cieszcie się życiem! Mówię poważnie. Kiedy człowiek jest młody, to myśli, że ten stan będzie trwał wiecznie. Potem któregoś dnia się budzi i stwierdza, że już przekroczył pięćdziesiątkę. A to niestety oznacza, że strony z nekrologami przestają już dotyczyć nieznanym ludzi. Zaczyna się tam znajdować nazwiska rówieśników, znajomych... - Kelner przyniósł szklaneczkę. Henry wychylił ją jednym haustem.

- Daj spokój, Henry! - odparł Lyon ze śmiechem. - Nie może być aż tak źle. - Sięgnął pod stół i otoczył dłoń Anny intymnym ciepłem swojej ręki.

- Jest jeszcze gorzej - powiedział Henry smętnie. - To, co się dzieje tym razem, będzie ukoronowaniem wszystkiego. Albo z Helen zrobiła się jeszcze większa zhora, albo ja się starzeję.

- Helen zawsze zamienia się w barakudę przed każdą premierą - zauważył Lyon swobodnie.

Henry wyciągnął notes i spojrział na nagryzmołone zapiski.

- Chcesz usłyszeć parę kwiatków? A to za ledwie początek. Kiepskie oświetlenie podczas tańca; suknia wieczorowa do drugiej sceny jest nie do przyjęcia; orkiestra za głośno rżnie balladę; piosenka Terry King zwalnia tempo spektaklu i Terry śpiewa ją jak na pogrzebie; numer chórzystów za długi. I jeszcze: „Po wszystkich moich piosenkach gaśnie światło, a ja chcę chociaż po jednej ukłonić się publiczności i dostać oklaski”. Poza tym: „Chcę, żeby balladę, którą śpiewam z facetem, przerobić na moją solówkę, bo on jest głuchy jak pień; Terry King za sztywno gra swoją rolę i zakłóca brzmienie spektaklu”. - Potrząsnął głową i zamówił następnego drinka.

- Boże, jak ja nienawidzę tego baru - powiedział i rozglądając się po sali pomachał smętnie agentom i producentom, którzy zjechali na premierę do New Haven. - Nienawidzę tych wszystkich sukinsynów, którzy przyjeżdżają tu, żeby zobaczyć, jak się wykładamy. - Posłał uśmiech komuś po drugiej stronie sali. - A na premierę Gila Case'a ciągną jak muchy do miodu. Uwielbiają, jak się coś nie uda producentowi z lepszych sfer. Tak bardzo kłuje ich w oczy dyplomem z Harvard... - Znów westchnął. - To jest najnudniejszy bar na świecie i spędziłem w nim kilka najgorszych wieczorów w życiu.

Anna i Lyon potajemnie wymienili uśmiechy. Rozejrzała się. Przecież to najpiękniejsze miejsce na ziemi. Gdybym tylko mogła zatrzymać ten moment - myślała. Niech się potem już dzieje co chce, ale to zawsze będzie dla mnie najszczęśliwsza chwila w całym życiu.

Zjedli szybką kolację w staromodnej restauracji hotelowej. Henry i Lyon znali tu niemal wszystkich. Nikt z zespołu nie przyszedł na posiłek. Wszyscy pospiesznie napychali się kanapkami w pokojach na górze i układali przyklapnięte włosy. Anna, nie zważając na gwar i ożywienie panujące na sali, ani na moment nie spuszczała wzroku z Lyona. Co jakiś czas ich spojrzenia stykały się na krótką, intymną chwilę. Nie mogła uwierzyć, że to wszystko odbywa się naprawdę... Dokładnie tak, jak sobie wymarzyła. I budzi w niej te spodziewane emocje...

Henry skinął na kelnera, żeby przyniósł rachunek.

- Anno, widzę, że bardzo przeżywasz tę premierę. Nawet nie tknęłaś jedzenia... Hm, zjesz później. Gil Case organizuje wielki spęd po przedstawieniu.

Wszystkie bilety na spektakl zostały sprzedane. Wiedząc, że do New Haven zjechało wielu ludzi teatru, publiczność była tak rozentuzjasmowana jak na nowojorskiej premierze. Anna siedziała w trzecim rzędzie między Henrym a Lyonem. Światło przygasło; orkiestra zaczęła żywo grać uwerturę. Lyon sięgnął po dłoń Anny. Odpowiedziała mu lekkim uściskiem - ze szczęścia miała zawroty głowy.

Spektakl rozpoczął się zwawym musicalowym numerem. Kostiumy były nowe, barwne i czyste; tancerki, które jeszcze przed kilkoma godzinami robiły wrażenie zmęczonych i nieciekawych dziewcząt, teraz, w makijażu, który nadawał im cerom brzoskwiniowy odcień, wyglądały prześlicznie. W ciągu zaledwie

kilku minut naelektryzowana atmosfera na widowni zapowiedziała wielki sukces spektaklu. Między wykonawcami a publicznością przepływały niewidzialne prądy.

Kiedy na scenę weszła Jennifer North, wyróżniona spośród innych dziewcząt specjalnym, punktowym oświetleniem, przez widownię przetoczył się pomruk zdumienia. Szła wolno - kołysząc się w takt muzyki - ubrana w naszywaną złotymi cekinami suknię, która sprawiała wrażenie przyrośniętej do jej niewiarygodnie pięknego ciała.

- Jezu... - mruknął Henry i z sykiem wciągnął powietrze. - Wychylił się przed Annę. - Lyon, nie możemy przegapić tej okazji. Na sali jest Weiss z Twentieth i Meyers z Paramount. Mamy pewniaka na pięcioletni kontrakt.

- Ale ten kontrakt będzie musiał być pierwsza klasa. Ona chodzi z Tonym Polarem. Nie zostawi go, chyba że trafi jej się coś naprawdę ekstra.

- Tony nigdy się z nią nie ożeni. Zostaw to mnie.

- O, masz swoją małą przyjaciółkę - powiedział Lyon szybko. Anna uniosła wzrok, gdy Neely w towarzystwie dwóch tancerzy w szybkich podskokach zbliżała się do zejścia ze sceny.

Kiedy potem zjawiała się Helen, na chwilę wszystko zamarło na scenie, bo publiczność zgotowała jej żywiołowe powitanie, graniczące niemal z histerią. Helen stanęła spokojnie, uśmiechając się nieznacznie, i godnie przyjmowała składany jej hołd. Ci, z którymi grała, znaleźli się na scenie tylko dla niej; teatr pękał w szwach też tylko dla niej; wszyscy muzycy orkiestry trafili tu też tylko dzięki niej i dla niej powstał scenariusz. Odseparowana od tłumu światłami rampy, Helen po królewsku przyjmowała hołdy zebranego tłumu. Gdyby Gino tu był, też krzyczałby i klaskał jak inni. Po spektaklu błagałby Annę, żeby go uwolniła od Helen, ale w tym momencie, jak wszyscy widzowie, uwielbialby królową komedii muzycznej.

I to był jej spektakl od początku do końca. Każda piosenka wywoływała nowe, silniejsze od poprzedniego szaleństwo braw. Widzowie przestali już być zwyczajną publicznością, przeobrazili się w bałwochwalców zjednoczonych uwielbieniem dla Helen. Ochrypli śmiech, od którego aż ciarki chodziły Annie po plecach, był absolutnie zwarty i wprost wibrował nad sceną. Neely błyszczała w swojej niewielkiej rólce, Jennifer North pojawiła się w nowej, wiele

odslaniającej kreacji, a publiczność ryczała z zachwytu. Terry King otrzymała sprawiedliwą porcję braw za dwie ballady odśpiewane głosem słodszy i miłszy niż mocny głos głównej gwiazdy spektaklu. Ale Helen była wprost przytłaczająca - jej sposób bycia na scenie był sztuką samą w sobie.

- Myślę, że Terry jest naprawdę dobra - szepnęła Anna Lyonowi.  
- Ale dla Helen to żadna konkurencja. Terry jest po prostu przeciętną piosenkarką.

- Niestety jej uroda wychodzi poza średnią krajową - odparł Lyon.

W antrakcie ludzie tłoczyli się w małym holu. Gilbert Case kiwnął na Henry'ego i Henry, a za nim Anna z Lyonem weszli do barku obok.

- Gil, to jest najlepszy spektakl Helen - powiedział Henry, kiedy przy barze sączyli whisky.

- Ja też tak sędzę, stary - odparł Gil z szerokim uśmiechem. - Troszkę trzeba będzie okroić to i owo, troszkę tu i ówdzie przyciąć i mamy prawdziwy przebój. Niepotrzebny nam będzie Boston; wystarczą cztery tygodnie w Filadelfii.

- Pewnie. Jeśli wytnie się właściwe miejsca.

W milczeniu wymienili spojrzenia. W końcu Case uśmiechnął się niewyraźnie i z trudem.

- Daj spokój, Henry. Wiesz, że jestem w potrzasku. Nie mogę zwolnić Terry. Ma kontrakt, który zapewnia jej rolę do końca wystawiania spektaklu.

- Jakim cudem dostała coś podobnego? - zdziwił się Lyon. Case wzruszył ramionami.

- Świetne pytanie. Uważasz, że przyzwoita artystka pójdzie na występ w spektaklu z Helen bez takiego zabezpieczenia? Przypomnij sobie, co było. Betty Mobile wyleciała w Bostonie. Miała za dobre recenzje. Sherry Haines doczekała się wycięcia całej jej roli w Filadelfii. Też miała za dobre recenzje. Mam wymieniać dalej? Trudno jest złapać jakąś piosenkarkę nie wymachując z dala właśnie takim kontraktem. Chyba że decydujesz się na mierność.

- Helen nie dopuści jej do premiery w Nowym Jorku. Mogę za to ręczyć - zauważył Henry spokojnie.

- Henry, błagam cię na wszystko... Pogadaj z nią - prosił Gil. - Co powiem współproducentom, jeśli wywalę Terry? Mam jeszcze

dwa inne spektakle nagrane na ten sezon. Ci ludzie są mi potrzebni. Jeśli wyrzucę Terry, będę jej musiał płacić cztery setki tygodniowo, aż do pierwszego czerwca, i drugie tyle dziewczynie, która ją zastąpi. Jeżeli dodasz do tego honorarium Helen i jej procent... No wiesz, nie mogę na to pójść.

- Jeśli zatrzymasz Terry, skończy się na tym, że będzie cię to kosztować jeszcze więcej forsy i kupę nerwów. Jeśli Terry zostanie, Helen bez końca będzie się czepiać kolejnych numerów i instrumentacji. Będziesz musiał zarezerwować sobie te trzy tygodnie w Bostonie. Podlicz, ile zapłacisz za przewóz sprzętu i w ogóle za koszty podróży, a zobaczysz, że wylądujesz w okolicach ośmiu tysięcy tygodniowo. Potem nagle przestaną się jej podobać kostiumy. Będzie ci też suszyć głowę, żebyś wynajął jakichś tekściarzy z zewnątrz. W tym momencie widzę już, jak kwota rośnie do dwudziestu pięciu tysięcy. Ale jak tylko pozbędziesz się Terry, Helen pokocha cały ten musical, ba, nawet ciebie! I będziesz mógł wejść do Nowego Jorku zaraz po Filadelfii. To wszystko jest bardzo proste. Gilem wstrząsnęły dreszcze.

- Hm, zawsze jest jakiś... Henry potaknął w milczeniu. Gil westchnął.

- Spróbuję. Ale robię się już za stary na takie historie.

Henry zostawił na kontuarze barku kilka banknotów i wszyscy razem wrócili na widownię.

Drugi akt wywołał wśród publiczności jeszcze większe podniecenie. Helen odśpiewała na zakończenie dwie piosenki, a potem wywołano ją na kolejne trzy. Przedstawienie stało się natychmiast przebojem; widzowie nie chcieli jej puścić ze sceny. Kiedy kurtyna opadła ostatecznie, wciąż jeszcze bili brawo.

Henry na programie występu zapisał mnóstwo uwag co do ewentualnych cięć i zmian. Po spektaklu stał z Anną i z Lyonem i mocno marszczył czoło.

- Patrząc na ciebie można by pomyśleć, że musical zrobił klapę.

- Nie, moja kochana. Wiem tylko, jak się to wszystko rozegra. - Uśmiechnął się. - To jej największy triumf. Przeszła samą siebie. - Zdusił papierosa. - No cóż, musimy się jakoś precisnąć za kulisy.

Wejście do garderoby Helen było dokładnie zakorkowane. W korytarzu tłoczyli się ludzie, którzy chcieli jej pogratulować sukcesu - cierpliwie czekali w kolejce, żeby ucałować gwiazdę i wyrazić swój



podziw. Helen stała w drzwiach - w ciężkim scenicznym makijażu wyglądała dość groteskowo. Uśmiechnięta, ze sztuczną serdecznością przyjmowała pochwały. Dostrzegła Henry'ego, Annę i Lyona, którzy usiłowali precyzyjnie się do niej przez tłum.

- Cześć! - krzyknęła wesoło. - Chodźcie tu, chodźcie! - Kiwnęła głową w stronę wejścia do garderoby. Kiedy Anna mijała ją w progu, szepnęła jej do ucha: - Jak tylko pozbędę się tych nudziarzy, pójdziemy na przyjęcie do Gila. - Potem odwróciła się do następnej osoby w kolejce, błysnęła rozradowanym uśmiechem i dalej głośno pozdrawiała cierpliwych kolejkowiczów.

Kiedy nadjechali, przyjęcie było już dobrze rozkręcone, ale na widok Helen wszyscy zamarli i odwrócili się do wejścia. Na ułamek sekundy zapanowała idealna cisza, a potem zerwała się burza szalonych oklasków. Helen przyjęła owacyjne powitanie uśmiechem i dobrodusznym machnięciem ręki, którym zachęciła zebranych, by powrócili do rozpoczętej zabawy. Rzecznik prasowy Gila podskoczył do niej i zaprowadził ją do dziennikarzy lokalnych gazet i co znaczących współproducentów. Lyon zabrał Annę w spokojniejsze miejsce; przyniósł jej szklankę lemoniady imbirowej i półmisek mdłych, obeschniętych kanapek z kurczakiem,

- Po drugiej stronie sali jest mnóstwo jedzenia. Pójdę tam, jak się tylko trochę rozluźni.

- Nie jestem specjalnie głodna - powiedziała Anna, bez smaku skubiąc kanapkę. Prześlizgnęła się wzrokiem po gościach. - Nie widzę Neely.

- Obawiam się, że na to przyjęcie zaproszono jedynie szefostwo. Chórzystki i inne panienki występujące w spektaklu organizują sobie zabawę na własną rękę.

- No wiesz! To okropne!

- Wcale nie. Robią zrzutkę, kupują sobie dużo lepsze kanapki w delikatesach, a potem zbierają się u którejś w pokoju i doskonale się bawią, obrabiając głównych wykonawców.

Nagle gwar rozmów ustał po raz drugi. Anna odruchowo spojrzała na drzwi. Do sali wchodził najważniejszy krytyk w New Haven z Jennifer North u boku. Za każdym razem, kiedy Anna ją widziała, nieprawdopodobna uroda Jennifer zaskakiwała ją na nowo. Przyglądała się teraz, jak producenci otaczają tę nieprawdopodobną piękność i tłoczą się czekając, aż będą jej przedstawieni. I znów

zadziwiło ją ciepło i nonszalancja, jakimi Jennifer obdarzała wszystkich nieznanomych.

Ciężkim krokiem podeszła do nich Helen i przysunęła sobie krzesło.

- Sprytni jesteście, że tak się tu zaszyliście w kącie. Boże, jak ja nie cierpię takich przyjęć. Ale to ukłon Gila w stronę współproducentów. Trzeba im dać jeden wieczór, żeby się mogli zbratać z ludźmi z showbiznesu. - Ostatnie słowo okraszyła uśmiechem.

Dołączył do nich Case.

- Tam na stole jest wspaniały kurczak po królewsku. I chińszczyzna.

- Gil, dlaczego na takich przyjęciach zawsze podajesz gówna? - spytała Helen.

- Jedzenie jest dobre. Polecał mi je sam szef kuchni.

- Na pewno polecał ci też befsztyki, ale to pewnie za drogie.

- Daj spokój, Helen - powiedział sympatycznie. - To jest twój wieczór. Baw się. - Odszedł w skłębiony tłum.

- Hej, Gil! - wrzasnęła Helen piskliwie. - Musimy ze sobą pogadać! - Zerwała się z krzesła i pobięła za nim.

- Facet jest bez szans - skomentował Lyon z uśmiechem.

- Sądzisz, że ona dalej będzie się upierać? Myślę o Terry King.

- Nie popuści. Ani odrobinę.

- Może powinnam porozmawiać z Helen - powiedziała Anna w zamyśleniu. - Terry King jest dobra. Zasluguje na to, żeby dać jej szansę. No i nie jest dla Helen konkurencją. Jestem pewna, że mogłabym przekonać...

- Anno, nawet nie próbuj. Z miejsca wydrapie ci oczy.

- Nie, Lyon, jesteśmy przyjaciółkami. Wiesz, na czym polega problem? Nikt nie traktuje Helen jak człowieka. A z nią się łatwo rozmawia. Wiem, że mnie posłucha.

Wziął ją za rękę i spojrzał jej w oczy.

- Widzę, że mówisz poważnie. Anna... Cudowna Anna... Jak to się stało, że ktoś taki jak ty wpadł w wyścig szczurów? Tobie się tylko wydaje, że ją znasz. Pod tym tłustym makijażem siedzi kobieta odlana z żelaza.

- Mylisz się, Lyon. Nie znasz jej. Rozmawiam z nią późną nocą całymi godzinami, wtedy kiedy zdejmuje maskę i mówi prosto od serca. Jest cudowną kobietą. Ten twardy pancerz to tylko zewnętrzna

warstwa ochronna. Nikt nie zadaje sobie trudu, żeby zobaczyć, co siedzi w środku.

Potrząsnął głową.

- Mogę się zgodzić, że jest w niej coś sympatycznego, tylko to coś nie tworzy prawdziwej Helen. Być może to jedna z jej mało ważnych cech, ta, którą rzadko ujawnia i którą pokazuje w wyjątkowych chwilach. Ale twarda bezpardonowość siedzi w niej cały czas.

- Och, Lyon...

Nagle wszyscy rzucili się do drzwi. Do sali wszedł goniec z naręczem pierwszych egzemplarzy porannych gazet. Helen wyrwała mu kilka i szybko przejrzała recenzje. Gil Case zaczął czytać na głos.

Musical został okrzyknięty niesamowitym przebojem. Krytycy chwalili muzykę, unosili się nad scenariuszem i piali z zachwytu nad Helen. Nazwano ją żywą legendą, największą na świecie gwiazdą musicalu, wspaniałą aktorką i tak dalej, i dalej. Terry King też dostała kilka miłych pochwał, a Jennifer wychwalano za niezwykłą urodę.

Wszyscy gratulowali wszystkim. Współproducenci snuli się dookoła z głupawymi uśmiezkami na ustach; ściskali dłonie; tłoczyli się wokół Helen i zachłystywali się pochwałami.

- Najlepszy moment, żeby zwinąć żagle - zauważył Lyon. Dochodzili już właśnie do drzwi, kiedy Henry zastąpił im drogę.

- Wybieramy się dokądś? - zapytał jakby nigdy nic.

- Pomyślałem, że warto by wpaść do knajpy naprzeciwko, żeby zjeść coś przyzwoitego - odparł Lyon.

- O nie, mój drogi! Nie zostawisz mnie tutaj z tym koksem.

- Z jakim znów koksem? - zapytał Lyon niewinnie. - Musical zrobił furorę!

- Jasne. Tylko że Helen upiera się, żeby natychmiast się z Gilem do rozmów.

- Kiedy?

- Za dziesięć minut u niego. A ty mi jesteś potrzebny. Choćby tylko po to, żeby mnie wspierać moralnie.

Anna skryła rozczarowanie pod uśmiechem.

- Idź, Lyon. Już późno. Nie jestem właściwie głodna.

- O nie, nic z tego - zaprotestował i wziął ją pod rękę. - To ty znasz prawdziwą Helen. Może zechcesz pokazać nam dzisiaj, jaka jest naprawdę. Będzie nam potrzebna dosłownie każda pomoc.

Atmosfera w apartamencie Gila Case'a różniła się diametralnie od tej na przyjęciu. Helen siedziała na kanapie i sęczyła szampana. Nadaśana jak dziecko, robiła miny, z którymi nie było jej do twarzy. Makijaż sceniczny rozmazał się i popękał, podkreślając zmarszczki i tworząc nieładne bruzdy na jej twarzy.

- Toż to jest zupełne szaleństwo! - Gil Case uniósł ramiona w geście rozpaczy. - Przyszliśmy tutaj i siedzimy ponuro jak na stypie, gdy tymczasem mamy w ręku największy przebój sezonu!

- Jasne, że mamy tu zasrany przebój. Każdy mój spektakl jest przebojem. Zrobię z ciebie bogatego faceta, Gil. Dostaniesz dobrą forszę z Hollywood, a ja będę sobie siedzieć i patrzeć, jak Betty Grable czy Rita Hayworth grają moją rolę. No, ale dobra. Takie są reguły gry. Tyle że nie muszę siedzieć z założonymi rękami, kiedy jakaś kurewka, Terry King, na moim grzbiecie wjeżdża do Kalifornii.

- Helen, przecież ledwo ją w ogóle zauważono.

- Nie mów! W jednej z gazet napisali, że jest stworzona do filmu. Poza tym ma najlepszą piosenkę w całym przedstawieniu.

- Helen, już to przerabialiśmy - odezwał się Henry podniesionym głosem. - Nie ma sposobu, żeby przerobić tę piosenkę dla ciebie i żeby pasowała do roli. Chłopcy strawili nad tym aż dwie noce. To musi być śpiewane przez jakąś początkującą piosenkarkę.

- O Jennifer też napisali, że byłaby rewelacyjna w filmie.

- Jennifer North nie śpiewa!

- Helen... Terry King w niczym ci nie zagraża - przekonywał Henry błagalnym tonem.

- Pewnie, że nie. Bo nie będzie miała okazji. To jest mój spektakl, a ja się nie bawię w Świętego Mikołaja. Jediną gwiazdą, jaka się może urodzić na moim przedstawieniu, będzie tylko i wyłącznie Helen Lawson!

- Ale dziewczyna jest dobra - oponował Gil. - Te jej dwie piosenki są ważne dla przedstawienia. A to, co jest dobre dla spektaklu, jest także dobre dla ciebie. Sama przed chwilą mówiłaś, to twój spektakl.

- Skoro jest tak cholernie dobra, obsadź ją w głównej roli w twoim następnym musicalu. Ile forsy wycyckasz dla niej od tych swoich dupków?

Henry wstał.

- Helen, jesteś na to zbyt wielka. Dziewczyna nie zrobi ci krzywdy, a zasługuje na szansę. Ty przecież też kiedyś zaczynałaś. Pamiętasz swój pierwszy występ? Wyobraź sobie, co by było, gdyby Nancy Shaw postanowiła wylać cię w New Haven? Gdzie byłabyś dzisiaj?

- A gdzie jest dziś Nancy Shaw? - warknęła Helen. - Posłuchaj no, Henry. Shaw dobiegała czterdziestki, kiedy ja się zjawiłam. Gdyby była cwana, wywaliłaby mnie na bruk. Ale była zupełnie zaślepiona. Wielka piękność... Wszystkie te piękności z czasem tak głupieją. Doszła do wniosku, że jeśli chodzi o wygląd, w niczym jej nie zagrażam. Być może. Ale i tak zwinęłam jej ten spektakl. Oczywiście, nic takiego nie może się zdarzyć w przypadku Terry King. To tylko Terry King, a nie Helen Lawson. Jak się tak dobrze nad tym zastanowić, to Nancy Shaw też nie była wcale Helen Lawson. Ale ja wyciągnęłam wnioski z jej błędu. Na moim przedstawieniu nikt nigdy nie będzie odcinał dla siebie kuponów.

Gil wzruszył ramionami.

- Ma kontrakt gwarantujący jej grę do końca wystawiania spektaklu.

Helen uśmiechnęła się paskudnie.

- Znam się na takich kontraktach.

- Ależ, Helen, dziewczyna ma przyzwoite recenzje. Nie mogę pójść do ludzi, którzy wykładają pieniądze, i powiedzieć im, że zwalnię Terry King, bo jest bardzo słaba.

- Zgoda - przyznała Helen.

- Poza tym wiadomość o tym, że wylaliśmy Terry, nie przysłuży się też twojej opinii.

- Tak jest - przytaknęła Helen. - Oboje nie mamy w tym żadnego interesu. Przynajmniej w tym punkcie jesteśmy zgodni. - Zmrużyła oczy. - A teraz zabierz się do dzieła. Pozbądź się jej w jakiś rozsądny sposób. Umiesz to zrobić. Robiłeś to już nieraz.

Gil Case jakby zmalął o kilka centymetrów. Wreszcie, z ciężkim westchnieniem, powiedział:

- No dobrze. Ale muszę z tym poczekać do premiery w Filadelfii.

- O nie! - ryknęła Helen. - Chcesz, żeby panna King dostała następne dobre recenzje? Masz ją wywalić do końca tego tygodnia!

Gil stracił cierpliwość.

- No i co będzie dalej, moja droga? Kto ją zastąpi na scenie w poniedziałek? Jak zrobimy premierę?

- Ściągnij Penny Maxwell. Startowała na przesłuchaniu do tej roli i szybko się uczy. Poza tym od początku chciałam, żeby ze mną grała.

- Penny Maxwell podpisała kontrakt na nowy show Maxa Sellera.

- Gadasz! Chryste! Przecież ona śpiewa okropnie i jest gruba jak beka!

- No to załatwiliśmy sprawę - oświadczył Gil. - Terry śpiewa na premierze w Filadelfii. Musi. Nawet jeśli usiądę jutro do telefonu i obdzwonię wszystkich agentów w Nowym Jorku, i tak nie zdobędę nikogo, kto zdąży się przygotować do poniedziałku.

- Znam kogoś, kto mógłby to zrobić - wtrąciła Anna nieoczekiwanie. - Wszyscy się odwrócili. - Wiem, że to nie moja sprawa - dodała zdenerwowana.

- A kto to taki, kochanie? - uprzejmie spytała Helen.

- Neely O'Hara. Jest dublerką Terry. Zna wszystkie piosenki i naprawdę niezle śpiewa.

- Wykluczone - oświadczył Gil. - Wyznaczyłem ją na dublerkę Terry tylko dla formalności, żebym był kryty w razie czego. Mam zamiar wziąć prawdziwą dublerkę, jak tylko wylądujemy z powrotem w Nowym Jorku. O'Hara jest jak szara mysz. Kojarzy mi się z sierotką Marysią.

Helen zmrużyła oczy.

- A niby jak powinna wyglądać początkująca piosenkarka, co? Ma zaliczyć pół miasta, mieć rude włosy i wielkie cyce?

- Helen, to dobra rola. Nie mogę ryzykować, powierzając ją na premierę w Filadelfii jakiejś nieznanej dziewczynie.

- Neely całe życie grała w wodewilach - wtrąciła Anna. - Jest otrzaskana z publicznością. Panie Case, Neely naprawdę może być doskonała.

Zawahał się.

- Hm... Może ją wypróbuję; to pewnie nie zaszkodzi. Mam w końcu trzy tygodnie w Filadelfii, żeby znaleźć kogoś na jej miejsce, jeśli będzie słaba.

Helen wstała.

- No to załatwione. Możemy już iść spać.

- Jak grzeczne owieczki - powiedział Gil ze złością. - Tyle tylko, że to ja mam powiedzieć o tym Terry.

- Nie wątpię, że masz w tym dużą wprawę - ucięła Helen. Podeszła do drzwi. - Zwołaj jutro wszystkich na próbę o jedenastej. Tylko beze mnie. Rozkręć sprawę. Ja muszę się dobrze wyspać. Czeka mnie w końcu jeszcze popołudniówka. - Odwróciła się do Anny. - Cieszę się, że byłaś tu z nami, moja złota. Dryndnę do ciebie, jak już będę w łóżku.

Gil zamknął drzwi za Helen.

- Chłopaki, w ogóle nie przyszliście mi w sukurs - zarzucił Henry'emu i Lyonowi.

- Próbowałem - powiedział Henry, garbiąc ramiona. - Ale z góry wiedziałem, że nic nie zwojujemy. - Spojrzał na Lyona i Annę. - No idźcie już i zjedzcie coś wreszcie. Zostanę jeszcze z Gilem i ustalimy plan morderstwa z premedytacją.

Czekając na windę, Lyon spytał Annę:

- Zajrzymy do tej małej knajpki po drugiej stronie ulicy?

- Nie jestem głodna.

- Zmęczona?

- Ani trochę. - Oczy jej błyszczały.

- Przydałby mi się haust świeżego powietrza. Co ty na to? Chcesz stawić czoło zimie w New Haven?

Spacerowali opustoszałymi ulicami.

- I co będzie z Terry King? - zapytała Anne.

- Zmuszą ją do odejścia. - Jego oddech skroplił się w obłoczek pary w ciemnościach.

- Ale jak?

- Przyjdź jutro na próbę, jeśli masz mocne nerwy. Wzdrygnęła się.

- No cóż, przynajmniej Neely ma przed sobą szansę.

- Jesteś wspaniała. Chciałbym mieć taką przyjaciółkę jak ty.

Odwróciła się do niego gwałtownie.

- Lyon, a kim ja dla ciebie, twoim zdaniem, jestem? Myślisz, że chodzę z tobą po New Haven, bo lubię marznąć na kość?

- Ja też spaceruję z tobą, Anno, ponieważ jestem twoim przyjacielem. Ale jestem również realistą. New Haven skończy się za kilka dni, a ty masz na palcu brylant wielkości sporej skałki i miłego

faceta, który się z tym łączy. Jesteś zbyt wiele warta, jak na szybki romansik na trasie.

- A tylko na to mogłabym liczyć?

- Mielibyśmy szansę na cokolwiek innego? - Zatrzymał się i spojrzał na nią.

- Na co tylko chcesz, Lyon.

Bez słowa odwrócił ją o sto osiemdziesiąt stopni i zaprowadził do hotelu. Nie odezwali się do siebie, dopóki nie znaleźli się u niego. Pokój wyglądał identycznie jak jej - był równie wyblakły i staromodny. Lyon zdjął z niej płaszcz. Przez chwilę patrzył na nią z czułością, a potem otworzył ramiona. Spieszyła się, by trafić w nie jak najszybciej, by dotknąć jego ust - zimnych od chłodu nocy, ale zdecydowanych i pełnych pożądania. Objęła go. Zaskoczyła ją niecierpliwość, z jaką odpowiadała na jego pocałunek - jakby od zawsze na to czekała. Przywarła do niego mocno, coraz bardziej pograżając się w cudownych wrażeniach wywoływanych jego pieśczętą.

Kiedy oderwała się od ust Lyona, spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

- Och, Lyon, dziękuję ci, że zaczynam wierzyć...

- Wierzyć? W co?

- To trudno wytłumaczyć... Przytul mnie. - Oplotła mu szyję ramionami. Znów zaczął ją całować, a ona modliła się w duchu, żeby nigdy nie skończył. Drżała od stóp do głów - jego dotyk sprawiał jej najwyższą przyjemność.

Nagle się od niej oderwał. Odsunął ją na długość ramienia.

- Anno, bardzo cię pragnę - powiedział zachrypniętym, ale czułym głosem. - Ale to ty musisz podjąć decyzję. - Spojrzał na jej pierścionek. - Jeśli chcesz potraktować poważniej nasz związek, nie mam nic przeciwko temu. Ale jeśli miałyby się okazać, że łączy nas tylko New Haven, naturalnie zrozumiem.

- Lyon, nie chcę, żeby to był tylko przygodny romans.

- Usiądź, Anno. - Podprowadził ją łagodnie do brzegu łóżka. - Gdybym uważał inaczej, w ogóle nie podnosiłbym tego tematu.

I gdybym chciał mieć dziewczynę na jeden weekend, miałbym z czego wybierać. Nie musiałbym się uganiać za tą, która już jest zajęta. Z premierą w New Haven łączy się dziwna atmosfera hysterii. Dzisiejsza noc minie, nastanie poniedziałek... W poniedziałek wrócisz



do Nowego Jorku, do innego świata. I ten nasz weekend może ci się wydać zupełnie nierealny. Chcę, żebyś wiedziała, że jeśli się tak stanie, zrozumieć to doskonale.

- A jak ty to odbierasz? Ty też poddajesz się tej histerii? - spytała. Parsknął śmiechem.

- Och, Boże! Anno, czy wiesz, ile mam za sobą takich wyjazdów do New Haven, Filadelfii i Bostonu? Dla mnie to dzień powszedni. Z jednym wyjątkiem. Ty jesteś ze mną.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy opuszkami palców.

- Kocham cię, Lyon.

- O tym też mogę zapomnieć.

- Nie wierzysz mi?

- Myślę, że tak to właśnie czujesz. W tej chwili. Nie sądzę, żebyś była dziewczyną, która idzie do łóżka z mężczyzną, jeśli nie wierzy, że go kocha.

- Nigdy nikomu tego jeszcze nie mówiłam. Lyon, naprawdę cię kocham.

Wstał i zapalił papierosa. Kiedy się do niej odwrócił, na jego twarzy malowało się zdecydowanie.

- Wracaj do swojego pokoju. - Podniósł jej płaszcz. Usiadła na łóżku.

- Lyon... Nie rozumiem...

- To może poczekać. Zobaczysz, co będziesz czuła w poniedziałek po powrocie do Nowego Jorku.

- To samo.

- Nie mogę ryzykować. Podniosła się wolno.

- Naprawdę chcesz, żebym wyszła? - Jej oczy zasnuła mgła.

- Boże, Anno! To ostatnia rzecz, jakiej sobie życzę! Ale dla twojego dobra... Ja... Ja...

- Lyon... Chcę zostać z tobą - wyszeptała niemal pokornie.

Spojrzał na nią dziwnie, jakby ważył znaczenie jej słów. Nagle błysnął jednym z tych swoich szybkich uśmiechów i zdjął marynarkę. Podszedł do niej i wyciągnął ramiona.

- Chodź do mnie, ty złota, cudna dziewczyno. Próbowałem zachować się szlachetnie, ale starłaś w pył ostatnie oddziały oporu.

Czuła, że drżą jej wargi, kiedy próbowała mu odpowiedzieć uśmiechem. Przytulił ją lekko, a potem wypuścił z objęć. I co teraz? Zdejmował krawat. Czego od niej oczekiwał? Naprawdę chciała z nim

pójść do łóżka, ale przecież obowiązuje pewnie jakaś etykieta. Nie mogła zacząć zdejmować z siebie ubrania niczym panienka z kabaretu. O, Boże, dlaczego nie włożyła nowych majtek? I dlaczego nie spytała kogoś, co się robi w takich sytuacjach? Teraz już zdejmował koszulę. Musiała coś zrobić... Nie mogła tak stać i nic...

Rozpinał pasek i nonszalancko wskazał jej łazienkę.

- Chcesz tam? - spytał.

Otumaniona, kiwnęła głową i szybko zniknęła za drzwiami. Poczula się w łazience bezpieczniej i wreszcie się rozebrała. I co dalej? Nie mogła wejść do pokoju tak, jak ją Pan Bóg stworzył. Tyle czasu marzyła o tej chwili, kiedy ofiaruje się ukochanemu mężczyźnie. Ale nie w taki sposób. Nie w małym hoteliku w New Haven. W marzeniach wyobrażała sobie wygodne, przepastne łoże... Widziała, jak odziana w białą mgiełkę szlafrocza płynie w ramiona męża. W przyćmionym świetle wsuwa się leciutko pod kołdrę, a potem wprost w pełne czułości ramiona kochanka. W marzeniach nigdy nie posuwała się dalej. Nigdy nie myślała o samym akcie miłości - upajała się wyobrażonymi uczuciami i romantyczną oprawą. Jej wymarzony kochanek nigdy nie miał twarzy. Teraz ją wreszcie widziała. Tylko nie było szlafrocza z białej mgiełki. W ostrym, zimnym świetle łazienki stała naga, trzęsła się z zimna i nie wiedziała co robić.

- Hej! Jestem tu bardzo samotny.

Rozejrzała się nerwowo po łazience i chwyciła duży ręcznik kąpielowy. Opasała się nim spieszenie i nieśmiało otworzyła drzwi.

Lyon leżał w łóżku, przykryty do pasa. Zdusił papierosa i wyciągnął do niej ramiona. Odwróciła się, żeby znaleźć wyłącznik i zgasić światło w łazience.

- Niech się pali - powstrzymał ją. - Chcę cię widzieć... Uwierzyć, że naprawdę ciebie trzymam w ramionach.

Podeszła do łóżka. Ujął ją za ręce. Ręcznik opadł na podłogę.

- Moja cudowna, Anna... - powiedział cicho.

Jego podziw i naturalny, swobodny sposób, w jaki zachwycał się jej ciałem, sprawiły, że nie czuła już zakłopotania. Odrzucił koc i przyciągnął ją do siebie. Dotyk jego silnego ciała wydał jej się najbardziej naturalnym doznaniem na świecie. Podobnie jak niemożliwe do zniesienia, oszałamiające wrażenia, kiedy całował ją głęboko, pożądliwie. Czuła, że odpowiada na jego pieszczoty z

wigorem, o jaki nigdy by się posądzała, a jej usta żądają więcej i więcej. Nie potrafiła się dość nacieszyć pocałunkami. Jego dłonie pieściły jej ciało najpierw łagodnie, potem coraz odważniej. Ale jej rozgorączkowanie uczuciowe przesłaniało wszelkie przeżycia fizyczne. To, że miała go w ramionach... że był tak blisko... że mogła całować jego powieki, czoło, wargi... to, że wiedziała, że on jej pragnie, że mu na niej zależy...

I nagle już się działo. O Boże, to przecież ta chwila! Chciała, żeby jemu było dobrze, ale ból ją zaskoczył. Krzyknęła. Natychmiast się cofnął i wypuścił ją z objęć.

- Anno... - w jego oczach dostrzegła zdziwienie.

- Nie przerywaj, Lyon - poprosiła. - Wszystko będzie dobrze. Z jękiem opadł na plecy.

- Boże przenajświętszy! To niemożliwe...

- Lyon, proszę cię. Ja cię kocham.

Nachylił się nad nią i łagodnie ją pocałował. Potem założył ramiona pod głowę i wpatrywał się w półmrok bez słowa.

Nawet nie drgnęła. Sięgnął po papierosa i poczęstował ją. Odmówiła. Przyglądała mu się w milczeniu, głęboko nieszczęśliwa. Zaciągnął się głęboko.

- Anno, uwierz mi... Nigdy bym cię nie dotknął, gdyby mi przez myśl przeszło...

Wyskoczyła z łóżka, wpadła do łazienki i z hukiem trzasnęła drzwiami. Ukryła twarz w ręczniku, żeby wyciszyć łkanie. Natychmiast za nią poszedł i otworzył drzwi.

- Nie płacz, moje kochanie. Nic się jeszcze nie stało. Jesteś ciągle dziewczicą.

- Nie dlatego płaczę!

- Więc o co chodzi?

- O ciebie! Ty mnie nie chcesz!

- Och, moja najdroższa. - Objął ją. - Oczywiście, że cię chcę. Bardzo cię chcę. Ale nie mogę tego zrobić. Rozumiesz. W życiu bym nie przypuszczał...

Rozzłościła się mimo łez.

- A czego się spodziewałeś? Nie biegam od łóżka do łóżka!

- Oczywiście, że nie. Ale przypuszczałem, że gdzieś po drodze, w szkole... A już na pewno z Allenem...

- Allen mnie nawet nie dotknął!

- Na to wygląda.

- Czy to ci robi różnicę? To, że jestem dziewicą?

- Ogromną.

- Bardzo mi przykro. - Z najwyższym zdumieniem usłyszała własne słowa. Cała ta sytuacja była zwariowana. Oto stali w łazience, oboje nadzy, oświetleni ostrym światłem nie osłoniętej kloszem żarówki, i sprzeczali się o coś, co powinno być największą świętością. Chwyciła ręcznik i okryła swoją nagość. - Proszę cię, wyjdź i pozwól mi się ubrać. Do głowy mi nigdy nie przyszło, że kiedykolwiek będę musiała przeproszać za brak doświadczenia. Wyobrażałam sobie, że mężczyzna, którego pokocham, będzie... będzie zadowolony... - Głos jej się załamał; odwróciła głowę, żeby ukryć łzy upokorzenia.

Szybkim ruchem porwał ją w ramiona i wniósł do sypialni.

- Ależ on jest zadowolony - szepnął. - Tylko zaskoczony i zachowuje się w tym wszystkim jak największy idiota.

Ułożył ją łagodnie na łóżku.

- Postaram się być delikatny - powiedział cicho. - A jeśli dojdiesz do wniosku, że jednak nie chcesz przez to przechodzić, wystarczy, że szepniesz słowo.

- Chcę... - Wcisnęła twarz w jego szyję. Mówiła niewyraźnie: - Kocham cię, Lyon. Chcę, żebyś był szczęśliwy.

- Ale to musi działać w obie strony. Dzisiejsze przeżycie może się okazać dla ciebie niezbyt przyjemne. Przypuszczam, że dla kobiety pierwszy raz rzadko bywa udany.

- To ty nie wiesz? To znaczy... to znaczy, że nigdy dotąd nie miałeś jeszcze dziewicy?

- Nigdy - przyznał z uśmiechem. - Jak widzisz, jestem tak samo zdenerwowany jak ty.

- Po prostu kochaj mnie, Lyon. Bądź mój, tylko o to cię proszę. Przywarła do niego. Nie martwiła się bólem ani nieprzyjemnymi odczuciami. To, że będzie należeć do tego wspaniałego mężczyzny, było największym szczęściem, jakiego mogła zaznać. Kiedy poczuła ból, zacisnęła zęby i nie wydała z siebie najmniejszego dźwięku. A kiedy wyprężył ciało, z zaskoczeniem stwierdziła, że wysunął się z niej tak raptownie. Ale przecież jęknął z rozkoszy... Nagle zrozumiała i jej szczęście przybrało na sile. Choć pochłaniała go namiętność, myślał o tym, żeby ją ochronić! Nachyliła się nad nim i wzięła go w ramiona. Plecy miał mokre od potu. W jednej chwili zrozumiała. Oto

największa radość spełnienia - zaspokoić mężczyznę, którego się kocha. W tej chwili czuła się najważniejszą, najmocniejszą kobietą na świecie. Ogarnęła ją nowa, nieznana duma z własnej płci.

- Nie było ci dzisiaj za dobrze - powiedział później, trzymając ją czule w ramionach. - Ale będzie lepiej, zobaczysz. Obiecuję ci.

- Wystarczy, jak obiecasz, że będziesz mnie mocno trzymał. Och, Lyon, tak bardzo cię Kocham!

- A ja ciebie uwielbiam. Mógłbym ci opowiadać do świtu, jaka jesteś cudna. - Pogładził jej włosy. - Jaka piękna... Ale myślę, że oboje powinniśmy teraz zasnąć. Jutro o jedenastej jest próba.

- Próba?

- Hm, tak to się nazywa. Przyjdź, a potem mi powiesz, jak ty byś to nazwała. - Sięgnął po brzeg koca i przykrył nim siebie i Annę. - No, a teraz zasypiamy. - Przytulił ją łagodnie i zamknął oczy.

- Lyon... nie mogę tu zostać.

- Dlaczego? - Pytanie zabrzmiało już sennie.

- Nie wiem... Co będzie, jak jutro rano wpadnie do mnie Neely albo Helen?

- Nie myśl o nich. Chcę cię mieć przy sobie, kiedy się obudzę. Pocałowała go w policzek; ucałowała oczy i czoło, a potem wyslizgnęła się z jego ramion.

- Będziemy jeszcze spać obok siebie wiele, wiele razy, ale nie dzisiaj. - Poszła do łazienki i szybko się ubrała. Nie chodziło wcale o Neely czy Helen. Chodziło o to, że wszystkiego było za dużo na raz. Nie zmrużyłaby oka, leżąc obok niego. A rano... Cóż, w takich sprawach trzeba się poruszać ostrożnie, etapami... Mężczyźni mniej się tym przejmują od kobiet. Ale najważniejsza rzecz w życiu już się wydarzyła. Poznała, co to miłość, i wiedziała już, że to uczucie właśnie nadaje życiu sens.

Wyszła z łazienki i zbliżyła się do łóżka. Zaczęła coś mówić, ale spostrzegła, że Lyon już śpi. Uśmiechnięta, podeszła do biurka, znalazła papier listowy i szybko napisała: „Dobranoc, mój śpiący królewiczu. Do zobaczenia jutro. Kocham cię”. Oparła kartkę o telefon i cichutko wyszła z pokoju.

U siebie w łóżku leżała długo nie mogąc zasnąć - za wiele emocji. W myślach odtwarzała cały wieczór, przypominała sobie każde słowo Lyona, każdy jego gest. Ale będzie lepiej, zobaczysz. Obiecuję ci. Naprawdę będzie lepiej? Czy kiedykolwiek pozna ten usztywniający

ciało dreszcz rozkoszy, jaki on przeżywał? Nie miało to znaczenia. Liczył się tylko Lyon, to, żeby go trzymać w ramionach, uszczęśliwiać. Liczył się sam akt miłości i świadomość, że ten niezwykle mężczyzna pragnął czuć przy sobie jej ciało. Odpłynęła w cichy, ciemny sen.

Obudziła się o dziewiątej. Był bezchmurny, wietrzny dzień. Wyjrzała przez okno. Jakiś mężczyzna szedł pod wiatr, przytrzymując kapelusz. Jakaś dziewczyna czekała na autobus. Zrobiło jej się ich żal. Zrobiło jej żal wszystkich ludzi na świecie, bo nie czuli tego co ona. Och, wy biedacy! Myślicie, że to po prostu kolejny zimny dzień - myślała. Spójrzcie na mnie. Chcę wam powiedzieć, jaka jestem szczęśliwa. Cały świat należy do mnie! W tym budynku jest pewien mężczyzna - najcudowniejszy mężczyzna na ziemi - i należy właśnie do mnie! Zdawało się jej, że wodnisty neon nad knajpą naprzeciwko znacząco mruga do niej. Odmrugnęła rozradowana. Co za piękny dzień! Co za piękne miasto!

Zrobiła sobie gorącą kąpiel, a kiedy woda wniknęła w jej obolałe miejsce, Anna poczuła pieczenie - namacalne wspomnienie minionej nocy. Ogarnęła ją upajająca radość.

Pedantycznie układała włosy. Dwukrotnie zmieniła szminkę. Co chwilę zerkala to na zegar, to na telefon.

O dziesiątej piętnaście zaczęła się niepokoić. Czyżby chciał się z nią spotkać w teatrze? Ale przecież powiedział: „Pójdziemy razem”. A może jednak: „Wpadnij”?

Kiedy zadzwonił telefon, rzuciła się pędem przez pokój. To była Neely.

- Mogłaś przynajmniej zajrzeć po spektaklu i powiedzieć dwa słowa - zauważyła z pretensją.

- Myślałam, że spotkamy się na przyjęciu.

- Ja miałabym tam być? Przecież jestem tylko chórzystką. A teraz muszę iść na próbę. Czy to nie szczyt wszystkiego, żeby organizować próbę przed popołudniówką? Biedny Mel, jest zupełnie załatwiony.

- A gdzie on jest?

- Na dole, w kawiarni. Za chwilę do niego schodzę.

- Zobaczymy się na próbie.

- Nie ma sensu, żebyś przychodziła. Nudy na pudy.

- Neely... Nie zdradź się ani słowem... ale jest szansa, że zastąpisz Terry. Znasz jej kawałki, prawda?

- Pytasz, czy znam? - pisała Neely. - Tam i z powrotem. Tak samo jak piosenki Helen. Anno, czy ty mnie nie nabierasz?

- Nie. Jest pewna zmiana planów. Byłam na wczorajszej naradzie. Ale ani mru - mru. Masz siedzieć cicho i czekać.

- Jak rany! Nie wierzę! O matko, jak to Mel usłyszy! Cześć! Do zobaczenia w teatrze!

Za piętnaście jedenasta. Lyon nie zadzwonił. Trzy razy podchodziła do aparatu, żeby do niego zatelefonować, ale w ostatniej chwili zmieniała zdanie. Zapaliła papierosa i stanęła przy oknie, wpatrując się w zimową poświatę na zewnątrz. Mijały minuty odmierzane cykaniem budzika. Gdzieś w oddali rozdzwoniły się dzwony kościelne. No i co teraz? Miała tak stać cały dzień w pokoju? Albo może iść sama do teatru? Nie, nie wypada. Nie szukał z nią kontaktu i gdyby go tam spotkała, wyglądałoby to tak, jakby się za nim uganiała. No nie, przecież to śmieszne. To w końcu nie jest Lawrenceville, a Lyon nie jest jakimś tam przygodnym chłopakiem. Tu już nie obowiązują zwykłe reguły gry. Zdecydowanym krokiem podeszła do telefonu i poprosiła recepcjonistkę o połączenie z jego pokojem.

Odezwał się zaspanym głosem, a potem ożywił się gwałtownie.

- O Boże, kochanie! Naprawdę jest pięć po jedenastej? Mam wrażenie, że zamawiałem budzenie na dziesiątą!

- Nie bardzo wiem, jak to możliwe... Chyba że ocknąłeś się gdzieś w środku nocy.

Parsknął łagodnym śmiechem.

- Właśnie przeczytałem twoją karteczkę. O Chryste, czuję się jak sir Galahad! Zejdź do mnie i dotrzyмай mi towarzystwa przy goleniu.

- Prawie słyszała, jak przeciąga się w łóżku. - Zamówię nam jakąś kawę.

Drzwi były otwarte na oścież.

- Wejdz! - krzyknął wesoło, w odpowiedzi na jej delikatnie pukanie.

Stał w łazience tylko w krótkich spodenkach. Przyciągnął ją do siebie i pocałował siarczyście, pilnując, żeby nie usmarować jej pianą. Potem zajął się na powrót goleniem. Jego swobodne zachowanie podkreślało nową zażyłość między nimi - jakby to, że Anna asystuje

mu przy porannym goleniu, było najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem. Usiadła na rozgrzebanym łóżku. Jeszcze nigdy nie czuła się tak szczęśliwa. Zmył resztki piany z twarzy i wszedł do sypialni. Tym razem nachylił się nad Anną i pocałował ją z czułością. Potem zaczął wkładać koszulę. Gwizdał zawiązując krawat. Ze szczęścia mało nie mdlała. W życiu nie doznała nic podobnego.

Zastanawiała się, czy Lyon podobnie odbiera ich bliskość. Niemożliwe. Tyle dziewcząt oglądało go w szortach przy goleniu... Szybko odsunęła od siebie tę myśl. Żadna z nich nie czuła tego co ona. A to zmienia wszystko. Nic nie zepsuje jej tego najwspanialszego dnia w jej życiu!

Kelner zastukał do drzwi, a potem wtoczył wózek z napojami. Lyon podpisał rachunek. Ruchem głowy nakazał jej siedzieć dalej i na stojąco wypił do dna szklankę soku pomarańczowego. Potem przyniósł sobie kawę do telefonu i poprosił o połączenie z pokojem Henry'ego Bellamy.

Henry też się jeszcze nie wybrał do teatru. Lyon parsknął śmiechem w słuchawkę.

- No dobra, ty tchórzu! Nastawmy zegarki. Na moim jest wpół do dwunastej. Umawiamy się za dwadzieścia dwunasta na miejscu. - Odłożył słuchawkę i z uśmiechem odwrócił się do Anny.

- Myślisz, że zniesiesz widok egzekucji?

- Nie zrezygnuję z tego za nic na świecie? Co to będzie?

- Nic specjalnego. Kilku silnych chłopów przyprze dziewczynę do muru i zmusi ją, żeby zrezygnowała z występów.

- Zachowujesz się, jakbyś nie raz to oglądał.

- Bo to prawda. Może być różnie. Co jakiś czas człowiek staje oko w oko z jakąś Terry King, która nosi w sobie zarodek Helen Lawson. Wbijasz jej nóż w plecy, a ona nie krwawi! Wtedy się przegrywa.

Spotkali Henry'ego w windzie. Jeśli zdziwił go widok Anny przy boku Lyona, nie dał tego po sobie poznać.

Wszyscy wykonawcy przedstawienia - z wyjątkiem Helen - czekali już w teatrze. Chórzystki siedziały w spodniach - niektóre opatulone w futra - i brak makijażu przysłaniały ciemnymi okularami. Popijały kawę z tekturowych kubeczków i sprawiały wrażenie strasznie niezadowolonych. Neely, niezwykle spięta, przycupnęła na brzeżku krzesła, w każdej chwili gotowa do lamparciego skoku.



Anna przysiadła w czwartym rzędzie razem z Henrym i Lyonem.

Jennifer North wpadła zziębnięta, przeproszając wszystkich za to, że zasnęła. Reżyser oderwał się od rozmowy z dyrygentem i machnął do niej dobrodusznym gestem.

- Jeśli idzie o ciebie, księżniczko, to nic się nie zmieniło. Możesz wracać do łóżka na następne kilka godzin.

Jennifer uśmiechnęła się i weszła do ciemnej sali teatralnej. Henry pomachał w jej stronę zapraszając, żeby się do nich przysiadła. Jennifer rozpoznała Annę i uśmiechnęła się ciepło.

- Jakie to wspaniałe, prawda? - zaczęła z entuzjazmem. - Mamy wielki przebój! Nie powinnam mówić „my”, ja przecież nic nie robię. Ale to taki cudowny spektakl. Tak się cieszę, że mam w nim swój udział.

- Bardzo pięknie wyglądasz na scenie - powiedziała Anna z całą szczerością.

- Dziękuję, ale nie sądzę, żeby ludzie tłoczyli się przy kasach ze względu na moje nazwisko.

- Nie bądź taka skromna - ofuknął ją Henry. - Jak tylko trafimy na Broadway, zaczną o tobie pisać. Ręczę ci, że w ciągu sześciu tygodni od premiery podpiszesz umowę z filmem.

Na policzkach Jennifer ukazały się miłe dołeczki.

- Och, Henry, słowo daję... Aż mi się kręci w głowie. - Potem na czole między oczami pojawiła się drobna zmarszczka. - Ale tylko pod warunkiem że będzie to dobra umowa. Nie jakiś tam kontrakt gwiazdeczki.

- Małe gwiazdki często przeobrażają się w wielkie gwiazdy - zauważył Henry ostrożnie.

Zmarszczka na jej czole pogłębiła się.

- Utalentowane gwiazdeczki. Ja nie mam talentu, Henry. Dlatego właśnie muszę mieć pierwszorzędną umowę. Jeśli ci dobrze płacą, muszą cię potem częściej stawiać na plan. Muszą cię czegoś nauczyć.

- Pozwól, że się tym zajmę. Jeśli się okaże, że gaża jest mała, ale studio dobre i ja powiem „bierz”, to przyjmiesz propozycję. Dzisiaj, kiedy zapach telewizji już wisi w powietrzu, nie będą tak chętnie podpisywać długoterminowych umów.

- To może będzie mi lepiej w Nowym Jorku? Dostałam propozycję występów jako modelka w dwóch agencjach: u Powersa i u Longwortha. Mogłabym nieźle dorobić do gaży w teatrze.

Henry odwrócił się do niej gwałtownie.

- Postawmy sprawę jasno, Jennifer. Chcesz mieć umowę z filmem? Chcesz zrobić karierę? Nie będę sobie zadawał tyle trudu, jeśli tobie zupełnie nie zależy. A w ogóle, to co jest między tobą a Tonym Polarem? Coś poważnego?

Jennifer uśmiechnęła się.

- Prasa to nieźle rozdmuchuje. Uwielbiam Tony'ego, ale chyba żadne z nas nie chce się wiązać małżeństwem. Zresztą nadal oficjalnie jestem żoną księcia Miarallo.

- Wiesz, że dokumenty o anulowaniu małżeństwa są już praktycznie podpisane. Pamiętaj tylko, co masz powiedzieć, jak staniesz przed sędzią. Jesteś katoliczką i chcesz mieć dzieci, a temu draniowi ani to w głowie.

- Jesteś katoliczką? - zapytał Lyon. Wzruszyła ramionami.

- Matka była katoliczką, ale ojciec nie. Rozwiedli się. Nawet nie jestem ochrzczona. Tylko że tego nikt nie sprawdzi, prawda Henry?

- Rób, jak ci mówię. Jesteś katoliczką. Chciałaś mieć ślub kościelny, ale ksiądz zażyczył sobie tylko cywilnego. I to już w połowie załatwia całą sprawę. Potem powiesz o dzieciach. Anna będzie twoim świadkiem.

- W jakiej sprawie?! - zaniepokoiła się Anna.

- Musimy mieć świadka. Miałem o tym z tobą jeszcze rozmawiać. Nie martw się, to będzie cicha rozprawa. Musisz tylko zeznać, że jesteś przyjaciółką Jennifer i że zwierzała ci się przed ślubem, jak bardzo pragnie poślubić tego dupka. Powiesz, że ci mówiła, że skłonna jest nawet wyjechać za nim do Włoch i mieć tabuny dzieci. Tylko nie zapomnij powiedzieć o dzieciach!

- Przecież to krzywoprzysięstwo! - protestowała Anna.

- Skrzyżujesz palce, to nie będzie się liczyć - uspokoił ją Henry. - A potem spojrzął na scenę i szepnął: - Panowie, panie, zaczynamy!

Terry King stała na środku sceny i wpatrywała się w reżysera z wyrazem absolutnego niedowierzania na twarzy.

- Chcecie wyciąć balladę!?! - wrzasnęła. - Oszaleliście? Czytał pan recenzje?

- Przedstawienie jest za długie, skarbie, i mamy w nim dużo różnych ballad. - Głos reżysera brzmiał zupełnie normalnie.

- No to co? Wytnijcie jakąś inną. Doskonale pan wie, że ta ballada jest najlepszą piosenką w całym przedstawieniu!

- Takie mam polecenia - odparł ze znużeniem.

- Gdzie jest Gil Case?

- Nie ma go. Siedzi ze scenarzystami. Bill! Hej, Bill Towley! - Pojawił się młody chudzielec. - Bill, nie gramy już tej sceny miłosnej między tobą a Terry. Pracujemy nad solówką taneczną dla ciebie, która już w Filadelfii wejdzie w miejsce piosenki. Zamiast śpiewać Terry, jak bardzo ją kochasz, otańczysz jej to wyznanie. To przyspieszy akcję.

Rozradowany Bill kiwnął głową i zniknął.

- A co ja mam robić, kiedy on będzie tańczył? Mam siedzieć w garderobie? - wrzasnęła Terry. - Zdaje pan sobie sprawę, że jeśli wytniecie mi balladę, zostają mi tylko dwie linijki w pierwszym akcie, jakieś podrygiwania w drugim i na tym koniec?

- Te podrygiwania zostają - odparł reżyser. - Ustawimy ci balet za plecami, przed chórem.

- A co ja będę robić?

- Zamiast śpiewać w drugim rzędzie z chórem, przejdziesz na lewą stronę sceny. Postoisz tam trochę, potem przesuniemy światło w prawo i ty po cichu wejdiesz za kulisy, a tymczasem chórek pociągnie dalej.

- Tak to sobie wyobrażacie?! - Chwyciła palto i zbiegła ze sceny, a potem wypadła z teatru. Reżyser dalej objaśniał cięcia, i zmiany, jak gdyby nigdy nic.

Dziesięć minut później Terry wróciła w towarzystwie małego człowieczka, który przypominał szopa. Szop pędził dziarsko przejściem między rzędami i dotarłszy do sceny spytał stanowczym głosem:

- A co to wszystko ma znaczyć? Reżyser odwrócił się.

- Co takiego? - zapytał niewinnie.

- Słuchaj no, Leroy! - ryknął Szop. - Nie wyobrażaj sobie, że dam się nabrać na tę twoją buźkę niewinnego dziewczątka! Znam takie numery na wylot! Helen przestraszyła się Terry. Tylko że tym razem Terry dopisało szczęście. Dziewczyna ma najlepszą balladę w przedstawieniu. Nie powiesz mi chyba, że chłopaki pozwolą Helen wyciąć najlepszy kawałek z musicalu!

- Zadzwoń do nich.

- Już to zrobiłem. Siedzą na naradzie z Gilem Case'em. Poza tym, chcesz mi powiedzieć, że Gil będzie jej płacił cztery stówy tygodniowo za te dwie linijki tekstu i pół numeru tanecznego?

- Jeśli zechce zostać, to chyba będzie musiał.

- A więc to o to chodzi! Manewr „droga wolna”. Chcielibyście, żeby odeszła! Wsadzicie sobie wtedy kogoś na jej miejsce, jakąś zapchajdziurę. Ale jeśli wyrzucicie Terry, będziecie musieli płacić jej do następnego czerwca i jeszcze wyłożyć forszę dla kogoś na jej miejsce.

- Nikt nie wyrzuca Terry.

- Bo nie możecie sobie na to pozwolić! Dlatego chcecie, żeby odeszła sama.

Reżyser przysiadł na brzegu sceny.

- Nikt nie chce jej zmusić do odejścia - tłumaczył z przesadną cierpliwością. - Nie myślimy w tej chwili w kategoriach zmian personalnych. Patrzymy na spektakl całościowo. Ty, jako agent, myślisz wyłącznie o swojej klientce. Nie mam ci tego za złe, Al, na tym polega twoja praca. Ale ja muszę myśleć o przedstawieniu. Spektakl jest za długi. Wycinam to, co zdaniem Gila Case'a, scenarzystów i moim powinno zostać wycięte, nie oglądając się na fakt, kto na tym ucierpi.

Szop wdeptał papierosa w gruby dywan w przejściu.

- Nie wciskaj mi kitu! Wykonujesz polecenia, które Gil dostał od Helen Lawson. Case nie ma wyboru, musi bronić swojej baby z żelaza. I musi chronić Helen, żeby na tle dobrej piosenkarki nie ucierpiał czasem ten jej chropawy głos.

- Darujmy sobie wycieczki osobiste - burknął Leroy.

- Niby dlaczego? Obaj wiemy, że Helen ma już swoje lata i że to prosta krowa. Gdyby to stare pudło chciało dziś robić karierę, odpadłoby już po pierwszym przesłuchaniu...

- Myślę, że na tym już możemy poprzestać - krzyknął Henry z ciemności.

Agent okręcił się na pięcie.

- Nie widziałem pana, panie Bellamy. Kłaniam się. Bez obrazy. Walczę tylko o swoją klientkę. Podobnie jak zapewne robił to pan te dwadzieścia lat temu.

- Nie walczyłem o Helen kopiąc wielką gwiazdę, która akurat przez swoją nieobecność nie mogła się bronić - grzmiał Henry. - A

kimże pan jest, u diabła? Jakimś gryzipiórką w klitce przy Zachodniej Czterdziestej Szóstej. Jak pan śmie stać tutaj i obrzucać błotem jedną z największych współczesnych gwiazd teatru?

Drobny agent skurczył się w sobie.

- Panie Bellamy... A co pan by zrobił na moim miejscu?

- Zależy od tego, kim byłaby moja klientka. Gdyby to przydarzyło się pannie Helen Lawson, złożylibyśmy nasze wypowiedzenie i odeszlibyśmy z godnością. Bo przy Helen Lawson, nawet wtedy, kiedy była u progu kariery, zawsze można było liczyć na inne przedstawienie i jeszcze lepszą rolę. Ale w przypadku pańskiej klientki zbierałbym wszystkie okruchy, jakie spadają ze stołu. Zostałbym przy dwóch liniijkach i połowie numeru tanecznego i ciągnąłbym forszę ile wlezie. No to co, że inni producenci będą się z niej naśmiewać na nowojorskiej premierze? To w końcu jej pogrzeb, a nie pana. Może po pochówku znajdzie pan sobie kogoś następnego? Ale na wszelki wypadek byłoby lepiej, żeby nakłonił ją pan do pozostania w spektaklu i położył łapę na swoich dziesięciu procentach, bo gołym okiem widać, że pan się po prostu boi. Być może to jej jedyny występ i szkoda przepuścić taką dobrą okazję?

- Niech pan dobrze posłucha! - Terry King nagle postanowiła działać. - Śpiewam tak, że mogę załatwić Helen Lawson dokładnie w każdej piosence! My z Alem wcale się nie boimy! Ten zakichany spektakl nie jest jedyny w kraju, a ja zostanę gwiazdą większą niż ona! Pewnie, że stąd odejdę. Z godnością! I to natychmiast! - najzwyczajniej wrzeszczała.

- Zaraz, zaraz, kochanie - powstrzymywał ją Al. - Przecież właśnie o to im chodzi!

- A tobie o co chodzi? - warknęła. - Żebym zagrała na premierze w Filadelfii, a potem zeszła w kąt na Broadwayu? Tylko po to, żebyś ty dostał te swoje zasmarkane dziesięć procent?!

- To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. I dobrze o tym wiesz. Możemy zarobić dwa razy tyle, jak będziesz śpiewała w klubach. Ale oboje zgodziliśmy się co do tego, że występ na Broadwayu daje ci szansę na wejście do filmu.

- Wejście do filmu! - prychnął Henry. - Tego rodzaju myślenie przebrzmiało wraz z filmami Ruby Keeler! Każdy agent, który opowiada klientkom, że Broadway niesie z sobą kontrakt filmowy, jest zwykłą małą płotką. Jasne, że Broadway pomaga, ale trzeba tam

jeszcze coś robić. Chyba że pańska klientka chce dostać pierwszy lepszy kontrakt. Mogę to załatwić i bez przedstawienia. Ale prawdziwy kontrakt do filmu? Nie. Takie umowy dostają tylko gwiazdy. Agent zaś w ten sposób tworzy swoją gwiazdę, że nie pozwala jej się pojawiać tam, gdzie z jakiegoś powodu może nie zrobić właściwego wrażenia. Wszystko jedno gdzie. Na Broadwayu albo nawet w knajpie. Ale, jak już mówiłem, najwyraźniej nie uważa pan, że pańska klientka ma jakieś zadatki na gwiazdę, bo pozwala jej się pan szwendać po spektaklach w epizodycznych minirólkach. Terry chwyciła Ala za ramię.

- Chodź, Al. Idziemy.

- Zaczekaj no, zaczekaj. My ciągle mamy umowę, a ty musisz wystąpić w popołudniówce.

- Nie wejdę na scenę po takich skrótach!

- Obawiam się, że będziesz musiała - odezwał się Henry.

Obowiązuje cię dwutygodniowy okres wypowiedzenia. Musisz jeszcze grać w Filadelfii.

- Nikt mnie nie będzie aż tak poniżał! - protestowała Terry. - Nie pojawię się przed krytykami z Filadelfii w tak okrojonej roli.

- A co tu się dzieje, hę? - zawołał Gil Case, idąc przejściem między rzędami do sceny. - Kto się gdzie nie pojawi?

- Pan Case! - Terry, niemal już we łzach, rzuciła się w jego stronę. - Pan wyciął moją piosenkę! Nie mogę wyjść na scenę jako chórzystka!

- Powiedziałem jej właśnie, że niestety musi - wyjaśniał Henry ostrożnie. - Nawet jeśli od razu złoży wypowiedzenie.

- Zaraz, zaraz - wstrzymał ich Case serdecznie. - Nikt nie chce tu nikogo skrzywdzić bardziej niż to konieczne. - Spojrzał na Terry ze współczuciem. - Moje drogie dziecko, nie zdawałem sobie sprawy, jak mało masz do zagrania po wycięciu ballady. Rzeczywiście, teraz został maleńki epizodzik... - zafrasował się.

- Nie mogę wystąpić w czymś takim. Uśmiechnął się zniechęca.

- Nie musisz.

- A co będzie z popołudniówką? - zapytał Henry. Gil machnął ręką.

- Nie ma co zawracać jej tym głowy. Podstawimy jej dublerkę. To taka mała rólka, że w ogóle nie ma sprawy. - Otoczył Terry ramieniem. - Chodźmy do mnie. Ty też, Al. Terry napisze formalne

wypowiedzenie, a ja w ramach wynagrodzenia przykrości dam jej dwumiesięczną zapłatę. - Urwał, żeby coś przemyśleć. - Powiem wam, co zrobimy. Zadzwońię do mojego rzecznika prasowego i każę mu powiadomić nowojorskie gazety o zmianach. Będą się teraz o tobie rozpisywać, dziewczyno. Zobaczysz, że już w przyszłym tygodniu wszyscy producenci będą się za tobą uganiać! Wiesz, to coś znaczy, jeśli sama wychodzisz ze spektaklu z wielką Helen Lawson.

Prowadził ją przejściem między rzędami do wyjścia. Za nimi powłócząc nogami sunął Szop.

Jak tylko zniknęli, Henry podszedł do sceny na szybką naradę z reżyserem. Reżyser kiwnął głową i zabrał się do dzieła.

- Neely O'Hara! - zawołał. Neely podbiegła do niego. - Potrafisz się nauczyć do wpół do trzeciej piosenki chórkowi i tańca?

- Znam wszystkie piosenki obu chórków.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Dobra, zrobimy piosenkę z chórkami i dołożymy taniec. Chodźcie, dzieciaki, musimy zakasać rękawy. Neely, idź do garderoby i zobacz, jak wyglądasz w kostiumach Terry. A teraz chórek. Zaczynamy od początku.

Henry wstał.

- Idziemy. Dobrze nam zrobi świeże powietrze. Na zewnątrz stanęli w pełnej zakłopotania ciszy.

- Chyba pójde się zdrzemnąć - powiedziała Jennifer. Odeszła do hotelu. Henry w milczeniu wpatrywał się w przestrzeń. Lyon ścisnął dłoń Anny.

- To oburzające - powiedziała. A potem zmuszając się do bladego uśmiechu, dodała: - Ale przypuszczam, że tak to jest w całym show - biznesie.

- Nie chodzi o showbiznes - prychnął Henry. - Jeden wielki smród. Żeby nie wiem jak szybko się kręcić, i tak zawsze śmierdzi. Naprawdę chce mi się rzygać. Czuję się jak John Lewis na ringu w walce z dwoma kalekami karłami. Jezu! Idę zadzwonić do Helen i przekazać jej dobrą wiadomość. - Wolnym krokiem ruszył do hotelu.

Lyon zaprowadził Annę do knajpki po drugiej stronie ulicy. Zamówił jajka.

- Henry nie ma racji - powiedział. - Zadrąpaliśmy kociaka, a kociak nie wystawił pazurów. A agent jest tylko tuzinkowym agentem, a nie Henrym Bellamy. Henry jest genialny, i taki był

dwadzieścia lat temu. A gdyby ktoś wtedy zadrapał Helen Lawson, na pewno połamałby palce. Henry miał rację mówiąc, że ta para nie ma tego co trzeba.

- Ale przecież wycięli jej całą balladę i pół tańca. Jak ona mogła się bronić? To, co mówił Henry, było całkiem logiczne.

Lyon zaatakował jajka na talerzu.

- Naprawdę sądzisz, że ballada przepadła na dobre? Jak tylko Terry podpisze wymówienie i wsiądzie do pociągu do Nowego Jorku, wszystko wróci do pierwotnej postaci. Gdyby Terry uparła się zostać, wytrzymałoby z tymi cięciami aż do końca trasy. Potem Helen zatrułaby wszystkim życie, ale i tak ta ballada zostałaby przywrócona w premierowy wieczór na Broadwayu, i Terry by wygrała. To jest jak poker. Terry miała dobrą kartę w ręce, ale Helen ją wykołowała, i już.

Piętnaście minut później Henry przysiadł się do ich stolika. Wmusił w siebie jakąś kanapkę z kurczakiem na zimno, utyskując, że dokuczają mu znów wrzody. O wpół do drugiej do knajpki zajrzeli ludzie z zespołu, żeby coś wrzucić na ząb. Siedzieli grupkami i plotkowali o niedawnych wydarzeniach. Neely była dziś sensacją dnia.

Anna postanowiła nie odwiedzać jej za kulisami przed popołudniówką. Znając Neely przypuszczała, że w garderobie panuje absolutny chaos. Razem z Lyonem stała pod tylną ścianą zatłoczonej widowni. Neely poradziła sobie ze swoją rolką z łatwością profesjonalistki. Anna odnosiła wrażenie, że jej przyjaciółka ani nie wniesie nic do przedstawienia, ani mu też nie zaszkodzi. Rola została tak bardzo okrojona, że praktycznie była zupełnie bez znaczenia.

- Anno, wiem, że to w jakiejś części i twoja robota - wydyszała Neely, kiedy Anna odwiedziła ją za kulisami, żeby pogratulować występu. - Helen wspomniała mi dziś o tym. Och, Anno, tak bardzo cię kocham! Jesteś dla mnie jak siostra. O... a to jest Mel.

Anna odwróciła się do młodego mężczyzny, który stał w kącie i usiłował pozostać w cieniu. Skoczył naprzód, uściśnął jej dłoń, a potem znów wycofał się pod ścianę. Był wysoki, trochę za chudy, a jego czujne, ciemne oczy wpatrywały się w Neely z nie skrywaną adoracją. Anna natychmiast poczuła bijące od niego ciepło. Ucieszyło ją to, że względu na Neely.

- Była zupełnie sensacyjna, prawda? - zauważył z dumą.

- Po prostu cudowna - odparła Anna serdecznie.



- A w poniedziałek w Filadelfii dostanę tę balladę i całą scenę miłosną - wyaplała Neely. - I Helen Lawson obiecała, że dopilnuje, żebym na premierę w Nowym Jorku dostała nowe kostiumy. Uważa, że stroje Terry są zbyt wymyślne jak dla mnie.

Helen nie wychodziła wprost z zachwyty nad Neely.

- Wspaniała jest ta twoja koleżanka! - krzyknęła, kiedy Anna zatrzymała się przechodząc obok jej pokoju.

Zaskoczyło to Annę. Neely grała dobrze, ale entuzjazm Helen był niewspółmiernie duży.

- Przy niej ta dziwka jest zupełnie do dupy - ciągnęła Helen. - Neely jest w tej roli dokładnie taka, jak trzeba. Miłe, niewinne, dziecko. Zobaczysz, jak zaśpiewa tę balladę w poniedziałek! To będzie bomba! Taka niewinna dziewczyneczka w miłosnej piosence. Podbije wszystkich.

Anna skierowała się do drzwi.

- Hej, dokąd tak pędzisz?

- Lyon Burke czeka na mnie na dole. Helen przyjrzała się jej jakoś dziwnie.

- Słuchaj, widziałam, jak trzymaliście się za ręce wczoraj na przyjęciu. Jeśli chcesz się zabawić w New Haven, to się baw. Ale pamiętaj, co nosisz na palcu.

- Oddaję pierścionek.

- Co takiego?! - ryknęła Helen. - Posłuchaj, skarbeczku. Nie traktuj tylko poważnie takiej drobnej przygody! - Anna odwróciła się do wyjścia. Helen natychmiast zmiękła. - Anno... jesteś młoda. Wiem, jak to jest. A Lyon to rzeczywiście niezły facet. Zabaw się z nim, a jakże, żyje się tylko raz. Ale nie rezygnuj z Allena dla krótkiego romansu.

Anna uśmiechnęła się niewyraźnie i ruszyła do drzwi.

- Wracasz już do Nowego Jorku? - spytała Helen.

- Chyba tak.

- Jutro rano jedziemy do Filadelfii i zaczynamy próby. Wstawiamy z powrotem balladę i dopinamy spektakl na ostatni guzik. Myślę, że na poniedziałkowy wieczór będziemy mieć już wszystko naprawdę dopracowane. A twojej koleżance trafiła się niezła rola. Już powiedziałam Gilowi, żeby nie zawracał sobie głowy szukaniem kogoś innego na premierę w Nowym Jorku. Jestem z Neely absolutnie zadowolona.

- Powodzenia w poniedziałek - powiedziała Anna udobruchana.

- Zobaczymy się w Filadelfii, kiedy przyjedziesz z Gino i Allenem. Pamiętaj, że jesteśmy umówieni.

Allen! Premiera!

- No to tymczasem! - rzuciła Helen wesoło. Lyon czekał na zewnątrz.

- Odbębniłaś już obowiązki towarzyskie?

Kiwnęła głową.

Wziął ją pod ramię.

Załatwiłem nam przepustkę do domu. Możemy wsiąść w najbliższy pociąg no Nowego Jorku. Bałem się, że będziemy musieli tu zostać. Ale zostaje tylko Henry. Spotkamy się z nim w poniedziałek w Filadelfii.

Ogarnęła ją nagła fala radości, że Lyon tak swobodnie mówi o tym, że teraz już będą razem. Ale poczuła też gwałtowny niepokój na myśl o tym, co powie Allenowi. Po raz pierwszy w życiu doceniła wygodę pisania zdawkowych listów. Jakże łatwo by było napisać najzwyczajniej w świecie: „Drogi Allenie! Załączam pierścionek z dziesięciokaratowym brylantem. Uważam, że jesteś bardzo miłym gościem, ale zakochałam się w kimś innym, a stało się to w czasie naszej długiej czterdziestoośmiogodzinnej rozłąki”.

Kolację zjedli w pociągu i bez najmniejszej dyskusji pojechali ze stacji wprost do mieszkania Lyona. Kiedy wchodziła do środka, przeszedł ją dreszcz. Już od progu czuła się tu niemal zadomowiona.

- Na dobrą sprawę to jest twoje mieszkanie - powiedział Lyon, jakby czytał w jej myślach. - Zawsze je z tobą kojarzyłem.

- Chcesz powiedzieć, że myślałeś o mnie jeszcze zanim... zanim... Wziął ją w ramiona.

- Anno, czy sądzisz, że po raz pierwszy ujrzałem cię w New Haven?

- Nie wiem... Jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, że mnie w ogóle dostrzegasz.

- Hm, ja też sobie nie przypominam, żebyś się za mną uganiała.

- Myślę, że kocham cię od dawna - wyznała. - Po prostu nie przyznawałam się do tego nawet sama przed sobą.

- Pomyśl, ile czasu straciliśmy...

- To twoja wina. W końcu co może zrobić dziewczyna? Nie może przecież podejść do faceta i oświadczyć mu prosto w nos: „Wie

pan co? Chociaż dopiero co się poznaliśmy, sędzę, że jest pan mężczyzną, na którego czekałam całe życie".

- Mnie się to podoba. Wierz mi, że pierwsza, która na to wpadnie, zrobi niesamowite wrażenie. Zwłaszcza jeśli będzie przy tym wyglądać tak jak ty. A teraz siadaj na kanapie, a ja przygotuję nam coś do picia. Dam ci leciutką szkocką. To cię zaraz rozluźni.

- Widać, że dygoczę ze zdenerwowania?

- Ani odrobinę. Ale na pewno w środku to przeżywasz. Wszystko jest takie nowe... Ja jestem nowy... Seks jest dla ciebie nowy... - Usiadł przy niej i delikatnie gładził ją po włosach.

Przytuliła się do niego.

- Jesteś mi bliższy niż ktokolwiek na świecie. Chcę wiedzieć o tobie wszystko... Nie chcę, żebyśmy mieli przed sobą tajemnice. Tworzymy jedność, jesteśmy częścią siebie. Należę tylko do ciebie.

Odsunął się od niej i w zamyśleniu pociągał szkocką.

- Nie wiem, czy jestem w stanie sprostać twojej miłości, Anno. Nie chciałbym cię zranić.

- To całkiem niemożliwe, Lyon. Tak wiele mi już dałeś. Nawet gdyby jutro nie miało się zdarzyć nic więcej, i tak ci będę wdzięczna za dwa najwspanialsze dni w moim życiu.

Uśmiechnął się łagodnie. Potem ujął jej dłoń i poklepał palec ozdobiony dużym pierścieniem.

- Czy my czasem o czymś nie zapominamy?

- To już skończone. Zwracam pierścione.

- Anno... to, co do ciebie czuję, jest bardzo autentyczne. Chcę, żebyś o tym wiedziała. Ale dałem ci już wszystko, co w ogóle jestem w stanie ofiarować w przyszłości. Ja...

- I wystarczy! To wszystko, czego pragnę. Twojej miłości! Nie kocham Allena. Nigdy go nie kochałam. Nigdy nie chciałam wychodzić za niego za męża. To wszystko posuwało się w takim tempie, że dałam się porwać prądowi. Ale nawet gdybyś się ty nie zjawił, i tak nie byłabym w stanie zgodzić się na Allena.

- Chciałbym ci wierzyć, Anno. Miałbym spokojniejsze sumienie.

- Sumienie? Lyon... Ty mnie nie kochasz?

Patrzył przed siebie, jakby próbował tam wyczytać odpowiedź. Zobaczył łzy w oczach Anny.

- Anno! - Chwycił ją za ramiona. - Ależ, tak, tak! Kocham cię. Kocham cię i pragnę. Ale twoja miłość mnie po prostu przeraża i zastanawiam się, czy moje uczucie ci wystarczy.

Z ulgą zamknęła oczy.

- Och, Lyon, ale mnie wystraszyłeś... Naturalnie, że nie kochasz mnie tak, jak ja ciebie. Nikt na świecie nie jest w stanie tak kochać. - Spojrzała mu głęboko w oczy. - Po prostu kochaj mnie, tylko o to cię proszę. Kochaj mnie tak mocno, jak tylko potrafisz. I pozwól, żebym ja cię kochała.

Następnego ranka zbudziła się w jego ramionach. Leżała bez ruchu i patrzyła na zdecydowany, męski profil. Tak pięknie wyglądał we śnie! Seks znowu sprawił jej ból, ale cieszyła ją satysfakcja, którą ofiarowała Lyonowi. I po raz pierwszy w życiu czuła, że do kogoś naprawdę należy. O wszystkich tych sprawach, o których nigdy nie rozmawiała z dziewczynami - wydawały jej się nazbyt osobiste, żeby poruszać je nawet z Neely - mówili z Lyonem swobodnie i otwarcie. O naturalnym rytmie biologicznym, o środkach zapobiegawczych...

Wysunęła się z jego ramion i przeszła do kuchni. Przygotowała kawę i włożyła jajka do rondelka, a dopiero potem spojrzała na zegarek. Minęło południe.

Zbudził się, kiedy postawiła kawę i jajka na stole. Pochwalił jej umiejętności - jajka były ugotowane idealnie, kawa wprost wyborna. Po śniadaniu zagłębił się w „Timesie”, a ona tymczasem poszła wziąć prysznic.

Kiedy stanęła przed nim ubrana do wyjścia, z płaszczem przerzuconym przez ramię, spojrzał na nią zupełnie zaskoczony.

- Zostawiasz mnie? - Pociągnął ją na kanapę. - Jesteś najbardziej przelotnym romanssem, jaki dotąd przeżyłem. - Pocałował ją w szyję. Poczowała obezwładniającą słabość. Zebrała się w sobie i odsunęła od niego.

- Lyon, nie mogę jutro iść do pracy w tym, co mam na sobie. Muszę zmienić pończochy... bieliznę... Muszę wrócić do domu.

Zerknął na zegarek.

- Jasna sprawa. Wpadnę po ciebie o siódmej. Zjemy gdzieś kolację. I przygotuj się, że do pracy jutro wyjdiesz z tego mieszkania.

Pocałowała go z wdzięcznością. Na ułamek sekundy ogarnął ją strach, że Lyon nie zechce, żeby tu wróciła. Pozwoliła sobie nawet na

taksówkę - dochodziła już trzecia, a tyle jeszcze rzeczy musiała załatwić do siódmej.

W chwili gdy przekroczyła próg swojego pokoju, poczuła się osaczona. Na biurku w dużym wazonie czekał bukiet kwiatów. Zobaczyła karteczkę od Allena. „Mam nadzieję, że tęskniłaś za mną równie mocno, jak ja za tobą. Zadzwoń, jak tylko wrócisz. Kocham cię. Allen.”

Do zeszłego piątku ten pokój żył jakimś całkiem innym życiem. Teraz poczuła się w nim obco. Nie znosiła już tego pokoju, tak samo jak nie znosiła Lawrenceville. Spojrzała na róże. Nie może tego odkładać. Jutro wyjeżdża z Lyonem do Filadelfii, a przecież Allen też się tam wybiera... I Gino!

Zaczęła wykręcać numer Allena, ale zrezygnowała w połowie i odłożyła słuchawkę. A gdyby tak wysłać telegram? Nie, musi przecież zwrócić ten pierścionek. Brylant zwisał ciężko, bez życia, przekreślony na bok palca.

Zadzwoiła. Odebrał po drugim sygnale.

- Hej, jak tam było w New Haven i jak się czuje twoja przyjaciółka, baba z żelaza?

- Przedstawienie zrobiło furorę.

- Wiem. Gino spotkał wczoraj w Morocco jakichś ludzi, którzy byli w New Haven.

- A jak tam w Morocco?

- Nie byłem. No coś ty! Jestem zaręczonym facetem. Siedziałem dwa wieczory w domu z dobrą książką i czekałem na swoją dziewczynę.

- Allen... Allen... Coś ci muszę powiedzieć.

Spieszyła się wiedząc, że musi wyrzucić to z siebie jak najszybciej, bo inaczej poniosą ją nerwy.

- Allen, nie jestem twoją dziewczyną i nie jestem już z tobą zaręczona. Chcę ci zwrócić pierścionek.

W słuchawce zapadła długa cisza. Wreszcie powiedział:

- Anno, zaraz u ciebie będę.

- Nie, Allen... Spotkajmy się w mieście. Oddam ci ten pierścionek.

- Nie chcę pierścionka. Chcę z tobą porozmawiać.

- Ale nie ma o czym.

- Nie ma o czym? Wielki Boże, Anno, od trzech miesięcy kocham się w tobie jak wariat, a ty teraz chcesz załatwić wszystko jednym telefonem! Co się stało? Ktoś ci coś o mnie nagadał w New Haven? Słuchaj, robiłem w życiu różne głupstwa. Czasem zachowywałem się po świńsku, ale to było, zanim poznałem ciebie. Nie możesz mieć mi za złe tego, co robiłem wcześniej. Nic nie liczyło się naprawdę, dopóki nie poznałem ciebie. Ktoś cię porządnie wystraszył. Muszę cię zobaczyć i dowiedzieć się, o co chodzi. Nie poddam się tak łatwo. Mam prawo przedstawić swoją wersję.

- Allen, nikt mi nic o tobie nie naopowiadał. A rozmowa ze mną nic nie zmieni.

- Zaraz u ciebie będę.

- Allen, nie przyjeżdżaj! - krzyknęła piskliwie. - Jestem zakochana!

Tym razem cisza trwała dłużej. Wreszcie Anna zapytała niepewnie:

- Allen, jesteś tam? Rozumiesz, co mówię?

- Kto to jest?

- Lyon Burke.

Roześmiał się nieprzyjemnie.

- Ten bezdomny Angol, który siedzi w moim dawnym mieszkaniu? No cóż, bardzo mi miło, że dzięki mnie macie gniazdko jak znalazł na miodowy miesiąc.

- Allen, to się po prostu stało.

- Jasne, zupełnie samo. I równie szybko przestałaś mnie już kochać.

- Nigdy nie mówiłam, że cię kocham. Nie zapominaj o tym. To ty nalegałaś, żebyśmy się zaręczyli.

- No dobra, Anno. Życzę szczęścia.

- Jak mam ci oddać pierścionek?

- Ja się nie przejmuję jakimś głupim pierścionkiem. Dlaczego ty się nim martwisz?

- Chcę ci go oddać.

- Chcesz powiedzieć, że widok tego pierścionka obraża godność pana Lyona Burke? A może już dał ci inny? Z tego, co o nim słyszałem, możesz liczyć najwyżej na kółko w nosie.

- Allen, nie rozstawajmy się w ten sposób.

- A czego ty chcesz? Mam ci wysłać radosny telegram? Jezu, a to mnie spotkała nagroda! Po raz pierwszy w życiu potraktowałem dziewczynę jak należy i co dostaję w zamian? Ale jeszcze nie raz się zobaczymy. Nie uda ci się tak szybko zaciągnąć Lyona Burke do ołtarza.

- Proszę cię, Alen... Możemy się jutro umówić na lunch, żebym mogła ci oddać ten pierścionek?

- Nie, moja ty góro lodowa, zatrzymaj go sobie.

- Co?

- Zatrzymaj go sobie! Ty suko... Nie potrzebuję tego pierścionka." Mogę sobie kupić pierścionków a pierścionków. Ale tobie na pewno się przyda. Będziesz go mogła bez najmniejszych problemów zastawić w lombardzie, na przykład. Albo jeszcze lepiej! Noś go. Niech cię za każdym razem skaleczy, kiedy jakiś facet wykołuje cię tak, jak ty wykołowałaś mnie! Mam przeczucie, że Lyon Burke będzie pierwszy w kolejce. - Z hukiem odłożył słuchawkę.

Natychmiast jeszcze raz wybrała jego numer.

- Allen, wiem, że jesteś na mnie wściekły, i to, co powiedziałeś, powiedziałeś w gniewie. Ale chciałabym, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

- Przyjaciół lubię sobie dobierać spośród mężczyzn - odparł zimno.

- No dobrze, ale naprawdę nie mogę zatrzymać tego pierścionka.

- Jeśli tylko po to do mnie dzwonisz, to nie zwracaj mi głowy!

- Allen, zaczekaj! - Wiedziała, że znów chciał odłożyć słuchawkę. - Chcę ci przypomnieć o Gino. Obiecał jutro pojechać do Filadelfii.

- To znaczy, że jest dla nas jeszcze jakaś nadzieja? - zapytał z otuchą w głosie.

- Nie chodzi o nas. Teraz już nie mogę z tobą jechać. Ale nie ma powodu, żeby Gino sam się nie wybrał. Helen czeka na niego.

- No nie! Ty się chyba urwałaś z choinki! - Jego śmiech zabrzmiał jak jęk.

- Dlaczego? Helen już zarezerwowała mu pokój. Przecież ty i on to dwie różne osoby. Nie wiem, dlaczego Helen miałaby przez nas przeżyć taki zawód.

- Nie wiesz? Za to ja teraz już wiem wszystko. Może myślisz, że Gino chciał tam jechać, co? Że strasznie się cieszył na myśl o przewalankach z tym starym żelaznym pudłem?

- Przestań tak mówić o Helen! To bardzo atrakcyjna kobieta i twój ojciec powinien się czuć wyróżniony, że Helen chce z nim być. To wielka gwiazda...

- Stara zardzewiała nudziara! Mój ojciec może mieć każdą dziewczynę w tym mieście! Bo to jest świat mężczyzn; kobiety mają w nim coś do powiedzenia, tylko póki są młode. Pewnego dnia sama się przekonasz. A twoja Helen Lawson może i jest największą gwiazdą na Broadwayu, ale i tak w chwili, gdy schodzi ze sceny, staje się tylko wielką jak szafa, rozkrzyczaną dziwką. Pewnie, że miał tam jutro pojechać. I tylko nie myśl sobie, że nie próbował się z tego wywinąć! Ale go przydusiłem. Można umrzeć ze śmiechu! Zmusiłem go tylko ze względu na ciebie. I cały weekend kombinowałem, jak to zrobić, żeby został tam na noc. Zgodził się pojechać, ale zaklinał się, że zaraz po przedstawieniu wróci pierwszym pociągami do domu. Wreszcie mu powiedziałem, że jeśli zostanie z Helen tylko jedną noc, będzie to dla nas jakby prezent ślubny. Wyobrażasz to sobie? Do czego to facet nie nakłania ojca, żeby zadowolić swoją ukochaną! Pracowałem nad tym dwa bite dni. A ty przez cały czas... - Urwał, głos mu się niebezpiecznie załamał. - Widzę w tym przynajmniej jedną dobrą stronę. Gino zostanie oszczędzony. A teraz odrzucam ci piłeczkę. Tobie i panu Burke. Od dzisiaj niech jego ojciec dogadza twojej przyjaciółce! - Usłyszała trzask odkładanej słuchawki.

Pierwsze przedstawienie w Filadelfii było występem o wiele piękniejszym i gładszym niż premiera w New Haven. Anna nie mogła się wprost nadziwić, jak wielu zmian dokonano w tak krótkim czasie. Siedziała obok Lyona, identyfikując się bardziej z aktorami na scenie niż z publicznością. Lyon trzymał ją za rękę, a ona zastanawiała się, czy zauważył, że nie ma już na palcu pierścienia zaręczynowego. Leżał sobie teraz w szarej kopercie w nowo otwartej skrytce depozytowej. To, że zostawiła go w zimnej metalowej skrzynce, wydawało jej się aktem okrucieństwa wobec wielkiego brylantu. Był taki samotny i gdy go zostawiała, miała wrażenie, że skrzy się wściekłością - zupełnie jakby protestował przeciw takiemu niezawinionemu odtrąceniu.



Szept Lyona oderwał ją od tych myśli. Spojrzała na scenę. Nadeszła wielka chwila Neely. Ballada została na powrót włączona do spektaklu. Kiedy Neely zaczęła śpiewać, Anna, okropnie podenerwowana, zjechała aż na brzeg fotela. Usłyszała zupełnie nową interpretację ballady. Terry King, w opiętej sukni z czerwonej satyny, wydawała się rozczarowana i dyszała niezaspokojoną namiętnością. Neely, w niebieskiej sukience z wykładanym kołnierzem, sprawiała wrażenie zasmuconej, opuszczonej i samotnej. W jej głosie słychać było wibrowanie żalostnego płaczu. To dopiero była piosenka zakochanej dziewczyny - zupełnie inna, wzruszająca. Neely dostała burzę braw.

Kilkakrotnie w czasie przedstawienia Anna zerkała na trzy puste miejsca w czwartym rzędzie. To Helen je zarezerwowała. I właśnie Anna miała tam siedzieć, między Allenem a Gino. Nie powiedziała jeszcze Helen o tym, co się zdarzyło. Nie chciała jej popsuć przedstawienia.

O jedenastej piętnaście kurtyna opadła na dobre. Nikt nie miał wątpliwości, że spektakl odniósł sukces. Nawet wieczny wyraz strapienia na twarzy Henry'ego Bellamy tego wieczoru gdzieś zniknął. Mijając za kulisami Lyona i Annę, powiedział:

- Przyjęcie będzie w Warwick.

Lyon spojrzał na zegarek.

- Nie zależy ci chyba zbyt na tym przyjęciu? - spytał.

W ogóle o tym nie pomyślała. Zakładała, że Henry zarezerwuje im pokoje. Do teatru przyszli prosto ze stacji. Miała przy sobie nieco za dużą torebkę, w której przywiozła koszulę nocną i szczoteczka do zębów. Nagle uświadomiła sobie, że Lyon jest bez aktówki.

- Jeśli wpadniemy na chwilę do garderoby, żeby pogratulować Helen i Neely, złapiemy ten powrotny o dwunastej dwadzieścia pięć.

- Jak chcesz, Lyon.

- Wiesz, wolałbym wypić coś w wagonie restauracyjnym niż w Warwick, i tylko z tobą.

Przepchnęli się przez tłum kłębiący się na korytarzach i pod garderobami. Anna weszła najpierw do Neely. Stała w progu garderoby w otoczeniu kilku dziennikarzy. Co jakiś czas zatrzymywał się ktoś z obsady, żeby jej złożyć gratulacje. Obok niej stał Mel; milczał i pękał z dumy.

Anna objęła przyjaciółkę.

- Neely, byłaś cudowna!

- Naprawdę? Poważnie? Jak się pewniej poczuję, będę jeszcze lepsza. No i to były na razie byle jakie kostiumy. Na Broadwayu dostanę nowe.

Lyon też wyraził swoje uznanie. Neely spojrzała na niego w zdumieniu.

- A gdzie jest Allen?

- Powiem ci innym razem - odparła cicho Anna.

- Ale nic się chyba nie stało, co? - Neely nie dawała za wygraną.

- Rany, Helen zachowywała się dziś jak pensjonarka, bo Gino miał siedzieć na widowni! A ty przecież miałaś być z Allenem.

Anna czuła, jak się czerwieni. Neely mówiła tak głośno, że słychać ją było na pół korytarza.

- Allena nie ma - powiedziała Anna przez zaciśnięte zęby.

- Sama widzę. Hej, a co się stało z pierścionkiem?! - Chwyła Annę za rękę. - Gdzie jest pierścionek?

- Neely, porozmawiamy o tym innym razem. Muszę pójść pogratulować Helen.

- Jeśli Gino też nie przyjechał, lepiej uciekaj gdzie pieprz rośnie. Przedarli się przez tłum do garderoby Helen. Gwiazda oderwała się od grupki ludzi i z wyciągniętymi ramionami podeszła do swej młodej przyjaciółki.

- Cześć! - zawołała wesoło. Potem z nadzieją omiotła wzrokiem najbliższe otoczenie Anny. Widząc Lyona, spojrzała na nią pytająco. - A gdzie oni są?

- Nie przyjechali.

- Co?!

- To dłuższa opowieść, Helen.

- Co za skurwiel! Co się znów stało?

- Potem ci powiem.

- Mam nadzieję, że to jakiś dobry powód. Wejdz do środka i opowiesz mi, jak się będę przebierać.

- Helen... My... to znaczy Lyon i ja... wracamy do Nowego Jorku o dwunastej dwadzieścia pięć.

- Żartujesz chyba!

Anna niemo potrząsnęła głową.

- To znaczy, że nie idziesz na przyjęcie?

- Muszę być jutro w biurze.

- Gówno! Skoro ja chcę, żebyś tutaj została, to sprawa załatwiona! Przynajmniej tyle Henry może dla mnie zrobić. On już pojechał, więc chociaż ty zostań. - A potem, odwracając się do wszystkich w pokoju krzyknęła: - Hej, w Warwick jest przyjęcie! Zmiatajcie stąd, bo muszę się przebrać!

Rozległ się szum ostatnich gratulacji zmieszany ze słowami pożegnania.

Kiedy zostali sami, Helen spojrzała na Annę i Lyona.

- Lyon, poczekaj w holu. Anna może zostać, ona mi nie przeszkadza. Zerknął na zegarek

- Powinniśmy już iść, Anno, jeśli mamy zdażyć na pociąg.

- No bomba! Henry nie zostawił cię jako swojego zastępcy? Za chwilę zaczniesz mi przysyłać tego puchacza, George'a Bellowsa. Jeszcze ode mnie usłyszysz! I kto, do cholery, odprowadzi mnie na to przyjęcie?

- Dlaczego Henry nie został?

- Bo powiedziałam mu, że przyjeżdża Gino - warknęła Helen. A teraz mi mów. Co się urodziło?

Lyon spojrzał na zegarek.

- Sprowadzę taksówkę, Anno. Uśmiechnął się przelotnie do Helen i wyszedł z garderoby.

- Cholera, wszyscy mnie dziś wystawiają do wiatru! - Helen usiadła przed lustrem i zaczęła zmywać makijaż.

- Helen, dzisiejsze przedstawienie było doskonałe. Przykro mi, że już muszę wyjeżdżać, ale Lyon chce złapać pociąg...

- To niech sobie łapie, do diabła! Co to ma z tobą wspólnego? Anna gorączkowo szukała wymówki.

- Nie mam rezerwacji w hotelu.

- No to co? Mam apartament z dwoma łózkami. Możesz spać ze mną.

- Ale przyjechałam tutaj z Lyonem. - Z tęsknotą spojrzała na drzwi.

Oczy Helen się rozszerzyły.

- Aha, o to chodzi! Dalej zabawiasz się z Lyonem! Chryste, jesteś taka jak wszystkie dziewczyny. Ty, jedyna dziewczyna z klasą, dziewczyna, na której naprawdę mi zależało, moja najlepsza kumpelka, ty ode mnie uciekasz! Ale proszę bardzo. Takie jest moje zasmarkane życie. Daję wszystko, co mam... Zawsze ufam ludziom... -

Po jej twarzy spłynęły łzy. - Wierzyłam w ciebie, Anno... moja jedyna przyjaciółko. Ale jesteś taka jak inne, kopiesz mnie w tyłek, odchodzisz ode mnie wtedy, kiedy cię tak potrzebuję. No i proszę, siedzę sobie w wieczór premierowy samotna jak palec. Nie mam żadnego faceta, a moja jedyna przyjaciółka postanawia się ulotnić...

- Helen, przecież jestem twoją przyjaciółką. Może jest jeszcze jakiś pociąg później. Porozmawiam z Lyonem...

- Po dwunastej dwadzieścia pięć jeżdżą już tylko osobowe. - Helen zaczęła ocierać rozmazany tusz. - Ale idź sobie. Chyba zwariowałam, że liczyłam na coś więcej z twojej strony.

- Zaczekaj, zamienię dwa słowa z Lyonem. - Wybiegła z garderoby.

Lyon stał przy taksówce. Puściła się pędem do niego.

- Lyon, nie mogę zostawić jej samej. Jest taka urażona. Spojrzał na nią w zdumieniu.

- Anno, nic na świecie nie jest w stanie urazić Helen Lawson.

- Nie rozumiesz jej. Płakała. Czuje się taka samotna po premierze.

- Helen ma łzy na czubku nosa. I prędko jej wysychają. Posłuchaj, Anno. Takie jak ona same kreują samotność.

- Ale nie możemy jej tego zrobić.

- Nie jesteśmy jej nic winni, poza lojalnością zawodową. Ja jestem od załatwiania takich prostych spraw, jak na przykład ukrzyżowanie Terry King. Helen tylko takie rzeczy rozumie i tego od nas żąda. A w moim kontrakcie nie ma ani słowa o odprowadzaniu jej na przyjęcia.

- Ale, Lyon, to moja przyjaciółka!

- I wobec tego wolisz zostać z nią niż wracać ze mną do domu?

- Czuję, że powinniśmy... Uśmiechnął się.

- Dobra. Cześć, przyjaciółko - powiedział lekko i wskoczył do taksówki.

W pierwszej chwili nie mogła w to uwierzyć. Ale taksówka odjechała. Nie wiedziała, czy ma się teraz bać czy może złościć. Zawiodła Lyona? A może on ją? Gdyby z nim odjechała, na pewno zawiodłaby Helen. Wystarczy, że zrobiła to Allenowi. Nagle poczuła piekące łzy. Wszystko tak się wokół niej gmatwało. Tyle osób raniła - najbardziej siebie.

Bankiet w Warwick był powtórzeniem przyjęcia w New Haven, z wyjątkiem tego, że teraz pojawiła się na nim i Neely jako pełnoprawna uczestniczka. Znalazło się tu jeszcze więcej przyjezdnych z Nowego Jorku - w tym dziennikarze. Helen, pijąc jak smok, była dokładnie taka sama jak wtedy - serdeczna i prostoduszna. Kiedy Anna wróciła do garderoby, okazało się, że Helen znów otaczają jacyś ludzie - nie znalazła zatem okazji, żeby wyjaśnić sprawę z Gino. Przetrwała jakoś zabawę, siedząc i obserwując innych, a w głębi ducha zamartwiając się Lyonem - czuła się kompletnie odrętwiała i całkiem wyizolowana. Kiedy o drugiej nad ranem zobaczyła, jak Neely z Melem po cichu się wymykają, ukłuła ją zazdrość. Lyon pewnie dojeżdża do Nowego Jorku. Jest wściekły? A może tak samo nieszczęśliwy jak ona?

O trzeciej wyszły z przyjęcia. Kiedy znalazły się w apartamencie, Helen otworzyła szampana, napełniła duży kieliszek i spytała:

- No dobra, powiesz mi wreszcie, co z Gino? Anna szukała odpowiednich słów.

- To pewnie moja wina - zaczęła ostrożnie. - Widzisz... zerwałam z Allenem.

- Dlaczego?

- No wiesz... Ja i Lyon... Byliśmy razem...

- No to co? Widziałam, jak się mizdrzyliście do siebie w New Haven, ale co to ma wspólnego z Allenem?

- Nie mogę się już spotykać z Allenem, przecież kocham Lyona.

Helen zmrużyła oczy.

- Jaja sobie robisz? Chyba nie sądzisz, że skoro cię dmucha, to od razu się z tobą ożeni, co?

- Oczywiście, że tak.

- Mówił coś o małżeństwie?

- Helen, to wszystko stało się raptem trzy dni temu.

- I gdzie jest teraz ten twój Romeo? Jakoś nie widzę go przy tobie.

Anna nie odpowiadała. Helen, nie zrażona niczym, mówiła dalej; postanowiła powiedzieć wszystko do końca.

- Słuchaj, facet, który kocha, nie zostawia cię samej. Allen był zawsze przy tobie. Wyobrażam sobie, jak okropnie się teraz czuje. I założę się, że dlatego Gino nie przyjechał. Pewnie uważa, że ja też jestem taka szmata jak ty.

- Helen!

- Myślisz, że rozegrałaś to z klasą. Nosisz na palcu pierścioneł z brylantem i pędzisz do łóżka z byle jakim Angolem! I mnie też przy okazji wystawiasz do wiatru! Gino na pewno myśli, że obie jesteśmy z jednej gliny. Boi się mnie teraz, boi się, że zrobię go na szaro tak jak ty załatwiłaś jego syna.

- Moje sprawy z Allenem nie mają nic wspólnego z tobą i Gino.

- No to dlaczego go nie ma? Wiem, że mu się podobam. Rozpoznaję to na pierwszy rzut oka. Świetnie się bawiliśmy. Gdybyś się nie powiesiła Lyonowi na szyi, Gino byłby tu ze mną dzisiaj. Straciłam mężczyznę, którego kocham, bo z ciebie jest po prostu zwykła dziwka.

Anna przebiegła przez pokój i chwyciła płaszcz.

- A teraz gdzie się wybierasz? - spytała Helen napełniając sobie kieliszek.

- Wszystko jedno gdzie, byle jak najdalej od ciebie!

- Ha! - prychnęła Helen. - Moja droga, ty już możesz się tylko toczyć w dół. Myślisz, że komuś na tobie zależy? Panienska z dobrego domu, która zadziera nosa, myślałby kto! Ja przynajmniej nazywam rzeczy po imieniu. Ale ty odstawiałaś wielką damę. Jasne, póki miałaś ten brylant na palcu, byłaś kimś. Jakoś cię znosiłam. Myślałam, że skoro Allen Cooper tak cię chce, to musisz mieć coś w sobie. Tylko to było twoim atutem. Teraz jesteś nikim. Kolejną panienską wydmuchaną przez Lyona Burke.

Anna patrzyła na nią bez słowa.

- A ja myślałam, że jesteś moją przyjaciółką... - powiedziała wreszcie.

- Przyjaciółką! A co ty takiego masz, że bym miała się z tobą przyjaźnić? Kim ty jesteś? Zastraną sekretarką i wielką nudziarą. I jeszcze przez ciebie musiałam stracić faceta, który na mnie leciał! - Helen wstała; nogi jej się trzęsły. - Idę spać. Możesz położyć się na kanapie, jeśli chcesz.

Annę ogarnęła chłodna furia.

- Helen, straciłaś swoją jedyną przyjaciółkę.

Twarz Helen wykrzywiła się w grymasie złości.

- Byłoby kiepsko, gdybym chciała się bawić tylko z tobą.

Anna podeszła do drzwi.

- Do widzenia, Helen. Życzę ci szczęścia.

- Nie, moja droga, to ty potrzebujesz szczęścia. Lyon Burke przeleci cię jeszcze kilka razy, a potem się tobą znudzi. A nudzi się łatwo. Wiem coś o tym. Sześć lat temu mieliśmy swoją przygodę. - Uśmiechnęła się, widząc pełne niedowierzania spojrzenie Anny. - Tak jest. Ja i Lyon. Przygotowywałam nowy program, a on zaczął pracować u Henry'ego. Ładnie to rozgrywał, odstawił najprawdziwszy romans. Lubił, jak go ze mną widywano. Ale ja nie byłam tak durna jak ty. Nie wyobrażałam sobie tego, czego nie ma. Podobał mi się w łóżku, a jak się sprawa wypaliła, to cześć! A wierz mi, że miałam mu więcej do zaoferowania niż ty, podrzędna sekretarka!

Anna otworzyła drzwi i wybiegła na korytarz. Aż mdliło ją z wściekłości i obrzydzenia. Dopadła windy i stanęła jak wryta. Nerwowo przeszukiwała torebkę czując, że ogarnia ją coraz większa panika. Nie miała przy sobie pieniędzy. Tak pędziła na spotkanie z Lyonem, że zapomniała zrealizować czek. Jeszcze raz przejrzała zawartość torebki i wykopała z niej osiemdziesiąt pięć centów. Minęła czwarta. Nie mogła dzwonić do Neely o tej porze, ale nie mogła też wracać do domu na piechotę.

Usiadła w fotelu przy windzie. Jeśli zejdzie na dół do recepcji i przesiedzi w holu do jakiejś dziewiątej, będzie pewnie mogła zatelefonować do Neely. O Boże! Wszystko zepsuła! Wszystko zaprzepaściła! Helen odebrała jej swą przyjaźń. Ale z drugiej strony, wygląda na to, że tak naprawdę to nigdy nie była jej przyjaciółką... Wszyscy ją ostrzegali przed Helen. Przed Lyonem też. Lyon i Helen. Nie, to niemożliwe! Ale przecież Helen nie zmyśliłaby tak ohydneho kłamstwa. O Boże! Dlaczego ona jej to powiedziała? Anna zaczęła płakać, tłumiąc szloch w przytkniętych do twarzy dłoniach.

Usłyszała, że winda staje na piętrze. Osuszyła oczy chusteczką i spuściła głowę. Jakaś dziewczyna wysiadła z kabiny i poszła dalej. Nagle się zatrzymała i odwróciła się do Anny.

- Anna, to ty, prawda?

Anna nerwowo jeszcze raz osuszyła oczy. To Jennifer North.

- Co się stało? - spytała Jennifer.

Anna patrzyła na promieniejącą dziewczynę.

- Wszystko, co tylko możliwe. Jennifer uśmiechnęła się ze współczuciem.

- Ja też miewam takie dni. Chodź, mój pokój jest na końcu korytarza. Może sobie chwilę pogadamy? - Ujęła Annę za rękę i poprowadziła ją do siebie.

Siedząc na łóżku i paląc papierosa za papierosem, Anna opowiedziała jej całą historię.

W końcu Jennifer się uśmiechnęła.

- Ale miałaś weekend!

- Przepraszam, że cię tak nudzę. W dodatku o tej godzinie.

- Nie ma sprawy. I tak prawie nie sypiam - odparła Jennifer z uśmiechem. - Mój kłopot polega właśnie na tym. Ale możemy rozwiązać chociaż jeden z twoich. Prześpisz się dzisiaj u mnie.

- Nie. Naprawdę chcę wrócić do Nowego Jorku. Jeśli mogłabyś mi pożyczyć pieniądze, odeślę ci je jutro przekazem.

Jennifer sięgnęła do torebki, wyciągnęła portfel i rzuciła go Annie.

- Bardzo cię proszę. Ale myślę, że zwariowałaś. Mamy dwa łóżka. Możesz się wypaść porządnie i wsiąść jutro w jakiś ludzki pociąg.

- Chcę wrócić od razu. - Anna wyjęła dziesięciodolarowy banknot z pękatego portfela. - Wyślę ci czek.

Jennifer potrząsnęła głową.

- Nie, zaczekaj z tym, aż wrócę do Nowego Jorku. Zaprosisz mnie na lunch. Chcę usłyszeć koniec tej historii.

- To już jest koniec. Jennifer uśmiechnęła się.

- Jasne, jeśli idzie o Helen. I być może Allena. Ale koniec z Lyonem? Nie, na pewno nie. Widzę, jak zmieniasz się na twarzy, kiedy o nim mówisz.

- Ale jak mogę do niego wrócić po tym, co usłyszałam od Helen?

- Tak ci to przeszkadza? - zdziwiła się Jennifer. - Przecież nie sądziłaś, że był czysty jak łza, co?

- Nie. Ale Helen... Przecież wcale mu się nie podoba jako kobieta.

- Może sześć lat temu bardziej mu się podobała? Pewnie mu wtedy bardzo imponowała. No wiesz, zaczynał pracę u Henry'ego, chciał mieć jakieś sukcesy. Nie miałabym mu tego za złe, gdyby rzeczywiście chodził wtedy z Helen. Ale ona nie powinna ci mówić takich rzeczy wiedząc, że tak ci na nim zależy.

- Helen mówi, że on chwyta co jego, a potem zaraz w nogi...



- Anno, nie ma wątpliwości, że przy niej zachowuje się tak większość mężczyzn. A ona ratuje swą dumę twierdząc, że ten czy tamten facet postępuje tak z każdą kobietą. Za chwilę uwierzy w to, że Gino ją uwielbiał. Anno, jestem przekonana, że Lyon się tobą interesuje. Może nie kocha cię, ale jest tobą zainteresowany.

- Tylko że ja już wszystko zepsułam. Odszedł ode mnie.

- Pewnie uważa, że ty go zostawiłaś. I w pewnym sensie ma rację, bo wybrałaś Helen.

- Nikogo nie wybierałam! Było mi jej żal. Była moją przyjaciółką.

- Też mi przyjaciółka! - Jennifer skrzywiła się. - Posłuchaj. Jutro, jak go zobaczysz, bądź naprawdę miła. Pozwól sobie na łzy. Powiedz mu, jak byłaś głupia obdarzając Helen jakimkolwiek uczuciem zbliżonym do przyjaźni. Rozegraj to miękko. Bądź słodka i zraniona. I, na litość boską, nie wspominaj mu tylko, co ci powiedziała Helen! - Odprowadziła Annę do drzwi. - Pamiętaj, że istnieje tylko jeden sposób, żeby złapać faceta. Postarać się, żeby chciał cię mieć. Ale nie osiągniesz tego czczym gadaniem. A teraz przemyśl to sobie. Na dobrą sprawę powinnam cię tu przywiązać do czegoś i przetrzymać przez kilka dni, żebyś nie pogmatwała wszystkiego jeszcze bardziej.

- Nie, chcę wracać.

- Anno... Lubię cię. Będzie z nas dobra para. Ja też potrzebuję przyjaciółki. Zaufaj mi. Zrób tak, jak ci mówię, jeśli chcesz odzyskać Lyona.

Anna uśmiechnęła się blado.

- Spróbuję, Jennifer. Spróbuję...

Podróż do Nowego Jorku trwała nieskończenie długo. Kiedy Anna wreszcie dojechała na Penn Station, słońce świeciło już jasno. Był ranek... Ludzie wysiadali z wagonów jadących z Long Island. Miała tylko tyle czasu, żeby wykapać się i zjeść śniadanie przed wyjściem do pracy. Siedząc w taksówce, pod powiekami czuła piasek; wchodząc po schodach, odnosiła wrażenie, że nogi ma jak z ołowiu.

Pod drzwiami swego pokoju zobaczyła telegram. Lyon! To na pewno Lyon! Niecierpliwie rozdarła sklejoną kartkę.

OSTATNIEJ NOCY UMARŁA CIOCIA AMY STOP  
POGRZEB W ŚRODĘ STOP BYŁOBY MIŁO GDYBYŚ  
PRZYJECHAŁA STOP ŚCISKAM MAMA

Wpatrywała się w telegram. Cała matka! Żadnych tam „przyjeżdż proszę” ani „potrzebuję cię”, tylko „byłoby miło...”

No cóż, nie pojedzie. Matce tak naprawdę wcale na jej przyjeździe nie zależy. Wcale nie chce oglądać swojej córki. Po prostu „byłoby miło” ze względu na mieszkańców miasta. Ale Anna czuła, że jej miejsce jest tylko w Nowym Jorku... i tylko u boku Lyona. Sięgnęła po słuchawkę i niewiele myśląc wykręciła jego numer. Odebrał po czwartym dzwonku. Miał rozespany głos. Ogarnęła ją złość. To ona siedziała pół nocy w zimnym pociągu, a on tymczasem w najlepsze sobie spał!

- Halo? - Już był rozbudzony i zirytowany. Uświadomiła sobie, że nic jeszcze nie zdążyła powiedzieć.

- Halo! Odezwie się ktoś wreszcie? - spytał mało uprzejmie. Przestraszyła się. Był wyraźnie zły.

- To ty, Elizabeth?

Elizabeth! Ogłupiała spojrzała w słuchawkę.

- Daj spokój, przecież to dziecinada - zauważył Lyon zimno. - Elizabeth, jeśli chcesz coś powiedzieć, to mów, bo odłożę słuchawkę.

Odczekał chwilę, a potem przerwał połączenie.

Elizabeth? Co to za Elizabeth? Zrobiło jej się słabo, kiedy uświadomiła sobie, że Lyon prowadził dotąd normalne życie, o którym ona nic nie wie. Znała go raptem od czterech dni. Boże, to naprawdę tylko cztery dni? Naturalnie, że jest jakaś Elizabeth, i to pewnie niejedna.

Zadzwoiła do Western Union i nadała telegram do matki, że już jedzie do domu. Sprawdziła pociągi. Najbliższy pociąg do Bostonu odjeżdżał o wpół do dziesiątej - zdąży więc jeszcze wpaść do banku i zrealizować czek. Ale biuro jest o tej porze zamknięte! Trzeba jakoś dać znać Henry'emu, że nie będzie jej kilka dni. Jeszcze raz połączyła się z Western Union.

DROGI HENRY STOP WZYWAJĄ MNIE SPRAWY OSOBISTE STOP WRACAM W PIĄTEK STOP WYJAŚNIĘ ANNA

Wyjechała do Bostonu, nie zdając sobie sprawy, jak różnie można odczytać nadany przez nią telegram.

Henry ze złością zmiął telegram.

- A niech to jasna cholera! Pewnie nawiała z Allenem Cooperem, żeby wziąć ślub. - Nie podzielił się tymi podejrzeniami z nikim, ale

jakoś opryskliwie odnosił się do panny Steinberg i reszty biurowego personelu. W piątek, kiedy wszedł do agencji i zobaczył Annę za biurkiem, oniemiał i patrzył na nią w zdumieniu i z zachwytem.

- Wróciłaś! - krzyknął.

- Przecież pisałam, że w piątek już będę z powrotem.

- Byłem przekonany, że wyszłaś za męża.

- Za męża? - Patrzyła na niego zaskoczona. Nadszedł George Bellows. On też się zdziwił na jej widok. - Za męża? - powtórzyła. - Za kogo?

- Tak sobie pomyślałem... - Henry miał dość głupią minę. - Bałem się, że uciekłaś z Allenem.

- Uciekłam? Moja ciotka zmarła. Musiałam pojechać do Bostonu. Było za wcześnie, żeby złapać kogoś tutaj w biurze, więc wysłałam telegram. A kto to wymyślił, że uciekłam?

Henry uściskał ją mocno.

- Nieważne. Grunt, że jesteś z powrotem. Tak się cieszę.

Właśnie w tym momencie pojawił się Lyon. Widząc ją, stanął jak wryty. Henry wypuścił ją z objęć i z chłopięcą ulgą na twarzy odwrócił się do Lyona.

- Wróciła...

- Widzę - stwierdził Lyon beznamiętnie.

Anna spuściła wzrok.

- Przepraszam za to nieporozumienie.

- Ciotka jej zmarła - wyjaśniał Henry radośnie. A potem, narzucając sobie powagę, dodał: - Przykro mi, Anno. - Zwrócił się do Lyona: - Pojechała tylko do Bostonu na pogrzeb.

Lyon uśmiechnął się i wszedł do swojego gabinetu.

- Wejdz do mnie - zapraszał ją Henry do siebie. - Co ci dać? Kawę? Drożdżówkę? Podwyżkę? Wszystko, co chcesz, wystarczy twoje słówko. Taki jestem szczęśliwy!

Na jego biurku odezwał się brzęczyk. Henry trącił przełącznik i Anna usłyszała ostro brzmiący głos Lyona.

- Henry, czy mógłbyś mi tu podesłać Annę z kontraktem dla Neely O'Hara?

Henry mrugnął do niej i wyłączył interkom. Otworzył szafkę z dokumentami i przerzucił kilka papierów.

- Zajęliśmy się twoją przyjaciółką. Nie ma agenta. Nie ma też przed sobą wielkiej przyszłości. Jest skazana wyłącznie na scenę, ale

wzięliśmy ją ze względu na ciebie. - Wręczył Annie dokumenty i popchnął ją leciutko w stronę pokoju Lyona.

Kiedy weszła do środka, Lyon podniósł się z za biurka.

- Przypuszczam, że Henry mówił ci już, że wzięliśmy Neely O'Hara. Bardzo jej zależało. Uważa, że dzięki temu poczuje się jak gwiazda.

Anna nie odrywała wzroku od dokumentów.

- Tak, Henry mi mówił.

Podszedł do niej i wyjął jej z rąk papiery.

- Mówił ci może jeszcze, że przez te ostatnie cztery dni byłem zupełnie wykończony?

Spojrzała na niego, a on wziął ją w ramiona.

- Och Lyon... Lyon... - Przywarła do niego.

- Przykro mi z powodu twojej ciotki. Nikt nie wiedział, dlaczego wyjechałaś. Henry zachowywał się tak, jakby się z tobą pożegnał już na dobre. Nie mogłem w to uwierzyć. Nie mogłem uwierzyć, że tak po prostu odeszłaś z mego życia. Wiem, że się źle zachowałem, Anno. Powinienem być zostać wtedy z tobą. Helen jest twoją przyjaciółką i...

- Nie, to ja źle zrobiłam. Odtąd ty będziesz dla mnie zawsze najważniejszy. Helen nie jest warta tego wszystkiego. Nikt nie jest tego wart. Och, Lyon, tak bardzo cię kocham!

- A ja kocham ciebie, Anno.

- Kochasz mnie!? Och, Lyon, naprawdę? - Przytuliła się jeszcze mocniej.

Pocałował ją w czubek głowy.

- Naprawdę, naprawdę - powiedział lekko. Ale kiedy spojrzała na niego, wiedziała, że nie udaje. I znowu pomyślała, że to po prostu niemożliwe, żeby kiedykolwiek mogła być jeszcze szczęśliwsza niż właśnie w tej chwili.

Weekend spędziła w mieszkaniu Lyona. Żywiłowo reagowała na jego pieśczość. Drugiej nocy opadła na poduszki, cała drżąca i osłabiona. Przytulił ją łagodnie i pogłaskał po włosach.

- Lyon... Stało się... - Wstrząsały nią delikatne dreszcze.

- Pierwszy raz.

- Zaczynałam się już sobą niepokoić.

- Nie było powodu. Bardzo rzadko się zdarza, żeby na początku współżycia dziewczyna odczuwała cokolwiek, nie mówiąc już o orgazmie.

Rozradowana obsypała jego twarz pocałunkami.

- Moje ciało normalnie funkcjonuje! Jestem prawdziwą kobietą! Tej nocy jej pieszczoty stały się wprost agresywne. Nie przypuszczała nigdy, że targająca nią namiętność dorówna jej uczuciom - trochę się tego przestraszyła, a trochę się cieszyła. Nie tylko go kocha, ale pragnie go fizycznie. Zdawało jej się, że nigdy nie zdoła się nim nasycić.

Tylko jedna myśl zatruwała ten rajski weekend. W poniedziałek miała pójść do sądu i zeznawać na rozprawie o unieważnienie małżeństwa Jennifer.

- Wiem, że zrobisz to z najwyższą niechęcią, Anno - powiedział Henry. - Ale jesteś jedyną osobą, której mogę zaufać. Jennifer jest tu obca. Nie zna nikogo. Załatwimy to szybko i będziesz to miała z głowy, zanim się zdążyś obejrzeć. Nie przejmuj się. Tylko bądź w biurze o wpół do dziesiątej. Mamy się stawić w sądzie o wpół do jedenastej. Jennifer przyjeżdża na jeden dzień z Filadelfii. Wszystko sobie jeszcze przećwiczymy przed wyjściem.

Kilka razy wspominała o tym w czasie weekendu. Zdarzało się, że myślała o tej sprawie nawet wtedy, kiedy leżała w ramionach Lyona.

- Słuchaj, jeśli tak bardzo się tym martwisz, to nie rób tego - powiedział Lyon.

- Wiem, że to głupie, Lyon, ale strasznie się boję. Przecież to krzywoprzysięstwo, prawda?

- W zasadzie tak. Ale to nagminna praktyka. Nikt na to nie zważa. Nawet sędzia. Ale jeśli to kłóci się z twoimi zasadami, powiedz o tym Henry'emu. Jak będzie trzeba, zaprzęgnie do tego pannę Steinberg.

- Dlaczego od razu jej o to nie poprosił?

- Zastanawiał się. Oczywiście, najpierw pomyśleliśmy właśnie o niej. Ale jak daleko można się posunąć, nawet przy wyrozumiałym sędzim? Czy Jennifer wygląda na taką, która się zwierza panie Steinberg? - Sięgnął po słuchawkę. - Ale nie przejmuj się tym. Nie jesteś nic winna ani Henry'emu, ani tym bardziej Jennifer. Nic, nawet złamanego paznokcia. Dlaczego więc miałabyś...

- O Boże! - Usiadła w pościeli. - Lyon, nie dzwoń do Henry'ego.

- Dlaczego?

- Zawdzięczam coś Jennifer. I to bardzo dużo. Między innymi jestem jej winna pieniądze. Zupełnie zapomniałam. Pożyczyła mi dziesięć dolarów na bilet do Nowego Jorku. - Mówiła mu wcześniej o wieczorze z Helen, nie wspominając jednak o tym, co Helen naopowiadała jej o swoim związku z Lyonem. Ale zapomniała mu powiedzieć, jak serdecznie potraktowała ją Jennifer i jak bardzo jej pomogła. - Chciałam od razu odesłać te pieniądze, ale kiedy wróciłam do siebie, czekał już na mnie telegram, więc natychmiast wsiadłam w pociąg do Lawrenceville.

- No dobrze, dobrze. Jennifer na pewno nie martwi się o te dziesięć dolarów. Oddam jej jutro.

- Ale była dla mnie taka serdeczna... Myślę, że teraz ja mogę jej odpłacić przynajmniej zeznaniem.

- Dobra, jeśli sądzisz, że to wyrówna rachunki.

- Masz taki dziwny wyraz twarzy, Lyon. Zupełnie jakbyś ostatecznie kończył sprawy z daną osobą. Jakbyś płacił rachunek i kropka. Pamiętam, że mnie kiedyś też potraktowałeś taką miną. Miałam wrażenie, że zamykasz mi drzwi przed nosem.

- Ciebie? Miną? Kiedy?

- Kiedy podziękowałam ci za Neely, za to, że załatwiłeś jej pracę. Powiedziałeś wtedy, że to wyrównuje twoje rachunki ze mną, bo ja ci wcześniej załatwiłam mieszkanie.

- Teraz to już nasze mieszkanie - poprawił.

Spojrzała na niego zamglonymi oczami.

- Nasze mieszkanie?

- Dlaczego nie? Chyba że jesteś bardzo przywiązana do tego pokoiku przy Pięćdziesiątej Drugiej. Myślę, że znajdziemy jakąś wolną szafę. A ja jestem całkiem schludny na co dzień.

Zarzuciła mu rękę na szyję.

- Och, Lyon! Nie znamy się jeszcze zbyt długo, ale wiedziałam, że tak będzie! Od samego początku wiedziałam, że jesteś jedynym mężczyzną, którego zechcę poślubić!

Łagodnie wy dostał się z jej uścisku.

- Zapraszam cię tylko, żebyś się tu wprowadziła. Tylko to mogę ci zaproponować na razie.

Odwróciła się od niego, nie tyle nawet urażona, ile zakłopotana. Lyon wziął ją za ramiona i delikatnie odwrócił do siebie.

- Anno, ja cię naprawdę kocham.

Szybko mrugając, usiłowała osuszyć łzy. Ale i tak słyhać je było w zdławionym głosie:

- Kiedy ludzie naprawdę się kochają, biorą ze sobą ślub.

- Być może w Lawrenceville. Tam o wszystkim decyduje się już przy narodzinach, a przyszłość układa się zgodnie z powziętym planem.

- Twoja przyszłość też się dobrze układa. Henry w ciebie wierzy...

- Nie jestem pewien, czy chcę u niego zostać. Nie wiem, czy odpowiadałoby mi takie życie. - Zamyślił się. - Widzisz, po wojnie zdecydowałem, że nie wrócę do Henry'ego i do starego trybu życia. Ale wróciłem i poddałem się entuzjazmowi naszego wspaniałego szefa, Henry'ego Bellamy. Niemal wszedłem w stare, znane koleiny. A potem był ten lunch w Barberry Room. Dałaś mi niezłego kopa tego dnia; zacząłem się zastanawiać. Potem weekend w New Haven i sprawa Terry King... - Potrząsnął głową. - I wreszcie ten rozkładający na łopatki cios, kiedy zniknęłaś. Zacząłem wszystko bardzo uważnie oceniać, wartościować i podjąłem decyzję. Spróbuję napisać tę książkę.

- To cudownie, Lyon. Ale dlaczego małżeństwo miałoby ci w tym przeszkadzać?

- Powiedzmy, że wyznaję staroświeckie zasady. Uważam, że mąż powinien utrzymywać żonę. Gdybym teraz się z tobą ożenił, rzuciłbym się w wir pracy, dałbym z siebie wszystko w robocie u Henry'ego, zarobiłbym dużo forsy, ale nasze małżeństwo byłoby niedobre.

- Masz zamiar odejść od Henry'ego?

- Niestety, nie mogę. Mam trochę odłożonych pieniędzy i przez kilka miesięcy mógłbym nie pracować w ogóle, ale ryzyko jest zbyt wielkie. Zostanę u Henry'ego i na boku zajmę się pisaniem. Wygospodaruję sobie co noc parę godzin, poświęcę weekendy... Dalekie to od ideału, ale tak się składa, że tymczasem to jedyny sposób; nie mam domku na wsi, gdzie mógłbym się zamknąć w spokoju. Poza tym mam świadomość niebezpieczeństw czyhających w przyszłości... Nawet jeśli moja książka zostanie przyjęta, tempo w sprawach wydawniczych w przypadku nieznanego autora jest żółwie. Zanim rzecz ukaże się drukiem, minie sześć do ośmiu miesięcy. I nawet jeśli książka jest dobra, pieniądze są z tego nieduże. Takie

debiuty, które trafiają od razu na listy bestsellerów, należą do absolutnych wyjątków. Mam więc dwie drogi wyjścia. Albo zostaję u Henry'ego i piszę na boku, w wolnym czasie, albo muszę poszukać sobie jakiejś bogatej starszej pani, która mnie będzie subsydiować.

- Nie jestem ani stara, ani bogata, ale mam trochę pieniędzy i mogę przecież dalej pracować.

Przeczesał jej włosy palcami; obserwował, jak wysuwają mu się z dłoni, ciężkie i jedwabiste.

- Nawet przy twojej wspaniałej pensji u Henry'ego i moich oszczędnościach nie bylibyśmy w stanie utrzymać tego mieszkania.

- Ale mówiłam ci przecież, że mam pieniądze i mogę pracować. Mam pięć tysięcy dolarów, które zostawił mi ojciec, i właśnie odziedziczyłam siedem tysięcy po ciotce. To razem jest dwanaście tysięcy, Lyon. Aż za dużo nawet.

Zagwizdał pod nosem.

- Dobry Boże, to dopiero dziewczkę sobie znalazłem! - Pocałował ją ciepło. - Anno, jestem naprawdę wzruszony. Ale nic dobrego by z tego nie wyszło. W tej chwili nie jestem pewien, czy w ogóle umiem pisać. Nie mam pewności, że będzie to dobra książka. Przypuszczam, że nawet w tej chwili z pół miliona byłych żołnierzy siedzi przy maszynach i tłucze bez opamiętania osobiste wspomnienia wydarzeń w Normandii, na Okinawie czy przeżycia z nalotów na Londyn. I każdy z nas, naprawdę, ma coś do powiedzenia. Chodzi tylko o to, kto zrobi to pierwszy i kto to zrobi najlepiej.

- Jestem pewna, że ty zrobisz to świetnie - powiedziała z mocą. - Po prostu wiem, i już.

- A zatem wiesz więcej ode mnie. To zresztą jest wspaniałe, jesteś taka oddana... Kocham cię za to.

- Lyon, a czy jak napiszesz już tę swoją książkę, to się ze mną ożenisz?

- Z największą chęcią, jeśli książka okaże się coś warta. Milczała przez chwilę.

- Ale sam mówiłeś, że nawet dobra książka nie zawsze przynosi pieniądze.

- Nie mówiłem, że pieniądze są w tym wypadku jedynym barometrem. Jeśli książka będzie dobra i nie przyniesie nawet grosza, i tak będę pisał. Będę pracował nawet z większym zapałem, bo będę wiedział, że to jest coś więcej niż tylko moje marzenie. I jakoś damy



sobie radę. Ale jeżeli się okaże, że cała ta moja pisanina jest zupełnie do kitu i żaden wydawca nie jest nią zainteresowany, ze wzmożonymi siłami rzucę się w wir pracy u Henry'ego. Wyciągnę na światło dzienne starego Lyona Burke i zacznę nadrabiać stracony czas. Tylko nic wiem, czy będzie ci na mnie jeszcze zależało.

- A jaki był ten dawny Lyon Burke? Zamyślił się na chwilę.

- Dawny Lyon Burke? Nie tracił ani jednej chwili, ani jednej okazji. Tak, to chyba najlepiej podsumowuje tamten okres. Wszystko miałem zawsze dobrze zaplanowane. Nawet to... - Pogładził jej pierś.

Znów przypomniała sobie piskliwy głos Helen. A zatem to prawda! Dawny Lyon mógł całkiem spokojnie romansować z Helen. Praktycznie przyznał się do tego.

Wziął ją w ramiona.

- Ale tamten Lyon Burke zginął podczas akcji. A może umarł tej nocy, kiedy pewien chłopiec opowiadał mu o drzewkach brzoskwińowych? Jeżeli tak, to być może nie zmarnował ostatniego roku?

Otoczyła go ramionami.

- Nie mógłbyś wrócić do tamtych czasów, skoro teraz tak o tym mówisz. Jeśli ta książka się nie uda, usiądziesz nad następną, a potem następną. Jesteś teraz taki, jaki jesteś, i tego nic nie zmieni. Jeśli chcesz zostać u Henry'ego i pisać, zaczekam. Mogę czekać i do końca świata, żebyś miał nawet pisać setki książek. Po prostu chcę być z tobą.

- Nie jestem pewien, czy to taka frajda być nowym Lyonem Burke. Ale lepsze to niż zostać Henrym Bellamy. A wszystko wskazywało na to, że tak właśnie skończę. Na dobrą sprawę byłbym potężniejszy od Henry'ego, bo nie jestem tak dobry jak on. Henry się waha, odpuszcza pewne rzeczy, bo komuś współczuje, na kimś mu zależy. Ja dążę wprost do celu. Byłbym takim Henrym do potęgi. Odniósłbym wielki sukces zawodowy i wielką porażkę w życiu osobistym.

- Tak właśnie go widzisz?

- Henry przez trzydzieści lat walczył o to, żeby się znaleźć tam, gdzie jest, żeby się dostać na szczyt. Tak to się chyba nazywa, co? Co za głupie słowo. On to nazywa swoim Mount Everest. I tam właśnie siedzi, od strony zawodowej i finansowej. Tylko jak wygląda jego życie prywatne? Gdyby ktoś chciał napisać o nim notatkę do „Who is

Who", mógłby nasmarować kilka akapitów na temat jego osiągnięć zawodowych na niwie teatru i inwestycji finansowych, natomiast wiadomości o życiu prywatnym zmieściłyby się w jednej linijce: Henry Bellamy, stanu wolnego, nie ma żyjących krewnych. Mówiąc pokrótce, poza życiem zawodowym Henry po prostu nie istnieje. Jest sam na szczycie Everestu.

- Wkładasz mi argumenty do ręki, Lyon. Henry zbyt długo zwlekał z założeniem rodziny. Ty robisz dokładnie to samo.

- Nie. Bo na czubku Everestu rodzina nie ma najmniejszego znaczenia. Jest trochę takich Henrych na tej ziemi, którzy, owszem, żenią się i mają dzieci, ale ich życie prywatne wygląda dokładnie tak samo. Wyobraźmy sobie, że Henry się jednak ożenił. Z jakąś miłą dziewczyną, spoza branży. Teraz ich dzieci pewnie założyłyby już swoje rodziny i zajmowały się swoimi dziećmi. Żona spędzałaby zimę na Florydzie. Już od lat przestałaby mu wiercić dziurę w brzuchu, że za późno wraca do domu, i do tej pory nauczyłaby się już żyć bez jego towarzystwa, którego nie miałyby zresztą od początku. Poprzestałaby na tych wszystkich miłych rzeczach, które wynikają z jego pozycji i jego oddania dla niej. Zadowoliliby się dużym luksusowym apartamentem albo domkiem w mieście, futrami i życiem na wysokim poziomie. Jest wielu takich mężczyzn, którzy się żenią, a i tak na szczyt trafiają całkiem sami. Muszą być sami, bo po drodze wyobcowują się, niestety, dość gruntownie. W tym wyścigu trzeba się dobrze utylać w błocie, nakłamać, naoszukiwać i wykorzystać każdą sztuczkę, żeby trafić tam, gdzie dzisiaj jest Henry. Taki interes po prostu tego wymaga. I przeciwko temu właśnie się buntuję. Nie przeciwko Henry'emu, tylko przeciwko temu, kim każdy, który siedzi w tym odpowiednio długo, z czasem musi się stać.

Jakiś czas milczeli oboje. Lyon przerwał ciszę.

- Przykro mi, że tak ci to przedstawiłem.

- Nie szkodzi. Teraz cię lepiej rozumiem. Tylko jedno mnie martwi...

Spojrzał na nią z czułością.

- Co?

- Kiedy się ze mną ożenisz?

Wybuchnął głośnym śmiechem. Zastanawiała się, czy Lyon zdaje sobie sprawę z tego, jak pięknie wygląda, kiedy się śmieje. Nigdy nie

widziała, żeby ktoś śmiał się w ten sposób - żeby odrzucał głowę w tył i całkowicie dał się ponieść. Było w tym coś cudownego.

- Coś ci powiem... Będiesz moją pierwszą recenzentką i sama zadecydujesz.

Przywarła do niego.

- Powinam już spać - szepnęła. - Tyle rzeczy czeka mnie jutro.

- No tak, rozprawa w sądzie.

- Mhm... Lyon... masz zapasowy klucz do mieszkania? Przytulił ją mocniej.

- Dorobię. A więc jednak się wprowadzasz?

- Nie, ale jutro z samego rana wprowadzę ci tu maszynę do pisania i ryzy papieru. Nowiusieńką, lśniącą maszynę. To będzie mój prezent przedślubny dla ciebie.

- Przyjmę go, ale pod jednym warunkiem. Razem z tym prezentem i ty się tu wprowadzisz.

- Nie. Będę cię odwiedzać i zostawać z tobą jak dziś, kiedy tylko zechcesz. Będę przyjeżdżać do ciebie na weekendy i przepisywać to, co będziesz już miał napisane na brudno. Ale nie będę z tobą żyć. Będę żyć dla ciebie. Będę na ciebie czekać.

Pocałował ją w czoło.

- Jako prawnik muszę ci uświadomić, że jest to dla ciebie mało korzystny układ. Ale jako kochanek mogę ci obiecać, że ze wszystkich sił postaram się ciebie nie zawieść.

Rozprawa w sądzie trwała kilka minut. Wszystkie obawy Anny pierzchły natychmiast, kiedy się zorientowała, jak pobieżna i sucha jest cała procedura prawna. Henry podał sędziemu dokumenty. Sędzia udawał, że czyta. Potem zadał kilka pytań. Jennifer wyrecytowała przeciwzoną kwestię, Anna dołączyła swoje kilka groszy. I w ciągu niespełna dziesięciu minut Jennifer trzymała w garści dokumenty anulujące jej małżeństwo.

Henry zabrał je obie na lunch. Zjadł szybko.

- Czeka na mnie robota - wyjaśnił. - Ale wy dwie posiedźcie sobie jeszcze i pogadajcie o dzisiejszych przeżyciach. Anno, możesz nie wracać już dzisiaj do biura.

Kiedy Henry zniknął, Jennifer odwróciła się do Anny.

- Opowiedz mi teraz, jak to było z tobą i Lyonem - poprosiła. Anna opowiedziała jej wszystko po kolei. Zaskoczyła ją łatwość, z

jaką zwierzała się Jennifer. Było w tej dziewczynie coś, co budziło zaufanie.

Jennifer potrząsnęła głową.

- Twarda sztuka. Nigdy nie będziesz w stanie w pełni go kontrolować.

- Ależ ja wcale nie chcę kontrolować Lyona!

- Nie to miałam na myśli. Mężczyzna musi czuć, że gra pierwsze skrzypce, ale tak długo, jak długo panujesz nad sobą, panujesz też nad nim. Zmuś go, żeby ci włożył na palec pierścionek, a potem sobie bądź jego niewolnicą, jeśli tak bardzo chcesz.

Anna spojrzała na swoją nagą dłoń.

- Pierścionek nie jest taki ważny. Mam największy pierścionek, jaki można mieć, złożony w depozycie.

Jennifer przyjrzała się jej z szacunkiem.

- Chcesz powiedzieć, że pozbyłaś się Allena, nie zwracając mu tego pierścionka?

- Nie chciał go wcale. Jennifer potrząsnęła głową.

- Musisz naprawdę być rewelacyjna w łóżku... A mnie się wydawało, że w tych sprawach jestem prawdziwą ekspertką.

- Nie byłam z nim wcale w łóżku.

Przez chwilę Jennifer nie mogła wydusić z siebie słowa. W końcu uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- I to właśnie było takie inne. Byłaś dla niego trudną zdobyczą, wyzwaniem.

- Obawiam się, że dla Lyona nie jestem niczym takim.

- Trzymam za ciebie kciuki. Przynajmniej jedną rzecz rozegrałaś rozsądnie. Postanowiłaś z nim nie mieszkać na stałe. Ja też odmówiłam Tony'emu Polarowi. Chciał, żebym rzuciła pracę i towarzyszyła mu w podróżach. Ani słowem nie wspomniał o małżeństwie. Ale nie jestem markietanką. A skoro już o tym mowa, jak duże jest twoje mieszkanko?

- To tylko jeden pokój. Mieszkam w takiej kamienicy z pokojami do wynajęcia. Tam gdzie Neely.

- Nie mam się gdzie zatrzymać, kiedy ściągniemy już do Nowego Jorku - powiedziała Jennifer. - Byłoby fajnie, gdybyśmy mogły coś znaleźć i zamieszkać razem.

- Tak, byłoby rzeczywiście świetnie, ale obawiam się, że nie stać mnie na opłatę nawet połowy normalnego czynszu.

- Wiesz co? - Oczy Jennifer rozbliły. - Mam doskonały pomysł! Mówisz, że Neely też ma tylko pokój. A gdybyśmy tak we trzy wynajęły mieszkanie? Byłoby nas na to stać!

- Podoba mi się ten pomysł - odparła Anna.

- Zjeżdżamy tu za trzy tygodnie. Może wykombinujesz coś do tego czasu?

- Rozejrzę się, tyle że z mieszkaniami jest w tej chwili bardzo ciężko. Dla Lyona znalazłam od razu, ale pomógł mi Allen.

Jennifer zmrużyła niebieskie oczy.

- Anno, co masz zamiar zrobić z tym pierścieniem? Anna wzruszyła ramionami.

- Zostawię go w depozycie. Nie mam najmniejszej ochoty go nosić.

- Zostawisz go i na tym koniec? Przecież mógłby ci przynosić pieniądze.

- Jak?

- Sprzedaj go i zainwestuj gotówkę.

- Ale on przecież tak naprawdę wcale nie jest mój.

- Chciałaś go oddać, a Allen go nie przyjął. Teraz jest już twój. I zapracowałaś na niego. Za każdym razem, kiedy musisz znieść towarzystwo mężczyzny, którego nie możesz znieść, powinnaś coś dostać w ramach rekompensaty. Sprzedaj go.

Anna pomyślała o Lyonie. Może Jennifer ma rację? Pod koniec roku, jeśli książka nie okaże się zbyt dobra, a ona będzie miała jakieś istotne pieniądze...

- Może masz rację. Mogłabym sprzedać pierścionek, odłożyć pieniądze na konto i czekać na procenty.

- Nic podobnego! - zaprotestowała Jennifer. - Sprzedaj pierścionek i poproś Henry'ego Bellamy, żeby zainwestował tę forszę w akcje. W ciągu kilku lat podwoisz kapitał. Po wojnie na rynku zawsze jest jakaś hossą.

- Czy to nie nazbyt ryzykowne?

- Już nie. A zwłaszcza jeśli powierzysz to Henry'emu. Od niego wiem, że rynek teraz rozkwitnie. Żałuję, że sama nie mam pieniędzy. Nie mam nawet złamanego grosza. Mam tylko tyle, co na grzbiecie, i gażę za występy. Ale jak tylko dorwę się do jakiejś większej gotówki, natychmiast oddam wszystko w ręce Henry'ego.

JENNIFER

Grudzień, 1945

Pod samo niebo miało trzy przedstawienia w Filadelfii. Henry dobrze to przewidział. Mogli dzięki temu zrezygnować z Bostonu i zjechać ze spektaklem do Nowego Jorku wcześniej, niż planowali. Zespół kipiał entuzjazmem - wszyscy żyli w przekonaniu, że mają prawdziwy przebój - ale napięcie wśród nich było duże - nie sposób przewidzieć, jak zachowają się nowojorscy krytycy; nie można spocząć na laurach.

Ta przedpremierowa histeria nie robiła jakoś wrażenia na Jennifer. Występy w Filadelfii okazały się dla niej niezwykle korzystne. Stała teraz w hotelowym holu i uśmiechała się czarująco do pewnego bardzo napalonego filadelfijskiego prawnika, który nalegał na ostatni kieliszek przed snem.

- Jest już trzecia nad ranem - tłumaczyła cierpliwie. - Muszę się trochę wyspać.

- Możesz spać jutro cały dzień. No chodź... Znam wspaniały klub nocny. Niedaleko stąd.

- Zimno. I naprawdę chciałabym się już wreszcie położyć. Poza tym nie piję. Mam uczucie, że jeśli wleję w siebie jeszcze jedną Coca - Colę, to zwyczajnie eksploduję.

- Jak to zimno? Masz przecież futro. - Spojrzał znacząco na ciepłe okrycie z bobrowych skór.

Poklepała je z czułością.

- Bardzo ci jestem za nie wdzięczna. Jesteś taki kochany... Są naprawdę cieplejsze od moich norek. Ale wierz mi, że muszę się przespać.

- Weź mnie ze sobą na górę - prosił.

- Byliśmy razem zeszłej nocy, Robby.

- Wyznajesz zasadę, że nie może być dwóch nocy pod rząd?

- Tak. Nie wtedy, kiedy pracuję. Wpadnij do mnie jutro. - Uśmiechnęła się obiecująco.

- O której?

- Koło szóstej. Pójdziemy na kolację przed występem.

- A potem...?

- I potem też. - Skinęła głową. Posłała mu całusa i weszła do windy.

Pod drzwiami pokoju czekały na nią wiadomości. Jedna od jakiegoś krytyka. Na dwóch karteczkach znalazła informację, że ktoś

w Cleveland czeka na jej telefon. Podano numer, pod który ma zadzwonić. Centrala telefoniczna 24. No cóż, na dzwonicie do matki było już chyba za późno. Spojrzała, jaką godzinę zapisano w drugiej notatce. Telefon z Cleveland odebrano o wpół do drugiej. Nawet matka nie ma tyle cierpliwości, żeby o tej porze czekać jeszcze na wiadomość. Wśród karteluszek znalazła też informację od Anny: podpisała już umowę na wynajem mieszkania i wszystko grało. To cudowna dziewczyna. Jennifer zazdrościła swej nowej przyjaciółce uczucia, jakim obdarzała Lyona. To musi być cudowne przeżywać coś takiego! Choć z drugiej strony, gdy się jest tak zaangażowanym, nie ma już miejsca na nic innego. Pogładziła futro z bobrów - jedna noc z Robbym... Po to właśnie kobieta ma tak wspaniałe ciało - żeby dostać to, czego dusza zapagnie. Przez chwilę się zastanawiała, jak by to było, gdyby naprawdę jej na kimś zależało, gdyby pokochała kogoś takiego jak Lyon Burke. Lyona nietrudno kochać... Tak sobie pomyślała, kiedy spotkała go pierwszy raz.

Wpadniemy na premierę Tony'ego Polara - powiedział wtedy Henry. - Musisz się pokazywać, żeby o tobie pisano. Załatwiłem ci towarzystwo Lyona Burke. Ja biorę Helen.

Nie była przygotowana na spotkanie z kimś takim jak on. Poczula ogarniającą ją falę podniecenia, gdy zobaczyła Lyona - mężczyznę, którego od razu zapagnęła. Nie chciała od niego nic poza przyjemnością. Chciała go mieć tamtego wieczoru, ale na horyzoncie zjawiał się Tony Polar. Trzeba było podjąć szybką decyzję. Tony stał w świetle jupiterów; śpiewał dla niej. Wszyscy wokół gapili się na nią. Promieniała przylepionym do twarzy uśmiechem. Czula nieodparty magnetyzm Lyona, ale rozumiała też dobrze, że Tony Polar publicznie, na oczach wszystkich, wyciąga do niej ramiona. Jako reprezentant płci przeciwnej Tony nie mógł się równać z Lyonem. Na pierwszy rzut oka mieli mniej więcej tyle samo lat - faceci w okolicach trzydziestki. Ale jeden z nich na zawsze miał pozostać chłopcem, podczas gdy drugi od dawna był mężczyzną. Tyle że Lyon był tylko agentem, gdy tymczasem Tony najprawdziwszą gwiazdą. To zadecydowało. Jakie to proste...

Zaczęła się rozbierać, niedbale rzucając ubranie na krzesło. Może pozwoli Robby'emu zostać jutro na noc? Przydałaby się nowa suknia wieczorowa. Zmarszczyła nos. Robby - tak mało pociągający i tak głośno sapie... Ale naprawdę potrzebowała kilku nowych ciuchów, a



mężczyźni tacy jak on zawsze bywają hojni. Muszą być hojni. A Lyon Burke... Nie, Lyon jest luksusem, na który w żadnym wypadku nie może sobie pozwolić. Jakiś nieznanymi mechanizm zaskoczył w jej mózgu i eliminując niepraktyczne posunięcia z precyzją komputera IBM zadziałał jak blokada nerwów - zamroził emocje, w chwili kiedy mogłyby niepotrzebnie skomplikować decyzję.

Nie zawsze tak to wyglądało. Z początku uczucia nie dawały się tak łatwo tłumić. Ale to było dawno temu. Teraz podejmowała decyzje odruchowo. Znów pomyślała o Lyonie. Szkoda... Trafiło w niedobry moment. Tamtego wieczoru musiała wybrać między nim a Tonym; wynik został z góry przesądzony.

Lyon jakby rozumiał. Nagle uderzyła ją myśl - jesteśmy do siebie podobni. Jasne, to jest odpowiedź! Ona też była dla niego luksusem, na który nie mógł sobie w żadnym razie pozwolić. Ale Anna... Anna nie pasuje do tego obrazu. Przyszło jej do głowy zupełnie nowe wytłumaczenie. Może po prostu nie podobam się Lyonowi? - myślała. Nie, to niemożliwe. Przecież podobam się wszystkim mężczyznom. Upuściła biustonosz i figi na podłogę i stanęła przed dużym lustrem. Oglądała swoje ciało z ciekawością badacza. Było wprost doskonałe. Odwrócona bokiem, przyglądała się rysunkowi piersi. Sterczały równie sprężyste jak zawsze. Zgięła ręce w łokciach i odruchowo, bezmyślnie zaczęła wykonywać codzienną porcję dwudziestu pięciu ćwiczeń ujędrniających biust. Otworzyła apteczkę w łazience i wyjęła z niej duży słoik z masłem kakaowym. Z niemal chirurgiczną precyzją wsmarowała masło w piersi łagodnymi, ale zdecydowanymi ruchami od dołu do góry. Potem, równie starannie, zmyła śmietanką makijaż. Kiedy już oczyściła twarz, nałożyła krem pod oczy. Wyjęła plaster w kształcie litery „V” i przykleiła go u nasady nosa. Zrobiła następne dwadzieścia pięć ćwiczeń na biust i włożyła nocną koszulę.

Spojrzała na budzik. O Boże, dochodziła czwarta, a jej się w ogóle nie chciało spać! O której włączają ogrzewanie w tym cholernym hotelu? W pokoju było lodowato. Weszła pod kołdrę i zerknęła na poranne gazety. Znalazła w nich dwa swoje zdjęcia. Na jednym z nich ujrzała się w towarzystwie Tony'ego. Tony! Już by ją dawno poprosił o rękę, gdyby nie ta jego siostrunia! Zmarszczyła nos na wspomnienie Miriam. Przeciwnie, plaster ukłuł ją ostrzegawczo. Natychmiast wygładziła twarz. I co można zrobić z taką Miriam? Nigdy jej nie przeskoczą. Gdyby Tony nie był tak

napalony, w ogóle nie miałyby okazji, żeby z nim być sam na sam. No właśnie. Jak się tak dobrze zastanowić, to tylko wtedy, kiedy szli do łóżka udawało im się jakoś pozbyć Miriam.

Telefon zadzwonił cicho, jakby w obawie, że może kogoś o tej porze zbudzić. Pełna nadziei podniosła słuchawkę. Czasami Tony też nie spał aż do świtu. Usłyszała głos telefonistki z Cleveland. Westchnęła i przyjęła rozmowę na swój rachunek.

- Jen... - w słuchawce rozległ się słaby głos matki. - Całą noc próbuję się do ciebie dodzwonić.

- Dopiero co wróciłam, mamó. Myślałam, że już za późno, żeby do ciebie telefonować.

- Jak mogłabym spać? Jestem taka zdenerwowana! W naszych gazetach wysmarowali o tobie olbrzymi artykuł. Przeczytałam, że po rozwodzie nie dostałaś od księcia ani centa.

- Bo nie dostałam.

- Jen, czyś ty oszalała? Przecież wiesz, że za rok John przechodzi na emeryturę. Nie utrzymamy się z tych jego marnych groszy. Już teraz trudno związać koniec z końcem.

- W zeszłym tygodniu wysłałam ci pięćdziesiąt dolarów, mamó. Wyślę ci kolejne pięćdziesiąt, jak tylko dostanę gażę za ten tydzień.

- Wiem, ale babcia chorowała. Musiałam zawieźć ją do lekarza, a potem piec olejowy zaczął nam przeciekać i...

- Zobaczą. Może uda mi się podesłać ci coś więcej. - Znowu pomyślała o Robbym. - Ale w tym przedstawieniu dostają tylko sto dwadzieścia pięć tygodniowo i od tego odtrącają mi jeszcze podatek i składkę ubezpieczeniową.

- Jen, nie po to głodowałam, żebyś po szkole w Szwajcarii skończyła jako girlaska i zarabiała takie marne grosze.

- Nigdy nie głodowałam, mamó. Do szkoły wyjechałam za pieniądze, które mi zostawił tata. Zresztą wysłałaś mnie tam tylko po to, żeby rozdzielić nas z Harrym.

- Bo nie chciałam dopuścić do tego, żebyś jak ta biedna Jeannette Johnson wylądowała u boku jakiegoś mechanika ze stacji benzynowej albo z warsztatu!

- Harry nie był byle jakim mechanikiem. Studiował, żeby zostać inżynierem, i go kochałam.

- Hm, w każdym razie nadal jest tylko jakimś mechanikiem, ma czarne paznokcie i trójkę brudnych dzieciaków. Harriet Irons należała

kiedyś do najładniejszych dziewcząt w okolicy. Jest w twoim wieku, ale wyszła za niego i dzisiaj wygląda, jakby miała czterdziestkę.

- Mamo, jak ma dwadzieścia pięć lat, to nie może wyglądać na czterdziestkę!

- Kiedy dziewczyna nie ma pieniędzy i wychodzi za mąż z miłości, zaczyna się starzeć w galopującym tempie. Miłość nie trwa wiecznie. Mężczyznom chodzi tylko o jedno. Przypomnij sobie ojca!

- Mamo, to jest rozmowa międzymiastowa - odparła Jennifer znużonym głosem. - Chyba nie dzwonisz do mnie po to, żeby narzekać na tatę. Poza tym John jest dla ciebie wspaniałym mężem. Nie pamiętam taty, ale na pewno nie był tak dobry jak John.

- Twój ojciec był nicponiem. Bogatym, przystojnym nicponiem. Ale kochałam go. Nasza rodzina nigdy nie miała pieniędzy, mamy tylko nazwisko. Nie zapominaj, że twoja babcia jest z Tremontów z Virginii. I nadal uważam, że na scenie powinnaś nazywać się Tremont, a nie jakaś tam North.

- Przecież ustaliłyśmy, że powinnam przybrać sobie takie nazwisko, żeby nikt nie mógł wytropić mojego pochodzenia. Jeśli mam uchodzić za dziewiętnastolatkę, muszę się nazywać Jennifer North. Gdybym wybrała sobie Tremont na pseudonim sceniczny, ktoś w Virginii mógłby dojść, kim jestem. Jeślibym nazwała się Johnson, wszyscy w Cleveland by mnie pamiętali.

- Tak często piszą o tobie w gazetach, że i tak cię pamiętają. Całe miasto aż huczy o tobie od czasu, kiedy uciekłaś. W jednej z gazet ktoś nawet powątpiewał w twoje dziewiętnaście lat, ale wszyscy tak bardzo byli pod wrażeniem tej historii z księciem, że ta uwaga na szczęście przeszła bez echa. Dla mnie to też nie miało wtedy znaczenia, bo wiedziałam, że dobrze wyszłaś za mąż. A teraz ty to wszystko odrzucasz lekką ręką i wychodzisz z tego interesu goła jak święty turecki!

- Jak sądzisz, dlaczego odeszłam? Tuż przed naszym wyjazdem do Włoch odkryłam, że on nie śmierdzi groszem.

- Co ty mówisz? Sama widziałam fotografie w gazetach! Brylantowy naszyjnik, futro z norek...

- Naszyjnik jest własnością rodziny. Owszem, kupił mi futro, ale przypuszczam, że dostał je od kuśnierza za darmo, bo to reklama dla zakładu. Wynajmował całe piętro w Waldorf Astorii, tylko że rachunki płaciła za niego jakaś spółka produkująca wina, też z

powodów reklamowych. Tak, ma niepodważalny tytuł arystokratyczny - jest spokrewniony z królewskimi rodami - ale przy tym biedny jak mysz kościelna. Jego rodzina straciła cały majątek po przewrocie Mussoliniego. Zostało im jakieś okropne, wielkie zamczysko pod Neapolem. Mogłabym tam zamieszkać, obracając się w międzynarodowym towarzystwie, i z klejnotami rodowymi na szyi żyć w arystokratycznej biedzie. Miałam szczęście, że się szybko połąpałam, co w trawie piszczy. Mówił mi, że jest bogaty, bo pewnie sobie myślał, że piękna Amerykanka u boku będzie dla niego atutem. Po ślubie odkryłam gorzką prawdę. Potem zaczął mi opowiadać o pewnym włoskim kupcu win, którego miałam czarować. Bez żadnych ograniczeń, gdyby ten gość sobie tego zażyczył. Mamo, ten książę to w gruncie rzeczy tylko dobrze urodzony alfons! Udało mi się zatrzymać futro z norek.

- No a co z tym Tonym Polarem?

- Tony jest bardzo miły.

- Jen!

- Mamo, on jest naprawdę miły... Lubię go. I tak się składa, że ma kupę forsy. A, jeszcze jedno! Mój agent sądzi, że mogą mnie zatrudnić w filmie.

- Daj sobie spokój z filmem!

- Dlaczego? A może mi się uda?

- Za późno. Nie masz dziewiętnastu lat. Posłuchaj. I tak ci się udało, że masz śliczną twarz i figurę, za jaką faceci szaleją... Tylko pamiętaj, że to niestety szybko przemija. Co powiedziałaś temu Polarowi o swojej rodzinie?

- Wszystko dopracowałam, częściowo w oparciu o prawdziwe fakty. Powiedziałam mu, że mój tata był bogaty, i że zginął w czasie nalotów na Anglię. Że zostawił wszystko drugiej żonie...

- To akurat prawda. Co jeszcze?

- Że dostałam po nim nieduży spadek, tylko tyle, by skończyć szkołę w Szwajcarii. No i skoro mam mieć dziewiętnaście lat, to przemilczałam swój ponad pięcioletni pobyt w Europie.

- Co mówiłaś mu o mnie?

- Że nie żyjesz.

- Co?!

- Mamo, a niby co miałam mu powiedzieć? Że mam matkę, ojczyma i babkę mieszkających w Cleveland, którzy tylko czekają, żeby się do nas wprowadzić?

- Ale kiedy już wyjdiesz za niego, jak mu to wytłumaczysz?

- Będiesz moją cioteczka, ukochaną siostrą matki, której od lat pomagam finansowo.

- No dobrze. Pilnujesz wagi?

- Jestem bardzo szczupła.

- Wiem, ale pamiętaj, że nie możesz tyć, a potem chudnąć. Dla piersi to najgorsza rzecz. Taki duży biust jak twój szybko traci jędrność, opada i wygląda okropnie. Korzystaj z niego, póki jest jeszcze dobry. Mężczyźni to zwierzęta, oni na to lecą. Kto wie, może nie straciłabym twojego ojca, gdybym nie była taka płaska? Też żyłabym sobie wygodnie... - Zaczęła szlochać. - Och, Jen, nie zniosę tego dłużej. Chcę stąd wyjechać i zamieszkać z tobą!

- Zaraz, zaraz, mamo. Nie możesz zostawić Johna i babci.

- Dlaczego nie? Niech John mieszka sobie z babcią. Niech sobie zostanie z tą swoją zasmarkaną pracą! Dokąd zresztą miałby sobie pójść? Nigdy nie byłoby go stać na dom.

- Mamo! - Jennifer zacisnęła zęby i ze wszystkich sił starała się opanować. - Mamo, bardzo cię proszę. Poczekaj, aż wyjdę za Tony'ego, a potem się tobą zajmę.

- Mówił już o małżeństwie?

- Jeszcze nie...

- No to na co ty czekasz? Jen, za pięć lat będziesz miała trzydziestkę na karku! Ja miałam dwadzieścia dziewięć, kiedy znudziłam się twojemu ojcu. Jen, nie masz już dużo czasu.

- To nie takie proste, mamo. On ma siostrę. Siostra nim bardzo steruje, wypisuje za niego czeki. Ich matka zmarła po urodzeniu Tony'ego. Siostra go wychowała. Kocha go, a mnie nienawidzi.

- Jen, musisz być twarda. Pozbądź się jej. Zajmij jej miejsce. Nie możesz dopuścić do tego, żeby z wami mieszkała, kiedy weźmiecie ślub. To by ci zrujnowało życie. Poza tym nie zgodziłaby się na mój przyjazd. Kochanie, bądź mądra. Rusz głową. Jeśli kobieta ma pieniądze, nic nie jest jej straszne. Chcę tylko, żeby ci było jak najlepiej.

Grzejniki zaczynały szumieć, szparami w żaluzjach przenikało słońce. Jennifer nie zmrużyła oczu. Telefon od matki nie zdenerwował

jej zbyt. Przyzwyczała się już do takich rozmów. Bardziej martwiła ją bezsenność. Jednym ze sposobów na zachowanie urody był odpoczynek. Jednak nawet jeśli się nie spało, spokojne leżenie w łóżku dawało podobne rezultaty. Gdzieś to wyczytała. Zapaliła kolejnego papierosa. Ale co to za odpoczynek, jeśli się chodzi nerwowo po pokoju i przez noc wypala paczkę papierosów? Weszła do łazienki, żeby położyć pod oczy następną warstwę kremu. Nie miała zmarszczek - tylko jak długo jeszcze? Jakoś nie sypiała więcej niż trzy godziny na dobę, od... od ostatnich tygodni spędzonych w Hiszpanii. Westchnęła. Przedtem zawsze sypiała bardzo dobrze. Tak, naprawdę sen był jej ucieczką. Kiedy kłopoty piętrzyły się zastraszająco, czekała na noc jak na wybawienie. Tak działo się do tych ostatnich tygodni z Marią.

Maria... Maria była najpiękniejszą dziewczyną w szkole, a Jennifer wraz z innymi zagranicznymi uczennicami pierwszego oddziału patrzyła w tę hiszpańską piękność jak w obraz. Maria należała do uczennic kończących już szkołę i właściwie z nikim nie rozmawiała. Jeżeli nawet dostrzegała bałwochwalczą adorację młodszych koleżanek, nie dawała tego po sobie poznać; nie zawierała przyjaźni. To jej wywyższanie się robiło dodatkowe wrażenie na młodszych dziewczętach, a wśród jej rówieśnic budziło zazdrość i prowokowało plotki. Wszystko wskazywało na to, że Maria ukończy pensję i wyjedzie ze Szwajcarii, nie pozwalając żadnej z nich przełamać bariery królewskiego chłodu. Tak było do tego dnia w bibliotece...

Jennifer tonęła we łzach nad listem od matki. Skończyły się pieniądze - miała wrócić do domu po zakończeniu drugiego semestru. Czy nawiązała jakieś cenne kontakty? Cleveland nadal odczuwało skutki kryzysu, mimo że dzięki wojnie w Europie otwierano wciąż nowe fabryki. Harry poślubił Harriet Irons i ciągle pracował na stacji benzynowej. To właśnie wzmianka o Harrym spowodowała fontannę łez...

- Daj spokój, nie może być aż tak źle.

Jennifer oderwała wzrok od listu. Maria. Majestatyczna Maria przemówiła! Maria usiadła przy niej, Maria okazywała jej współczucie! Słuchała jej opowieści!

- Nie wiem, czego mama się spodziewała - kończyła Jennifer ze znużeniem. - Może miała nadzieję, że nauczyciel angielskiego okaże się lordem z olbrzymią posiadłością...

Maria parsknęła śmiechem.

- Rodzice... - Jej angielski był absolutnie bezbłędny, tyle że zabarwiony obcym akcentem. - Mam dwadzieścia dwa lata. Rodzice spodziewają się, że wyjdę za kogoś, kogo wybierze mi ojciec. Będzie to pewnie ktoś, czyja ziemia sąsiaduje z naszą, albo interesy są zbieżne z naszymi. Od czasów wojny domowej nasz kraj popadł w ruinę. Obowiązkiem nielicznych możliwych rodzin jest jednoczyć się jak najściślej. Rozumiem to i uważam, że to słuszne, ale niestety jestem również kobietą i jako kobieta będę zmuszona spać z jakąś wstrętną świnią...

- Kochałam Harry'ego - powiedziała Jennifer smutno. - Ale on nie podobał się mamie.

- Ile masz lat, Jeannette? - Od tamtej pory Jennifer została Jeannette

- Dziewiętnaście.

- Spałaś już z mężczyzną?

Jennifer zaczerwieniła się i wbiła wzrok w podłogę.

- Nie, ale z Harrym posunęliśmy się dość daleko... To znaczy pozwalałam mu się dotykać... a raz dotknęłam jego...

- Ja spałam - oznajmiła Maria.

- Tak do końca?

- Naturalnie. W czasie ostatnich wakacji. Pojechałam do ciotki do Szwecji i tam poznałam bardzo przystojnego mężczyznę. Należał do ekipy olimpijskiej. Pracował jako trener pływacki. Wiedziałam, spośród kogo ojciec wybierze mi męża. Byłby to albo tusty Szwab, który nawiał z Niemiec z cennymi dziełami sztuki, albo jeden z synów rodu Carillo. Wszyscy w rodzinie Carillo mają cofnięte dolne szczęki. Postanowiłam więc ten pierwszy raz przeżyć z przystojnym mężczyzną.

- Żałuję, że nie zrobiłam tego z Harrym. Teraz ożenił się już z kimś innym.

- Ciesz się, że tego nie zrobiłaś! To okropne! Mężczyzna ssie ci sutki... wpycha w ciebie ten swój interes. To boli. Potem poci się i sapie jak zwierzę. Krwawiłam i zaszłam w ciążę.

Jennifer nie wierzyła własnym uszom. Maria, ta nieprzenikniona bogini zrobiła z niej swoją powiernicę!

- Oren! - Maria wyrzuciła z siebie jego imię. - Zajął się wszystkim... Był lekarz, potem znów ból i żegnaj ciążo! Potem dostałam gorączki i bardzo chorowałam. Zabrano mnie do szpitala. Operacja... Nigdy nie będę miała dzieci.

- Och, Mario! Tak mi przykro... Maria uśmiechnęła się chytrze.

- Nie, teraz jest bardzo dobrze. Poczekam, aż ojciec omówi wszystko co trzeba, a potem sama powiem o tym temu wybrańcowi. Nikt nie zechce ożenić się z kobietą, która nie może rodzić. Dzięki temu nigdy nie będę musiała wyjść za mąż - oświadczyła z triumfem.

- Ale co na to powie ojciec?

- Och, o to już zatroszczyła się ciotka. Ona musiała znać prawdę. A ponieważ ponosi za mnie odpowiedzialność - w końcu miała się mną opiekować! - teraz mnie musi osłaniać. Powiem, że zachorowałam, że miałam guza macicy i trzeba było wszystko mi wyciąć.

- Naprawdę usunęli ci macicę?

Maria skinęła głową.

- Tak wdała się infekcja. Ale to przecież cudownie! Nie mam już tych okropnych miesiączek.

Jennifer chciała powiedzieć, że bardzo jej przykro, ale nie sposób okazywać współczucia osobie, która w tym całym zdarzeniu widziała szczęśliwe zrządzenie losu.

- Hm, przynajmniej wiesz, co będzie dalej. A ja muszę wrócić do Cleveland.

- Wcale nie musisz wracać - zaprotestowała Maria gorąco. - Jesteś zbyt piękna, żeby marnować życie dając się obracać w łóżku jakiemuś pierwszemu lepszemu prostakowi!

- A co innego mogę zrobić?

- Za dwa tygodnie mamy koniec roku. Pojedziesz ze mną do Hiszpanii na wakacje. Wymyślimy, co dalej.

- Mario! - To było zbyt piękne. - Ale ja nie mam pieniędzy, tylko bilet powrotny, to wszystko.

- Będiesz moim gościem. Mam więcej forsy, niż jestem w stanie wydać.

Ostatnie dwa tygodnie roku szkolnego stanowiły dla Jennifer jedno pasmo triumfu. Wiadomość rozeszła się po szkole lotem



błyskawicy - mała Jeannette Johnson została przyjaciółką Marii. Dziewczęta patrzyły na nią zazdrośnie. Maria nadal trzymała się od nich z daleka, chłodna i wyniosła. Nawet Jennifer nie okazywała względów - czasami tylko zatrzymywała się przy niej, żeby zamienić kilka słów, kiedy mijały się na korytarzu.

Z chwilą gdy wyjechały ze szkoły, stosunek Marii do Jennifer uległ nagłemu przeobrażeniu. Maria stała się ciepła i przyjacielska. Odmiana nastąpiła już w taksówce do Lozanny.

- Nie możemy tak od razu wyjechać do Hiszpanii. Tata przysłał telegram. - Wręczyła Jenny kartkę. Ojciec radził Marii, żeby lato spędziła w Szwajcarii. Hiszpania wciąż lizała rany po wojnie. Milion ludzi zginęło, kilkaset tysięcy zostało rannych. Nie sposób było obsadzić dom odpowiednią służbą, więc rodzina opuściła czasowo swoją posiadłość i zamieszkała w hotelu. Ale wszystko miało się niedługo zmienić. Tymczasem Marii lepiej będzie jednak zagranicą. Ojciec przesłał jej numer konta w szwajcarskim banku.

- Mamy mnóstwo pieniędzy - powiedziała Maria. - Możemy dwa razy objechać świat dookoła. Ale w Europie jest wojna, więc Francja nie wchodzi w grę. Tak samo jak Niemcy i Anglia.

- Pojedźmy do Ameryki - zaproponowała Jennifer. - Mogłybyśmy się wybrać do Nowego Jorku. Nigdy tam nie byłam.

- Jak? Nie jestem obywatelką amerykańską. To niemożliwe, kiedy w Europie trwa wojna. Tobie może się udać na statku Czerwonego Krzyża; jako obywatelka amerykańska miałabyś nawet pierwszeństwo, ale to i tak niebezpieczne. Są przecież miny i łodzie podwodne. Zresztą wcale nie mam ochoty na Nowy Jork. Zostaniemy na lato tutaj. Lada dzień Hitler wygra i wszystko się wreszcie skończy.

Jak się okazało, w Szwajcarii siedziały aż trzy lata.

Kochankami zostały pierwszej nocy. Choć propozycja zaskoczyła Jenny, nie wywołała w niej obrzydzenia. Prawdę mówiąc, odczuwała pewną ciekawość... Maria była przecież heroiną egzaltowanych panienek z pensji. Poza tym logiczna argumentacja Marii usuwała w cień wszelkie wątpliwości co do nienormalności takiej sytuacji.

- Lubimy się przecież. Chcę, żebyś wiedziała, co to seks, i przeżyła oszałamiające orgazmy. Nie chciałabym, żebyś musiała uczyć się tego w rękach brutalnego prostaka. Nie robimy w końcu nic złego. Nie jesteśmy lesbijkami, jak te okropne wariatki, które obcinają

włosy i chodzą w garniturach. Jesteśmy dwiema kobietami, które się uwielbiają i które potrafią być delikatne i czułe.

Tej nocy Maria rozebrała się i dumnie stanęła przed Jenny. Miała cudowne ciało, choć Jennifer odczuła drobną satysfakcję, że nie tak wspaniałe jak ona. Sama też nieśmiało zdjęła z siebie ubranie i upuściła je na podłogę. Kiedy obnażyła biust, usłyszała pełne zdumienia, zdławione westchnienie Marii.

- Jesteś cudowniejsza, niż sobie wymarzyłam - szepnęła. Zaczęła delikatnie, z czułością gładzić jej piersi. Schyliła głowę i przywarła do nich policzkiem. - Widzisz, kocham piękno twego ciała i szanuję je. Mężczyzna już by się w nie wdzierał przemocą. - Delikatnie przesunęła palcami po skórze przyjaciółki. Ku swemu zdumieniu, Jennifer odczuła falę podniecenia... Poczwała, jak dreszcz przenika ją całą.

- Chodź. - Maria ujęła ją za rękę. - Położymy się. Zapalimy sobie.

- Nie - zaprotestowała. - Dotykaj mnie jeszcze.

- Później będę cię dotykać i przytulać, ile tylko zechcesz, ale teraz zależy mi na tym, żebyś czuła się ze mną swobodnie. Będę delikatna...

Maria rzeczywiście była delikatna i bardzo cierpliwa. Co noc pozwalała sobie na śmielsze pieszczoty i powoli ucząc Jennifer swobodniejszych reakcji, eliminowała wszelki wstyd i zakłopotanie.

- Nie możesz się tylko dawać kochać. Musisz oddawać tę miłość pouczając. - Postaraj się, żebym tak samo drżała w twoich ramionach, jak ty drżysz w moich. - Co noc ją zachęcała, aż wreszcie Jennifer zaczęła odpowiadać na jej pieszczoty z równą namiętnością, osiągając przy tym stan takiej ekstazy, o jakiej nawet nie śniła, ba! nie podejrzewała, że w ogóle istnieje.

Ten związek z Marią sprawiał jej dużo radości. Nocami chętnie oddawała się miłości - ogarniało ją szalone podniecenie, żądała więcej i więcej. Ale za dnia widziała w Marii koleżankę. Nie czuła silnej więzi uczuciowej. Kiedy razem robiły zakupy, zwiedzały dziwne miasteczka, Maria była dla niej po prostu koleżanką. Niczym więcej. Często spotykały przystojnych mężczyzn - instruktorów narciarskich, studentów - i te spotkania okazywały się dla Jenny bardzo trudne. Maria z godnością opędzała się od męskich zalotów, ale niektórzy z chłopców wydawali się Jennifer, owszem, pociągający. Wiele razy w

tańcu, kiedy partner przytulał ją do siebie, gdy dotykał ją silnym, męskim ciałem, czuła wyraźne podniecenie. Kiedy chłopak szeptał jej ciche słówka do ucha, odczuwała przemożną chęć, by odwzajemnić mu się tym samym.

Kiedyś wymknęła się na krótki spacer z jakimś niezwykle przystojnym młodzieńcem z Panamy. Studiował medycynę i po wojnie wybierał się na dalsze nauki do Nowego Jorku. Wyraźnie jej pragnął. Całowali się i Jennifer stwierdziła, że sama wtula się w niego z całej siły, że na jego pocałunki odpowiada z namiętnością równą jego pasji. Co za cudowne uczucie obejmować silne ramiona mężczyzny, czuć jego tors przytulony do swoich piersi... dotyk mocnej męskiej dłoni po łagodnych mięśniach rąk Marii... twardość męskich warg. Desperacko pragnęła jego ciała, lecz oderwała się od chłopaka i wróciła do kawiarni. Maria zauważyła jej krótkie zniknięcie. Tamtej nocy, kiedy zostały same, miała miejsce drobna scena. Jennifer przysięgała, że musiała wyjść z kawiarni, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, bo rozboleła ją głowa. Wreszcie, kiedy trafiły do łóżka, Maria odpuściła...

Mimo to większość czasu spędzały w doskonałych nastrojach. Maria zupełnie nie liczyła się z pieniędzmi. Kupowała Jennifer wspaniałe ubrania. Jennifer nauczyła się jeździć na nartach. Po francusku mówiła płynnie i bez najmniejszego wysiłku. Kiedy zbrzydła im wreszcie Lozanna, przenieśli się do Genewy.

Po trzech latach ojciec Marii zażądał jej powrotu. Odmówiła. W końcu, w 1944 roku, zablokował jej konto w banku. Nie miała wyboru.

- Pojedziesz ze mną - oznajmiła Maria. - Ale musimy spieniężyć twój bilet do Ameryki. Bez tego nie będę miała na podróż dla dwóch osób.

Jennifer wiedziała, że składa w ofierze swój glejt do wolności. W ciągu ostatniego roku zmęczyła ją bardzo nieokiełznana namiętność Marii, ale Cleveland i rodzinny dom wydawały jej się jeszcze mniej zabawne. Ale miała przed sobą perspektywę pobytu w Hiszpanii! Mogła tam poznać jakiegoś przystojnego Hiszpana z dobrej rodziny. Miała dwadzieścia trzy lata, w zasadzie wciąż była dziewczyną, więc dlaczego nie?

W Hiszpanii została ponad rok. Spotkała tam wielu mężczyzn. Kilku z nich nawet pociągających, ale u boku ciągle miała Marię,

która nie spuszczała jej z oczu. Poza tym dwóm panienkom na wydaniu zawsze towarzyszyła jedna z ciotek Marii. Maria odrzucała wszelkie awanse ze strony mężczyzn i dobrze pilnowała, żeby przyjaciółka też trzymała się od nich jak najdalej. Z czasem Jennifer zaczęła wpadać w rozpacz. Dusił ją zaborczość Marii. Po raz pierwszy w życiu zrozumiała matczyne lęk przed biedą. Pieniądze kupują wolność; bez nich człowiek nie ma szans być wolny. W Hiszpanii mogła sobie żyć w luksusie i nosić piękne ubrania, ale stała się też własnością Marii. Gdyby miała wrócić do Cleveland, czekałby ją tam inny rodzaj zniewolenia - małżeństwo z pierwszym lepszym mężczyzną, który tak samo jak Maria chciałby wykorzystywać jej ciało. Jakkolwiek na to patrzeć, musi być czymś więźniem. Ale przecież na pewno istnieje sposób...

Zaczęły się bezsenne noce. Zaciskając zęby, znosiła pieszczoty Marii, odwzajemniała je z pasją, której już nie czuła, udawała, że śpi, aż wreszcie, uspokojona równym oddechem Marii, wstawiała i usiadłszy przy oknie - paląc papierosy - wpatrywała się w gwiazdy. I myślała...

Pieniądze. Musiała jakoś zorganizować pieniądze. Odpowiedzią na jej problemy było jej własne ciało. To ciało zapracuje na jej dobrobyt. Zaniósł ją w końcu daleko. Pojedzie więc do Nowego Jorku, przybierze nowe nazwisko, nie poda prawdziwego wieku... Może zostanie modelką. Jakoś na sobie zarobi. Już nigdy nie da się złapać w taki potrzask.

Kiedy Amerykanie zrzucili bombę atomową, w Hiszpanii zawrzało. Wszyscy chcieli poznać najnowsze wiadomości... Nawet Maria godzinami siedziała przy radiu, z przejęciem czekając na kolejne doniesienia. Jennifer wykorzystwała okazję i potajemnie wysłała list do matki, prosząc, by napisała, że jest ciężko chora, i żeby zażądała jej powrotu do domu.

Matka zachowała się wedle życzenia i Maria musiała ustąpić. Rozstały się przysięgając sobie wieczną miłość i oddanie, a Jennifer obiecała, że wróci, jak tylko mama dojdzie do siebie. Odczuła drobne wyrzuty sumienia, kiedy Maria wcisnęła jej do ręki książeczkę z czekami podróżnymi.

- Masz tu około trzech tysięcy dolarów. Postaraj się zaoszczędzić trochę, żebyś mogła kupić bilet na powrót do Hiszpanii, ale jeżeli ci zabraknie, po prostu wyślij telegram.

Żeby nie budzić najmniejszych podejrzeń, Jennifer zostawiła większość ubrań w Hiszpanii jako dowód na to, że planuje wrócić. Pojechała bezpośrednio do Nowego Jorku i zatrzymała się w hotelu dla komiwojażerów. Posłała do Cleveland pięćset dolarów wraz z prośbą o przesyłanie jej wszelkiej korespondencji z Hiszpanii, ale nakazała matce pod żadnym pozorem nie zdradzać jej nowego imienia i adresu. Z początku Maria pisała codziennie. Jennifer nie odpisała nawet na jeden list. Dziwnym trafem już pierwszego dnia w Nowym Jorku spotkała studenta medycyny z Panamy. Na szczęście pamiętał tylko, że ją kiedyś spotkał, i że bardzo mu się podobała. Bez mrugnięcia okiem połknął jej nowe nazwisko. Sypiała z nim co noc przez trzy tygodnie, a potem przedstawił ją księciu Mirallo...

Była siódma rano. Jennifer zgasła ostatniego papierosa. Musiała wreszcie zasnąć. Chciała dobrze wypaść przed Robbym. Jak wszystko pójdzie należycie, być może uda jej się zdobyć suknię wieczorową i pieniądze dla matki.

NEELY

Styczeń, 1946

Nowojorscy krytycy byli jednogłośni w zachwytach nad musicalem Pod samo niebo. Powszechna adoracja Helen Lawson sięgnęła nieznanych szczytów, a Neely miała kilka świetnych recenzji - co prawda żaden recenzent nie unosił się nad nią na tyle, by wywołać złość i wrogość Helen, ale pochwały przeszły najśmielsze oczekiwania Neely.

Nikogo nie zaskoczyło to bardziej niż ją. Jeden z krytyków nazwał ją największym talentem, jaki pojawił się na deskach w ciągu ostatnich kilku sezonów. Te pienia na jej cześć i nowo wynajęte mieszkanie natchnęły Neely wiarą w siebie - niemal uwierzyła, że naprawdę jest kimś.

Nie mogła nacieszyć się wygodami mieszkania. Anna załatwiła to wprost cudownie! Tej to się udawało! I jakoś zawsze dzięki Allenowi. Co prawda tym razem mieszkanie doszło do skutku nie tyle za sprawą Allena, ile jego ojca. Gino wystawił do wiatru swoją dziewczynę, niejaką Adele, która tak się tym wkurzyła, że spakowała manatki i podpisała kontrakt z hotelem Dorchester w Londynie, gdzie miała występować jako tancerka i piosenkarka. Anna wpadła na Adele przypadkowo, tuż przed jej wyjazdem, i przejęła po niej to wspaniałe mieszkanie. Neely nie mogła powstrzymać się od dotykania wszystkiego - narzuty na łóżku, lamp...

Nigdy nawet nie śniła, że zamieszka w pokoju z białym dywanem.

Naturalnie tylko wynajmowały to cudowne gniazdko. Trzeba je było zwrócić Adele pierwszego czerwca, po jej powrocie z Londynu. Ale do tego czasu Jennifer na pewno wyjdzie za Tony'ego, Anna może się już wydać za Lyona, a ona poślubi Mela. Zwłaszcza że nowy kontrakt Mela okazał się bardzo udany. Cóż to za wspaniały prezent pod choinkę! Johnny Mallon zaproponował mu dwutygodniowy okres próbny, w czasie którego Mel miał pisać scenariusze do programów radiowych. Jeśli się tam przyjmie, będą bogaci. Mel mówi, że scenarzyści radiowi zarabiają nawet do pięciuset dolarów tygodniowo. Albo nawet więcej. Mel zaczynałby od dwustu, ona też zarabia dwieście... Jak rany! Wszystko układa się świetnie!

Postanowiła kupić sobie trochę lepszych ciuchów. W końcu cały zespół już ze sto razy widział ją w tej sukni z czerwonej tafty. Rany koguta! Jennifer wróciła z Filadelfii z szafą pełną fenomenalnych

ubrań. Nic dziwnego, że wciąż nie ma pieniędzy. Co prawda Jennifer utrzymuje, że Tony Polar nie jest nazbyt hojny, ale co też właściwie ona mówi, skoro dał jej na Gwiazdkę taki wspaniały pierścionek z dużym niebieskim oczkiem? Jennifer powiedziała, że to tylko kryształ górski. Rany Julek, ona, Neely, ucieszyłaby się z takiego kryształu! No cóż, na początek kupi sobie zimowy płaszcz. U Ohrbacha zaczęła się wielka wyprzedaż.

Wraz z Melem zostali zaproszeni na przyjęcie sylwestrowe do Johnny'ego Mallona. Ale stary rok pożegnali w garderobie Helen.

- W życiu nie uda się wam wyjść z teatru tak szybko, żeby dotrzeć na przyjęcie przed północą - mówiła Helen, nalewając szampana.

Przyjęcie u Johnny'ego było znakomite. Neely pierwszy raz znalazła się na balu z tyloma sławnymi ludźmi. I wszyscy ją znali. To dopiero niespodzianka - wszyscy wiedzieli, kim ona jest! Nie mogła przestać o tym myśleć. A potem Johnny Mallon zwrócił się do Mela ze słowami: „Możesz się już uważać za stałego członka naszej radiowej ekipy”. O rany! To było naprawdę bombowe! Oho, musi przestać wiecznie powtarzać „O rany!” Niektórzy się śmiali, kiedy tak mówiła. Nie, zupełnie nie złośliwie. Myśleli, że tak się wygłupia. Może kiedy zacznie przebywać w towarzystwie kolegów Mela, ludzi z klasą, nauczy się jakichś eleganckich zwrotów. Za sceną nie słyszała nigdy nic poza słowami, których nie chciała powtarzać. A Mel tak pięknie się wyraża... bo Mel skończył college. O rany, taki chłopak po college'u, taki Mel, i zakochał się właśnie w niej!

Nigdy nie zapomni tego sylwestra. Mel powiedział, że on też nie. Wtuliła się w niego mocno, kiedy nad ranem dotarli do hotelu.

- Jestem taka szczęśliwa, Mel. Aż się boję.

- To jest dopiero wystrzałowy początek 1946 roku - powiedział, kiedy szykowali się do łóżka. - Ale wiesz co? Trochę mi dziś było szkoda Helen Lawson. Wydawała mi się taka samotna w tej swojej garderobie.

Neely zmarszczyła nos.

- Słuchaj, Helen przecież nigdy z nikim nie wychodzi. Dziś wieczór i tak miała szczęście, że ten pedalski projektant zabierał ją na bal. Jak rany, Mel, ten twój hotel to naprawdę straszna nora. Nic nie grzeją, a już prawie rano. Nas tam dogrzewają ciurkiem przez całą noc. - Weszła do łóżka i drżała mu w ramionach.



- No dobrze. Możemy się pobrać, kiedy tylko zechcesz. Znajdę nam jakieś przytulne mieszkanie.

Neely wtuliła się w niego mocniej i żeby się szybciej rozgrzać, opłótła nogami jego uda.

- Co ty na to, Neely? Słyszałaś, co powiedział Johnny. Jestem już stałym członkiem zespołu i będę zarabiał dwieście tygodniowo.

- Ja też.

- No więc pobierzmy się.

- Dobrze. Pierwszego czerwca.

- Po co czekać tak długo?

- Bo do tego czasu wynajęliśmy z dziewczynami mieszkanie. I tak musiałabym im płacić jedną trzecią komornego, gdybym wyprowadziła się wcześniej. Umówiliśmy się w ten sposób na wszelki wypadek, bo każda z nas jest praktycznie o krok od małżeństwa.

- Stać nas na to. Będziemy im płacić.

- Żartujesz? Miałabym płacić dwa czynsze?

- Neely, tak bardzo cię chcę. Zachichotała.

- Przecież mnie masz. No już... weź mnie teraz...

- Ale Neely...

- Pobierzmy się pierwszego czerwca. No dalej, Mel, kochaj mnie. Nie, nie tak. Nie włożyłam krążka. Zrób to inaczej... Proszę cię, Mel...

Luty, 1946

Anna i Jennifer oniemiały ze zdumienia patrzyły, jak Neely, bez najmniejszego zażenowania, komenderuje facetami od przeprowadzek i instruuje ich, gdzie mają wstawić olbrzymi fortepian.

- Dopiero co podpisałam umowę z agencją Johnsona i Harrisa - oznajmiła.

- A co się stało z Henrym? - zapytała Anna.

- No cóż, odbyliśmy wczoraj długą rozmowę. Powiedziałam mu, że zgłosił się do mnie agent od Johnsona i Harrisa i Henry od razu uwolnił mnie od zobowiązań. Nie jestem na tyle wielka, żeby sobie pozwolić na prywatnego menadżera, a muszę mieć za sobą naprawdę dużą agencję. I Henry przyznał mi rację. No i zobaczcie same, co się dzieje...

- Dali ci fortepian? - zapytała Jennifer.

- Nie, ale opłacają wypożyczenie sprzętu. Poza tym wepchnęli mnie do La Rouge. Premiera za trzy tygodnie.

- Ale przecież grasz już w rewii - zauważyła Anna.

- Będę robić jedno i drugie. W La Rouge będę mieć tylko recital o północy. I to za trzysta tygodniowo! No co? Prawda, że wspaniałe?

I wiecie, co jeszcze? Agencja załatwiła mi Zeke'a Whyte'a. Oni mu płacą! Zeke Whyte zajmie się aranżacją i oprawą artystyczną moich piosenek. A on pracuje tylko z wielkimi gwiazdami. Słyszał, jak śpiewam, i powiedział, że przy odrobinie pracy będę naprawdę wspaniała. Mówił, że jestem mieszaniną Judy Garland i Mary Martin.

- Uważaj tylko, żeby nie weszła w to jeszcze jakaś Helen Lawson, bo wszystkie trzy polecicie na bruk! - Jennifer mrugnęła do Anny.

- Czy to nie wspaniały fortepian? - cieszyła się Neely, przesuwając pieszczotliwie dłonią po spękanej lakierze Steinwaya. - Zeke uparł się, że musi być ten. Pokój od razu inaczej wygląda, prawda?

Jennifer skinęła głową.

- Jasne. Nabiera rozmachu. Zupełnie jak sala koncertowa. Dziecięca buzia Neely zasępiła się.

- O rany... Chyba nie będzie wam przeszkadzał, co?

- Nie - odpowiedziała Jennifer z uśmiechem. - Zastanawiam się tylko, gdzie wstawisz drążek do ćwiczeń baletowych? Bo to chyba następny krok, co Neely?

Anna wybuchnęła śmiechem.

- Niech sobie będzie taka ambitna, Jen. Miło mieć gwiazdę w rodzinie.

Neely spojrzała na przyjaciółki spod ściągniętych brwi.

- Robię to wyłącznie dla pieniędzy. W czerwcu, kiedy weźmiemy z Melem ślub, chcę mieć wystarczająco dużo oszczędności, żeby urządzić sobie gniazdko tak przytulne jak to.

- Jak Mel znajduje czas, żeby spłodzić coś dla Johnny'ego Mallona? - zapytała Jennifer. - Mam wrażenie, że całymi dniami pracuje dla ciebie jako rzecznik prasowy. W życiu nie widziałam, żeby o kimś pisano tyle, co o tobie.

- A niby dlaczego miałyby o mnie nie dbać? - oburzyła się Neely.  
- W końcu wszystko co robię, robię z myślą o naszej przyszłości.

- Naprawdę wcale nie myślisz o karierze? O tym, żeby zostać gwiazdą?

- A po co? Żeby kiedyś wylądować w Sylwestra z jakimś głupim pedałem? Jasne, po ślubie też będę pracować. Ale dla mnie na pierwszym miejscu będzie zawsze małżeństwo. A zresztą, kto to mówi? Przecież sama odrzuciłaś niedawno propozycję z Twentieth Century Fox z powodu Tony'ego!

Jennifer wzruszyła ramionami.

- To nie była dobra propozycja. Dostawałabym tylko sto pięćdziesiąt tygodniowo.

- Ale Henry uważał, że powinnaś ją przyjąć - upierała się Neely.  
- A gdyby dawali ci więcej, zgodziłabyś się wtedy?

- Może... Chyba tak. Ale ja nie mam talentu, Neely, a ty go masz.  
- Hm... Talent to i tak za mało. Hej, dziewczyny, posprzątajmy tu trochę. Zaraz przyjdzie Zeke.

- Przecież tu jest jak w pudełeczku - zaprotestowała Anna. Neely przebiegła po pokoju i opróżniła popielniczki.

- Jen, we wszystkich popielniczkach są twoje niedopałki. Zeke cieszy się, że nie palę. Mówi, że nawet dym w pokoju niszczy głos piosenkarza.

Jennifer uniosła brwi.

- Nie będzie można palić na twojej premierze?  
- Będzie można. Tylko dlaczego muszę teraz mieszkać w takim zatrutym mieszkaniu?

Zeke praktycznie przejął ich apartament równo na trzy tygodnie. Bez końca ćwiczył z Neely. Za każdym razem, kiedy Jennifer i Anne wracały do domu, zawsze go tam zastawały. Był po kobiecemu atrakcyjny, niezwykle muzykalny i przekonany o tym, jak ważną odgrywa rolę. Okazał się niezwykle wymagającym nauczycielem. Męczył Neely zupełnie bezlitośnie.

- Czego on ode mnie chce? - pytała wpadając we łzach do sypialni. - Nigdy w życiu nie otarłam się nawet o jedną lekcję śpiewu, i jak widać, nieźle sobie radzę. A on chce mnie nagle przerobić na jakąś Lily Pons. W dodatku w trzy tygodnie! Anno, idź i powiedz mu, żeby poszedł do diabła!

Wtedy w drzwiach stawał Zeke.

- No dobra, Neely... - mówił. - Czas na histerię minął. Wracamy do roboty.

- Nie mogę - szlochała. - Za dużo ode mnie wymagasz!

- Pewnie, że wymagam. Dlaczego masz być tylko dobra, skoro możesz być świetna?

Neely zawsze wracała do salonu. Gamy ciągnęły się w nieskończoność... Kolejny atak hysterii... Następne gamy... Wydawało się, że nie będzie temu końca.

Ale największa awantura wybuchła pod koniec drugiego tygodnia. Neely wbiegła do biura Bellamy'ego i Bellowsa.

- Gdzie on jest? - napadła na Annę.

- Kto taki?

- Henry! Chcę, żeby znów był moim agentem! Jest mi potrzebny! Musi przepędzić tego Zeke'a.

- Henry jest w NBC. O co tym razem chodzi?

- On chce, żebym spaliła wszystkie swoje ciuchy!

- Co?

- Słyszałaś. Żebym je spaliła! Powiedział, że nie da mi ich nawet nikomu podarować, bo takie są okropne. Mam je spalić razem z nowym płaszczem. - Pogłaskała czule kołnierz z rudego lisa. - Zapłaciłam za ten płaszcz u Ohrbacha całe siedemdziesiąt dolarów!

Anna powstrzymała uśmiech.

- Hm, jest może trochę za bardzo dorosły, jak na ciebie...

- Wiesz co? Całe życie znaszałam stare łachy po siostrze. Mam wreszcie prawo ubierać się, jak chcę!

- A w czym Zeke chciałby cię widzieć?

- Skąd mam wiedzieć? Mam się z nim później spotkać w salonie jakiegoś projektanta. Właśnie dlatego Henry jest mi potrzebny. Musi z nim porozmawiać, powiedzieć mu, że mam w końcu swoje prawa!

- Daj spokój, Neely. Możesz to załatwić bez Henry'ego. Sama mu to powiedz.

- Nie, nie chcę się z nim kłócić. Bo co będzie, jak się obrazi i umyje ode mnie ręce? Rany, Anno! Przecież on zrobił cuda z moim głosem! Czasem nie wierzę, że to ja śpiewam. I zajęło mu to ledwie dwa tygodnie! Wiesz, że chyba po raz pierwszy czuję, że mogę jednak być wielka? Wyciągam nuty, o jakich w ogóle mi się nie śniło, i wcale nie brakuje mi tchu. Ten facet jest po prostu genialny.

- To może ma też rację w sprawie ubrań, co? Neely westchnęła.

- Hm, pozwolę, żeby wybrał mi suknię na premierę. Ma być szyta na specjalne zamówienie, bo będę w niej trochę tańczyć i ruszać się po scenie. Ale w życiu nie zrezygnuję z nowego płaszcza z lisem...

Tydzień później przesłała płaszczyz siostrze, wraz z suknią z czerwonej tafty i sześcioma nowymi sukienkami, które kupiła sobie po premierze. Pod samo niebo. Zeke zmusił ją do kupienia nowej kreacji na pierwszy recital w La Rouge, dwóch sukienek z wełny do biegania po mieście na co dzień i wciętego granatowego płaszcza. Z niesmakiem przyglądała się swojej ogołoconej szafie. Nosiła na przemian raz jedną, raz drugą sukienkę - bała się w nich nawet jeść, bo wystarczyła jedna plama, a stan jej garderoby zmniejszyłby się od razu o połowę.

- Wyobraź sobie, musiałam dać za to sto dwadzieścia pięć dolców! - opowiadała Melowi, uważnie nakrywając serwetką niebieski wełniany materiał. Siedzieli u Sariego, gdzie od pewnego czasu zawsze czekał na nią stolik w najlepszej części sali, czemu Neely wciąż nie mogła się nadziwić.

- Elegancka, ale nie wygląda na to, że tyle za nią dałaś.

- Zeke mówi, że muszę stworzyć swój image i zawsze już tak wyglądać.

- I jaki to wizerunek ma tworzyć ta sukienka? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Co ty o tym sądzisz? Skończyłaś przecież college. Mel wgryzł się w kanapkę i w zamyśleniu oglądał sukienkę.

- Hm, z całą pewnością nie wyglądasz jak wschodząca gwiazda Broadwayu. - Wciąż przyglądał się jej w skupieniu. - Przypominasz w

tym raczej uczennicę. Tak, o właśnie. Może taką, która dopiero co skończyła jakąś modną, elegancką pensję...

- I to ma być dobrze?

- Nie wiem, kochanie. Uwielbiam cię we wszystkim. Nawet w tej straszliwej czerwonej sukni z czegoś tam.

- Mel! Nigdy mi nie mówiłeś, że nie podoba ci się ta tafta!

- Miałś ją na sobie, kiedy cię pierwszy raz spotkałem. Nie chciałem cię urazić.

- A co powiesz na mój czarny płaszcz z kołnierzem z rudego lisa?

- Hm, był dość banalny i... chyba cię postarzał.

- A ten zwykły granatowy płaszczyk nie jest już banalny?

- Nie wiem, kochanie, ale myślę, że jest ci w nim dobrze. Pedaly mają niezły gust.

- No dobrze, niech będzie. - Westchnęła i ostrożnie ugryzła kanapkę.

Marzec, 1946

Nikt nie był przygotowany na wrażenie, jakie wywołała premiera Neely w La Rouge. Anna przyszła z Lyonem i Henrym. Jennifer siedziała z Tonym Polarem, siostrą Tony'ego, jego tekściami i technicznymi po drugiej stronie sali przy dużym stole. Helen Lawson zjawiała się w towarzystwie asystenta kierownika sceny. Pomachała Henry'emu i ostentacyjnie zlekceważyła Annę.

Zaczął się jak to zwykle na premierze w nocnym klubie. Zjawili się dziennikarze, bo tego wymagał ich zawód. Zjawili się różni znani ludzie, bo chcieli pokazać się prasie. Nikt nie spodziewał się niczego szczególnego. Już nieraz tak bywało. Ot, kolejna nowa piosenkareczka dzięki rozgłosowi, jaki niesie ze sobą wzięte przedstawienie na Broadwayu, próbuje podreperować swój skromny budżet i urządza recital. Przyszli tu z uznaniem dla jej energii i ambicji, wychodzili pełni ochów i achów oraz uwielbienia.

Anna nie wierzyła własnym oczom i uszom. W czasie występu Neely napotkała wzrok Jennifer i obie wymieniły zdumione, pełne zachwytu spojrzenia. Henry Bellamy siedział w napięciu na krawędzi krzesła.

Neely była wprost fantastyczna. W świetle reflektorów jej dziecinna buźka wydawała się nieomal piękna, a dwuczęściowa sukienka - proste wdzianko do talii uszyte z białej satyny i krótka granatowa spódniczka - cudownie eksponowała jej wspaniałe nogi. Zaskoczona Anna nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że nigdy wcześniej nie zwróciła na nie uwagi. Tak samo jak nie doceniała idealnej figury Neely - jej wąskiej kibici i drobnych, dziewczęcych piersi.

- Gwiazda, która prześlizgnęła się nam przez palce - szepnął Henry. - Chryste, Lyon! Jak mogliśmy zgubić taką perłę?

Lyon potrząsnął głową.

- Jeśli już robimy błąd, to duży!

- Jest absolutnie wspaniała, prawda? - szepnęła Anna.

- „Wspaniała” nie jest najważniejszym słowem - odparł Lyon. - Jest niewiarygodna. Nie ma takiej drugiej.

W związku z ogólnym poruszeniem i zachwytem po premierze w mieszkaniu dziewcząt zapanował nieustający chaos. Telefon bez przerwy się urywał, a w saloniku odbywały się w kółko wywiady, sesje zdjęciowe i próby. Wszystkie rozgłoszenie zapraszały Neely do

gościnnego udziału w programach. Podpisała kontrakt z dużą wytwórnią płytową. Studio filmowe Metro Goldwyn Mayer złożyło swoją ofertę. Podobnie Twentieth Century Fox. A Helen Lawson przestała z Neely rozmawiać.

Dziewczyna czuła się strasznie.

- Pomyślcie tylko, jakbym była powietrzem! Jennifer uśmiechnęła się.

- To znaczy, że jesteś gwiazdą. Dla mnie jest nadal słodka.

- Chciałam występować w naszym spektaklu do końca przyszłego sezonu - tłumaczyła Neely. - Ale nie zrobię tego teraz. Gilbert Case zaproponował mi nowy kontrakt od pierwszego czerwca. Moje nazwisko miało być drukowane na afiszach większymi literami, a ja dostałabym podwyżkę o sto dolarów tygodniowo. Ale nie mogę. Nie mogę, kiedy ona tak mnie traktuje.

Anna parsknęła śmiechem.

- Daj spokój, Neely. Nie macie wspólnych scen. Chcesz tylko uspokoić własne sumienie, bo i tak postanowiłaś odejść pierwszego czerwca.

- Właściwie co ja zawdzięczam Case'owi? Gdyby nie ty, Anno, nigdy bym nie dostała tu pracy. I gdyby Helen nie bała się tak Terry King.

W końcu podpisała kontrakt z Century Productions.

- To mniejsze studio od innych - wyjaśniała. - Ale w agencji Johnsona i Harrisa uważają, że dla mnie w tej chwili najlepsze. W zeszłym roku dwa z ich filmów otrzymały nominacje do Oscara. Ściągają teraz wszystkie nowe gwiazdy i tam naprawdę o mnie zadbają.

Mel nie był uszczęśliwiony jej związkami z filmem.

- Ale to przecież cudowne - upierała się Neely. - Na Broadwayu zostanę do końca maja. Adele pisała, że wraca w połowie czerwca, więc i tak trzeba jej oddać mieszkanie...

- A co z Jennifer i Anną?

- Hm, Pod samo niebo nie zejdzie z afisza przez cały następny rok. Jennifer będzie występować, dopóki nie wyjdzie za Tony'ego, chociaż na razie jakoś nic nie wskazuje, żeby mieli się pobrać. Ciągłe się tylko umawiają na randki; wciąż nie ma mowy o małżeństwie.

- Pytam, gdzie będą mieszkać?



- Och, teraz jest znacznie łatwiej. Na jakiś czas mogą się nawet przenieść do hotelu Orwin. Mogą tam sobie za całkiem umiarkowaną cenę wynająć nawet apartament.

- A co będzie z nami?

- Pobierzemy się. Pierwszego czerwca, jak planowaliśmy. Mel się rozpromienił.

- Wiesz, już myślałem, że nigdy mnie nie poprosisz. Uścisnęła mu dłoń.

- A potem na miesiąc miodowy pojedziemy wprost do Kalifornii. Szef organizuje mi tam dom.

- Szef?

- Widzisz, z tego wszystkiego zapomniałam ci o nim powiedzieć - paplała Neely. - Był tu w zeszłym tygodniu. Cyril H. Bean. Ale nikt nigdy nie mówi do niego ani „panie Cyrilu”, ani „panie Bean”. On jest po prostu Szefem. Przemiały starszy pan koło pięćdziesiątki, pięknie opalony, siwy... Jest taki uprzejmy, właściwie nawet ojcowski.

Wynajmuje dla mnie dom w Hollywood za trzysta miesięcznie. Z basenem. Zakazał mi tylko wychodzenia na słońce, bo jego zdaniem i tak mam już dosyć piegów. Potem dodał, że jeśli wszystko pójdzie dobrze i nieźle się spiszę, dostanę dom na Beverly Hills.

- A co to za różnica?

- Skąd mogę wiedzieć? Może, jak to się mówi, teraz będę mieszkać po złej stronie ulicy? On tak dziwnie przeproszał, że to będzie w Hollywood... Udawałam, że wiem, o co chodzi. Ale wyobraź sobie, Mel, będziemy mieć dom z basenem!

- Neely... - Mel wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. - Wiesz, że cię kocham...

- I, Mel, posłuchaj tylko! Zaczynam od tysiąca tygodniowo! Pomyśl tylko, jaką kupę forsy będziemy wtedy mieli!

- Neely... Program Johnny'ego Mallona nadają z Nowego Jorku.

- Odpuść to sobie.

- Ot tak sobie? Pstryk i już?

- Mel, ty chyba oszalałeś! Zarabiasz tylko dwieście tygodniowo.

- Od przyszłego roku będę zarabiał trzysta.

- Ale ja dostanę tysiąc! I to nie licząc wpływów ze sprzedaży płyt. W agencji powiedzieli mi, że w przyszłym roku mogę liczyć na dwadzieścia pięć tysięcy tylko z samych nagrań. Tylko to sobie wyobraź!

- A co będzie ze mną? Całymi dniami będę siedział w basenie?

- Mel, będziesz przy mnie. Jesteś moim współnikiem. Jesteś mi potrzebny. Właśnie teraz, bardziej niż dotąd, potrzebny mi będzie rozgłos i reklama.

- Studio ci kogoś wynajdzie.

- Pewnie, że tak. Ale to nie będzie ktoś taki jak ty. Ich rzecznik prasowy będzie miał pod opieką mnie i wiele innych gwiazd. Chcę, żebyś pracował tylko dla mnie. I jeszcze jedno, Mel. Będziesz zajmował się pieniędzmi. W życiu nie wypisałam ani jednego czeku. Nawet teraz, kiedy mieszkam z dziewczynami, one mi mówią, jaka jest moja działka, a ja im daję forszę w gotówce. Jak rany, Mel! Nie wiedziałabym nawet, co powiedzieć pokojówce czy kucharce. Nie wiem nawet, skąd mam je w ogóle wziąć. Nigdy nie miałam domu. Ty się tym wszystkim zajmiesz. Mel, musisz jechać ze mną. Bez ciebie będę tam niczym.

- Nie, Neely. Nic by z tego nie wyszło.

- Dlaczego? Przecież i tak się tym cały czas zajmujesz. W końcu kto mi załatwił La Rouge?

- Agencja Johnsona i Harrisa.

- Ależ Mel, oni się mną zainteresowali dopiero wtedy, jak zrobiło się o mnie głośno! A o to przecież ty się zatroszczyłeś. Nie przylecieli do mnie po premierze Pod samo niebo. Pewnie wtedy nie byłam taką piosenkarką jak dziś - to już zasługa Zeke'a - ale zauważono mnie tylko dzięki tobie.

Ujął jej dłonie.

- Zeke nie dał ci głosu, a ja cię nie stworzyłem. To wszystko było w tobie cały czas. Pomogliśmy tylko temu wydostać się na światło dzienne.

- Więc pomagaj mi dalej, Mel. Potrzebuję cię... Kocham cię.

- Neely, nie jestem pewien, że to się tam uda. Nigdy nie byłem w Hollywood. Nie wiem, jak działa tamtejszy rynek. Stanę się panem O'Hara. Dodatkiem do twojej sukni. Nikt mnie nie będzie szanował.

- Chyba nie myślisz, że będę latała na te ich okrzyczane przyjęcia i zabiegała o względy ludzi z filmowego światka, co? Będzie tak samo jak tutaj. Co chwilę dostaję telegramy z zaproszeniem na kolejną premierę i tylko czasem idziemy. I nikt cię tu nie nazywa panem O'Hara.

- Tu jest inaczej, Neely.

- Ale my jesteśmy ciągle tacy sami! Mel, chcę teraz ciężko pracować, zarobić pieniądze i może splunąć na to wszystko za jakieś pięć lat. Ludzie będą wiedzieli, że ty się mną zajmujesz. Proszę cię, Mel... Nie pojedę bez ciebie.

- Daj spokój, Neely...

- Mel... Tak cię proszę... Nachylił się do niej i ścisnął jej dłoń.

- No dobrze. Zawsze marzyłem o tym, żeby opalać się w słonecznej Kalifornii. Do licha, chłopcy z Brooklynu po prostu umrą z zazdrości...

**JENNIFER**

Grudzień, 1946

Jennifer stała na krześle i usiłowała wepchnąć pudło na kapelusze na najwyższą półkę szafy. Uchyliła się nagle, kiedy dwie walizy spadły, omal nie trafiając jej w głowę.

- Ta szafa jest zupełnie do kitu - jęknęła. Anna pomogła jej wsadzić walizki z powrotem.

- Zaproponowałabym ci moją, ale jest zapchana po brzegi twoimi fatałaszkami.

- Co oni sobie wyobrażają w tym hotelu? Że komuś mogą wystarczyć jakieś dwie nędzne szafy? Dlaczego ta Adele nie znalazła sobie angielskiego lorda i nie została w Londynie? Boże, jak ja żałuję tego jej mieszkania!

- To są zupełnie duże szafy, Jen. Tylko nikt nie powinien mieć aż tylu ubrań co ty.

- Nienawidzę tych ciuchów!

- Jen! Nie waż mi się kupić choćby jednej sukienki więcej! Jestem najlepiej ubraną dziewczyną w mieście, bo ty masz dość kolejnej szmatki, jak tylko ją na siebie włożysz. Lyonowi oczy wychodzą z orbit, kiedy ogląda mnie w coraz to nowej kreacji.

- Jeśli dostanę od Tony'ego nowe futro z norek na Gwiazdkę, podaruję ci to moje stare.

- Stare! Dostałaś je raptem w zeszłym roku.

- Nie znoszę go. Poza tym to dzikie norki. Do twoich włosów będzie wprost wspaniałe, ale ja chciałabym teraz zdecydowanie ciemniejsze.

- Odkupię je od ciebie wobec tego.

- Nie wygłupiaj się!

- Mam za co, Jen. Henry zainwestował pieniądze ze sprzedaży pierścionka i te dwanaście tysięcy, które miałam.

- I jak to teraz wygląda?

- No cóż, za pierścionek dostałam tylko dwadzieścia tysięcy; jest niby wart więcej, ale podobno w dzisiejszych czasach wszystko się źle sprzedaje. Henry ulokował pieniądze w akcjach AT&T Nie poszły zbyt wysoko, ale dostaję zupełnie nie najgorsze dywidendy.

- Tylko nie ruszaj tych akcji.

- I ty to mówisz?! W tym miesiącu twoje zdjęcia pojawiły się w „Harper” i w „Vouge'u”, a ty nie zaoszczędziłaś ani centa! Słowo daję, Jen, musisz przecież zarabiać fortunę od czasu, jak podpisałaś umowę

z agencją Longwortha, ale wszystko wydajesz na ciuchy. Rozumiałabym to, gdyby ci na nich zależało i gdybyś je nosiła.

- Wydaję na ubrania i wysyłam pieniądze matce, więc niby jak mam oszczędzać? Jako modelka dostaję trzysta do czterystu dolarów tygodniowo, ale to żadne pieniądze. Walczę o cały bank. A tym bankiem jest Tony. Skończyłam już dwadzieścia sześć lat, Anno. Nie mam już czasu, ani perspektyw na przyszłość. Ubrania robią na Tonym wrażenie, a w gazetach pieją, jaka to jestem elegancka. Dla mnie ciuchy to zwykła inwestycja. Wydaję na nie całą forszę, rzucam kostkę i czekam na ruch Tony'ego. Jeśli odpowie mi małżeństwem, będę urządzona na całe życie.

- To i tak nie powód, żebyś mi miała robić prezent z futra z norek.

- Wszyscy mnie już w nim oglądali przez ponad rok i jeśli wyjdę za Tony'ego, będę miała tuziny takich futer. A ty będziesz musiała długo na nie czekać, chyba że książka Lyona okaże się absolutnym bestsellerem.

- Hm... Trzymam kciuki, aż mnie bolą palce. W zeszłym tygodniu skończył pisać.

Cudownie! Teraz możecie się pobrać! Anna parsknęła śmiechem.

To nie takie proste. Po pierwsze wydawca musi w ogóle przyjąć książkę. Lyon dał ją Bess Wilson, która jest znaną agentką literacką. Jeśli książka się jej spodoba i Bess postanowi wziąć sprawę w swoje ręce, będziemy na dobrej drodze. Każdy wydawca przeczyta maszynopis z większym zainteresowaniem, jeżeli podeśle mu go pani Wilson.

- Kiedy będzie wiadomo?

- Lada dzień. Lyon ma nadzieję dostać wiadomość jeszcze przed świętami. Hej, Neely się zacięła! - Anna podbiegła do gramofonu i przesunęła igłę nieco dalej.

- Zajechałaś tę płytę dokładnie.

- Uwielbiam ją, jestem taka dumna z Neely. Jennifer zatrzasnęła drzwi szafy.

- Mogę wyłączyć adapter? Chciałabym trochę poczytać. Anna wyręczyła przyjaciółkę.

- Jen, jest druga w nocy, powinniśmy już obie zasnąć.

- Będzie ci przeszkadzać moja nocna lampka?

- Nie, martwię się tylko, że tak mało sypiasz. Czasem budzę się w nocy i widzę, że nie ma cię w łóżku.

- Idę do saloniku i tam sobie palę. Nie chcę ci przeszkadzać.

- O co chodzi, Jen? To przez Tony'ego? Jennifer wzruszyła ramionami.

- Do pewnego stopnia... Ale nie sypiam już od roku. Choć, owszem, rzeczywiście denerwuję się Tonym. W lutym jedzie do Kalifornii nagrywać pierwszą z nowej serii audycji radiowych.

- Może oświadczy ci się jeszcze przed wyjazdem?

- Nie robi tego, kiedy cały czas kręci się przy nim Miriam. Kiedy jesteśmy sami, gotów jest dla mnie zdjąć nawet gwiazdkę z nieba. Ale sami jesteśmy tylko w łóżku. Trudno jest ukryć urzędnika stanu cywilnego w pościeli.

- A może ucieklibyście, żeby się szybko pobrać?

- Myślałam o tym. Jest przecież Maryland. Ale to skomplikowana sprawa. W łóżku Tony gotów jest obiecać wszystko. Ale jak tylko się ubierze, od razu słucha Miriam. - Ruszyła do łazienki. - Idź już spać. Nie ma sensu, żebyśmy się tym obie zamartwiały. Na pewno coś wymyślę.

- Spróbuj zamiast tego zamknąć oczy i zasnąć. - Anna energicznymi klepięciami poprawiła poduszkę.

- Spróbuję. Ale najpierw muszę odwalić ćwiczenia i nasmarować broń. - Zamknęła drzwi i ze znużeniem wyjęła słoik z masłem kakaowym. W ostrym świetle łazienki spojrzała w lustro. Dostrzegła pierwsze drobniutkie zmarszczki pod oczami. Za cztery lata będzie mieć na karku trzydziestkę! Rewia utrzyma się na scenie jeszcze do czerwca, ale ona, Jennifer, gra w niej już od ponad roku. Nic nowego się nie zdarzy. Naturalnie czekał na nią kontrakt z Twentieth Century, ale jeśli podpisze umowę i ruszy na zachód za Tonym, nigdy nie złapie go na męża. A gdyby tak pojechał sam, bez niej, czy tęskniłby na tyle, żeby ją do siebie ściągnąć? Skąd! Już Miriam zadbałaby o to, żeby wciąż otaczał go wianuszek pięknych dziewcząt. Pięknych, młodych dziewcząt!

No tak, Tony co prawda święcie wierzy, że ona ma dopiero dwadzieścia lat, ale gdy trafi na prawdziwą dziewiętnastolatkę, może jednak zobaczyć pewną subtelną różnicę. Miriam ostatnio jakoś tak szczególnie się jej przygląda; wypytuje ją o dziwne rzeczy, próbuje ustalić pewne daty związane ze szkołą w Szwajcarii. Dzięki Bogu, że

Tony nie jest nazbyt bystry... Zamarła nagle w bezruchu. Tak, to prawda, Tony nie jest zbyt bystry. A może takie sprawia wrażenie, bo Miriam tak bardzo nim komenderuje, że on po prostu nie ma się jak wykazać? Na pewno jest świetnym piosenkarzem i genialnie gra na scenie. Doskonale wyczuwa, kiedy ktoś w orkiestrze spóźnia się choć o ułamek sekundy. Nie, nie, to wszystko przez Miriam. Ona nie daje mu najmniejszej szansy na myślenie. Miriam! Jennifer wsmarowała więcej olejku pod oczy. Musi zasnąć. Wróciła do sypialni. Anna już prawie spała, więc weszła do łóżka i zgasła lampkę.

Godzinę później wciąż jeszcze nie spała - zaczęła się kolejna bezsenna noc. Cichutko wysunęła się z łóżka i przeszła do saloniku. Mogłaby zasnąć, gdyby miała odwagę. Podeszła do torebki i wyjęła z niej niewielką buteleczkę. Wpatrywała się w małe czerwone kapsułki w kształcie naboju. Irma dała jej to poprzedniego wieczoru. Weź jedna, a będziesz spać spokojnie kilka godzin.

Kapsułki seconalu. Irma podarowała jej cztery. Dla mnie są na wagę złota. Nie mogę dać ci więcej. Irma weszła na miejsce Neely w rewii. Twierdziła, że małe czerwone „laleczki” uratowały jej życie. Dałabym ci więcej, Jennifer, ale można je dostać wyłącznie na receptę. A lekarz przepisuje mi tylko dziesięć na tydzień.

Może powinna spróbować? Było coś przerażającego w tym, że jedna malutka czerwona kapsułka mogła człowieka uśpić. Weszła do wnetki z kuchenką i naląła sobie szklankę wody. Przez jakiś czas trzymała w dłoni kapsułkę; serce waliło jej jak oszalałe. To był narkotyk. Bzdura! Irma łyka kapsułkę co noc i czuje się dobrze. Irma była potwornie zdenerwowana, kiedy przejmowała w rewii partię Neely. To roztrzęsienie nie minęło jej nawet po siedmiu miesiącach. Mam wrażenie, że kiedy śpiewam, wszyscy porównują mnie z Neely. Ona teraz, po nagraniach płytowych, ma tylu wielbicieli.

No cóż, jedna kapsułka jej przecież nie zabije. Połknęła. Włożyła buteleczkę do torebki i szybko weszła do łóżka.

Ile to potrwa? Wciąż nie chciało jej się spać. Słyszała równy oddech Anny, tykanie budzika na nocnej szafce, ruch na ulicach. Na dobrą sprawę wszystko nagle nabrało większej mocy...

I wreszcie poczuła! O Boże! Jakie to wspaniałe! Głowę miała niby ciężką, ale i dziwnie lekką zarazem - jak piórko. Zaczynała zasypiać... zasypiać... Och, ta cudowna, mała czerwona laleczka...



Następnego dnia wybrała się do lekarza Henry'ego. Zmył jej głowę i odprawił z kwitkiem. Była przecież w doskonałej formie. A cóż to za bzdury? Nie, nie da jej recepty na seconal. Powinna ograniczyć picie kawy. Nie palić jak smok. I wtedy będzie spać. Jeśli nie, to znaczy, że jej organizm nie potrzebuje teraz snu.

- Nie tak się to robi - tłumaczyła jej Irma kilka dni później. - Nie możesz iść do dobrego lekarza i tak po prostu poprosić o receptę. Najlepiej jest znaleźć jakiegoś szmatławego konowala, takiego, którego etyka zawodowa stoi pod dużym znakiem zapytania.

- Ale gdzie? Irma, spałam wreszcie cztery noce pod rząd, a wszystko dzięki tym cudownym czerwonym laleczkom! To było boskie! Bez nich przez dwie noce nawet nie zmrużyłam oka.

- Rozejrzyj się za jakimś lekarzem w jednym z tych trzeciorzędnych hotelików na West Side. Na którymś z brudnych okien zobaczysz wymalowany napis - wyjaśniała Irma. - Ale nie możesz wejść i od progu prosić o receptę. Musisz odegrać małe przedstawienie. Wejdz i powiedz, że jesteś tu tylko przejazdem, że przyjechałaś z Kalifornii. Kalifornia zawsze dobrze brzmi. Nie wybieraj się tam w futrze z norek, bo zapłacisz dwa razy więcej. Powiedz mu, że nie możesz spać. On uda, że osłuchuje ci serce, a ty powtarzaj, że trzeba ci tylko kilku nocy nieprzerwanego snu. Wtedy on każe ci zapłacić dziesięć dolarów i wypisze receptę na tygodniową dawkę, bo dobrze wie, że i tak przyjdiesz po więcej. Wie też, że dziesięć dolców tygodniowo to niewygórowana cena, i że zdobywa sobie stałą klientkę. Ale wierz mi, to jest tego warte. Może się zdarzyć, że zastukasz do kilku drzwi, zanim trafisz na właściwego faceta. Dwóch mnie odprawiło, zanim wreszcie trafiłam na swojego. Na pewno w końcu znajdziesz sobie kogoś. Nie chodź tylko do hotelu Mackley, bo to moje miejsce. Facet może nabrać podejrzeń.

Jennifer znalazła sobie lekarza na Czterdziestej Ósmej Zachodniej. Od razu wiedziała, że dobrze trafiła, kiedy ze znużeniem wyciągnął zakurzony stetoskop i bez entuzjazmu usiłował wymacać jej puls. Oczywiście wyjął blankiet recept.

- Nembutal czy seconal?

- Te czerwone kapsułki - wyjąkała.

- To jest tygodniowy zapas. - Wręczył jej receptę. - Powinno ci pomóc. Jeśli nie, przyjdź do mnie jeszcze raz.

Anna nie posiadała się z zachwytu, widząc zmianę w przyjaciółce. Nic nie wiedziała o kapsułkach i cieszyła się, że Jennifer przesypia całe noce. Zachodziła w głowę, czy Tony zaczął w końcu mówić o małżeństwie.

I wreszcie, na kilka dni przed Gwiazdką, kiedy Anna pakowała torbę, jak zawsze wybierając się na weekend do Lyona, Jennifer podjęła decyzję.

- Tak będzie. Albo dzisiaj wieczorem zaciągnę Tony'ego do Elkton, albo się więcej z nim nie spotkam. Wymyśliłam to ostatniej nocy. Jeśli się nie uda, mam przed sobą sześć tygodni. Przez sześć tygodni Tony siedzi jeszcze w mieście, więc będę mogła zacząć się pokazywać z kimś innym i doprowadzić Tony'ego do szału. Doprowadzę go do takiego szaleństwa, że wreszcie się podda i się ze mną ożeni. Jeśli poczekam z tym, aż wyjedzie do Kalifornii, będę skończona.

- Gdzie dzisiaj będzie Miriam?

- Tam, gdzie zawsze. Z nami! W La Bombra wystawiają jakiś premierowy show. Powiedziałam Tony'emu, że po spektaklu wracam do domu, żeby się przebrać, i chcę, żeby tu po mnie przyjechał. Miriam z jego ludźmi będzie już czekać w La Bombra. Będziemy więc sam na sam i tu go zaskoczę. A jeśli dobrze to rozegram...

Była w podomce, kiedy Tony przyjechał.

- Hej... Ubieraj się. Przedstawienie zaczyna się o wpół do pierwszej. Podeszła do niego.

- Najpierw mnie przytul - powiedziała miękko. Oderwał się od niej ze zdławionym jękiem.

- Kochana, daj trochę odetchnąć. Jezu! Powinni mi robić transfuzję krwi, kiedy jestem przy tobie. - Poglądził jej piersi. Zaczął się szarpać z guzikami podomki. - O Panie, po co ci te cholerne guziki? - Zsunął podomkę z jej ramion i opuścił aż do talii. Cofnął się o krok. Zaczynał ciężko oddychać.

- Jen, nikt na świecie nie powinien mieć takich cudnych cycków. - Dotknął ich leciutko.

Uśmiechnęła się.

- Są twoje.

Zanurzył w nich twarz, opadł na kolana.

- Boże! Nie mogę w to uwierzyć. Za każdym razem, kiedy ich dotykam, nie mogę w to uwierzyć. - Przywarł do jej piersi złąknionymi ustami. - Nie chcę się stąd ruszać - wymamrotał.

- Tony, pobierzmy się.

- Jasne, kochana, jasne... - Szamotał się z następnymi guzikami podomki; wreszcie opadła na podłogę.

Jennifer cofnęła się. Szedł za nią na kolanach. Znow się cofnęła.

- Tony, to wszystko - pogładziła pieszczotliwie ciało - nie jest twoje. To wszystko jest moje.

Ruszył za nią. Znow mu się wymknęła. Pogłaskała uda, potem dotknęła się między nogami.

- To też jest tylko moje - powtórzyła cicho. - Ale chcemy cię, Tony - szepnęła chrapliwie. - Zdejmij ubranie.

Rozerwał koszulę. Stał przed nią nagi.

- Masz ładne ciało - powiedziała. Potem zrobiła dwa kroki w tył. - Ale moje jest dużo piękniejsze. Z namysłem dotknęła swych piersi, jakby bała się zbyt silnych emocji. Stał wpatrzony w nią; oddychał szybko, nierównomiernie. Rzucił się do niej, ale mu umknęła.

- Możesz sobie popatrzeć - powiedziała cicho. - Ale nie wolno ci dotykać. Dotkniesz dopiero wtedy, kiedy to będzie twoje...

- Ale to przecież jest moje! Ty jesteś moja! - Jego podniecony głos przypominał charkot.

- To była tylko dzierzawa. Teraz zabieram je sobie. Chyba że naprawdę mnie chcesz. - Znowu przesunęła dłońmi po piersiach. - Chcesz mnie na zawsze?

Szedł za nią zupełnie roztrzęsiony.

- Chcę. Tylko chodź do mnie... Teraz!

- Nie teraz. Dopiero po ślubie.

- Dobra - odparł ochryple. - Ożenię się z tobą. - Szedł za nią, ale wciąż mu uciekała. Cały czas się uśmiechała i gładziła po ciele. Pieściła swoje piersi, zanurzała dłonie między uda, dotykała się. Ale ani na chwilę nie spuszczała z niego wzroku.

- Kiedy się ze mną ożenisz?

- Porozmawiamy o tym później, zaraz potem... - Sunął za nią, zahipnotyzowany nową sztuczką, którą przed nim odgrywała. Pozwoliła mu do siebie podejść... Chwycił jej piersi... Zaczął łapczywie ssać... Wsunął ręce między jej nogi. Wtedy cofnęła się.

- Jen! - wydusił z siebie. - Daj spokój! Co ty? Chcesz mnie zabić?

- Ożeń się ze mną, albo już nigdy mnie nie dotkniesz! Nigdy!

- Ożenię się, ożenię...

- Teraz. Dziś wieczorem.

- Jak to dziś? Musimy najpierw zrobić badanie krwi... Musimy wyrobić papiery. Zajmiemy się tym jutro z samego rana. Obiecuję.

- Nie. Do rana Miriam wybije ci to z głowy.

Wzmianka o Miriam była złym posunięciem. Tony nagle otrzeźwiał. Podniecenie raptownie opadło. Jennifer błyskawicznie przeszła na drugą stronę pokoju, przeciągnęła się zmysłowo i dotykając piersi, szepnęła:

- Będzie nam ciebie brakowało, Tony. Podszedł do niej i mocno ją przytrzymał.

- Ożeń się z nami dzisiaj, Tony. Chcemy do ciebie należeć. - Otarła się o niego.

- Jak? - wyskoczył.

- Sprowadź samochód. Możemy pojechać do Elkton w Maryland. Patrzył na nią w skupieniu.

- I tam dadzą nam ślub bez niczego? Ot tak?

- Ot tak! - Pstryknęła palcami.

- Ale Miriam...

- Ja to powiem Miriam - odparła. - Zadzwonimy do niej, jak już będzie po wszystkim. Ja jej to powiem. Niech sobie na mnie wrzeszczy. Będziesz w moich ramionach. Całe moje ciało będzie na zawsze twoje. Na zawsze... - Przysunęła się bliżej. - Dotknij mnie, Tony... To wszystko będzie twoje. Będziesz mógł ze mną robić wszystko, czego zapragniesz. Nawet to, czego ci dotąd wzbraniałam. - Odsunęła się i zaczęła rytmicznie poruszać biodrami. - Wszystko to, o co dotąd tak bardzo mnie błagałeś... Ale po ślubie.

- Teraz... - wyjęczał. - Teraz, proszę... Potem pojedziemy do Elkton.

- Nie. Dopiero po Elkton.

- Nie zniosę tego! Nie mogę czekać tak długo! Podeszła bliżej.

- Owszem, możesz. Bo dziś wieczór weźmiemy ślub - pozwoliła, żeby przesunął palcami po jej ciele - a potem urządzimy sobie ucztę.

Usta mu wyschły.

- Dobra. Wygrałaś. Tylko, na litość boską, jedźmy jak najprędzej. Zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Nie pożałujesz! Zobaczysz, że przy mnie oszalejesz z rozkoszy! Usłyszeli pukanie do drzwi. Jennifer wysunęła się z uścisku Tony'ego.

- Nikogo się nie spodziewam. Tony, mówiłeś komuś, że będziesz dzisiaj u mnie?

Potrząsnął głową. Naciągnęła podomkę. Za drzwiami stał chłopak hotelowy z telegramem. Uśmiechał się przepaszająco.

- Dla Anny. Chyba zadzwonię do Lyonsa. To może być ważne. Usiadła na łóżku i wykręciła numer Lyonsa. Tony wszedł do sypialni. O Boże, ale strzeliła głupotę! Wstała i ciasno opasała się podomką. Gdzież jest ta Anna? Dlaczego nie odbierają telefonu?

- Halo. - Usłyszała głos Lyonsa. Tak, zaraz poprosi Annę. Tony już się mocował z podomką. Odepchnęła go.

- Anno? Właśnie przyszedł do ciebie telegram. Jasne, chwileczkę. - Rozerwała sklejony blankiet. Tony delikatnie, ale stanowczo popchnął ją na łóżko. Trzymała w jednej dłoni telegram, w drugiej słuchawkę i usiłowała odepchnąć Tony'ego od siebie. Zasłoniła mikrofon dłonią. - Nie, Tony! Nie teraz. Nie! - Już na niej leżał. Spojrzała na blankiet. Tony przywarł ustami do jej piersi. O, Chryste... - Anno... Tak jestem... Anno... O Boże, twoja matka umarła! - Czowała, jak Tony szorstko wdziera się w jej ciało, mocno i rytmicznie się rusza. Zacisnęła zęby i starała się panować nad głosem. - Tak, Anno. To wszystko. Bardzo ci współczuję. - Odłożyła słuchawkę. Tony padł na nią; dyszał zmęczony i zadowolony.

- Tony, to było nieuczciwe. Wykorzystałeś mnie. Uśmiechnął się leniwie.

- Kochana, urodziłaś się z takimi warunkami, które po prostu trzeba wykorzystać. O, widzę tu taką parę... - Delikatnie pstryknął ją w pierś.

- Ubierzmy się lepiej. Anna zaraz tu będzie. Naciągnął koszulę.

- Chryste, ale mnie nagrzałaś, co? Nie mam już ani guzika. Wracam do hotelu po świeżą koszulę.

- Spakuj torbę, Tony.

- Po co?

- Przecież jedziemy do Maryland, pamiętasz?

Uśmiechnął się.

- Nie teraz, kochana. Jeśli się pospieszymy, zdążymy jeszcze na część występu w La Bombra. Tylko bądź już gotowa, kiedy wrócę. Będę za dwadzieścia minut.

- Tony, jeśli dziś nie weźmiemy ślubu, nigdy więcej się z tobą nie spotkam.

Podszedł do niej i pieszczotliwie podrapał ją pod brodą.

- Spotkasz się ze mną, spotkasz. Jestem najwspanialszym facetem. Kto mógłby mnie zastąpić? - Ruszył do drzwi. - Włóż coś wspaniałego, będziemy znów mieć prasę.

Patrzyła, jak zamyka za sobą drzwi. Cholera! Cholera, cholera! Że też ten telegram musiał przyjść właśnie dziś! Niech diabli porwą matkę Anny! Wszystkie matki na świecie! Nawet po śmierci potrafią człowieka dopaść i wszystko spieprzyć! Nagle sobie przypomniała - nie wysłała matce czeku, a tu za chwilę święta! Matka widziała gdzieś futro z karakułów i uparła się, że musi je mieć. Chciała mieć jedno futro przed śmiercią. Jennifer podbiegła do biurka, wypisała czek na pięćset dolarów, wetknęła go w kopertę i naskrobała: „Wesołych świąt i szczęśliwych karakułów, Jeannette”. Cóż, przynajmniej matka będzie w te święta radosna. Do diabła, a kiedy przyjdzie jej kolej?

Zacząła się szybko ubierać. Nie chciała, żeby Tony ją tu zastał. Trzeba zmusić go do działania. Zostało mało czasu.

Pojedzie z Anną do Lawrenceville. Oczywiście! Powinna to zrobić dla Anny, w końcu są przyjaciółkami. Zadzwoiła do Henry'ego. Odebrał telefon zaspany, ale zaraz się ocknął, gdy tylko usłyszał, o co chodzi. Naturalnie, niech jedzie z Anną. Niech się nie martwi, on to załatwi z Gilem Case'em. Niech wynajmą samochód, a on, Henry, pokryje rachunek. Łatwiej będzie dojechać do Lawrenceville autem niż się tłuc jakimiś pociągami. Biedna dziewczyna. W jednym roku straciła ciotkę i matkę.

Kiedy zjawili się Anna i Lyon, Jennifer wszystko już obmyśliła i przygotowała. Spakowała nawet torbę Anny.

- Włożyłam ci dwie czarne sukienki i popielaty kostium.

- Możemy wsiąść jutro w jakiś poranny pociąg - zauważyła Anna.

- Nie. Jest dopiero wpół do pierwszej, a przecież wiesz, że i tak nigdy nie śpię. Ja poprowadzę, ty się prześpisz w samochodzie. Rano będziemy już na miejscu. Zamówiłam samochód. Będzie za chwileczkę.

- Ja też przyjadę na pogrzeb - odezwał się Lyon. Anna obróciła się do niego.

- Nie, Lyon. Nie znałeś mojej matki. Dam sobie sama radę. Lepiej usiądź nad książką.

- Zadzwoń, jak tylko przyjedziesz.

Jennifer popędzała ich do wyjścia. Przy lśniącej czarnej limuzynie stał chłopak z agencji. Podał Jennifer kluczyki i dokumenty rejestracyjne wozu. Pięć minut później były już w drodze. Lyon patrzył, jak tylne światła wozu giną w ulicznym ruchu. Wszystko stało się tak błyskawicznie. Nie mógł się nadziwić przedsiębiorczości i opiekuńczości Jennifer. Najwyraźniej źle ją oceniał: wcale nie była głupim, pustym kociakiem. Wyszedł na ulicę i minął się o włos z Tonym Polarem, który wielkim pędem zajeżdżał pod hotel taksówką.

Pogrzeb odbył się w poniedziałek. Kiedy już dojechały do Lawrenceville, Anna wzięła sprawy w swoje ręce i spokojnie się wszystkim zajęła. To był bezsensowny wypadek. Z winy matki. Cierpiała na kataraktę. Przedtem za kółkiem siadała zawsze ciotka Amy, ale po jej śmierci matka uparła się, że będzie sama prowadzić. Tamtego wieczoru padał deszcz, a ona wracała z partyjki brydża na dwa stoliki. Nie zauważyła ciężarówki. Doszło do zderzenia czołowego i matka zginęła na miejscu.

Pogrzeb odbył się w atmosferze powagi i godności. Lyon i Henry przysłali kwiaty, panna Steinberg i dziewczęta - wieniec. Wieczorem w dniu pogrzebu, jak to na ogół w zwyczaju, Anna przyjmowała znajomych swoich i matki. Mieszkańcy miasteczka przyszli złożyć kondolencje i obejrzeć Jennifer.

We wtorek rano Jennifer napomknęła o powrocie do Nowego Jorku. Siedziały w słonecznym pokoju śniadaniowym. Jennifer podobało się Lawrenceville. Bawiła ją nie skrywana adoracja, jaką okazywali jej jego mieszkańcy. Lecz przede wszystkim ogromne wrażenie wywarł na niej wspaniały dom, który teraz należał do Anny.

- Muszę wracać na występ - powiedziała. - Ale rozumiem, że ty chciałabyś się tu na trochę zatrzymać.

- A po co?

Jennifer rozejrzała się wokół.

- No cóż, taki dom... Trudno się tak po prostu spakować i od razu wyjechać.

- Już rozmawiałam z adwokatem. Powiedziałam mu, żeby wystawił wszystko na sprzedaż, łącznie z meblami.

- Ale to przecież bardzo piękny dom, Anno! Chyba powinnaś go zatrzymać... i, na przykład, wynająć.

- Nienawidzę go. Nienawidzę Lawrenceville. Chcę zerwać wszelkie więzy, które mnie łączą z tym miastem. Gdybym zatrzymała dom, zawsze miałabym powód, żeby wrócić. Jeśli go sprzedam, wiem, że moja noga więcej tu nie postanie.

- Miałaś takie straszne dzieciństwo?

- Normalne. Można powiedzieć - nijakie.

- Zdaje się, że nie kochałaś matki.

- Nie, nie kochałam jej. Ale też nie powiem, żebym jej nie lubiła. Do tego też nie stwarzała okazji. To nie jej wina. Takie jest Lawrenceville. Och, Jennifer, wolałabym raczej przeżyć całe życie w tym obskurnym pokoiku przy Pięćdziesiątej Pierwszej niż zostać tutaj. Duszę się tu. Czuję, że to miasto mnie osacza. - Wzdrygnęła się. - Wyobraź sobie, że przez całe dzieciństwo i lata szkolne poznałam tu przynajmniej ze trzydzieści dziewcząt, ale żadna nie została moją przyjaciółką. A w Nowym Jorku mieszkam niewiele ponad rok i mam już ciebie, Neely i Lyona!

- No cóż, masz mnie i Lyona... Nasza gwiazda nie odzywa się od dobrych kilku miesięcy.

- W marcu wchodzi na ekrany jej film. Wyobraź sobie tylko, premiera w Music Hall...

- Hm, Neely na pewno będzie dobra. Czytałam, że już kręci coś nowego. Ciekawe, kiedy zaczną się sypać dzieci. I jak tam Mel... Może przytył?

Obie wybuchnęły śmiechem, a Jennifer dolała sobie kawy.

- Muszę wyjechać po obiedzie. Będę na miejscu wieczorem. Dzięki temu zdążę na jutrzejszy popołudniowy spektakl. - Zmarszczyła brwi. - Boże, Tony pewnie myśli, że ktoś mnie porwał! Nie zostawiłam żadnej wiadomości w hotelu. Miriam pewnie świętuje.

Myślała o Tonym podczas monotonnej jazdy do Nowego Jorku. Nawet jeżeli dopnie swego, jeśli się pobiorą, cały czas będą mieć na głowie Miriam. Na rym polegał zgryz związany z małżeństwem z Tonym. „Wychowała mnie, poświęciła mi całe swoje życie -



wrzeszczał, kiedy Jennifer złościła się na wszędobylstwo jego siostry. To jedyna kobieta, która jest mi oddana na sto procent."

Ale Miriam nie może z nim pójść do łóżka. Jennifer zamyśliła się. Nie chodziło jej o pieniądze Tony'ego ani bezpieczeństwo, jakie niósł z sobą związek małżeński. Naprawdę chciała być dobrą żoną. Chciała mieć dziecko. Tony dostanie więcej, niż się może spodziewać. Nie będzie go oszukiwać. Oszukiwać? A po co? Inny mężczyzna będzie dokładnie taki sam. Tony potrafi jej dogodzić w łóżku. Podobnie jak większość innych mężczyzn. Maria nauczyła ją wystarczająco wiele... Jennifer wiedziała, jak doprowadzić się do takiego stanu podniecenia... To łatwe.

Jej hotelowa skrytka pękała od wiadomości. Niektóre nadeszły z agencji Longwortha. - O Boże, zapomniała ich powiadomić, że wyjeżdża - ale resztę nadesłał Tony. Telefonistka w centrali poinformowała ją, że pan Polar niedawno dzwonił - po raz dziesiąty tego dnia. Jennifer uśmiechnęła się z satysfakcją. Dochodziła druga w nocy. Poszła do swego apartamentu i zdjęła ubranie. Nie połknęła jednak kapsułki seconalu. Położyła się do łóżka i czekała.

Dwadzieścia minut później zadzwonił telefon. Usłyszała wyraźną ulgę w głosie Tony'ego, kiedy podniosła słuchawkę.

- Gdzieś ty, do diabła, była tyle czasu? - burknął.

- Wyjechałam.

- Nie żartuj sobie! - Nagle głos mu się zmienił, zabrzmiał inaczej, był zabarwiony uczuciem. - Posłuchaj, kochanie, naprawdę odchodziłem od zmysłów. Co się z tobą działo?

Nie udobruchała go swoją opowieścią. Zupełnie nie był przekonany, że mówi mu prawdę.

- Od kiedy to wyjeżdżasz z miasta na jakieś pogrzeby?

- Anna jest moją najlepszą przyjaciółką.

- No dobrze, ale nie było cię bardzo długo. Co tam robiłaś? Spodobał ci się jakiś grabarz?

- Wszyscy byli przystojni - odparła słodko. - Prawdę mówiąc, nigdy nie widziałam aż tylu przystojnych mężczyzn w jednym mieście. - Nie zamieniła nawet słowa z facetem, który miałby mniej niż pięćdziesiąt lat.

- Jen... - poprosił cicho. - Mogę przyjechać do ciebie?

- Tony, jest już prawie trzecia.

- Mógłbym być choćby za pięć minut. Udała, że ziewa.

- Przepraszam cię, ale jestem naprawdę wykończona.  
- Wobec tego jutro. Wczesnym popołudniem. Mam nagranie o trzeciej, ale o czwartej będę wolny.  
- A ja mam po południu występ. Jutro środa, chyba pamiętasz?  
- No dobrze. Przyjadę po przedstawieniu.  
- Nie. Wiesz, że nie zmywam makijażu między występami. Poza tym zniszczyłbyś mi fryzurę.

Jęknął.

- Dobrze już, dobrze! Będę później i zabiorę cię na kolację.  
- Zobaczymy... - Odłożyła słuchawkę.

Nie wróciła do hotelu po popołudniowym spektaklu - obejrzała jakiś film między występami. Wieczorem powiedziała stróżowi, że gdyby przyszedł pan Polar, ma go poinformować, że już wyszła. Siedziała w garderobie najdłużej jak się dało, aż wreszcie podniosła się, gdy stróż zaczął zamykać teatr. Tak, był pan Polar, a on mu powiedział dokładnie to, co chciała. Wcisnęła stróżowi pięć dolarów i poszła do domu.

Kiedy wchodziła do mieszkania, telefon właśnie dzwonił. Nie podniosła słuchawki. Terkotał co dwadzieścia minut. Za każdym razem pytała telefonistkę, kto dzwoni. Pan Polar. O piątej nad ranem, po trzecim dzwonku, wreszcie sięgnęła po słuchawkę.

Tony był wściekły.

- Gdzie byłaś?  
- Poszłam sobie do kina między występami. - Powiedziała to tak, żeby podejrzewał ją o kłamstwo.  
- Na pewno! A wieczorem? Musiałaś wyskoczyć z teatru, jakby się paliło!

- Siedziałam w garderobie. Stróż pewnie się pomylił.  
- A potem oczywiście wróciłaś do hotelu!  
- Mhm...  
- No więc coś ci powiem! Od dwunastej dzwoniłem co dwadzieścia minut. Dopiero co wróciłaś! - W jego głosie usłyszała triumf.

- Spałam i nie słyszałam telefonu.  
- Jasne, pewnie spałaś z jednym z tych piękniśków z Bostonu, których poznałaś na pogrzebie.

Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się błogo. Wszystko szło zgodnie z planem! Weszła do łazienki i wyjęła buteleczkę pełną

czerwonych kapsułek. Manna z nieba! W Lawrenceville powiedziała niewinnie staremu doktorowi Rodgersowi, że ma kłopoty ze spaniem. Otumaniał go jej słoneczny uśmiech. Współczuł jej, wykazał zrozumienie. Ludzie przy okazji pogrzebów często cierpią na bezsenność. Następnego dnia zjawił się z buteleczką wypełnioną dwudziestoma pięcioma kapsułkami seconalu!

Znowu odezwał się telefon. Tony nie podda się tak łatwo. Powiedziała telefonistce, żeby nie łączyła już żadnych rozmów z jej numerem. Na wszelki wypadek zamknęła drzwi na zasuwę. Potem otworzyła buteleczkę. Wysypała na rękę dwie kapsułki. Jedna działała nieźle, ale co to będzie po dwóch! Dwie obdarują ją najcudowniejszym uczuciem na świecie. Łagodnie opuściła głowę na poduszkę. Słodkie odretwienie zaczęło ogarniać całe ciało. O Boże, jakże mogła w ogóle żyć bez tych wspaniałych czerwonych proszków!

Przez kolejne dwa dni bawiła się z Tonym w kotka i myszkę. Co noc spoglądała z czułością na buteleczkę z kapsułkami seconalu. Bez ich pomocy nigdy by przez to wszystko nie przeszła. Spędzałyby bezsenne noce, paliła papierosa za papierosem i zamartwiała się na okrągło. W końcu nie wytrzymałaby nerwowo.

W piątek wieczorem, kiedy podjechała pod teatr, ujrzała Tony'ego przy wejściu. Mocno chwycił ją za ramię.

- No dobra. Wygrałaś - warknął. - Mam samochód. Jedziemy do Elkton dzisiaj. Teraz.

- Ale zaraz zaczyna się przedstawienie. Jutro po południu też występuję.

- Pójdę i powiem, że zachorowałaś.

- Ale jeśli uciekniemy dzisiaj, już jutro wszyscy dowiedzą się o tym z gazet! Wyleją mnie. Może nawet wytoczą mi proces?

- No to co? Będiesz już żoną Tony'ego Polara. Nie zamierzasz chyba nadal występować w tej rewii?

Oczywiście, że nie! Przecież nie upadła na głowę! Poza tym Henry wszystko załagodzi. I o to szło! Złapała go za ramię.

- Idź, powiedz im, że zachorowałam, Tony. Prawdę mówiąc, robi mi się słabo...

Jennifer szalała ze szczęścia, Tony nie mógł otrząsnąć się z oszołomienia. Byli małżeństwem! Poinformowali o tym gazety w Elkton. Pozowali do zdjęć, uśmiechali się do miejscowych reporterów,

złożyli oświadczenia dla agencji UP i AP. Wreszcie wyjechali z Elkton i zatrzymali się w małym hoteliku na obrzeżach miasta.

Teraz, kiedy Tony usiadł na łóżku i patrzył, jak Jennifer rozpakowuje torbę, oszołomienie wywołane emocjami z wolna ustępowało. Nagle zaczął się bać.

- Miriam mnie zabije - powiedział. Jennifer stanęła przed nim i objęła go.

- Nie jesteś dzieckiem, Tony. Jesteś moim mężem.

- Musisz być przy mnie, kiedy jej powiemy - wymamrotał.

- Jestem twoją żoną, kochanie. Zawsze będę przy tobie.

- Ale ona strasznie się rozzłości, Jen. - W jego oczach pojawiły się łzy. Nagle wbił głowę w poduszkę i się rozszlochał. - Tak się boję... Tak strasznie się boję...

Na chwilę Jennifer zamarła w bezruchu. Poczowała wywołujące mdłości obrzydzenie. Ogarnęła ją szalona ochota, żeby odwrócić się i uciec. Tylko dokąd? I do czego? Nikt by tego nie zrozumiał. Wszyscy pomyśleliby, że coś z nią jest nie tak. Musi popracować nad tym, żeby ich życie się ułożyło. Tony jest w końcu gwiazdą, a utalentowani ludzie mają swoje dziwactwa. Może właśnie o to chodzi? O to, że jest wrażliwszy niż większość mężczyzn?

Usiadła na łóżku i opłótła ramionami jego głowę.

- Wszystko będzie dobrze, Tony. Zobaczysz... - szepnęła.

- Ale Miriam będzie okropnie wściekła. Będzie wrzeszczeć. - Łzy zaćmiewały mu wzrok. - To twoja wina! Ty mnie do tego zmusiłaś.

- Mówiłam ci, że biorę to na siebie.

- Obiecujesz? Naprawdę to zrobisz?

- Tak. - Pogładziła go po włosach. - Pamiętaj, jestem twoją żoną.

Wyciągnął rękę i dotknął jej piersi. Powoli otarł łzy i zaczął się uśmiechać. Popatrzył na nią chytrze.

- I mogę robić z tobą teraz, co zechcę? Przywołała na twarz słaby uśmiech.

- Tak, Tony... Ściągnął z niej suknię.

- Odwróć się - warknął.

Zacisnęła zęby z bólu, żeby nie jęknąć, kiedy brutalnie wdarł się w jej wnętrze. Czowała jego ostre paznokcie na plecach. Uśmiechaj się, Jen - mówiła sobie w duchu. Udało ci się. Jesteś już panią Polar...

Miriam trzymała w ręku zmięty blankiet telegramu. Elkton! A więc to tak! A wydawało się, że przedsięwzięła wszelkie środki ostrożności.

Płaciła w końcu aż dwieście dolarów tygodniowo temu Ornsby'emu! Ujęła słuchawkę i pulchnym palcem ze złością wybrała numer.

- Przykro mi, że zakłócam panu sen, panie Ornsby - syknęła. - Ale tak się składa, że śpi pan nawet w godzinach, za które panu płacę.

Natychmiast otrzeźwiał.

- Szedłem za nim do samego teatru o ósmej. Czekał tam na nią. Przyszła minutę po ósmej i rozmawiali. Za pół godziny miał się zacząć spektakl. Wiedziałem, że ona wejdzie do środka, i dlatego odszedłem na chwilę, żeby coś przegryźć. Miałem przed sobą trzy godziny, tyle, ile trwa przedstawienie. Zjawiłem się o jedenastej. Nie było go tam. Jeśli zabiera ją samochodem, jest zawsze pod teatrem najpóźniej kwadrans po jedenastej. Zaczekałem do wpół do dwunastej, a potem ustawiłem się pod jego hotelem. Dopiero od niedawna jestem w domu. Nie wrócił. Sprawdziłem kluby. Tam go też nie było. Doszedłem do wniosku, że umówił się na randkę z jakimś innym kociakiem. Ona już od kilku dni go unikała; co wieczór sama wracała z teatru.

- Hm, dzisiaj nie grała w teatrze - warknęła Miriam. - Uciekli, żeby wziąć ślub.

Po drugiej stronie zapanowała głęboka cisza.

- Płaciłam panu dwieście tygodniowo tylko po to, żeby do tego nie dopuścić! Co z pana za detektyw?!

- Jeden z najlepszych - odparł ostro. - Ale ta para jest bardzo szczwana, paniusiu. Noc w noc odmrażałem sobie tyłek pod hotelem, podczas gdy oni leżeli w ciepłym łóżku i rżnęli się w najlepsze. Ale też, droga pani, nie jestem w końcu Federalnym Biurem Śledczym. Muszę czasem coś zjeść, muszę się czasem odlać. Wydawało mi się, że jedyne chwile, kiedy jestem kryty, to te, gdy ona siedzi na scenie. Skąd mogłem wiedzieć, że któregoś dnia nie wejdzie do teatru?

Miriam cisnęła słuchawkę na widelki. Ale Ornsby miał rację. Jennifer zagrała niesamowicie chytrze. Westchnęła. Tak bardzo uważała, tyle lat, a teraz pewnie wszystko diabli wezmą! Dotychczas udawało jej się oszukać wszystkich dokoła i samą publiczność. Ludzie uznali, że dziecinne odpowiedzi Tony'ego są częścią jego wdzięku.

Tylko jedna Miriam знаła prawdę, a tę ukrywała przed światem - nawet przed samym Tony. Z kobietą w łóżku funkcjonował jak każdy inny normalny mężczyzna. Miał niewątpliwy talent sceniczny. Kiedy śpiewał, odruchowo wszystko robił dobrze. Ale umyślowo i emocjonalnie jej brat, Tony, był dziesięcioletnim chłopcem.

I co teraz? Póki mogła być obecna przy każdym wywiadzie, jakoś jej się udawało go kryć, ale teraz zjawiała się ta dziewczyna.

Co Jennifer zdążyła już wykryć? Co odgadła? Tak naprawdę, to Miriam nie miała nic przeciwko niej. Tony chyba naprawdę jej się podoba. W końcu dlaczego nie? To przystojny, utalentowany chłopak, a w łóżku niezły ogier. Może nic jeszcze nie zauważyła? Przecież na dobrą sprawę prawie nigdy nie zostawali sami, poza tymi chwilami, gdy uprawiali seks. Zadbala o to sama - wszędzie byli razem, zawsze też plątał się przy nich jeden czy drugi tekściarz. Tego już wyuczyła brata. Gwiazdor musi mieć wokół siebie właściwy entourage. Bez przerwy mu to powtarzała, aż wreszcie przyjął do wiadomości, że podróże i wyjścia całą grupą należą wśród gwiazdorów do ogólnie przyjętych zachowań. Dzięki temu nikomu nigdy nie udawało się zamienić z Tonyem więcej niż kilka słów.

Dopóki nie pojawiła się Jennifer, wszystko szło w miarę gładko. Miriam wiedziała, jak dbać o zaspokojenie fizycznych potrzeb brata, i nawet zachęcała go do tego, żeby sobie folgował; pilnowała tylko, by nie wpakował się w żaden trwalszy związek. Chętnie widziała więc przy nim jakąś tancerzkę z klubu, gdzie Tony akurat miał występ - dziewczynę, która nie posiadała się ze szczęścia, że ją zauważył, i pławiła się w jego sławie i chwale, a potem bez bólu pozwalała mu odejść, otrzymując w zamian buteleczkę perfum i zapewnienia o wiecznej miłości. Tak było do chwili, kiedy poznał Jennifer. Miriam zrobiła wszystko, żeby zniszczyć ten związek. Za każdym razem, kiedy wyjeżdżali z miasta, rzucała mu w ramiona najpiękniejsze dziewczyny. Owszem, brał je, ale ciągle wracał do Jennifer. Miała nadzieję, że wyprawa do Kalifornii położy temu kres. Zostały już tylko dwa tygodnie... A tu taki pasztet!

Westchnęła. Ludzie podejrzewali ją, że kurczowo trzyma się brata, by nurzać się w jego chwale. Też mi chwała! Oddałaby wszystko, żeby wreszcie móc żyć własnym życiem. Ale nie mogła go zostawić. A więc proszę, miała czterdzieści cztery lata, wciąż była dziewczicą i wciąż zabiegała o to, żeby Tony odnosił jak największe

sukcesy. Dlaczego tak musi być? To grzechy ojca - myślała z goryczą. O tak, było tych grzechów niemało, tylko Tony nic o nich nie wie. To ona nosi ciężkie brzemie. Zresztą nie należy wszystkich win zwać na ojca, tylko na - niestety - puszczalską mamusię! Miriam tyle sekretów skrywała przed bratem i resztą świata... Utknęła piękny obraz przystojnego ojca, który zginął w wypadku kolejowym jeszcze przed narodzinami Tony'ego. Wymyśliła też cudowną, wrażliwą matkę, tak wstrząśniętą tym wydarzeniem, że kiedy urodziła synka, uśmiechnęła się słabo i cicho wydała z siebie ostatnie tchnienie. Czternastoletnia wówczas Miriam została jedyną opiekunką dziecka. Prasa w to uwierzyła. Tony uwierzył. Nigdy się nie dowiedział, że tożsamość jego prawdziwego ojca - podobnie jak ojca Miriam - była zagadką również dla ich matki.

Zostali spłodzeni przez różnych ojców, jakichś obcych facetów, którzy zatrzymywali się w łóżku ich matki tylko na jedną noc. Ten jednak, który spłodził Tony'ego, musiał być rzeczywiście przystojnym mężczyzną! W końcu matka miała w czym wybierać, spośród swych podejrzanych znajomych... Śpiewająca kelnerka z Coney Island nie trafiała rzecz jasna do kronik towarzyskich. Matka przysięgała, że ojcem Miriam jest jakiś miły facet z Pittsburgha. Być może. Ale ojciec Tony'ego - drań wcale nie musiał być miły - na pewno był wyjątkowo przystojny. Tony musiał odziedziczyć to, co było najatrakcyjniejsze w urodzie obojga rodziców. Po matce wziął głębokie, ciemne oczy obramowane wprost niezwykłymi rzęsami. Miał krótki, prosty nos i zmysłowe usta. I był do tego wysoki. Miriam, niestety, poszła w kogoś innego. Uśmiechnęła się cierpko. Ten facet z Pittsburgha mógł sobie być bardzo miłym gościem, ale nie był to z pewnością żaden Robert Taylor. Ilekroć wpadała w Pittsburghu na niskiego, krępego mężczyznę o małych niebieskich oczkach i nosie jak kartofel, krzyczała głośno: „Tatusiu!”

Nazwisko Polar wybrała z powodów czysto sentymentalnych. Najbardziej troskliwym i najbardziej stałym kochankiem jej matki okazał się człowiek o nazwisku Polarski. Naprawdę lubił Miriam - małą pulchną dziewczynkę - i zawsze przynosił jej jakiś prezent albo wesoło drapał ją pod bródką. Nigdy go nie zapomniała. Wiele lat później skróciła jego nazwisko i niejako w hołdzie dla niego przybrała je dla siebie i dla Tony'ego.

Bez trudu ukryła prawdziwego Polarskiego przed Tonym i prasą. Ich matka była w końcu straszną latawicą. Każde miasto ma taką swoją „Belle”, niezbyt młodą dziewczynę, która brzdąka na zdezelowanym pianinie i śpiewa zachrypłym głosem w jakimś miejscowym barze. Belle zaczynała śpiewać u Tony'ego Pastora, ale ten krótki epizod okazał się najbardziej świetlanym punktem jej kariery. Potem snuła się przez rozmaite bary i piwiarnie w różnych miastach, przechodząc z jednych męskich ramion w kolejne.

Miriam przyszła na świat w Filadelfii, w szpitalu finansowanym przez organizacje dobroczynne. Potem matka umieściła ją w sierocińcu, gdzie Miriam przebywała do ósmego roku życia. Wtedy Belle dorwała w miarę stałą pracę na Coney Island i ściągnęła córkę do siebie. Przez dwa lata Miriam cieszyła się komfortem dwupokojowego mieszkania i serdecznością pana Polarskiego, ale kiedy odszedł, znów rozpoczęły się pielgrzymki nieznanymi mężczyznami. Belle starzała się. Obie były potwornie zaskoczone, gdy okazało się, że Belle zaszła w ciążę. Chryste! Tak dobrze szło przez ostatnie kilka miesięcy. Rzeczywiście tylko tego było trzeba - dziecka, które wywróci jej życie zupełnie do góry nogami!

Przez sześć miesięcy udało jej się jakoś utrzymać pracę; potem kostium nie skrywał już odmiennego stanu i Belle została wylana. Wynajęły tylko jeden pokój. Miriam miała już czternaście lat, więc rzuciła szkołę i najęła się jako pomoc w sklepie. Nie miały znajomych ani sąsiadów. Wreszcie pewnej nocy Belle została odwieziona do szpitala - drżąca Miriam siedziała wiernie u jej boku. Belle umarła pięć minut po tym, jak wydała na świat krzyczące dziecko.

Miriam zabrała niemowlę do domu. Z łatwością przekonała mało dociekliwego dyrektora szpitala, że w domu czeka na nich babcia. A potem, zdana wyłącznie na własne siły, czternastoletnia dziewczynka zaczęła wychowywać Tony'ego. Teraz, gdy o tym myślała, wszystko, przez co przeszła, wydało jej się po prostu niemożliwe. Te straszne pierwsze tygodnie, kiedy uczyła się jak prawidłowo przygotować mieszankę, kiedy prała pieluchy i stawała na głowie, by odłożone przez matkę dwieście dolarów starczyło na jak najdłużej - liczyła każdy grosz wydany na mleko, jadła zupy z puszki i krakersy.

Tony miał cztery tygodnie, kiedy dostał pierwszego ataku konwulsji. Znów był wyjęty ambulans i szpital. Zrobiono jakieś badania i mądrzy doktorzy kiwali głowami nad przypadkiem



Tony'ego. Trzymali go w szpitalu przez rok, ale dzięki temu Miriam znalazła stałą pracę i mogła odłożyć trochę pieniędzy. Zwrócono jej Tony'ego. Wyglądał zdrowo. Później były następne konwulsje i następny pobyt w szpitalu. Tak to wyglądało, dopóki nie skończył pięciu lat. Wtedy ataki drgawek ustały. Tony poszedł do przedszkola i jakoś przeczłgał się przez zerówkę. Z pierwszej klasy go po prostu wyrzucili. Nauczyciele proponowali szkołę specjalną, ale ona trzymała go w domu. Jej braciszek nie będzie chodził tam, gdzie chodzą nienormalni! Cierpliwie uczyła go wszystkiego, czego mógł się nauczyć.

Tak, początki były wprost niewyobrażalne. Ale kiedy się ma piętnaście lat, można wbrew wszelkim racjonalnym przesłankom walczyć z całym światem. A teraz świat znów sprzysiągł się przeciwko nim. A Miriam już była zmęczona.

Kilka razy rozważała nawet, czyby nie pójść do Jennifer i nie wyznać jej prawdy o Tonym, a tym samym uświadomić jej, że ślub z nim zupełnie nie ma sensu. Ale za dużo miała do stracenia. Bo gdyby tak dziewczyna wypięła się na nich oboje i zaczęła rozpowiadać o chorobie Tony'ego po mieście? To zniszczyłoby karierę i całe życie brata.

Nie mogła się teraz poddać - za długo i za ciężko o to walczyła. Boże, przecież pokonała nawet armię Stanów Zjednoczonych! Tony był w siódmym niebie, kiedy dostał kartę powołania - chciał się zabawić w żołnierzyka. Stał dopiero u progu kariery i nigdy się nie dowiedział, że Miriam po kryjomu jeździła do Waszyngtonu; nie miał pojęcia o biurokratycznej machinie, z którą tam walczyła, i o bezdusznych oficerach armii. Już niemal pogodziła się z porażką, kiedy poznała majora Beckmana. Major Beckman miał brata cierpiącego na tę samą chorobę co Tony. Przeczytał zapakowane w szarą kopertę orzeczenia lekarskie, które Miriam wyrwała ze szpitala na Coney Island. Zlecił najlepszym swoim neurologom przebadanie Tony'ego. Wreszcie Miriam dostała nowe wyniki testów i nowe orzeczenia, które skrupulatnie włożyła do szarej koperty, a jej brat został zwolniony ze służby - po cichu i nieodwołalnie. Major Beckman oświadczył prasie, że zwalnia Tony'ego ze względu na pęknięty bębenek uszny.

Nie, nie może teraz opuścić rąk. Pokonała wojsko, prasę, cały cholerny świat, i jedna cwana blondynka na pewno jej tego nie

zniszczy! Miriam będzie się ich dalej trzymała. Za kilka tygodni wyjadą na Zachodnie Wybrzeże. Tam z nimi zamieszka, i już. Kto wie, może jakoś się uda? Ciaśniej okryła podomką bezkształtne ciało i zaczęła myśleć przytomniej. Trzeba powiadomić dziennikarzy, recenzentów... Zaraz, kogo najpierw? Nie, nie można typować faworytów - prasa na pewno ma już przecieki z serwisu telegraficznego w Elkton. Kiedy Tony i Jennifer wrócą, zwoła konferencję prasową, zorganizuje wywiady z tą dziewczyną i z Tonym...

ANNA

Grudzień, 1946

Tego wieczoru Anna wróciła do Nowego Jorku. W hotelowym apartamencie znalazła wszystko w dzikim nieładzie. Na nocnym stoliku zobaczyła notatkę naskrobaną pismem przyjaciółki.

Walka była ostra, ale ją wygrałam. Kiedy zaczniesz to czytać, będę już panią Polarową. Życz mi szczęścia. Jen

Cieszyła się radością Jennifer, ale szczęście przyjaciółki wzmogło w niej poczucie beznadziejności jej własnej sytuacji.

Lyon zadzwonił do Lawrenceville, żeby przekazać jej wspinała wieści. Bess Wilson piała z zachwytu nad książką - uważała, że jest bardzo obiecująca - ale uznała też, że trzeba ją przerobić od a do zet, zanim będzie ją mogła wręczyć wydawcy. Lyon opowiadał jej o tym bardzo rozentuzjasmowany. Jasne, to oznaczało pracę przez kolejne pół roku, ale książka się podobała Bess, a Bess trudno jest zadowolić.

Anna usiłowała ukryć rozczarowanie. Sześć miesięcy poprawek! A do tego jeszcze Jen wkrótce wyjedzie. Nagle apartament hotelowy wydał się jej przeraźliwie pusty.

Mogła opłacać go sama. Miała mnóstwo pieniędzy, albo będzie je miała niedługo - jak wszystko dobrze pójdzie. Niestety nie mogła się odciąć od Lawrenceville jednym pociągnięciem - wręczając klucze panu Walkerowi. Trzeba było jeszcze wykonać wiele posunięć prawnych, przy których, niestety, musiała być obecna. Przede wszystkim trzeba odczekać, aż testament uprawomocni się. A meble... No cóż, nie mogła ich tak po prostu wystawić na ulicę. Pan Walker twierdził, że mają jakąś wartość. Trzeba każdą sztukę oznakować i wysłać na aukcję do Nowego Jorku albo do Bostonu. Te meble przyniosą jej niezły kawałek grosza. Poza tym matka zostawiła jej pięćdziesiąt tysięcy w akcjach, papierach wartościowych i w gotówce. Odziedziczyła również pieniądze ciotki Amy, kolejne dwadzieścia pięć tysięcy. Pan Walker uważał, że uda mu się sprzedać dom za następne czterdzieści, bo wielkie domiszcze stoi w końcu na dużym kawałku ładnej ziemi. Tak, będzie miała mnóstwo pieniędzy, dobrze ponad sto tysięcy dolarów - nie licząc gotówki za meble - ale musi jeszcze wrócić do Lawrenceville przynajmniej na tydzień, a może nawet dłużej. Wstrząsnął nią dreszcz. Już samo przebywanie w rodzinnym domu wpędzało ją w niewytłumaczalne przygnębienie.

Wzięła szybki prysznic, przebrała się i taksówką pojechała do Lyona. Kiedy weszła do mieszkania, siedział przy maszynie.

- Wejdz do mojej jaskini - powiedzial, serdecznie ja obejmujac. Zaczal zbierac z podlogi rozrzucone, zmiete kartki. - Nie patrz na balagan. Co wieczor pracuje jak wariat. Idzie mi jak po masle.

Usmiechnela sie, zeby mu sprawic przyjemnosc.

- Cieszę się, Lyon. Wiem, że to będzie świetna książka. - Uniosła plik świeżo zapisanych kartek i spojrzała na nie. - Zdaję sobie sprawę z tego, że mój wyjazd do Lawrenceville nie jest ci zbyt na rękę, ale mogę zabrać część tego z sobą i przepisać ci na czysto.

- Co ja bym bez ciebie zrobił? To, co sam wystukuję, wygląda jak hieroglify. - Nagle zmarszczył czoło. - To nieuczciwe wobec ciebie.

Byłaś taka cierpliwa. A teraz następna zwłoka; trzeba to cholerstwo przepisać.

Usmiechnela sie.

- Mówiłam ci, że jak będzie trzeba, mogę czekać choćby całą wieczność. Nie zważaj na mnie ani na mój nastrój, Lyon, to tylko Lawrenceville.

Później, kiedy leżała już w jego ramionach, Lawrenceville wydało jej się gdzieś na końcu świata. Zupełnie jakby nigdy tam nie była. I dopiero dużo później przypomniała sobie o Jennifer. Opowiedziała o tym Lyonowi.

- Cieszę się ze względu na nią - powiedział. - Ale czy to cię nie dotknie finansowo? Tracisz współlokatorkę.

- Mam pieniądze, Lyon. Mama mi sporo zostawiła.

- Nie mów o tym nikomu. Jakiś łowca posagów zaraz mi ciebie porwie.

- Lyon, dlaczego nie mielibyśmy się pobrać? Mam wystarczająco dużo, żebyśmy mogli żyć... długo.

- A ty byś wstawiała co rano i wychodziła do pracy...

- Tylko po to, żebyś miał trochę wytchnienia. Byłoby tu ciasno dla nas dwojga, ale gdy tylko wyjdzie twoja książka... mogłabym pracować dla ciebie. Przepisywałabym robocze wersje, zajmowałabym się korespondencją z czytelnikami...

- Wcale by tak nie było, Anno. Wiesz dobrze, co mówi Bess Wilson. Nawet jeśli ta książka okaże się dobra, zdobędę sobie tylko drobną reputację. Będę musiał pracować przez kolejny rok i będę prawie bez grosza. I weź pod uwagę, że cały czas będę pisał. W czasie

tych kilku wieczorów dowiedziałem się czegoś o pisarstwie... Człowiek wpada w rytm, kiedy tak siedzi godzinami przy biurku.

- A zatem mam rację. - Usiadła.

- Masz i nie masz. Odłożyłem trochę grosza, Anno. Ale zanim napiszę drugą książkę, pieniądze mi się skończą. Mogłoby się okazać, że przychodziłbym do ciebie po drobne na papierosy. Czułbym się zbyt upokorzony. Nie, kochanie, nic by z tego nie wyszło.

- No więc co mam zrobić? Siedzieć i czekać, aż przyznają ci nagrodę Pulitzera?

- Nie. Poczekaj tylko, aż się dowiemy, z jakim przyjęciem spotka się mój debiut. Może w ogóle z żadnym? Nie mam nawet pewności, że książka ukaże się drukiem.

- O, tak. Na pewno. Dobrze wiesz, że tak. Zaczekam. - Zamyśliła się. - Ciekawe, ile trwa wydrukowanie książki? Roześmiał się i wziął ją w ramiona.

Anna chodziła nerwowo po deskach peronu stacji Lawrenceville. Miejscowy pociąg spóźniał się jak zwykle. Biedny Lyon. Pięciogodzinna podróż do Bostonu jest już wystarczająco męcząca, ale potem to godzinne siedzenie w nie ogrzewanym pociągu osobowym i tyle przystanków po drodze...

Ostatnie trzy dni były dla niej mordercze. W końcu odczuła nawet wdzięczność wobec Williego Hendersona, który obwoził ją wszędzie nowym Chevroletem. Na każdym kroku potykała się o straszną biurokrację; czasami miała wrażenie, że nic się nie posuwa do przodu. Musiała czekać tu do połowy przyszłego tygodnia na pośrednika z Bostonu, który miał przyjechać, żeby omówić z nią sprawę sprzedaży mebli. Trzeba przedyskutować wszystko po kolei - każdy jej krok spowalniały jakieś procedury prawne. Czuła się jak w więzieniu.

Ale Lyon przyjeżdża do niej na weekend. Spędzą razem dwa cudowne dni i przez te dwa dni gotowa jest nawet przeżyć tę okropną dziurę. Po raz pierwszy w matczynym łóżu z baldachimem, wspartym na czterech filarach, znajdują się kochankowie, którzy potrafią się cieszyć sobą. Ścieląc łóżko zastanawiała się, ile denerwujących nocy spędził w nim ojciec - ile razy spławiła go jej matka, uczuciowo wieczna dziewica. „Hm, dziś wieczór czeka cię niespodzianka” - powiedziała do starego mebla, kiedy kończyła ścienienie. Klepnęła łóżko na pożegnanie, a ono odpowiedziało skrzypnięciem, jakby - wstrząśnięte - wyrażało swój protest.

Teraz jednak, gdy spacerowała po peronie, zastanawiała się, czy postąpiła rozsądnie. Wszyscy w Lawrenceville się dowiedzą, że Lyon tu jest, że mieszka w jej domu. No to co! Sprzeda dom i nikt jej tu więcej nie zobaczy. A niech diabli wezmą to miasto! Jaka to różnica, co kto sobie o niej pomyśli!

Usłyszała gwizd pociągu osobowego, który z klekotem przejeżdżał zwrotnice. Pierwsza zobaczyła Lyona. Lekko prószący śnieg osiadał na jego ciemnych włosach, kiedy szedł po peronie. Poczula, jak coś ją ściska w piersi. Na jego widok zawsze czuła ten ucisk. Czy nadejdzie taki czas, kiedy będzie go pewna, kiedy uzna, że jest częścią jego dnia powszedniego, i wreszcie się odpręży wiedząc, że Lyon należy do niej?

Teraz, kiedy uśmiechnął się na powitanie, odczuła tę samą falę zdumienia, która ją zawsze oblewała na myśl, że ten wspaniały mężczyzna naprawdę jest jej. Przejechał taki szmat drogi tylko po to, żeby spędzić z nią weekend!

- Nie wierzyłem już, że kiedykolwiek tu dotrę - powiedział i przytulił ją lekko. - Jakie miasteczka mijalem po drodze! Boże drogi, założę się, że nikt nie wie o istnieniu Rzymu w Massachusetts!

- Ani o Lawrenceville.

- Och, o Lawrenceville wiedzą wszyscy. Ty je rozślawiłaś. Jak dojedziemy do tej rodowej siedziby? Saniami?

Zaprowadziła go do taksówki. Wtulała się w niego, kiedy oglądał wiejskie krajobrazy.

- Nie powinniśmy mu powiedzieć dokąd? - szepnął.

- Pan Hill wie, gdzie kto mieszka. Gdybyś przyjechał sam, nie pytany o nic zawiózłby cię do gospody.

Uśmiechnął się.

- To mi się podoba. Co za odmiana po taksówkarzach nowojorskich. Wiesz co? Ładnie tu.

- Pod śniegiem wszystko wygląda lepiej - stwierdziła bez entuzjazmu.

- Kiedy zaczęło padać? W Nowym Jorku niebo było całkiem czyste.

Wzruszyła ramionami.

- Pewnie gdzieś w sierpniu. Tutaj śnieg pada cały rok. Objął ją.

- Nic cię nie przekona, co? Kiedy raz się zniechęcisz, nie znasz litości.

- Dałam temu miastu aż dwadzieścia lat. To chyba dość dużo, jak na takie miasteczko.

Lyon nachylił się do kierowcy.

- Pan lubi Lawrenceville, panie Hill? Taksówkarz podrzucił głową.

- Taa... Czemu nie? Tu się urodziłem. To porządne, miłe miasto. Panienna Anna przechodzi niepokoje okresu dorastania. To się zmieni. Jak tylko zamieszka tu na jakiś czas...

- Mówiłam panu, że wyjeżdżam stąd na zawsze, panie Hill!

- Przypuszczam, że jak naprawdę nadejdzie moment rozstania z rodzinnym gniazdem, zmieni pani zdanie. Pamiętam, że pani matka urodziła się w tym starym domu. Pani małe też się tu urodzą. Teraz mamy już duży nowy szpital w Weston, tylko piętnaście kilometrów w bok od autostrady. I lepszy od waszych nowojorskich szpitali. Ostatnio, w czasie epidemii polio, nawet z Bostonu przysyłali po nasze żelazne płuco.

Taksówka z chrzęstem wjechała na zaśnieżony podjazd i zatrzymała się przed domem. Lyon wysiadł i patrzył bez słowa.

- To twoje? - zwrócił się do Anny; jego oczy rozbłyły podziwem. - Anno... ten dom jest przepiękny!

- Śnieg go zdobi.

Zapłacił panu Hillowi, pożyczył mu wesołych świąt i wszedł za nią do środka. Anna przyznała z niechęcią, że ogień trzaskający na kominku sprawiał, że duży salon stał się przytulny. Oprowadziła Lyona po domu, a on oglądał wszystko rozpromienionym wzrokiem. Wiedziała, że z jego strony to więcej niż zwykła grzeczność. Ten dom naprawdę mu się podobał.

Usmażyli befsztyki w wielkiej kuchni i zjedli je przed kominkiem w salonie. Lyon nalegał, żeby rozpaść kominek w sypialni. Annę zaskoczyła jego sprawność przy rozniecaniu ognia.

- Zapominasz, że spędziłem większość życia w Londynie, gdzie na ogół nie ma centralnego ogrzewania - przypomniał.

A potem zauważył:

- To wspaniały dom. Mieszkałaś tu za długo, żeby go w pełni docenić. Wiesz, że do ciebie pasuje? Jesteś jakby częścią tego miejsca.

- Nie mów tak nawet w żartach - obruszyła się. - Nie uważam tego za komplement.



W niedzielę śnieg przestał padać, poszli więc na długi spacer. Od razu natknęli się na niemal połowę mieszkańców Lawrenceville, którzy właśnie wychodzili z kościoła.

Anna machała im ręką, ale nie przystawała - czuła na sobie ich zaciekawione spojrzenia.

Kiedy wrócili do domu, Lyon wziął się do rozpalania ognia, a ona przyniosła mu kieliszek sherry.

- To jedyne, co znalazłam - usprawiedliwiła się. - W domu nie ma ani grama whisky.

- Jesteś upadłą kobietą - powiedział, sącząc trunek. - Widziałem spojrzenia sąsiadów. Zajrzą do gospody i odkryją, że nie jestem tam zameldowany. Wygląda na to, że będę się musiał z tobą szybko żenić, żeby odbudować twoją nadszarpniętą reputację.

- Mam w nosie, co oni tu sobie pomyślą. Przysiadł koło niej.

- Daj spokój, ty mały uparciuchu z Nowej Anglii. Już przestań się czepiać tego domu, przyznaj wreszcie, jest cudowny. I jaki wspaniały pokój! A ten obraz nad kominkiem, czy to czasem nie Sargent?

- Chyba tak. To portret mojego dziadka. Wysyłam go do jednej z galerii w Nowym Jorku. Zaproponowali mi dobrą cenę.

- Zaczekaj z tym. Cena jeszcze na pewno pójdzie w górę. - Umilkł na chwilę. - Ale mówiąc poważnie, Anno... Kiedy patrzę na ciebie tutaj, myślę, że nigdy dotąd nie wyglądałaś piękniej. Rozkwitasz w tym otoczeniu. I wcale nie mam wrażenia, że jesteś przygnębiona. Najwyraźniej z Lawrenceville jest ci bardzo do twarzy.

- Tylko dlatego, że ty tutaj jesteś, Lyon.

- Chcesz powiedzieć, że tam, gdzie me serce, tam mój dom? - Przytulił ją mocniej i oboje wpatrywali się w ogień. Po chwili, wciąż patrząc rozmarzonym wzrokiem w płonące kłody drewna, powiedział: - Wiesz, kto wie, czyby się nie udało...?

- Co takiego?

- Nasze małżeństwo. Przysunęła się bliżej.

- Zawsze to mówiłam. Możesz już przestać się bronić. To i tak nieuchronne.

- Mam sześć tysięcy dolarów. Jak wygląda tu sprawa podatków?

- Tutaj?

- Nie sądzę, żeby były jakieś strasznie wysokie... Pamiętasz, jak ci mówiłem, że nie mogę się z tobą ożenić i pozwolić na to, żebyś

mnie utrzymywała? Ale przypuszczam, że mógłbym przyjąć gościnnie tego wspaniałego domu. Za sześć tysięcy dolarów przez rok dalibyśmy sobie radę. A jeśli dobrze by mi tu szło pisanie, usiadłbym od razu do następnej książki. Anno, mogłoby się udać! - Wstał i zacierając ręce rozejrzał się po salonie. - Boże, byłoby wprost cudownie! I tu na pewno potrafiłbym pisać.

- Tu? - Pytanie niemal uwięzło jej w gardle.

- Anno... - Ukląkł na podłodze. - Nic między nami nie odbyło się dotąd tak, jak powinno. Ale teraz w tym bardzo pięknym i bardzo tradycyjnym domu, oświadczę ci się staroświecko i zgodnie z etykietą: na kolanach. Zostaniesz moją żoną?

- Oczywiście. Ale czy to znaczy, że chciałbyś zatrzymać dom, przyjeżdżać tu i pisać? Mnie się to też podoba, myślę jednak, że za wiele czasu tracilibyśmy na przejazdy co weekend...

- Mieszkalibyśmy tu, Anno! To twój dom, ale ja płaciłbym podatek i opłacałbym wydatki na życie. Któregoś dnia zarobię takie pieniądze, że będę w stanie dodać tu coś mojego! Tak pewnie zrobił twój ojciec. Pan Hill mówił, że twoja matka się tu urodziła. Tu byłyby nasze korzenie. I ja się na pewno tu sprawdzę. Będę świetnym pisarzem. Zobaczysz!

- Mielibyśmy tu mieszkać? - Spojrzała na niego z przerażeniem.

- Wrócę do Nowego Jorku i złożę u Henry'ego wypowiedzenie w naszym wspólnym imieniu. Jeśli chcesz, możemy się pobrać w Nowym Jorku. Jest jeszcze Jennifer...

- Tam jest wszystko!

- Nic takiego, bez czego nie możemy żyć.

- Lyon, ja po prostu nie znoszę tego domu i Lawrenceville! Nie znoszę, i już!

Po raz pierwszy dostrzegł jej przerażenie.

- Nawet ze mną? - zapytał ostrożnie.

Zaczęła krążyć nerwowo po salonie, rozpaczliwie usiłując zebrać myśli. Musiała mu to dobrze wytłumaczyć.

- Lyon, mówisz, że mógłbyś tu pisać. Pewnie tak, nawet osiem godzin dziennie. Ale co ja bym wtedy robiła? Miałabym się zapisać do klubu pań? Raz w tygodniu grać w bingo? Odnowić tak zwane przyjaźnie z tymi okropnymi dziewczuchami, z którymi się tu chowałam? Ciebie zresztą też nie przyjęto by tak szybko. Jesteś człowiekiem z zewnątrz. Żeby w tym snobistycznym mieście w ogóle

cokolwiek znaczyć, trzeba mieszkać tu przynajmniej od trzech pokoleń...

Wyraźnie odetchnął.

- I ty się tym martwisz? Że będą wobec mnie stosować ostracyzm? Nie przejmuj się. Mam grubą skórę. Będziemy chodzić do kościoła, pokazywać się w mieście. Kiedy już zrozumieją, że chcemy tu zostać na stałe, z czasem na pewno zmiękną.

- Nie, nie! Nie zrobię tego! Nie będę tu mieszkać!

- Dlaczego, Anno? - spytał bardzo cicho.

- Lyon, czy ty naprawdę nie rozumiesz? Ty masz swoje zasady i nie chcesz być moim utrzymankiem w Nowym Jorku, ja... ja też mam swoje. Niewiele. Właściwie tylko jedną. To, z czym nie mogę się pogodzić, to Lawrenceville! Nienawidzę go! Uwielbiam Nowy Jork. Zanim przeniosłam się do Nowego Jorku, mieszkałam tutaj, w tym mauzoleum, i byłam dokładnie niczym. Byłam martwa. Kiedy przyjechałam do Nowego Jorku, poczułam się jak nowo narodzona. Po raz pierwszy wiedziałam, że żyję, że oddycham!

- Ale teraz mamy przecież siebie. - Patrzył jej prosto w oczy.

- Ale nie tu - jęknęła. - Nie tu. Naprawdę nie rozumiesz? Jakaś część mnie od razu by umarła.

- To znaczy, że możesz mnie kochać tylko w Nowym Jorku. Mamy do czynienia z umową związaną.

- Kocham cię, Lyon. - Po jej policzkach płynęły łzy. - Będę cię kochać wszędzie. Pojadę za tobą wszędzie, gdzie zagna cię praca. Wszędzie, tylko nie tu...

- I nawet nie spróbujesz... przez jeden rok czy dwa?

- Lyon... sprzedam ten dom. Dam ci wszystkie pieniądze... Będę z tobą mieszkać w jednym pokoju... Ale nie tu!

Odwrócił się i pogrzebał szczypcami w kominku.

- Myślę, że to rozwiązuje kwestię... Dołożę jeszcze jedno polano przed wyjściem. Ogień dogasa.

Spojrzała na zegarek.

- Jest jeszcze wcześnie.

- Wsiądę w pociąg o czwartej. Jutro mam mnóstwo pracy, a już w środę zaczynają się święta.

- Odprowadzę cię na stację. - Podeszła do telefonu i zamówiła pana Hilla z taksówką.

Ogień prawie zagaśł, gdy wróciła do domu. Kiedy zabrakło Lyona, salon wydał jej się znowu nieprzytulny, nijaki. O Boże, czy Lyon zrozumiał? W taksówce prawie wcale się nie odzywał. „Wrócę we wtorek - obiecywała. - Nic mnie nie powstrzyma od spędzenia z tobą świąt.”

Ale kiedy wszedł do pociągu, nie odwrócił się, żeby jej pomachać. Zrobiło jej się niedobrze. Przeklęte Lawrenceville! Wyciągało po nią macki zupełnie jak ośmiornica; chciało ją zadusić.

Następnego dnia dzwoniła Jennifer. Mieszkali z Tonym w ślicznym apartamencie w Essex House. Miriam zajmowała pokój na tym samym piętrze, ale zachowała się bardzo ładnie. Wcześniej zamierzali wyjechać do Kalifornii już drugiego stycznia. Jennifer chciała wiedzieć, kiedy Anna wraca. Ona i Tony urządzali nazajutrz wielkie przyjęcie wigilijne.

- Przyjdę - obiecywała Anna. - Ale wygląda na to, że załatwienie wszystkich spraw tutaj będzie się wlokło w nieskończoność. Rozmawiałam z Henrym kilka dni temu. Jest taki cudowny... Mówi, żebym została tu spokojnie, ile będzie trzeba. Ale na święta wrócę. Myślę, że Lyon zadzwoni dziś wieczorem. Powiem mu o twoim przyjęciu. Zobaczymy się jutro!

Lyon nie zadzwonił wieczorem. Pewnie obraził się na cały świat. W zasadzie była to ich pierwsza kłótnia, poza tym nieporozumieniem w Filadelfii. Hm, przetrzyma go dzisiaj. Ale jutro zatelefonuje do biura i powie mu, że wraca pociągiem o dwunastej.

Zamówiła rozmowę o dziesiątej rano. W biurze nie zastała ani Henry'ego, ani Lyona. Rozmawiała z George'em Bellowsem.

- Nie wiem, gdzie jest Lyon - powiedział. - Nikt mnie tu o niczym nie informuje. Lyon był wczoraj, ale wyszedł w południe. Henry wyjechał na Zachodnie Wybrzeże w piątek. Miał coś pilnego do załatwienia w związku z programem Jimmy'ego Granta. Może wezwał Lyona? Mówiłem ci, że ja tu o niczym nie wiem.

Rozpakowała torbę. Nie było po co jechać do Nowego Jorku. Odczuła rozczarowanie i jakąś ulgę zarazem. Lyon prawdopodobnie wyjechał do Kalifornii i dlatego do niej wczoraj nie dzwonił - przynajmniej się nie obraził. Niewątpliwie zatelefonuje do niej wieczorem i wszystko wyjaśni.

Wigilię spędziła sama. Lyon nie zadzwonił. O trzeciej nad ranem spróbowała go złapać w mieszkaniu. Może jednak nie pojechał do

Henry'ego? Może, obrażony na cały świat, po prostu samotnie to przeżywa i nie odbiera telefonów?

To były najgorsze święta w życiu Anny - oczywiście wszystkiemu winne Lawrenceville. Zabrakło jej polan do kominka, włączyła więc ogrzewanie olejowe. Nie marzła, ale dom był zimny i martwy. Popijała herbatę. Zjadła kilka krakersów. Radio nie zagłuszało w pełni nie kończącej się symfonii kościelnych dzwonów, a kolędy bożonarodzeniowe wprowadzały ją w stan jeszcze większego przygnębienia. To ma być dzień radości. A ona siedzi sama. Jennifer jest z Tonym, Neely z Melem w Kalifornii. A ona siedzi sama w Lawrenceville!

Następne dni spędziła w towarzystwie pana Walkera. Każdy mebel został oznakowany i rozgardiasz zaczął ustępować wreszcie jakiemuś porządkowi. Będzie mogła wyjechać pod koniec tygodnia. Tylko co się działo z Lyonem? Minęło pięć dni. W rozpaczy dopadła Henry'ego w hotelu Beverly Hills w Kalifornii.

- Henry, gdzie jest Lyon?

- Sam chciałbym wiedzieć - usłyszała jego trzeszczący głos.

- Nie ma go z tobą w Kalifornii?

- Nie, sądziłem, że jest z tobą.

- Nie widziałam go od niedzieli.

- Żartujesz! - Henry nagle się zafrasował. - Dzwoniłem wczoraj po południu do biura. George mówił, że nie widział go od poniedziałku. Uznałem, że spędza święta z tobą.

- Henry, musimy go znaleźć!

- Dlaczego? Czy coś się stało? Chcę powiedzieć... Właściwie co miałyby się stać? Człowiek nie znika tak bez śladu. Telefonowałem do niego do domu przez trzy kolejne wieczory. Po prostu go nie ma.

- Jutro wracam. Henry, znajdź go! Znajdź go! - Teraz się przestraszyła.

- Dobra, dobra, uspokój się. Pokłóciliście się, moje gołąbki?

- Niezupełnie. To było raptem nieporozumienie. Nie przypuszczałam, że okaże się tak poważne.

- Ja też jutro już będę w Nowym Jorku - powiedział Henry. - Chyba że pogoda nawali. Mam zamówione miejsce na samolot dzisiaj o czwartej. Nie denerwuj się. Lyon nie uciekłby tak od nas. Na pewno zjawi się w poniedziałek i wszystko logicznie wytłumaczy. Odpocznij sobie w Lawrenceville w czasie weekendu.

- Odpocznij! Siedzę tu jak na szpilkach i marzę o dniu, kiedy się stąd wyrwę!

Gdy zajechała do swojego hotelu w Nowym Jorku, czekała na nią wiadomość od Lyona.

Kochana Anno!

Dziękuję ci za ofiarowaną mi chwilę namysłu. Powinienem raczej napisać: pięć godzin rozmyślań. W czasie pięciogodzinnej jazdy pociągiem miałem dużo czasu na myślenie. Jeśli chcę pisać, mogę zrobić tylko jedno: usiąść i rzeczywiście pisać. Do tej pory wciąż szukałem pretekstów, żeby to od siebie odsunąć. Najpierw musiałem pracować u Henry'ego, potem wymyśliłem sobie twój dom jako idealne miejsce dla pisarza. Wygląda na to, że chciałem absolutnego komfortu - chciałem, żeby się wszystko najpierw wygodnie ułożyło, a dopiero wtedy usiadłbym do prawdziwej pracy. A kimże ja jestem, do diabła? Chciałem cię po prostu wykorzystać, chciałem widzieć w tobie pełną poświęcenia żonę literata, o jakich się czyta tu i tam. Mam uczucie, że żyję teraz ciągle w stanie zawieszenia. Nie jestem już tym pełnym zapału Lyonem Burke, którego znał niegdyś Henry, ale też nie znajduję w sobie oddania, jakie charakteryzuje autentycznego pisarza. Swoją przyszłość widzę jako działania połowiczne - Lyon Burke, połowiczny pisarz. Pisarz, który nie może zdecydować się na odejście od Henry'ego, dopóki nie osiągnie sukcesu jako autor; nie żeni się, bo może być mężem tylko na godziny; nie pisze, bo musi pracować dla Henry'ego. Dotychczas wkładałem tylko część siebie w nasz związek, w pracę w agencji i w pisanie. To oczywiste, że nie jestem w stanie robić dobrze trzech rzeczy naraz. A skoro tak, powinienem usunąć się z życia dwojga ludzi, na których zależy mi najbardziej. Podobne myśli spisałem w liście do Henry'ego. George Bellows jest dobrym człowiekiem - to właściwy partner dla Henry'ego. A po tym cudownym Nowym Jorku, najdroższa, na pewno chodzi gdzieś mężczyzna, który jest dla ciebie idealny - musisz go tylko poszukać.

Mówiłem ci, że mam trochę grosza. Mam też dostęp do dużego, nie ogrzewanego domu w północnej Anglii. Należy do moich krewnych, ale nikt w nim nie mieszka. Przewietrzę kilka pokoi. Mogę tam siedzieć latami za małe pieniądze i pisać, aż mi kostki u rąk zsinieją. Zimą w Anglii mamy tylko kilka godzin dziennego światła. W porównaniu z Anglią Lawrenceville leży już w tropiku. Ale nikt tam nie będzie mi przeszkadzał w pracy.

Anno, dołączam do listu klucze od mojego mieszkania. Jest to jedyna praktyczna rzecz, jaką mogę dla ciebie zrobić. Jennifer wyszła za mąż, więc zostałaś sama, a o mieszkania nadal bardzo trudno. I w końcu zdobyłem to mieszkanie i meble dzięki tobie. Myślę więc, że najuczciwiej byłoby, gdybyś w nim teraz zamieszkała. To i tak niewiele. Biorę ze sobą ten cudowny prezent, którym mnie obdarzyłaś - maszynę do pisania. Jeśli zdecydujesz, że mieszkanie ci się przyda, przejmij moją umowę o wynajem. I proszę cię, nie wpadnij czasem na niemądry pomysł, żeby na mnie czekać. Ostrzegam cię, że ożenię się z pierwszą lepszą pulchną Angielką, która zechce mi gotować i o mnie dbać. A po latach, jeśli uda mi się spłodzić jakąś niezłą książkę, będziemy mogli oboje powiedzieć: „Przynajmniej w jedną rzecz włożył całe serce”.

Kochałem cię, Anno. Ale ty jesteś zbyt cudowna, żeby poprzestać na małej cząstce małego człowieka, który łapiąc wiele srok za ogon, niczemu nie umiał się oddać. Skupię więc wszystkie siły na pisarstwie - dzięki temu jedyną osobą, którą mogę skrzywdzić, będę wyłącznie ja sam.

Dziękuję ci za najcudowniejszy rok w moim życiu,  
Lyon

**JENNIFER**



Maj, 1947

Jennifer siedziała w cieniu nad basenem. Jeszcze raz przeczytała list od Anny. Hm, chyba wróciła do normy - po raz pierwszy nie napisała ani słowa o Lyonie. Może wreszcie jej przeszło? Ale dlaczego ciągle trzymała się jego mieszkania? Czyżby wciąż miała nadzieję, że któregoś dnia Lyon jednak wróci? Po pięciu miesiącach?! Przecież przez cały czas nie odezwał się nawet słowem! Najlepszy dowód na to, że nie sposób przewidzieć, co się lęgnie w głowie mężczyzny. Przypomniała sobie swoje zdjęcia z Tonym. Wydają się na nich tacy szczęśliwi - idealna para z Hollywood!

Słońce wpełzło pod parasol. Jennifer wyciągnęła rękę i pochyliła go tak, żeby zasłonić się przed gorącymi promieniami. No jasne, ktoś, kto jest uczulony na słońce, musi wylądować w końcu w Kalifornii.

Spojrzała ze złością na rozżarzoną pomarańczową kulę na niebie. Zawsze tam tkwiła. To jedyna rzecz w Kalifornii, na którą bez pudła można liczyć. Czasami z rana zdarzała się lekka mgiełka, ale cytrynowa tarcza wcześniej czy później zawsze trafiała na swoje miejsce - najpierw nieśmiało, potem, jakby coraz bardziej puchnąc, rozjaśniała nieboskłon, wsysała mgłę i chmury, by wreszcie triumfalnie i niepodzielnie zapanować nad niebem, błękitnym jak wzór na porcelanie.

Westchnęła. Od dnia, kiedy tu przyjechała w styczniu, ciągle czuła się jak w środku lata. Jak te cholerne pomarańcze rosną, skoro tu nigdy nie pada? W Nowym Jorku jest maj... Na wschodzie człowiek docenia dobrą pogodę, gdy nadchodzi wiosna. Pomyślała o Nowym Jorku. Powietrze musi już pachnieć balsamicznie... Ludzie pochowali zimowe okrycia do szaf i teraz siedzą sobie w ogródkach kawiarni przy Central Park. A w Nowym Jorku jest gdzie spacerować! Trudno docenić w pełni, co to za przyjemność, póki się nie pomieszka trochę w Kalifornii. W Nowym Jorku można sobie pochodzić gdzieś późnym wieczorem. Jeśli nie ma się nic lepszego do roboty, można spacerować Piątą Aleją i oglądać wystawy. Albo wybrać się do kina na nocny seans, czy nawet przejść tam i z powrotem po Broadwayu, pogryzając hot - doga. A gdyby tak ktoś chciał się wybrać na wieczorną przechadzkę po Beverly Drive, od razu zgarnąłby go pierwszy lepszy patrol policyjny.

No cóż, Anna miała przynajmniej Nowy Jork. Pisała, że dużo wychodzi, ale w żadnym z listów nie padło ani jedno męskie imię czy

nazwisko. Pewnie wciąż czeka na Lyona. Hm, to przynajmniej jednak jakiś konkret.

A na co czeka ona, Jennifer? Aż minie kolejny dzień? Dziś wieczorem miała pójść na kolejne przyjęcie. Nie czuła dreszczu podniecenia, ale to w końcu lepsze od remika z Tonym. Nawet na tej głupiej grze nie może się skupić porządnie, bo Miriam wciąż nad nim wisi i ciągle mu przeszkadza, instruując go, którą kartą zagrać. Gdybyż ta Miriam wreszcie dała mu spokojnie pograć!

Jennifer pociągnęła Coca - Colę. Lód się już rozpuścił. Ciepła Coca - Cola przypominała smakiem lekarstwo na przeczyszczenie. Jennifer nie czuła w sobie dość energii, żeby wstać i pójść do domu po szklankę świeżego, zimnego napoju. Rozleniwiła się tak bardzo, że właściwie nic jej się nie chciało. A na tym przyjęciu wcale nie będzie fajnie - po prostu kolejne następne spotkanie w interesach. Tony miał zagrać główną rolę w nowym filmie Dicka Meekera, więc będzie musiała być miła i uprzejma. Miła i uprzejma. Miriam bez przerwy wbijała jej te dwa słowa w głowę. Nie próbuj tu grać pierwszych skrzypiec. Tu, w Kalifornii, jesteś nikim. Tutaj wszyscy są wielcy, wystarczy zatem, jak będziesz miła i uprzejma.

Starła się jak mogła. Przeplływała przez bankiety i przyjęcia niczym uśmiechnięta zjawa z zaświatów. Nie zawierała przyjaźni. Miriam miała rację - uroda w Hollywood nie jest oryginalną bronią. Po Hollywood kręcą się setki nieznanymi piękności. U Szwaba na okrągło przesiadywały piękne dziewczyny; nawet kelnerki, te, które podają tace z jedzeniem do aut, też olśniewają ślicznymi buziami. A jednak większość gwiazd ekranu nie odznacza się wielką urodą. Jane Wyman wyglądała jak energiczna dziewczyna z ludu, Barbara Stanwyck jest elegancka i w bardzo dobrym stylu, podobnie jak Rosalind Russell. Joan Crawford wygląda po prostu oszałamiająco. O matko, to dopiero historia! Przez tyle lat Jennifer myślała o sobie, że jest wyjątkowa, bo ma ładne zęby, prosty nos i duży biust. A duży biust w ogóle nie jest w dobrym tonie. Adrian i Ted Casablanca oraz inni wielcy projektanci hollywoodzkiej mody stworzyli nowość - linię szerokich ramion. Duże piersi psują cały efekt i tylko przeszkadzają.

Czeka ją kolejny nudny wieczór. Jest nikim - panią Polar, żoną obiecującego przybysza z zewnątrz. O tak, ktoś mógłby powiedzieć, że Tony znany jest z radia. Ale tutaj to nie znaczy wiele. Żeby tutaj kimś być, trzeba siedzieć w filmie, a żony wschodzących gwiazd to...

to ledwie zauważane dodatki do garniturów mężów. Tak naprawdę to żona ma tu ten sam status społeczny co scenarzysta - jest kimś niezbędnym, ale anonimowym. Nawet małe gwiazdeczki cieszą się na bankietach większym zainteresowaniem niż żony gwiazd. Młode aktoreczki okazują ciągłą gotowość do wszelkich działań, poza tym znają producentów i rzucają na prawo i lewo zabawnymi anegdotkami o zakulisowych sprawach - wiedzą, który gwiazdor zawsze krzyczy „mamo!” w trakcie szczytowania, który z wielkich przemysłu filmowego lubi, gdy jego żona patrzy... No tak, hollywoodzkie gwiazdki ściągają na siebie na przyjęciach sporo uwagi, gdy tymczasem żony żyją w nudnej pustce. Cieszą się respektem wpisanym w rolę oficjalnej towarzyszki życia i dlatego nikt ich nie podrywa, z drugiej zaś strony zbyt mało znaczą, by można je zaliczyć do grupy ludzi szanowanych. Na większości przyjęć Jennifer siedziała przy barku, rozmawiając z najętymi barmanami, którzy przylatywali tu z Nowego Jorku - wspominała restauracje Sardiego i Lindy'ego. Łatwiej nawiązywała kontakt z barmanami niż z innymi beznadziejnie snującymi się żonami, które wiecznie zaprzątnięte były kłopotami ze służbą i niepowodzeniami w tenisie.

Jennifer odebrano tu nawet radość szaleństwa zakupowego, na jakie pozwalała sobie przed małżeństwem. W ciągu tych pięciu miesięcy, które tu spędziła, pozwolono jej kupić tylko jedną suknię wieczorową. „Masz więcej ubrań niż niejeden dom towarowy”, burczała Miriam. Może i tak, ale już się nimi znudziła. Czy Miriam naprawdę nie rozumie, jakie to ważne mieć ciągle coś nowego? Ale Miriam ma w szafie tylko trzy sukienki, w dodatku wszystkie takie same. A na bankiety chodzi w niebieskiej koronkowej sukni sprzed pięciu lat i białych ortopedycznych butach!

Miriam wyznaczyła jej tygodniówkę w wysokości pięćdziesięciu dolarów. Jennifer wszystko posyłała matce, a matka odpisywała, że to ciągle mało. Próbowwała rozmawiać z Tonym o sytuacji finansowej, ale rzadko go widywała. Zawsze albo miał jakieś nagrania, albo uczył się nowych piosenek, albo odbywał próby swojego programu radiowego. A przy stole w czasie kolacji zawsze siedziała Miriam. W nocy zaś, kiedy byli sami w wielkim łóżku, stawał się dawnym, nienasyconym Tonym i łapczywie wyciągał po nią rękę. Ale kiedy już zaspokoił namiętność, znów był nieosiągalny. Starła się mu wytłumaczyć, że gdyby mogła stać się częścią jego życia, towarzyszyć mu w drodze na

szczyt, nie umierałaby tak bardzo z nudów. Ale on najwyraźniej nie rozumiał. Tym zajmuje się Miriam, z nią porozmawiaj.

Kiedy wspominała o pieniądzach, było dokładnie tak samo. Pogadaj z Miriam, ona da ci wszystko, czego potrzebujesz. A Miriam wciąż powtarzała swoją starą śpiewkę: „Po co ci pieniądze? Płacę za jedzenie i alkohol. Możesz sobie sama płacić za benzynę. Pięćdziesiąt dolarów to kupa pieniędzy na drobne wydatki". Tak dłużej być nie może. Jak długo ma jeszcze siedzieć nad basenem? W tym tygodniu przeczytała już trzy książki, a to dopiero piątek. Słońce znowu zajrzało pod parasol. Poderwała się z leżaka. Musi coś zrobić, dokądś pojechać. Może Neely jest w domu? Dopiero co skończyła zdjęcia do drugiego filmu i studio obiecało jej miesiąc odpoczynku. Jennifer weszła do domu i włożyła spodnie. Cieszyły ją sukcesy przyjaciółki. Pierwszy film Neely wywołał same zachwyty, a Jennifer widziała już prywatny pokaz jej drugiego filmu - był równie wspaniały. Nie widywała Neely zbyt często. Czasem rozmawiały przez telefon, ale Neely znów zmieniła numer, a Jennifer nie miała tego nowego - zastrzeżonego.

Przejechała osiem przecznic dalej - w Kalifornii po prostu pieszo się nie chodzi. Cóż, jeśli nawet nie zastanie jej w domu, podjedzie pod restaurację Szwaba. Może trafi na Sidneya Skolsky'ego, posiedzą trochę, pogadają... Sidney uwielbia Hollywood, ale rozumie też jej tęsknotę.

Drzwi otworzył Mel. Miał na sobie spodenki kąpielowe. Troszkę przybrał na wadze, a okryty kalifornijską opalenizną wyglądał niemal zdrowo. Zaprowadził Jennifer nad basen.

- Przegryziesz coś? Ja właśnie podjadam kanapkę. Potrząsnęła głową. Usiadła w cieniu. Neely i Mel mieli basen taki sam jak ona i Tony - w kształcie nerki, z takim samym otoczeniem - bliźniaczym kortem tenisowym i barkiem. Spojrzała na czerwieniejące w dali pagórki. Czy Mel też przesiaduje nad basenem całymi dniami jak ona?

- Neely jest w studio. Na przymiarce kostiumów - wyjaśnił.

- Myślałam, że teraz ma wakacje.

- Tak, przez miesiąc nie będzie na planie. Ale to oznacza miesiąc przymiarek, prób makijażu i zdjęć do prasy. Powinna już być lada moment. A! Słyszałaś już? Ted Casablanca będzie dla niej projektował kostiumy.

- Neely weszła już do pierwszej ligi - odparła Jennifer. - Ted projektuje ubrania tylko dla największych gwiazd.

Mel zgarbił kościste ramiona.

- To może się zdarzyć tylko w Hollywood. Kobiety mdleją z wrażenia, że jakiś pederasta będzie je ubierał. W każdym innym miejscu na ziemi płacisz i dostajesz towar. Myślisz, że taki Saks w Nowym Jorku martwi się, czy klientka będzie godnie nosić jego kreację? Ale tu wszystko jest oznaką prestiżu. Neely przeszła na dietę odchudzającą. Można pęknać ze śmiechu!

- A to dlaczego? Przytyła?

- Waży pięćdziesiąt dziewięć kilo. Zawsze tyle ważyła. Ma sto sześćdziesiąt cztery centymetry wzrostu i przy jej wzroście to właściwa waga. Ale ten Casablanca chce, żeby zrzuciła siedem i pół kilo. Mówi, że wtedy jej twarz nabierze ciekawszego wyrazu i ubrania będą lepiej leżeć. Neely łyka takie małe zielone proszki... i nic nie je.

Nagle zjawiała się Neely, zabiegana jak zawsze. Ucieszyła się na widok przyjaciółki.

- Słyszałaś już? - pisnęła. - Ted Casablanca będzie mnie ubierał! Och, Jennifer, on jest naprawdę boski! Teraz nastąpi odmiana i przepoczwarzę się w piękną kobietę! Robi mi naprawdę wspaniałe rzeczy - sam szął. Rany, jak sobie przypomnę tę suknię z czerwonej tafty! Ted twierdzi, że powinnam wyglądać jak urwisowata dziewczynka, taka mała cwaniara. Ale elegancka. W końcu mam swoje osiemnaście lat. Już najwyższa pora.

- Słyszę, że się odchudzasz.

- Tak. Mel, przynieś mi trochę odtłuszczonego mleka. Napijesz się czegoś, Jen?

- Coca - Coli.

- Mamy tylko wodę sodową. Nie trzymam w domu nic tuczącego. Mel, zrób Jen lemoniadę. Może być?

Odprowadziła Mela wzrokiem, a potem odwróciła się do przyjaciółki, a w jej dużych, dziecięcych oczach błysnęła wyraźna troska.

- Och, Jen, nie wiem, co robić. Tak bardzo się zmienił; zupełnie nie daje sobie z niczym rady. Wszystko, za co się łapie, rozkłada na łopatki.

- Nie powiedziałałabym. Postarał się, żeby o tobie pisano. Ten artykuł w „Screen World” był doskonały.

Neely potrząsnęła głową.

- Studio to wzięło na siebie. Powiedzieli mu, żeby sobie odpuścić. Ciągłe się płacze pod nogami. Nie chcą go mieć na planie, bo ja się wtedy usztywniam. A Ted Casablanca mówi, że z Mela wszyscy się śmieją.

- Nie traktowałabym tego poważnie. Wiesz, jak wredne potrafią być pedały.

- Pedały! - Oczy Neely rozbłysły gniewem. - Nie waż się tak o nim mówić! Przecież Ted jest cudowny! Ma dopiero trzydzieści lat, a już zarobił trzy miliony dolarów. I wcale nie jest pedałem!

- Naprawdę?

- Naprawdę! A jak myślisz, co ja dzisiaj robiłam? Mierzyłam kostiumy? To powiedziałam Melowi. Robiliśmy z Tedem... wiesz co... W każdej pozycji. W tym jego wspaniałym klimatyzowanym studiu.

I mówię ci, że on nie jest żadnym... - Urwała nagle. Mel pojawił się z tacą napojów.

- Już schudłam dwa i pół kilo - powiedziała odbierając mleko z rąk Mela. Przechyliła butelkę i popiła zieloną kapsułkę w cętki. - Co to za wynalazek! - rzuciła. - Są zupełnie rewelacyjne, Jen. Zabijają wszelką chęć do jedzenia. Jedyne kłopot w tym, że tak mnie naładowują, że później nie mogę spać.

- Wypróbuj seconal - zaproponowała Jennifer.

- Rzeczywiście pomaga?

- Cudownie. To takie genialne czerwone laleczki, przy których zapominasz o kłopotach i dziewięć godzin śpisz snem spokojnym i nieprzerwanym.

- Serio? Spróbuję. Mel, zadzwoń do doktora Holta. Od razu. I powiedz mu, żeby mi przysłał sto sztuk.

- Sto? - spytała Jennifer zdławionym głosem. - Neely, to nie jest aspiryna. Bierze się tylko jedną na noc. Żaden lekarz nie da ci więcej niż dwadzieścia pięć.

- Nie da, mówisz? Założymy się? Doktor Holt pracuje w naszym studiu. Da mi wszystko, o co tylko poproszę. Mel, zadzwoń do niego teraz. - Mel poszedł ospale do telefonu. - Tylko jedną na noc, tak?

Jennifer kiwnęła głową. Nie widziała powodu, by zwierzać się Neely, że czasem bierze nawet trzy. Neely pomoże jedna. Zresztą

sama postanowiła ograniczyć dawkę, jak tylko ułoży sobie życie z Tonym.

Mel podchodził już do domu. Kiedy zniknął im z oczu, Neely przysunęła się do Jennifer razem z leżakiem.

- Muszę sobie założyć nową spiralę. W zeszłym miesiącu Mel dwa razy nie zdążył. Ten drań chce, żebyśmy zaszła w ciążę.

- Myślałam, że chcesz mieć dzieci.

- Nie z nim. Mam zamiar się go pozbyć.

- Neely!

- Posłuchaj, on jest tu najprawdziwszą kulą u nogi. Słowo daję, Jen, zupełnie się zmienił. Stracił całą energię. Rozmawiałam o tym z Szefem i Szef mnie popiera. Mel po prostu zawadza. Krzyczał, że wcale nie muszę chudnąć. Wrzeszczał, że dobrze wyglądam, i już. Ale przecież teraz, kiedy jestem szczuplejsza, zaczynam być prawdziwą gwiazdą. Ludzie mnie zauważają, obrastam legendą. Mel przyzwyczał się do pewnej rutyny, i kropka. On może poprzestać na małym, nie ma w nim rozmachu, i to się już nie zmieni. Ale muszę działać bardzo ostrożnie. W Kalifornii obowiązuje wspólnota majątkowa. Mel mógłby wygrać połowę wszystkiego.

- I co zrobisz?

- Sprawa jest już nagrana. - Zniżyła głos do szeptu. - Szef sam zadba o to, żeby Mel dostał jakąś świetną propozycję na wschodzie. Od jednej z agencji reklamowych. Namówię go, żeby przyjął ofertę. Szef załatwi resztę. Ustawi wszystko tak, żeby przyłapać Mela, no wiesz... z dziewczyną. A ja wtedy dostanę rozwód bez niczego.

- Neely, nie możesz tak!

- Tak? W zeszłym tygodniu wspomniałam o rozwodzie i wiesz, co on wtedy zrobił? Rozplakał się jak dziecko. Powiedział, że nie może beze mnie żyć. I co ty na to? Czy to nie kula u nogi? Potrzebuję mężczyzny, który mną pokieruje, takiego, na którym ja się będę mogła oprzeć, bo teraz on opiera się na mnie. No bo pomyśl, jaki ja mam z niego pożytek? Tylko śpi ze mną, i nic więcej. Czepił się mnie jak rzep i nigdzie nie chce wyjechać. Nawet do Nowego Jorku.

- Skąd wiesz, że przyjmie tę pracę?

- Zmuszę go. Obiecuję mu, że jeśli się sprawdzi, jeśli wszystko będzie jak trzeba, przyjadę i zagram na Broadwayu, zostaniemy w Nowym Jorku i będziemy mieć dziecko.

- Zrobiłabyś coś takiego?

Neely spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Miałabym wyjechać z Kalifornii? Zostawić to wszystko? Oszalałaś? Przecież tu robię karierę. Kiedy następny film wejdzie na ekrany, będę już wielką gwiazdą!

- Mogłabyś być równie dobrze gwiazdą na Broadwayu.

- Gwiazdą na Broadwayu! Też coś! Zawracanie głowy! Kiedy jesteś gwiazdą filmową, zna cię cały świat. Wiesz, że mój film leci teraz w Londynie? Wyobraź sobie, znają mnie już w Londynie! Wystarczy jeden film, a będę sto razy bardziej znana niż taka Helen Lawson. No i kiedy jesteś już gwiazdą filmową, od razu inaczej cię traktują. Wszystko, co robią, robią z myślą o tobie. Pamiętam, że Helen musiała męczyć się w pociągu do New Haven tak samo jak my wszystkie i przebierała się w jakiejś obskurnej garderobie. Jak rany! U nas w studiu kible wyglądają lepiej niż najszykowniejsza garderoba w teatrze. Moja garderoba jest tak duża jak cały apartament Helen przy Park Avenue. Kiedy jesteś na fali, a ja teraz jestem, robią dla ciebie wszystko. Wystarczyło, że tylko bąknęłam Szeferowi... Tak tutaj nazywamy C.H. Beana... Jest taki cudowny, taki dobroduszny, można z nim rozmawiać jak z ojcem. Nigdy nie miałam ojca... Ale, jak ci mówiłam, wystarczyło, że tylko bąknęłam Szeferowi, że chcę trochę schudnąć. O rany! Wiesz, co on zrobił? Kazał zbudować saunę w moim pawilonie i najął mi osobistą masażystkę. Za wszystko płaci studio. Kiedy mam się gdzieś wybrać, wiesz, na jakieś otwarcie czy coś, przysyłają mi samochód z szoferem, wypożyczają futra, sukienki. I Szefer mówi, że jeśli mój drugi film będzie tak dobry jak pierwszy, to zaproponuje mi nowy kontrakt i dużą podwyżkę. Może dostanę nawet dwa tysiące tygodniowo.

- To rzeczywiście kupa forsy, Neely.

- Bo ja wiem? W agencji Johnsona i Harrisa twierdzą, że jestem warta więcej. Niewykluczone, że włączą się w negocjacje i wywalczą mi honorarium na dwa i pół tysiąca. Przypuszczam, że to się da załatwić. Wystarczy, że pstryknę palcami, a będę mieć wszystko, co zechcę. Szefer mówi, że byłoby nieźle, gdybym za rok mogła zostawić ten wynajęty dom i kupić sobie własny na Beverly Hills. To dopiero będzie prawdziwa klasa!

- A po co masz tak szaleć? Nie lepiej zaoszczędzić?

- Zaoszczędzić? Po co? Już się nie boję. A wiesz dlaczego? Bo mam talent, Jen. Na wschodzie nigdy sobie z tego nie zdawałam



sprawy. Wydawało mi się, że każdy może zaśpiewać i zatańczyć. Ale w czasie kręcenia tego drugiego filmu uświadomiłam sobie, że umiem również grać. Widziałaś, jak płakałam? To nie były glicerynowe łzy. Reżyser tylko naświetlił mi tę moją postać, opowiedział, w jakiej sytuacji znalazła się bohaterka, i ja to od razu poczułam. A potem naprawdę płakałam!

- Ja też płakałam razem z tobą, Neely. Widziałam prywatny pokaz filmu w zeszłym tygodniu.

Neely rozłożyła ramiona.

- Uwielbiam Hollywood. To miasto jest stworzone dla mnie. Wrócił Mel.

- Pigułki przyślą lada chwila. Doktor Holt powiedział, że to świetny pomysł. - Usiadł. - Chcesz dziś wieczorem wybrać się na film, Neely?

- Nie mogę. Jutro muszę wstać o szóstej. Próby kolorów. W zamyśleniu wpatrywał się w basen.

- Ja nie muszę wstawać o żadnej konkretnej porze. Od tego przesiadywania tu zaczynam tracić rozum...

W drodze do domu Jennifer myślała o Melu. Nagle zaniepokoiła się tym, co naprawdę czuje do niej Tony. Czy dla niego też jest kulą u nogi? Jeśli Tony nie zagra w tym filmie, ona zrobi wszystko, żeby wrócić z nim do Nowego Jorku. Program radiowy można nagrać i tam. Ale pewnie dostanie tę rolę. Wiedziała, że dostanie. I będą tu razem tkwić... Niedługo Tony zacznie mieć do niej taki sam stosunek jak Neely do Mela. Jeżeli już nie ma. W filmie wystąpią jakieś znane gwiazdy... Małe aktoreczki na pewno będą się za nim uganiać... Jak długo jeszcze może siedzieć beczynnie nad basenem? Ma prawie dwadzieścia siedem lat. Niebawem wszyscy to zobaczą...

Omam nie przejechała skrzyżowania na czerwonym świetle, kiedy nagle przyszedł jej do głowy pomysł. Dlaczego nie wpadła na to wcześniej? Dziecko! Będzie miała dziecko! To przybliży do niej Tony'ego, a ona wreszcie będzie miała czym zająć myśli. Będzie mieć kogoś, kogo pokocha. O Boże, jak bardzo kochałaby to dziecko... Miałaby kogoś bliskiego. To będzie dziewczynka. Musi być dziewczynka! A ona, Jennifer, będzie cudowną matką. Wszystko się w niej gotowało, kiedy wróciła do domu. Na razie zatrzyma ten pomysł w tajemnicy.

Bardzo starannie ubrała się na przyjęcie. Już dziś wieczorem podejmie właściwe kroki!

Wrzesień, 1947

W sierpniu nie dostała miesięczki. Z początku była zbyt rozemocjonowana, żeby o tym mówić, ale we wrześniu, kiedy nie miała następnej, wiedziała już na pewno. Przybyło jej pięć centymetrów w talii.

Poszła do lekarza, który potwierdził jej nadzieje i pogratulował. Tony miał akurat nagrania - nie mogła mu przeszkadzać. Ale musiała się z kimś podzielić nowiną. Chciała wykrzyzczyć to w nos policjantowi kierującemu ruchem; chciała polecieć do Szwaba i pochwalić się wszystkim gościom w knajpie. Ale to byłoby nie w porządku. Tony na pewno chciałby nadać temu odpowiednią oprawę w prasie. Neely! Powie o tym Neely! Dochodziła piąta. Neely na pewno już skończyła zdjęcia.

Podjechała pod studio. Portier przy bramie sprawdził ją i skierował w stronę imponującego pawilonu Neely. Neely była w trakcie masażu.

- Hej, wejdz! - krzyknęła. - Genialnie trafiłaś. Miałam dzwonić do ciebie wieczorem. No i co, uwierzysz, że wszystko załatwione? Mel wyjeżdża jutro do Nowego Jorku!

- Dalej chodzi o Teda?

- Oczywiście! Za kogo ty mnie masz? Za jakąś dziwkę, czy co? Ja nie robię tego z dwoma naraz. Ted i ja... - Rozejrzała się i krzyknęła do masażystki: - Będzie tego na dzisiaj! Zabieraj się! Chcę teraz porozmawiać z przyjaciółką.

Kiedy kobieta wyszła, Neely odrzuciła ręcznik.

- No i jak ci się podobam taka wysmukła? Mam pięćdziesiąt centymetrów w talii i ważę czterdzieści dziewięć kilo.

- Podobasz się taka szczupła Tedowi?

- A jak! - Naciągnęła szlafrok. - Podobają mu się nawet moje małe cycki. Trochę się skurczyły, ale on mówi, że duże kojarzą mu się z krową. No i źle wyglądają przy watowanych ramionach. Weźmiemy ślub, jak tylko dostanę rozwód. I wiesz co? Spisujemy intercyzę małżeńską. Szef to zaproponował... W ten sposób oboje mamy pewność, że pobieramy się z miłości, a nie dla korzyści materialnych.

Jennifer skrzywiła się w uśmiechu.

- Zgadnij, co się stało... Jestem w trzecim miesiącu.

- O rany! - Neely natychmiast się zafrasowała. - Wiesz, jest taki gość w Pasadenie. Podobno bardzo dobry. Szef wysyła tam każdą

dziewczynę w potrzebie. Ten facet zaczyna od zastrzyków, a jak to nie pomaga... Skrobanka nie jest taka straszna. Robi to pod narkozą.

- Neely, nic nie rozumiesz. Ja chcę mieć to dziecko. Zaplanowałam je. I cieszę się z ciąży.

- O! Wobec tego wspaniale! Wiesz, że kiedy tak ci się przyglądam, to zaczynam już widzieć pewne zmiany? Straciłaś tę swoją wspaniałą talię.

- A co tam, jeśli tylko będę miała wspaniałego dzidziusia! - „Wspaniałego” powiedziała z przesadą, naśladując Neely.

Neely roześmiała się serdecznie.

- Jak już urodzisz, dam ci trochę moich zielonych laleczek, żebyś wróciła do dawnej figury.

- Na tobie się bardzo sprawdziły.

- Tak, tylko rzecz w tym, że trzeba je brać cały czas. Jak tylko przestajesz, ogarnia cię wilczy apetyt. Ale uczucie jest wspaniale.

Czujesz, że cię roznosi; mogłabyś tańczyć całą noc. I dzięki ci za te czerwone. Uratowały mi życie. O, właśnie! Próbowalaś żółtych? Nazywają się nembutal. Jak weźmiesz jedną i drugą, to znaczy czerwoną i żółtą, to mówię ci! Naprawdę śpisz. Doszłam do tego drogą eksperymentów. Po tej czerwonej szybko zasypiasz, ale budzisz się po sześciu godzinach. Ta żółta działa z opóźnieniem, ale za to dłużej. Więc wymyśliłam sobie, że dwie, to właśnie to! Biorę je tylko w czasie weekendów. Czasami śpię po nich aż dwanaście godzin!

- Teraz, kiedy jestem w ciąży, nie będę nic brała. Nie chcę zrobić krzywdy dziecku.

- No tak, ale bez snu będziesz kiepsko wyglądać, co nie?

- Po raz pierwszy w życiu nie martwię się swoim wyglądem. Chcę urodzić cudowne dziecko. Nawet jeśli mi przyjdzie leżeć bezsennie całe noce, nie będę się tym w ogóle przejmować.

Neely uśmiechnęła się.

- Jesteś tak napalona! Przypuszczam, że ze mną też będzie podobnie. Po ślubie z Tedem, jak już wynegocjuję nowy kontrakt, też zajdę w ciążę. Ale tymczasem dziękuję Bogu za te czerwone, żółte i zielone lalecзки.

Jennifer miała nadzieję, że Tony nie zaplanował nic na wieczór. Chciała z nim pójść do maleńkiej restauracyjki w Hollywood - bez Miriam - i dopiero tam mu powiedzieć.

Na podjeździe zobaczyła obcy samochód. To był wóz Delii, ich dodatkowej pokojówki, która pracowała tylko na godziny. Cholera jasna! To oznaczało, że coś szykują na wieczór.

Miriam już na nią czekała.

- Tony podpisał dziś umowę! - Jej nijaka twarz wprost promieniała szczęściem. - Właśnie nadeszła ocena próbnych zdjęć. Dostał pięcioletni kontrakt z MGM i zaczyna zdjęcia na planie za dwa tygodnie od najbliższego poniedziałku. Ubierz się dziś jak prawdziwa dama. Reżyser i jego żona będą na kolacji. Później wpadną jeszcze dyrygent musicalowej orkiestry i kilka innych osób.

Jennifer ubrała się starannie. Dobrze. Powie im wszystkim przy kolacji. Publicznie! Walcząc z zamkiem błyskawicznym, stwierdziła, że i tak nie może zwlekać już dłużej, bo Tony wkrótce sam zauważy zmiany.

Przed kolacją wypijała martini. Miriam przyglądała się jej w zdumieniu. Jennifer jaśniała; wdała się w uprzejmą rozmowę z reżyserem i jego żoną; podawała małe kanapeczki - była idealną hollywoodzką żoną. Zaczekała, aż podano wino do kolacji, a potem powoli wstała i uniosła kieliszek. Unikając wzroku Miriam, oświadczyła:

- Chciałabym wznieść toast... Za siebie. - Zachichotała. - To znaczy za tego kogoś, kogo noszę w sobie. Tony i ja będziemy mieli dziecko.

Wszyscy jej zawtórowali radośnie; zadzwoniły kieliszki. Tony poderwał się z krzesła, podbiegł do niej i objął ją. Ale nie uszło jej uwagi, że Miriam gwałtownie, ze świstem wciągnęła powietrze i wyglądała jak rażona gromem. Kiedy opadła fala podniecenia, spojrzała szwagierce prosto w oczy. Tym razem Miriam skrzywiła twarz w uprzejmym uśmiechu.

Kiedy ostatni goście wyszli, Miriam zwróciła się do Jennifer. Wciąż się uśmiechała.

- Pędź na górę, nasza mała mamó - powiedziała. - Musisz teraz dużo odpoczywać. Chciałabym jeszcze omówić z Tonym parę szczegółów związanych z filmem. Ale zaraz ci przyślę nowo upieczonego tatuśka.

Gdy tylko Jennifer zniknęła, natychmiast napadła na brata:

- Mówiłam ci, żebyś czegoś używał!

- Używaliśmy. - Uśmiechnął się potulnie. - To jakiś wypadek...

- Co to znaczy wypadek?! - syknęła Miriam. - To są mocne gumki. Kupuję ci najlepsze. One nie pękają.

- Och, przestaliśmy ich używać kilka miesięcy temu. Jen mówiła, że już nie muszę tego zakładać. Powiedziała, że teraz ma spiralę.

- Tyle razy ci powtarzałam, żebyś nie dał się na to nikomu namówić! Możesz się czymś zarazić...

- Od Jen? - Parsknął śmiechem. - Poza tym jest lepiej, kiedy tego nie wkładam.

- Dziecko zwiąże ci ręce.

- E tam! Mamy przecież pieniądze, prawda? W dodatku zaczynam film. Zresztą chcę mieć dziecko. Będzie fajnie.

Miriam zauważyła kątem oka schodzącą Jennifer.

- Jak będziecie mieć dziecko, będziesz musiał częściej być w domu - powiedziała.

Jennifer przystanęła i słuchała. Tony stał do niej tyłem i nie mógł jej widzieć.

- No to co? Będę więcej w domu. - Wzruszył ramionami.

- I zrezygnujesz z tej rudej piosenkarki?

Wyraźnie się przestraszył.

- Skąd o niej wiesz?

- Ja wiem o wszystkim. Ale nic się nie martw, nie powiem o niej Jennifer.

- O czym mi nie powiesz? - Jennifer weszła do salonu. Miriam udała zaskoczenie. Tony miał strach w oczach.

- To drobiazg, Jen - uspokajał. - Miriam ma czasem takie dziwne pomysły. Trochę się czasem wygłupiam z Betsy, to wszystko. Wiesz, z którą... To ta ruda, która śpiewa w chórkach w moim programie radiowym. Wygłupiamy się tylko.

- Nieźle się wygłupiacie - warknęła Miriam. - Trzy razy w tygodniu po południu przewala ją w garderobie studia radiowego. Może z tobą nie używa gumek, Jen, ale co tydzień kupuję mu pudełko i wiecznie mu mało!

- No coś ty najlepszego zrobiła?! - pisnął Tony, kiedy Jennifer wybiegła z pokoju.

- Posłuchaj, każ jej się pozbyć tego dziecka. Posłuchaj mnie dobrze, Tony. Dziecko zrujnuje ci karierę. Jest wielu lekarzy, którzy mogą usunąć ciążę.

- Ja chcę mieć to dziecko - upierał się Tony.

- Tony... - Próbowała go teraz udobruchać. - Pomyśl o swoim wizerunku wschodzącej gwiazdy. Jesteś młodym, przystojnym mężczyzną... Studio ogłosi, że masz tylko dwadzieścia cztery lata. Dziecko zepsuje ten obraz.

- Głupstwa! Sinatra ma dzieci. Crosby też. Nie zabierzesz nam tego dziecka! - Pobiegnął na górę za żoną.

Kiedy wszedł do sypialni, leżała w poprzek łóżka i szlochała.

- Kochanie... - Usiadł koło niej i zaczął ją głaskać po karku. - Nie przejmuj się tym, co mówi Miriam. Będziemy mieć to dziecko.

- Nie przejmuj się! - Usiadła. Na twarzy miała rozmazany tusz do rzęs. - Nie przejmuj się! Niech dalej kieruje naszym życiem i niech ci kupuje kondomy? A ty cały czas, kiedy ja tu siedziałam umierając z nudów i z każdym miesiącem stawałam się coraz starsza, posuwałeś jakąś rudą piosenkarkę? Tymczasem ja tkwiłam w tym domu i patrzyłam, jak Miriam coraz bardziej tyje i coraz bardziej się tu szarogęsi!

- A co ja mogę zrobić?

- Możesz jej powiedzieć, żeby się stąd zabrała! Od dzisiaj ja zajmę się domem.

- Tego nie mogę jej zrobić! Dokąd miałyby pójść?

- Dokądkolwiek! Byle daleko od nas. Daj jej nawet połowę wszystkich swoich zarobków, ale zacznijmy wreszcie żyć po swojemu! Choć raz bądźmy mężem i żoną, a nie dwojgiem dzieci u boku siostry Miriam!

- A kto dopatrzy wszystkiego? Kto będzie podpisywał czeki, pilnował moich kontraktów?

- Och, Tony, ludzie najmują sobie menedżerów. Ty też mógłbyś to zrobić.

- Ale po co mi ktoś obcy, ktoś, kto będzie mnie przy tym kantował? Moja siostra prowadzi interesy lepiej od innych i zawsze ma na celu moje dobro.

- Ale ja nie mogę z nią mieszkać! Zesztywniał.

- Chcesz, żebym wyrzucił własną siostrę na bruk?

- Tony... - zaczęła błagalnie. - Co my mamy z życia? Nigdzie nie chodzimy, chyba że w interesach, bo Miriam uważa, że wydawanie przyjęć to strata pieniędzy. A teraz zaczęła już mówić, że dobrze byłoby kupić ten straszny dom. Nawet mnie nie spytała, czy mi się to podoba. Choć tak naprawdę, to zupełnie nie wiem, po co nam w ogóle

dom. Przy naszym trybie życia wystarczyłoby dwupokojowe mieszkanie. To nie jest życie!

- Trzy razy w tygodniu muszę jeździć na próby! - wrzasnęła. Muszę robić swój program! Muszę słuchać nowych piosenek, uczyć się ich... brać udział w benefisach... pozować do zdjęć. Co mam jeszcze robić? Siedzieć i cię zabawiać? Wiedziałaś, jakie życie prowadzę, kiedy za mnie wychodziłaś. Miriam w ogóle nigdzie nie bywa. Przecież nie zawsze z nami wychodzi. W zeszłym miesiącu byliśmy bez niej aż na trzech benefisach, ale nigdy nie słyszę, żeby się skarżyła!

- Nie, za to ja słyszałam, jak godzinami próbowała wydębic dla siebie bilet przez telefon. Poszliśmy sami, bo studio przysłało tylko dwa zaproszenia. Dziwię się, że jeszcze z nami nie śpi.

- Zanim poznałem ciebie, poświęciła mi całe swoje życie. Wychowała mnie. I nigdy nie narzeka. Nie ma w niej egoizmu... Jest tak serdeczna... dobra... a ty chcesz, żebym wyrzucił ją z domu!

- Albo ona, albo ja, Tony.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa. W końcu uśmiechnęli się z chłopcym wdziękiem.

- Nie mówisz tego poważnie, kochanie. Urodzisz dziecko... Sama zobacz... W tej sprawie przeciwstawiłem się twardo, prawda? A teraz chodźmy już spać. - Zaczął się rozbierać.

W niemej ciszy wyciągnął do niej ramiona i chciał ją objąć.

- Nie załatwiliśmy niczego do końca - zauważyła ponuro.

- A co tu jeszcze załatwiać?

- Miriam.

- Miriam zostanie. I ty też. - Zdarł z niej koszulę nocną; jego usta odnalazły pierś. - Próbowała odepchnąć go od siebie. - Nie. Chcę ich. Niedługo będzie w nich mleko. Mmm... Będiesz mi dalej pozwalała ssać?

Zaczęła cicho szlochać. Podniósł głowę.

- No chodź, zrobimy to. Dlaczego płaczesz? Rozszlochała się głośniej.

- Tylko mi nie mów, że tak się przejęłaś, bo kilka razy przeleciałem Betsy.

Wyskoczyła z łóżka. Boże! Co to za człowiek!

Usiadł na łóżku i zapalił lampę. Był naprawdę zdziwiony.

- Nie kocham Betsy...



Opadła na krzesło i drżąc zasłaniała swą nagość.

- To po co to robisz? Wzruszył ramionami.

- Była akurat pod ręką.

- Ale ja też...

- Nie mogłem pędzić do ciebie w czasie przerwy w próbie, a ona była na miejscu... Ale to przecież nic nie znaczy. Obiecuję ci, że nie zrobię tego więcej z Betsy. Do diabła, każę Miriam zwolnić ją jutro z zespołu. I co ty na to? A teraz wskakuj do łóżka.

- Nie chodzi mi o Betsy, Tony, tylko o ciebie... Zupełnie cię nie rozumiem. Nie wiem, co myślisz, co czujesz...

- Pragnę cię teraz. To czuję. Chodź, kochanie...

Ponieważ nie wiedziała, co zrobić, wróciła do łóżka i poddała się jego pieszczotom. Nasycił się jej ciałem i zaraz zapadł w głęboki sen. Jennifer wstała i zażyła trzy czerwone kapsułki. Zaczynało świtać, kiedy wreszcie usnęła.

Następnego ranka, gdy Tony i Miriam wyjechali na próbę, zamówiła rozmowę z Henrym Bellamy. Opowiedziała mu wszystko.

- Wygląda na to, że powinnaś uciekać stamtąd co koń wyskoczy - powiedział. - W ten czy w inny sposób ona doprowadzi do tego, że w końcu stracisz to dziecko. Choćby przez samo zdenerwowanie.

- Więc co mam robić?

- To zależy. A co czujesz do tego chłoptasia?

- Sama nie wiem. Czasem mi go szkoda, bo Miriam zrobiła z niego kukłę. Czasem, tak jak ostatniej nocy, czuję wyłącznie obrzydzenie. Ale jest w nim jakiś dziwny wdzięk. On jest właściwie dobry. To najśmieszniejsze w tym wszystkim! Nie ma w nim nic złego. Po prostu jeszcze nie dorósł. I to jest jej wina. To ona wmówiła mu, że świat należy do niego i że tak długo jak będzie śpiewał, będzie miał wszystko, czego tylko zapragnie. Przypuszczam, że moglibyśmy żyć razem, gdyby udało mi się go od niej oderwać. Ale nie umiem go przekonać.

- Jesteś młoda, Jennifer. Radzę ci, żebyś wiała stamtąd, póki jeszcze czas.

- Nie jestem taka młoda, jak myślisz, Henry. Nakłamałam ci kiedyś...

- To co? Nadal masz przed sobą całe życie. Ale z tego, co słyszę, nie tam. Jeśli wytrwasz w Kalifornii i mimo wszystko urodzisz w końcu to dziecko, Miriam i tak je z czasem przejmie. Jak wszystko.

- Nie!!!

- No to wracaj do Nowego Jorku. Sprawdź, czy ten twój Tony jest na tyle mężczyzną, żeby gonić za tobą. Mogę nawet spróbować go przekonać, że umiem prowadzić interesy niemal równie dobrze jak jego siostra, Miriam. Spłacimy tę panią, a ty zrobisz z niego dorosłego mężczyznę. Jeśli nie pójdzie na to, i tak nic nie tracisz.

- Masz rację, Henry. Dłużej już tak nie wytrzymam.

- Zarezerwuję ci apartament w Pierre. Skrobnij wiadomość, że wezwano cię do Nowego Jorku na przesłuchanie w związku z jakimś nowym programem. Zostaw też większość ciuchów, żeby Miriam nie zarzuciła ci dezercji.

- Ale Tony i Miriam wiedzą, że nie mogę grać w żadnym przedstawieniu, skoro jestem w ciąży.

- Oczywiście, że wiedzą. Ale nie o to chodzi. Napisz też identyczny liścik do kogoś innego... Na przykład do Anny. Będiesz miała dowód, na wypadek gdyby ci był potrzebny. A do mnie nadaj telegram, w którym godzisz się na moją propozycję przyjazdu na wschód.

Jennifer wykonała wszystko co do joty. I ku jej radości Tony wsiadł w samolot i pogonił za nią do Nowego Jorku. Nerwowo przemierzał bawialnię jej apartamentu, płakał, błagał, przysięgał, że ją kocha i zrobi wszystko, czego od niego zażąda. Wszystko oprócz jednego. Nie wyrzuci Miriam.

- Ale to jedyna rzecz, o jaką cię proszę. Tony nie poddawał się.

- Ona rozporządza moimi pieniędzmi, pomaga mi zrobić karierę. Nie ufam nikomu prócz niej.

- A mnie? Mnie też nie ufasz?

- Nie przeciągaj struny, Jen. Jesteś najlepszą dziewczyną, jaką miałem w łóżku, ale...

- Dziewczyną w łóżku! Tylko tyle dla ciebie znaczę!

- A kim ty byś chciała być? Jezu! Miriam ma rację. Chcesz mnie mieć na własność, chcesz wszystko ze mnie wyssać! To, co mam w sobie, oddaję moim piosenkom.

- A co dajesz mnie?

- Fiuta! I to ci powinno wystarczać.

Tony wrócił do Kalifornii. Henry namachał tekst porozumienia o chwilowej separacji. Jennifer miała odtąd dostawać pięćset dolarów tygodniowo - dopóki nie urodzi dziecka. Potem alimenty płacone

przez Tony'ego miały wzrosnąć do tysiąca dolarów tygodniowo; Tony płaciłby też za dodatkowe wydatki i łożyłby na utrzymanie dziecka. Obie strony zgodziły się, że ciąża Jennifer pozostanie tajemnicą tak długo, jak długo można będzie ją ukryć. Zgodnie z przyjętym postanowieniem rozwód miał nastąpić tuż po urodzeniu dziecka.

Gazety rozpisywały się o separacji Tony'ego z żoną. W ciągu pierwszego tygodnia Jennifer zaszła się w hotelu i dzięki czerwonym laleczkom większość czasu przespała. Wreszcie zaniepokoiło to Annę, która nalegała, by Jennifer przeprowadziła się do niej. Zmuszała Jennifer do odwiedzania teatrów i niemal codziennych spotkań na lunchu. Mimo to przyszła mama nie umiała otrząsnąć się z przygnębienia.

Ukojenie nadchodziło nocą - błogosławione czerwone laleczki!

Październik, 1947

Jennifer była już w połowie trzeciego miesiąca, kiedy przyjechała Miriam. Zadzwoiła do niej z lotniska. Chciała się z nią pilnie zobaczyć.

Jennifer od razu nabrała humoru. Wyleczyła się ze strachu przed Miriam. Może to ona jest teraz przestraszona? Jennifer słyszała w jej głosie jakąś straszną determinację. Tony pewnie zalewał się łzami i nie mógł śpiewać, więc Miriam przyjechała, żeby nakłonić ją do zgody. No tak, ale teraz ona, Jennifer, podyktuje warunki. Miriam musi odejść. A Tony przyjedzie tu osobiście i ładnie ją przeprosi.

Nie przebaczyła mu jeszcze, ale wciąż żyła nadzieją, że z dala od siostry stanie się wreszcie mężczyzną. No i przecież spodziewają się dziecka - ten fakt wiele zmienia. Chciała, żeby jej mała dziewczynka miała ojca, żeby nie rosła jak ona, w domu kobiet. Tony szybko dojrzeje. Jest jeszcze taki młody...

Kiedy otwierała Miriam drzwi, wiedziała, że sama wygląda świetnie, apartament zaś czysto i schludnie. Była teraz panią sytuacji. Zdobyła się nawet na uśmiech.

- Usiądź, Miriam. Napijesz się kawy?

Miriam usadowiła krępe ciało na krześle i siedziała sztywno wyprostowana. Spojrzała na talię Jennifer.

- Żadnej kawy. Darujmy sobie te konwenanse towarzyskie i od razu przejdźmy do rzeczy.

Jennifer uśmiechnęła się.

- O jaką rzecz chodzi? Miriam zmrużyła oczy.

- Czy to naprawdę dziecko Tony'ego?

- Poczekaj, a sama zobaczysz! - warknęła Jennifer. - Jestem pewna, że to będzie wykapany tatuś.

Miriam wstała i zaczęła nerwowo spacerować po bawialni. Wreszcie odwróciła się do dziewczyny i zapytała:

- Ile chcesz za to, że usuniesz ciążę?

Jennifer patrzyła na nią lodowato.

- Słuchaj, jeśli ci chodzi o pieniądze, to je dostaniesz - ciągnęła Miriam. - Dam ci duże zabezpieczenie. Spiszemy umowę. Możesz dostawać ten tysiąc dolarów tygodniowo nawet bez dziecka. Tylko usuń ciążę.

Jennifer nic nie rozumiała.

- Tony wie o naszej rozmowie? On tego chce?

- Nie, Tony nie wie, że jestem u ciebie. Powiedziałam mu, że jadę do Chicago, żeby spotkać się ze sponsorem jego programu i skorygować umowę. Przyjechałam tu na własną rękę, żeby się z tobą dogadać, zanim zaczniesz się czwarty miesiąc i będzie już za późno.

- Wiesz co, Miriam? - Pełen napięcia głos Jennifer brzmiał złowrogo. - Tak naprawdę, dopiero teraz czuję, że cię nienawidzę. Zawsze uważałam, że jesteś egoistką, ale byłam przekonana, że robisz wszystko dla Tony'ego. Teraz widzę jaśniej. Jesteś po prostu zła!

- A ty jesteś matką z powołania! - prychnęła Miriam. - Po prostu nie możesz żyć bez dziecka! Musisz koniecznie popychać ten wózek po parku, co?

- Chcę mieć to dziecko - powiedziała Jennifer z przejęciem. - Miriam... Przez całe życie nie miałam nikogo, komu naprawdę by na mnie zależało. Moja babka i matka uważały, że jestem jak worek bez dna. Zawsze słyszałam, że za dużo jem, ile to kosztują nowe buty i jak o wiele za szybko ze wszystkiego wyrastam. Bardzo się bałam, kiedy buty zaczynały mnie cisnąć. Wiedziałam, że znów będzie scena. Potem, kiedy byłam starsza, powstała nowa kwestia - ile mogę przynieść do domu. Wiecznie słyszałam tylko: „daj, daj, daj...” Więc wyszłam za księcia. Może niekoniecznie z porywu serca, ale sądziłam, że dzięki temu małżeństwu będę mogła wspomagać babkę i matkę. A mimo to cały czas chciałam być dobrą żoną. Tyle że jemu na mnie wcale nie zależało, on też, tak samo jak inni, chciał mnie jedynie wykorzystać. Kochałam Tony'ego. Pragnęłam tylko jednego - mieć szansę zostać prawdziwą żoną. Ale ty nigdy mi tej szansy nie dałaś. Przesuwałaś mnie z kąta w kąt, wdeptywałaś w podłogę. A teraz koniec, urodzę to dziecko. Moja mała będzie mnie kochać i będzie tylko moja. Będę dla niej pracować. Ciężko pracować. Oszczędzam teraz. Nie kupuję sobie żadnych ubrań. Po porodzie zatrudnię się jako modelka... Będę odkładać pieniądze... Moja mała będzie mieć wszystko.

Przez chwilę Miriam stała bez słowa i przyglądała się swoim pulchnym palcom. Wreszcie powiedziała:

- Jennifer, chyba cię źle oceniałam. Jeśli tak, to przepraszam. - Westchnęła ciężko. - Dobrze, wracaj do Tony'ego. Usunę się w cień, będziesz prowadzić dom. Postaramy się jakoś wszystko ułożyć... Zrobię wszystko, co w mojej mocy, tylko pozbądź się teraz tej ciąży!

- Miriam, proszę cię, wyjdź. Nie chcę cię obrazić. Urodzę to dziecko. I odzyskam Tony'ego. Jak tylko się dowie, że dziecko przyszło na świat, będzie je chciał zobaczyć. Będzie nas chciał mieć blisko przy sobie... Mnie i dziecko. Zobaczysz.

- Jennifer... - Miriam zaczęła niemal łagodnie. - Posłuchaj mnie, tylko słuchaj dobrze. Odeszłaś od Tony'ego jako największa miłość jego życia, prawda? I co? Zrobił jeden dziecinny gest, żeby cię ściągnąć z powrotem. Koniec. Od tamtej pory co noc jest z inną dziewczyną. Zapomniał o tobie raptem w trzy tygodnie.

- Proszę cię, Miriam, odejdz - powiedziała Jennifer ze łzami w oczach. - Już mnie wystarczająco zraniłaś. Po co to przedłużać?

- Mówię to tylko po to, żeby ci pomóc. Gdybym nie czuła do ciebie sympatii, pozwoliłabym ci przeprowadzić ten plan. Co mamy do stracenia? Od strony finansowej dobiłyśmy targu i możesz liczyć na przyszłe alimenty. Teraz więc robię to tylko dla ciebie. Usiłowałam na różne sposoby namówić cię na przerwanie ciąży i nadal chronić Tony'ego. Ale jesteś uparta. - Znów zaczęła spacerować po salonie. - Jak sądzisz, dlaczego opowiedziałam ci o Tonym i jego dziewczynach? Żeby ci sprawić ból? Nie. Po to, żeby ci go zaoszczędzić na przyszłość. Bo tak naprawdę człowiek uczy się uczuć dopiero wtedy, kiedy trzyma niemowlę w ramionach. To maleńkie dziecko staje się częścią ciebie. Czujesz miłość, o jakiej dotąd w ogóle ci się nie śniło. A jeśli z dzieckiem jest coś nie tak, twój ból jest sto razy większy od wszelkich cierpień, jakie może ci zadać mężczyzna. Jennifer, nigdy nie przyszło ci do głowy, że Tony jest... nazwijmy to, dziecinny?

Jennifer spojrzała na nią dziwnie. W głosie Miriam pojawiła się nie słyszana dotąd nutka.

- Tony jest pewnie dziecinny - przyznała - ale kto wie, czy to nie twoja wina, Miriam...

- Jennifer, Tony jest dzieckiem. Umysłowo i psychicznie.

- Tylko dlatego, że jesteś wobec niego nadopiekuńcza.

- Nie. Właśnie dlatego, że jest taki, jaki jest, tak go chronię przed wszystkim. I dlatego nie chcę, żebyś urodziła to dziecko. Dla waszego dobra.

- Nie rozumiem...

Miriam usiadła przy niej.

- Jennifer, posłuchaj mnie. Jako niemowlę i potem jako dziecko Tony cierpiał na ataki konwulsji. Urodził się z jakąś wadą mózgu. Lekarze w szpitalu tłumaczyli mi to, ale z początku byłam za mała, żeby to zrozumieć. Zresztą nie chciałam wierzyć, że coś w nim działa źle. Ostrzegali mnie, że nigdy nie będzie normalny, ale on miał wtedy zaledwie roczek i był taki śliczny. Nie chciałam niczego rozumieć. Ale kiedy skończył siedem lat i nie mógł zdać do drugiej klasy, zaczęło do mnie docierać. Byłam już starsza i poddałam go rozmaitym badaniom. Wtedy dopiero dostałam prawdziwy obraz sytuacji. Nie zauważyłaś, Jen? Tony z najwyższym trudem czyta komiksy. Nie umie liczyć powyżej pięćdziesięciu. Ale nie ma pojęcia, że coś mu dolega. Udało mi się utrzymać go w niewiedzy dzięki temu, że przejęłam tyle spraw na siebie - on sądzi, że dlatego czegoś nie umie, że ja to robię za niego. Dlatego wciąż mu powtarzam, że jego jedynym obowiązkiem w życiu jest śpiewanie.

- Mówisz, że miał konwulsje, kiedy był małym dzieckiem. Jego stan jest pewnie skutkiem tamtych ataków. Nie ma powodu, żeby nasze dziecko nie urodziło się normalne.

- Tego rodzaju wada jest dziedziczna. Lekarze nie wiedzą, co ją powoduje, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że Tony straci rozum, zanim skończy pięćdziesiąt lat. A jego dziecko urodzi się z identycznym obciążeniem. Jeśli będzie miało szczęście, osiągnie poziom umysłowy na przykład dwunastolatka, ale nie musi być wcale aż tak świetnie rozwinięte. - Przerwała na chwilę; wspominała. - Jennifer, nie masz pojęcia, jak to jest. Kiedy uwierzyłam w końcu w chorobę Tony'ego, zwróciłam się w stronę religii. Wciąż się modliłam. Chodziłam do kościoła, do wszelkich możliwych kościołów, i wszędzie ciągnęłam Tony'ego. Zapisałam go do chóru. W ten sposób dowiedziałam się, że ma dobry głos. Zrozumiałam, że ten głos jest jego jedyną szansą. Każdy zaoszczędzony cent wydawałam na jego lekcje śpiewu... - Westchnęła. - Ale to było dawno temu, a teraz mówimy o tym, co jest dzisiaj. To dziecko, które nosisz, pewnie nie odziedziczy jego głosu, ale na pewno odziedziczy chorobę.

- A ty? Co z tobą? - zapytała Jennifer. - Czy ty też kiedyś zwariujesz?

Miriam potrząsnęła głową.

- Mieliśmy różnych ojców. On o tym zresztą też nie wie. Proszę cię, Jennifer, pozbądź się tego dziecka dla twojego własnego dobra.

- Skąd mam wiedzieć, że mnie nie okłamujesz?

- Mam ze sobą orzeczenia lekarskie. - Z trudem wyciągnęła z torebki grubą szarą kopertę. - Nie sądziłam, że mi tak po prostu uwierzysz. Bo niby dlaczego? Nigdy nie byłam dla ciebie szczególnie miła. - Wręczyła jej kopertę. - Pokaż te orzeczenia dowolnemu neurologowi. Ale o jedno cię proszę, Jennifer. Nie rozpowiadaj o tym po mieście. Taka rzecz zrujnowałaby karierę Tony'ego. I jego też by zniszczyła. Wiem, że prawdopodobnie skończy kiedyś w jakimś szpitalu psychiatrycznym, ale gdyby to, o czym ci mówiłam, wyszło na jaw, Tony już dzisiaj trafiłby do zakładu. Dlatego właśnie oszczędzam. Myślałaś, że jestem sknera, ale ja odkładam na jego dożywnię rentę. Odkładam każdy grosz. Nie chcę, żeby wylądował w jakimś strasznym przytułku, kiedy mnie zabraknie. Chcę, żeby dożył swoich dni w eleganckiej klinice. Ale tymczasem może mieć przed sobą jeszcze piętnaście dobrych lat. Taką mam przynajmniej nadzieję... No cóż...

Jennifer oddała jej kopertę.

- Wierzę ci, Miriam. Nikt nie wyssałby z palca tak okropnej historii.

Miriam miała łzy w oczach.

- Jennifer... Naprawdę dobrze ci życzę. Jeśli chcesz, wróc do Tony'ego, ale zasługujesz na lepsze życie. I proszę cię, zachowaj to w tajemnicy. Zrób to dla niego. Znajdziesz innego mężczyznę. Proszę cię - bądź miłosierna dla Tony'ego. Pozbądź się ciąży i zapomnij o nim.

Po wyjściu Miriam przez wiele godzin po prostu siedziała i patrzyła przed siebie. Potem zażyła trzy czerwone kapsułki i poszła spać.

Nigdy nie wyjaśniła ani Annie, ani Henry'emu dlaczego tak nagle zmieniła decyzję. Sama znalazła sobie ginekologa - miłego, schludnego lekarza w New Jersey. W gabinecie był czysty fotel i sprawna pielęgniarka. Zabieg kosztował tysiąc dolarów. Pielęgniarka zrobiła jej zastrzyk z tiopentalu i po tym nowym środku usypiającym Jennifer doznała jeszcze większych sensacji niż po kapsułkach seconalu. Kiedy się obudziła, było już po wszystkim. Dwa tygodnie później miała wrażenie, jakby ta ciąża była wyłącznie urojeniem. Kiedy talia wróciła do normy, Jennifer poleciała do Meksyku po rozwód. Wróciwszy do Nowego Jorku, poddała się nastrojowi



jesiennych premier i rzuciła w wir wzmożonych zakupów odzieżowych. Nastąpiła moda na dłuższe sukienki, a wszyscy wokół chodzili zafascynowani ośmiocalowym ekranem, który nazwano telewizją. Niewiele dało się w niej oglądać poza walkami zapaśników, grą w piłkę taką czy owaką i wyścigami na wrotkach, ale i tak ludzie uważali, że telewizja na pewno uśmierci radio.

Jennifer znów zgłosiła gotowość do współpracy z agencją Longwortha i pozowała do zdjęć jako modelka. Wkrótce szafy Anny jak dawniej zaczęły pękać w szwach od spadów po Jen. Telefon dzwonił bez przerwy - Jennifer z całą determinacją budowała nowe życie towarzyskie i wciągała w nie przyjaciółkę.

Spotykała się z kilkoma facetami, ale najchętniej z Claude'em Chardotem. Był francuskim producentem filmowym, prawdziwym Galijczykiem - czarującym i kochliwym. Annie zbytnio się nie podobał, ale Jennifer rzuciła się w namiętny romans. Zaczęły się nie kończące się trzygodzinne spotkania przy obiedzie, całowanie palców, potańcówki w St. Regis. On ledwie dukał po angielsku, a Anna nie mogła się nadziwić, jak świetnie Jennifer radzi sobie z francuskim.

W Wigilię przyjaciółki ubierały malutką choinkę. Spodziewały się Claude'a i jakichś jego znajomych.

- Wyjeżdża za dziesięć dni - powiedziała Jennifer z żalem.

- Naprawdę ci na nim zależy? Wiesz, co mam na myśli... Naprawdę? - zapytała Anna.

Jennifer zmarszczyła nos.

- Hm... Jest inny. A co ty o nim sądzisz? Tylko mów szczerze.

- Nie wiem. Połowy tego, co mówi po angielsku, w ogóle nie rozumiem, a większość czasu dziamgoczenie oboje po francusku, podczas gdy ja usiłuję się domyślić, co jego kumpel do mnie mówi łamaną angielszczyzną. Ale z tego, co ten jego kolega, Francois, opowiadał, zrozumiałam przynajmniej tyle, że Claude ma żonę odstawioną gdzieś na boczny tor.

- Naturalnie. Pewnie i kochankę - zgodziła się Jennifer natychmiast. - Jak ja się już przypnę do kogoś, możesz iść o zakład, że to lepszy drań. Claude chce, żebyśmy pojechała z nim do Paryża.

- Chyba nie masz zamiaru wyjechać! Jennifer wzruszyła ramionami.

- Chciałby, żebym wystąpiła tam w filmie. Mówi, że zrobię furorę, bo wyglądam jak typowa Amerykanka, a mówię jak rodowita Francuzka.

- Ale zawsze powtarzałaś, że nie umiesz grać.

- On chce, żebym występowała w filmach erotycznych. No wiesz, artystycznych, ale rozbieranych.

- Co?!

- Tam to jest przyjęte, Anno. Wiele gwiazd to robi. To nic nie znaczy. Rozumiesz, że nie mam na myśli filmów porno, tylko filmy z prawdziwą fabułą. Tyle że kiedy bohaterka takiego filmu bierze kąpiel, oni to filmują.

- Ale po co miałybyś to robić?

- A dlaczego nie? Co mnie tu czeka? Jestem przebrzmiałą sensacją. Niedługo skończę dwadzieścia osiem lat. Mam za sobą dwa nieudane małżeństwa. Nie poznam tu żadnego prawdziwego faceta. Mam pewną reputację - najpierw byłam żoną księcia krwi, potem żoną gwiazdora. Mężczyźni sądzą, że jestem dla nich za ostra. Kto wie, czy Paryż nie jest wyjściem z sytuacji? Wiem, że Claude gra przede mną na potęgę. Swoje zabiegi ubrał w wielki romans, bo chce, żebym z nim podpisała umowę. Liczy na to, że dzięki mnie zarobi pieniądze. No to co? Co mam do stracenia?

- Ale w Nowym Jorku jesteś od tak niedawna... Spróbuj...

- Jestem tu za bardzo znana. Nic nowego mi się nie przydarzy. Owszem, mogłabym wejść w jakiś nowy musical, ale nie dostanę dobrej roli. I co będzie potem? Nie jestem znów taka rewelacyjna jako modelka. Tak, mam dość pieniędzy z alimentów, ale rzygam już Morocco i Storkiem i wciąż tymi samymi, opatrzonymi gębami. A ty jak? Nadal kochasz się tak nieprzytomnie w Nowym Jorku?

Anna potrząsnęła głową.

- Wszystko jakoś straciło na urodzie, odkąd Lyon wyjechał. Przeczytałam w „Timesie”, że za miesiąc wychodzi jego książka. Pewnie już pracuje nad następną.

- Poszłaś z kimś do łóżka od tamtej pory?

- Nie. Nie mogłam. Wiem, że to głupie, ale wciąż Kocham Lyona.

ANNA

Styczeń, 1948

W dniu wyjazdu Claude'a w restauracji „21” odbywał się uroczysty trzygodzinny lunch. Kiedy zjawiała się Anna, przyjęcie już było w toku. Na stole stała wielka puszka irańskiego kawioru i nieodłączne wiaderko z lodem i butelką szampana. Rozpromieniona Jennifer pełniła honory gospodyni wobec Claude'a, jego przyjaciela Francois i jeszcze jednego mężczyzny, którego Anna nigdy przedtem nie widziała.

- Nazywam się Kevin Gillmore - powiedział. Jennifer uśmiechnęła się.

- Na pewno o nim słyszałaś, Anno. Kevin Gillmore jest właścicielem firmy Gillian Cosmetics.

- Naturalnie. Pańskie kosmetyki są znakomite. - Wzięła trochę kawioru.

- Pani też się wybiera do Paryża? - spytał.

- Nie, nie. To Jennifer będzie nową francuską sensacją.

- Szturmem zdobędzie Paryż - włączył się Claude po angielsku. Mówił z silnym obcym akcentem. - Ale proszę cię, Anno. Zależy mi na tym, żebyś ją wstawiła na statek. Musi być w Paryżu do końca miesiąca.

Jennifer roześmiała się wesoło i przytuliła do Claude'a.

- Będę, będę. Jak tylko dostanę paszport i połatwiam swoje sprawy w Nowym Jorku.

- Jakie to podniecające, prawda? - zwróciła się Anna do Kevina, usiłując ukryć swój brak entuzjazmu.

- Pewnie tak. To są pani zęby?

- Słucham?

- Pani własne czy koronki?

Uśmiechnęła się. Jego bezpośredniość była rozbijająca.

- Moje. Skąd to pytanie?

- A włosy? Spłonęła rumieńcem.

- To naturalny kolor - odparła cicho.

- Wiem, wiem. Na tyle znam się na farbach, że sam poznałem. Ale pytam, czy wszystkie są pani? - Pociągnął leciutko długie pasmo.

- Chodzi mi o to, czy nie ma pani treski.

- Czego?

- Treski. Czyli dosztukowanych włosów, które się wkłada pod fryzurę, żeby jej dodać puszystości.

- Po co miałabym to robić?

Uśmiechnął się nagle. Jego uśmiech był nieśmiały i nie pasował do obcesowych pytań.

- Większość dziewcząt ucieka się do treski, żeby osiągnąć taki efekt. - Potrząsnął głową ze smutkiem. - Dlatego tak trudno jest znaleźć właściwą dziewczynę. Na ogół mają albo dobre włosy i fatalne zęby, albo dobre zęby i włosy, za to straszny nos. Przypuszczam, że jest pani bardzo zajęta. Nie chciałyby pani pewnie pracować wyłącznie dla mnie?

- Jako kto? - Anna spojrzała na Jennifer, szukając u niej pomocy, ale przyjaciółka szeptała właśnie Claude'owi coś czule po francusku.

- Widzi pani, nastaje teraz era telewizji i sędzę, że zwłaszcza duże audycje radiowe padną w ciągu najbliższego roku. Potrzebna mi dziewczyna, symbol mojej firmy - Gillian Girl. Chciałbym ją mieć we wszystkich swoich reklamach. Reklamowałyby kosmetyki do włosów, lakier do paznokci, szminkę i tak dalej. Widziałem kilka dziewcząt, które byłyby dobre... - Wymienił nazwiska pięciu wiodących modelek. - Ale one wszystkie zarabiają za dużo, żeby mieć ochotę pracować tylko dla mnie. Nie chcę, żeby moja Gillian Girl pozowała w kreacjach Teda Casablanki dla „Vouge'a" czy reklamowała perfumy Chanel w „Harper's Bazaar". Zależy mi na tym, żeby odbiorcy utożsamiali ją wyłącznie z moimi produktami. Ale mogę zaoferować tylko trzysta dolarów tygodniowo.

Anna upiła łyżeczek szampana. Nie wiedziała, co powiedzieć.

Jej milczenie zrozumiał jako odmowę.

- Dałbym pani roczny kontrakt, w którym znalazłaby się klauzula, że w drugim półroczu dostanie pani pięćset tygodniowo. I dodatkowe wynagrodzenie, jeśli wejdziemy na ekran telewizyjny.

Jennifer ocknęła się niespodziewanie.

- Czyżbym słyszała jakąś rozmowę o pieniądzach? - spytała.

- Mówię właśnie pani koleżance, że chciałbym z niej zrobić Gillmore Girl.

Jennifer otworzyła szeroko oczy.

- No jasne! Anna będzie wprost idealna!

- Z całą pewnością. Jest piękna, ale nie ma w niej agresywnego seksu. Widzę w niej idealną amerykańską dziewczynę.

Claude wyrzucił ramiona pod sufit.

- I znowu to słowo! Wy, Amerykanie! Nie wiecie, co zrobić z piękną dziewczyną. Ciągłe chcecie wszystkie śliczne dziewczyny upodobnić do pani Smith za ścianą. Jak by to chciała widzieć publiczność, nikt nie szedłby do kina! Weź taką Jennifer za przykład. Ona będzie wielkim przebojem, bo nie wygląda jak sąsiadka obok. Jennifer to dziewczyna, o jakiej marzy każdy mężczyzna.

- Zgadza się. Ale reklama rządzi się swoimi prawami - protestował Kevin. - Tak, seks też wykorzystujemy, ale dużo subtelniej. Anna jest piękna. Ale z jej urodą każda kobieta na pewno zechce się identyfikować. Dziewczyna z college'u czy młoda mężatka pomyśli sobie, że używając naszych produktów, może wyglądać jak Anna. A nigdy nie przyjdzie jej do głowy, że dzięki kosmetykom upodobni się do Jennifer. Ty w swoich filmach sprzedajesz eskapizm, ja natomiast sprzedaję wyroby. I Anna jest do tego doskonała. Nikt nie będzie się zastanawiał, czy jej twarz wygląda tak, a nie inaczej dzięki delikatnej budowie kości policzkowych, nikt nie będzie rozważał, czy to efekt takiego, a nie innego rozstawienia oczu albo gęstości rzęs. Kobiety pomyślą tylko, że jeśli użyją naszego kosmetyku, osiągną ten sam efekt. Uroda Anny nikogo nie przestraszy. Jennifer wystraszyłaby wszystkich.

- No cóż, zabieram tę swoją porażającą urodę do Paryża - wtrąciła Jennifer. - Ale wiesz, Anno, sądzę, że powinnaś przyjąć propozycję Kevina. Potrzebna ci jakaś odmiana. Jak nam wszystkim.

Anna zmarszczyła czoło.

- Nie jestem modelką i bardzo mi się dobrze pracuje u... Jennifer trąciła ją w ramię i wstała.

- Myślę, że najwyższa pora przypudrować nos. Chodź, Anno. - Wychodząc z sali za przyjaciółką, odwróciła się i mrugnęła do Kevina krzepiąco. Skinął jej głową i uniósł ręce, zaciskając kciuki.

Usiadły przed dużym lustrem; toaletowa przybrała wystudiowaną minę osoby znudzonej i nie zainteresowanej spodziewaną rozmową.

- No dobrze. - Jennifer natychmiast ruszyła do ataku. - Dlaczego nie chcesz?

- Nie mam pojęcia o pracy modelki...

- A ja nic o robieniu filmów, ale to mnie nie powstrzymuje. A tym bardziej nie mam bladego pojęcia, jak to się robi w Paryżu!

- Będiesz znakomita...

- Nie zmieniaj tematu. Ile zarabiasz u Henry'ego?

- Teraz sto pięćdziesiąt tygodniowo. Ale to zupełnie nieważne. Niedawno sprzedałam dom za doskonałą cenę. Henry zainwestował pieniądze i akcje już poszły w górę. Ostatnia rzecz, na jakiej mi zależy, to forsa.

- Ale to będzie fascynująca przygoda.

- Nie mogę zostawić Henry'ego...

- Henry'ego? - Jennifer spojrzała na nią z wyrzutem. - Anno, do licha, przecież rozmawiasz ze mną! Chcesz chyba powiedzieć, że nie możesz odejść z tego biura, bo uważasz, że to jakaś nić, która cię wciąż łączy z Lyonem. Przestań marzyć, że pewnego dnia Lyon nagle wejdzie do biura i cię stamtąd porwie. To już skończona sprawa! Skończona, i już!

- Skąd wiesz? To znaczy... W przyszłym tygodniu wyjdzie jego książka... No i... będzie musiał tu wtedy przyjechać. Tak robi większość autorów, prawda?

Jennifer przyglądała się swojej torebce. Bezmyślnie bawiła się rączką.

- Anno... Nie miałam zamiaru o tym mówić, ale teraz uważam, że powinnaś wiedzieć. On... On wrócił do Anglii.

- Wrócił? - Usta jej wyschły. Przestraszyła się, że zaraz zemdleje.

- To znaczy, że tu był?

Jennifer poważnie skinęła głową.

- Cały tydzień. Przyjechał spotkać się z wydawcą. Napisał książkę od nowa. Wyrzucił większość tego, co tu spłodził, i zaczął wszystko na dobrą sprawę od zera. Dlatego to tak długo trwało. Ale to dobra książka. Tak mówi Henry. Widział się z Lyonem.

- Widział się z Lyonem?

- Spotkali się na lunchu. Lyon już zaczął pracować nad następną. Dostał niezłą zaliczkę od wydawcy. I wrócił do Londynu. Chce tam wynająć mieszkanie.

- Widział się z Henrym... Był tutaj... - Urwała. Łzy spływały jej po policzkach.

Jennifer objęła ją serdecznie.

- Anno, nie bierz sobie tego tak bardzo do serca. Henry mówi, że Lyon o niczym innym nie myśli, tylko o pisaniu. Tylko to się dla niego teraz liczy.

- Ale Henry wie, co czuję. Dlaczego mi nie powiedział, że on tu był?

- Bo jest mężczyzną, a mężczyźni są solidarni. Anno, Henry'emu nic nie jesteś dłużna. A potrzebna ci pełna odmiana. Claude nie zapraszał Kevina na lunch. To jest przeznaczenie. Kevin po prostu wszedł do sali, ot tak, i się do nas przysiadł. Najwyraźniej tak miało właśnie być.

- Może masz rację - odparła Anna powoli. - Muszę oderwać się od biura. Mam uczucie, że żyję jak w świątyni.

- Teraz mówisz do rzeczy. I wyprowadź się też z tego mieszkania Lyona. A teraz popraw makijaż. Nie strać tej pracy w przedbiegach!

Z początku Henry się zmartwił, ale w końcu przyznał z niechęcią, że propozycja Gillmore'a jest świetna.

- To twoja robota - powiedział Jennifer, która przyszła z Anną, by oznajmić mu nowiny.

- Wiesz, że tak będzie dla niej najlepiej - odparowała wesoło. - Daj spokój, Henry! Jak długo chciałeś ją tu siłą trzymać, co? W końcu Anna to nie panna Steinberg.

- No dobrze, dobrze. Tylko pamiętaj, Anno, przynieś mi umowę, zanim ją podpiszesz - wymruczał. - Zobaczymy, czy nie da się upiec przy tym jakiejś dodatkowej pieczeni. Telewizja wchodzi coraz ostrzej. Lepiej nie zostawiać otwartych spraw do późniejszych negocjacji. Jeśli chce cię teraz zatrudnić do reklam w pismach i gazetach, musi zagwarantować, że weźmie cię w przyszłości do reklam telewizyjnych.

- Henry, przecież ja skonam przed kamerą! - zaprotestowała Anna.

- Będzie dokładnie tak samo, jak przed obiektywem aparatu, a do tego czasu będziesz już miała roczne doświadczenie. A tak w ogóle, to radzę ci - napisał na kartce jakieś nazwisko - zacząć spotkania z Lil Cole. Umów się przynajmniej na dwie prywatne lekcje tygodniowo. Są drogie, ale stać cię na to.

- Kto to jest Lil Cole?

- Najlepsza nauczycielka eleganckiego akcentu i dykcji w Nowym Jorku.

- A po co mi ona?

- Bo mam przeczucie, że reklama telewizyjna nie ograniczy się tylko do pozowania przed kamerą. Będziesz musiała pozbyć się tych twoich bostońskich naleciałości.

- Henry, mam zostać modelką, nie aktorką.



- Posłuchaj, Anno. - Jego głos zabrzmiał surowo. - Jak masz zamiar coś zrobić, rób to na sto procent. Nie ma roboty na pół gwizdka. W żadnej branży. Byłaś świetną sekretarką. A skoro teraz masz być Gillmore Girl, bądź najlepszą z możliwych. Zresztą nie masz innych planów, prawda? Jakieś zajęcie na pewno bardzo ci się przyda.

Nagle na jego twarzy pojawiło się zmęczenie, zupełnie jakby uszły z niego wszystkie siły. Anna, wiedzona odruchem, zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Henry, kocham cię.

Zmarszczył nos, żeby ukryć wzruszenie.

- No i jak ci się to podoba? - zapytał Jennifer. - Przez dwa lata patrzę w nią jak w obraz, a teraz, kiedy mnie rzuca, oświadcza mi, że mnie kocha!

- Bo cię kocham, Henry. I zawsze będę. I proszę cię... bądź moim przyjacielem.

- Spróbuj mnie tylko stracić. Takie jak ty nie rodzą się na kamieniu - jesteś jedna na milion. A teraz zjeżdżaj! Muszę obdzwonić agencje. Kto wie, może objawi się tu jakaś nowa Anna Welles? Nigdy nie wiadomo.

- Nie chcesz, żebym została, dopóki nie znajdziesz sobie kogoś na moje miejsce? Mogłabym tę twoją nową sekretarkę wprowadzić we wszystko.

- Nie. Zmiataj już. Jennifer niedługo wyjeżdża. Macie już niedużo czasu, wykorzystajcie go. A tak przy okazji, Jennifer... Twoje alimenty po odliczeniu podatków wyniosą siedemset dolców tygodniowo. Znając ciebie, już teraz je sobie odtrączę. Twoja umowa z filmem skomplikuje nieco sprawę. Chcesz, żeby ci przesyłać czek?

- Nie, zatrzymaj tu moje pieniądze. Zainwestuj je w coś. Zrób ze mnie taką bogaczkę jak z Anny.

Roześmiał się.

- Proszę, proszę. Mam tu dwie Rockefellerki. I kto to mówi, że światem rządzą mężczyźni?

- Te pieniądze nie przyszły mi łatwo - zauważyła Jennifer ponuro.

- Pewnie, że nie. Musiałaś przez pięć miesięcy pocić się nad basenem. Ciężka robota.

Jennifer błysnęła swym najpogodniejszym uśmiechem.

- No jasne! Bawiłam się i hulałam do upojenia.

- Wiecie, kim chciałbym być w przyszłym życiu? Piękną dziewczuchą - upierał się Henry. - Sama popatrz: masz przed sobą Paryż i za chwilę staniesz się francuską Laną Turner. Tylko o jedno cię proszę: nie wydawaj całej forsy co do centa. Jesteś mi już winna dwa tysiące. Odciągnę je sobie z twoich alimentów. I, na litość boską, nie każ mi przesyłać ci pieniędzy do Paryża. Daj mi szansę, żebym mógł ci tu coś uzbierać. Właśnie takich klientek jak wy dwie mi trzeba!

- Skoro już o tym mowa... - zaczęła Jennifer słodko. - Wypląć mi z góry jeszcze tysiąc, Henry...

- Daj spokój, Jennifer...

- Potrzebne mi są nowe ciuchy. W końcu muszę się w Paryżu jakoś zaprezentować.

Luty, 1948

Anna wpadła do „21” i przysiadła się do stolika przy oknie, gdzie zawsze jadał Henry.

- Przepraszam za spóźnienie, ale Lil Cole to prawdziwa poganiaczka niewolników.

Henry zauważył, że wszyscy mężczyźni na sali obrócili głowy, żeby popatrzeć na Annę. Trzy tygodnie pracy ekspertów od makijażu przyniosły trudną do zdefiniowania, ale zauważalną zmianę. Ludzie Gillmore'a nie zmienili jej naturalnej urody, ale zdołali ją jakoś jeszcze bardziej rozświetlić. Przedtem urodziwą twarz Anny dostrzegało się dopiero z czasem, teraz jej piękno wprost uderzało. Miała zrobione oczy, a jej włosy były jeszcze bujniejsze - spływały niczym lwia grzywa. Anna nadal wyglądała jak dama, ale teraz budziła przy tym męskie emocje.

- Dostałam dziś rano długi list od Jennifer - powiedziała, zupełnie nieświadoma poruszenia, jakie wywołała swym wejściem.

- Ja też. Ale króciutki. Z prośbą o pieniądze. W jakim tempie ona je wydaje, Anno?

Roześmiała się i zamówiła sałatkę.

- Bez względu na to, ile Jennifer zarabia, zawsze będzie w długach. Ona po prostu wydaje nałogowo.

Henry potrząsnął głową.

- Mam nadzieję, że znajdzie tam sobie faceta. Dobrego faceta. Nie sądzę, żeby miała talent aktorski, ale ma wspaniałą twarz i figurę. Módlmy się, żeby zrobiła z tego dobry użytek. Bo to jej wszystkie atuty. A kiedy skończy się ta uroda, skończy się i nasza Jennifer.

- Henry! Nigdy cię o to nie posądzałam! Naprawdę jesteś taki jak inni faceci, którzy widzą w niej tylko ładną buzię? To cudowna dziewczyna, tylko żaden mężczyzna nie zadaje sobie trudu, żeby się o tym przekonać. Myślałam, że nie jesteś taki. Jennifer to naprawdę przyzwoita dziewczyna... Jest prawdziwą przyjaciółką i jest taka kochana. To najmiłsza osoba, jaką znam.

- Jest miła? W porządku. Mogę się na to zgodzić. Ale miła tylko na zewnątrz. Ma uśmiech na stałe przyklejony do twarzy. Ale jedno mi powiedz, Anno... Jak głębokie są jej uczucia?

- Trudno powiedzieć... Jennifer nie otwiera się zbyt często. Wiesz co? Nigdy nie słyszałam, żeby na kogoś napluła. Jest naprawdę słodka... Wobec wszystkich. Czuję, że to śmieszne, że tak ją określam,

ale to właśnie bardzo do niej pasuje. Mieszkałam z nią, więc wiem. Można by pomyśleć, że to Neely jest słodka i miła, ale nic podobnego. Neely jest twarda... bystra i za grosz nie ma w niej słodyczy. A w Jennifer jest. Wiesz, że Jen nie powiedziała nigdy złego słowa o księciu? Tylko tyle, że ich małżeństwo nie wyszło. Nie ma w niej zajadłości ani w stosunku do księcia, ani do Tony'ego... nawet do Miriam. Mówiła mi tylko, że nie mogła już znieść kalifornijskiej nudy. Nie. Pod całą tą olśniewającą powłoką jest samotną dziewczyną, która czeka na kogoś takiego jak ona. Bo tak naprawdę to Jennifer pragnie tylko jednego jedyne go mężczyzny, normalnego życia i dzieci...

- Więc jak to się stało, że usunęła ciążę? Właśnie w tym miejscu przestałem ją rozumieć. Rozhisteryzowana zadzwoniła do mnie z Kalifornii, bo chcieli, żeby pozbyła się dziecka. W każdym razie tego na pewno chciała uroczą szwagierką, Miriam. A Jennifer upierała się, że nigdy tego nie zrobi. Chciała mieć dziecko. Potem, kiedy stanąłem na głowie, żeby załatwić jej jak najlepsze alimenty, zrobiła sobie skrobankę! Powiedz mi, czy kobieta, która naprawdę pragnie dziecka, nie może go utrzymać za tysiąc dolców tygodniowo?

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nie wytłumaczyła mi tego... - odparła Anna z wolna. - Ale przypuszczam, że gdzieś po drodze przestraszyła się samotnego wychowywania. Jestem pewna, że jeśli trafi na właściwego człowieka, od razu się ustakuje.

Henry przyjrzał się jej uważnie.

- A co będzie z tobą?

- Och, wszystko dobrze idzie. Skończyliśmy zdjęcia próbne. W przyszłym tygodniu zaczynam pozować do wiosennej kolekcji.

- Nie to miałem na myśli, Anno. Pytałem o twoją przyszłość. Wiesz, że jak staniesz się Gillian Girl, wszystko natychmiast się odmieni. Jak tylko twoja twarz ukaże się w pismach i na planszach przy autostradach, ludzie gwałtownie zaczną się kręcić wokół ciebie.

- Już to przechodziłam, pamiętasz? Dwa lata temu znalazłam się na różnych okładkach i wszędzie o mnie pisali; byłam Kopciuszkiem Allena Coopera. Ale wcale mnie to nie zmieniło.

- Owszem, zmieniło - zauważył. - Nie wyszłaś za Lyona, prawda? Wbiła wzrok w talerz.

- Chciałam, Henry... Pragnęłam tego bardziej niż czegokolwiek innego... Nadal tego pragnę.

- No to dlaczego tego nie zrobiłaś? Przecież mogłaś.

- Chciał, żebym wróciła do Lawrenceville.

- O to właśnie chodzi - powiedział wolno. - Dziewczyna, która pierwszego dnia weszła do mojego biura, poleciała za mężczyznę swego życia aż na koniec świata. Dlatego cię zatrudniłem. Wydawało mi się, że nie dasz się wziąć na plewy i nie stracisz głowy dla pierwszego lepszego. Nie liczyłem na to, że Lyon do mnie wróci. W chwili gdy wszedł do pokoju, powiedziałem sobie: „No to cześć! Zegnaj, mała”. Niestety tak się składa, że akurat Lyon nie jest w stanie obdarzyć kogokolwiek głębokim uczuciem, ani mężczyzny, ani kobiety. Ty i ja jesteśmy do siebie podobni. Kiedy angażujemy się uczuciowo, z naszych ukochanych robimy najprawdziwszych bogów.

- Lyon mnie kochał... Wiem, że mnie kochał - powtórzyła.

- Ale nie tak bardzo, jak siebie samego. Mężczyzna, który potrafi tak dokładnie zerwać wszelkie więzi, jak to zrobił Lyon, nie jest zdolny do prawdziwej miłości. Wiesz, on jest w pewnym sensie podobny do Jennifer... Takie Jennifer i tacy Lyonowie tego świata zakochują się, ale wychodzą z wszelkich związków bez jednego nawet zadrapania. Bo na plan pierwszy zawsze wysuwa się ona czy on, czyli Numer Jeden. Zapamiętaj to sobie. Jesteś jeszcze młoda. Miej oczy szeroko otwarte. A kiedy spotkasz następnego gościa i poczujesz, że to jest już to, łap go i zwiewaj z nim gdzie pieprz rośnie. Nie pław się w sławie i chwale zbyt długo.

- Nie przypuszczam, żeby ktoś taki mi się jeszcze przytrafił - odpowiedziała. - Tym kimś był Lyon.

- Lyona nie ma - burknął. - Sprawa zamknięta. Skończona!

- Rozumiem, ale to niczego we mnie nie zmienia. Nie mogę się zakochać w pierwszym mężczyźnie, który nawinie mi się pod rękę. Chcę pewnego dnia wyjść za mąż i mieć dzieci. Ale też chciałabym mieć przy sobie mężczyznę, którego kocham. - Westchnęła. - A nikogo już nie pokocham tak, jak kochałam Lyona.

- Słuchaj no... - zaczął. - Nie zwracaj głowy. Ja też kiedyś kochałem. Jedyłą kobietę w życiu. Helen Lawson. I świetnie wiedziałem, od samego początku, że ona mnie nie kocha. Nie umiała pokochać nikogo. Nauczyłem ją wszystkiego. I chociaż taki ze mnie mądrała, nigdy nie przestałem jej kochać. Może dlatego, że nigdy nie dałem sobie szansy, żeby poszukać prawdziwej dziewczyny. No i jak teraz wylądowałem? Jestem samotny jak palec.

- Może moglibyście z Helen jeszcze...?

- Chyba żartujesz!

- Ale mówiłeś, że ją kochasz.

- Kochałem. Kochałem ją taką, jaką sobie wymyśliłem, jaką chciałem, żeby była. A teraz, kiedy wiem, co naprawdę w niej siedzi, sam jestem już za stary, żeby szukać kogoś innego. Prawdę mówiąc, to wszystko ją teraz dopada. To, co ma w środku, zaczyna być widoczne na zewnątrz - baba z żelaza. Zabiłbym każdego, kto by ją tak przy mnie nazwał, ale tobie to mogę powiedzieć. Nie Kocham już Helen, ale nie umiem wyzwolić się z tego nawyku. Całkiem niepostrzeżenie można się do tego na dobre przyzwyczaić, Anno. I nawet kiedy wypala się uczucie i do głosu dochodzi rozsądek, nawyk wciąż pozostaje. Na całe życie. A ty masz dwadzieścia dwa lata i nie wolno ci wytworzyć go w sobie. Lyon nie traci czasu na rozmyślania o tobie. Wierz mi. Więc i ty przestań o nim myśleć.

Anna uśmiechnęła się blado.

- Spróbuję. Mogę tylko spróbować...

NEELY

1950

Neely ze znużeniem zamknęła scenariusz. Nie ma sensu przeglądać go jeszcze raz. Znała wszystko na pamięć. Przeciągnęła się leniwie w wielkim łóżku i upiła trochę whisky ze szklaneczki. Wpół do dwunastej, a jej się wcale nie chce spać! Może powinna wziąć jeszcze jedną lalczkę? Już dwie połknęła. Może jeszcze jedną czerwoną? Musi być na planie o szóstej. Poszła do łazienki i włożyła do ust czerwoną kapsułkę.

- No, lalczko, rób, co do ciebie należy.

Ciężkim krokiem wróciła do łóżka. Zauważyła, że jej terminarz jest otwarty. Może o czymś powinna pamiętać? Patrzyła w zapisaną kartkę. Litery się dziwnie rozmazywały, ale rozpoznała pismo Teda: „Wróć dzisiaj wcześniej. Bud i Jud obchodzą pierwsze urodziny!”

O Boże! Rany, przecież to jest dzisiaj! Rano nawet nie spojrzała na terminarz. Otumaniona pigułkami, ledwie wytoczyła się z łóżka. Musiała zażyć aż dwie tabletki dexy, żeby się obudzić. I jak się teraz okazuje, zapomniała o przyjęciu urodzinowym! Niech szlag trafi te dokrętki na planie! Wyskoczyła z łóżka i pobiegła do sypialni dzieci. Ogarnęła ją fala nieprzytomnej dumy, kiedy patrzyła na dwie jasne, małe główki.

- Bud i Jud... - szepnęła w ciemność. - Mama nie przyszła dziś na wasze urodziny, ale bardzo was kocha. Bardzo, bardzo! Mama nie spojrzała w kalendarz, bo inaczej na pewno byłaby z wami. Na pewno.

Wyszła na palcach i wróciła do siebie. Ted pewnie szalał z wściekłości; teraz zaszył się gdzieś obrażony na cały świat. O Boże, przecież to nie jej wina. Nie zauważyła tego cholernego terminarza. Co prawda zostawił jej otwarty kalendarz na nocnym stoliku... To co? Kto, u diabła, potrafi coś zobaczyć o piątej rano! Oparła się na poduszkach. Pewnie mieli tort. Ze świeczką. I panna Sherman razem z Tedem śpiewali im „Sto lat”. Duża łza spłynęła po grubej warstwie kremu na policzku Neely. Ale, jak rany, to przecież jeszcze bardzo małe dzieci! Nawet nie wiedziały, że dziś ich urodziny. Nie było im przykro.

A teraz Ted z pewnością ma jej za złe. A gdzież on, do diabła, jest? Pewnie gdzieś lata po mieście, ta cholerna dwururka! Przypomniała sobie, jak go przyłapała po raz pierwszy. Chryste! Obejmował tego angielskiego aktora i obydwoj wpychali sobie języki



w gardła! Tamtej nocy połknęła wszystkie kapsułki z butelki. Musieli jej potem robić płukanie żołądka. Skrzywiła się na to wspomnienie. Nigdy już tego nie robi.

Ale Ted stał się potem nadzwyczaj czuły. Pierwszej nocy, po rym płukaniu, przytulił ją do siebie i tłumaczył, że robił to z tym facetem tylko dlatego, że czuł się tak niepewnie. Fakt, że dwa lata z rzędu nominowano ją do Oscara - nieważne, że go nie dostała - spowodował, że Ted poczuł się niewiele warty, jakiś mało męski. Właśnie tamtej nocy zaszła w ciążę. I do tego bliźniaczą! Ci dwaj złotowłosi chłopcy w dziecięcym pokoju byli naprawdę jej! Wyszli z jej ciała! Poczula obezwładniającą falę ciepła. Ma dopiero dwadzieścia dwa lata... Jest największą gwiazdą studia Century... Ma dom w Beverly Hills i bliźniaki - dwóch chłopców!

Kapsułki nie działały. Zastanawiała się, czy Jennifer kiedykolwiek próbowała wziąć trzy naraz. Na pewno tak. Trzeba coś brać, żeby robić takie filmy jak Jennifer. Jasny gwint! Ten ostatni wywołał prawdziwą sensację. Ci, co go chcieli obejrzeć, musieli godzinami stać w kolejkach przed La Jolla. A potem można było zobaczyć Jennifer z gołymi cyckami, która zasuwa po francusku jak stara. Może w Paryżu przeszło to bez echa, lecz tu... Ale napisy pod gołym tyłkiem i tak nie robiły z tego filmu dzieła sztuki. Jak rany! I ten wielki artykuł, który zamieścił „Look” - a może „Life”? - gdzie było zdjęcie jej wspaniałego mieszkania w Paryżu. W tym artykule napisali niemal czarno na białym, że Jennifer mieszka z francuskim producentem Claude'em Chardotem.

Ciekawe, co Anna myśli o tym wszystkim. Powinna napisać do niej list. Podziękować za przesłanie nowej książki Lyona, choć co prawda książka miała fatalne recenzje. Wszyscy stwierdzili jednogłośnie, że Lyon pisze już komercyjnie - w każdym razie spróbował i nie wypaliło. Ale, cholera, może potrzebuje forsy i myślał, że taka chała się sprzeda? W końcu zebrał tyle pochwał za swoją pierwszą książkę i nie zarobił na niej ani centa. Ciekawe, czy Annie nadal na nim zależy? Chyba tak, skoro zadawała sobie tyle trudu, żeby jej koleżanki na pewno go czytały. Z drugiej strony w kronikach towarzyskich dawano wyraźnie do zrozumienia, że Anna żyje z Kevinem Gillmore'em. O rany! I pomyśleć, że została Gillian Girl! Trudno otworzyć jakiegokolwiek pismo, żeby nie trafić na jej zdjęcie. O właśnie... Sobota wieczór. Nachyliła się nad szafką i

naskrobała coś w terminarzu. Musi pamiętać o sobocie. Anna będzie występować w reklamach w czasie „Godziny Śmiechu”. Coś takiego, Anna w telewizji!

Telewizja... O rany... Tu, w Kalifornii, wszyscy trzęśli portkami przed tym śmierdzącym małym pudełkiem. Zupełnie jakby mogło zaszkodzić prawdziwemu przemysłowi filmowemu. Ale panika ogarnęła wszystkich. W studiach zwalniano aktorów pracujących na zleceniach; nie podpisywano już długoterminowych kontraktów - tylko na jeden, dwa filmy. Szczęście, że ona jest taka wielka. Tak im zależało, żeby podpisała z nimi długą umowę. Ma teraz pięć spokojnych, dobrych lat... Przez dwanaście miesięcy w roku może liczyć na pieniądze - jeszcze przez cztery lata...

Żeby Ted już był w domu! Żeby poszedł się za nią wyklócać jutro w studiu! Te sekwencje z tańcami były za bardzo męczące. Może tańczyć, bardzo proszę, ale to, co oni tam wymyślili, to przecież czysty absurd. Wyśle Teda, żeby im powiedział, że w takich kostiumach po prostu nie da się tańczyć, i będą musieli uprościć te układy. Dzisiaj jest już zupełnie bez tchu. Zielone proszki działają wspaniale - nie chce się po nich jeść i dobrze nabijają akumulator, ale serce wali po nich jak młot i nie sposób ćwiczyć aż przez dwie godziny. Może Ted siedzi w gabinecie? Może wcale nie jest na nią zły, tylko tak długo pracuje? Sięgnęła po telefon. Nie, nie. Lepiej nie wiedzieć, jeśli go tam nie ma. A zresztą! Gdyby nawet był, o czym by to świadczyło? Może to przecież robić z jakimś facetem choćby w gabinecie. Jezu, dlaczego go tak bardzo kocham? - myślała. Przecież nie jest stuprocentowym mężczyzną. Ale Mel też był mięczakowaty. Dlaczego właśnie tacy mężczyźni ją pociągali? Z początku wydawali się tacy strasznie silni - pomagali jej, mówili, co ma robić. Naprawdę byli silni. A potem coraz bardziej miękli.

Spojrzała na budzik. Północ. Kapsułki nie działały. Musi łyknąć trochę szkockiej, żeby je pospieszyć. Cholera! Whisky jest na dole. I tak ma szczęście, że odkryła, jak działa whisky po prochach. Ciekawe, czy Jennifer też na to wpadła? Laleczki bez alkoholu nic nie dają. Hm, musi jednak zejść na dół i nalać sobie szklaneczkę.

Zbiegła boso po marmurowych stopniach. Służba już spała. Bawialnia tonęła w ciemnościach. Kiedy sięgała do kontaktu, usłyszała plusk wody w basenie. Podeszła do oszklonych drzwi prowadzących na patio. Któż u diabła kąpie się w basenie? Wokół

pasażu przy basenie świeciły się lampy, a ich blask odbijał się w wodzie. To Ted! Roześmiała się z ulgą. Jak rany, ale wariat! O tej porze pływa sobie w najlepsze na golasa! Zaczęła niezręcznie rozpinąć guziki piżamy. Wskoczy do wody i zrobi mu niespodziankę. Nie, to ją zupełnie rozbudzi, a rano przecież musi wstąpić. Już miała go zawołać, kiedy zobaczyła, jak z pawilonu przy basenie wychodzi jakaś dziewczyna - szła nieśmiało, niezdecydowanie, mocno opasując się ręcznikiem.

- Daj spokój, rzuć ten ręcznik! Woda jest ogrzewana! - krzyknął Ted.

Dziewczyna spojrzała na ciemny, wielki dom.

- A jak ona się zbudzi?

- Żartujesz? Po takich dawkach, jakie bierze, nawet trzęsienie ziemi nie postawi jej na nogi. No chodź już, Carmen, bo sam cię tu wciągnę!

Dziewczyna z wahaniem upuściła ręcznik. Nawet w półmroku Neely dostrzegła, że ma piękne ciało. Neely zmrużyła oczy. Już ją gdzieś widziała... Jasne! To Carmen Carver. Wygrała jakiś konkurs piękności i teraz w studio robią z nią próbne zdjęcia.

Ted podpłynął do Carmen. Neely usłyszała dziewczęcy pisk.

- Och, Ted! Nie w wodzie!... Nie!

Poczuła skurcz w żołądku. O Boże! Tylko nie to! Może się ostatecznie od czasu do czasu godzić na jakiegoś chłopca. To choroba Teda - tak jej powiedział psychiatra. I nie ma nic wspólnego ze zdradą. Ale dziewczyna?!

Chwyliła butelkę whisky i wtoczyła się na schody. Nalała sobie pełną szklanekę, wzięła kolejną kapsułkę i weszła do łóżka. Do diabła z Tedem i tą dziwką! Matko, ale będzie mieć jutro potężnego kaca! A trzeba się podnieść o piątej.

Nagle usiadła w pościeli. A co się stanie, jeśli raz nie pójdzie? Przez całe życie nie spóźniła się nawet pięć minut na próbę, na wywiad czy choćby na przymierzanie kostiumów. I co z tego ma? No tak, zarabia teraz pięć tysięcy tygodniowo, tylko co z tego ma? Dom jeszcze nie jest spleacony - studio udzieliło jej kredytu. Doktor Mitchell mówi, że dom jest dla niej ważny - w domu znajdzie oparcie i dom pozwoli jej się pozbyć lęków narosłych w niej w czasie rozchwianego dzieciństwa. Też mi odkrycie za cenę dwudziestu pięciu dolarów za spotkanie! Jutro do niego pójdzie i niech jej wytłumaczy, co się dzieje

z Tedem! A jak się tak dobrze zastanowić, to za co Ted płaci w gruncie rzeczy? Opłaca służbę, utrzymanie samochodu, swojego biura, płaci za żarcie i alkohol. Może to błąd, że podpisała tę intercyzę? Jego interesy kwitły. „Vogue” zawsze zamieszczał jego rozkładówki. A co ona ma? Studio odtrąca jej z gaży tysiąc dolców tygodniowo na poczet spłaty kredytu... Dalej... Płaci agentowi, płaci podatki, opłaca swoją pokojówkę, sekretarkę... Jezu! Nie może zaoszczędzić nawet złamanego grosza! Hm, za trzy lata skończą się spłaty kredytu. Upiła trochę whisky. Zaczynała ją ogarniać euforia. Kiedy już upora się ze wszystkimi spłatami, wszystko się dobrze ułoży...

Wszystko się ułoży! Jezu Chryste! A tymczasem Ted na dole w jej basenie posuwa jakąś dziwkę?! Wyskoczyła z łóżka jak oparzona. Trochę nią rzucało na prawo i lewo i głowę miała ciężką, ale musiała wyrzucić tę dziewczynę ze swojego basenu. Chwiejnie schodząc na parter, trzymała się balustrady. Dotarła jakoś do kontaktów i triumfalnie oświetliła basen.

Ted i dziewczyna wychodzili z basenu na czworakach, kiedy wypadła na patio z butelką szkockiej w ręku.

- Dobrze się bawicie, kochani? - wrzasnęła. - Pieprzycie się w moim basenie?! Tylko wypuście z niego potem wodę. Pamiętaj, Ted, że twoje dzieci też się w nim kąpią co rano.

Dziewczyna, przerażona, schowała się za Tedem. Neely uważnie przechyliła butelkę i wylała whisky do basenu.

- Może to zdezynfekuje wodę - warknęła. Potem spojrzała na Teda. - A więc teraz z chłopców przierzucamy się na przygodne dziewczynki? Przypuszczam, że doktor Mitchell powie mi, że tego też ci trzeba.

Ted stał sztywno wyprostowany i milczał. Schował ramiona za plecami, żeby osłonić drżącą dziewczynę. Ten opiekuńczy gest dołał tylko oliwy do ognia.

- I kogo ty tam chronisz, co?! - ryknęła Neely. - Kurwę, która skaziła mój basen? Ty wiesz, kochanie, że nic dla niego nie znaczysz. Na ogół woli chłopców. Może o to chodzi... Może nie masz cyków, albo jesteś lesbijką?

Dziewczyna oderwała się od Teda i uciekła do pawilonu. Ted stał nieporuszony. Mimo nagości była w nim jakaś idiotyczna godność. Przez ułamek sekundy Neely chciała podbiec do niego, przeprosić go,

powiedzieć mu, że go kocha. Był taki wysoki, opalony... Ale za nic nie mogła pozwolić, żeby uszło mu to na sucho.

- No dobra, ty cioto, zacznij się wreszcie tłumaczyć! Uśmiechnął się leciutko.

- Chyba powinnaś włożyć okulary. Trudno powiedzieć, że jest zbudowana jak chłopak.

Zadrżała jej warga.

- Lepiej bym to zniosła...

- Na pewno tak - odparł powoli. - Sama mnie do tego doprowadziłaś.

- Ja cię doprowadziłam!

- Prawie mi wmówiłaś, że jestem homo. Tak, to prawda, że próbowałem z kilkoma chłopakami. Wydawało mi się wtedy jakoś, że w ten sposób nie zdradzam ciebie. To przez ciebie żyłem w przekonaniu, że nie mogę się już podobać kobietom. Kiedy mnie chciałaś ostatni raz, Neely?

- No... przecież jesteś moim mężem. Co to znaczy, kiedy cię ostatni raz chciałam? Zawsze cię chcę.

- Zawsze chcesz, żebym był pod ręką! Żebym za ciebie wyklócał się ze studium, żebym ci projektował kostiumy, eskortował cię na premiery. Ale nie chcesz mnie jako mężczyzny... Jesteś na to za bardzo zmęczona. Kiedy ostatni raz chciałaś pójść do łóżka?

- Masz pełnego kręcka! - wrzasnęła. - Nie odwracaj mi kota ogonem! To ja cię przyłapuję z dyndającym fiutem i gołą dziwką w moim basenie, a ty mi tu prawisz kazania?! A kto, do cholery, płaci za basen i za dom?

- A komu na tym zależało? - Od niechcienia sięgnął po ręcznik i opasał nim biodra.

- Nie mogliśmy mieszkać u ciebie.

- Dlaczego nie? Mój apartament miał osiem pokoi. Ale ty, oczywiście, musiałaś mieć gabinet do masażu, salę projekcyjną i całą tę oprawę.

- Nigdy nie miałam domu. - Zaczęła szlochać. - Tak bardzo chciałam mieć prawdziwy dom. Nie żałuję, że za niego płacę.

- Więc dlaczego wyrzucasz mi to dziesięć razy dziennie? I kto tak naprawdę odwraca kota ogonem?

- No... - Z trudem rozwierała opadające powieki. Jego głos płynął z bardzo daleka. Niech szlag trafi te prochy! Akurat teraz zaczynały działać. Widziała, jak Ted swobodnie siada na leżaku.

- Ted, wracam ze studia o szóstej. Dzisiaj wróciłam dopiero o ósmej. Jestem wypluta. Muszę nauczyć się tekstu na następny dzień. Muszę wziąć masaż. Jak mogę jeszcze myśleć o łóżku?

- To po co podpisałaś nowy kontrakt? - zapytał spokojnie.

- To było pół roku temu. Dalej jeszcze się dąsas?

- Neely, jesteś wielką gwiazdą. Mnie się też dobrze powodzi. Chciałem podrzeć tę naszą intercyzę. Mogłaś umówić się na dwa filmy rocznie z każdą wytwórnią w mieście i stworzyć sobie warunki, żeby normalnie żyć. Zarabiam tyle pieniędzy, że spokojnie by nam wystarczyło, nawet gdybyś wcale nie pracowała. Ale ty, nie mówiąc mi ani słowa, poszłaś i podpisałaś pięcioletni kontrakt.

- Jestem winna wytwórni pieniądze za dom. Jak rany, Ted, kiedy wszyscy tak panikują z powodu telewizji i tak miałam szczęście, że zaproponowali mi długoterminową umowę! Jak masz taką umowę, to wiesz, że gdzieś należysz... Masz całe studio za sobą...

- No więc ty masz dom i kontrakt, a ja równowagę psychiczną. Przy tobie niewiele byłem wart jako mężczyzna. Jakoś udało ci się pozbawić mnie energii, Neely. Ale to już za nami. Teraz jestem odnowionym człowiekiem.

- Dzięki tej małej kurewce?

- Przy niej mam uczucie, że mierzę ponad dwa metry.

- Ted, potrzebuję cię.

- I to jeszcze jak! Ale nie jestem ci potrzebny jako mężczyzna.

- Tylko seks, seks i seks! Już o niczym innym nie myślisz? Lubię seks, ale o właściwej porze.

- Na przykład raz w miesiącu w jakąś deszczową niedzielę? Tu, w Kalifornii, jakoś nigdy nie pada.

- Słuchaj, dajmy już spokój. Ta dziewczyna ciągle tam siedzi. Dopilnuj, żeby się stąd zabrała!

- Zrobię to na pewno. - Zgasił papierosa i ruszył do pawilonu.

- I chodź natychmiast na górę! Chcę z tobą porozmawiać! Wbiegła do domu. Otworzyła nową butelkę, nalała sobie świeżego drinka i weszła do łóżka. Może powinna zapomnieć o tym incydencie? Może dobrze by było zachować się czasem bardziej prowokująco? Chryste, jakże strasznie go kocha! Uwielbia! Ale jak

się siedzi cały dzień na planie, trudno wieczorem wyglądać atrakcyjnie. Spojrzała na zwyczajną piżamę, którą miała na sobie. Może powinna wkładać jakieś frywolne koszulki? Ale, jak rany, twarz ma zasmarowaną grubą warstwą kremu, a włosy sterczą jej sztywno w każdą stronę. Codziennie myją jej włosy w studiu, dlatego smaruje je lanoliną na noc. Ma wciąż zdrowe, gęste włosy, ale gdyby tak kładła się do łóżka z lakierem na głowie i złotym proszkiem, którym zsypywali jej utrwaloną fryzurę, żeby lepiej odbijała światło reflektorów, byłaby już pewnie całkiem łysa. Musi więc rozszczotkować włosy co wieczór i smarować je tłuszczem.

Pomyślała o nagiej dziewczynie w basenie. Wstała i chwiejąc się podeszła do dużego lustra na przeciwległej ścianie sypialni. Spojrzała na siebie. O mamo! Wyglądam jak maska na Halloween. No, ale dlaczego ta dziewczyna nie miałaby wyglądać dobrze? Ta mała nie zarabia w końcu pięciu tysięcy tygodniowo. Nie jest jedną z najśłynniejszych gwiazd kina. Dopiero chce zrobić karierę. Gdyby była gwiazdą, już o dziewiątej leżałaby w łóżku wysmarowana kremem i olejkiem. Łzy spłynęły jej po twarzy. Boże, całe życie marzyła właśnie o czymś takim. O dużym domu, o ukochanym mężu, o dzieciach. Ma to wszystko... tylko brakuje jej czasu, żeby się tym cieszyć.

Weszła do łazienki i starła krem z twarzy. Gdyby tylko nie chciało się jej tak spać... Pogrzebała w szafie. Gdzież są te ładne koszule? No, dobra, niech będzie żółta. Wsunęła ją na siebie. O rany! A włosy? Znalazła żółtą apaszkę z jedwabiu i obwiązała nią głowę. A teraz? Teraz nieźle; całkiem nieźle. Weszła do łóżka. Ted powinien już być lada sekunda. Usłyszała chrzęst opon na zwirowanym podjeździe przed domem. Dobrze jest, ta dziwka już odjechała; za chwilę Ted przyjdzie potulny jak baranek. Najpierw każe mu jeszcze trochę pocierpieć, a potem go zaskoczy. Obejmie go i zrobią to. I naprawdę się postara, tak jak za dawnych czasów - nie będzie biernie leżeć. Tak świetnie im było razem, kiedy się poznali, tylko że wtedy jeszcze nie padała na nos. Zachciało jej się spać... O Boże, gdzie on jest? Wyskoczyła z łóżka i zbiegła na dół.

- Ted!

Przy basenie nie świeciły się już lampy. Gwałtownie otworzyła frontowe drzwi. Pobiegła do garażu - żwirek ranił jej bosc stopy. Nie ma samochodu! Może musiał ją odwieźć do domu? Może nie miała

swojego auta? Bzdury! Mógł ją odesłać taksówką. Oberwie za to, jak wróci. Zaczęła szlochać. A może on wcale nie wróci? O Chryste! Co sobie narobiła?



1953

Przez trzy lata nie zgadzała się na rozwód. Po zejściu nad basenem Ted zabrał swoje rzeczy i wyprowadził się z domu. Neely przez tydzień nie chodziła do studia. W wytwórni szaleli. A niech ich wszyscy diabli! - myślała otumaniona barbituratami. Niech szlag trafi Teda! Z początku gotowa była rozwieść się natychmiast - nie mogła pozwolić, żeby tak ją traktował! Ale Szeff się nie zgodził. To by zepsuło wizerunek, jaki wytwórnia tworzyła dla jej publiczności. Neely miała być zawsze dziewczyną z sąsiedztwa. Oczkiem w głowie całej Ameryki, matką bliźniąt. Przygotowali już nowe opowiesci o jej życiu rodzinnym, duże kolorowe wkładki ze zdjęciami, na których miała być ona, Ted i bliźniaki... Idealna rodzina. Żadnych rozwodów. Szefa nie obchodziło, jak się między nią i Tedem układa - byle dobrze wyglądało na zewnątrz. Neely ma koniecznie spróbować jakoś to załatwić, i już.

Szeff rozmawiał też z Tedem. Ted związany był z wytwórnią kontraktem, więc musiał się poddać zaleceniom. Miał dalej jeździć z Neely na premiery, pozować z nią do reportaży dla ilustrowanych pism, robić wszystko, żeby zachować właściwy obraz życia rodzinnego.

Te trzy lata były istnym koszmarem. Kręciła jeden film za drugim... ciągle na diecie... ciągle laleczki... i cały czas wiedziała, że Ted jest gdzieś z tą dziewczyną i w dodatku jeszcze ją utrzymuje. Dziewczyna nie pracowała. Żeby udobruchać Neely, studio posłało za nią wilczy bilet. Teraz żadna wytwórnia już jej nie zatrudni.

Nagroda Akademii Filmowej nagle wszystko rozjaśniła. To był najważniejszy moment w jej życiu. Nigdy nie marzyła, że kiedyś dostanie Oscara. Kiedy wyczytali jej nazwisko, odwróciła się do Teda i z przejęcia aż się zachłysnęła gwałtownie wciągniętym powietrzem. Uśmiechnął się do niej ciepło - naprawdę cieszył się jej sukcesem. Wybiegła na scenę. Potem były zdjęcia, fotoreporterzy, operatorzy kroniki filmowej - a obok Ted trzymał ją pod ramię. Myślała jeszcze, że wszystko będzie dobrze - zdobyła Oscara, a u jej boku stał Ted, uśmiechnięty.

Został przy niej do chwili, kiedy pstryknęła ostatnia migawka i ktoś złożył jej ostatnie tego wieczoru gratulacje. Potem odwiózł ją do domu, pożegnał się przed drzwiami i zostawił ją - wielką gwiazdę z Oscarem w ręku! Pojechał do tej dziwki! To przepełniło czarę.

Następnego dnia Neely zadzwoniła do Szefa i zażądała, żeby przyszedł do jej pawilonu. Teraz mogła się już rzucić do woli. I Szef przyszedł, a jakże! Tym razem ona stawiała warunki. Zażądała rozwodu - natychmiast! - i zażyczyła sobie, żeby studio zwolniło Teda. Szef przystał potulnie na wszystko. Boże! Ile władzy miała teraz dzięki Oscarowi!

Nagroda uświadomiła jej jeszcze i to, że nie trzeba tak koniecznie codziennie przychodzić do pracy. Neely była w końcu największą gwiazdą Hollywood, a Oscar stanowił tego najlepszy dowód. Jeśli źle spała którejś nocy, to miała ich wszystkich gdzieś! Nazywała się w końcu Neely O'Hara! A jeśli po kawiorze przybyło jej kilka kilo, to cóż z tego? Niech się wypchają! Zrzucenie nadwagi trwało cały tydzień? I dobrze! A co tam! Na jej filmach zbili przecież majątek!

Siedziała drżąca w klimatyzowanym pawilonie studia. Już trzeci raz w ciągu pięciu tygodni po prostu zeszła z planu. Niech diabli porwą tego Johna Stykesa! Niech sobie nawet będzie największym reżyserem na świecie, ale w tym filmie po prostu ją zadręcza! Zerwała sztuczne rzęsy z powiek i zdecydowanym ruchem nałożyła na twarz krem.

- Pani O'Hara, nie! Zrobienie nowego makijażu zajmie całą godzinę - biadała garderobiana.

- Koniec pracy na dzisiaj - oznajmiła Neely ponuro, zmywając grubą warstwę fluidów i pudru.

- Już mamy opóźnienie...

- My?! - natarła na nią Neely. - A skąd się nagle wzięło to „my”? Chryste! Nagle wszyscy robią w filmie!

Rozległo się pukanie do drzwi. W progu stał John Stykes. Był przystojnym mężczyzną o surowej urodzie - przypominał trochę wysmaganego wiatrem alpinistę.

- No chodź, Neely, kręcimy dalej.

Dostrzegła rozpacz w jego oczach, kiedy zauważył jej twarz bez makijażu.

- O, popatrz sobie, ty poganiaczu niewolników! Koniec na dzisiaj! - Uśmiechnęła się ze złośliwą satysfakcją.

Usiadł.

- No dobra. Jest trzecia po południu. Dzisiaj skończymy wcześniej.

- Tylko że ja nie zatwierdzam tego ostatniego ujęcia - warknęła.

- A co ci się nie podoba?
  - Doskonale wiesz! Wszystkie zbliżenia szły na nasze stopy.
  - Neely, studio płaci Chuckowi Martinowi pięćdziesiąt tysięcy wyłącznie za ten taniec z tobą. To świetny tancerz. Co mamy kręcić, twoim zdaniem? Jego uszy?
  - Nie, do cholery! Macie kręcić mnie! Macie robić ujęcia mojej sylwetki. Nie nadążam za nim w tańcu. Nie jestem aż tak dobrą tancerką.
  - Nie wierzę własnym uszom - w jego głosie zabrzmiała kpina. - Mam rozumieć, że przyznajesz nawet, że ktoś ma większy talent niż ty?!
  - Słuchaj no, Chuck Martin tańczy w rewiach na Broadwayu już od trzydziestu lat. Ale tylko to umie. Po prostu umie tańczyć, to wszystko. Jest taki stary, że mógłby być moim ojcem. A ja mam zaledwie dwadzieścia pięć lat i potrafię śpiewać, tańczyć i grać. Najlepszych z nich pobiję śpiewem i grą. Jeśli idzie o śpiew, nikt mi nie dorówna. Nikt! Taniec to co innego. Zgoda, nie jestem Ginger Rogers ani Eleanor Powell. A Chuck może tylko tańczyć. Jest niemal tak dobry jak Astaire. Ale czy to powód, żebym przy nim wypadła słabo?
  - Skoro przyznajesz, że jest taki dobry, dlaczego nie chcesz się zgodzić na kilkuminutowe ujęcie jego stóp?
  - Bo to mój film! I tego się nauczyłam na Broadwayu od największej mistrzyni. Żaden wykonawca nie będzie błyszczał swoimi umiejętnościami pod moim bokiem. To ja mam talent! Zresztą po co nam w ogóle ten Chuck Martin? Dotychczas tańczyłam z chłopakami z zespołu i też było dobrze.
  - Szef osobiście zażyczył sobie Chucka. - John Stykes zapalił papierosa. Neely też sięgnęła do paczki. Podał jej ogień. - Od kiedy palisz?
  - Zapaliłam pierwszego papierosa w dniu, kiedy uprawomocnił się mój rozwód. Poza tym odkryłam, że w ten sposób mniej jem.
  - Ale to niszczy głos, Neely.
  - Palę tylko dziesięć dziennie. - Zaciągnęła się głęboko. - No to co? Dogadaliśmy się?
- Reżyser spojrzał na garderobianą.
- Neely, czy moglibyśmy pogadać sam na sam?

- Jasne. - Ruchem ręki odprawiła dziewczynę. - Możesz już iść do domu, Shirley. Zobaczymy się jutro o siódmej.

Kiedy zostali sami, John uśmiechnął się.

- Cieszę się, że nie masz zamiaru jutro zwagarować.

- A niby dlaczego? Posiedzisz dziś wieczorem i obmyślisz ujęcie, na którym będzie widać mnie, a nie stopy Martina.

- Neely, czy nigdy się nie zastanawiałaś, dlaczego SzeF zrezygnował z chłopców z zespołu?

- A pewnie, pewnie. Telewizja! Dzisiaj wszyscy robią w portki z powodu telewizji. Ale to nie jest moje zmartwienie. Jeżeli SzeF sądzi, że ściągnięcie tu Chucka Martina i wydanie dodatkowych pięćdziesięciu kół załatwi telewizję, to jego sprawa. Tylko niech się to nie odbywa wtedy, kiedy ja wchodzę na plan.

- Neely, twoje dwa ostatnie filmy przyniosły wytwórni straty.

- Daj spokój! Czytam „Variety”. Widziałam zestawienia. Oba były świetne! Ostatni film przyniósł cztery miliony zysku, a nie obleciał jeszcze Europy.

- Ale kosztował sześć milionów.

- No to co? W „Variety” piszą, że ten film będzie przebojem roku.

- Jasne i zarobiłby dla wytwórni fortunę, gdyby dało się go zrobić za dwa i pół miliona, tak jak to planowano. Jak dotąd studio nie podało do publicznej wiadomości rzeczywistych kosztów produkcji. Nikt jeszcze nie słyszał o tak poważnym przekroczeniu budżetu. SzeF nie chciał opublikować pełnych danych. Bał się, że akcjonariusze wytwórni natychmiast zwołają nadzwyczajne posiedzenie. Musi się odkuć na tym filmie, który teraz kręcimy. Twój poprzedni film przyniósł niewielką stratę, ale ten ostatni... Kochana, jeszcze żaden film w historii kina nie kosztował aż sześciu milionów dolarów!

- Miałam wtedy grypę. Na to nikt nic nie poradzi.

- Neely, nie przychodziłaś przez dziesięć dni z rzędu, bo ciągle byłaś na prochach.

- A potem złapałam grypę.

- Nie robiłem tego filmu, ale znam fakty. Piłaś i jadłaś... No dobrze, powiedzmy, że mocno nadszarpnęłaś siły i w końcu się rozchorowałaś. Ale kiedy stanęłaś już na nogi, przez trzy tygodnie trzeba cię było odchudzać. A mimo to i tak miałaś pięć kilo za dużo i musieli ci przerabiać wszystkie kostiumy.

- Niech ci będzie! Byłam strzępkiem nerwów. Akurat wtedy uprawomocnił się mój rozwód. I rozchorował się Sam Burns, mój ulubiony operator. Nie będę pracować bez Sama. Nie miałam pięciu kilogramów za dużo, bo ważyłam czterdzieści dziewięć kilo. Tylko kostiumy były tak kiepskie, że wyglądałam w nich ciężko. - Urwała i nagle odwróciła się do niego gwałtownie. - A to jest następna sprawa. Muszą mi znaleźć nowego projektanta. Te kostiumy są po prostu obrzydliwe, chce mi się rzygać na ich widok. Ted nigdy by mi nie pozwolił włożyć takich szmat!

- Ellen Small zdobyła aż dziewięć Oscarów.

- Więc niech sobie robi kostiumy dla Oscarów, a nie dla mnie!

- Neely, lubię cię. Dlatego rozmawiam teraz z tobą, zamiast pójść do Szefa. Nie puszczę pary, że zeszłaś dzisiaj z planu. Szef i tak pewnie się dowie, że skończyliśmy wcześniej, ale powiem mu, że uporaliśmy się z ujęciem wcześniej, niż mieliśmy w planie, i że za późno już było, żeby przygotować następną scenę. Ale jak długo, twoim zdaniem, on to będzie znosił?

- Co?

- Te twoje zejścia z planu, awantury...

- Nie po to harowałam jak wół i zostałam gwiazdą, żebym miała się teraz przejmować Szefem. W chwili gdy zostajesz gwiazdą, inni zaczynają martwić się o ciebie. Ty sobie tylko siedzisz i oceniasz. Tego się nauczyłam od Helen Lawson.

- Helen Lawson jest profesjonalistką - warknął. - A ty właśnie nie.

- No i co ona z tego ma?

- Może wejść w każdy spektakl na Broadwayu, na jaki ma tylko ochotę...

- A czymże jest Broadway? - parsknęła. - Tylko na to ją stać!

- W porządku. I ona o tym wie. Ale Helen Lawson w życiu się nie spóźniła na próbę choćby jedną minutę. Ma tylko jeden dar - wspaniały głos. I dobrze o tym wie. Może sobie pozwolić na niedbalstwo w innych sprawach, ale jeżeli idzie o głos, to umie dbać o swoje interesy jak rasowy biznesmen. Jest innego rodzaju potworem...

- Potworem! No wiesz... Wiesz... Roześmiał się i szturchnął ją palcem w nos.

- Pewnie, że jesteś potworem - powiedział serdecznie. - Jak każda gwiazda. Ale Helen jest gwiazdą zimną, mechaniczną. Jest

samym głosem. Ty natomiast masz... Wiesz, kochanie, czasem myślę, że masz w sobie coś z autentycznego geniuszu. Ty naprawdę czujesz; czasami zbyt mocno... - Pochylił się do niej i ujął ją za rękę. - Neely, takich jak ty po prostu nie ma. Jesteś rzadkim zjawiskiem. Ale tu nie idzie o sztukę. Tu chodzi o dolary i centy. Akcjonariuszy nie interesuje geniusz, tylko czeki z kasy. Posłuchaj, kochanie... Mamy już dziesięć dni opóźnienia, ale jeśli będziesz współpracować, możemy to jeszcze nadrobić. Możemy nakręcić ujęcia w klubie nocnym w ciągu jednego dnia zamiast trzech. Mam już wszystko na jutro przygotowane. Zamówiłem statystów. Wiem, jak to ugryźć. Popracuję kilka wieczorów... Nakręcę sceny zbiorowe z twoją dublerką. Będę ją brał od tyłu. Neely, poradzimy sobie. Mamy szansę zdążyć!

Wahała się przez chwilę, a potem uśmiechnęła się do niego twardo.

- Prawie mnie przekonałeś, Johnny. Wstawiłeś gadkę jak najlepszy tatuś. Ale jak sam powiedziałeś, jestem przecież potworem, a potwory znajdują się na sztuczkiach. Gdyby ktoś tak do mnie zagadał siedem lat temu, skoczyłabym pod sufit i grzecznie kiwałabym głową. Pracowałam jak dziki, omal nie zajechałam się na śmierć... i nabiłam wytwórni niezłą kasę.

- Wykreowałaś się przy okazji na gwiazdę.

- Tak. I co z tego? - spytała. Przeszła przez garderobę i naląła sobie pół szklanki whisky. - Napijesz się?

- Piwa, jeśli masz.

Podeszła do barku i z maleńkiej lodówki wyjęła piwo.

- Właśnie to mam - powiedziała wręczając mu napój. - Najlepsze trunki w mieście, tylko że nie wolno mi pić. Bo tyję. Mam też basen, z którego nie mogę korzystać, bo nie wolno mi się czasem opalić. Opalona skóra źle wygląda na taśmie Technicoloru. Mam dwie szafy kiecek, ale nie mam dokąd w nich chodzić i brak mi czasu, bo wciąż siedzę wieczorami w domu i wkuwam sceny na następny dzień. John... - Uklękła na podłodze, a potem usiadła u jego stóp. - Jak to się stało?

Zmierzył jej włosy.

- Za szybko trafiłaś na szczyt.

- Nie. To nie jest odpowiedź. Pół życia spędziłam na scenie w wodewilach. Nie jestem królową piękności, którą studio musiało

nauczyć, jak trzeba mówić, jak chodzić, jak grać. Wzięli mnie tu, bo miałam talent. Oczywiście, że czegoś mnie nauczyli. Dziś lepiej tańczę. Przeszłam też kurs literatury - Szefer podsuwał mi listę lektur, bo uważał, że powinnam je znać. Wiesz, trzeba było jakoś się podszkolić. Teraz, kiedy udzielam wywiadów, nie robię z siebie idiotki. Ale przyniosłam tu swój talent. Mam dwadzieścia pięć lat, a czuję się, jakbym miała dziewięćdziesiąt. Straciłam dwóch mężów. Moje życie składa się z wkuwania scenariuszy, piosenek, tańców, głodówek, środków nasennych, środków pobudzających... W życiu musi chyba być coś więcej...

- Lepiej ci było, jak grałaś w wodewilach?

- Nie. I nie znoszę ludzi, którzy opowiadają, jak to się świetnie czuli, kiedy chodzili głodni i bez grosza przy duszy. To wszystko było okropne. Postoje na jedną noc, zimne pociągi, przygłupiasta publika... Ale było coś, co dodawało ci siłę, dzięki czemu dało się żyć... Nadzieja. Wszystko wokół wyglądało tak strasznie, że wiedziałeś, że musi być lepiej. Marzyłeś sobie, jak to kiedyś będzie, gdy wreszcie poczujesz się bezpieczny, i jak to będzie cudownie, kiedy dopłyniesz już do jakiejś przystani, choćby do najmniejszej... I właśnie ta nadzieja trzymała cię przy życiu, dzięki niej wszystko było strawne. Ale jak już trafiłeś na sam szczyt i pomyślałeś sobie: „Rany, to przecież jest to!” i dalej nie da się żyć... to wtedy co?

- Masz małe dzieci, Neely. Akurat teraz jesteś w trudnym okresie. Trzeba mieć czas, żeby być gwiazdą. Ale kiedyś znajdziesz sobie dobrego faceta i wtedy być może staniesz przed wyborem: miłość wielomilionowej publiczności, czy może życie rodzinne? Niełatwo jest zrezygnować z uwielbienia kinomanów i poświęcić się jednemu mężczyźnie. Zwłaszcza po czymś takim, czego już zdążyłaś doświadczyć. Będziesz musiała dobrze to rozważyć i odpowiedzieć sobie na pytanie, czy miłość, którą zyskujesz dzięki talentowi, może zrekompensować twoje inne potrzeby.

- Nie, nie może. To mnie wcale nie cieszy. No bo co ten dar od Boga dał mi osobiście? Wszystko, co mogę zrobić, to ofiarować go innym. I to już ma być koniec? Mam talent, ale muszę go dawać innym, natomiast sama zostaję z pustymi rękami. Boże, przecież to czyste szaleństwo! Ciekawe, co na to powie doktor Mitchell.

- Twój psychoanalityk? Kiwnęła głową.

- Tak naprawdę wcale mi nie jest potrzebny. To następne wariactwo. Najpierw był analitykiem Teda. Tylko pomyśl! Ja, najnormalniejsza dziewczyna pod słońcem, trafia do lekarza od czubków! Poszłam do niego pierwszy raz, kiedy coś straszego zdarzyło się Tedowi, a zaraz potem złapałam się na tym, że lecę do niego natychmiast z każdą głupotą. Z początku to zawsze dotyczyło Teda... A potem... Zaczął mnie wypytywać o moją przeszłość, tak jakby to była moja wina, że Ted miał problemy. Poddałam się temu. I wiele się o sobie dowiedziałam. Wiesz, John, ja nigdy nie zaznałam matczynej miłości. Doktor Mitchell mówi, że dlatego właśnie gwiazdorstwo jest dla mnie tak ważne - potrzebna mi miłość publiczności.

- Bzdury! - rzucił John rozzłoszczony. - Jest mnóstwo gwiazd, które kochają uwielbienie publiki, a które miały bardzo serdecznych rodziców. Jesteś gwiazdą, bo masz talent, a nie dlatego, że nie zaznałaś matczynego uczucia. Mam już dość tych wszystkich doktorków, którzy o wszystko na tym świecie obwiniają bidne mamuśki. Tak się złożyło, że twoja matka wykorkowała wcześniej, i już. Uważasz, że zrobiła to na złość tobie? Posłuchaj, Neely, zapomnij o tym twoim doktorku od czubków, a od razu wyjdzie ci to na zdrowie. W końcu sama dotarłaś na szczyt.

- Ale ja jestem znerwicowana, John. Odkryłam, że cierpię na rozmaite nerwice.

- No i co z tego? Może właśnie dlatego jesteś taką gwiazdą? Może przestaniesz być sobą, kiedy cię z nich wyleczy? Ja też mam swoje problemy, ale nie będę wywalał dwudziestu pięciu dolarów, żeby mi jakiś fagas opowiadał, że ojciec mnie źle traktował, a matka nie okazywała mi w odpowiedni sposób miłości. Bo i niby co miałbym zrobić, gdyby to się nawet okazało prawdą? Pojechać do Minnesoty i walnąć starego w nos? On ma osiemdziesiąt lat! A może znaleźć jakąś podstarzałą panienkę z agencji towarzyskiej, która by mnie głaskała po głowie i karmiła z butelki? Neely, to, co zdarzyło się kiedyś, należy już do przeszłości. Liczy się tylko dziś i jutro! Westchnęła.

- Wszystko jest takie łatwe, kiedy ciebie słucham. Ale jak się spędza samotnie noce... Boże, te noce są okropne... to właśnie wtedy czujesz, że jest tylko jeden człowiek, z którym możesz naprawdę porozmawiać... Widzisz, John, psychiatra nie ma żadnych uprzedzeń.



Jest tylko po to, żeby ci pomóc... Jest jedyną osobą, której mogę zaufać.

- No dobrze. Idź dziś do niego. Ale posłuchaj mnie... Wyświadczyć sobie przysługę. Zapomnij o kostiumach. Zrób jutro scenę w klubie. Naucz się tekstu piosenki i postaraj się, żebyśmy zdążyli skończyć film na czas.

Zmrużyła oczy.

- A więc to po to była ta cała przemowa! Chciałeś mnie tylko rozmiękczyć, żeby upiec własną pieczeń!

Walnął szklanką w stół.

- Wiesz, może masz rację. Może rzeczywiście potrzebny ci psychiatra? Właśnie tego się nauczyłaś w tym zawodzie? Nikomu już nie wierzysz? Słuchaj, rozmawiałem z tobą jak ojciec, bo mnie naprawdę obchodzisz, bo nie chcę patrzeć, jak się staczasz i jak marnujesz talent!

- Niby jak go marnuję, co? Bo nie chcę włożyć na siebie jakiegoś głupiego kostiumu?

- Nie. Tylko jak będziesz robić niedochodowe filmy, największy talent na świecie nic ci nie pomoże.

- Jestem najbardziej kasową aktorką. We wszystkich tegorocznych ankietach zajęłam pierwsze miejsce.

- Neely, kiedy akcjonariusze podliczą dane, nie będą się nawet oglądać na listy rankingowe Radio City czyankiety pism filmowych. Jaki to dla nich interes zrobić przebój, który nie daje zysków?

- Nie wierzę w to, że moje filmy są deficytowe - powtórzyła uparcie. - Wszyscy tak się przejmują tą telewizją, że chcieliby moją pracą utrzymać całe studio. Tak byłoby najwygodniej... Ja mam urobić się po łokcie, żeby SzeF siedział wygodnie w swoim pałacu albo w domku na plaży i rznął na prawo i lewo rozmaite gwiazdeczki. A kto za to zapłaci? Ja. Moim talentem.

- Neely, w zeszłym roku trzy niskonakładowe filmy bez gwiazd przyniosły większy zysk niż twoje dwa ostatnie przeboje. Jeden kosztował raptem osiemset tysięcy, a do kasy spłynęły cztery miliony! Jeśli nie wierzysz, że twoje filmy przynoszą teraz straty, zapytaj swojego agenta.

- A kto by tam wierzył agentom! Zawsze idą z wytwórnią ręką w rękę. Muszą zadbać o inne aktorki, więc tak tańczą, jak im zagra producent.

- No to zaufaj mnie. Po prostu spróbuj...
- No dobra. Powiedzmy, że ci ufam. I dlatego mam jutro wejść na plan w tej koszmarnej sukni i wyglądać jak królowa lodów w rożku?
- Neely, w tej sukience naprawdę wyglądasz świetnie.
- Okropnie. - Dołała sobie whisky.
- Nie o to wcale chodzi. Chcesz, żeby twoje kostiumy robił Ted Casablanca, dlatego inne projekty nigdy cię nie zadowolą. Ale nie możesz już mieć Teda.
- To nieprawda! - Odwróciła się na pięcie i przytknęła dłonie do oczu. - Teraz mówisz dokładnie jak doktor Mitchell.
- No i...? Przecież jemu ufasz, a najwyraźniej powiedział ci dokładnie to samo.

Uśmiechnęła się.

- No dobrze, może masz rację.
- Grzeczna dziewczynka. Będziesz jutro?

Kiwnęła głową. Pocałował ją w policzek i wyszedł z pawilonu.

Jakiś czas siedziała, popijając kolejną porcję whisky. Dochodziła prawie szósta. Wychodząc z wytwórni, zadzwoniła do doktora Mitchella i umówiła się na dziewiątą wieczór. Dziewiąta. Wizyta potrwa pewnie do dziesiątej. Do domu dotrze dopiero przed dwunastą. Położy się koło północy. Jeśli ma się jeszcze nauczyć słów piosenki do sceny w klubie... Zadzwoniła jeszcze raz i odwołała wizytę u lekarza.

Siedziała w łóżku, a przed nią stała taca z kolacją. Próbowwała nauczyć się tekstu piosenki. Po co tyle whisky wlała w siebie po południu? Teraz mózg nie funkcjonował jak należy. Może powinna jednak położyć się już spać? O, dobry pomysł. Zaśnie o dziewiątej i nastawi budzik na piątą. Wtedy od piątej do siódmej bez trudu nauczy się tekstu. Po ośmiu godzinach snu będzie jak nowo narodzona.

Odesłała nietkniętą tacę do kuchni. Może więc równie dobrze nie jeść. Dziś rano ważyła pięćdziesiąt jeden i pół. Poza tym laleczki zawsze działają szybciej, jak się je bierze na pusty żołądek. Połknęła dwie czerwone i jedną żółtą. Potem naląła sobie pół szklaneczki szkockiej. Ogarnęło ją cudowne uczucie lekkości. Pociągała trunek powoli i czekała na właściwą reakcję, na falę odrętwienia, która rozchodzi się po całym ciele i wciąga w sen. Ale odrętwienie nie nadchodziło. Tylko takie lekkie zamroczenie. Mało. Wciąż mogła

myśleć, a jak myślała, to tylko o jednym - o samotności. A potem zawsze o Tedzie i jego dziewczynie. I o tym, że sama nie ma nikogo. Jest samotna jak palec. Zupełnie jak wtedy, kiedy śpiewając w zespole Gaucheros, jeździła po kraju z Charliem i Dickiem i spędzała samotne noce w obcych pokojach hotelowych, nie mając nikogo, kto by się o nią troszczył.

Oblał ją pot; zmoczył jej szyję i spłynął po plecach. Poczula się lepka. Wygramoliła się z łóżka i zmieniła piżamę. Doktor Mitchell ma rację - zaczyna uodparniać się na prochy. Może jeszcze żółta...? Nie, potem wstanie nieprzytomna i będzie mieć kaca, a przecież musi nauczyć się tekstu. Jezu! Dzisiaj rano musiała wziąć aż trzy zielone, żeby przetrwać jakoś przedpołudniowe ujęcia. Nalała sobie pełną szklanekę whisky. Może jeszcze jedną czerwoną...? Tak, one szybciej wyparowują. Szybko połknęła kapsułkę. Postanowiła, że nie wypije całej szklaneczki, tylko będzie sączyć alkohol powoli, aż prochy wreszcie ruszą. Może powinna coś poczytać? Czytanie zawsze ją usypiało. Anna przysłała jej kolejną książkę Lyona. Następne ambitne dzieło. Przerzuciła kilka kartek. Powieść dostała świetne recenzje. Tylko co z tego? W ogóle się nie sprzedaje.

Nagle zapragnęła mieć przy sobie Annę. Ona zawsze wiedziała, co robić. Szkoda, że zrobiła się taką gwiazdą telewizji. Gdyby nie to, mogłaby po nią posłać, zaproponować jej dwie setki tygodniowo i zrobić z niej osobistą sekretarkę. Rany, ale by było! Tylko że Anna teraz pewnie zbija gruby szmal. Trudno włączyć telewizor, żeby nie zobaczyć, jak demonstruje lakier do włosów czy szminkę. Choć z drugiej strony, dlaczego Anna nie miałyby robić kariery, zwłaszcza jeśli prawdziwe są pogłoski o jej romansie z Gillmore'em? No cóż, mimo wszystko Anna zawsze miała klasę. Właśnie tego brakuje Jennifer. Jennifer... W agencjach szepczą, że Hollywood się o nią stara, a ona wciąż odmawia. Jennifer odrzuca propozycje z Hollywood! Ta dopiero zarabia krocie pokazując goły tyłek i cycki w tych francuskich filmach! Gwiazda obrazów artystycznych. Artystycznych! Toż to jedno wielkie gówno! Gdyby tutaj kręcono takie filmy, uznano by je za świńskie. W Hollywood coraz częściej mówiło się o moralności. Kończyły się nisko wycięte dekolty, głębokie pocałunki - w kontraktach pojawiało się coraz więcej rozmaitych klauzul. I to samo Hollywood błagało Jennifer, żeby zechciała przyjechać do Kalifornii coś tutaj nakręcić! Jasne, od razu

przykryliby jej tyłek i cyce, ale zrobiliby z niej gwiazdę, daliby taką gazetę, jaką dostawały najprawdziwsze królowe ekranu tylko dlatego, że kiedyś latała goła po planie!

Upiła duży haust szkockiej. Nie była senna, jedynie coraz bardziej pijana. I głodna. Boże, umierała z głodu! Żałowała, że odesłała tacę z jedzeniem do kuchni. W lodówce czekał kawior. Nie, nie wolno. A niech diabli wezmą Teda za to, że nauczył ją lubić to świństwo! Już i tak ledwie wchodziła w kostiumy. Wszystko przez picie. Rany, przecież już prawie nie jadła, a teraz, jeśli napcha się kawiozem po takiej ilości szkockiej... Nie, to byłoby nieuczciwe wobec Johna. Tak ładnie się dziś zachował. Dziwne... Nigdy dotąd nie zauważyła, jak błękitne są jego oczy na tle opalonej twarzy. John pewnie dochodzi pięćdziesiątki, ale jest taki przystojny. John... Gdyby był tu obok niej... O rany, ale byłoby fajnie. Gdyby ją wziął w ramiona, czułaby się bezpieczna.

Spojrzała na budzik. Wpół do jedenastej. Kto wie, czyby nie przyszedł? Mógłby powiedzieć żonie, że musi omówić jakąś scenę. Pewnie siedzi gdzieś i martwi się, czy jutro przyjdę na plan - myślała. Uśmiechnęła się. Nie, nie poprosi go, żeby wpadł do niej dzisiaj. Już sobie wtarła lanolinę we włosy. Ale jutro na planie da z siebie wszystko, a potem zaproponuje mu kolację na zimno i poprosi go, żeby z nią popracował. I to będzie coś więcej niż szybki numerek. Zostanie przy niej i będzie ją trzymał w ramionach, aż ona spokojnie zaśnie. Może będzie mógł częściej zostawać. A ona będzie współpracować. Wyrobią się z terminem. Potem zażąda, żeby John robił jej wszystkie filmy. Jego dzieci są już dorosłe. Kto wie, czy nie będzie mógł spędzać z nią dużo czasu? Zadzzwoni do niego i powie mu, że się uczy. Dobry początek. W ten sposób zaśnie, myśląc o niej.

Zadzzwoniła do studia, zdobyła jego zastrzeżony numer domowy i zatelefonowała do Johna. Odebrała kobieta. Neely spytała najbardziej bełkotliwie, jak mogła:

- Pani Stykes?
- Nie, to Charlotte. Pokojówka.
- Mmm. Czy jest pan Stykes?
- Nie, proszę pani. Państwa nie ma w domu. Czy coś przekazać?
- Nic. - Neely odłożyła słuchawkę.

Wyszedł gdzieś z żoną! Pewnie siedzą teraz w Romanoff i wielki reżyser opowiada żonce, jak zrobił wodę z mózgu sławnej Neely

O'Hara. Słyszała jego słowa. „Teraz będzie mi jadła z ręki. To prosta dziewczucha. Niby gwiazda, ale pod tym wszystkim siedzi śmiertelnie przerażona, mała dziewczynka. Trzeba tylko wiedzieć, jak ją podejść.” No, mój panie, nikt jeszcze nie podszedł Neely O'Hara! Może i urodziła się jako prosta dziewczucha, ale teraz jest już wielką gwiazdą. Może robić, na co tylko ma ochotę!

Wyszła z łóżka i na palcach zeszła na dół. Nagle zatrzymała się w pół kroku.

- Po cholere ja chodzę na palcach? Przecież to mój dom!

W kuchni nie było nikogo. Otworzyła lodówkę i wyjęła z niej duży słoik kawioru.

- Neely, urządzimy sobie bal nad bale - powiedziała pełnym głosem. - Wzięła łyżkę i wyjadła kawior ze słoika. - A teraz co? No, Neely, możesz sobie dogadzać, ile dusza zapagnie. Bo jesteś wielką gwiazdą. Masz wielki, pieprzony talent... I możesz zjeść wszystko. Do woli. - Oparła się ciężko o lodówkę. - I jak? Jeszcze trochę kawioru? Dlaczego nie? Kupiłaś za własne pieniądze. - Otworzyła następny słoik. - Ha! Weźmiemy sobie jeszcze trochę pasztetu na górę, na wypadek gdybyśmy zgłodnieli. Neely, ty masz prawo do tego, co najlepsze na świecie.

Sięgnęła do barku po następną butelkę szkockiej i z trudem ruszyła schodami na górę. Nalała sobie kolejną szklaneczkę whisky i weszła do łazienki. Stała przed apteczką.

- A teraz, Neely, na co masz ochotę? Na czerwoną, żółtą czy niebieską lalczkę? Do wyboru, do koloru, kochana. - Połknęła dwie czerwone. Potem niezręcznie wlała na łóżko. Podniosła słuchawkę i przycisnęła guzik. Usłyszała głos lokaja.

- Słuchaj, Charlie. Odwołaj wczesną pobudkę. Zadzwoń rano do studia i powiedz im, że pani O'Hara ma zap... zap... zapalenie gardła. Nie będę przyjmować żadnych telefonów. Będę spać i jeść... i spać, i jeść... może cały tydzień. Jutro, kiedy się zbudzę, chcę zobaczyć na tacy naleśniki polewane masłem i suto oblane syropem. Urządzę sobie orgię.

1956

Neely ubrała się starannie. Nałożyła białe spodnie i luźną bluzkę, która skrywała zwał tłuszczu wokół talii. Rany, dlaczego tym razem tak trudno jest zrzucić te pięć kilo? Za kilka dni trzeba będzie stanąć do miary, bo zaczną się przygotowania do nowego filmu. A tu znienacka Szeff wzywa ją na rozmowę. Nie miała pojęcia, o co chodzi. Myślała o tym całą drogę do studia.

Wczoraj po południu zadzwonił Eddie Frank, jeden z przybocznych Szefa. Odezwał się pełnym szacunku, ale swobodnym, normalnym głosem. „Pani O'Hara, Szeff chciałby zjeść jutro z panią lunch, jeśli to pani odpowiada.”

Jeśli to jej odpowiada! Coś takiego! Jakby komukolwiek mogło to nie odpowiadać, kiedy Szeff wzywa do siebie! Rany, ale mają krótką pamięć. Trzy lata temu, kiedy zdobyła Oscara, to Szeff przyszedł do niej. No cóż, ten nowy film naprostuje wszystko. Rany, co za rola! I jakie piosenki... Na pewno dostanie za to nominację, a kto wie, czy nawet nie Oscara?

Usiadła po drugiej stronie rozłożystego biurka i usiłowała wyglądać młodo i rześko. Lubił ją taką. Doszła do wniosku, że sam chyba od razu urodził się stary. W ogóle się nie zmieniał - miał wciąż tę samą strzechę siwych włosów i opaleniznę upstrzoną ciemnymi plamami wątrobowymi. Jego oczy błyszczały wesoło, a drobne dłonie przesuwały bez celu jakieś papiery na biurku.

- Skarbie, wiesz po co cię tu ściągnąłem?

- Nie, proszę pana, ale zawsze miło mi pana widzieć. - O tak, Neely wiedziała, jak się należy zachować.

- Widziałeś wczorajsze wyniki ankiet?

O Boże, ten tytuł. Ten cholerny, śmierdzący tytuł.

- „Największa zakąła wytwórni filmowych roku 1956” - Neely O'Hara. Niezbyt to przyjemne, co? - zapytał uprzejmie.

Neely pokręciła się z wdziękiem na krześle.

- Och, sam pan wie, jak się wygłupiają - powiedziała słodkim, dziewczęcym głosikiem. - Naprawdę mnie to zabolalo. Ale ludzie mówią, że to nic nie znaczy. Dziennikarze co roku namawiają się i wybierają sobie kolejną ofiarę. W zeszłym roku uwzięli się na Stewarta Lane'a, a to jest największy gwiazdor Twentieth Century.

- Już nie. - Jego głos nadal brzmiał uprzejmie. - Od czasu wojny spadał coraz niżej. Każdy jego film przynosił straty. Ale ponieważ

jeszcze przez najbliższe dwa lata studio jest związane kontraktem z Lane'em, trzymając te informacje wciąż pod korcem.

- Hm, moje filmy świetnie się sprzedają.

- W kinach, owszem. Tylko my na nich nic nie zarabiamy. Skrzywiła się. No tak, zaczyna się wszystko od początku.

Opóźnienia na planie, opuszczanie prób, cała ta gadka jeszcze raz...

- Ten nowy film jest bardzo drogi - stwierdził. - Koszty gwałtownie wzrosły. Rywalizujemy z telewizją. Wiemy, że ludzie nie wyjdą do kina, żeby zobaczyć byle jaki film. Nie zrobią tego, bo mogą sobie obejrzeć coś we własnym domu. Telewizja przestała być małą śmierdzącą skrzyneczką. Już dzisiaj mówi pełnym głosem, a jej siła rośnie.

Skubała skórę na palcach. Cóż, do diabła, przecież nie ona wymyśliła telewizję! Niech się Szef czepi generała Sarnoffa!

- Wsadzamy więcej forsy w Zabawmy się wieczorem niż w jakikolwiek inny film dotychczas. Jeśli choć trochę nawalimy z terminem, to koniec. Sam Jackson ma bardzo napięty harmonogram pracy.

- Sam jest jednym z moich ulubionych reżyserów - powiedziała.

- Zawarłem z Samem umowę. Za każdy dzień nadržóbki w stosunku do planu dostanie od nas premię wysokości tysiąca dolarów.

Tym razem naprawdę robi się ostry zapieprz.

- Wystarczy też, że Sam złapie jednodniowe opóźnienie, a następnego dnia wylatuje z filmu.

- Chce pan powiedzieć, że jest pan gotów wyrzucić Sama Jacksona?

- Wyrzucę każdego, kto nie sprosta moim wymaganiom. Hollywood przeszło metamorfozę, skarbenku. Nie mamy już ludzi na długoterminowych umowach. Twój obecny kontrakt wygasa za rok, a kiedy... jeśli w ogóle będziemy negocjować, warunki będą już zupełnie inne.

Masz rację, ty draniu. Będą inne. Założę korporację i dostanę część tego ciasta. Będę coś mieć na własność - myślała. Wy tłumaczył jej to doradca podatkowy.

- Nie, skarbenku, wszystko będzie inaczej. - Westchnął. - Teraz już nie mogę powiedzieć udziałowcom, żeby nie wtykali nosa w nie

swoje sprawy. Teraz muszę odpowiadać na ich pytania. A jedyną sensowną odpowiedzią jest wykazać zyski.

Kiwnęła głową i zaczęła się zastanawiać, kiedy nareszcie skończy się ta mowa. No proszę, zwykłe, rutynowe kazanie, a on miał czelność ściągać ją po to aż do swojego biura! Była głodna - mógłby przynajmniej zamówić coś do jedzenia. Nie jadła śniadania i połknęła tylko jedną kapsułkę dexie.

- I dlatego właśnie zdejmuję cię z tego filmu - oznajmił. Patrzyła na niego w osłupieniu.

- Skarbenku, nie mogę już sobie pozwolić na ryzyko. Jeśli Sam Jackson nawali, jestem w stanie w każdej chwili zastąpić go kimś innym. Ale jeśli ty zaczniesz grać w filmie, ciebie nie zdołam podmienić. Musiałbym zaczynać wszystko od początku. Od nowa kręcić scenę po scenie.

- Ale nie może mnie pan zastąpić kimś innym, kiedy jeszcze nawet nie zaczęłam - wyjąkała.

- Dlaczego nie? Spójrz tylko na siebie. Znowu utyłas. Na przyszły tydzień mamy wyznaczone miary, a ty przecież nie zdążysz schudnąć. Nie, ryzyko jest zbyt wielkie. W tym filmie zagra Janie Lord.

- Janie Lord! Przecież ona dopiero zaczyna! - Nie mówi tego poważnie. Próbuje ją tylko nastraszyć.

- Nakręciła trzy niskobudżetowe filmy i wszystkie trzy przyniosły nam zysk. W tym miesiącu w każdym magazynie branżowym jest o niej jakaś wzmianka. Ten film robi z niej gwiazdę. Wielką gwiazdę. Na wszelki wypadek partnerować jej będzie Brick Nelson.

Tak, dziwiło ją, dlaczego Szeff ściągnął Nelsona. Brick Nelson był drogi, a w jej filmach na ogół nie pojawiali się tacy gwiazdorzy. Ona była gwiazdą każdego filmu, od początku do końca. Przypomniła sobie podpisany kontrakt. Szeff nie żartował. Ale czy mógł ją tak po prostu zdjąć, kiedy jej nazwisko podano już do wiadomości publicznej? Mógł zmienić obsadę zupełnie bez powodu?

- Od strony prawnej tego nie ugryziesz - powiedział, jakby czytając w jej myślach. - Tak zmieniliśmy scenariusz, że teraz po prostu musimy zatrudnić młodszą aktorkę.

- Młodszą aktorkę! Wie pan co? Mam dopiero dwadzieścia osiem lat. To jeszcze nie jest z górki.



- Wyglądasz na czterdzieści - powiedział bez zajknięcia.  
- Jestem bez makijażu - broniła się.  
- Masz sińce pod oczami... i zaczątek drugiej brody. Wyglądasz okropnie.

Po usianej piegami twarzy Neely spłynęły łzy. Wystarczy jej tydzień diety i snu, a będzie jak nowo narodzona. On o tym dobrze wie. Dlaczego tak ją dręczy?

Przerwała im sekretarka Szefa, informując go, że jest już połączenie z Paryżem. Podniósł słuchawkę i z czarującym uśmiechem, rozpromieniony, rzucił:

- Halo!

Krzyczał do mikrofonu, jak zwykle ludzie rozmawiający z kimś zza oceanu.

- Tak - powiedział nieco ciszej. Słyszę pana jak z pokoju obok. Wspaniale, prawda? Tak panie Chardot... Tak, otrzymałem pański list dziś rano. Dlatego zamówiłem rozmowę. Pańskie warunki są... Cóż...  
- Roześmiał się taktycznie. - Słowo „niemożliwe” nie oddaje w pełni sytuacji. Oczywiście, że chcę nakręcić film z panią North. I nie widzę żadnych przeszkód, żeby pan był współproducentem tego filmu. Ale umowa tylko na jeden film, która da panu pięćdziesiąt procent zysków z dystrybucji poza Stanami, jest nie do przyjęcia. W końcu my tę pańską gwiazdę ubierzemy... Całkiem ją zasłonimy. Skąd mamy wiedzieć, że ubrana też będzie przyciągać publiczność?... Tak, tak, wiem, że w trzech ostatnich filmach występowała ubrana. Ale spójrzmy prawdzie w oczy, panie Chardot. Przecież żadna z niej aktorka. Co...? Może i zdobyła te nagrody... Może... Nie znam francuskiego. Ale jak to wyjdzie po angielsku? Tego nie możemy być pewni. A pan nie chce mi dać możliwości zrobienia z nią następnego filmu. To nie fair. Wydam kupę forsy na reklamę, a drugi film zrobi ktoś inny i sprzątnie mi ją sprzed nosa. Chcę mieć umowę na trzy filmy i wtedy zgadzam się na pańskie warunki. I proszę bardzo, wtedy może mieć to, do czego jest przyzwyczajona. Pieniądze przelejemy do banku w Szwajcarii... Ile...? Ależ, mój dobrodzieju, skąd pan wziął takie sumy? Nikt nie byłby w stanie spełnić pańskich żądań, panie Chardot.

Potem umilkł i bez słowa trzymał słuchawkę. Wreszcie odezwał się ze zboląłą miną:

- Panie Chardot, dziś po południu zadzwoni do pana niejaki Louie Esterwald... Co? U pana już ósma wieczorem? Nigdy się nie przyzwyczaję do tych różnic w czasie. Dobrze, więc jutro rano. Omówi z panem delikatne kwestie. On włada pańskim językiem, i to bardzo dobrze. Możemy się pana tu spodziewać we wrześniu?... Zaraz, zaraz, panie Chardot, jeśli zaczekamy do lutego, to już będziemy mieć rok pięćdziesiąty siódmy. Chciałbym poinformować moich akcjonariuszy, że mamy w produkcji film z Jennifer North już w tym roku, w pięćdziesiątym szóstym... Dobrze, ja też czekam z niecierpliwością. Już pan zaczął kręcić z nią nowy film?... Zrobi pan dwa od teraz do listopada? Boże, jak ja panu zazdroszczę! Będę miał szczęście, jeśli do listopada uda mi się skończyć chociaż jeden. Ale wy nie macie kłopotów ze związkami ani telewizji. Niech pan poczeka parę lat, a odczuje pan te problemy na własnej skórze. Telewizja jest jak najgorszy rak, mówię panu. Włazi dosłownie wszędzie.

Kiedy skończył rozmowę, natychmiast zamówił kolejną, też z Europą. Neely cierpliwie czekała, podczas gdy SzeF zabawiał się ołówkiem. Z obrzydzeniem rzucił słuchawkę na widełki.

- Dwadzieścia minut opóźnienia! Nagle sobie o niej przypomniał.

- No dobra, możesz już iść! - Odprawił ją machnięciem ręki.

- Myślałam, że zjemy razem lunch - wykrztusiła zaskoczona.

- Możesz sobie darować jedzenie. Przy takim brzuchu dobrze ci zrobi, jak dzisiaj nic nie zjesz. Gdyby nie to, że ciągle cię taką widzę, myślałbym, że jesteś już w czwartym miesiącu. Muszę czekać na zamówioną rozmowę z Louie Esterwaldem. - Westchnął. - I pomyśleć, ile ja biedny muszę się nawysilać, ilu pośredników zatrudnić, żeby ściągnąć tu tę gołą kurwę. Dziesięć lat temu Hollywood wywaliłoby ją z dużym hukiem, a teraz? Każde studio się o nią zabija! Co się w tym kraju wyrabia? Upadek moralności. Wszystko przez telewizję. Zawsze uważałem, że powinniśmy robić przyzwoite amerykańskie filmy, ale kończy się na tym, że żeby wygrać z telewizją, musimy łapać wszystko, co nam wpadnie w ręce. Cycki, gołe dupy, francuskie dziwki...

- To nie jest francuska dziwka - zaprotestowała Neely. - To Amerykanka i do tego bardzo fajna. Mieszkałyśmy kiedyś razem.

Zainteresował się. Szczerze.

- Mieszkałaś z Jennifer North?

- Jedenaście lat temu. Obie grałyśmy w Pod samo niebo. Była bardzo okrzyczaną chórzystką, a potem wyszła za Tony'ego Polara. Jakiś czas spędziła tu, w Kalifornii.

- No jasne! Ożenił się z Jennifer... - Potrząsnął głową. - Nie, to nie może być ta sama! Ta ma dopiero dwadzieścia trzy lata.

Neely roześmiała się gorzko.

- We francuskich filmach wszystkie mają dwadzieścia trzy lata. To ta sama Jennifer, z którą kiedyś mieszkałam. Jennifer ma... Rany, sama nie wiem... Ja miałam wtedy siedemnaście, a ona niby dwadzieścia jeden...

- To by znaczyło, że teraz ma trzydzieści dwa... - Był zaskoczony.

- Tak jest - przyznała Neely. - A pan tu krzyczy, że ja mam dwadzieścia osiem.

- Ta dopiero musi o siebie dbać! I na nią można liczyć. Dwa filmy do listopada... - Potrząsnął głową. - Podobno zdobyła nagrodę na jakimś zagranicznym festiwalu, więc teraz pewnie uważa, że jest już aktorką. To jest właśnie moje zasmarkane szczęście! Francuzi mieli ją, kiedy latała po ekranie goła, a na mnie padło, jak już jest aktorką. - Westchnął tak głęboko, że aż nim wstrząsnęło.

- A ja co będę robić tymczasem? Pluć i łapać? - zapytała Neely.

- Chudnąć. Co tydzień dostaniesz swoją forszę.

- A kiedy zacznę kręcić następny film?

- Zobaczymy...

Oczy rozbłysły jej gniewem.

- Kim pan jest, żeby tak do mnie mówić?

- Szefem wytwórni. A ty jesteś małą gąską, z której zrobiłem gwiazdę, tyle tylko, że ostatnio stałaś się całkiem niedochodowa. Więc będziesz teraz siedzieć i nic nie będziesz robić. I dostaniesz nauczki. Popatrzysz sobie, jak rodzą się nowe gwiazdy. Na przykład Janie Lord. Może wreszcie nabierzesz rozumu. A teraz zjeżdżaj. Mam ważniejsze sprawy na głowie.

Wstała.

- Mogę stąd wyjść i nigdy już nie wrócić.

- Proszę bardzo. - Uśmiechnął się. - A już nigdy nikt cię nie zaangażuje.

Całą drogę powrotną płakała, nieuważnie prowadząc rozpędzony samochód przez kaniony i wijące się pagórki. Już jej na niczym nie

zależało. Co ma teraz robić? Wrócić do domu i siedzieć w tej wielkiej stodole? Nawet dzieciom tak naprawdę nie jest wcale potrzebna. Kochają nianię i chodzą do szkoły. Jak tylko ludzie dowiedzą się, że zastąpiono ją inną aktorką i jeszcze połączą to z nagrodą „zakały roku”, zostanie zupełnie sama. Nikt nie dzwoni do przegrywających. Rany, ludzie są strasznie podli. Tak ciężko pracowała, tak bardzo się starała, a teraz wszyscy chcą ją ukrzyżować.

Weszła do domu i chwyciła butelkę szkockiej. Kiedy znalazła się w sypialni, spuściła żaluzje, żeby odgrodzić się od słońca, wyłączyła telefon i połknęła pięć czerwonych kapsulek. Ostatnio pięć czerwonych pomagało już tyle co nic. Zeszłej nocy, po pięciu czerwonych i dwóch żółtych, spała zaledwie trzy godziny. Rozebrała się i wślizgnęła do łóżka.

Zbudziła się chyba około północy. Podciągnęła żaluzje. Noc... Nie ma nic do roboty. Poszła do łazienki i odruchowo stanęła na wadze. Straciła kilogram. Hej, to jest pomysł! Jeśli będzie brać prochy i przestanie jeść, zrzuci te pięć kilo w mgnieniu oka! Połknęła tabletkę z witaminami. To utrzyma ją w dobrym zdrowiu. Potem wzięła pięć kolejnych czerwonych laleczek i popiła je dużym haustem whisky.

Kiedy się ocknęła, dostrzegła słońce wciskające się do sypialni przez listki żaluzji. Miała ciężką głowę, ale nie była senna. Nie, nie stanie na wadze. Poczekaj jeszcze i później będzie mieć niespodziankę. Czowała się jakaś pusta, straszliwie pusta... Lepiej połknąć ze dwie tabletki z witaminami. Tak, zawierają wszystko, co trzeba. Nałożyła na twarz krem, a na włosy lanolinę. Przecież może ten okres wykorzystać na kurację upiększającą. Kiedy się już wreszcie podniesie, będzie wyglądać jak lalka. Tym razem zażyła pięć żółtych i dwie czerwone. To szybciej podziała. W butelce zostało jeszcze dość szkockiej na drinka.

Kiedy otworzyła oczy, wszystko wokół było takie jasne i czyste. Cóż co za cholerna igła sterczy z jej ramienia? I co robi ta odwrócona do góry nogami butelka na stojaku? Chryste! Toż to pokój w szpitalu! Chciała usiąść na łóżku; natychmiast podbiegła do niej pielęgniarka.

- Spokojnie, pani O'Hara - odezwała się wyćwiczonym, pogodnym tonem.

- Co ja tu robię? Co się stało?

Pielęgniarka podała jej gazetę. Jezu! Na pierwszej stronie zobaczyła własne zdjęcie; jedno z tych robionych w studiu na

początku kariery - uśmiechnęła się do niej świeża twarz. Ale tuż obok zamieszczono inną dużą fotografię - dwóch facetów niosło jakąś dziewczynę... Głowa wisiała jej do tyłu, widać było bosc stopy... O Boże, to przecież ona: Przeczytała nagłówek: „Gwiazda przedawkowuje proszki nasenne”. A pod spodem był mały podtytuł: „To wypadek - twierdzi szef wytwórni”. Czytając o tym, jak to SzeF pospieszył jej na ratunek, po raz pierwszy się uśmiechnęła. Jasne, że się bał - złapał cykora, że mu wykituje. Nie odważył się powiedzieć, że wcześniej zdjął ją z filmu. Czytała chciwie.

„Przed pięcioma dniami odbyliśmy z panią O'Hara rozmowę.” O rany, tak długo spała? „Wyraziłem swój niepokój, czy nie jest czasem zbyt dużo przepracowana, żeby tak natychmiast stanąć na planie następnego filmu. Zapewniła mnie, że po kilku dniach urlopu znowu będzie w pełni sił. Najwyraźniej próbowała zregenerować siły. Wrócić do formy przed kolejnym filmem. Jeśli przeżyje...” W tym miejscu emocje ścisnęły mu gardło i przerwał, żeby otrzeć łzy. Łzy! Ten trik opanował lepiej niż wszystkie gwiazdy Hollywood. Pewnie umierał ze strachu, że zostawiła jakiś przedśmiertny liścik. Wróciła do tekstu. „Jeśli przeżyje, zagra główną rolę w naszym największym filmie. Pogłoski, że zastąpiliśmy ją Janie Lord, są całkiem nieprawdziwe. Neely O'Hara nie da się nikim zastąpić. Rozważaliśmy zmianę scenariusza, na wypadek gdyby pani O'Hara nie czuła się jednak na siłach. Dopiero wtedy rozważalibyśmy możliwość zaangażowania do filmu panny Janie Lord. Ale bardzo chcemy, żeby Neely stanęła na planie. Gwiazda wielkości Neely O'Hara zdarza się raz na pokolenie.”

Teraz czuła się wspaniale. W artykule znalazła pełne uniesień wypowiedzi wszystkich gwiazd, z którymi kiedyś grała, i tych, które czasem widywała jedynie z daleka. Nawet gazeta związkowa na kilku szpaltach piała peany na jej cześć. Co za przeżycie! Zupełnie jakby umarła i patrzyła na tłum, który przyszedł na pogrzeb. Bardzo jej się to podobało. Rany, chyba rzeczywiście spodziewali się, że kojtnie. Musiała być o włos od śmierci, skoro SzeF tak się tym zachłystywał. Teraz się nie wykręci i da jej rolę w nowym filmie.

- Byłam bardzo chora? - zapytała pielęgniarkę.

- Chora! Jeszcze kilka godzin temu myśleliśmy, że nie da się pani uratować. Całą dobę leżała pani pod namiotem tlenowym.

- Ale połknęłam tylko kilka pigułek. Naprawdę chciałam się porządnie wyspać.

- Na szczęście lokaj zadzwonił po doktora. Kiedy nie jadła pani przez trzy dni, zaniepokoił się i wszedł do sypialni, a pani już ledwie oddychała.

Neely uśmiechnęła się.

- Ale za to teraz jestem ładna i szczupła.

Pielęgniarka odwróciła się gwałtownie. Chwilę później do pokoju wszedł lekarz.

- Jestem doktor Keegan. - Rozpoznała nazwisko. Był to osobisty lekarz Szefa. - No, udało się - powiedział rażno.

Jasne, że tak - pomyślała. Ale wiedząc, że Szef usłyszy z ust lekarza szczegółową relację, uśmiechnęła się blado.

- To nie było zbyt mądre. I co pani na tym zyskała? - zapytał. Odzyskałam swój film, ty draniu. Ale wciąż uśmiechała się słabo i żeby stworzyć bardziej przekonujący obraz, uroniła jeszcze kilka łez. Potem szepnęła cicho:

- Nie... nie chciałam żyć bez tego filmu.

- Aaa... Tak, tak... Ten film... Jeszcze zobaczymy... Trudno teraz powiedzieć, czy będzie pani w formie.

Usiadła.

- Już jestem w formie!

Miała pani ciężki okres. Zobaczymy, zobaczymy. Jeśli uznam, że nie jest pani jeszcze całkiem zdrowa, poinformuję o tym wytwórnię. Nie możemy pozwolić na recydywę.

A więc o to chodziło! Tak to rozgrywają! Ich lekarz oświadczy, że nie jest jeszcze dość silna, i kropka.

Uśmiechnęła się słodko.

- Miejmy nadzieję, że uzna mnie pan za osobę zdrową i w pełni sił, bo to w końcu był pomysł Szefa, żebyśmy nieco schudła - i to im szybciej, tym lepiej. A co do braku formy, to kiedy miałam osiemnaście lat, Szef sam mi podsunął zielone kapsułki, żebyśmy straciła apetyt. I wiele, wiele razy na jego wyraźne życzenie pracowałam na planie przez cały tydzień bez jedzenia. Myślę więc, że uzna pan, że teraz jestem już dość silna... Zastanówmy się wspólnie, pierwsze miary odbędą się już pewnie na dniach. Jestem na tyle szczupła, że to akurat pora. A potem do rozpoczęcia zdjęć będzie tydzień przerwy na odpoczynek.

Następnego dnia sprowadziła sobie do szpitala swojego prawnika i agentów. Teraz ma wytwórnię w garści. Nie mogą jej zdjąć z filmu

po takim publicznym oświadczeniu Szefa. Jego wypowiedź dla dziennikarzy broni jej lepiej niż wszelkie kontrakty. No i sympatia publiczności jest po jej stronie. Ale nie może sobie już pozwolić na opuszczenie choćby jednego dnia zdjęć.

- Wystarczy jeden dzień, jedna godzina i panią wywalą. Szef jest naprawdę wściekły i nic go nie powstrzyma. Wyrzuci panią nawet kosztem zrezygnowania z filmu. Przechytrzyła go pani, a on nie lubi przegrywać - ostrzegał agent.

Na plan przyszła bardzo zdenerwowana. Zobaczyła Sama Jacksona wraz z ekipą - on też się denerwował. Wszyscy byli spięci. Ale nauczyła się tekstu. Wykuła go na blachę.

- Zrobimy najpierw jedną próbę na sucho, a potem puścimy kamerę - zaproponował Sam. - Zaczniemy od monologu, kiedy ty zwracasz się do publiczności w klubie. Błagasz ich, żeby siedzieli cicho, a potem zaczynasz śpiewać. - Odwrócił się do tyłu i krzyknął: - Statyści na miejsce! Zaczynamy!

Scena była jasna i poszła jak po maśle. Dobrze szło. Dlaczego wszyscy są tacy zdenerwowani? I dlaczego Sam unika jej wzroku? Dziwnie się zachowuje. Tak się przejmuje, bo wiedział, że to dla niego duża próba i w każdej chwili Szef może go wyrzucić? Nikt nie ma wątpliwości, że Szef to stary skurwysyn. Porozmawiam z Samem pod koniec dnia - pomyślała.

Patrzyła, jak ustawiają wysięgniki i wciągają kamery. Czy Samowi tak bardzo zależy na tej premii tysiąca dolarów? Na dobrą sprawę nikt nie może zrobić dobrego ujęcia już za pierwszym podejściem. Chryste, będzie dobrze, jeśli dziś w ogóle skończą tę scenę.

Jupiterzy załączyły światła. Ktoś pstryknął jej kłapsem przed oczami. Jezu, nigdy w życiu nie stała przed kamerą raptem po jednej próbie. Nikt tak nie robi.

Poszło nie najgorzej. Pomyliła się troszkę, zapomniała kilku słów, ale jak na pierwsze ujęcie... Rany, można z tego wyciąć zupełnie dobre kawałki. Uśmiechnęła się do Sama, kiedy scena dobiegła końca.

- Zawaliłaś słowa piosenki. Wzruszyła ramionami.

- Tylko dwie linijki. Głos jest już i tak nagrany. Tylko w jednym miejscu źle podłożyłam słowa... Następnym razem...

- Dobra, kręcimy jeszcze raz. Ale ostatni.

Boże, chyba mu odbiło! W życiu nie zrobi tego filmu, jak się będzie tak bał. Ale to w końcu jego pogrzeb.

Wróciła na plan. Tym razem potknęła się o kable mikrofonu, który miała trzymać w ręce.

- Cięcie! - krzyknął. Podszedł do niej. - Nic ci nie jest, Neely?

- Wszystko w porządku. Hej, Sam, uspokój się. Nie spodziewałeś się chyba skończyć sceny przy drugim ujęciu, co?

- Spodziewałem się skończyć na pierwszym.

- Sam, oszalałeś? Wiem, że chodzisz jak po rozżarzonych węglach, ale nie wpadaj w panikę. Zachowujesz się, jakbyś kręcił film dokumentalny. Nawet Szef ryknąłby śmiechem, gdyby usłyszał, że chcesz nakręcić całą scenę już za pierwszym razem.

Nic nie odpowiedział i zwrócił się do ekipy:

- Przygotujcie się do trzeciego ujęcia.

Zacząła już maszerować do wyjścia, kiedy przypomniała sobie, co jej mówił agent. Stała jak wryta. Przecież to woda na młyn Szefa! Wróciła na plan. Aż się trzęsała. Żeby Neely O'Hara musiała znosić takie zachowanie ze strony jakiegoś wystraszonego reżysera! Wiedział przecież, że wszyscy ich obserwują. Nikt w życiu jej tak nie potraktował. Nikt nie odwrócił się do niej plecami i tak jej nie zlekceważył. To ona wychodziła, kiedy chciała!

Zmusiła się do pozostania na wyznaczonym miejscu planu. Stała w świetle reflektorów i dygotała z wściekłości, podczas gdy charakteryzatorka poprawiała jej makijaż. Klaps. Ujęcie trzecie. Skopała od razu pierwszą linijkę. Wyłączono kamery. Ujęcie czwarte. Znowu wpadka. Ujęcie piąte. Szóste.

Późnym popołudniem kręcili już piętnaste. Czysty absurd! Nigdy w życiu nie zrobiła więcej niż osiem w ciągu dnia. To wszystko przez Sama. Wyładowywał na niej swoje zdenerwowanie. Teraz, nawet gdyby od tego zależało jej życie, i tak nie przypomniałaby sobie już ani jednej linijki.

- Przerwa na kolację! Spotykamy się na planie o siódmej! Wszyscy! - zawołał.

Przerwa na kolację! Nocami pracowała tylko u progu kariery! Nawet nie zapytał, co ona o tym myśli. Podeszła do niego.

- Rozumiem, że planujesz dokrętki już beze mnie. Pilnie wpatrywał się w wizjer kamery.



- Będę kręcił tę samą scenę do skutku, aż dostanę ujęcie bez zarzutu.

- Beze mnie, frajerze. Ja współpracowałam jak trzeba. Przyszłam na czas i wychodzę stąd o normalnej porze. Nie będę sobie urabiać rąk po łokcie, żebyś ty dostał tysiąc dolców premii. - Odwróciła się na pięcie i odeszła.

- Jeśli pójdziesz do domu, zamelduję Szefowi.

- Proszę cię bardzo! - warknęła. - Ja też mam swoje prawa. Ekipa filmowa i aktorzy stawili się o siódmej. Czekali do dziesiątej.

Dzwonili do domu Neely. Powiedziano im, że już poszła spać. Sam Jackson wstał i puścił wszystkich do domu.

- Jutro nie kręcimy. Teraz czekamy na instrukcje - oświadczył. Wsiadł do samochodu i pojechał w kierunku plaży. Zaparkował pod małym domkiem i zatrąbił klaksonem. Drzwi się otworzyły. W progu stała piękna dziewczyna o długich czarnych włosach, okryta białym frotowym szlafrokiem. Kiwnęła do niego głową i Sam wszedł do domu.

- No Janie, masz tę rolę. Rozchyliła wargi, ukazując równe zęby.

- Och, Sam! Udało ci się! Taka jestem szczęśliwa! - Potem zwróciła się do drobnego, siwowłosego mężczyzny, który siedział w fotelu i palił w milczeniu. - Słyszałeś? Sam ją załatwił!

Siwowłosy uśmiechnął się.

- To dobrze. - Wstał i pociągnął za pasek jej luźnego szlafroka. Frotowe poły rozsunęły się, odsłaniając jej cudowne ciało. Drobną dziewczyną, który sięgał ramienia tej cudnej bogini, lekko przesunął opaloną dłoń po wypukłych piersiach.

- Przypatrz się dobrze, Sam. Ale nie dotykaj, bo to wszystko moje. Sam kiwnął głową.

- Tak, proszę pana.

- Chcę tylko, żebyś wiedział. Jesteś młody i możesz mieć różne pomysły.

Dziewczyna odwróciła się i uścisnęła siwowłosego.

- Ale ja cię kocham, przecież wiesz o tym. Mężczyzna kiwnął głową.

- No Sam, dobra robota. A teraz spływaj. Wezwij wszystkich na plan na pojutrze. Ja zajmę się oświadczeniami dla prasy. Wyślij tylko telegram do Neely, żeby nie przychodziła więcej. Podpisz go moim nazwiskiem.

Sam potaknął i wyszedł. Drobnym mężczyzną obrócił się do pięknej dziewczyny.

- No dobra, będziesz teraz gwiazdą, Janie Lord. Będziesz tą jedyną panną Lord, o której usłyszy świat. Jeśli nie zapomnisz, kto tu naprawdę rządzi.

- Tak, proszę pana. - Opadła na kolana i zaczęła go pieścić.

ANNA

1957

Anna w zamyśleniu odłożyła słuchawkę. Kevin Gillmore wyciągnął ramię i ujął ją za rękę.

- Znowu Neely? - zapytał. Kiwnęła głową. Poklepał dłonią materac. - Chodź tu do mnie i porozmawiajmy.

Wyciągnęła się na swoim łóżku.

- To nie takie proste, Kevin.

- Słyszałem, jak się wijesz przez telefon. Przypuszczam, że chce z tobą zamieszkać.

Kiedy milczenie się przedłużało, Kevin parsknął śmiechem.

- Wciąż siedzi w tobie ta bostońska świętoszka, co? Dlaczego nie powiedziałaś jej po prostu: „Tak, Neely, mam dwa łóżka, ale mój facet często u mnie sypia”.

Anna podniosła maszynopis, który przeglądała wcześniej.

- Bo nie było powodu, żeby jej to mówić. Kevin, martwię się. Neely jest w złym stanie.

- Dlaczego? Bo nie wszystko układa się po jej myśli? Siedzi sobie na tyłku już siedem miesięcy i jeszcze jej płacą kupę szmalu. W dzisiejszych czasach brak długoterminowych kontraktów to nie żadna hańba. Wytwórnice działają teraz inaczej.

- Ale jakoś tak dziwnie brzmiała... Jest zrozpaczona. Mówi, że musi się wyrwać z Kalifornii.

- Zawsze będzie mieć mnóstwo propozycji. Wystarczy, że postawi nogę w Nowym Jorku, a każdy producent będzie się za nią uganiał. Może grać w telewizji. Może robić wszystko, na co ma ochotę.

- Słyszałam jakieś plotki... - Anna sięgnęła po papierosa. Kevin chwycił ją za rękę, nie pozwalając jej przypalić.

- Chodź do mnie, nie będziemy musieli tak do siebie krzyczeć. Uśmiechnęła się.

- Kevin, ja dopiero zacznę naprawdę krzyczeć, jak stanę przed kamerami i nie będę znała tekstu.

- Skorzystaj z karteczek ze ściągami.

- Lepiej jest, kiedy sama wiem, co mam powiedzieć. Lubię je widzieć, tak na wszelki wypadek, ale wolę z nich nie korzystać.

- Zależy ci na mnie, Anno?

- Bardzo. - Odłożyła maszynopis i czekała cierpliwie.

- Ale nie szalejesz z miłości? Uśmiechnęła się.

- Tak się szaleje przy pierwszym uczuciu. Taka miłość zarezerwowana jest na pierwszy raz.

- Ciągłe myślisz o tym skrybie?

- Nie widziałam Lyona od lat. Ostatni raz, kiedy o nim słyszałam, pisał w Londynie jakieś scenariusze filmowe.

- Więc dlaczego się we mnie nie zakochałaś? Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń.

- Lubię być z tobą, Kevin. Lubię cię mieć w łóżku. Lubię z tobą pracować. Być może to miłość.

- Gdybym zaproponował ci małżeństwo, bardziej byś mnie kochała? Zaczęła ważyć słowa.

- Z początku miało to dla mnie ogromne znaczenie. Nie chciałam, żeby znano mnie jako czyjąś „dziewczynę”. Ale teraz i tak się już stało... - Mówiła spokojnie, bez emocji; tyle razy już przez to przechodzili.

- I co takiego się stało? Jesteś sławna. Wszędzie cię znają jako Gillian Girl.

- I dziewczynę Gillmore'a. Ale teraz nie ma to dla mnie znaczenia. Chciałam mieć dziecko... Wciąż tego chcę...

- Anno... - Wstał z łóżka i zaczął przemierzać sypialnię. - Masz trzydzieści jeden lat. To trochę za późno na dzieci.

- Znam kobiety, które rodziły pierwszy raz w wieku czterdziestu lat.

- Ale ja mam pięćdziesiąt siedem. Wychowałem syna, wydałem córkę za mąż. Mam nawet dwuletniego wnuka. Jak by to wyglądało, gdybym się teraz z tobą ożenił i miał dziecko młodsze od mojego wnuka?

- Wielu mężczyzn żeni się późno i zaczyna życie od początku.

- Dwadzieścia jeden lat byłem mężem Evelyn... niech odpoczywa w pokoju... i przeszedłem już przez to wszystko. Przez obozy letnie, nianie, aparaty do korekty zgryzu i odrę. Nie mam już cierpliwości, żeby przeżywać to jeszcze raz. Teraz, kiedy mogę się cieszyć wolnością i mam więcej pieniędzy, niż jestem w stanie wydać, chcę swobodnego życia, bez żadnych ograniczeń. Chcę mieć dziewczynę, która będzie mieć czas ze mną podróżować i bawić się na całego. W małżeństwie nigdy nie zaznałem prawdziwej radości. Rozkręcałem wtedy interes, a Evelyn zajmowała się dziećmi. Prawie nigdy nie wychodziliśmy z domu. Czasem może zdarzał się nam jakiś weekend

w Atlantic City, ale i wtedy wiecznie się martwiła, że na niani nie można do końca polegać albo że któreś z dzieci na pewno będzie chore. A potem, kiedy stanąłem na nogi i dzieci podrosły, było już za późno. Wtedy Evelyn zachorowała. Żyłem z tym przez pięć lat. Pięć lat patrzyłem, jak umiera. Później spotkałem ciebie, dokładnie rok po jej śmierci. Od razu wiedziałem, że jesteś dla mnie stworzona.

Uśmiechnęła się z trudem.

- Miło mi, że tak się wpasowałam w twoje plany. Ale kobieta nie liczy tylko na to, że będzie czyjąś kochanką, zawsze ma nadzieję, że będzie żoną i matką.

- Myślałem o tym, Anno. Ale moim dzieciom nie spodobałby się ten pomysł. - Usiadł na brzegu jej łóżka i dodał lekko: - Poza tym w ten sposób jestem cię bardziej pewny. Z chwilą kiedy byśmy się pobrali, uznałabyś mnie za element zwykłej codzienności. - Wrócił do swojego łóżka i wziął do ręki gazetę. Niebawem zatonął w finansowym dziale „Timesa”.

Anna wróciła do studiowania maszynopisu. Za kilka miesięcy Kevin wróci do tego tematu. I wszystko znów skończy się tak jak zwykle. Kevin miał wyrzuty sumienia, że się z nią nie ożenił, ale jej to już nie robiło różnicy. Może rzeczywiście za późno już na dzieci? A świadectwo ślubu nie gwarantuje ani wierności, ani szczęścia - wystarczy spojrzeć na Jennifer. I na biedną Neely.

To prawda, że powszechnie się mówi, że jest dziewczyną Kevina. Ale jest przy tym również Gillian Girl i on jej to umożliwił. Lubi swoją pracę; przynosi jej niezłe dochody i stanowi jakieś konkretne zajęcie. Lubi też Kevina... Nie, to jest coś więcej niż zwykła sympatia - może to jednak miłość? Nie taka jak ta, którą poznała z Lyonem. Przy Kevinie nie odczuwała takich uniesień. Ich związek fizyczny nie budził w niej żadnych emocji. Często zastanawiała się, co go w niej tak pociąga. Kiedy przypominała sobie to szalone zapamiętanie, z jakim oddawała się Lyonowi - te głębokie pocałunki, gorączkowe uściski, to, jak wtopieni w siebie leżeli aż do rana - związek z Kevinem wydawał się jej najzupełniej jałowy.

Z początku łączyły ich tylko sprawy zawodowe. Z biegiem czasu zaczęli razem bywać. Cieszyło ją jego towarzystwo i łatwiej jej było umawiać się z nim niż opędzać się od awansów innych mężczyzn. Ona była dobrym nabytkiem dla firmy, a on okazał jej ogromną cierpliwość, kiedy jako niedoświadczona dziewczyna stawała przed

obiektywami aparatów. To dzięki jego cierpliwości odniosła taki sukces. Był przy niej, czujny, na każdej próbie zdjęć - osobiście sprawdzał oświetlenie, reżyserował ujęcia, pomagał wybrać właściwy strój. Nauczyła się mu ufać; czekała na jego rady i oceny. Widziała, jak ładniutkie modelki wciąż krążą wokół niego; wiedziała, że bogate rozwódki i początkujące gwiazdki szukają okazji, by złożyć mu wizytę. Wiedziała też, że zasypywany jest płomiennymi zaproszeniami od eleganckiej, słynnej, pięćdziesięcioletniej dawnej królowej kina. Tak, Kevin Gillmore miał w czym wybierać i przebierać. Ale chciał tylko jej. Przez rok trzymała go na wyciągnięcie ręki, ale nie spotkała w tym czasie nikogo, kto obudziłby w niej żywe, romantyczne uczucia. W końcu więc uległa Kevinowi.

Przypomniała sobie ich pierwszy raz. Nie była w stanie zmusić się do niczego innego poza uległością. Pozwoliła się wziąć, pozwoliła, by się nią nasycił. Nic więcej. A on nigdy nic więcej nie chciał. Czasem udawało jej się odpowiedzieć w nieco żywszy sposób na jego pieśczoły, a on uznawał to za namiętność. Wkrótce stwierdziła, że mimo całej ogłady i szlif, w sprawach seksu Kevin jest zupełnie pozbawiony fantazji. Najwyraźniej nie miał żadnych przygód, zanim się ożenił, a Evelyn musiała być równie czysta jak on, i tak samo jak on bez wyobraźni. Ich związek fizyczny zapewne ograniczał się do kilku letnich pocałunków i mechanicznego aktu kopulacji. Po śmierci żony musiał mieć jakieś dziewczyny i niektóre z nich pewnie stawały na głowie... Ale najprawdopodobniej taki rodzaj zachowania Kevin przypisywał dziewczętom o podejrzanym moralności. Anna była natomiast damą - tak jak jego żona. Uznał więc chyba oziębłość za normalną cechę dam i jako dżentelmen nie oczekiwał nic więcej.

Nie, z Kevinem nie przeżywa wzlotów i upadków, ale być może taka właśnie jest ta dojrzała miłość? Czasem mówiła sobie, że ma dużo szczęścia. Wiele dziewcząt nigdy nie zaznało takiej miłości, jaką ona przeżyła z Lyonem, a tylko nieliczne mogły się oprzeć na tak stabilnym uczuciu, jakie jej ofiarowywał Kevin. Nawet jego opory, by się z nią ożenić, w rzeczywistości nie stanowiły problemu. Nigdy go nie zmuszała do małżeństwa, choć czuła, że mogłaby to zrobić - wystarczyłoby, żeby zagroziła odejściem. Nie. Była w pełni zadowolona z takiego stanu rzeczy.

Tydzień później przyjechała Neely. Anna cudem zdołała ukryć zaskoczenie na widok jej odmienionej postaci. Utyła! Twarz jej

napuchła. I mimo że Neely wystroiła się w drogie ciuchy, wyglądała tandetnie - miała odłupany lakier na paznokciach, oczko w pończosze i ogólnie sprawiała nieświeże wrażenie. Ale przede wszystkim uderzała jej wewnętrzna martwota - Neely nie jaśniała jak dawniej. W czasie rozmowy uciekała wzrokiem na boki.

Anna słuchała w skupieniu, kiedy przyjaciółka wylewała z siebie pretensje i żale - przedstawiała diabelski plan uknuty przez Szefa, opowiadała o rozbitym małżeństwie, o szatańskich pułapkach Hollywood.

Anna mówiła o sobie niewiele. Wspominała o pracy, o bliskiej przyjaźni z Kevinem, a kiedy Neely, troszkę nieśmiało, niemal jak dziewczynka, spytała, czy „to ze sobą robią”, uśmiechnęła się i kiwnęła głową. Odpowiedź najwyraźniej sprawiła Neely przyjemność.

Kevin z wdziękiem pełnił rolę gospodarza domu. Neely co prawda znacznie zakłóciła jego tryb życia, ale nie okazał jej nawet cienia irytacji. Oprowadzał je obie po mieście, zabierał do teatrów i do klubów. Gdziekolwiek się pojawili, Neely budziła sensację. Rozkwitała wśród dowodów sympatii. Nie miała już uczucia, że marnuje kolejny dzień za dniem; przestała zapijać się na śmierć; kupiła nowe ubrania. W ciągu dwóch tygodni zrzuciła pięć kilo i rzadko brała więcej niż trzy kapsułki na noc. Znow tryskała energią i radością i stała się taka, jaką Anna pamiętała.

Pewnego gorącego wieczoru we wrześniu, kiedy wychodziły już z teatru, tłum ludzi wdarł się tylnym wyjściem i odciął im drogę do taksówki. Neely śmiała się, machała do ludzi, popychana i potrącana przez wielbicieli składała autografy, aż wreszcie Kevin, przy pomocy policjanta, zdołał przetrzeć szlak do parkującej przy krawężniku taryfy.

W samochodzie otarł pot z czoła i potrząsnął głową w zdumieniu.

- To fantastyczne! Skoro tak szaleją na twój widok, to strach pomyśleć, co by się działo, gdybyś im zaśpiewała.

- Umarliby z rozkoszy. - Neely wybuchnęła śmiechem. - Ale moja publiczność zawsze reagowała żywiołowo - dodała, a jej okrągłe oczy nagle spoważniały. - W Radio City zawsze miałam dobre notowania. Przy wszystkich filmach. Te filmy po prostu za dużo kosztowały. Ale żaden nie zrobił kłapy. Zawsze odwalalam dobrą robotę...



Kevin patrzył na nią, jakby to, co przed chwilą powiedziała, dopiero teraz do niego dotarło. W jego głosie zadrzała nutka podniecenia:

- Masz rację! Twoje filmy zawsze leciały przy pełnych salach. Twoja publiczność jest ciągle z tobą. Oni wciąż chcą cię oglądać. Neely, zrobmy widowisko w telewizji! Ja poprowadzę... Wykupię godzinę najlepszego czasu. Boże, to będzie prawdziwa sensacja!

- Żartujesz, czy co? Miałabym pójść do telewizji? I całą godzinę robić program na żywo? Bez szans na powtórkę? Rany, chyba bym skołała.

- Gdybyś śpiewała same swoje szlagiery, nie byłoby co poprawiać - zauważył Kevin. - Żadnych wygibasów i sztuczek. Po prostu stałabyś sobie i śpiewała.

- Nie ma o czym mówić - odparła Neely. - Słyszałam już, jak pracują kamery telewizyjne. Dodają ci pięć kilo i postarzają o dwadzieścia lat. Poza tym, po co mi to? Johnson i Harris próbują mi właśnie teraz załatwić kontrakt na trzy filmy z Metro Goldwyn Mayer.

Tymczasem pokazując się w miejscach publicznych, Neely wywoływała coraz większe emocje tłumu, a Kevin coraz bardziej obsesyjnie przywiązywał się do swojego pomysłu.

- Przekonaj ją - błagał Annę. - Dam jej cztery tygodnie na próby. Wprowadzimy przy okazji nowy produkt na rynek. Taka reklama przyniesie firmie krociowy zysk.

- Nie mogę jej zmuszać, skoro się boi - powtarzała z uporem Anna. - Gdyby coś poszło nie tak, czułabym się za to odpowiedzialna.

- Co tu się może nie udać? Przecież to nie jest beztalencie, sztucznie wyhodowane przed kamerami filmowców z Hollywood! Neely wyrosła na wodewilach, grała na Broadwayu, to stara wyga. W telewizji występuje mnóstwo ludzi bez odrobiny talentu. Codziennie pojawia się ktoś, o kim nikt przedtem nie słyszał, i zaczyna robić za gwiazdę, a dzieje się tak tylko dlatego, że prawdziwe perły, takie jak Neely, nie chcą współpracować. Przecież nie proszę jej o cotygodniowy program, tylko o jeden występ! Jeden pokazowy występ. Jej się to też w końcu opłaca.

- Zgadzam się, Kevin. Ale to ty wiesz, jak sprzedać towar i pomysły, ty ją przekonaj. Ja jestem jej przyjaciółką i tego się będę trzymać.

Kevin kilkakrotnie wracał do tematu i za każdym razem Neely pogodnie mu odmawiała. Radowały ją pierwsze od lat wakacje, pierwszy kontakt z rozentuzjasmowanymi wielbicielami - nagroda, na którą czekała długie lata, zamknięta w morderczej i odizolowanej od świata fabryce filmu.

Kevin wykorzystywał każdą okazję, żeby pokazywać Neely występujących na żywo piosenkarzy i sprowokować dawne wspomnienia. Kupił bilety na premierę musicalu z Helen Lawson, z nadzieją że widok Helen pobudzi ambicje Neely i przypomni podniecenie wywoływane występem przed reagującą publicznością.

Premiera Helen Lawson należała do dużych wydarzeń. Helen wycofała się z Broadwayu, by oddać się życiu małżeńskiemu w nowym, jak się okazało, równie nieudanym związku - tym razem jakiś czas była panią wielkiego majątku na Jamajce. Wycofała się z showbiznesu, udzielając na prawo i lewo pełnych uniesień wywiadów. Mówiła, że odnalazła „jedyną, najprawdziwszą miłość swego życia”. W prasie ukazywały się zdjęcia rozemocjonowanej Helen, wspartej na ramieniu nijakiego, siwowłosego mężczyzny. Sprzedała swoje mieszkanie w Nowym Jorku, wraz z meblami, i wyjechała na Jamajkę, by prowadzić życie zwykłej „pani domu”. To bajkowe życie trwało sześć lat. Potem Helen wróciła i znów na pierwszych stronach gazet pojawiły się artykuły o niej. Jamajka okazała się „małą tropikalną wsią przepelnioną bogatymi próżniakami i robactwem”. Na Jamajce można było tylko pić i plotkować. Cudowny książę z bajki był nikim innym, tylko „draniem, który pił za dużo i spotykał zbyt wiele kobiet”. Załatwiła sobie rozwód w Meksyku i natychmiast przyjęła główną rolę w nowym musicalu.

Była to typowa premiera przedstawienia z panią Lawson. Na sali znaleźli się właściwi ludzie, którzy czekali, by powitać ją burzą oklasków i złożyć jej hołd jak królowej. Kiedy wyszła na scenę, brawa zabrzmiały wprost ogłuszająco, ale już po dziesięciu minutach powietrze przesycone zostało atmosferą klapy. Kevin poczuł nowy przypływ nadziei, kiedy Neely, siedząc na brzegu fotela, kiwała się do taktu z Helen. Nadzieje prysły jednak jak bańka mydlana, gdy Neely szepnęła:

- Kiedy ją poznałam, myślałam, że jest stara. Rany, teraz widzę, że wtedy była dzieckiem!

Musiał przyznać, że Neely ma rację. O Helen nie dało się już powiedzieć, że wchodzi w wiek średni - tę granicę niestety już przekroczyła. Przytyła też znacznie. Ale wciąż miała dobre nogi i wciąż zarzucała długą grzywą gęstych, ciemnych włosów.

- Chryste, chyba codziennie moczy głowę w farbie - szepnęła Neely. - Lubię czarne włosy, ale ona naprawdę przesadziła z tym kolorem. To czysty heban.

- Powinna używać naszej farby. Daje naturalniejszy kolor.

- Nic jej nie pomoże - syknęła Neely. - A teraz nawet nie ma już dobrego scenariusza. Po diabła pakowała się w ten musical? Musi mieć przecież niezłą kupę forsy.

- A co innego ma robić? - zaczął Kevin ostrożnie. - Aktorka żyje tylko na scenie.

- E tam! - Neely machnęła ręką. - To wytarty slogan.

- Dopiero się zaczęło - szepnęła Anna. - Może się jeszcze rozkręci...

- To będzie kłapa. Czuję ją w powietrzu - odparła Neely.

I miała rację. Anna przyglądała się, jak Helen dzielnie walczy. Czowała nawet coś na kształt współczucia dla tej rozdętej, podstarzałej kobiety, która usiłowała grać romantyczną dziewczeczkę. Jej głos brzmiał jak zwykle dźwięcznie i żywo, ale albo teksty były całkiem nie trafione, albo brakowało chwytliwej melodii. Im bliżej było końca, tym więcej energii krzesła z siebie Helen - zupełnie jakby własną krwią chciała ratować padający spektakl.

Po opuszczeniu kurtyny wiele razy wywoływano ją na scenę. Pierwsi widzowie złożyli królowej obowiązkową daninę. Ale wychodząc z teatru słyszało się bardziej przytomne uwagi. „Pierwsza kłapa Helen...” „To nie jej wina, scenariusz był bardzo słaby...” „Fatalna reżyseria...” „Ach, ale dawna Helen nie położyłaby tego tak bardzo. Pamiętasz Słoneczną damę? Ani to tekst, ani co - wystarczyła sama Helen...” „Słuchajcie, każdy ma prawo do jednej wpadki...” „Tak, ale w jej wieku powroty na scenę już się nie udają. Dlaczego sobie nie odpuściła?...” „Ludzie mają więcej serca dla koni wyścigowych; przynajmniej te najlepsze odstawiają do stajni zarodowych...” „Taa, i o ile wiem, tego właśnie życzyłaby sobie nasza Helen...” „Ale z kim to stare pudło miałoby się jeszcze rozmnażać?...” „No wiesz, dalej ma świetne nogi i wspaniałe włosy...” „Coś jej

musiało przecież zostać..." „I, mój drogi, studiowałam muzykę w college'u. Mówię ci, że jej głos już wpada w vibrato."

- Nie mogę pójść za kulisy - odezwała się Neely. - Na pewno wie, że byłam na sali, ale jak rany, co jej mogę powiedzieć? Że dekoracje były ładne, czy co?

- Chcecie wpaść do Sardiego? - zapytał Kevin. - Helen przyjdzie tam, żeby odebrać hołdy.

- A założysz się? - odparła Neely. - Nikt nie wie lepiej od niej, że to było straszne. Nie będzie chciała siedzieć u Sardiego i oberwać w łeb zgniłym jajem, kiedy ukazą się pierwsze recenzje w „Timesie” i „Tribune”. Poza tym Franco Salla ma dziś swoją premierę w Persian Room. U Ciro był prawdziwą sensacją. Chodziłam tam wtedy co wieczór. Nie chcę opuścić jego pierwszego występu w Nowym Jorku.

Kevin z niechęcią zadzwonił do Persian Room i zamówił stolik. Sala napchana była tymi samymi recenzentami i dziennikarzami, którzy zjawili się na spektaklu Helen. Kiedy szef sali dostrzegł Neely, dostawił przy pierwszym półokręgu stolik - tuż przed tymi, którzy hojnie smarowali forsa, żeby zapewnić sobie jak najlepszy widok na scenę. Kiedy Neely zajęła miejsce, fala ożywienia przetoczyła się wśród gości.

Kevin zamówił szampana, ale Neely ledwie moczyła w nim usta. Anna obserwowała widownię i myślała o nowej reklamie w telewizji, którą miała przedstawić następnego dnia. Było już późno i wszystko wskazywało na to, że występ nie zacznie się o czasie. Jutro będzie więc musiała skorzystać z „karteczek dla idiotów”. Patrzyła na tłum kotłujący się w drzwiach. Publiczność na premierach nic się nie zmieniała - ludzie jak zawsze niecierpliwie czekali na swoją kolej, wciskali wprowadzającym pieniądze, żeby tylko dostać jakieś lepsze miejsce. Jak zwykle zaganiani i spoceni chłopcy biegali między stolikami, robiąc roszady w pierwszym półokręgu, głusi na protesty ściśniętych jak sardynki gości, którzy zdążyli się już zadomowić przed sceną. Ci, którzy z początku złapali miejsca przy scenie, siedzieli już w trzecim rzędzie stołów. Parkiet do tańca został okrojony do połowy. I właśnie kiedy zdawało się, że niemożliwością byłoby wcisnąć tu choćby szpilkę, Anna zobaczyła, że któryś z chłopaków wnosi jeszcze jeden malutki stoliczek. Ustawił go z brzegu przed pierwszym rzędem, dokładnie naprzeciwko stolika Anny, Kevina i Neely.

Do sali weszła Helen w towarzystwie szczupłego, młodego chłopca. Był to jeden z drugorzędnych tancerzy w musicalu; miał piękną, nieco zniewieściałą twarz i rozpierała go naiwna duma, że wreszcie znalazł się w centrum uwagi. Helen na pewno wiedziała, z kim jej kompan „mieszka”, ale rolę przybocznego grał absolutnie bezbłędnie. Trzymał ją za rękę, z napięciem łowił każde jej słowo, śmiał się we właściwych momentach i płał w chwale, gdy Helen, głośno witana przez znajomych przy stolikach, dokonywała prezentacji. Szef sali wysłuchiwał jej nie znoszących sprzeciwu żądań z wyrazem cierplivej rezygnacji na twarzy. Anna słyszała, jak Helen krzyczy przez pół sali:

- Wiem, że to jedna z tych modnych tancbud, gdzie nikt nie dostaje alkoholu, dopóki trwa występ, więc dajcie mi tu szybko kilka butelek wina, zanim będzie za późno.

Przygasły światła. Zapowiedziano Franco Sallę. Miał mocny głos, który świetnie pasował do włoskich piosenek. Publiczność знаła recenzje z jego wcześniejszych występów i skłonna była już, natychmiast zrobić z niego gwiazdę. Brawami zmuszono go do bisów. Potem, po wygłoszeniu kilku czarujących zdań pełnych wdzięku podziękowań - jego włoski akcent dodawał im pieprzyka - Franco Salla z całą powagą i respektem zwrócił się w kierunku pierwszego rzędu ustawionych w podkowę stolików i przedstawił wszystkim „wielką gwiazdę muzycznych komedii, królową musicalu, wspaniałą damę, która od lat gra pierwsze skrzypce na Broadwayu - Helen Lawson!”

Helen uśmiechnęła się sztucznie. Wstała i serdecznie pomachała publiczności. Brawa były głośne i pełne szacunku.

Po chwili Franco odwrócił się do Neely. Zebrani goście wiedli wzrokiem za jego spojrzeniem. Przemówił ciepłym głosem, a w jego oczach pojawił się nieklamany, pełen czułości podziw.

- A teraz gwiazda, jaką zdarza się nam spotkać tylko raz w życiu... Dziewczyna, którą kocha cała Ameryka... Czczona przez kolegów po fachu... - Urwał, zagubiony, jakby nie mógł znaleźć wystarczająco mocnych słów, żeby określić Neely. W końcu uśmiechnął się i powiedział po prostu: - Neely O'Hara.

Zerwała się burza ogłuszających braw. Kilka osób wstało i klaskało na stojąco. Nagle wszyscy jak jeden mąż zerwali się z miejsc i tupiąc, krzycząc, klaszcząc, zażądali piosenki. Kevin też wstał. Anna

nie wiedziała, co zrobić; już nikt nie siedział, poza Helen Lawson i młodym tancerzem. Helen miała szklany uśmiech przyklejony do warg i bezgłośnie biła brawo; tancerz wpatrywał się w nią głupawo i czekał na rozkazy.

Wreszcie Neely podniosła się i podeszła do mikrofonu. Podziękowała wszystkim z wdziękiem i próbowała wymigać się od śpiewu. Kiedy publiczność nie chciała nic a nic popuścić i dalej burzliwie napierała, Neely lekko wzruszyła ramionami i odwróciła się do orkiestry. Po krótkiej dyskusji i uzgodnieniu tonacji, zajęła centralne miejsce na scenie i zaśpiewała.

Była genialna. Miała mocny, czysty głos, a goście przyjęli jej piosenkę z rozszalałym entuzjazmem, jakiego można się spodziewać na spotkaniu oddanych wielbicieli z odzyskaną na nowo gwiazdą. Zaśpiewała aż sześć piosenek, zanim dali jej wreszcie spokój. Do stolika wróciła jak w ekstazie - oczy jej błyszczały podnieceniem i łzami. Recenzenci zbili się wokół stolika, żeby złożyć jej gratulacje; dobrze ubrane panie pchały się, żeby zdobyć autograf „dla córki”. Neely, rozbawiona, podpisywała się na jadłospisach, kartach wizytowych, serwetkach. Kiedy lawina wreszcie przeszła, wychyliła do dna kieliszek szampana.

- Wiecie, mogłabym to polubić - powiedziała.

- Występy w nocnym klubie? - zapytał Kevin z nadzieją.

- Nie, szampana. Dobry. - Nalała sobie jeszcze jeden kieliszek. - Bezpieczniej jest pić szkocką albo wódkę, ale dziś jest wyjątkowa noc. Nie mogę tylko przyzwyczajać się do tego za bardzo - szampan okropnie tuczy. Spójrzcie na naszą babę z żelaza. Całe to sadło to skutek dobrych win.

- Neely, byłaś dziś wspaniała - zaczął Kevin.

- Jasne. To łatwe przy starych szlagierach. Teraz już nikt takich piosenek nie pisze.

- Ale to jest dokładnie to, co chcę, żebyś zrobiła w moim programie.

Uśmiechnęła się.

- Znowu do tego wracamy, co?

- Neely, publiczność cię uwielbia...

- Pewnie. Uwielbiają też moje filmy. Ale czy to moja wina, że związki są tak silne, a koszty tak wysokie, że teraz nawet przez Hollywood filmy nie mogą się przebić?

- Mówi się, że nie chodzi tu tylko o koszty i o związki, Neely. Zmrużyła oczy - nie skrzyły się już tak bardzo humorem.

- A co się mówi, panie „gumowe ucho”?

- Mówi się, że to ty tak bardzo nabijasz koszty... że nie można na tobie polegać... i że straciłaś głos.

Anna kręciła się nerwowo na krześle. Próbowwała ściągnąć na siebie wzrok Kevina i wysłać mu nieme ostrzeżenie, ale on nie zwracał na nią uwagi - nie spuszczał oczu z jej przyjaciółki. Neely uśmiechnęła się.

- Cóż, sam mnie dzisiaj słyszałeś. Nie wierz więc w to, co wypisują w gazetach.

- Ja w to nie wierzę, bo mogłem cię dzisiaj słyszeć. I nikt, kto był tu dzisiaj, też w to nie uwierzy. Ale takich jak my jest zaledwie garstka. Publiczność wie to, co wyczyta w prasie. Podobnie jak wielu producentów.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Posłuchaj no, panie „ponurak”, cudownie się bawię. Stałam przed mikrofonem i odpracowałam kolację. Czego chcesz jeszcze?

- Występu w telewizji. Westchnęła.

- No i znów się zaczyna, w kółko Macieju.

- Mówię poważnie, Neely. Przekonałaś tu dzisiaj wszystkich, że śpiewasz jak anioł. Dlaczego nie chcesz pokazać tego światu? Wiesz, ilu ludzi słuchałoby cię w telewizji? Na wiele tygodni przed występem zrobiłbym ci reklamę na cały kraj. Wszyscy by cię oglądali...

- Nie ma o czym mówić. - Sięgnęła po szampana. - Hej, nie widzę już ani kropli. Zamówmy sobie jeszcze.

Kevin pstryknął palcami na kelnera. Anna spojrzała na zegarek. Neely dostrzegła to spojrzenie i dobrodusznie chwyciła przyjaciółkę za ramię.

- Daj spokój, nie bądź taka drętwa. Dziś jest mój wielki wieczór.

- Ale dochodzi wpół do drugiej, a ja mam jutro pokaz i próbę wcześniej rano.

- No to co? - Neely się roześmiała. - Anno, to są tylko reklamy. Nie grasz głównej roli u De Mille'a. Poza tym znam twojego szefa. Wstawię się za tobą. - Mrugnęła do Kevina. - Wypijemy tylko jedną butelkę... Proszę... Ale najpierw chodźmy poprawić makijaż.

Anna westchnęła i poszła za przyjaciółką. Toaletowa, pełna zachwytów, unosiła się nad Neely, podobnie jak nie mogły się jej

nachwalić panie, które, tak jak Neely i Anna, weszły tam, żeby przypudrować nos. Neely uśmiechała się wdzięcznie i skromnie. Anna stała cierpliwie, aż wreszcie zostały same. W końcu Neely usiadła przed lustrem i zaczęła rozczesywać włosy.

- Słuchaj, Anno, powiedz Kevinowi, żeby się ode mnie odczepił. Jest bardzo miły i w ogóle, ale nadaje jak stara płyta. Powiedz mu raz na zawsze, że nie wystąpię w żadnej telewizji.

- Nie możesz mieć pretensji o to, że wciąż próbuje.

- Tak, ale wystarczy już tego dobrego. Poza tym...

Drzwi nagle się otworzyły i do środka wtargnęła Helen Lawson. Przez krótką chwilę patrzyła zimno na Annę, a potem nagle coś się w niej odmieniło, skinęła jej głową i powiedziała:

- Jak miło cię widzieć, Anno. Słyszałam, że stałaś się gwiazdą telewizji.

Anna uśmiechnęła się i zastanawiała się, co jej właściwie odpowiedzieć, gdy Helen oszczędziła jej fatygi, usiadła obok Neely i mocno klepnęła ją w plecy.

- Byłaś dziś świetna, dziewczyno. Żałuję, że nie miałam nic z repertuaru Cole'a Portera czy Irvinga Berlina w tej mojej premierowej nędzy. Słyszałam, że byłaś na sali. Trzeba było zajrzeć za kulisy.

- Hm... Spiesz... Spieszyliśmy się, żeby tu przyjechać... Wiesz, jak trudno jest o rezerwację - wyjąkała Neely.

- Daj spokój, nie wciskaj mi kitu - odparła Helen. - Rozumiem, że nikt nie chce zaglądać za scenę, jak przedstawienie siada. Dlaczego dałam się namówić na taką straszną kiłę..? Ale w końcu byłam taka całe życie. Próbowałam stworzyć szansę dwóm nieznanym kompozytorom.

Neely uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Ktoś musi dać im szansę. I jeśli ty ich nie wywindujesz, już nikt tego nie zrobi.

- Zawsze ryzykuję. Niektórzy się tacy rodzą, i już. Na przykład zaryzykowałam i pozbyłam się pewnej zajechanej piosenkarki z nocnych klubów, żeby dać szansę nieznannej młodej dziewczynie. Ale od nikogo nigdy nie usłyszałam jednego słowa podziękowania. Od ciebie też nie, moja złota.

Neely przestała się uśmiechać.

- To nie dzięki twojemu musicalowi trafiłam do Hollywood, Helen. Do Kalifornii pojechałam dzięki występowi w klubie.



- A jakim cudem trafiłaś do tego klubu? Tylko dzięki mnie, bo ja posłużyłam ci za trampolinę.

- No dobrze, dziękuję ci, Helen. Jak pamiętam, dziękowałam ci co wieczór po spektaklu. Ale podziękuję ci jeszcze raz. Jestem ci bardzo wdzięczna. Chodź, Anno, idziemy.

- Nie bądź taka ważna, moja mała. Czytam gazety. Nie masz teraz kontraktu. Jak na wywłokę z rynsztoka, która dzięki mnie wypłynęła, i tak zaszłaś daleko, ale...

Neely aż podskoczyła i spojrzała na Helen płonąącym wzrokiem. Toaletowa przysunęła się bliżej, zaintrygowana nagłą zmianą ożywiającą monotonię tego przybytku.

- Chodź, Neely - wtrąciła szybko Anna. - Kevin na nas czeka. Neely odepchnęła ramię Anny i wbiła wzrok w Helen.

- Jak ty mnie nazwałaś?!

Helen podniosła się z krzesła i spojrzała jej prosto w oczy.

- Wywłoką z rynsztoka. A kimże ty byłaś? Trzeciorzędnym zapiewajłem z wodewilu. Nawet do szkoły nie chodziłaś. Dziwiłam się, że w ogóle umiesz czytać. Dałam ci tę szansę tylko dlatego, że tak się przyjaźniłyśmy z Anną.

- Tak się przyjaźniłyśmy z Anną! - przedrzeźniała ją Neely. Chciałaś z niej zrobić sobie swojego alfonsa!

- Pieprzysz! Anna i ja byłyśmy naprawdę przyjaciółkami. Miałyśmy pewne nieporozumienie, ale zachowałam się jak prawdziwa przyjaciółka, kiedy próbowałam ją powstrzymać przed łądowaniem się w jakiegoś pięknookiego drania. Zrobiłam to tylko dla jej dobra. - Zwróciła się do Anny: - W końcu okazał się draniem, prawda? Miałam rację, Anno, przyznaj. Zawsze myślałam o tobie jako jednej z moich najserdeczniejszych koleżanek.

- Chodź, Anno - powiedziała Neely. - Mdli mnie od tych rzewnych wspomnień. - Poklepała się po żołądku.

Helen zlekceważyła Neely i błysnęła w stronę Anny resztką dawnego uśmiechu.

- Mówię poważnie, Anno. Nigdy nie miałam prawdziwej przyjaciółki. Wszyscy wykorzystują mnie, a potem odchodzą. Zawsze cię lubiłam, moja słodka, i bardzo mnie cieszą twoje sukcesy. Teraz, kiedy znów jestem w Nowym Jorku, chciałabym się znów z tobą widywać. Jak za dawnych czasów.

- Chodźmy, Anno! - warknęła Neely.

- Skąd ten pośpiech? - spytała Helen niewinnie. - Dokąd ty miałabyś znowu pędzić? Z tego, co wiem, czasu ci nie brakuje.

- Po jutrzejszych recenzjach tobie też go nie będzie brakować. Helen wzruszyła ramionami.

- Mój nowy musical może mieć słabe recenzje, ale i tak do jutra w południe dostanę sześć nowych ofert. A ty? Co masz teraz na rozkładzie? Takie darmowe koncerty jak dziś?

- Przy tym twoim vibrato już za chwilę nie będziesz mogła śpiewać nawet za darmo - odparowała Neely. - I nie słyszałam dziś wielkiego bicia w dzwony.

Na szyję Helen wolno wpełzał rumieniec. Wreszcie krzyknęła piskliwie:

- A co taki tłuk jak ty może wiedzieć o vibrato, co? Od trzydziestu lat jestem na samym szczycie i zostanę tam tak długo, jak długo będę miała ochotę! Ale ty lepiej śpiewaj za darmo do kotleta, bo tylko na to cię stać! Jasne, że będą ci bić brawo. Każdy się cieszy, kiedy dostaje coś za darmo. Ale jesteś już skończona! Koniec z tobą! A teraz zjeżdżaj mi z drogi, ty przebrzmiała gwiazdo! Ty pewnie nie masz dokąd iść, ale na mnie czeka mężczyzna.

- Mężczyzna! - Neely wybuchnęła obraźliwym śmiechem. - Ty go nazywasz mężczyzną? Lepiej nie każ mu zbyt długo czekać, bo od tej chwili będzie cię stać już tylko na pedały i tylko tak długo, jak długo będziesz za nich płacić.

- Kto się ma na tym znać jak nie ty, prawda? Przecież jeden z nich był kiedyś twoim mężem! - odcięła się Helen. - Chryste! Nawet pedała nie umiałaś przy sobie zatrzymać! Tak od ciebie uciekał, że aż dzieci zostawił, nic nie wytargowałaś. Hej, a one też są takie jak tatuś? - Zebrała się do wyjścia, ale Neely zastąpiła jej drogę.

- Co powiedziałaś o moich dzieciach?! - Głos jej drżał.

- A co w tym złego, że się ma dwa małe pedały? Słyszałam, że są bardzo czułe dla matek. A teraz zjeżdżaj mi z drogi... - Szturchnęła Neely i skierowała się do drzwi.

- O nie, ty stara pudernico! - wrzasnęła Neely. Skoczyła za Helen i chwyciła ją za włosy. Helen wyrywała się, ale Neely trzymała mocno.

Nagle Neely wydała okrzyk zdumienia i skamieniała, wpatrując się w coś, co zostało jej w rękach. W tej samej chwili Helen z przerażeniem chwyciła się za głowę.

- Peruka! - krzyknęła Neely, podsuwając pod nos Anny długie czarne włosy. - O Boże, te włosy są tak samo sztuczne, jak ona sama!

Helen wyciągnęła po nie rękę, ale Neely odskoczyła w tył.

- Oddaj mi moje włosy, ty mała suko! - rozdarła się Helen. - Kosztowały mnie trzy stówy!

Neely nałożyła perukę i obtańczyła całe pomieszczenie.

- Hej, teraz będę brunetką! Helen zaczęła ją ścigać.

- Oddawaj, niech cię szlag!

- Paskudnie w nich wyglądałaś, Helen. Moim zdaniem teraz jesteś zdecydowanie bardziej interesująca. Tak na języka.

Helen zmierzwiła własne krótkie, poszarpane włosy.

- Zapuszczam je teraz - powiedziała ponuro. - Ci okropni fryzjerzy na Jamajce nie umieli obchodzić się z farbą i kiedy tu zrobiłam sobie trwałą, wykruszyły mi się wszystkie włosy. A teraz uspokój się, Neely. Oddaj mi perukę.

Jednym szybkim ruchem Neely wpadła do kabiny. Helen rzuciła się za nią, ale Neely była szybsza. Zamknęła za sobą drzwi na zamek. Po chwili wszystkie usłyszały szum spuszczonej wody.

- Hej, co ty tam robisz, do cholery? - wrzasnęła Helen. Odwróciła się do Anny. - Jezu, ona ją chyba utopiła w sedesie. Zabiję tę małą dziwkę!

Helen miotała przekleństwa, a tymczasem Anna wraz z toaletową próbowały przemówić Neely do rozsądku. W odpowiedzi słyszały tylko złowrogi szum raz po raz spuszczonej wody. Helen walnęła pięściami w drzwi kabiny. Neely zachichotała i znów nacisnęła przycisk uwalniający kolejną kaskadę. Tym razem zaraz potem usłyszały jakiś bulgot, potem plusk i szum przelewającej się wody. Spod drzwi kabiny wypłynął strumień, który szeroką kałużą rozlał się po podłodze toalety.

Drzwi otworzyły się wreszcie i z kabiny na palcach, ostrożnie wyszła Neely, chichocząc histerycznie.

- A... niech to... wszyscy... diabli! - Z trudem łapała oddech. - To święństwo, nie chce wcale spłynąć!

Toaletowa delikatnie uniosła ociekającą perukę - sztuczne włosy wyglądały jak nieżywe zwierzątko.

- Zniszczyłaś ją! - piszcziała Helen. - I co ja mam teraz zrobić? - Zwróciła się do Anny; po twarzy ciekły jej łzy. - Jak mam stąd teraz wyjść?

Anna, oniemiała, wpatrywała się w płynącą przez łazienkę kałużę. Wreszcie toaletowa odchrząknęła i przerwała ciszę, mówiąc:

- Pani O'Hara, to nie było ładnie. Prawdopodobnie zepsuła nam pani kanalizację.

Neely parsknęła śmiechem.

- Przyślijcie mi rachunek - powiedziała. - To było warte każde pieniądze. - Wzięła torebkę, pogrzebała w niej i wyjęła pięciodolarowy banknot. - Proszę. Prowadzi pani najlepszy sraczyk w mieście. - Odwróciła się do Anny. - Chodźmy już, niech nasza łysa orlica popłacze sobie w spokoju. Mam nadzieję, że ten twój pedałek się nie przeziębi, czekając samotnie tak długo - odezwała się słodko do Helen.

Anna poszła za nią do drzwi. Kiedy znalazły się w sali, powiedziała:

- To nie było fair, Neely.

- Fair! Powinnam ją była zamordować!

- Ale to nie jest w porządku. Ona naprawdę nie będzie mogła stamtąd wyjść, dopóki wszyscy nie pójdą do domów.

- No dobra, to dzisiaj przesiedzi w kiblu, a jutro kupi sobie następną perukę. Ale ja jutro nie zapomnę tego, co powiedziała o mnie i o moich dzieciach. Więc taka już jestem skończona, że mogę śpiewać tylko za darmo do kotleta? A to małpa... - Szybkim krokiem podeszła do stolika. - Kevin, wciąż jeszcze zależy ci na tym programie w telewizji?

Kevin uśmiechnął się od ucha do ucha.

- No dobra, to umowa stoi - oznajmiła Neely. - Opadła na krzesło i naląła sobie kieliszek szampana. - Przygotuj kontrakt i podeślij go moim agentom i prawnikom do zatwierdzenia.

- Zrobię to z samego rana - odparł ucieszony.

Rozmawiali o występie telewizyjnym, a tymczasem sala zaczęła się z wolna opróżniać. Neely i Anna obserwowały zaniepokojonego młodego mężczyznę, który siedział przy stoliku Helen - nie spuszczał wzroku z drzwi do toalety.

- Ciekawe, co się stało z Helen Lawson? - bąknął Kevin, płacąc rachunek. - Pewnie dopadli ją gdzieś wielbiciele.

- Mhm, może nawet ktoś ją tam oskalpował - dorzuciła Neely niewinnie.

Kiedy przechodziły obok toalety, Anna zerknęła przez niemal pustą salę w stronę stolika Helen. Młody tancerz histerycznie przeszukiwał kieszenie, usiłując uskładać odpowiednią kwotę, żeby zapłacić rachunek. Uszczęśliwiony Kevin uścisnął ramię Anny.

- Ale nie zmienisz nagle zdania w sprawie tego występu w telewizji, Neely? - zapytał.

Wesoło ujęła go pod ramię.

- Nie. Wyśpiewam całą duszę, tobie i temu twojemu zakichanemu produktowi. Ale zapłacisz mi za to kupę forsy.

- Z przyjemnością - odparł. - Spojrzał na Annę z wdzięcznością. Dziwne są te kobiety. Można gadać i gadać bez końca, bez najmniejszego skutku, a potem nagle znikają w toalecie na kilka minut i wszystko staje się od razu możliwe...

Kevin trąbił w prasie przy każdej możliwej okazji o przygotowywanym programie Neely. Wielu dziennikarzy bardzo poważnych pism przeprowadziło z nią wywiady. Felietoniści telewizyjni głosili, że oto następuje wielki przełom - telewizja staje się szacownym środkiem przekazu. Nareszcie telewidzowie zobaczą prawdziwie utalentowaną artystkę.

Kevin zatrudnił najlepszego choreografa, najlepszego reżysera i producenta. Przyspieszył produkcję nowych kosmetyków, żeby zdążyć zaprezentować je publiczności podczas programu. Budowano specjalną scenografię dla Anny, żeby godnie przedstawić nową ekskluzywną serię produktów firmy Gillian.

Program miał trafić na antenę w początkach listopada. Zapowiadał się jako największe wydarzenie w najbliższym sezonie.

Neely przeprowadziła się do hotelu; zainstalowała sobie tam fortepian i cały październik spędziła między apartamentem hotelowym a studiem Nola, bez przerwy ćwicząc, odchudzając się i pracując jak wół, z dawną żelazną dyscypliną. Chciała pokazać, co jest naprawdę warta - tym w Hollywood i Helen Lawson. Skończona, hm? Nieodpowiedzialna? Może już śpiewać tylko za darmochę? Szkoda, że nie widziała miny Helen po pierwszych artykułach w prasie. Wszyscy krzyczeli wszem i wobec, że Neely O'Hara otrzyma za występ największe honorarium, jakie telewizja dotychczas komukolwiek wypłacała. Dziennikarze nie mogli się nachwalić jej odwagi - Neely jako jedna z pierwszych gwiazd filmu zdecydowała się skorzystać z nowego środka przekazu.

Neely nie czuła lęku. To prawda, że w telewizji nie daje się powtórzyć żadnych ujęć na żywo. No cóż, tym lepiej. Pokaże całemu Hollywood, pokaże wszystkim dokoła. W wywiadach grała przejętą, pełną niepokojów, dawną, młodą Neely. „Jasne, że się boi... Jasne, że gryzie paznokcie...” Ale w głębi ducha wiedziała, że to się musi udać, że nie ma jak nawalić. Jakże może zawalić dwanaście standardów - przecież sześć z nich sama wylansowała! Nie ma do odegrania nic nowego - wszystko zna na pamięć - musi tylko przeczytać kilka słów wprowadzenia z „karteczek dla idiotów”. Rany, gdyby te głupki z Hollywood wiedziały, jakie to łatwe, już dziś tłoczyłyby się w studiach telewizyjnych. Ale te opinie zachowała dla siebie.

Przed tym wielkim dniem telewizyjnego występu Neely połknęła na noc trzy seconole. Przymiarki kostiumów wyznaczono na dziesiątą rano. Neely zjawiała się punktualnie, wypoczęta i pełna entuzjazmu. Pierwsza godzina minęła na dobieraniu makijażu. O wpół do dwunastej zaczęła się ta właściwa próba. Pełna dziewczęcego wigoru Neely wygłosiła bez potknięć krótki monolog otwierający program. Potem zaczęła śpiewać pierwszą piosenkę. Po pierwszych trzech taktach reżyser krzyknął: „Stop!”

Wyszedł zza przeszkłonej kabiny i podszedł do niej.

- Neely, patrzyłaś w niewłaściwą kamerę.

- Nic nie rozumiem - odpowiedziała przyjaźnie. Jej zadaniem było tylko śpiewać. Kamera to już sprawa operatora.

- Do kamery numer jeden zwracasz się, kiedy wygłaszasz monolog. Ale przy pierwszej piosence masz już patrzeć w dwójkę.

- Która to dwójka?

- Ta z czerwonym światełkiem. Pierwszą połowę piosenki śpiewasz do dwójki, a potem odwracasz się do trójki, kiedy wchodzi chórek. Na ostatnie osiem taktów znów wracasz do dwójki.

- Rany, będę się musiała chyba zapisać na studia, żeby to zrozumieć. Po diabła nam tyle tych kamer?

- Kochanie, to jest o wiele prostsze, niż się z początku wydaje. Pamiętaj tylko o czerwonej lampce, bo to oznacza, że ta kamera pracuje. Na pewno zauważysz.

Zaczęła jeszcze raz, ale zapomniała, gdzie ma podłożone kartki. Następnym razem skupiła się na kartkach, za to nie zauważyła pracującej trójki.

- Zapomnij o tych kartkach - prosił reżyser. - Ten facet będzie z nimi chodził, żebyś je zawsze widziała. Skup się wyłącznie na kamerach.

- Ale ja się przyzwyczałam do tego, że to kamery chodzą za mną - jęknęła.

Reżyser był bardzo cierpliwy.

- Złapiesz to w dwie minuty. Zaczynamy jeszcze raz od początku. Zrobili kolejne dwie próby. Na twarzy reżysera malowała się

beznadziejna cicha udręka.

- Neely, dwa razy przesłaś za białą linię wymalowaną kredą, czyli poza zasięg kamery.

- Ale muszę się ruszać, kiedy śpiewam.

- Świetnie, kochana, tylko ustalmy jakoś teren, żebym mógł rozplanować sobie ujęcia.

- Nie mogę tego zrobić, bo ruszam się tak, jak czuję. A za każdym razem czuję to inaczej.

I tak to szło, godzina po godzinie - walka z kamerami trwała.

Makijaż Neely zaczął się rozpląwać, włosy jej siadły. O piątej nie przećwiczyli jeszcze całego programu do końca.

Reżyser zarządził przerwę na gorący posiłek. Podszedł do Neely i swobodnie objął ją ramieniem.

- O szóstej zaczniemy od samego początku. Nie przerywaj próby, nawet jak się pomylisz. Muszę zmierzyć czas. Potem obgadamy błędy, wprowadzimy zmiany, zdecydujemy, jakie i kiedy zrobimy ujęcia. Będziesz miała czas, żeby poprawić makijaż i trochę odsapnąć, zanim wejdziemy na antenę.

Ostatnia próba, już w kostiumie, była dla niej prawdziwym koszmarem. Czerwone oko kamery bez przerwy zapalało się i gasło, karteczki ze słowami tekstów rozmazywały się w ostrym świetle reflektorów. Śpiewała piosenkę - czuła ją tak dogłębnie, brała dźwięki w sposób absolutnie perfekcyjny... Zamykała oczy, żeby nagle otworzyć je w panice. Nie było tu cudownej hollywoodzkiej kamery, która tańczyłaby wokół niej i rejestrowała każdy gest. - Nikt tu nie potnie materiału ani też nie zmontuje najlepszych ujęć. Nie, przed sobą ma tylko te czerwone potwory, których w dodatku musi sama pilnować. I jeszcze te wiecznie rozbiegane karteczki z tekstami. Znowu je zgubiła. I po co zamykała oczy? Gdzież one teraz są?

Zanuciła piosenkę przeskakując słowa. Mówił, żeby nie przerywała programu... Chryste, gdzie są te kartki? I która to kamera? Ta z lewej? Tak, czerwone oko błyszczy. Dzięki Bogu, piosenka się skończyła. Jezu i co teraz? Co tam jest na tej kartce? Ach tak! „Zapowiedz Annę i nowy produkt Gilliana.” Bogu niech będą dzięki. Teraz będzie mówić Anna. Chwila oddechu. Jezu! Powinna była zejść z planu! Garderobiana szaleńczo macha rękami, daje znaki. Mają tylko trzy minuty na zmianę kostiumu. Tylko trzy minuty, żeby się przebrać, a Anna jest już w połowie tekstu...

- Nie mogę! - krzyknęła. - Nie potrafię tego zrobić! Naprawdę nie mogę zaśpiewać prawdziwie żywej piosenki, kiedy się muszę martwić tymi białymi liniami, kamerami raz z jednej, raz z drugiej strony i jeszcze przebierankami. Jeśli mam ochotę zamknąć oczy, to muszę je zamknąć. Tak to czuję, i już! Nie potrafię tego tutaj zrobić, nie potrafię!

Kevin cały czas siedział w reżyserce. Popędził na plan do Neely. Obydwaj z reżyserem usiłowali ją uspokoić.

- Nie będę dalej próbować. Tylko się wygłupię przed ludźmi.

- Neely, jesteś przecież zawodowcem, i to dużej klasy - tłumaczył błagalnie reżyser. - Jak tylko wpuścimy tu publiczność i usłyszysz brawa, poczujesz się jak ryba w wodzie.

- Nie! - Załkała. - Muszę mieć tydzień na próby z kamerami. Nie mogę uważać na osiem rzeczy naraz i dobrze przy tym wypaść. Nie wolno mi stanąć na pewnych białych liniach, muszę uważać na kamery i karteczki ze ściągami. Nie umiem tego zrobić! Zawalę to tak, że ziemia się zatrzęsie!

- Neely... - Anna ją objęła. - Pamiętasz, jak w Filadelfii w ostatniej chwili wskoczyłaś w Pod samo niebo?

- Nie miałam nic do stracenia! - krzyknęła Neely. - Byłam zupełną gówniarą! Nikt o mnie nic wtedy nie wiedział. Teraz jestem gwiazdą. Jeśli będę źle wyglądać albo coś zawalę, jestem od razu skończona!

- Wszystko będzie dobrze - powtarzał reżyser.

- Nie! Nie zrobię tego programu!

- Neely, musisz - tłumaczyła Anna. - Czas antenowy jest już opłacony... Zaczynamy za godzinę.

- Nie jestem w stanie! - Neely szlochała.



- To nigdy już nie będziesz pracowała - nieoczekiwanie warknął reżyser.

- A po co mi to? Mogę nie pracować w telewizji, mam to w nosie!

- Nie tylko w telewizji.

- A kto tak powiedział?

- Amerykański Związek Artystów Radiowych i Telewizyjnych. Jeśli wycofasz się teraz z takiego programu, będzie to zerwanie umowy. Wszystkie związki wspólnie przestrzegają ustalonych zasad. AZARiT, SAG i Equity.

- A co by było, gdybym tu nagle wykitowała, co? Uśmiechnął się chłodno.

- Obawiam się, że to mało prawdopodobne.

- Nie moglibyście oświadczyć, że nieoczekiwanie dostałam zapalenia gardła? - zapytała błagalnie.

Reżyser westchnął.

- Lekarz sieci telewizyjnej na pewno zechciałby cię obejrzeć. Neely, stacja bardzo reklamowała ten program, poniosła duże koszty. Posłuchaj. Masz godzinę. Przestań o tym myśleć. Idź do garderoby i odpocznij.

Neely poszła do garderoby. Szybko zadzwoniła do hotelu i zamówiła sobie chłopca na posiłki. Po dziesięciu minutach był już w studiu. Dwadzieścia dolarów i butelka whisky zmieniły właścicieli. Neely uporczywie wpatrywała się w butelkę.

- Hej, wy moje małe czerwone laleczki - mruknęła cicho. - Na litość boską nie zawiedźcie mnie teraz. Liczę na was. Nie mogę wam nawet pomóc alkoholem, bo powiedzą, że byłam pijana. - Pospiesznie połknęła sześć. - No, moje maleńkie - prosiła i wyciągnęła się na leżance. - Szybko ruszajcie do dzieła. Nic dzisiaj nie jadłam. Uda się wam, bo mam pusty żołądek.

Po dziesięciu minutach odczuła znajomą lekkość. Poddawała się tej ogarniającej ją fali. Mało. Na pewno postawią ją na nogi czarną kawą. Chwiejnie doszła do umywalki i wzięła jeszcze dwie kapsułki.

- No, moje słodkie, zakręćcie mi w głowie, żebym była chora. - Słyszała przytłumiony szum wchodzącej do studia publiczności, odgłosy orkiestry, strojącej instrumenty. Połknęła jeszcze dwie. Jak przez sen dotarło do niej czyjeś nawoływanie, ale już odpływała daleko...

Stacja musiała puścić film z jakiegoś wcześniej zarejestrowanego programu. Ogłoszono, że ze względu na trudności techniczne program Neely O'Hara nie będzie nadawany. Kevin nie wniósł sprawy przeciwko Neely, ale zrobiła to sieć telewizyjna. Powiedzieli, że muszą urządzić pokazówkę. Zbyt wiele gwiazd podpisało z nimi umowy na ten sezon, a jeśli Neely nie poniesie żadnych konsekwencji, inni też będą się mogli zachować równie skandalicznie. Komisja uznała, że przez rok Neely nie ma prawa występować publicznie - ani w telewizji, ani w filmach, ani na scenie czy w klubach.

Z początku miała to w nosie. Wróciła do Kalifornii i siedziała nad basenem. Gazety i pisma branżowe atakowały ją bezlitośnie. Okrzyknięto ją panienką z humorami; sugerowano, że pije i jednogłośnie stwierdzono, że jest już skończona.

Zdarzało się, że całymi dniami nie wychodziła z łóżka, dopóki gospodyni nie ściągnęła jej na dół, nad basen. Czasami o północy wskakiwała do samochodu i pędziła do baru. Tam sobie przesiadywała, bez makijażu, z głową obwiązaną chustą, nie rozpoznana przez nikogo, zagubiona w cichej anonimowości, i popijała piwo, szczęśliwa, że jest wśród ludzi. Na niczym jej nie zależało. Miała pieniądze. Mogła siedzieć beczynn timer cały rok. Burza wreszcie się przewali, a ona wróci do formy i może wystąpi w jakimś spektaklu na Broadwayu. To dopiero będzie prawdziwa zabawa. Pokaże im wtedy. Tymczasem może sobie jeść, na co tylko przyjdzie jej ochota... i pić. Zawsze są jeszcze cudowne czerwone i żółte laleczki. Teraz nawet pojawiły się zupełnie nowe - w drobne niebieskie paski!

Anna była mocno wstrząśnięta zachowaniem Neely. W pierwszej chwili chciała za nią pojechać na Zachodnie Wybrzeże. Nie wolno przecież zostawiać jej tak samej. Ale nie mogła w końcu zapomnieć o własnych zobowiązaniach wobec telewizji. No i poczuwała się do lojalności wobec Kevina. Czuła się osobiście winna temu, że Neely zerwała występ. Kosztowało to mnóstwo pieniędzy. Kevin musiał zapłacić za zarezerwowany czas antenowy i za reklamy; musiał opłacić muzyków i ich godziny nadliczbowe. I wszystko na darmo - do wystrzałowego programu w ogóle nie doszło.

Ale z biegiem tygodni jej niepokój o Neely wygasał, przytłoczony problemami dnia powszechnego związanymi z telewizyjnymi programami na żywo - prowadzono już próby z kolorem, a skwar

bijący od silnych jupiterów był wprost nie do zniesienia. Jednak nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby się z tego wycofać - jakoś na nic innego nie miała naprawdę ochoty.

Czasami w prasie pojawiały się wzmianki o Neely - jedne prawdziwe, inne wysane z palca. Wszyscy żyli w głębokim przekonaniu, że Neely przechodzi okres zupełnej autodestrukcji. A Anna ciągle nie mogła jakoś pogodzić obrazu rozdygotanej, udręczonej Neely z wesołą dziewczyną, z którą kiedyś sąsiadowała przy Pięćdziesiątej Drugiej. Tamta dziewczyna była prawdziwą Neely. Ta zjawa wyprodukowana przez Hollywood kiedyś wreszcie zniknie i dawna, prawdziwa Neely powróci.

To przecież niemożliwe, żeby jakieś miejsce mogło rzeczywiście tak zmienić człowieka. Minęło ponad dziesięć lat, ale Anna wciąż czuła się taka jak wtedy, kiedy pierwszy raz przyjechała do Nowego Jorku. Wiedziała, że gdyby usiadła spokojnie i przeanalizowała samą siebie, doszłaby na pewno do wniosku, że Nowy Jork już jej się przestał wydawać tętniącą życiem ziemią obiecaną. Broadway był raptem przedsiódkiem do Coney Island, a Czterdziesta Druga siedliskiem zła i korupcji. Piąta Aleja nie budziła w niej już dreszczyku emocji. Nawet olbrzymia choinka wystawiana na Boże Narodzenie przed Rockefeller Center nie wywoływała w niej takiego zachwyty jak dawniej. Na premierze w teatrze czy w klubie widziało się wciąż te same, znane twarze.

A mimo to był to i tak o niebo lepszy świat niż ten, który znała z Lawrenceville. W Lawrenceville ludzie popadają w zimowy sen, a ich życie przepływa gdzieś obok. Teraz przynajmniej znalazła się na scenie ciekawych wydarzeń. Choć czegoś jednak brakuje... Czasem bardzo uważnie przyglądała się swemu odbiciu w lustrze i usiłowała spojrzeć na siebie obiektywnie. Zmieniła się? Teraz bez makijażu nie wychodzi z domu. Czy naprawdę wtedy latała do El Morocco z ledwie przypudrowanym nosem i śladem szminki na ustach? Dzisiaj bez subtelnej warstwy pudru w płynie, bez cieni i tuszu do rzęs czułaby się całkiem naga. No i ubrania... Wciąż się upiera przy prostych w fasonie rzeczach o stonowanych barwach, ale teraz nosi już świetnie skrojone ubrania znanych projektantów i dawno temu stare norki od Jennifer zastąpiła futrem, uszytym specjalnie dla niej przez znakomitego nowojorskiego kuśnierza.

Ale raz, przez króciutką chwilę, dostrzegła upływ czasu w spojrzeniu Allena Coopera. Spotkali się przypadkiem w Colony. Była z Kevinem. Allen przedstawił im swą żonę, urodziwą młodą dziewczynę z dużym pierścieniem z brylantem szlifowanym jak szmaragd - dokładnie takim samym, jaki kiedyś dostała Anna. Przez moment zastanawiała się niemądrze, czy Allen nie ma czasem szuflady takich pierścionków różnej wielkości - tak żeby zawsze wyjąć właściwy na daną okazję.

Często rozmyślała, co by zrobiła, czy jak by się czuła, gdyby przypadkiem natknęła się na Allena. Ale jak większość oczekiwanych spotkań, to także okazało się nijakie i dalekie od wszelkiego dramatyizmu. Allen nieco już łysiał, lecz wciąż nosił krawaty w paski i wciąż podróżował z Gino. Gino gwałtownie się postarzał. Wyblakł i zrobił się jakiś kruchy, tak jak to bywa z wieloma starszymi ludźmi. Jakoś kurczył się w oczach.

Wiedziała, że Allen chce jej okazać obojętność, uniknąć rozwlekłych powitań, ale i tak dostrzegła w jego oczach dawny błysk podziwu.

- Anno... Wyglądasz znakomicie.
- Ty też, Allen.
- Ciągle widzimy cię w telewizji, prawda Gino?
- Taaa, pewnie - odparł Gino.

Zapadła cisza. Boże, czy po dziesięciu latach naprawdę nic nie mieli sobie do powiedzenia?

- Allie zawsze pokazuje panią palcem, kiedy ogląda reklamy - odezwała się żona Allena.

- Miło mi, że je oglądacie. Większość ludzi pędzi w tym czasie do lodówki, żeby wyjąć sobie puszkę piwa.

- Nie, ja zawsze oglądam, choć nie używam tych kosmetyków. Moja kosmetyczka twierdzi... - Umilkła gwałtownie, kiedy mąż znacząco ścisnął ją za ramię.

Kevin pospieszył na ratunek.

- Jestem pewien, że osoba tak młoda i śliczna jak pani nie musi kosmetykami poprawiać urody.

Dziewczyna zaczerwieniła się i zachichotała z zadowolenia.

- I gdzie ten nasz stolik? - zapytał Gino piskliwie. - Gdybyśmy poszli do Morocco zamiast tu, gdzie teraz walą wszyscy, nie stalibyśmy w holu.

Szef sali skinął Kevinowi głową na znak, że stolik jest już wolny. Wszyscy wymamrotali pod nosem słowa pożegnania. Anna z Kevinem odeszli, a Gino znów zaczął się uzalać, jaka tu kiepska obsługa i że lepiej by zrobili, gdyby od razu poszli do Morocco.

Ogarnął ją smutek. Ludzie rozstawali się, lata mijały, po jakimś czasie znów się spotykali. Ale nowe spotkania nie łączyły ich ze sobą, nie budziły ciepłych uczuć. Uświadamiały tylko chłodno, że minęła pewna epoka i nic nie jest już tak radosne i tak atrakcyjne jak dawniej. Cieszyła ją myśl, że Lyon jest w Anglii. Za nic na świecie nie chciałaby wpaść na niego przypadkiem, stwierdzić, że włosy mu rzedną albo że dziewczyna u jego boku jest zbyt młoda i za bardzo nijaka. Lepiej było nie niszczyć wspomnień.

Pomyślała też o Jennifer. Czy Jennifer bała się wrócić? W ostatniej chwili odrzuciła ofertę Century i została w Europie. Bała się Hollywood? Jakże to możliwe? Jest dziś największą europejską gwiazdą, a jej filmy są równie popularne w Ameryce, jak na Starym Kontynencie. Wspaniale wygląda na ekranie. Anna oczywiście doskonale zdawała sobie sprawę z rozmaitych trików technicznych i efektów, jakie można osiągnąć dzięki dobremu oświetleniu. Tak, rzeczywiście, przecież Jennifer ma już trzydzieści siedem lat... choć oficjalnie przyznaje się tylko do dwudziestu siedmiu i powszechnie uchodzi za młodszą o dziesięć lat niż jest w rzeczywistości - tu, w Stanach, również. Kto wie, czy nie robi dobrze zostając w Europie? Jeśli Neely miałyby posłużyć za przykład, Hollywood naprawdę jest przerażające.

**JENNIFER**

1957

Jennifer bała się Hollywood. Była śmiertelnie przerażona. Rok temu pół buteleczki seconalu i płukanie żołądka zmusiły Claude'a do zmiany decyzji. Nie podpisał umowy z wytwórnią Century. Jednak w tym roku nadeszła kolejna wspaniała oferta, tym razem zbyt korzystna, żeby ją odrzucić. Kontrakt na trzy filmy i wolny od podatku milion dolarów, zdeponowany w szwajcarskim banku! Oczywiście musiałyby się podzielić z Claude'em, ale i tak zostałoby jej równe pół miliona! Nie mogła odmówić. W wieku trzydziestu siedmiu lat zachowała nieskazitelną urodę; odpowiednie oświetlenie maskowało drobne zmarszczki. Claude miałby we wszystkim decydujący głos i dopilnowałby, żeby przysyłano jedwabną pończochą obiektyw kamery i nie używano zbyt mocnych reflektorów.

Rzecz jasna, trzeba się będzie jakoś uporać ze zdjęciami, tak dokładnie oddającymi rzeczywistość. Na lotnisku Idlewild w Nowym Jorku zgromadzi się wielu fotoreporterów, a jeszcze większy tłum będzie jej oczekiwał w Hollywood. Nie można oszukać aparatu z fleszem, ale Claude z pewnością coś wymyśli. Może zaaranżuje wejście w stylu Greta Garbo - z dala od wścibskich dziennikarzy.

Wczesnym rankiem, tydzień po podpisaniu kontraktu, Claude przybył do jej mieszkania.

- Właśnie dostałem telegram. Pieniądze zostały wysłane.

- Osobno? - zapytała.

- Tak. Oto twój numer. Złożyli je w skrytce bankowej. Ja mam własną.

Szczęśliwa wyciągnęła się na łóżku.

- Czy to nie cudowne? Przed wyjazdem mogę sobie zrobić trzymiesięczne wakacje. Może pojedę na Capri, a potem do Nowego Jorku. Będę chodziła w czarnej peruce. Razem z Anną obejrzę wszystkie przedstawienia i trochę się zabawię. Boże, jak to będzie wspaniale znowu mówić po angielsku.

Claude odrzucił kołdrę i wyciągnął ją z łóżka. Otworzył okno i sypialnię zalało dzienne światło.

- Zwariowałaś? - zawołała.

- Stój tam, gdzie jesteś, przy oknie.

Zadrzała z zimna. Był dopiero wrzesień, ale wątłe promienie słońca z trudnością przebijały się przez chmury zasnuwające paryskie niebo i nie dawały ciepła.

Westchnął.

- Tak, trzeba to zrobić.

- Co takiego?

- Usunięcie zmarszczek.

- Zwariowałaś! - Odskoczyła od niego i szybko założyła szlafrok.

Zaciągnął ją do lustra.

- Proszę bardzo. Spójrz tylko, jak wyglądasz w słonecznym świetle. Nie! Nie unos brody i nie uśmiechaj się. Trzymaj głowę swobodnie.

- Claude... Zawsze będę się pokazywała w makijażu. Wiem, w jakich ujęciach wyglądam najlepiej. Kto miałby okazję mnie zobaczyć w takiej sytuacji jak teraz?

- Hollywood! Charakteryzatorzy, fryzjerzy z wytwórni... Plotka szybko się rozchodzi.

- Przecież nie jestem jakąś starą jędzą! Jak na trzydzieści siedem lat wyglądam zupełnie nieźle.

- Ale nie jak dwudziestosiedmiolatka!

Spojrzała w lustro. No tak, to prawda, że podbródek jest nieco zwiotczały. Tylko troszeczkę... Jeśli odchyli głowę do tyłu i uśmiechnie się, znów wydaje się napięty. Ale w normalnej pozycji jego zarys nie jest już młodzieńczy. Claude nazywał to „indycznym podgardlem”. Wiedziała, co miał na myśli - jakąś nieokreśloną wiotkość skóry, która zdradza, że kobieta przekroczyła już trzydziestkę. Nie pojawiły się jeszcze zmarszczki, ale zniknęła już jędrność młodego ciała. W kawiarni lub przy korzystnym świetle nikt takich zmian nie zauważa, ale zmiany nastąpiły. Może Claude ma rację. Ale na miłość boską! Usuwanie zmarszczek w wieku trzydziestu siedmiu lat! Kiedy myślała o operacjach kosmetycznych, zawsze oczyma duszy widziała stare wrony o twarzach niczym woskowe maski. Przypomniła sobie bladolice monstra z rzęsami ciężkimi od nadmiaru tuszu, które widywała w Nowym Jorku. Na taki widok zawsze ktoś szeptał: „Ona ma sześćdziesiąt pięć lat. Zoperowała sobie twarz, ale to nic nie pomaga”. Nie, to zbyt ryzykowne.



- Claude, nie daj się zastraszyć perspektywą pracy w Hollywood. Ja tam byłam. Nie jest tak źle, jak sądzisz. Wszyscy boją się siebie nawzajem. Jakoś dam sobie radę.

- Nie chcę, żebyś jakoś dała sobie radę! - zagrzemiał. - Jesteś europejską boginią seksu. Całe Hollywood chce zobaczyć, jak wypadniesz na tle ich seksbomb - Monroe, Elizabeth Taylor. A te dziewczyny są młode.

- Ja nie jestem Liz Taylor ani Marylin Monroe. Jestem Jennifer North. Jedyna i niepowtarzalna!

- Czym ty jesteś? Ładną twarzą i biustem! To wszystko. I zawsze tak było.

- W ostatnich siedmiu filmach w ogóle się nie rozbierałam!

- Tylko dlatego, że twój wizerunek został już utrwalony. Możesz występować ubrana w zgrzebny worek, bo i tak wszyscy wiedzą, co jest pod spodem. Znają na pamięć każdy centymetr twojego ciała, bez względu na to, co masz na sobie. Niech ci się nie wydaje, że masz cokolwiek innego do zaoferowania.

- W takim razie mój wizerunek jest znany również w Ameryce. Widzieli wszystkie moje filmy.

- Jennifer, czy nie ufasz mojej opinii? - Zmienił ton, a nawet się do niej łagodnie uśmiechnął. - Jest w tobie coś jeszcze. W Europie znajdziesz wiele gwiazd, które występują nago, ale żadna z nich nie zagraża twojej pozycji. Ty masz dodatkowy atut, słodycz, młodzieńczą słodycz, której brakuje francuskim aktorkom. Potrafią być uwodzicielskie, figlarne, naiwne, ale tylko z ciebie emanuje amerykańska świeżość. A ta świeżość musi być dopełniona młodością. Liczy się młodzieńcza twarz. Mimo złotych włosów i seksownego biustu wyglądasz dziewczęco, niewinnie... niemal jak uosobienie czystości. Z twoim ciałem nie będzie żadnych problemów. Wciąż jest wspaniałe, musisz tylko zrzucić cztery kilogramy.

- O, nie! Właśnie to wykończyło Neely. I tak co wieczór biorę cztery tabletki nasenne, żeby się pozbyć sińców pod oczami. Nie zmusisz mnie do łykania proszków na odchudzanie. Ważę pięćdziesiąt cztery kilogramy przy wzroście metr sześćdziesiąt siedem. Jestem wystarczająco szczupła.

- Owszem, w rozbieranych scenach wyglądasz dobrze, ale nie w najmodniejszych kreacjach, jakie każą ci tam nosić. Nie martw się, nie

będziesz brała żadnych dodatkowych proszków. Wszystko już załatwiłem. Pojedziesz do Szwajcarii i poddasz się kuracji snem.

- Kuracja snem? To się przecież stosuje do leczenia złamania nerwowego.

- Jest skuteczna również przy odchudzaniu. Powiadomiłem ich, że chciałybyś stracić pięć kilo. Uśpią cię na osiem dni. Pośpisz sobie... i obudzisz się szczupłą, wypoczęta i piękna. Skóra na twarzy pewnie ci przez to jeszcze bardziej zwiotczeje, więc potem wyślemy cię na operacyjne usunięcie zmarszczek.

Jadąc drogą wśród wzgórz wokół Lozanny myślała o Marii i zastanawiała się nad jej losem. To wszystko zdarzyło się tak dawno, a mimo to wspomnienia były tak świeże, jakby z wczorajszego dnia.

Klinika prezentowała się przepięknie. Jennifer zarejestrowała się pod przybranym nazwiskiem. Tylko garstka zaufanych ludzi wiedziała, kim jest naprawdę.

- Niech się pani nie martwi - przekonywał ją lekarz naczelny. - Zaśnie pani głęboko. Będziemy panią budzili na posiłki, a pielęgniarka będzie przy pani czuwać cały czas. Będzie pani jadła regularnie, chociaż nic pani nie zapamięta. Pielęgniarki będą spacerowały z panią po pokoju i wyprowadzały do toalety, ale nic z tego nie dotrze do pani świadomości. Takie ćwiczenia są niezbędne, żeby nie dopuścić do obrzęku płuc. Siostra co godzinę zmieni pani pozycję. Kiedy się pani obudzi, stwierdzi pani, że ubyło pięć kilogramów. Jennifer uśmiechnęła się.

- Stracę również cały tydzień życia. Poza tym wydawało mi się, że kuracja snem jest stosowana w przypadku kłopotów emocjonalnych.

- To prawda. Naturalnie, nie można nią leczyć głęboko zakorzenionych zaburzeń, takich, które formowały się przez całe lata. Do tego potrzebne jest leczenie psychiatryczne albo nawet elektrowstrząsy. Natomiast działa wyjątkowo skutecznie w leczeniu depresji sytuacyjnych. Dam pani przykład. Przebywa teraz u nas pewna mężatka z Hollywood. Jej mąż to sławny reżyser. Jedno z ich dzieci utopiło się w basenie. Ta pani wpadła w rozpacz. Nie potrafiłaby stawić czoła codziennemu życiu. Mąż i przyjaciele bardzo jej współczują, ona zdaje sobie sprawę, że czas leczy rany, ale na razie nie jest w stanie normalnie funkcjonować. Wydaje jej się, że nie przetrwa tych miesięcy lub nawet lat, po których uda jej się przeboleć

stratę dziecka. Leczenie snem pomaga właśnie w takich wypadkach. Można powiedzieć, że umysł ludzki składa się z niewielkich nisz. W każdej z nich znajduje się jakaś myśl lub wspomnienie. Jeśli stale o czymś myślimy, nisza się powiększa, a ta myśl bardzo mocno się w nas utrwala. W taki sposób aktor uczy się roli. Jednak kiedy przestajemy o czymś myśleć, nisza kurczy się i zarasta, jak gojąca się blizna. Po pewnym czasie zupełnie znika. Straszna tragedia i miłość do dziecka odcisnęły się w umyśle tej kobiety niczym głęboka rana. Trzy tygodnie snu sprawią, że ta rana się zagoi. Kiedy pacjentka się zbudzi, nadal będzie pamiętała, że straciła dziecko, ale zniknie ból i nieutulony żal. Po trzech tygodniach nastąpi ulga, która w innej sytuacji przysłaby dopiero po pięciu latach. Oszczędzimy tej kobiecie wielu cierpień.

Jennifer rozciągnęła usta w uśmiechu.

- Jeśli kiedyś będę gruba i nieszczęśliwa, zdecyduję się na trzytygodniową kurację. Teraz chcę zrzucić tylko cztery kilogramy.

Doktor skinął głową.

- Osiem dni wystarczy.

Zabieg okazał się bardzo prosty. Uśmiechnięta pielęgniarka podała jej kieliszek szampana „na mocny sen i radosne myśli”. Jennifer wolno go wysączyła. Wkrótce pojawił się jakiś młody lekarz. Zbadał jej tętno i ciśnienie krwi, a potem delikatnie wbił igłę strzykawki w ramię. Odstawiła kieliszek. Nigdy jeszcze nie doznała podobnego odczucia. Zaczęło się od mrowienia w czubkach palców u stóp, potem dziwna fala przebiegła przez jej nogi i biodra... i nagle Jennifer odpląnęła w przestrzeń i nic już nie czuła.

Wydawało jej się, że przespała całą noc. Kiedy otworzyła oczy, słońce jasno świeciło. Nadeszła pielęgniarka ze śniadaniem na tacy. Jennifer uśmiechnęła się. - Mówili, że prześpię wszystkie posiłki, a tymczasem jestem całkiem przytomna.

- Ależ naprawdę pani spała. - Pielęgniarka pokazała zęby w uśmiechu.

- Jak długo?

- Osiem dni.

Jennifer usiadła w pościeli.

- To znaczy... Siostra skinęła głową.

- Waży pani teraz pięć kilo mniej. Czterdzieści dziewięć kilogramów!

- Cudownie! - zawołała Jennifer. - Co za wspaniały wynalazek! Wróciła do Paryża, a Claude był zachwycony.

- Załatwiłem ci operację plastyczną twarzy - oznajmił. Tym razem nie próbowała mu się przeciwstawić. Po tak nagłej utracie wagi jej twarz nie wyglądała najlepiej. - Rozbierz się - polecił nagle.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Claude... Nie robiliśmy tego od lat.

- Nie zamierzam się z tobą kochać - wyjaśnił zirytowany. - Chcę zobaczyć, czy utrata wagi nie wyrządziła szkody twojej sylwetce.

Zrzuciła ubranie.

- Nic się nie zmieniło. A poza tym, co za różnica? W Ameryce nie będę się rozbierać przed kamerą.

Z medyczną uwagą obejrzał jej piersi.

- Zażyłem sobie, żeby ci dali serię zastrzyków hormonalnych, dzięki którym twój biust zachowa jędrność. Dostaniesz je, kiedy będziesz dochodziła do siebie po operacji.

- A gdzie ma się dokonać ta cudowna przemiana?

- To nie było łatwe, ale jakoś udało mi się wszystko załatwić. Jutro pojedziesz do Clinique Plastique. Również tym razem pod przybranym nazwiskiem.

Claude miał rację - to nie było łatwe. Sama operacja nie należała do przyjemnych, ale najbardziej dał jej się we znaki okres rekonwalescencji. Sześć tygodni samotności, widok napuchniętej, poznaczonej plamami twarzy, przekrwione oczy i ohydne czarne szwy za uszami. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek odzyska normalny wygląd. Bała się, że popełniła błąd. Jednak stopniowo, z upływem czasu, wszystko się zmieniało. Zdjęto jej szwy, a blizny z jaskrawoczerwonych stały się lekko różowe. Miała już pewność, że w końcu nie zostanie po nich ani śladu.

Kiedy opuchlizna zniknęła, Jennifer wpadła w radosny nastrój. Claude od początku miał rację. Zabieg przyniósł wspaniałe efekty. Chyba nawet jako dwudziestolatka nie wyglądała tak pięknie. Teraz widać wprawdzie, że nie ma już dwudziestu lat, ale jej uroda jaśnieje jak nigdy przedtem. Zniknęły wszystkie zmarszczki, a napięta skóra zyskała nieskazitelny wygląd. Jennifer miała pewność, że w Hollywood nawet najsurowszy sędzia wyrazi o niej pochlebny opinię.

Słonecznego dnia w grudniu wylądowała na lotnisku Idlewild. Kiedy rozbrzły flesze aparatów i otoczyli ją reporterzy, poczuła nagłą

wdzięczność dla Claude'a. Zauważyła kilka dziennikarek, które przyglądały się jej wyjątkowo uważnie, i uśmiechnęła się z beztroską pewnością siebie. Nie obawiała się jaskrawego światła słonecznego ani wścibskich spojrzeń. Wiedziała, że wygląda doskonale. Gazety również to zauważyły. We wszystkich ukazały się pełne zachwyty artykuły, w których pisano, że Jennifer w rzeczywistości wygląda jeszcze piękniej niż na ekranie.

Uparła się, żeby zostać na tydzień w Nowym Jorku i odnowić znajomość z Anną. Spędzały razem długie godziny rozmawiając o najnowszych przygodach Jennifer i jej przelotnych romansach. W końcu Anna opowiedziała jej o swoim związku z Kevinem.

Jennifer westchnęła.

- Mówisz, że jest miły, ale ja twierdzę, że to łobuz, bo nie chce się z tobą ożenić.

- To nie ma znaczenia - upierała się Anna. - Nie kocham go tak naprawdę. Tak jest lepiej.

- Wciąż szukasz tej jedynej miłości? - Wiesz, wydaje mi się, że kobieta może albo kochać, albo być kochaną, ale te dwie rzeczy nigdy nie zdarzają się jednocześnie.

- Dlaczego?

- Nie wiem, ale tak po prostu jest. Sama powinnaś najlepiej o tym wiedzieć. Allen cię kochał, nawet chciał się z tobą ożenić. I Kevin cię kocha. Mimo to mogłaś porzucić ich obu bez żadnych skrupułów. Ty kochałaś Lyona... a on od ciebie odszedł.

- Nie, w tym wypadku to ja postąpiłam głupio. Żebyś wiedziała, ile nocy... Nawet teraz wciąż zdarza mi się leżeć bezsennie i wszystko jeszcze raz przeżywać. Myślę o tym, jak powinnam się zachować, co zrobić, żeby nam się wtedy udało.

- Sądysz, że należało wrócić do Lawrenceville?

- Tak. To nie trwałoby wiecznie. Jego kariera pisarska rozwinęłaby się tak samo. Pierwsza książka miałaby dobre recenzje i nie przyniosłaby ani grosza. Potem napisałby tę komercyjną szmirę - to była z jego strony prowokacja - i kilka jej podobnych. W końcu zaczęłby pisać scenariusze filmowe. Właśnie to robi teraz w Londynie. To samo by się zdarzyło, gdyby został w Ameryce. Tylko pracowałby dla telewizji w Nowym Jorku albo w Hollywood. Tak czy tak, byłibyśmy razem. Po prostu wpadłam w panikę. Gdybym tylko spokojnie wszystko przemyślała...

- Ale mężczyzna, który potrafił cię tak zostawić... Anno, jemu nigdy naprawdę na tobie nie zależało.

Anna stanowczo uniosła podbródek.

- Kochał mnie. Wiem to.

- O, jasne! Tak samo jak wiedział to Allen. Kevin też jest przekonany, że go kochasz. Jest tak pewny twojego uczucia, że nawet mu nie przyjdzie do głowy, żeby się z tobą ożenić. Jeśli uważasz, że on cię kocha, to zrób coś, żebyście się pobrali. To rzadka rzecz być kochaną. Mnie to się nigdy nie przydarzyło.

- Daj spokój, Jen. Uwielbia cię cała Europa... a teraz również Ameryka.

- Kochają nie mnie, ale moją twarz i ciało. To wielka różnica. - Po chwili milczenia wzruszyła ramionami. - Może po prostu nie zasługuję na miłość.

- Ja cię kocham. Naprawdę. Jennifer uśmiechnęła się.

- Wiem. Szkoda, że nie jesteśmy lesbijkami. Byłaby z nas szczęśliwa para.

Anna wybuchnęła śmiechem.

- A może wcale nie byłyby to takie proste. Tak, jak powiedziałaś, jedno zwykle kocha, a drugie pozwala się kochać. Chyba że z lesbijkami jest inaczej.

Jennifer spojrzała gdzieś w dal niewierzącym wzrokiem.

- Nie... nawet w związkach lesbijskich jedna całuje, a druga tylko nadstawia policzek. - Przyjrzała się swojej twarzy w lustrze. - No cóż, ty masz Kevina, ja Hollywood.

- Ale cieszysz się sukcesem, prawda? - dociekała Anna. Jennifer znów wzruszyła ramionami.

- Czasem. Ale nie znoszę pracować. Nigdy nie zależało mi na karierze. Nie jestem aktorką z powołania. W dodatku zdążyłam się już nacieszyć popularnością, najpierw u boku księcia, a potem z Tonym. I zawsze było tak samo. Nigdy nie musiałam się starać. Twarz i ciało zapewniały mi sukces. Mój Boże, oddałabym życie za kogoś, kto kochałby mnie dla mnie samej...

- Jeśli ci rzeczywiście na tym zależy, z pewnością znajdziesz takiego człowieka. Jestem pewna.

Jennifer chwyciła Annę za rękę.

- Módl się za mnie. Chciałabym się wyrwać z tego wyścigu szczurów. Chcę mężczyzny, który by mnie pokochał... Chcę mieć

dziecko. Jeszcze nie jest za późno. Módl się, żebym spotkała odpowiedniego człowieka i żebym mogła powiedzieć Claude'owi i wszystkim innym, żeby się ode mnie odczepili.

ANNA



1960

Wiosną sześćdziesiątego roku Kevin Gillmore przeszedł ciężki zawał serca. Poszarzały i bez życia, dwa tygodnie leżał pod namiotem tlenowym. Gdy tylko na tyle odzyskał siły, żeby mówić, chwycił Annę za rękę.

- Anno, czy ja przeżyję?

Wydawał się spokojniejszy, kiedy uścisnęła jego dłoń i skinęła głową.

- Jedno mi obiecaj - wyszeptał. - Jeśli się z tego wygrzebię, to wyjdiesz za mnie za mąż, dobrze?

Z wysiłkiem przywołała na twarz beztroski uśmiech.

- Nic nie mów, Kevinie. Wypoczywaj i odzyskuj siły. Łzy napłynęły mu do oczu.

- Proszę, Anno. Tak się boję. Sam nie dam sobie rady. Błagam... Przeżyję, jeśli mi obiecasz, że za mnie wyjdiesz... że zawsze przy mnie będziesz.

- Musisz wypoczywać. Wyzdrowiejesz.

- Już za późno na dzieci, których tak bardzo pragnęłaś, ale dam ci wszystko poza tym. Sprzedam firmę. Pojedziemy w dalekie podróże. Powiedz tylko, że za mnie wyjdiesz i nigdy mnie nie opuścisz.

Uśmiechnęła się.

- Dobrze. Obiecuję.

Przez sześć długich tygodni czuwała przy jego łóżku. Gdy poczuł się lepiej, bez przerwy mówił o ślubie, o wspólnych planach na przyszłość i o tym, jak jej wszystko wynagrodzi. Ogarniała ją coraz większa rezygnacja. Dlaczego nie wyjść za Kevina? Na co ma czekać? Skończyła trzydzieści pięć lat. Dobry Boże, trzydzieści pięć! Jak to się stało? Wewnątrz jesteś taka sama, a tu się nagle okazuje, że masz trzydzieści pięć lat, a czas nieustannie gna naprzód. Lata zlewają się ze sobą. Tak wiele się zdarzyło, a jednocześnie tak mało. Zmarnowała szansę na wielką miłość i dzieci.

W zamian za to wiele jednak zyskała. Jest bogata i niezależna. Pieniądze, które zainwestowała na starcie, podwoiły się, a Henry pomógł jej w wielu dodatkowych intratnych przedsięwzięciach. Co roku Kevin dawał jej kilkaset akcji spółki, a ich wartość również lada dzień miała się podwoić. Nie, pieniądze nie będą już dla niej problemem. Nawet gdyby nigdy więcej nie pracowała i Kevin przestałby jej pomagać, do końca życia będzie majątną kobietą.

Z drugiej strony jednak nigdy nie nękały jej kłopoty finansowe. Nawet na samym początku miała w banku pięć tysięcy dolarów. Zupełnie inaczej niż Jennifer... Jen, która musiała wysyłać pieniądze matce; Jen, dla której sukces był koniecznością. Anna była dumna z błyskawicznej kariery przyjaciółki w Hollywood.

Jennifer nakręciła pięć filmów - pięć wspaniałych filmów w technikolorze, w których podkładano jej głos, kiedy musiała śpiewać, a w ujęciach z oddalenia zastępowała ją dublerka, ale w zbliżeniach zawsze pokazywano Jen. Była tak cudownie piękna. Łączono jej nazwisko z reżyserem i aktorem grającym główną rolę, a jej ostatnim podbojem został producent. Jednak z listów i rozmów telefonicznych Anna wiedziała, że Jennifer wciąż szuka.

Pod koniec pobytu w szpitalu Kevin zaczął planować ich miodowy miesiąc.

- Jesteś pewna, że chcesz zrezygnować z pracy? - zapytał z obawą.

- Praca? - roześmiała się. - Ależ Kevin, przecież to wszystko dostałam od ciebie niczym na srebrnej tacy.

- Nie, Anno. Zrobiłem z ciebie modelkę, ale reszta to twoja zasługa. Jesteś dla naszej spółki najcenniejszym skarbem.

- No cóż, możesz odebrać spółce ten skarb, kiedy tylko zechcesz. Wydaje mi się, że i ja, i firma jakoś to przeżyjemy.

Chwycił ją mocno za rękę.

- Kocham cię. Sprzedam firmę... Skinęła głową.

- Teraz odpocznij. W czasie mojej nieobecności możesz zaplanować naszą podróż poślubną.

Przywarł do jej dłoni.

- Musisz już iść?

Postarała się, żeby jej głos zabrzmiał lekko.

- Wciąż jeszcze dla ciebie pracuję, a dzisiaj wieczorem mamy program.

- Anno... Wiesz, że nie będzie między nami seksu, i to przez długi czas, a może nawet nigdy.

- O to się nie martw. Zaczął szlochać.

- Stracę cię! Wiem, że tak się stanie!

Wbrew sobie poczuła, że ogarnia ją obrzydzenie. Choroba ma straszliwą siłę - pozbawia człowieka godności. Anna lekko poklepała Kevina po ramieniu.

- Będę przy tobie. Obiecuję.

W sierpniu Kevin znowu zasiadł za biurkiem, silny, energiczny i jak dawniej władczy. Wypełnione strachem dni pod namiotem tlenowym zmieniły się w mgliste wspomnienie. Jasne, że przeszedł atak choroby wieńcowej, ale nie zmoła go. Teraz czuł się lepiej niż kiedykolwiek. Odpoczynek dobrze mu zrobił. W dodatku zamierzał poślubić Annę. Naturalnie, samotność czasami go przerażała. Gdyby w nocy coś mu się przydarzyło...

- Chcę zawrzeć jak najlepszy układ dla firmy - oświadczył Annie. - Żądam dwunastu milionów i stanowiska honorowego prezesa zarządu. Dopóki firma będzie nosiła moje nazwisko, zamierzam dopilnować, żeby zachowała klasę. Wydaje mi się, że do końca roku, najdalej do lutego, uporządkuję wszystkie sprawy. Czy to ci odpowiada? Bo jeśli chcesz, to możemy się pobrać choćby zaraz...

Uśmiechnęła się.

- Czekaliśmy tak długo, więc zrobmy wszystko jak należy. Chcę wyjść za ciebie za mąż i pojechać w podróż poślubną.

- W takim razie luty! Taki sobie wyznaczyłem ostateczny termin. Ślub i długa podróż. Pojedziemy dookoła świata.

- Naprawdę zwiedzimy cały świat? To znaczy, nie tylko Londyn, Paryż i Rzym, ale Daleki Wschód, Indie, Grecję i Hiszpanię?

- Wszystko. - Spojrzał na nią uważnie. - Zauważyłem, że wymieniłaś Hiszpanię. Dobrze, przeszukamy cały ten kraj od góry do dołu. Znajdziemy Neely. Obiecuję ci to.

Bezustannie martwiła się o Neely. Po awanturze w telewizji przyjaciółka jakoś przetrzymała rok zawieszenia. Potem, przy wtórce hałaśliwej reklamy, objęła główną rolę w kolorowym filmie kręconym przez jedną z największych wytwórni. Była szczupła, promienna i radosna. Znowu znalazła się w centrum uwagi. Powrót Neely O'Hara stał się największym wydarzeniem sezonu. Jednak po kilku tygodniach zdjęć do prasy zaczęły przeciekać znane z przeszłości niepokojące plotki. „Neely wstrzymywała produkcję...” „Neely ma kłopoty z kręgosłupem...” „Neely dostała zapalenia krtani...” Wreszcie wybuchła bomba - wytwórnia przerwała zdjęcia do filmu, tracąc na tym milion dolarów! Jeszcze raz przyklejono Neely etykietkę osoby nieodpowiedzialnej i utrudniającej współpracę. Krążyły nawet pogłoski, że straciła głos.

Dziesięć dni później, bez ostrzeżenia, zjawiała się w mieszkaniu Anny. Nie miała pieniędzy, ale prawnicy już załatwiali formalności związane ze sprzedażą jej domu, więc wkrótce miała dostać sporą sumę. Anna pozwoliła jej ze sobą zamieszkać, chociaż bała się chaosu, jaki zwykle wprowadzała przyjaciółka. Praca w telewizji zmuszała ją do starannego organizowania trybu życia. Pewną liczbę godzin należało przeznaczyć na zapoznanie się z nowymi scenariuszami, w określonych terminach odbywały się przymiarki, a przed programem trzeba było znaleźć czas na pełny relaks i wizytę u kosmetyczki.

Neely wtargnęła w życie Anny jak rozszałały cyklon. Telefon dzwonił bezustannie. Przez dom stale przewijał się tłum dziennikarzy, domagających się wywiadów. Wokół budynku dzień i noc krążyli wielbiciele. Jednak Anna widziała, że Neely jej potrzebuje. Tłumaczyła sobie, że to potrwa tylko kilka tygodni.

Jednak tygodnie zmieniły się w miesiące. W mieszkaniu ciągle panował bałagan. Trzy sprzątaczkę porzuciły pracę. Neely stłukła lampę i połamała stół, kiedy półprzytomna zataczała się po pokoju. Anna nieraz wysypywała do toalety całe buteleczki proszków, ale Neely wciąż zdobywała skądś świeże dostawy i znajdowała na nie coraz to inne kryjówki.

Kiedy nie spała, oszołomiona lekami, wciąż z mętłym wzrokiem plątała się pod nogami z butelką szkockiej w ręku i wykrzykiwała obelgi pod adresem Hollywood.

To Kevin wymógł na niej, żeby się wyprowadziła. Umieścił ją w apartamencie hotelowym. Mogła tam mieszkać jako jego gość tak długo, jak sobie życzyła.

Kiedy dostała pieniądze ze sprzedaży domu, w tajemniczy sposób zniknęła z hotelu.

Kilka tygodni później dostali wiadomość, że jest na posterunku policji w Greenwich Village, aresztowana za zakłócanie spokoju publicznego na podstawie zażaleń sąsiadów, którzy uskarżali się na hałaśliwe przyjęcia, jakie stale wydawała.

Anna podążyła z pomocą. Neely przeprowadziła się do eleganckiego budynku przy Piątej Alei, ale jej mieszkanie wyglądało jak spelunka. Wszędzie poniewierały się butelki po whisky, a większość mebli była połamana, upstrzona plamami i wypalonymi śladami po niedbale porzuconych niedopałkach. Zmięte prześcieradła

na łóżku wyglądały tak, jakby ich nie zmieniano od czasu, kiedy Neely się wprowadziła.

- Pozwól mi ze sobą zamieszkać, Anno - bełkotała. - Mam kupę forsy. Po prostu nie znoszę samotności. Dlatego bez przerwy urządzam przyjęcia. Zobacz, co te świnię mi tutaj zrobiły. Mieszkanie wyglądało pięknie, kiedy je wynajmowałam. - Rozejrzała się ze smutkiem. - Kobieta, od której je wynajęłam, pozwała mnie do sądu za zdewastowanie lokalu, więc muszę stąd zniknąć...

- Neely, musisz wziąć się w garść. Rozmawiałam z twoimi agentami. Wciąż jesteś sławna. Mogłabyś wystąpić na Broadwayu.

- Nie, jestem nieodpowiedzialna. Boją się mnie.

- To się zmieni, jeśli doprowadzisz się do porządku. Kiedy zagrasz w przedstawieniu, udowodnisz, że można na tobie polegać.

- Nie potrafię już śpiewać. Straciłam głos.

- Każdy by stracił głos, żyjąc tak jak ty. I nie powinnaś tyle palić. Wypalasz więcej papierosów niż ja. Słuchaj, może byś tak na kilka dni poszła do szpitala...

- Nigdy! To samo mówi doktor Gold. To mój nowy psychoanalityk. Chce, żebym pojechała do Connecticut, do jakiegoś sanatorium dla czubków. Kosztuje to tysiąc dolarów miesięcznie. Ale ja nie jestem stuknięta, tylko nieszczęśliwa.

- Zgadza się. Miałam na myśli normalny szpital, taki jak Mt. Sinai czy Doctors. Pomogą ci tam zerwać z proszkami, uregulują tryb życia...

- Nie. Pozwól mi wprowadzić się do ciebie. Będę się zachowywała przyzwoicie. Żadnych prochów. Przysięgam.

Anna nie pierwszy raz słyszała takie obietnice, ale przyrzekła koleżance, że się nad tym zastanowi. Po wyjściu od Neely zatelefonowała do jej lekarza. Bardzo się niepokoił o pacjentkę. Przyznał, że kilka tygodni w szpitalu dobrze by jej zrobiło, ale nie załatwiłoby wszystkich problemów. Neely potrzebowała zdecydowanej pomocy psychiatrycznej.

Tej nocy Neely zniknęła. Może bała się leczenia. Nikt tego nie wiedział.

Miała ponad sto tysięcy dolarów, ale biorąc pod uwagę tempo, w jakim wydawała pieniądze, nawet taka suma nie mogła na długo jej wystarczyć. Pojawiła się w Londynie, a brytyjska prasa powitała ją entuzjastycznymi artykułami na pierwszych stronach gazet. Chodziła

na przyjęcia i płała się w sławie. Zapowiedziano jej występy w Palladium, ale w ostatniej chwili je odwołała. Potem niespodziewanie rozeszły się wiadomości o jej triumfalnym przybyciu do Hiszpanii. Podobno zamieszkała tam na stałe. Nakręciła film, który nigdy nie pojawił się na ekranach, chociaż w zapowiedziach wyrażano się o nim bardzo pochlebnie. Po jakimś czasie jej nazwisko zaczęło stopniowo znikać ze szpalt gazet. Listy Anny odsyłano z powrotem, opatrzone stemplem „adresat nieznany”. Neely zniknęła na dobre.

**JENNIFER**

1960

Jennifer bez rozgłosu przybyła do Nowego Jorku pod koniec listopada. Jej telefon całkowicie zaskoczył Annę.

- Musimy się spotkać - oświadczyła Jen rozemocjonowanym tonem. - Zatrzymałam się w hotelu Sherry.

- Zaraz przyjeżdżam. Masz jakieś kłopoty?

- Ależ skąd! Wszystko układa się cudownie, wspaniale! Anno, czytałam, że Kevin sprzedaje firmę. Kiedy ślub?

- Wyzaczyliśmy datę na piętnasty lutego.

- Świetnie. Być może urządzimy podwójną uroczystość.

- Jasne, możemy... Co takiego? Jen, co ty powiedziałaś?

- Przyjeźdź do mnie. Nie zapominaj, że rozmawiam przez centralę hotelową.

Jennifer z niecierpliwością oczekiwała Anny.

- Kazałam przynieść dla nas kanapki i colę. Pogadamy sobie jak za dawnych lat. Masz czas?

- Całe popołudnie. Jen, kto to taki? Opowiadaj! Oczywiście Jennifer błyszczały.

- Och, jestem taka szczęśliwa! Nawet mnie nie obchodzi, że w przyszły piątek kończę czterdzieści lat. Wciąż jeszcze miesiączkuję, więc mogę zajść w ciążę i... Zresztą w naszych czasach czterdziestka nic nie znaczy.

Czterdziestka! To słowo uderzyło Annę niczym pięść. Jennifer ma czterdzieści lat! Wygląda cudownie. Przypomniała sobie, że dawniej uważała czterdziestoletnią Helen Lawson za kobietę w podeszłym wieku. Wspomniała też matkę, która w wieku czterdziestu dwóch lat była zasuszoną staruszką. Jednak Jennifer zachowała wspaniałą figurę i młodzieńczą cerę. Nikt nie dałby jej więcej niż dwadzieścia pięć lat.

- Pamiętasz, jak brałam udział w spotkaniu republikanów w Waszyngtonie, tuż przed konwencją? - zapytała Jennifer.

Anna zachichotała.

- Czy pamiętam? Kevin święcie wierzy, że to przez ciebie wślizgnęli się tam demokraci.

Jennifer odsłoniła zęby w uśmiechu.

- No cóż, zaaranżowali to ludzie z wytwórni, dla reklamy. Po tym, jak uwolnili mnie od Claude'a, byłam gotowa wszystko dla nich zrobić. Wiele ich to kosztowało, ale pozbyli się go, żeby mnie



uszcześliwić. - Wzruszyła ramionami. - Miałam już dość jego rozkazów. Dla niego byłam tylko kawałkiem mięsa, które można sprzedać za wysoką cenę. Nie znaczy to, że wytwórnia traktuje mnie inaczej, ale przynajmniej postępuje trochę taktowniej. Niektórzy nawet udają, że wierzą w mój talent. - Roześmiała się otwarcie.

- Ależ, Jen, w ostatnim filmie zagrałaś doskonale.

- Ja też uważam, że wypadłam nie najgorzej. To była moja pierwsza poważna rola. Ale tego filmu nikt nie chce oglądać.

- To jeszcze nic nie znaczy. Wielkim gwiazdom od czasu do czasu zdarza się niepowodzenie. Według danych z zeszłego miesiąca jesteś na trzecim miejscu na liście najbardziej kasowych aktorek. Jennifer znowu wzruszyła ramionami.

- Słuchaj, gdyby nie to, że go poznałam, wpadłabym teraz w czarną rozpacz. Studio zareagowało histerycznie na wieść o tym, że film się źle sprzedaje. Gorączkowo szukają najlepszego scenarzysty do mojego nowego filmu. Chcą zatrudnić najlepszego reżysera... - Uśmiechnęła się lekceważąco. - Nic mnie to nie obchodzi. Dziś rano zauważyłam pod oczami dwie nowe zmarszczki i nawet to mnie nie przygnębiło.

- Kto to jest? - dopytywała się Anna.

Jennifer odsunęła nietkniętą kanapkę i wypila łyk coli.

- Mówisz, że pamiętasz tę awanturę w Waszyngtonie? On tam był. Spotykaliśmy się na koktajlach. Był zawsze miły, ale nie skakał wokół mnie jak wszyscy inni. Trzymał się na dystans, uprzejmy, ale...

Anna traciła cierpliwość.

- Jen, kto to taki? Koleżanka zmrużyła oczy.

- Winston Adams - oznajmiła i czekała na reakcję przyjaciółki. Anna nie wierzyła własnym uszom.

- Masz na myśli tego senatora?

Jennifer zerwała się z miejsca i wirowała w tańcu po pokoju.

- Tak! Winston Adams. Zasłużony senator, szanowany obywatel, milioner w kolejnym pokoleniu. Ale, wierz mi, że nawet gdyby nie miał grosza przy duszy, nie przejąłabym się tym. Kocham go.

Anna usiadła głębiej w fotelu. Winston Adams! Dobiegał pięćdziesiątki; atrakcyjny, błyskotliwy i niezmiernie popularny.

- Ale Jen, słyszałam, że Adams to wielka nadzieja republikanów. Szykują go na...

Jennifer przytaknęła.

- To prawda. Zamierza dla mnie zrezygnować z tego wszystkiego.

- Jak to się stało?

Oczy Jennifer spoglądały marzycielsko.

- Jak już ci mówiłam, poznaliśmy się w Waszyngtonie. Spotykałam się tam z wieloma senatorami. Ze wszystkimi musiałam się fotografować. Nie wyobrażasz sobie nawet, jacy oni potrafią być natarczywi. Grają pod publiczność nie gorzej niż zawodowi aktorzy. Wszyscy, oprócz Winstona Adamsa. On nie chciał się ze mną fotografować.

- Dobrze zrobił! - przerwała jej Anna. - W ten sposób przyciągnął twoją uwagę.

Jennifer potrząsnęła głową.

- Nie było w tym wyrachowania. Na dzień przed wyjazdem, kiedy zamieszanie się uspokoiło, zadzwonił do mnie. Powiedział, że chce ze mną porozmawiać, i zaprosił mnie na kolację. Miałam przyjść do jego mieszkania. Spodziewałam się hucznego przyjęcia, tłumów gości, ale byliśmy tylko we dwoje.

- W głębi serca jest chyba demokratą. - Anna roześmiała się.

- Nie, nic się nie wydarzyło. To znaczy, nie poszliśmy do łóżka. Nawet nie próbował mnie na to namówić. Jego służący cały czas kręcił się po domu. Nie przeszkadzał nam, ale wyczuwało się jego obecność. Winston wyjaśnił mi, że nie dlatego odmówił pozowania ze mną do zdjęcia, żeby mnie urazić, ale po prostu nie uznaje takiej reklamy. Potem długo rozmawialiśmy. Zadawał mi mnóstwo pytań i z zainteresowaniem słuchał odpowiedzi. Opowiadaliśmy sobie o Paryżu. On w młodości studiował na Sorbonie, był ciekaw, jak zmienił się Paryż od czasów wojny.

- Dlaczego trzymałaś to w tajemnicy? - zapytała Anna. - Nie jest żonaty, prawda?

Rozradowana Jennifer uśmiechnęła się szeroko.

- To już więcej nie będzie tajemnicą. W zeszłym tygodniu minęły dwa lata od śmierci jego żony. Winston uważał, że przed upływem tego czasu nie powinniśmy się ujawniać.

- Nic dziwnego. Byli bardzo oddaną sobie parą.

- Tylko z pozoru. Pobrali się z rozsądku. To samo przydarzyłoby się tobie, gdybyś została w Lawrenceville. Oboje pochodzili ze snobistycznych, bogatych rodzin z tradycjami. Naturalnie, z początku

wydawało mu się, że ją kocha. Ale ona należała do oziębłych kobiet. Nienawidziła seksu. Nie to jednak jest dla niego najważniejsze w naszej znajomości - dodała szybko. - Spotykaliśmy się przez dwa miesiące, a on nic z tych rzeczy mi nie proponował. Wymykaliśmy się na spotkania w jakichś dyskretnych miejscach w Kansas City, w Chicago... Wkładałam czarną perukę. Potem przyjechał na tydzień do Kalifornii... i stało się! Anno, on jest boski! laki delikatny. Kocha mnie wyłącznie dla mnie samej. Zatkąło go, kiedy zobaczył mój biust. Przedtem myślał, że jest wypchany! Nie widział mnie w żadnym z zagranicznych filmów. To pierwszy mężczyzna, który zakochał się we mnie, a nie w moim ciele. W dodatku był taki nieśmiały. Z początku bał się nawet dotknąć moich piersi. Ale nauczyłam go wielu rzeczy i teraz... co ci będę opowiadać!

- Odkrył seks - uśmiechnęła się Anna.

- Odkrył?! Zachowuje się tak, jakby to on go wynalazł. Zrozum, nie przeszkadza mi to, bo wiem, że nie seks go do mnie przyciągnął. Anno, w dodatku on chciałby mieć dzieci. Jego żona była w typie tych płaskich desek z Maryland, które pasjonują się tylko jazdą konną, i nigdy nie dała mu potomstwa.

- Ale Jen, on nie jest taki młody. Poza tym, skąd pewność, że tak od razu ci się to uda.

- No cóż, siedem razy usuwałam ciążę. Mój brzuch wciąż jeszcze jest sprawny i gotowy do działania. Kiedy powiedziałam Winowi, że zamierzam zrezygnować z filmu i urodzić dziecko, popłakał się ze szczęścia. Naprawdę płakał, Anno. Uważa, że w życiu ominęło go wszystko, na czym mu rzeczywiście zależało - dziewczyna, którą mógłby pokochać, dzieci. Właśnie dlatego całkowicie poświęcił się pracy. W ogóle nie przejmuje się tym, że mogłabym zaszkodzić mu w karierze. Twierdzi, że republikanie nie będą mieli własnego prezydenta jeszcze przez co najmniej osiem lat, a on nie może stracić stanowiska senatora tylko dlatego, że poślubił gwiazdę filmową. Jemu zależy na tym samym co mnie - na domu i dzieciach.

- Czy Winston wie, w jakim jesteś wieku? Jennifer beztrąsko skinęła głową.

- Bardzo się z tego ucieszył. Naturalnie, nic mu nie powiedziałam o tych drobnych bliznach za uszami. Nie chciałam go wystraszyć. Pewnie myśli, że jestem istotą z krainy baśni. Ale z radością się dowiedział, że dawno skończyłam trzydzieści lat. Bał się, że wyda mi

się za stary. Raz spędziłam z nim weekend u niego na farmie. Całymi dniami chodziłam uczesana w kucyki i bez żadnego makijażu. Stwierdził, że wyglądam oszalamiająco. Och, Anno, to wszystko jest takie cudowne. W przyszłym tygodniu wracam na Zachodnie Wybrzeże, żeby oznajmić wielką nowinę. Zagram jeszcze w jednym filmie. Już nakręcili plenery i uszyli kostiumy. Ale na tym koniec! Niech się wściekają. I co z tego? Nigdy już nie stanę przed kamerą. Kończę z aktorstwem.

- Kiedy się pobierzecie?

- Od dzisiaj zaczynamy spotykać się jawnie. Wybieramy się do teatru, a potem na kolację do „21” z senatorem Belsonem i jego żoną. Pewnie jutro wszystkie gazety będą o nas pisać, a Win z nieśmiałym uśmiechem wyzna dziennikarzom, że jesteśmy zaręczeni.

Anna spojrzała pogodnie na przyjaciółkę.

- Być może wieczorem się spotkamy. My też wybieramy się do „21”. Umówiliśmy się tam na późny obiad, więc będziemy już na miejscu, kiedy się zjawicie. Szykuje mi się nudny, długi wieczór z jakimiś ludźmi, którzy chcą kupić firmę Kevina.

Jennifer spontanicznie chwyciła Annę za rękę.

- Kochana, czy to nie cudowne? Obie wspięliśmy się na szczyt, odniosłyśmy sukces, zdobyłyśmy bezpieczeństwo i mężczyzn, których kochamy i szanujemy.

Anna odpowiedziała uśmiechem, ale czuła na sercu znajomy ciężar.

Wieczorem, kiedy zobaczyła ich w restauracji „21”, musiała przyznać, że Jennifer promienieje, a Winston Adams to imponujący mężczyzna - wysoki, z krótko przyciętymi stalowosiwymi włosami i płaskim brzuchem, który świadczył o codziennych ćwiczeniach w klubie sportowym. Kiedy przechodzili, zatrzymali się przy stoliku Anny. Zostali sobie przedstawieni, a senator wyraźnie starał się być dla niej miły.

- Czuję się tak, jakbym znał panią od dawna - oznajmił Annie. - Tak często widuję panią w telewizji, no i oczywiście Jennifer stale o pani opowiada.

Cały wieczór obserwowała przyjaciółkę. Jen nie spuszczała oczu z twarzy senatora. Patrzyła na niego z niekłamanym uwielbieniem, jak zakochana nastolatka. Anna jej zazdrościła. Spojrzała na Kevina. Dzięki Bogu, że wyzdrowiał. Jest taki miły i dobry. Dlaczego nie

potrafi wzbudzić w sobie żadnego uczucia do tego człowieka? Gdyby umiała to zrobić, już dawno byłiby po ślubie. Przecież kiedyś tak bardzo nalegała na to, żeby Lyon się z nią ożenił, proponowała nawet, że będzie go utrzymywać. Ale w jej związku z Lyonem było coś więcej niż seks. Chciała być przy nim w każdej sekundzie życia, poznać jego najskrytsze myśli... Boże, co ja robię - pomyślała. Lyon nie istnieje. Jest tak, jak twierdzi Henry. Zakochałam się w marzeniu...

Następnego dnia nazwisko Jennifer znalazło się na pierwszych stronach wszystkich gazet, a senator Winston Adams przyznał, że zamierzają się pobrać na początku przyszłego roku. Podekscytowana Jennifer, wśród zamieszania i sensacji, wróciła na Zachodnie Wybrzeże, żeby nakręcić swój ostatni film.

1961

Jennifer wróciła do Nowego Jorku w pierwszym tygodniu stycznia. Senatora Adamsa na kilka dni zatrzymały w Waszyngtonie sprawy służbowe, więc Anna towarzyszyła jej przy kupowaniu ślubnej wyprawy.

- Wszystkie stroje muszą być oryginalne - tłumaczyła Jennifer. - Eleganckie, ale nie wyzywające. Musisz mi pomóc w wyborze.

Stały właśnie w przymierzalni u Bergdorfa, kiedy nagle Jennifer zachwiała się i oparła o ścianę.

- Masz może aspirynę? - zapytała.

Twarz jej przybrała sinoblady kolor, a źrenice się rozszerzyły. Ekspedientka wybiegła, żeby poszukać tabletki. Jennifer usiadła.

- Nie rób takiej przerażonej miny, Anno. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - To tylko miesiączka. Przyszła za wcześnie, chyba przez całe to podniecenie. Mam okropne bóle.

Anna odprężyła się.

Śmiertelnie mnie wystraszyłaś.

Przyjaciółka zapaliła papierosa.

- Już mi przeszło. Ale ten ból był potworny. Pewnie tak wygląda poród. Jeśli miałabym tak cierpieć przez parę godzin, to wolę znaleźć jakiegoś miłego doktora, który dobrze mnie znieczuli, kiedy nadejdzie pora.

Ekspedientka wróciła z aspiryną, a kierowniczką stoiska, wyraźnie zaniepokojoną, przybiegła zaraz za nią.

- Ja również tak ciężko to przechodzę - oznajmiła. - Dosłownie skręcam się z bólu. Dzięki Bogu, że zdarza się to tylko raz na miesiąc.

- W takim razie ma pani szczęście - odparła Jennifer. - Ostatnio dostaję miesiączki co dwa albo trzy tygodnie.

Ekspedientka potrząsnęła głową.

- To i tak lepiej niż moja koleżanka. Zbliża się do klimakterium. Czasami przez całe miesiące nie dostaje okresu i zamartwia się na śmierć.

Jennifer wybrała trzy suknie. Ekspedientka podziękowała jej, poprosiła o autograf dla siostrzenicy i życzyła wszystkiego najlepszego.

Później, kiedy siedziały w Palm Court przy drinkach, Anna zapytała od niechcienia:

- A tak przy okazji, kiedy ostatnio byłaś u ginekologa? Jennifer zamyśliła się.

- Niech pomyślę. Ostatnią ciążę usuwałam cztery lata temu w Szwecji, tam to jest dozwolone. Lekarz powiedział, że jestem zdrowa jak ryba.

- Nie zaszkodziłoby ci zgłosić się na badanie. Mam znakomitego lekarza.

Jennifer skinęła głową.

- Zastanowię się nad tym.

Doktor Galens ze spokojem i pogodą wypełniał kartę pacjenta. Badanie już się skończyło i Jennifer siedziała ubrana przy biurku naprzeciw lekarza.

- Kiedy to się zaczęło? - zapytał.

- Kilka miesięcy temu. Nie zawracałabym sobie tym głowy, ale Anna wciąż mnie namawiała na wizytę. A teraz nagle dostałam takiego nienormalnie długiego krwawienia. Trwa już dziesięć dni. W przyszłym tygodniu wychodzę za mąż, więc chcę się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Przecież w niedługim czasie planuję dziecko.

Doktor przytaknął.

- Czy obecnie senator jest w mieście?

- Nie, musiał zostać w Waszyngtonie. Przyjedzie w przyszłym tygodniu.

- W takim razie może pani jeszcze dzisiaj przyjść do szpitala.

- Jeszcze dzisiaj? - Jennifer zdusiła papierosa w popielniczce. - Czy coś mi dolega?

- Nic poważnego. Gdyby pani nie planowała ślubu w przyszłym tygodniu, poczekalibyśmy na następną miesiączkę, żeby dokonać dalszych obserwacji. Ma pani polipy w macicy. To bardzo pospolita dolegliwość. Proszę się zgłosić dzisiaj do szpitala, jutro wykonamy łyżeczkowanie i następnego dnia wróci pani do domu. Przez kilka dni będzie występowało płamienie, ale jeśli od razu podda się pani zabiegowi, przed ślubem całkiem dojdzie pani do siebie.

Zaniepokojona Anna osobiście rozmawiała z doktorem Galensem. Przekonała się, że niczego przed Jennifer nie ukrywał. Przyjaciółkę czekał tylko rutynowy zabieg rozszerzenia szyjki macicy i wyłyżeczkowania. Pomogła jej spakować torbę i odprowadziła do szpitala.

Siedziała w pustej sali szpitalnej, kiedy Jennifer zabrano na salę operacyjną. Cieszyła się, że to nic groźnego. Jen tak bardzo pragnęła dziecka. I zasłużyła na nie. To dziwne... są sobie tak bliskie, a jednak nigdy jej nie zdradziła, dlaczego pozbyła się dziecka Tony'ego.

Po godzinie wrócił doktor Galens. Anna natychmiast wyczuła, że coś się stało.

- Jeszcze się nie obudziła - wyjaśnił lekarz.

- Co to było? - zapytała Anna. - Widzę, że coś jest nie tak. To nie były zwykłe polipy?

- Owszem, były, dokładnie tak, jak myślałem. Jej narządy rozrodcze są zdrowe. Ale kiedy anestezjolog badał rytm serca, znalazł w jej piersi zgrubienie wielkości orzecha włoskiego. Musiała o nim wiedzieć.

Annie zrobiło się słabo.

- Ale przecież często takie zgrubienia okazują się niegroźne. Wiele z nich to zwykłe torbiele, prawda?

- Usunąłem guz - powiedział cicho lekarz. - Wymagało to małego, prostego nacięcia, po którym nie zostanie nawet widoczna blizna. Kazałem natychmiast zbadać wycinek. Anno, ten guz okazał się złośliwy. Trzeba usunąć jej pierś, najlepiej już jutro.

Anna zmartwiła ze strachu. Dobry Boże, dlaczego Jennifer? I dlaczego właśnie teraz? Łzy popłynęły jej po twarzy.

- Proszę jej to powiedzieć! - wyszlochała. - Ja nie potrafię.

Jennifer wolno otworzyła oczy, z trudem otrząsając się ze snu. Operacja skończona. Uśmiechnęła się do niewyraźnej sylwetki pielęgniarki, mającej przy jej łóżku.

- Czy wszystko dobrze?

- Jest już doktor Galens - odparła żywo pielęgniarka. Lekarz delikatnie położył jej dłoń na czole.

- Obudziłaś się już?

- Aha... proszę mi powiedzieć... To były zwykłe polipy, tak jak pan przewidywał?

- Tak, o tę sprawę może być pani spokojna. Jennifer, dlaczego mi pani nie powiedziała, że ma pani guz w piersi?

Odruchowo przyłożyła dłoń do piersi. Wyczuła niewielki opatrunek.

- Usunąłem go. Od jak dawna go pani ma?



- Nie wiem... - Znowu ogarniała ją senność. - Około roku... może dłużej.

- Teraz proszę zasnąć. Porozmawiamy o tym później.

Przez mgłę narkozy odczuła nagły strach. Chwyciła lekarza za ramię.

- O czym mamy porozmawiać?

- Obawiam się, że jutro nie wyjdzie pani do domu. Czeka panią kolejna operacja.

- Jaka operacja?

- Musimy wykonać mastektomię. Zrobi to doktor Richards. To nasz najlepszy specjalista w dziedzinie operacji piersi.

- Co to jest ta mast.. to, co pan powiedział?

- Trzeba usunąć pierś. Ten guz okazał się złośliwy. Z trudem usiadła na łóżku.

- Nie! Nigdy! O Boże, nie! - Opadła na poduszki. Zakręciło jej się w głowie. Poczowała, że zrobiono jej zastrzyk w ramię.

Jakiś czas spała niespokojnie. Kiedy się ocknęła, błagalnie chwyciła pielęgniarkę za rękę.

- To był tylko sen, prawda? Coś mi się majaczyło w narkozie. Co on powiedział o mojej piersi? Proszę mi powiedzieć.

- Proszę się nie denerwować - odparła siostra.

Jennifer zobaczyła na jej twarzy współczucie. Nic jej się nie przyśniło. O Boże, to jest prawda!

Anna pobiegła do biura Kevina i łkając opowiedziała całą historię. Wysłuchał jej w milczeniu i potem zapytał:

- Czy doktor Galens mówił, że rokowania na przyszłość są dobre? Spojrzała na niego zniecierpliwiona.

- Dobrze? Czy ty w ogóle mnie nie słuchałeś?

- Wszystko słyszałem. Jennifer straci pierś. Brzmi to przerażająco, ale to jeszcze nie koniec świata. Wiesz, jak wiele kobiet żyje długo i szczęśliwie po udanej operacji piersi? Najważniejsze, żeby zdążyć na czas usunąć nowotwór.

Popatrzyła na niego z wdzięcznością. To cały Kevin. Zawsze brał sprawy w swoje ręce, znajdował we wszystkim dobre strony. Zadzwoił do Galensa. Według doktora wszystko wskazywało na to, że rokowania są pomyślne. Doktor Richards zgodził się z jego opinią. Guz nie był duży, a procent wyzdrowień po operacjach tego typu jest dość wysoki. Jeśli nie nastąpiły przerzuty, należy być dobrej myśli.

Jednak to się dopiero okaże po usunięciu piersi i zbadaniu węzłów limfatycznych.

Nieco podniesiona na duchu i uspokojona rozsądną reakcją Kevina, Anna wróciła do szpitala. Jennifer całkiem się już rozbudziła. Wydawała się nienaturalnie spokojna. Ścisnęła dłoń przyjaciółki.

- Doktor Galens zadzwonił do Wina - wyszeptała. - Natychmiast przylatuje do Nowego Jorku.

- Powiedział mu? - zapytała Anna. Jennifer potrząsnęła głową.

- Nalegałam, żeby nic mu nie mówił. Wydaje mi się, że powinien usłyszeć to ode mnie. - Uśmiechnęła się blado do pielęgniarki. - Czuję się dobrze. Czy mogłaby siostra zostawić mnie samą z przyjaciółką?

- Proszę dopilnować, żeby pacjentka nie piła żadnych płynów przez co najmniej dwie godziny - oznajmiła kobieta. - Czy chce pani, żeby na dzisiejszą noc przysłano tu specjalną pielęgniarkę?

- Nie. Operacja odbędzie się dopiero jutro i doktor Galens zarządził już, że dopiero po niej ktoś będzie przy mnie czuwał dzień i noc. Nic mi nie jest. Proszę zostawić nas same.

Kiedy pielęgniarka wyszła, Jennifer wyskoczyła z łóżka.

- Co ty robisz? - zapytała przerażona Anna.

- Uciekam stąd. I to zaraz. Anna chwyciła ją za ramię.

- Jennifer, oszalałaś?

- Nie pozwolę im się okaleczyć. Win nawet nie będzie chciał na mnie spojrzeć!

- Sama mówiłaś, że zakochał się w tobie, a nie w twoim ciele. Nie wygaduj bzdur.

Ale Jennifer już podbiegła do szafy i zdejmowała ubranie z wieszaka.

- Wychodzę stąd. Zaryzykuję. Wycięli już guz, nie dam sobie wyciąć piersi!

- Jen, tylko w ten sposób mogą uzyskać pewność. Możliwe, że nowotwór zaatakował również inne części piersi.

- Nic mnie to nie obchodzi! Wystarczy, że nie będę mogła urodzić Winowi dziecka. Nie pozwolę, żeby mnie widział zdeformowaną.

- Ucieczka może się równać samobójstwu. Myślisz, że to w porządku wobec Wina? Wyjdiesz za niego i być może za rok narazisz go na cierpienie? Jego poprzednia żona chorowała. I co to

wszystko ma wspólnego z dziećmi? Wciąż możesz je mieć. Doktor Galens powiedział, że twoje narządy rozrodcze są zdrowe.

- Ale nie wolno mi zająć w ciążę. Doktor tak twierdzi. Cięża może wywołać zmiany nowotworowe w jajnikach. Istnieje jakiś bezpośredni związek między rakiem piersi i jajników. Prawdę mówiąc, uprzedził, że po operacji może skierować mnie na naświetlanie jajników promieniami rentgena, żeby mnie wysterylizować. Co miałabym do zaofiarcowania Winowi? Okaleczone ciało, niezdolność do rodzenia dzieci...

- Dasz mu siebie! Tak naprawdę tylko tego pragnie. Powiedziałaś, że masz już dość ludzi, którzy widzą w tobie tylko ciało. Udowodnij to. A jeśli tak bardzo zależy ci na dzieciach, to możesz je adoptować.

Jennifer wolno wróciła do łóżka.

- Nikt nie musi o tym wiedzieć, tylko ty i Win - mówiła pospiesznie Anna. - On cię kocha i nie będzie miał ci za złe, że nie możesz zająć w ciążę. Jestem tego pewna. A jeśli adoptujecie dziecko, to będzie dla was jak rodzony syn czy córka. Operacja to nic wielkiego. Uwierz mi, dzisiejsze środki przeciwbólowe są bardzo skuteczne i można kupić doskonałe protezy biustu. Jen, to jeszcze nie koniec świata. Jennifer utkwiała wzrok w suficie.

- Wiesz, to dziwne. Całe życie słowo „rak” znaczyło dla mnie tyle co śmierć, strach, coś tak potwornego, że na samą myśl o nim oblewał mnie zimny pot. A teraz sama zachorowałam. A dziwne jest to, że wcale się nie boję samego raka, nawet jeśli ma się okazać dla mnie wyrokiem śmierci. Przeraza mnie to, że tak bardzo odmieni moje życie z Winem. Nie będę mogła dać mu dzieci. Zostanę okaleczona...

- Nic nie będzie widać. Czasami ludziom zdarzają się wypadki samochodowe, z których wychodzą z zeszpeconą twarzą. Wiele kobiet z natury nie ma biustu i jakoś im to nie przeszkadza. Przecież to ty stale powtarzałaś, że nie chcesz, żeby twoje ciało było dla ciebie najważniejsze. Odwagi, Jen. Uwierz w siebie. Zaczynaj to udowadniać. Uwierz także w Wina.

Jennifer uśmiechnęła się blado.

- Dobrze. W takim razie lepiej będzie, jeśli zmienię tę okropną szpitalną koszulę na ładniejszą. I podaj mi kosmetyczkę. Chcę wyglądać jak najpiękniej podczas rozmowy z Winem. - Usiadła na łóżku i uczesała włosy. Kiedy wkładała zwiewną koszulkę, spojrzała

na pierś, na której białł mały opatrunek. - Zegnaj, moja słodka - powiedziała. - Jeszcze tego nie wiesz, ale niedługo już cię tu nie będzie.

Kevin również zjawił się w szpitalu i wszyscy troje czekali na senatora Adamsa, który przybył o siódmej. Anna starannie ustawiła oświetlenie. Jennifer wyglądała jak prawdziwa gwiazda ekranu. Wydawała się niemal radosna. Po krótkich powitaniach Kevin i Anna wyszli.

Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Winston podbiegł do łóżka i wziął Jennifer w ramiona.

- Boże, umierałem ze strachu. Doktor tak dziwnie ze mną rozmawiał. Zawiadomił mnie, że musisz poddać się operacji, i sugerował, żeby przełożyć datę ślubu. A teraz, kiedy cię zobaczyłem... Wyglądasz tak pięknie... Co to za operacja, najdroższa?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- To poważna sprawa, Win. Zostanie po niej ślad i nie będę mogła mieć dzieci... Stracę...

- Ciii... Ani słowa więcej. - Popatrzył na nią z uwielbieniem. Coś ci powiem. Tylko ze względu na ciebie byłem zdecydowany na dzieci. Człowiek w moim wieku nie przywiązuje już do nich takiego znaczenia. Ale ja chciałem cię uszczęśliwić. Tak bardzo zależało ci na dziecku, więc udawałem, że dla mnie jest ono równie ważne. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że chodzi mi wyłącznie o ciebie?

Mocno go przytuliła.

- Och, Win! - Łzy ulgi spłynęły po jej policzkach. Pogładził ją po głowie.

- Chyba się nie bałaś, że mnie stracisz? Moja najpiękniejsza, zawsze będę przy tobie. Zrozum, że dzięki tobie zacząłem nowe życie. - Ucałował jej piersi przez cienki materiał koszuli. - Jesteś wszystkim, czego pragnę, ty, a nie dzieci. Ty jedyna potrafisz poruszyć moje serce. Zanim cię poznałem, często zadawałem sobie pytanie, czy ze mną jest wszystko w porządku. Zrzucałem winę na Eleonorę. Biedna Eleonora nic tu nie zawiniła. Nie budziła we mnie żadnych głębszych uczuć, a zapewne i ja nie potrafiłem jej rozbudzić. Ale przy tobie... Kiedy się poznaliśmy, odsuwałem się od ciebie, pamiętasz?

Przytaknęła i pogłaskała wspartą na jej piersi głowę narzeczonego. Win pocałował jędrną skórę na jej szyi.

- Ale ty mnie odmieniłaś. Uświadomiłaś mi, że nie uciekam przed tobą, ale uciekam przed sobą samym, bo tak bardzo się boję tego, co może między nami zająć. Kiedy tylko weszłaś do mojego mieszkania, wszystko już wiedziałem. Odgadłem, że moje życie się odmieni. Jennifer, nauczyłaś mnie kochać. - Poglądził ją po piersiach. - To są moje dzieci - oznajmił cicho. - Innych nie chcę. Jak dobrze będzie każdej nocy tulić się do nich. - Zastygł w bezruchu, kiedy jego dłoń natrafiła na opatrunek. - Co to jest? Co oni zrobili z jednym z moich słodkich dzieciątek?

Uśmiech zastygł na ustach Jennifer.

- To nic takiego... Lekarz wykrył małe zgrubienie...

- Ale chyba nie zostanie żadna blizna? - zapytał Win szczerze przerażony.

- Nie, Winstonie. Usunęli torbiel przy pomocy igły. Nie będzie najmniejszego śladu.

- To najważniejsze. Mogą ci usunąć jajniki. Nie uważam tego za tragedię. Nigdy ich nawet nie widziałem i nie kojarzę ich z tobą. Żeby tylko nie uszkodzili moich słodkich dzieciątek. - Znów głaskał ją po piersiach. - Dlaczego doktor był taki ponury, kiedy rozmawiał ze mną przez telefon? Nic mi nie chciał powiedzieć, tylko kazał mi szybko przyjechać.

- Wiedział... wiedział, jak bardzo pragnę dziecka i...

- Dlaczego po prostu mi nie powiedział, że muszą ci zrobić hysteroktomię? - Potrząsnął głową. - Ci lekarze, wieczne ponuraki. Ale cieszę się, że przyjechałem. Teraz mogę wracać do pracy wspominając, jak trzymałem cię w ramionach. - Mocno ją przytulił. - Chciałbym zachować tę chwilę w pamięci. Będę mógł cię odwiedzić dopiero w czwartek. - Zapisał na kartce numer telefonu. - Powiedz Annie, żeby do mnie zadzwoniła zaraz po operacji. Jeśli sam nie odbiorę, na pewno mnie odszukają.

Zatrzymał się w drzwiach i patrzył na Jennifer. Pożerał ją wzrokiem, jakby zobaczył ją pierwszy raz.

- Kocham cię... tylko ciebie. Wierzysz mi, prawda?

- Tak, Win. Wierzę - odparła z uśmiechem.

Długo po tym, jak wyszedł, sztywny uśmiech nie zniknął z twarzy Jennifer.

O północy doktor Galens zajrzał do jej pokoju.

- Zaczniemy o ósmej rano - oznajmił energicznie. - Proszę się nie martwić, Jennifer. Wszystko będzie dobrze.

- Jestem tego pewna - odparła pogodnie.

Wymknęła się z łóżka o trzeciej nad ranem. Cicho otworzyła drzwi. Szpitalny korytarz tonął w półmroku, ale w pobliżu windy dostrzegła pielęgniarkę. Zamknęła drzwi i bezszelestnie się ubrała. Dzięki Bogu, przyszła do szpitala w spodniach i długim płaszczu - dla zmylenia dziennikarzy. Wyjęła z szafy chustkę i zawiązała na głowie. Potem na palcach wyszła z pokoju.

Przemknęła pod ścianą i ukryła się we wnęcie z wodotryskiem. Pielęgniarka dyżurna siedziała pod jaskrawo świecącą lampą i coś pisała w księdze. Trzeba było przejść obok niej, żeby się dostać do windy. Jennifer musiała czekać w ukryciu, modląc się, żeby siostra choć na chwilę opuściła posterunek i żeby nikt jej nie nakrył.

Wielki zegar tykał nieprzerwanie, a pielęgniarka cały czas pisała. Po szyi Jennifer spływały strużki potu. Zalewały ją fale gorąca, jakby stała obok rozpalonego pieca. I rzeczywiście. Zauważyła obok kaloryfer. Nagle rozległ się brzęczyk. Dzięki Bogu. Jakiś pacjent wzywał pielęgniarkę. Ale ona nadal pisała. Czyżby ogłuchła? Dzwonek rozległ się ponownie, tym razem bardziej natarczywy. Idź do chorego! - krzyczała w duchu Jennifer. Brzęczyk znowu się odezwał i dzwonił bezustannie, jakby chciał jej pomóc. Pielęgniarka podniosła się ospale, sprawdziła, który numer pokoju wskazuje strzałka i ruszyła w głąb korytarza.

Jennifer patrzyła, jak znika za drzwiami sali chorych i szybko pobiegła do windy. Nie! Czekanie na jej przyjazd trwałoby zbyt długo, a maszyna narobiłaby hałasu. Klatka schodowa... Zbiegła osiem pięter w dół. Kiedy dotarła do głównego holu, brakowało jej tchu. Rozejrzała się czujnie. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Windziarz palił papierosa i rozmawiał z portierem. Wybiegła na ulicę i minęła kilka przecznic, zanim zatrzymała taksówkę. Dotarła do hotelu o czwartej nad ranem.

Kiedy rankiem pielęgniarka odkryła, że pokój jest pusty, natychmiast zawiadomiła doktora Galensa, który niezwłocznie zadzwonił do hotelu Jennifer. Kiedy w jej apartamencie nikt nie podnosił słuchawki, zastępca dyrektora hotelu otworzył drzwi.

Jennifer, w pełnym filmowym makijażu, leżała na łóżku, ubrana w najpiękniejszą suknię. W rękę ścisnęła pustą buteleczkę po tabletkach nasennych. Zostawiła dwa lisy. W pierwszym napisała:

Droga Anno,

Żaden zakład pogrzebowy nie umalowałby mojej twarzy piękniej niż ja sama. Dzięki Bogu za laleczki. Przepraszam, że nie zaczekałam na twój ślub.

Z miłością Jennifer

Drugi list zaadresowała do senatora Adamsa. Najdroższy Winie, Muszę odejść, żeby ocalić twoje słodkie dzieciątka. Dziękuję ci, że niemal spełniłeś moje marzenia.

Jennifer

Senator odmówił wyjaśnień na temat listu. Nagabywany przez dziennikarzy wymamrotał jedynie oschle: „Bez komentarza”. Anna równie niechętnie udzielała odpowiedzi. Doktor Galens nie chciał zdradzić natury choroby Jennifer. Oświadczył, że aktorka poprzedniego dnia poddała się prostemu zabiegowi i nie ma nic więcej do dodania.

Pogrzeb przypominał senny koszmar. Rozszalałe tłumy zebrały się wokół kościoła, blokując ruch na Piątej Alei. Wezwano konną policję, żeby zaprowadziła porządek i rozładowała korki na jezdni. Gazety zamieściły życiorys Jennifer, a fotografia Anny trafiła na pierwsze strony. Przybyła matka Jennifer, co dodatkowo utrudniło sytuację. Chętnie opowiadała zainteresowanym dziennikarzom historię Kopciuszka, szlochając na zawołanie. Zażądała też szczegółowej listy wszystkich sukien, futer i biżuterii córki.

Być może Anna poradziłaby sobie z matką przyjaciółki, ale pojawienie się Claude'a Chardot wprowadziło nowe komplikacje. Claude przedstawił testament i podczas gdy Henry Bellamy gorączkowo szukał nowszej wersji ostatniej woli Jennifer, ogłosił się jedynym prawowitym spadkobiercą. Na domiar złego do miasta przyjechała Neely.

Nie mogła sobie darować, że spóźniła się na pogrzeb. Przybyła prosto z Hiszpanii. Wprowadziła się do Anny i skupiła na sobie uwagę dziennikarzy. Artykuły na temat Anny pojawiały się coraz rzadziej, za to wszyscy interesowali się Neely, która podczas nieobecności w Ameryce schudła i wypiękniała. Paliła się do pracy, ale oczywiście najpierw musiała otrząsnąć się po śmierci przyjaciółki.

W jakiś niewytłumaczalny sposób Anna znalazła siły na codzienne występy w telewizji. Nagrywała teraz reklamy i nowi właściciele firmy błagali ją, żeby nie rezygnowała z pracy. Proponowali znaczną podwyżkę. Jej nagłośniony przez prasę związek z tragedią Jennifer sprawił, że nazwisko Anny nabrało dla firmy jeszcze większej wartości. Ze względu na śmierć przyjaciółki odłożyła ślub na później. Nowy termin wyznaczyli na kwiecień.

Wrzawa ustała dopiero po trzech tygodniach. Wtedy, po dwóch dniach ciszy, podczas których o Jennifer nie ukazała się żadna wzmianka, wybuchła kolejna bomba. Senator Winston Adams zrezygnował ze stanowiska. Przeszedł lekkie załamanie nerwowe i przez najbliższy rok zamierzał podróżować.

Pojawiły się nowe domysły na temat przyczyn samobójstwa Jennifer. Znowu nękało doktora Galensa. Tak, powiadomił senatora o naturze choroby aktorki, przecież jako narzeczony gwiazdy miał prawo znać fakty jej dotyczące. Jednak te wiadomości przeznaczone były wyłącznie dla senatora, a nie dla dziennikarzy.

Anna nagrała kilka reklam i razem z Kevinem wyjechali do Palm Beach. Był to jeden z najmilszych tygodni, jakie przeżyła w ostatnich latach. W dodatku wyjazd pozwolił jej uniknąć hysterii, jaka rozpętała się po pierwszym telewizyjnym koncercie Neely. Nowy agent piosenkarki wywalczył dla niej występ w jednym z najpopularniejszych widowisk rozrywkowych, w którym pojawiła się gościnnie jako gwiazda programu, rzecz jasna za wspaniałym wynagrodzeniem. Widowisko nie było nadawane na żywo, więc Neely czuła się bezpiecznie.

Anna obejrzała program w Palm Beach. Neely wypadła świetnie. Obudziła powszechny zachwyt; jej głos brzmiał doskonale, a oczy płonęły jak dwa czarne węgle. Nie była już dzieckiem, ale wciąż wyglądała jak urwisowata nastolatka, dzięki charakterystycznemu nerwowemu śmiechowi, drżącym wargom i dziewczęcej potrzebie sprawiania wszystkim przyjemności. Chociaż to niewiarygodne, uznano, że wygląda na scenie lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Znowu okrzyknięto ją „geniuszem piosenki” i „żyjącą legendą”. Jej powrót był spektakularnym sukcesem. Podpisała kontrakt na film w Hollywood.

Neely jeszcze raz wspięła się na szczyt.



NEELY

1961

Neely niedbale wrzucała rzeczy do torby.

- Na miejscu kupię sobie nowe ubrania - oznajmiła Annie. - O rany, prawie nic nie zabrałam z Hiszpanii. Mogę zostawić u ciebie trochę ciuchów?

- Kiedy wrócisz, pewnie będę już po ślubie. W dodatku wybieramy się w podróż dookoła świata. Być może wynajmę komuś to mieszkanie.

- No cóż. W takim razie zabiorę wszystko ze sobą. Żyję jak Cyganka, dzisiaj tu, jutro tam. Dobrze, że mi się udało. Jeszcze chwila, a zostałabym bez grosza. Hej, a co się stało z pieniędzmi po Jennifer?

- Wszystko przypadnie jej matce. Ten testament z Paryża był sfalszowany. Henry to wykrył. Claude dostanie tylko pięćdziesiąt procent wpływów ze wznowień filmów, jakie nakręciła, kiedy jeszcze była z nim związana kontraktem. Ale reszta, czyli biżuteria i futra, dostanie się matce. Będą też honoraria z wyświetlania jej filmów. W zasadzie jednak Jennifer nie zostawiła żadnej gotówki. Neely wzruszyła ramionami.

- Jak na dziewczynę bez talentu, zupełnie nieźle sobie żyła. Jak myślisz, dlaczego to zrobiła? Mam na myśli samobójstwo.

- Już ci mówiłam Neely, że nie wiem.

- A ja się domyślam. Nie wydaje mi się, żeby naprawdę poważnie chorowała, chociaż krążą takie plotki. Niektórzy mówią, że miała gruźlicę albo nawet nieuleczalnego raka. Ale to nieprawda. Sądzę, że tak naprawdę połknęła prochy, bo zaczynała tracić urodę.

- Bzdura! Jennifer wyglądała jeszcze piękniej niż przed laty.

- Jednak jej ostatnio wyświetlany film zrobił klapę. Ten, który chcą teraz wypuścić, przyniesie kupę pieniędzy, dzięki reklamie, ale słyszałam, że też nie jest zbyt udany. Jennifer się kończyła, i tyle.

- Neely, ona chciała zrezygnować z pracy. Zamierzała wyjść za mąż.

- Tak, czytałam o tym w Hiszpanii. Jak to nagle odnalazła wielką miłość i tak dalej... Daj spokój. Sama przyznasz, że senator nie wygląda jak Rock Hudson. Jen szybko się znudziła ciepłem domowym u boku Tony'ego, chociaż był młody i przystojny. Nie. Jestem pewna, że nie dawała już sobie z tym wszystkim rady. Zaczynała się starzeć i wkrótce z jej urody nic by nie zostało. Senator

by jej nie wystarczył. Dlatego ze sobą skończyła. Co innego ja. Nigdy nie musiałam martwić się o wygląd. Urodziłam się z talentem, więc nie ma znaczenia, czy jestem chuda czy gruba. Pomyśl tylko o Helen Lawson. Oczywiście daleko jej do mnie. Jej śpiewanie polegało tylko na doskonałej technice, ale i teraz, kiedy nie ma już głosu, wyjeżdża do Hollywood, żeby zagrać jakąś charakterystyczną rolę w serialu telewizyjnym. Chociaż przestała śpiewać, da sobie radę, ponieważ ma talent.

- Helen da sobie radę, bo nie wie, co znaczą prawdziwe uczucia - odparła wolno Anna. - Jej rozpacz przypomina rozpacz dziecka. Można ją załagodzić nową zabawką. Ale o głos, nawet taki jak twój, trzeba dbać.

- O, nie. Ja śpiewam całą sobą, tak jak czuję. I nauczyłam się w życiu jednego: faceci odchodzą, uroda przemija, dzieci dorastają, a wszystko, o czym marzyłaś, okazuje się niewarte zachodu. Można liczyć jedynie na siebie i własny talent.

Neely wróciła trzy tygodnie później. Była na pograniczu załamania.

- Anno! Mój głos! Trzeciego dnia nagrań coś się stało! Nie potrafię śpiewać!

Przyjaciółka starała się ją uspokoić. Są przecież doskonali specjaliści laryngolodzy. Takie dolegliwości stale nękają piosenkarzy.

- Jestem skończona - zawodziła Neely. - Badało mnie mnóstwo lekarzy. Nie stwierdzili najmniejszych zmian w gardle. Powiedzieli mi, że winne są nerwy, ale to nieprawda. Bóg mnie ukarał za to, że tak okropnie mówiłam o Jen. Musiałam zerwać kontrakt na film. Tym razem to już naprawdę koniec. Nikt nie będzie chciał ze mną pracować.

- Bóg nie działa w taki sposób - uspokajała ją Anna. - Jeśli ktoś cię karze, to tylko ty sama.

- Jasne, to samo mówi mój psychoanalityk. Wyjaśnił mi, że mam skłonności do samozniszczenia i całe życie karzę się za jakieś wyimaginowane winy. Gówno prawda! Nigdy nie zrobiłam nic złego.

Neely znalazła sobie nowego psychiatrę. Doktor Massinger cieszył się bardzo dobrą opinią. Anna nalegała, żeby przyjaciółka zamieszkała razem z nią. Wierzyła, że intensywne terapie i pomoc bliskiej osoby pomogą Neely przezwyciężyć kryzys. Przecież zawsze udawało jej się wychodzić z dołka.

1 Neely rzeczywiście się starała. Usiłowała żyć spokojnie i nawet dbała o czystość w mieszkaniu. Ale cierpiała na bezsenność. Spotykała się z muzykami, wracała do domu i do rana przesiadywała w salonie, łykając seconal i słuchając swoich starych nagrań.

Pewnego ranka Anna znalazła przyjaciółkę skuloną w rogu pokoju, łzy spływały jej po twarzy.

- Jestem skończona, Anno. Próbowałam zaśpiewać razem z jedną ze swoich płyt i nic z tego nie wyszło.

- Przecież doktor Massinger ci mówił, że to nerwy. Z pewnością odzyskasz głos.

- On twierdzi, że to Hollywood napawa mnie strachem. Właśnie dlatego dzisiaj pierwszy raz spróbowałam zaśpiewać, właśnie tutaj, sama, bez kamer i producentów z Hollywood. Anno, czuję, jakbym miała zablokowane gardło. Nie potrafię śpiewać.

- To trwa dopiero od paru tygodni. Musisz trochę poczekać. Neely wstała.

- Być może. - Poszła do łazienki i połknęła kilka tabletek. - Masz trochę szkockiej? Bez alkoholu proszki nie zadziałają.

Anna podała jej butelkę. Zapowiadał się jeden z tych dni, które Neely spędzała w łóżku, oszołomiona lekami. Była niedziela i Anna zamierzała zostać w domu. Zaprosiła Kevina na obiad. Chciała przygotować swoją jedyną specjalność, zapiekankę z kraba. Ale teraz okazało się, że Neely prześpi cały dzień.

Zadzwoiła do Kevina i zaproponowała, żeby spędzić niedzielę u niego. Później mieli się wybrać do restauracji na kolację.

Neely usłyszała trzask zamykanych drzwi. Nie zmrużyła oka, ale wolała udawać przed przyjaciółką, że śpi. Anna tak się denerwuje, kiedy ona pije i bierze proszki. Ciągle się boi, że zaproszy ogień albo zrobi sobie coś złego. Usiadła na łóżku i naląła do szklanki kolejnego drinka, niczym go nie rozcieńczając. Zapaliła papierosa. Chryste, to już ostatni. Z pewnością Anna schowała gdzieś resztę, dla bezpieczeństwa. Trudno, i tak wkrótce nadejdzie sen.

Dolała sobie szkockiej i zauważyła, że pije za szybko. Lepiej sączyć alkohol po trochu i połknąć jeszcze kilka pigułek. Sięgnęła pod poduszkę. Ukryła tam trzy czerwone laleczki. Przełknęła je i popiła whisky. W końcu lek zaczął działać. Czowała, że zapada w otępienie. Ale nadal nie mogła zasnąć. Napełniła szklankę. Cholera, butelka jest prawie pusta. I zabrakło papierosów. Chyba weźmie jeszcze parę

laleczek. Ale połknęła już tak dużo, że mogło się to okazać niebezpieczne. Doktor Massinger ostrzegał, że pewnego dnia jej organizm może przestać je tolerować. No to co! Teraz, kiedy straciła głos, dlaczego nie? Po co ma żyć? Zostało jej tylko dziesięć tysięcy dolarów. O rany, nie! Tyle miała, kiedy wyjeżdżała do Nowego Jorku, ale wysłała czek na opłacenie czesnego bliźniaków - tysiąc dwieście dolarów. Trzeba też odjąć dwadzieścia pięć dolarów dziennie, które od trzech tygodni wydaje na psychiatrę. Podróż kosztowała ją kilka setek. W dodatku na prawo i lewo wypisuje czeki na codzienne wydatki. Na koncie zostało najwyżej pięć tysięcy. Na jak długo to wystarczy? Nie może przecież na stałe zamieszkać u Anny. Ona wychodzi za mąż w przyszłym miesiącu. Rany, skąd wziąć pieniądze? Straciła dom, nie ma ubezpieczenia... Może byłoby najlepiej, gdyby połknęła resztę proszków. Ted musiałby się sam zająć dziećmi, ale to nic nie szkodzi. Tak naprawdę jej nie kochają. Kiedy ostatnio spotkała się z nimi, cały czas słyszała tylko „daj mi, załatw mi, kup mi”.

Nikogo nie obchodzi, czy żyje. Nikomu na niej nie zależy. Może tylko Bogu, jeśli naprawdę istnieje.

- Panie Boże, jesteś tam w górze? - zawołała. - Wyglądasz tak, jak na obrazkach? Masz siwe włosy i długą brodę? Rozumiesz mnie?

Powiedz, dlaczego tak mi się nie układa? Nigdy o wiele nie prosiłam. Rany, chciałam tylko mieć własne mieszkanie i jakiegoś faceta, który by mnie kochał. Próbowалам. Dlaczego za każdym razem wszystko mi psułeś? Dlaczego, do cholery, dałeś mi głos, skoro nie chcesz, żebym została wielką piosenkarką? Dlaczego mi go odebrałeś? - Wlała do szklanki ostatnie krople whisky i upuściła butelkę na podłogę. - Hej, Jen! Jesteś tam? Nie wierzę, że latasz po niebie machając wielkimi skrzydłami i lak dalej, ale jeśli istnieje drugie życie, to może mnie słyszysz. Czy ty też tak się czułaś? O rany, tak bym chciała być tam z tobą... na pewno lepiej ci się powodzi niż mnie tutaj. Co mi zostało? Przetrwać kolejny dzień, kolejną noc, wybrać się do baru z jakimś facetem, który nic dla mnie nie znaczy, a zależy mu tylko na tym, żeby go widziano w moim towarzystwie... Na dodatek to ja zawsze płacę rachunki. - Wychyliła szklankę. - O rany, mam trzydzieści dwa lata. Młodość się skończyła. Na pewno jest jakieś niebo albo coś w tym guście... Nie takie z aniołami grającymi na harfach, ale może takie jak ziemia, tylko bez problemów... Musi coś być. Przecież tylu mądrych ludzi w nie wierzy, na przykład

prezydent i Clara Booth Luce. Może powinnam zostać katoliczką? Zdaje się, że się urodziłam w katolickiej rodzinie, tyle że nigdy nie chodziłam do kościoła. Ale raj niewątpliwie istnieje, Jen. Pomyśl tylko o tych wszystkich dzieciach, wymordowanych przez Hitlera, albo o ludziach, którzy rodzą się głusi i ślepi, jak Helen Keller. Gdyby nie istniało coś poza grobem, to nie byłoby sprawiedliwie. Dlaczego taka miła osoba jak Helen Keller nigdy nic nie widziała ani nie słyszała, a ktoś taki jak ty miał wszystko? To musi się jakoś wyrównywać po śmierci. Tak, niebo istnieje. Weź na przykład moją siostrę i tego głupka Charliego. Dlaczego mnie się tak powiodło, a ona męczy się w Astorii, jeśli nie czeka nas życie w niebie? Hej, Jen, czy przed śmiercią bardzo się cierpi? Bałaś się? Zostań ze mną, Jen...

Pobiegła do łazienki. Kiedyś ukryła buteleczkę proszków za solami do kąpieli. Zostało tylko sześć! Szybko je połknęła. To jednak za mało. Może aspiryna? Całe opakowanie aspiryny w połączeniu z proszkami nasennymi powinno zadziałać. Cholera! Znalazła tylko pięć tabletek. Połknęła je. Wypiła już całą szkocką, ale Anna trzyma w barku trochę bourbona dla Kevina. Razem ze szkocką... Ruszyła do drzwi, zatoczyła się i upuściła szklanę, która roztrzaskała się o kafelki podłogi. O, rany... Anna tak się złości, kiedy się niszczy jej rzeczy. Zebrała rozbite szkło. Szklanka wyglądała całkiem zwyczajnie, ale jak wszystko u Anny w mieszkaniu chyba była droga, pewnie kryształowa. Podniosła długi odłamek. O, tak byłoby najszybciej... Jedno cięcie po nadgarstku i wyprawia jej równie uroczysty pogrzeb, jak Jennifer. Czy o spadek po niej też by się kłócili? Czy Ted Casablanca zażądałby, żeby pochowano ją tutaj? A może jej głupkowata siostra ocknęłaby się z letargu i chciałaby sprowadzić zwłoki do siebie? Rany, spędzić resztę życia na jakimś zafajdanym cmentarzu w Astorii! Anna starałaby się zorganizować wszystko godnie. Neely pragnęła jednak, żeby jej pogrzeb był najwspanialszy na świecie, wspanialszy nawet od pogrzebu Jennifer. Chociaż nie, trudno sobie wyobrazić coś wspanialszego. No dobrze, przynajmniej taki. A co będzie, jeśli się okaże, że nie ma nieba ani Boga? Wtedy byłaby martwa i nie miałyby z tego żadnej przyjemności. Jednak gdyby umarła, ale tak nie do końca, zyskałaby taki sam rozgłos. Jak wtedy w Hollywood... Nie wypuszczała z dłoni odłamka szkła. Może nawet błagałaby ją, żeby wróciła. Wszyscy by jej

współczuli. Gdyby się nie bała, mogłaby znowu śpiewać i życie znowu stałoby się cudowne...

- Przedtem napijmy się trochę bourbona - powiedziała na głos i zataczając się ruszyła do barku. Znalazła butelkę, szklanekę i naląła sobie alkoholu niczym go nie rozcieńczając. Z odłamkiem szkła w dłoni dotarła z powrotem do sypialni. Weszła do łóżka, wypła duży łyk bourbona i przyjrzała się swojemu nadgarstkowi. Jeśliby przecięła go z boku... nie najgrubszą żyłą, bo wtedy mogłaby rzeczywiście się zabić. Zrobi wąskie nacięcie, tak żeby poleciało trochę krwi. Wbiła szkło głęboko. Rana miała około dwóch centymetrów szerokości, ale nie sięgała głównej żyły. Pokazała się krew. Bardzo dobrze. Neely ułożyła się na łóżku i obserwowała czerwoną strużkę. Rany, wyciekało sporo krwi, i to bardzo szybko. Może przecięła nadgarstek za głęboko i uszkodziła coś ważnego! O rany, nie można tego zatrzymać! Podniosła słuchawkę. Gdzie, u diabła, podziewa się Anna? Krew płynęła coraz szybciej. W dodatku te cholerne pigułki zaczęły działać. To chyba przez ten bourbon...

Wykręciła numer centrali. Odezwał się obojętny głos.

- Nazywam się Neely O'Hara - wymamrotała. - Umieram...

- Jaki to numer? - zapytała telefonistka.

- Mój numer? - Spojrzała na aparat. Kontury przedmiotów straciły ostrość. - Nie wiem... jest zastrzeżony... nie pamiętam. Proszę mi pomóc. Podciąłam sobie żyły... krew...

- Pani adres?

Wschodnia Sześćdziesiąta Druga, przy Central Parku. Mieszkanie należy do Anny Welles...

- Tej gwiazdy z telewizji? - Głos telefonistki nie brzmiał teraz obojętnie.

- Tak... Tak... - Słuchawka wysunęła się z dłoni Neely. Powieki zaczęły opadać. Z wysiłkiem otworzyła oczy. O Boże, zniszczyła pościel Anny. Ramię zwisało bezwładnie poza krawędzią łóżka i krew plamiła złotawy dywan. Rany, Anna już nigdy nie pozwoli jej u siebie mieszkać. - Proszę się śpieszyć... - Tyle krwi, i cały czas płynie nowa. Ale przecież nic umrę... Skoro myślę tak trzeźwo, to znaczy, że jeszcze nie umieram... Chce mi się tylko spać... Wcale nie umieram... Jestem po prostu senna... Cholerne laleczki... Że też właśnie teraz musiały zadziałać...

Neely otworzyła oczy i zaraz je zamknęła. Wokół roznosiła się woń szpitala. To znaczy, że przeżyła! Zaczęła przypominać sobie szczegóły. Syreny, karetka pogotowia... Znowu otworzyła oczy. Anna z Kevinem siedzieli w drugim końcu pokoju. Przyjaciółka zerwała się z miejsca.

- Och, Neely! Obudziłaś się! Dzięki Bogu! Neely uśmiechnęła się słabo.

- Przepraszam za bałagan w mieszkaniu.

- To nieważne.

- Gdzie jestem?

- W szpitalu Park North. Zmarszczyła nos.

- Dlaczego nie w Doctors? Słyszałam, że mają tam wspaniałe warunki. Kevin podszedł do jej łóżka.

- Posłuchaj, młoda damo, i tak masz wielkie szczęście, że się tutaj znalazłaś. Wiesz, dokąd cię właśnie mieli zawieźć, kiedy przyjechaliśmy pod dom? Do kliniki psychiatrycznej w Bellevue!

Neely usiadła z wysiłkiem.

- O rany! Tylko tego by mi brakowało!

- Na szczęście postanowiliśmy wrócić. Anna się o ciebie niepokoiła. Zobaczyliśmy pogotowie i policjantów. Zabierali cię do Bellevue. Takie są przepisy. Każdy niedoszły samobójca musi być odstawiony do Bellevue i poddany tam obserwacji.

- O rany!

- Tylko dzięki Kevinowi tam nie trafiłaś - wtrąciła Anna. - Pokazał im stłuczone szkło i upierał się, że to był wypadek.

Kevin zmarszczył brwi.

- Musiałem rozdać sporo dwudziestodolarówek, żeby ich o tym przekonać. Nie mieliśmy czasu na wybór szpitala. Wyglądałaś coraz gorzej, a ten był najbliższy.

- To nie było prawdziwe samobójstwo - wyjaśniła Neely.

- No cóż, na jakiś czas pewnie ci wystarczy. Następnym razem może ci się udać - odparła Anna.

- Pisali o mnie w gazetach?

- Na pierwszych stronach. - Anna przysunęła krzesło bliżej łóżka.

- Musimy coś zrobić z twoim życiem.

W oczach Neely ukazały się łzy.

- A co tu jest do zrobienia? Nie potrafię już śpiewać.



- Twoje problemy zaczynają się tutaj. - Kevin poklepał się po głowie. - Gardło masz w porządku.

- Powiedz to mojemu gardłu. Tak się staram, ale nie wychodzą z niego żadne dźwięki.

- No dobrze. Za kilka dni stąd wyjdiesz? I co potem? - zapytał Kevin.

Neely spojrzała na niego załzawionymi oczami.

- Nie martw się. Wyniosę się z mieszkania Anny. Wprowadzę się do hotelu.

- Tak dłużej nie możesz żyć... Ciągle proszki i alkohol. Następnym razem nie będziesz miała tyle szczęścia.

Przeciągnęła się w pościeli.

- Gdybym tylko mogła się wyspać, tak naprawdę, na przykład spać przez cały tydzień, od razu by mi się polepszyło. Ostatnio sypiam tylko po parę godzin dziennie. Nie pamiętam już, kiedy przespałam całą noc...

- Leczenie snem! - zawołała nagle Anna. Oboje z Kevinem popatrzyli na nią pytająco.

- Tak, właśnie leczenie snem - powtórzyła. Opowiedziała im, jak Jennifer poddała się takiej kuracji w szwajcarskiej klinice, żeby schudnąć. Wyjaśniła, że takie metody są stosowane do leczenia zaburzeń emocjonalnych.

Neely zareagowała entuzjastycznie.

- Tydzień snu! O Boże, założę się, że zaraz odzyskałabym głos. Ale ta Szwajcaria... To pewnie kosztuje majątek.

- To powszechnie uznany sposób leczenia. Jestem pewien, że i u nas go stosują - oświadczył Kevin.

Doktor Massinger się sprzeciwił. Owszem, znał tę metodę. Ale zaburzenia Neely zakorzeniły się zbyt głęboko. Według niego potrzebowała co najmniej rocznej terapii w sanatorium psychiatrycznym.

Ona nie cierpi na depresję sytuacyjną - wyjaśnił. - Ta dziewczyna ma bardzo poważne zaburzenia. Z dokumentacji wynika wyraźnie, że już dziesięć lat temu przejawiała skłonności samobójcze. Zalecałem jej leczenie w zakładzie już podczas pierwszej wizyty, ale się nie zgodziła. Od dawna żyje na skraju załamania i nadużywa Icków. Teraz nie ma już wyboru. Powinna się leczyć w klinice. - Podał im kilka adresów godnych zaufania lecznic tego typu.

Neely nie chciała jechać do żadnej z nich.

- Mam się dać zamknąć z czubkami? Pięknie dziękuję. Wolę się leczyć w jakiejś ekskluzywnej klinice, jak Jennifer. Szampan na powitanie, wyrozumiała pielęgniarka, cieniutka igła... i sen, cudowny sen.

Kevin odbył kilka rozmów telefonicznych i wynalazł prywatną klinikę w stanie Nowy Jork. Tak, wiedzieli dużo na temat leczenia snem. Z przyjemnością przyjmą pannę O'Hara i zaaplikują jej taką kurację. Rzecz jasna, zachowają dyskrecję. Gazety o niczym się nie dowiedzą.

Pewnej pogodnej niedzieli w marcu Kevin i Anna odwieźli Neely do Haven Manor. Anna uspokoiła się, kiedy zobaczyła rozległy teren kliniki i dobrze utrzymaną zielen. Neely dla kurażu połknęła kilka laleczek.

Weszli do wielkiego, oplecionego bluszczem budynku w stylu Tudorów. Wprowadzono ich do salonu, w którym wisiały portrety zmarłych dobroczyńców tej instytucji. Doktor Hall, ordynator, powitał ich serdecznie. Uścisnął rękę Neely.

- Jestem pani oddanym wielbicielem, pani O'Hara. Neely uśmiechnęła się blado.

- Teraz proszę wypełnić te formularze... Nakreśliła swoje nazwisko na kilku kartkach.

- Gotowe. A teraz bierzmy się za leczenie snem - oznajmiła żywo. Doktor Hall nacisnął jakiś guzik. Zjawiała się wysoka, postawna kobieta w białym fartuchu.

- To jest doktor Archer, moja asystentka. Zabierze panią do wyznaczonego pokoju.

Neely chwyciła Annę za rękę.

- Nie wiem, jak mam ci dziękować. Przyjedziesz po mnie za tydzień? - Przyjaciółka skinęła głową. Neely zwróciła się do Kevina. - Wiem, że strasznie dużo cię to kosztowało. Wielkie dzięki.

Potrząsnął głową.

- Chciałem za ciebie zapłacić, ale w końcu zrobiła to Anna. Stanowczo się przy tym upierała.

Neely spojrzała na przyjaciółkę uśmiechając się z zawstydzieniem.

- Anno... zawsze można na ciebie liczyć, prawda? Dzięki.

- Po prostu zależy mi, żebyś szybko wyzdrowiała - odparła Anna.

- Chcę tylko zasnąć, i to na długo. - Wyszła z pokoju, wsparta na ramieniu doktor Archer.

Anna podniosła się i ruszyła do drzwi. Doktor Hall chrząknął.

- Panno Welles... panie Gillmore. Czy moglibyśmy porozmawiać?

- Na jaki temat? - Anna znowu usiadła.

- Na temat tej tak zwanej kuracji snem. Rozmawiałem przez telefon z doktorem Massingerem. Przejrzałem też dokumentację, dotyczącą przeszłości pani O'Hara. On mi ją przesłał. Leczenie snem nie pomoże w jej przypadku.

- Ale mówił pan... - Anna była zakłopotana.

- Powiedziałem, że stosujemy ją w naszej klinice. Ale wtedy nie znałem jeszcze historii choroby ani nie rozmawiałem z lekarzem pani O'Hara. Możemy ją poddać takiemu leczeniu, ale stanowczo bym tego nie polecał. Z pewnością obudziłaby się odświeżona. Być może przez kilka tygodni, najwyżej miesiąc, zachowałyby równowagę, ale potem wróciłyby do dawnych nawyków. W końcu popełniłyby samobójstwo. Cały czas podświadomie do tego dąży. Ma wielki talent i naszym obowiązkiem jest jej pomóc.

- Ale jak? - zapytała Anna.

- Na pewno nie powinniśmy stosować kuracji snem czy leków. Ona i tak już wpadła w lekomanię. Nadużywanie środków nasennych jest równie niebezpieczne, jak każdy inny nałóg, i jeszcze trudniejsze do wyleczenia, ponieważ niestety poza zakładem pacjent ma łatwy dostęp do tego rodzaju leków. Trochę trudniej kupić kokainę, heroinę czy morfinę. Czy pani wie, że w dniu samobójstwa przyjaciółka zażyła pięćdziesiąt tabletek? Sprawdziłem w jej aptece. Wypisano jej receptę poprzedniego dnia. A doktor Massinger nigdy nie przepisywał jej takich leków. Na każdej recepcie od pani O'Hara widniało nazwisko innego lekarza. Znalaziono przy niej puste opakowanie po pięćdziesięciu tabletkach. W połączeniu z alkoholem tworzą bardzo niebezpieczną kombinację. Mimo to musiała podciąć sobie żyły, żeby dopiąć celu. Jej organizm wykazuje tolerancję na środki nasenne charakterystyczną dla osoby uzależnionej.

- Co pan zaleca? - zapytał Kevin.

- Chciałbym spróbować poważnej terapii psychiatrycznej. Jednak bez elektrowstrząsów. Przynajmniej na razie. Mam nadzieję, że to nie

będzie konieczne. Sądzę, że jeśli starannie nad nią popracujemy, zwrócimy światu tę pogodną, utalentowaną dziewczynę.

- Jak długo to potrwa? - dopytywała się Anna.

- Przynajmniej rok. Uśmiechnęła się ponuro.

- Nie uda się wam jej na to namówić. Ucieknijcie stąd natychmiast, kiedy tylko się dowie, że nie dostanie kuracji snem.

- Podpisała to. - Doktor Hall stuknął palcem w formularz. - Wyraziła zgodę na przymusowe leczenie. Oczywiście, myślała, że podpisuje jakieś papiery konieczne do rejestracji pacjenta. Ale własnym podpisem upoważniła nas do zatrzymania jej tutaj na co najmniej trzydzieści dni.

- Trzydzieści dni - powtórzyła z namysłem Anna. - Znam Neely. Nigdy jej nie nakłonicie, żeby została tu dłużej.

- Jeśli my tego nie zrobimy, pani może wyrazić zgodę zamiast niej.

- Ja! - zawołała przerażona. - W żadnym wypadku!

- W takim razie będziemy musieli ubezwłasnowolnić ją sądownie - odparł z uśmiechem.

- Jak to?

- Jeśli nasi psychiatrzy uznają, że konieczne jest dalsze leczenie, wnosimy sprawę do sądu. Wzywa się wtedy trzech niezależnych lekarzy. Jeśli potwierdzą naszą opinię, sąd może nakazać pacjentowi pozostanie w naszym zakładzie na trzy miesiące. Potem co trzy miesiące przymusowe leczenie jest automatycznie przedłużane. Często tak robimy - dodał pogodnie. - To pozwala uniknąć krewnym i przyjaciołom chorego poczucia winy.

- Ale w ten sposób ją oszukujecie - zaprotestowała Anna. - Myśli, że będzie spała przez tydzień. Obiecaliśmy jej...

- Panno Welles, podziwiam pani przyjaciółkę. Ma ogromny talent. Pobyt w naszej klinice kosztuje tysiąc pięćset dolarów miesięcznie, a lista chorych z całego kraju oczekujących na przyjęcie jest długa. Przyjęliśmy panią O'Hara poza kolejnością, ponieważ jest wielką artystką i musi zostać wyleczona. Proszę, żeby pani dała jej tę szansę. Błagam panią.

- Ale Neely tak bardzo chciała uniknąć leczenia w zakładzie...

- Pani O'Hara nie jest w stanie podejmować decyzji dotyczących własnej przyszłości. Mówiąc otwarcie, jeśli pozostawimy ją samej sobie, nie czeka jej żadna przyszłość.

Nagle Kevin przejął sprawy w swoje ręce.

- Wydaje mi się, że doktor Hall ma rację. Spróbujmy. Anna skinęła mechanicznie głową.

- Kiedy będziemy mogli ją zobaczyć?

- Dopiero za dwa tygodnie. Ale mogą państwo codziennie do mnie dzwonić, żeby dowiedzieć się, czy leczenie daje pożądane rezultaty. Gwarantuję, że kiedy ją państwo zobaczą, będzie w o wiele lepszej formie.

W drodze do miasta Anna milczała.

- Tysiąc pięćset dolarów miesięcznie przez cały rok? - odezwał się Kevin. - Anno, pozwól mi zapłacić.

- Nie, ja wzięłam odpowiedzialność za jej leczenie. Kevin, tak sobie myślałam... Gdybym podpisała kontrakt z Gillian... proponują mi dwa tysiące tygodniowo.

- A co z naszym ślubem? Z podróżą dookoła świata?

- Czekaliśmy tak długo. Co znaczy kilka dodatkowych miesięcy? A poza tym, nie mogę wyjechać w długą podróż i zostawić Neely w Haven Manor. Muszę ją odwiedzać.

- Po prostu nie chcesz za mnie wyjść, prawda, Anno?

- Ależ chcę, tylko...

- Nie. Właśnie dlatego płacisz rachunki Neely. Wolisz nie mieć wobec mnie żadnych zobowiązań.

- Kevin, tyle lat kazałeś mi czekać, zanim doszedłeś do wniosku, że dorosłeś do małżeństwa. Sądzę, że jesteśmy winni Neely przynajmniej te parę miesięcy.

- Więc nie wyjedziemy w podróż poślubną, dopóki Neely nie wyzdrowieje. To potrafię zrozumieć. Ale dlaczego nie możemy się pobrać? I dlaczego chcesz nadal pracować?

- Jeśli zdecyduję się płacić rachunki za Neely, muszę zarabiać. Niedawno rozmawiałam z Henrym Bellamy. Powiedział mi, że mój majątek jest wart prawie milion dolarów. Oczywiście, większość pieniędzy ulokowałam w papierach, ale to pewne papiery. Jednak nie mogłabym płacić za Neely nie naruszając kapitału, a to oznacza, że musiałabym sprzedać część akcji. Henry nie radzi mi tego robić. Uważa, że akcje AT&T nadal będą szły w górę i wkrótce podwoją wartość. Jeśli podpiszę kontrakt z Gillian na mniej więcej dwadzieścia sześć tygodni, będzie mnie stać na utrzymywanie Neely.

Wystarczyłoby to do października, a do tego czasu Neely powinna odzyskać formę. Potem się pobierzemy i wyjedziemy. Obiecuję.

Kevin patrzył w dal. Musiał się zgodzić. Niech szlag trafi tę postrzeloną dziewczynę; kiedy tylko zjawia się w mieście, są z nią same kłopoty.

Anna westchnęła.

- Biedna Neely. Pewnie do tej pory już się o wszystkim dowiedziała. Ciekawe, jak to przyjęła.

Z początku Neely zachowywała cierpliwość. Siedziała w gabinecie doktor Archer i monotonnym głosem odpowiadała na pytania lekarki. Odpałała papierosa od papierosa i z utęsknieniem czekała na igłę, która przyniesie jej wymarzony sen. W końcu odezwał się telefon. Neely domyśliła się, że dzwoni doktor Hall, żeby wydać odpowiednie polecenia.

- Tak, doktorze - odpowiedziała sucho doktor Archer. - Oczywiście. Cieszę się. Całkowicie się z panem zgadzam.

Neely ziewnęła. Świetnie. Zgadzają się. To miło. No dalej, zaczynajcie. Doktor Archer nacisnęła guzik. Neely utkwiała wzrok w jej ortopedycznych butach. Dlaczego ona nie nosi jakichś zgrabnych białych pantofli, tylko brzydkie, toporne półbuty? Rany, pewnie już się w takich urodziła! Nawet kiedy była dzieckiem, ubierali ją właśnie w takie obuwie. Na tę myśl Neely roześmiała się w głos, a lekarka spojrzała na nią zaskoczona. Do pokoju weszła druga para ortopedycznych butów. Znow ktoś w białym fartuchu.

- To jest pani O'Hara - oznajmiła doktor Archer. - Proszę ją zabrać do Budynku Czwartego.

- Czy właśnie tam stosujecie leczenie snem? - zapytała pogodnie Neely, idąc za pielęgniarką. Kobieta tylko się uśmiechnęła i bez słowa prowadziła ją dalej długim ciągiem podziemnych korytarzy. Przy każdych drzwiach zatrzymywała się, wyjmowała ciężki pęk kluczy, otwierała zamek i kiedy znalazły się po drugiej stronie, natychmiast go zamykała.

- Hej, gdzie jest ten budynek? W New Jersey? Przeszliśmy już chyba ze dwa kilometry.

- Na terenie Haven Manor znajduje się dwadzieścia budynków, nie licząc sali gimnastycznej i pawilonu do terapii zajęciowej. Wszystkie budynki stoją osobno, ale łączą je podziemne przejścia. Wyszliśmy z budynku administracji, minęliśmy Drugi i Trzeci, a

teraz zbliżamy się do Czwartego. - W jej głosie słycać było obywatelską dumę.

Budynek Czwarty wyglądał jak prywatny dom. Neely dostrzegła kobiety w różnym wieku, które oglądały telewizję w rozległym salonie. Pomyślała, że wszystkie wyglądają całkiem normalnie. Pielęgniarka poprowadziła ją długim holem, z którego wchodziło się do całego szeregu maleńkich pokoików. O rany, jakie nory! Jej sypialnia na Pięćdziesiątej Drugiej była trzy razy większa. W każdym pokoiku znajdowało się łóżko, biurko, krzesło i okno. Może pielęgniarka prowadzi ją na górę, do jakiejś luksusowej separátky, czy czegoś w tym rodzaju? Neely nie miała wątpliwości, że to nie jest oddział leczenia snem.

Siostra zatrzymała się przy małej klitce w końcu holu.

- To będzie pani pokój.

Neely chciała zaprotestować, ale zrezygnowała. Do diabła tam, i tak zaraz zaśnie. Czy to ważne, że nie ma stąd pięknego widoku? Opadła na łóżko.

- No dobra. Dawajcie tę igłę.

Pielęgniarka wyszła z pokoju. Minuty wolno upływały. Neely spojrziała na zegarek. Gdzie, do cholery, podzieli się lekarze?

- Hej tam! Co się dzieje? - zawołała. Natychmiast przybiegły dwie pielęgniarki.

- Czy czegoś sobie pani życzy, pani O'Hara?

- No, jasne. Mieli mnie przecież uśpić. Kobiety spojrzwały na siebie pytająco.

- Zgłosiłam się tutaj na kurację snem - wyjaśniła Neely.

- Znajduje się pani w Budynku Czwartym. To są pomieszczenia adaptacyjne.

- Niby do czego mam się adaptować?

- Wszyscy nowi pacjenci spędzają tutaj kilka dni, a my badamy ich przypadek. Potem przenosi się ich do budynku, który najlepiej odpowiada ich potrzebom.

Neely podeszła do biurka i otworzyła torbę. Wyjęła papierosa.

- Zawołajcie doktora Halla. Zaszło jakieś nieporozumienie. Jedna z pielęgniarek rzuciła się naprzód i odebrała Neely zapalki.

- Hej, co ty robisz? - wrzasnęła piosenkarka.

- Tutaj nie można trzymać zapalek.

- No to jak mam przypalić sobie papierosa? Pielęgniarka odebrała jej torbę.

- W sypialniach nie wolno palić. Można to robić tylko o wyznaczonych porach i pod nadzorem personelu.

Neely próbowała wyrwać torbę, ale była to nierówna walka.

- Wezwijcie doktora Halla! - zażądała.

- To są polecenia doktora Halla - wyjaśniła jedna z pielęgniarek.  
- Bardzo proszę, pani O'Hara. O piątej dostanie pani dwa papierosy. Chodźmy, pozna pani inne pacjentki.

- Co takiego? Mam się zadawać z czubkami? Jestem Neely O'Hara. Sama sobie dobieram przyjaciół. Zadzwońcie do Anny Welles albo do Kevina Gillmore'a, To jakaś kompletna bzdura. Wyjeżdżam stąd! - Ruszyła do drzwi.

Druga pielęgniarka ją zatrzymała.

- Wciąż ma zegarek - zauważyła jej koleżanka. Siłą zdjęła go z ręki Neely.

- Uważaj! Ten zegarek kosztował tysiąc dolców!

- Włożymy go do sejfu. Wychodząc stąd, odbierze go pani wraz z innymi rzeczami osobistymi.

Neely wpadła w panikę. Nigdy nie czuła takiego bezsilnego strachu.

- Zadzwońcie do Anny Welles - poprosiła. - Ona wszystko wyjaśni.

Minęło kolejne pół godziny. Neely ogarniały na przemian strach i złość. Chciało jej się palić. Dwie tabletki seconalu, które połknęła kilka godzin temu, przestały już działać, więc była całkowicie trzeźwa i przerażona. Zadzwoiła na pielęgniarkę. Kobieta zachowywała się uprzejmie, ale udzielała wymijających odpowiedzi. Pani O'Hara może zaraz zapalić papierosa, jeśli tylko przejdzie do salonu. Lepiej będzie, jeżeli się pospieszy. Jeśli się spóźni, będzie mogła zapalić dopiero o dziewiątej.

- A kim ty, do cholery, jesteś, żeby mi mówić, kiedy mogę palić?! - wrzasnęła Neely. - To nie jest przytułek dla biedaków. Płacę za pobyt tutaj i życzę sobie, żeby mnie traktowano z szacunkiem.

- Przecież my panią szanujemy. Ale w zamian musi pani przestrzegać reguł panujących w Haven Manor.

- Je nie przestrzegam żadnych reguł. Sama je ustalam! Jestem Neely O'Hara!



- Wiemy o tym. Bardzo podziwiamy pani dorobek.
- Więć rób, co ci każę! - zażądała.
- Spełniamy tylko polecenia doktora Halla i doktor Archer.

- W takim razie wezwijcie doktora Halla! - Odwróciła się tyłem do pielęgniarki. Czuła, że przerażenie ściska jej żołądek. Może ten lekarz próbuje ją oszukać? Nie, to tylko strach, nic więcej. Zaszła jakaś pomyłka. Doktor Hall nie śmiałyby tak postąpić. Przecież gdyby Anna i Kevin się o tym dowiedzieli, nieźle by mu się dostało! Pielęgniarka wróciła dziesięć minut później.

- Pani O'Hara, jeśli chce pani zapalić przed obiadem, proszę przejść do salonu. Zostało jeszcze tylko kilka minut.

- Nie pójdę do tych czubków!

Siostra zniknęła. Neely zaczęła krążyć po pokoju. Ta kuracja snem z pewnością dobrze by jej zrobiła. Przydałoby się jej też kilka laleczek. Ręce zaczynały jej dygotać. Rany, ostatnio doszło do tego, że musiała co godzina łykać kilka laleczek, żeby zachować spokój. Ale leczenie snem odzwyczaiłoby ją od tego. Doktor Massinger twierdził, że jej organizm stopniowo nabierał coraz większej tolerancji na leki. Rany, przecież po Hiszpanii te dwadzieścia czy trzydzieści laleczek dziennie to nic wielkiego. Dobrze, że stamtąd wyjechała, bo inaczej naprawdę by się rozchorowała. Niech szlag trafi tego doktora Maderę. On dał jej pierwszy zastrzyk z demerolu... O Boże, jakie to było cudowne uczucie. Znikały wszystkie troski. Po pierwszym zastrzyku leżała w łóżku przez sześć godzin. Ogarnęło ją takie niewysłowione szczęście i spokój, jakich nigdy nie zaznała. Wierzyła, że potrafi śpiewać lepiej niż kiedykolwiek, wydawać z siebie niebiańskie dźwięki, chudnąć bez zażywania tych zielonych kapsułek, grać lepiej niż największe aktorki.

Naturalnie, kiedy demerol przestał działać, poczuła się koszmarne. Nie była w stanie stawić czoła kolejnemu dniowi, następnemu kochankowi i zbliżającemu się przyjęciu. Ale doktor Madera zawsze był w pobliżu i chętnie pomagał jej w „kłopotach z kręgosłupem”. Nauczyła się tej sztuczki na planie filmowym w Hollywood. Udawała, że bolą ją plecy. W takich wypadkach prześwietlenia nic nie wykazują, a lekarze z wytwórni mogą ją badać godzinami, ale i tak nie będą w stanie zarzucić jej symulowania. Często w ten sposób udawało jej się wywalczyć kilka wolnych dni. Doktor Madera też dał się nabrać, ale on zapisał jej demerol. Tego nie

dawali jej w Hollywood. W dodatku hiszpański lekarz nie szczędził jej tego specyfiku. Przez cały cudowny rok dostawała trzy zastrzyki dziennie.

Po krótkim czasie nie kładła się po zastrzyku do łóżka. Po demerolu wracała do życia. Wychodziła z domu, żeby bawić się w nocnych klubach. I śpiewała. Rany, nigdy przedtem nie śpiewała tak pięknie. Ten film, który nakręciła w Hiszpanii... Rany, żeby tylko pokazali go w Stanach. Wspięła się w nim na najwyższe szczyty doskonałości. Wyglądała zgrabnie i kusząco - po demerolu nie chce się jeść - a jej oczy płonęły jak węgle. Jasne, działa się tak dlatego, że źrenice sztucznie się rozszerzały. Ale jej głos... Brzmiał tak czysto i wspaniale.

Potem nastąpiły kłopoty z pieniędzmi, no i nadszedł telegram z Kalifornii. Ted zamierzał zwrócić się do sądu o przyznanie mu opieki nad dziećmi, jeśli Neely nie wróci i się nimi nie zajmie. Jak mogłaby dopuścić, żeby jej synowie mieszkali z tą dziwką, jego nową żoną? Na domiar złego dowiedziała się o samobójstwie Jennifer. Musiała opuścić Hiszpanię... i porzucić demerol. Laleczki pomagały, ale teraz potrzebowała ich tak wiele, co najmniej trzydzieści dziennie. Trzydzieści tabletek seconalu... Boże, a dzisiaj połknęła zaledwie sześć, a ostatnią już dwie godziny temu. Gdzie, u diabła, podziewa się doktor Hall? Co tu się w ogóle dzieje?

Zjawiała się pielęgniarka i zawiadomiła ją, że podają właśnie kolację. Czy nie zechciałaby przejść do jadalni? O, nie!

- Dajcie mi papierosa i kilka tabletek seconalu. Przynajmniej sześć. Tyle mi potrzeba do czasu, kiedy doktor Hall rozpocznie kurację snem.

Rzuciła się na łóżko. Gardło miała suche i spękane. O rany, coś do picia, cokolwiek... W tej ciasnej klitce zaczynała się dusić. Jeśli się zaraz coś nie zmieni, ucieknie stąd. Nie powstrzymają jej, przecież nie została skazana na więzienie. Usłyszała kroki i usiadła. Może teraz wreszcie zacznie się kuracja snem. Weszła pielęgniarka z obiadem na tacy.

- Pani O'Hara, jeśli życzy sobie pani zjeść w pokoju...

Nie zdążyła dokończyć zdania. Cierpliwość Neely wyczerpała się; chwyciła tacę i cisnęła nią z całej siły. Pielęgniarka wykonała unik. Druga przybiegła jej na pomoc. Neely wybuchnęła gniewem.

- Nie chcę jeść i nie chcę się zadawać z czubkami. Chcę tylko spać. A teraz dajcie mi papierosa i zaczynajcie leczenie snem, bo inaczej zaraz stąd ucieknę. Mam dosyć!

- Pani O'Hara - odezwała się jedna z pielęgniarek, która wyglądała na przełożoną - nie będzie żadnej kuracji snem.

- Co to ma znaczyć?

- Rozmawiałam z doktorem Hallem. Nie będzie kuracji snem, nie podamy też barbituranów. Czeka panią leczenie psychiatryczne i terapia zajęciowa.

- Wychodzę! - Neely ruszyła do drzwi, ale powstrzymały ją dwie pary ramion. - Zabierzcie te brudne łapy! - wrzasnęła. - Zostawcie mnie! - Rzuciła się na kobiety z pięściami.

- Zaprowadźcie ją do Hawthorn! - krzyknęła rozkazująco pielęgniarka.

- Wracam do domu! - wrzeszczała Neely. Pojawiło się więcej pielęgniarek i nagle Neely spostrzegła, że ciągną ją po korytarzu. To niemożliwe! Ją, Neely O'Hara, ciągną siłą po korytarzu! A to nieludzkie wycie wydobywa się z jej własnego gardła! Ale przecież to nie żaden atak, po prostu się zdenerwowała, że tak ją oszukano.

Walczyła z pielęgniarkami przez całą drogę - przeciągnięto ją przez długi korytarz, drzwi otwierały się i zamykały, znalazła się w innym budynku i znów zobaczyła przed sobą korytarz. Kolejne dwie pielęgniarki przybiegły na pomoc. Ciągnęły ją wzdłuż holu, do innego małego pokoju. Mimo wściekłości spostrzegła różnicę. Tutaj nie było dywanu, zasłon i biurka, tylko łóżka - jak w więziennej celi! Ułożono ją na pościeli. Spodnie miała podarte. Na szczęście przywiozła ze sobą drugą parę.

Nadeszła młoda pielęgniarka i usiadła obok niej.

- Pani O'Hara, bardzo proszę zjeść kolację.

- Chcę wrócić do domu! - krzyknęła Neely.

- Najpierw zjedzmy kolację. Niech pani wyjdzie do innych pacjentek.

- Chcę spać. - Zaczęła szlochać. Znalazła się w pułapce. Jeszcze nigdy nie czuła się tak zniewolona. Spojrzała na okno. Nie było w nim krat... To już coś. Przysłaniała je tylko siatka, ale siatkę można przeciąć. Tylko czym? Wybiegła z pokoju i dotarła do dużego salonu. Siedziały tam pacjentki, w ciszy oglądając telewizję. Rozejrzała się gorączkowo. Czym przeciąć tę siatkę? Natrafiła wzrokiem na półkę.

Piętrzyły się na niej książki, układanki... i szachy! Chwyciła pionek. Miał niewielką główkę... Jeśli uderzy nią mocno w siatkę, może uda się ją rozerwać. Wróciła biegiem do pokoju, zaciskając pionek w dłoni.

Pielęgniarka siedziała na łóżku i spoglądała na nią. Niech sobie patrzy - myślała Neely. Jestem silniejsza. Nie da rady mnie powstrzymać. Otworzyła okno. Siostra nie ruszyła się z miejsca. Uderzyła pionkiem w siatkę, cały czas szlochając próbowała wcisnąć go między oczka i rozerwać płataninę drutów. Na pewno znajdzie jakiś słabszy punkt. Zaraz wciśnie pionek między druty i rozedrze siatkę. Na pewno...

- To jest stal - odezwała się spokojnie kobieta. - Nawet jeśli uda się pani rozerwać siatkę, i tak w dalszym ciągu będzie pani na naszym terenie. Budynki otacza dwudziestopięcioakrowy park. Główna brama jest zamknięta.

Neely upuściła pionek. Usiadła na skraju łóżka i zaczęła płakać. Pielęgniarka starała się ją uspokoić, ale łkanie tylko przybrało na sile. Neely pomyślała o Annie i Kevinie. Wrócili już do Nowego Jorku i pewnie myślą, że ona śpi tu sobie w najlepsze. Przypomniała sobie mieszkanie Anny. Dlaczego w nim nie została? Można tam było chodzić, gdzie się chce, palić papierosy, pić whisky i łykać proszki tak często, jak dusza zapragnie. Pomyślała o Hollywood... Szef... Komu teraz rozkazywał? A Ted... W Kalifornii jest teraz chyba dopiero trzecia godzina... Ciepło i świeci słońce... Ted pewnie leży nad basenem ze swoją nową żoną. A ona, wielka Neely O'Hara, siedzi zamknięta w jakimś drogim szpitalu dla wariatów! Załkała jeszcze głośniej.

Płakała chyba przez godzinę, bo kiedy podniosła wzrok, na zewnątrz zapadły ciemności. Zjawiała się siostra przełożona. Na wykrochmalonym fartuchu miała identyfikator, na którym wypisano jej nazwisko. Panna Schmidt. Wygląda jak tłusta lesba - uznała Neely.

- Pani O'Hara, jeśli się pani nie uspokoi, będziemy musieli coś zrobić, żeby pani w tym pomóc.

Aha, więc to jest ich odpowiedź. Jednak może liczyć na kilka laleczek albo zastrzyk. Już ona im pokaże. Mówiły, że nigdy nie podaje się tu barbituranów. No cóż, Neely O'Hara to zmieni. Złamie ich pieprzone reguły! Zaczęła krzyczeć.

Natychmiast zaczęło się coś dziać. Przyszła współczująca pielęgniarka.

- Pani O'Hara, musi pani z tym skończyć. Denerwuje pani pozostałe pacjentki.

- Mogą mnie pocałować w cztery litery! - wrzasnęła Neely. Krzyczała coraz głośniej.

Panna Schmidt skinęła szybko głową, dając jakiś znak pielęgniarkom. Wyprowadziły ją na korytarz. Wyrywała się, wierzgała, krzyczała - ale ich było więcej i nie miała szans. Nagle znalazła się w wielkiej łazience. Panna Schmidt i pozostałe siostry kazały jej się rozebrać.

- Co! Zachciewa wam się rozrywek, wy głupie lesby! - wrzasnęła Neely. Panna Schmidt kiwnęła głową i dwie pielęgniarki przemocą zdjęły z niej ubranie. Nagą, rozwrzeszczaną, włożyły do wanny. Nad nią umocowały dużą płachtę; przez otwór w płótnie wystawała jej tylko głowa, pod którą podłożyły jej poduszkę. Przy stoliku nie opodal usiadła pielęgniarka z notesem i ołówkiem w ręku.

Neely nadal krzyczała. Prawdę mówiąc, kąpiel była bardzo przyjemna. Zawsze lubiła moczyć się w wannie. Zwykle siedziała w wodzie, dopóki nie rozmiękła jej skóra. Ta kąpiel różniła się od normalnych. Cały czas przez wannę przepływała woda, bulgocząc wokół ciała Neely. Dawała poczucie odprężenia. Neely odepchnęła od siebie te myśli i nie przestała wrzeszczeć.

Wróciła panna Schmidt i uklękła obok niej. Z sympatią spoglądała na pacjentkę.

- Pani O'Hara, proszę spróbować się rozluźnić, żeby kąpiel mogła zadziałać.

- Zabierzcie mnie stąd! - grzmiała Neely.

- Pozostanie pani w wannie, dopóki się pani nie uspokoi albo nie zaśnie.

- Co! W całym tym cholernym stanie nie ma tyle wody, żeby mnie uśpić! - Neely nabrała powietrza i zawyła prosto w twarz panny Schmidt.

- Zdarza się, że pacjentki nie wychodzą z wanny nawet przez piętnaście godzin - odparła pielęgniarka. Podniosła się. - Wrócę tu za godzinę. Może wtedy będzie pani spokojniejsza.

Za godzinę! Neely ochrypla. Bolało ją gardło. Marzyła tylko o tym, by ułożyć się wygodnie i odpocząć, ale właśnie tego od niej

oczekiwano, właśnie do tego miał doprowadzić ten zabieg. Poczula głód... Chciało jej się palić. No i nie zaszkodziłoby połknąć kilku lalczek. O Boże, lalczki! Znowu zaczęła krzyczeć. Przeklinała doktora Halla, pielęgniarki, szpital... Kiedy zabrakło jej przekleństw, rozszlochała się. Zauważyła, że kiedy zaczęła płakać, siostra przy stoliku przestała pisać. A więc o to chodziło. Zapisywała każde słowo pacjentki, żeby wspaniały doktor Hall wszystkiego się dowiedział. Kazały jej się uspokoić, tak? O, nie! Nikt nie będzie miał spokoju, jak długo trzymają tu Neely O'Hara!

Wrzeszczała teraz jeszcze zacieklej. Wykrzykiwała najwulgarniejsze przekleństwa, jakie przychodziły jej do głowy, i zauważyła, że siostrzyczka poczerwieniała, notując te sprośności. Gdzieś w głębi serca było jej żal tej pielęgniarki. Dziewczyna miała najwyżej dziewiętnaście lat i nie ponosiła żadnej winy. To nie ona ustala reguły. Mimo to Neely nadal wyrzucała z siebie najbardziej nieprzyzwoite słowa, jakie w życiu poznała. Jednocześnie szorowała kolanami po płótnie, chociaż raniła sobie skórę. Nagle zauważyła, że może wsunąć głowę pod płachtę. Natychmiast zanurkowała.

Młoda pielęgniarka poderwała się z miejsca i wydobyła głowę pacjentki na powierzchnię. Potem rzuciła się do dzwonka. Nadbiegły inne i zacieśniły otwór w płótnie. Neely wrzeszczała coraz głośniej... Siostra jeszcze szybciej notowała jej słowa.

Kiedy Neely ukryła głowę pod płótnem, zauważyła niewielką dziurę tuż przy kranie. Nadal krzycząc, żeby dać zajęcie pielęgniarce, włożyła duży palec u nogi w pęknięcie i starała się je poszerzyć. Udało się. Wkrótce już mogła wsunąć w nie całą stopę. Bez przerwy miotała przekleństwa, a młoda kobieta nie przestawała notować. Nagle, z nadludzkim wysiłkiem, Neely napała stopą na dziurę i gwałtownie przyciągnęła kolano do piersi. Rozległ się głośny trzask i płachta rozerwała się na dwie części. Neely wyskoczyła z wanny. Siostra zadzwoniła na alarm. Do łazienki wpadła cała grupa pielęgniarek pod przewodnictwem panny Schmidt. Założono nowe płótno na wannę, ale Neely poczuła drobną satysfakcję, kiedy usłyszała szept jednej z kobiet:

- Jeszcze się nie zdarzyło, żeby któraś rozerwała płachtę!

Krzyczała chyba przez całe wieki. Zmieniła się dyżurująca pielęgniarka. Nowa była równie młoda, ale na dźwięk potoku przekleństw wydobywającego się z ust Neely nawet nie mrugnęła

okiem. Pacjentka ochrypła od wrzasków... znalazła się na skraju wyczerpania... zeszytywniały jej plecy... piekły zranione kolana... palec u nogi, którym rozerwała płótno, chyba był złamany. Mimo to nie przestawała wyć. Drzwi się otworzyły i wszedł jakiś lekarz. Postawił taboret obok wanny i usiadł.

- Dobry wieczór. Jestem doktor Clements. Mam dzisiaj obchód. Spostrzegła, że jego duży zegarek wskazuje dziewiątą. Wygląda na to, że spędziła w wannie prawie trzy godziny.

- Co mogę dla pani zrobić?

To nie ja zwariowałam, tylko oni - pomyślała Neely. Na przykład ten tutaj. Usiadł tu sobie, jakby umówił się ze mną na kawę, i nie zwraca uwagi, że uwięzili mnie w jakiejś cholernej wannie, z której wystaje mi tylko głowa. Jeszcze mnie pyta, co może dla mnie zrobić!

- W czym mogę pomóc?

Zwróciła ku niemu twarz, a łzy popłynęły jej po policzkach.

- Co z pana za psychiatra? - wyszłochała. - Jak może mi pan pomóc? Przecież każdy lekarz w tym przybytku wie, po co tu przyszedłam. To nie tajemnica, że mnie wykiwali. Obiecali mi leczenie snem, i tylko dlatego, że domagam się swoich praw, wsadzili mnie do tej wanny!

- Leczenie snem? - Lekarz był szczerze zdziwiony.

- Tak, właśnie po to się tu zgłosiłam. Na osiem dni spania. Ten śmierdziel, doktor Hall, mi to obiecał. Ale jak tylko wyjechali moi przyjaciele, trach! Wszystko się zmieniło!

Lekarz spojrział na pielęgniarkę. Kobieta wzruszyła ramionami. Zwrócił wzrok na Neely.

- Dopiero przed chwilą przyszedłem na dyżur. Nic nie wiem na temat pani przypadku. Właśnie zacząłem obchód. Jutro przedstawię raport i jestem pewien, że sprawa się wyjaśni.

- Tak po prostu, co? - Już nie krzyczała. Zauważyła zatroskany wzrok młodego lekarza. Może uda się jej do niego przemówić. - Przecież jesteś tu po to, żeby mi pomóc - ciągnęła błagalnie. - Czy nie po to studiowałeś? I jak mi pomagasz? Sporządzisz o mnie notatkę i pójdziesz do domu, żeby się wyspać we własnym łóżku, a ja tu się będę moczyła w wodzie? Gdybyś był prawdziwym człowiekiem, nie pozbawionym współczucia, dałbyś mi papierosa... coś do jedzenia... i kilka tabletek seconalu. A ty masz zamiar tylko wpisać mnie do księgi i uciec.

Lekarz wyszedł z łazienki. Znowu skupiła wszystkie siły, żeby krzyżeć jak najgłośniej. Bolało ją gardło i zmęczenie dawało się we znaki. Gdyby tylko mogła przestać... Ciepła woda miło bulgotała. Być może udałoby się jej zasnąć - ale wtedy oni by wygrali! Podobno wszystkie pacjentki siedzą w tej wannie, dopóki nie zasną. Ale nie Neely O'Hara! Jeśli przegra pierwszą bitwę, przegra i całą wojnę. Wrzeszczała coraz bardziej rozdzierająco...

Młody lekarz wrócił po godzinie. Towarzyszyła mu panna Schmidt. Otworzył torbę, nalał jakiegoś płynu do szklanki i wręczył pielęgniarce.

- Zadzwońem do doktora Halla, do domu. Przyznał, że najważniejszy dla pacjentki jest sen. Przynajmniej dzisiejszej nocy - wyjaśnił.

Panna Schmidt przytknęła szklankę do ust Neely.

- Proszę wypić. Neely odwróciła głowę.

- Nie tknę tego, dopóki mnie stąd nie wypuścicie.

- Proszę to wypić - powtórzyła łagodnie pielęgniarca. - Zaraz pani uśnie i wtedy wyjmiemy panią z wanny. Obiecuję.

Neely zrozumiała. Powiedzieli, że nie wyjdzie z wanny, jeśli sama nie uśnie, ale teraz dają jej środek nasenny. Odniosła zwycięstwo. Nie podają tu barbituranów, tak? W takim razie co to za mleczny płyn? Dała sobie wlać napój do gardła. Wypiła wszystko, co do kropli.

Chryste! Niezła mikstura! Natychmiast podziałała. To cudowne! Przestała krzyżeć. Ogarnęło ją jakieś nieziemskie uczucie. Zdejmowali płócienną płachtę... Ktoś wycierał ją miękkim ręcznikiem... Pomogli jej włożyć koszulę nocną...

- W Hawthorn nie ma już wolnych pokoi - oznajmiła pielęgniarca. - Pani O'Hara, czy pani mnie rozumie? Nie ma już żadnej jednoosobowej sypialni. Musimy umieścić panią w sali zbiorowej.

Neely machnęła ręką. Łóżko... spać... tylko tego pragnęła i nic innego jej nie obchodziło.

Kiedy się obudziła, wokół było ciemno. Gdzie ona, do cholery, jest? W jakiejś dużej sali, zastawionej rzędami łóżek. O rany, to wariatkowo! Która godzina? Wstała z łóżka. Siedząca za drzwiami pielęgniarca zerwała się z miejsca.

- Słucham, pani O'Hara?



- Która godzina?
- Czwarta rano.
- Jestem głodna.

Natychmiast dostała trochę mleka i herbatników na ładnej tacy. Pozwolono jej usiąść na ławce w korytarzu, żeby tylko nie obudziła innych czubków. Wypiła mleko i zapytała, czy może zapalić papierosa. Nie, nie może. Odpowiedziano jej uprzejmie, ale stanowczo. W takim razie, co z nią zrobią? Nie chce jej się spać, a poza tym w sali ktoś chrapie. Panna Schmidt przeprosiła ją. Niestety, osobny pokój zwolni się dopiero za kilka dni.

Neely wróciła do łóżka. Za kilka dni! Wyjedzie stąd zaraz o świcie. Na pewno jej pozwolą zadzwonić do Anny.

Chyba zasnęła, ponieważ kiedy otworzyła oczy, wokół panował ożywiony ruch. Wszystkie pacjentki już wstały. Podeszła do niej pielęgniarka, której przedtem nie widziała.

- Dzień dobry, pani O'Hara. Proszę wstawać i posłać łóżko. Łazienkę znajdzie pani w głębi korytarza.

- Posłać łóżko! - warknęła. - Nie za tę cenę, siostrzyczko. Od piętnastu lat nie ścielę sobie sama łóżka i teraz też nie zamierzam tego robić.

Zrobię to za ciebie. - Z drugiego końca sali podbiegła do niej jasnowłosa dziewczyna o miłym wyglądzie. - Nazywam się Carole.

- Dlaczego miałabyś mi ścielić łóżko? - zapytała Neely patrząc, jak nieznajoma wygląda prześcieradło.

Carole uśmiechnęła się.

- Jeśli zostawisz je nie zaścielone, wpiszą ci minus. To twój pierwszy dzień tutaj. Przyzwyczaisz się.

- Co mnie obchodzi jakiś minus?

- Przecież nie chcesz zostać w pawilonie Pod Głogami na zawsze, prawda? Lepiej przenieść się do pawilonu Pod Jodłami, potem do Pod Wiązami i Pod Jesionami, żeby wreszcie stąd wyjść i leczyć się tylko w przychodni.

- Przypomina mi to szkołę.

- Bo to pewnego rodzaju szkoła. Jesteśmy na oddziale dla pacjentów z najpoważniejszymi zaburzeniami. Kiedyś doszłam aż do Wiązów, ale... wygłupiłam się. Od dwóch miesięcy siedzę znowu Pod Głogami. Mam nadzieję, że wkrótce przeniosą mnie do Jodeł.

Neely podążyła za Carole do dużej łazienki. Około dwudziestu kobiet myło tam zęby i rozmawiało. Były w różnym wieku. Niektóre przekroczyły czterdziestkę. Zobaczyła sympatyczną panią, która wyglądała na siedemdziesiąt lat. Carole miała dwadzieścia pięć. Sześć czy siedem dziewcząt było w wieku Neely, a niektóre o wiele młodsze. Paplały jak studentki w akademiku. Neely dostała szczoteczkę. Zjawiała się salowa z wielkim pudłem.

- Dziewczęta, przyniosłam wasze szminki.

Neely nie wierzyła własnym oczom. W pudle zobaczyła dwadzieścia szminek, oznaczonych karteczkami z nazwiskiem. Znalazła też własną. Wyjęto ją z jej torby i starannie podpisano. Umalowała się i oddała szminkę salowej.

Potem ustawiono Neely w kolejce po ubranie. Inna salowa wręczyła jej stanik, majtki, buty na płaskim obcasie, spódnicę i bluzkę. Neely ze zdziwieniem spostrzegła, że są to jej własne rzeczy, do których przyszyto tasiemki z nazwiskiem. Nie przywiozła ich tutaj. Z pewnością Anna dostarczyła je w nocy, przez posłańca.

To znaczy, że Anna o wszystkim wie!

Neely zeszytywniała z przerażenia. Ubierała się wolno, próbując uporządkować rozbiegane ze strachu myśli. Poszła za Carole do rozległej sali rekreacyjnej. Światło słoneczne wlewało się przez okna, tworząc sztucznie radosny nastrój. Spojrzała na zegarek. Chryste, dopiero siódma trzydzieści! Jak jej się uda przetrwać cały dzień?

Na dziennym dyżurze pannę Schmidt zastępowała inna pielęgniarka, panna Weston. Wyglądem przypominała swoją koleżankę, a kilka młodych pielęgniarek wypełniało jej polecenia z równą gorliwością. Neely wraz z innymi zasiadła do śniadania. Jadalnia okazała się jasną, wesołą salą, w której pomiędzy czteroosobowymi stolikami dla pacjentek uwijały się kelnerki. Neely postanowiła nic nie brać do ust, ale kiedy poczuła zapach jaj smażonych na bekonie, uświadomiła sobie, że jest głodna. Zjadła solidną porcję i z całą grupą wróciła do sali rekreacyjnej.

Doszła do wniosku, że otaczające ją wariatki są bardzo dobrze wychowane. Wiedziały, że ją rozpoznały, ale tylko uśmiechały się do niej ciepło i uprzejmie, żeby jej nie zawstydzić. Wyglądała przecież okropnie. Spódnicy brakowało paska, który widocznie usunięto już w klinice. Włosy Neely zwisały w posklejanych kosmykach, kolana były czerwone i podrapane - pamiątka z nocy spędzonej w wannie.

Żałowała, że nie może wzbudzić w sobie pogodnych, koleżeńskich uczuć, które przejawiały inne kobiety.

Carole przedstawiła ją pozostałym pacjentkom. Rany, wszystkie wydawały się zupełnie zdrowe i normalne. Neely usiadła, ciekawa, co teraz nastąpi. Zjawiła się pielęgniarka i wszyscy zgromadzili się wokół niej. Trzymała przed sobą pudełko i po kolei wywoływała podopieczne, nawet „panią O'Hara". Neely podeszła bliżej. O rany, ale tu mają sprawną organizację. Nawet jej paczka papierosów została starannie podpisana. Pielęgniarka wręczyła pacjentkom po dwa papierosy, a jej koleżanka podawała ogień. Neely usadowiła się wygodnie i z przyjemnością zapaliła pierwszego od dwunastu godzin papierosa. Kiedy zaciągnęła się pierwszy raz, zakreśliło jej się w głowie. Za drugim razem odczuła przyjemność, a po trzecim myśli wreszcie się rozjaśniły. To nie do wiary. Od wczorajszego popołudnia obyla się bez papierosa - ona, która wypala ponad dwie paczki dziennie. Wolno wstała i uspokojona dawką nikotyny podeszła do biurka, za którym siedziała panna Weston.

- Chciałabym zadzwonić - oświadczyła. - Gdzie jest telefon?

- Rozmowy telefoniczne są zakazane - uprzejmie odparła siostra przełożona.

- W takim razie, jak mam się porozumieć z przyjaciółmi?

- Wolno pisać listy.

- Poproszę o pióro i papier. Pielęgniarka spojrzała na zegarek.

- Lepiej będzie z tym poczekać. Za pięć minut przyjdzie do pani lekarz.

- Doktor Hall?

- Nie, doktor Feldman. To tylko rutynowa kontrola.

Doktor Feldman okazał się internistą, a nie psychiatrą. Pobral jej krew z palca i z żyły oraz zbadał puls.

Poprosiła pielęgniarkę o ogień - chciała zapalić drugiego papierosa. Zbliżyła się do niej ciemnowłosa, ładna dziewczyna.

- Nie martw się tym badaniem. Robią je, żeby się upewnić, czy jesteś zdrowa. Byłoby im głupio, gdybyś umarła na raka czy coś w tym rodzaju, kiedy oni leczą ci głowę.

Neely spojrzała na dziewczynę. Jeśliby ją trochę umalować, byłaby piękną. Miała regularne rysy twarzy i błyszczące, czarne oczy. Kiedyś zapewne mogła się pochwalić zgrabną figurą, ale teraz

przybyło jej zbyt wiele kilogramów. Neely oceniła ją mniej więcej na trzydzieści lat.

Nowa znajoma usiadła. Ścisnęła kwadratowe pudełko.

- Nazywam się Mary Jane. Coś ci poradzę. Kiedy będziesz na sali gimnastycznej, kup pudełko papieru listowego. Kosztuje tylko dolara.

- Ale ja nie mam pieniędzy. Mary Jane uśmiechnęła się.

- Nie płacisz gotówką. Wszystko dopisują ci do rachunku za leczenie. Pudełka możesz używać zamiast torebki. - Otworzyła swoje. Neely zobaczyła w środku papier listowy i paczkę papierosów.

- Skąd masz...?

Dziewczyna uciszyła ją szybko ruchem ręki.

- W dniach wizyt możesz siedzieć z odwiedzającymi i palić jednego za drugim. Poproś, żeby ktoś ci przywiózł cały karton. Schowasz go sobie, a w przerwach na papierosa będziesz mogła wypalić choćby tuzin.

- Ale pielęgniarki podają nam ogień. Zauważą, że wypalam więcej niż dwa.

- Pielęgniarki są niegłupie. Zawsze możesz sobie odpalić od papierosa któreś z nas. To jest dozwolone. Nam, stukniętym, nie wolno tylko mieć przy sobie zapalek. Nikogo tu nie obchodzi, ile palimy. Widocznie uznają, że należą nam się w życiu jakieś przyjemności.

Neely uśmiechnęła się.

- Ty nie jesteś wariatką, prawda?

- Nie, zgłosiłam się tutaj, żeby odegrać się na mężu, tylko że obróciło się to przeciwko mnie. Mój mąż to straszny drań. Ma kupę forsy. Znalazł sobie inną. Żądał rozwodu, więc udawałam, że mi odbiło. No, wiesz, że się załamalam. To był mój największy błąd.

- Dlaczego?

- Nie zrobiłam nic specjalnego. Połknęłam kilka proszków, ściśle mówiąc trzy, i zostawiłam list pożegnalny. Tak na niby. Obudziłam się w Bellevue. Tam to naprawdę można oszaleć. Wkoło sami wariaci. Wrzeszczą, awanturują się. Ze strachu chyba rzeczywiście mi odbiło. Zaczęłam krzyczeć i zapakowali mnie w kaftan bezpieczeństwa. Potem znalazłam się tutaj, ponieważ mego męża na to stać. Sama podpisałam skierowanie. Ale kiedy chciałam wyjść, mąż wyraził zgodę na przymusowe leczenie. Jestem tu od pięciu miesięcy. Z

początku trafiłam Pod Wiązy i nie było tak źle. Można tam palić, nosić paski, a nawet się malować. Jednak kiedy się dowiedziałam, że mnie ubezwłasnowolnił, wpadłam w histerię i miałam atak, więc przenieśli mnie Pod Głogi. Uprzedzam cię; postępuj tak, jak oni oczekują. Ja tego nie robiłam. Co dzień się awanturowałam, nie chciałam jeść, odmawiałam współpracy. Spędziłam trzy tygodnie w tej przeklętej wannie. A tu trzeba być posłusznym. Nie postawisz na swoim. Oni zawsze wygrywają. Teraz zachowuję się jak aniołek, więc wkrótce przeniosą mnie Pod Jodły. Posiedzę tam trochę, potem przejdę Pod Wiązy, Pod Jesiony, na koniec będę musiała tylko co jakiś czas zgłaszać się do przychodni, aż wreszcie wyjdę stąd na dobre.

Nagle Neely zrobiło się zimno z przerażenia.

- Wygląda na to, że spędzisz tu kilka miesięcy.

- Spędzę tu około roku - odparła pogodnie Mary Jane.

- I nie masz nic przeciwko temu? Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Pewnie, że mam. Tak bardzo mi się to nie podobało, że krzyczałam przez cały tydzień. Ale z nimi nie wygrasz. Pokazują twoją kartę prawnikowi, mężowi czy komuś innemu, kto jest za ciebie odpowiedzialny. Na papierze wygląda to bardzo źle. „Pacjentka popada w stany histeryczne. Z powodu agresywnego zachowania pacjentki trzeba było zastosować kaftan bezpieczeństwa. Dwanaście godzin w wannie.” Potem mówią twojemu prawnikowi: „Proszę tylko podpisać zgodę na przymusowe leczenie przez następne trzy miesiące. Nie chce pan, żeby wróciła do społeczeństwa jako pogodna, zdrowa dziewczyna?” Jasne, biorą tysiąc pięćset dolarów za miesiąc, więc wcale im się nie spieszy, żeby cię wypuścić. W tej sytuacji postanowiłam, że nie będę się sprzeciwiać. Przeczekam. A poza tym, co mogę jeszcze stracić? Nie mam domu. Hank, mój mąż, mieszka tam ze swoją dziewczyną. Przynajmniej nie mogą się pobrać. I co miesiąc płaci za mnie półtora tysiąca.

- Ale ja się zgłosiłam tylko na osiem dni, na leczenie snem.

- Na co? - Mary Jane spojrzała na nią dziwnym wzrokiem. Neely wytłumaczyła jej, co to jest leczenie snem. Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Nigdy tego tutaj nie stosują. Nie chcą podawać nawet aspiryny.

- Zeszłej nocy coś mi dali - oświadczyła z dumą Neely. Mary Jane wybuchnęła śmiechem.

- Trzeba przyznać, że z ciebie niezły numer. Naprawdę rozdarłaś płótno? Wszyscy o tym słyszeli.

Neely skinęła głową.

- I zapewniam cię, że się stąd wydostanę. Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Życzę ci tego z całego serca. Powiedz mi tylko, jak to załatwisz. Spójrz na Peggy. Zrobili jej mężowi pranie mózgu.

Peggy zbliżyła się do nich. Była to ładna, dwudziestopięcioletnia blondynka.

- Opowiadasz jej nasze ponure historie? - zapytała.

- Dlaczego się tu znalazłaś? - zaciekawiała się Neely.

- Ponieważ odbiła mi szajba - pogodnie odparła pacjentka.

- Nieprawda - zaprotestowała Mary Jane. - Straciła dwoje dzieci jedno po drugim. Urodziły się martwe. Każdy by popadł w depresję.

Peggy uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Wiem tylko, że wystarczył widok lalki w sklepowym oknie, a zaczynałam płakać. Kiedy się tu znalazłam, jeszcze mi się pogorszyło. Czterdzieści razy poddano mnie elektrowstrząsom. Dopiero teraz znowu zaczynam się czuć jak człowiek.

Strach ścisnął Neely za gardło. Elektrowstrząsy!

- Nie przejmuj się - uspokoiła ją Mary Jane, jakby czytała w jej myślach. - Nawet jeśli się im wydaje, że powinnaś być tak leczona, i tak muszą uzyskać pozwolenie. Twój najbliżsi są za ciebie odpowiedzialni.

Neely odprężyła się.

- Anna nigdy nie wyrazi na to zgody.

- Chyba że jej również zrobią pranie mózgu, jak mężowi Peggy - odparła z uśmiechem Mary Jane. - Bo doktor Hall i doktor Archer potrafią namówić człowieka do wszystkiego, jeśli tylko im na tym zależy. Mąż Peggy przyjechał tu na pierwsze odwiedziny. Peggy zachowywała się normalnie i bardzo chciała stąd wyjść. On był zachwycony. Powiedział, że natychmiast pójdzie do biura i podpisze zezwolenie na jej wyjście z kliniki. Ha! To wystarczyło! Nie pokazał się przez następne dwa tygodnie. A nazajutrz Peggy poddano elektrowstrząsom.

- Ale dlaczego? Peggy westchnęła.

- Nie obwiniam Jima. Z początku miałam mu to za złe, ale teraz zrozumiałam. Pokazali mu notatki z obserwacji. Byłam przygnębiona, nie spałam, stale płakałam. Twierdzili, że wszystko to są symptomy depresji maniakalnej. Kto by nie płakał po stracie dwojga dzieci, w dodatku zamknięty w klinice dla nerwowo chorych? Przekonali Jima, że jeśli wrócę do domu, znowu się załamie i to być może na dobre. Jasne, że Jim wolałby mieć szczęśliwą żonę, więc podpisał zgodę na przymusowe leczenie i elektrowstrząsy.

Neely słuchała uważnie. Historie powtarzały się. Nikt tu nie był wariatem. Prawdę mówiąc, wszystkie pacjentki wydawały się normalniejsze niż ludzie, których poznała poza murami tej kliniki. Wysłuchiwała właśnie siódmej opowieści, kiedy rozległo się wołanie pielęgniarki.

- Idziemy, moje panie!

- Co teraz? - zapytała Neely.

- Gimnastyka - wyjaśniła Mary Jane.

W podwójnym szeregu podążyły za pielęgniarką. Przemierzały długie korytarze. Drzwi otwierały się i zamykały, szczękały klucze w zamkach. W końcu dotarły do wielkiej sali gimnastycznej, w której znajdował się kort do badmintona, stoły do ping - ponga, a nawet bilard. Kiedy weszły, jakaś grupa właśnie kończyła zajęcia. Mary Jane pomachała do kilku dziewcząt.

- To grupa spod Jodeł. Korzystają z sali od ósmej do ósmej trzydzieści. Te dziewczyny, do których machałam, zostały przeniesione z Głogów w zeszłym tygodniu.

Neely siedziała pod ścianą, kiedy inne pacjentki szykowały się do gry w badmintona i ping - ponga. Kupiła pudełko papieru listowego, ale nie chciała, żeby dobrano jej tenisówki. Powiedziała, że długo nie zamierza tu pozostać. Po co jej papier listowy? Chce napisać do Anny. Nie wolno jej wpadać w panikę. Mary Jane ostrzegła ją, że jeśli okaże strach, zostanie to wykorzystanie przeciwko niej.

O dziewiątej trzydzieści wyszły z sali, ustępując miejsca kolejnej grupie. Poprowadzono je do innego budynku, gdzie odbywała się terapia zajęciowa. Wszystkie dziewczęta zajęły się swoimi pracami, a nauczycielka wyjaśniła Neely, że może wybrać sobie rodzaj pracy, na przykład układanie mozaiki, robótki na drutach czy cokolwiek innego. Ona wolałaby nic nie robić! Usiadła w kącie. O Boże, jak do tego doszło? Wyrzała przez okno. Trawa zaczynała się zielenić.

Spostrzegła młodego zająca przemykającego przez park. Przynajmniej może biegać, gdzie mu się podoba. Jest wolny. Nie potrafiła dłużej znieść świadomości, że stała się więźniem. Patrzyła na nauczycielkę, która cierpliwie pomagała pacjentkom. Jasne. O piątej kończy pracę i jest wolna. Neely chciało się palić. Jeszcze bardziej brakowało jej laleczek. Chryste, oddałaby wszystko za jedną laleczkę. Czowała, że na karku występuje jej pot. Włosy miała wilgotne i bolały ją plecy. Chyba zaraz zemdleje! Jęknęła cicho. Podbiegła do niej nauczycielka.

- Bola mnie plecy - poskarżyła się Neely.

- Czy to od ćwiczeń na sali gimnastycznej? - Instruktorka była bardzo zaniepokojona.

- Nie, od dawna mam kłopoty z kręgosłupem. Znowu się odezwały.

Nauczycielka natychmiast straciła zainteresowanie dolegliwością podopiecznej.

- Dzisiaj o drugiej ma pani wyznaczoną rozmowę z psychiatrą. Proszę mu o tym powiedzieć.

W ten sposób upływał dzień. O drugiej, na spotkaniu z lekarzem, Neely była w takim stanie, że miała ochotę krzyczeć.

Doktor Seale okazał się chudym mężczyzną o czerwonej twarzy. Cały czas coś zapisywał, kiedy do niego mówiła. Dała upust nagromadzonej wściekłości. Opowiedziała, jak ją podle oszukano, obiecując kurację snem, jak nią poniewierano i lekceważono jej prośby. Odpalała jednego papierosa od drugiego. Podczas spotkań z psychiatrami pacjentkom wolno było palić, ile tylko chciały.

- Bardzo bola mnie plecy - poskarżyła się. - Proszę mi dać kilka tabletek seconalu.

Lekarz nie przestawał pisać.

- Od jak dawna bierze pani seconal? - zapytał wreszcie. Straciła cierpliwość.

- Daj pan spokój. Przecież to nie zbrodnia. Gdyby każdego, kto łyka te prochy, zamykano w wariatkowie, mielibyście tutaj połowę Hollywood, całą Madison Avenue i Broadway.

- Wydaje się pani, że zażywanie tabletek nasennych w środku dnia dla złagodzenia bólu jest normalne?

- Nie, wolałabym dostać zastrzyk z demerolu - odparła. Zadowolona spostrzegła, że ze zdziwienia uniósł brwi. - Tak. Z demerolu. - Uśmiechnęła się. - W Hiszpanii brałam je przez cały czas.



Dwa albo trzy razy dziennie. I doskonale się czułam. Nawet nakręciłam film. Sam pan widzi, że dwa ńedzne seconale to dla mnie nic takiego. Niech je pan dla mnie załatwi. Jeśli będę mogła łykać dwa co godzinę, może jakoś tu wytrzymam.

- Proszę mi opowiedzieć o swojej matce.

- Cholera! Chyba nie chce pan zaczynać tych freudowskich bzdur? Już przez to przechodziłam, dawno temu, w Kalifornii. Straciłam pięć lat i dwadzieścia tysięcy dolarów, żeby przekonać mojego psychoanalityka, że w ogóle nie pamiętam matki. Jeśli znowu mam przez to przejść, wyjdę stąd jako stara baba.

- Poproszę, żeby mi przesłano z Kalifornii dokumentację pani leczenia.

- Nie zostanę tu aż tak długo. Jeszcze dzisiaj napiszę do przyjaciółki.

- Ale musi pani tu przebywać przez co najmniej trzydzieści dni.

- Trzydzieści dni!

Powiedział jej, jaka była treść podpisanego przez nią dokumentu. Potrząsnęła głową.

- Co za granda. O wszystkim pomyśleli. Nie przyszło mi do głowy, że trzeba wynająć prawnika, kiedy się tutaj coś podpisuje.

Doktor Seale wstał.

- Zobaczymy się jutro o tej samej porze. Wzruszyła ramionami.

- Dobra, jeśli już wpakowałam się tu na trzydzieści dni, muszę sobie jakoś uprzyjemnić ten czas. Ale potem będę mogła stąd wyjść, prawda? - zapytała pośpiesznie.

- Zobaczymy - odparł wymijająco.

- Co to ma znaczyć, zobaczymy?

- Pod koniec tego okresu podsumujemy nasze obserwacje. Jeśli stwierdzimy, że się pani nadaje...

- My? Co za my? Przecież tutaj chodzi o moją osobę. To ja decyduję, czy chcę wyjść czy nie. Jak możecie mnie powstrzymać?

- Pani O'Hara, jeśli będzie pani chciała opuścić klinikę, a my dojdziemy do wniosku, że jeszcze na to za wcześnie, porozmawiamy z osobami, które są za panią odpowiedzialne. W tym wypadku z panią Welles. Poprosimy ją o zgodę na przymusowe leczenie przez dalsze trzy miesiące. Tak się stanie, jeżeli sama pani nie podpisze stosownych dokumentów.

- A co będzie, jeśli Anna odmówi?

- Wtedy podejmiemy inne niezbędne środki. Przedstawimy pani sprawę bezstronnej komisji...

Zesztywniała ze strachu.

- Ale granda...

- To nie żadna granda, pani O'Hara. Naszym zadaniem jest leczyć ludzi. Jeśli wypisalibyśmy stąd pacjentkę przed jej powrotem do zdrowia, a ona za kilka miesięcy zrobiłaby coś złego sobie albo komuś innemu... No, cóż, nie przysporzyłoby nam to sławy. Gdyby pani chciała po operacji wyjść ze szpitala, jeszcze zanim rana się zagoi, lekarz miałby prawo panią powstrzymać. Kiedy wypisujemy pacjenta z Haven Manor, jest on gotowy zająć miejsce w społeczeństwie.

- Jasne. W domu dla starców. Uśmiechnął się.

- Ma pani przed sobą długie, owocne życie. Nie będzie pani żałowała, że spędziła pani tutaj rok czy dwa.

- Rok czy dwa! - Zaczęła dygotać. - Nie! Niech pan słucha... Trzydzieści dni, w porządku, jeśli nie mam innego wyjścia. Ale to wszystko!

Znowu się uśmiechnął.

- Teraz proszę wypełnić test Rorschacha. Z niego dowiemy się więcej o pani problemach.

Neely chwyciła go za ramię.

- Posłuchaj, doktorku. Nie znam się na testach. Może mój charakter pisma dowiedzie, że mi odbiło. Ale ja nie jestem taka jak inni. Dlatego zostałam gwiazdą. Normalni ludzie nie docierają tak wysoko jak ja. Gdyby zgarnąć wszystkich gości z restauracji Sardiego i Chasensa i dać im do zrobienia test Rorschacha, nie wypuścilibyście ich stąd przez długie lata. Nie rozumie pan, że to właśnie małe dziwactwa sprawiają, że jesteśmy, kim jesteśmy.

- Zgadzam się. Oczywiście, jeśli te dziwactwa działają na pani korzyść. Ale jeśli obracają się przeciwko pani i pchają ku samozniszczeniu, wtedy my musimy wkroczyć i je zlikwidować.

- Ja nie dążę ku samozniszczeniu. Po prostu wszystko mi się nie udaje. Przez wiele lat wytwórnia traktowała mnie jak jakieś bóstwo. Załatwiała moje sprawy i nauczyłam się ją traktować jak drugą matkę. Robiła za mnie dosłownie wszystko: rezerwowała bilety lotnicze, pisała przemówienia, rozmawiała z prasą, a nawet płaciła mandaty. Stopniowo nauczyłam się we wszystkim polegać na ludziach z

wytwórni. Stajesz się jednym z nich, oni cię chronią. Nagle, kiedy ta opieka się kończy, masz wrażenie, że ktoś cię zdradził. To przeraża. Czułam się znowu jak zwyczajna Neely.

- Kto to jest „zwyczajna Neely”?

- Ethel Agnes O'Neill, która sama robiła za siebie całą brudną robotę, prała sobie majtki i o wszystko walczyła. Neely O'Hara obsługiwano jak królową. Wzbudzała szacunek. Tak powinno być, jeśli ma się prawdziwy talent. Wtedy koncentrujesz się wyłącznie na pracy. Dlatego właśnie straciłam głos. Nie potrafiłam zajmować się wszystkim naraz.

- Ale najwyraźniej Ethel Agnes O'Neill jakoś sobie z tym radziła - zauważył lekarz.

- Jasne. Jak masz siedemnaście lat, na wiele cię stać. Nie masz nic do stracenia. Zaczynasz od zera, więc możesz próbować wszystkiego. Teraz mam trzydzieści dwa lata. Ostatnio nie pracowałam, ale jestem czymś w rodzaju żyjącej legendy. Nie mogę sobie pozwolić na narażanie własnej reputacji. Właśnie dlatego nie potrafiłam dokończyć tego filmu w Hollywood. Zawarłam umowę tylko na jeden film, tym razem nie stała za mną wytwórnia, nie dbała o moją przyszłość i nie pilnowała mnie. Wykorzystali mnie, bo mieli nadzieję, że film z moim nazwiskiem szybko zarobi dla nich górę pieniędzy. Nie mogłam śpiewać, naprawdę straciłam głos. Doktor Massinger mi to wyjaśnił. Ale wytwórnia przyczepiła mi łatkę osoby trudnej i nieodpowiedzialnej. W ten sposób łatwo się mnie pozbyli.

- Wydawało mi się, że przed chwilą nazwała pani wytwórnię drugą matką.

Westchnęła.

- Te czasy już minęły. Telewizja wszystko odmieniła. Nawet Szefa. Stał się wystraszonego starym człowieczkiem, który musi się ze wszystkiego tłumaczyć udziałowcom. Słyszałam, że chcą się go pozbyć. Wszystko się zmieniło.

- Więc pani też powinna się zmienić, wydorosnąć.

- Może - zgodziła się. - Ale to nie znaczy, że mam uciekać jak wystraszonego zajęc. Jestem gwiazdą. Muszą zachowywać się jak gwiazda bez względu na to, co się dzieje.

Podprowadził ją do drzwi.

- Jutro porozmawiamy.

- Kiedy będę mogła zobaczyć się z Anną?

- Za dwa tygodnie.

Dwa tygodnie! Neely wróciła do głównej sali rekreacyjnej. Ukryła sześć papierosów w pudełku po papierze listowym, a paczkę zwróciła pielęgniarce. Nie miała zapalek, ale się tym nie martwiła.

W sali odbywały się zajęcia własne. Dziewczęta pisały listy albo grały w karty. Potem nadszedł czas na papierosy. Zdawało się, że wszyscy wokół palą jednego za drugim. Neely napisała do Anny długi, pełen przerażenia list. Opisała w nim, co się jej przydarzyło. Zakończyła stanowczym żądaniem natychmiastowego zwolnienia z kliniki. Włożyła kartkę do koperty i miała właśnie zakleić list, kiedy podeszła pielęgniarka. Na identyfikatorze miała napisane: „Panna Weston”.

- Nie wolno zaklejać - ostrzegła. - Proszę napisać nazwisko pani lekarza w rogu, w miejscu na znaczek. Doktor przeczyta list i jeśli wyrazi zgodę, wyślemy go.

Neely ze zdumienia otworzyła usta.

- To znaczy, że doktor Seale będzie czytał całą moją korespondencję?

- Takie tu panują zasady.

- Ale to nie jest w porządku. Listy są moją osobistą sprawą.

- Robimy to, żeby chronić pacjentów - wyjaśniła panna Weston.

- Chronić pacjentów! Raczej chronić tę koszmarną budę.

- Nie, proszę pani. Często się zdarza, że pacjentka jest przygnębiona i odreagowuje swoją agresję na najbliższych. Powiedzmy, że jakąś kobietę umieścił tutaj mąż. Zawsze była mu oddana i wierna, ale w klinice dostaje halucynacji i pisze mężowi, że go nienawidzi, że go zdradzała. Nawet wymienia nazwiska jego przyjaciół, którzy jakoby byli jej kochankami. Wszystko to urojenia, ale skąd mąż ma o tym wiedzieć? Dlatego właśnie lekarz przed wysłaniem czyta wszystkie listy. - Pielęgniarka z uśmiechem patrzyła, jak Neely przegląda swój list. - Proszę się nie martwić, jeśli pani napisała coś złego o doktorze Seale, albo o tym, że wcale się tu pani nie podoba. On to zrozumie i nie zatrzyma korespondencji. Zależy mu tylko na tym, żeby panią chronić. Właśnie po to wprowadzono ten przepis.

Neely podała jej kopertę. A więc doktor Seale przeczyta, że ma głowę jak dynia. I bardzo dobrze! Ukryła twarz w dłoniach. Jezu, musi stąd uciec!

Mary Jane klepnęła ją po ramieniu.

- Nie siedź w takiej pozycji. Zapiszą, że cierpisz na stany depresyjne.

Neely roześmiała się głośno, z goryczą.

- Nie śmieję się tak - ostrzegła Mary Jane. - To histeria. Jeśli chcesz się śmiać, rób to normalnie. I nie trzymaj się z dala od innych. Napiszą, że jesteś zamknięta w sobie, aspołeczna...

- Daj spokój! - krzyknęła Neely. - Mam tego dosyć.

- To prawda. Jak myślisz, dlaczego naszej dwudziestoosobowej grupy pilnuje aż sześć pielęgniarek? Jesteśmy stale pod c.o. - ciągłą obserwacją. Dwa razy na tydzień przełożone pielęgniarek spotykają się z lekarzami i zdają sprawozdanie na temat każdej z nas. Wszyscy zdają takie sprawozdania: instruktorka od terapii zajęciowej, instruktorka od gimnastyki... Już dostałaś dwa minusy. Nie ćwiczyłaś na sali gimnastycznej i nic nie robiłaś na terapii zajęciowej. Nie chciałaś zrobić jednej z tych ślicznych popielniczek z ceramiki. Pamiętaj, że Wielki Brat jest wszędzie, bez przerwy na ciebie patrzy.

Kiedy później wróciły na salę zajęć, Neely zaczęła robić pudełko na papierosy. Powiedziała sobie, że będzie je kiedyś pokazywała jako swoje pudełko za tysiąc pięćset dolarów. Gorączkowo wygładzała drewnianą powierzchnię papierem ściernym. Miała nadzieję, że nauczycielka ją obserwuje.

O piątej pacjentki zabierano do gabinetu masażu na prysznic, masaż i szwedzkie bicze. Mogło to być naprawdę przyjemne, ale Neely z trudem znosiła każdy zabieg. Zazdrościła dziewczętom, które zachowywały się jak na letnim obozie i uważały pobyt tutaj za dobrą, towarzyską zabawę. Możliwe, że dla niektórych była to ucieczka od nudnego życia, ale Neely nie potrafiła czuć się tu jak na wakacjach. Plecy dotkliwie ją bolały i trzęsły jej się ręce. Jeśli za chwilę nie dostanie laleczki, zacznie krzyczeć. Poczowała narastające mdłości. Nie wolno jej zwymiotować - dostałaby minus. Zacisnęła zęby, ale w końcu pobiegła do toalety i zwymiotowała, w tajemnicy przed wszystkimi. Wróciła i weszła do szwedzkiej łaźni. Dobrze, nie będzie się awanturować... do czasu przyjazdu Anny. Przekona ją, że czuje się wyśmienicie. Musi wyjść po trzydziestu dniach. Boże, rok grania w badmintona, gimnastyki i prac ręcznych! Można naprawdę zwariować!

O szóstej wróciły do pawilonu Pod Głogami. Pacjentki rozsiadły się w głównej sali. Większość czytała książki. Ciągłe koś częstował ją cukierkami. Nic dziwnego, że wszystkie przybrały na wadze. Mary Jane zwierzyła jej się, że przez pięć tygodni przytyła dziewięć kilo.

Nagle Carole, ta miła dziewczyna, która pościeliła za nią łóżko, wstała i zaczęła krzyczeć.

- Obraziłaś mnie! - zarzuciła dziewczynie siedzącej obok. Pacjentka spojrzała na nią zaskoczona.

- Ależ Carole, czytałam tylko książkę. Nie odezwałam się ani słowem.

- Powiedziałaś, że jestem lesbijką, tylko się do tego nie przyznaje - upierała się Carole. - Zabiję cię! - Nagle rzuciła się na sąsiadkę.

Natychmiast rozdzieliły je dwie pielęgniarki. Carole wierzgała i krzyczała, wyrywała się siostronom i przeklinała, kiedy wyciągały ją z sali.

- Dwa dni w wannie ją uspokoją - skomentowała Mary Jane.

- Czy tamta dziewczyna coś powiedziała? - zaciekawiała się Neely. Mary Jane potrząsnęła głową.

- Carole to paranoiczka. Bardzo miła dziewczyna. Całymi tygodniami zachowuje się jak anioł, i nagle nie wiadomo dlaczego coś jej strzela do głowy. Nie wierzę, żeby kiedykolwiek wyzdrowiała. Siedzi tu od dwóch lat.

Dwa lata. Po takim czasie każdy by zwariował. Przerazenie Neely sięgnęło szczytu. W plecach pulsował ból... gardło ją paliło... ale musi wytrzymać. Musi! Czy to wszystko naprawdę jej się przytrafiło? Jezu, inne gwiazdy też popełniały różne wariactwa, a potem się czytało, że poszły do sanatorium. Brzmiało to tak miło i lekko, jakby mogły stamtąd wyjść, kiedy tylko miały ochotę. Czy one również wpadały w pułapkę, czy przeżywały taki sam strach? A może tylko ją tak wykiwano? Słuchaj, Neely - powtarzała sobie - wytrzymasz. Zaczęłaś od zera i wspięłaś się na szczyt. Wyjdiesz stąd. Tylko wytrzymaj, dziewczyno.

Kolację podano o szóstej trzydzieści. Potem pacjentki wzięły prysznic i przez resztę wieczoru chodziły w piżamach i szlafrokach. Niektóre oglądały telewizję. Neely leniwie patrzyła na film, przypominając sobie, że kiedyś miała krótki romans z odtwórcą głównej roli. Boże, ci szczęśliwi ludzie poza murami tego zakładu! Jeśli kiedykolwiek stąd wyjdzie, będzie się zachowywała jak należy.

Żadnych awantur, żadnych scen... tylko dwie laleczki na noc. Zapragnęła papierosa. Wypaliła już ukryte zapasy. Mary Jane dała jej parę dodatkowych. Kilka dziewcząt opowiedziało jej swoje historie, więc starała się udawać, że słucha ich z uwagą. Nikt tu nie był wariatem, wszyscy trafili do Haven Manor przez pomyłkę.

O dziesiątej pacjentki szły do łóżka. Neely leżała w sypialni. Wkrótce dobiegł ją odgłos regularnych oddechów. Kto, do diabła, może usnąć o tak wczesnej porze? Co pół godziny pojawiała się pielęgniarka i po kolei zapalała lampkę przy każdym łóżku. Neely zaciskała powieki i udawała, że śpi - w innym razie mogliby uznać, że cierpi na głębokie zaburzenia. Słyszała, jak zegar wybił dwunastą, potem pierwszą. Pomyślała o luksusach, które wszyscy uważają za oczywiste, a które były jej teraz niedostępne, jak na przykład możliwość włączenia lampki nocnej i czytania w łóżku albo zapalenia papierosa. Nie przeszkadzało jej już tak bardzo, że nie dostała laleczek ani alkoholu, ale leżenie w ciemnościach stawało się nieznośne. Rany, jeśli przetrwa tę noc, to znaczy, że jest naprawdę silna. Nic już jej nie wykończy.

Druga godzina. Czowała potrzebę wyjścia do ubikacji. Czy to też zostanie odebrane jako zachowanie neurotyczne? Chryste, przecież to normalne, że człowiekowi chce się sikać. Wstała i wyszła na korytarz. Natychmiast u jej boku wyrosły dwie pielęgniarki.

- Czy coś się stało, pani O'Hara?

Nie, chciała tylko pójść do ubikacji. W ciągu nocy często jej się to zdarza.

Weszła do wspólnej łazienki, a pielęgniarka stanęła na warcie przy drzwiach. Boże, nie można się nawet wysikać w spokoju...

ANNA



1961

Anna siedziała przy oknie i paliła papierosa. Wizyta w Haven Manor była okropna. Neely skarżyła się i płakała błagając, żeby ją stamtąd wywieźć. Doktor Hall, doktor Archer i doktor Seale odczytywali zapiski z karty pacjentki i dowodzili, że cierpi na głębokie zaburzenia, nazwali ją „chodzącym załamaniem nerwowym” o skłonnościach samobójczych i twierdzili, że zabranie jej z kliniki równa się podpisaniu na nią wyroku śmierci. Przed rozmową z lekarzami Anna obiecała przyjaciółce, że ją stąd natychmiast uwolni, ale notatki lekarzy przemówiły do niej bardziej niż łyzy Neely.

Czy będzie w stanie spojrzeć w przerażone oczy przyjaciółki i powiedzieć jej, że musi zostać w klinice jeszcze przez co najmniej trzy miesiące? Anna już podpisała zgodę. Kevin bardzo na to nalegał. Boże, czy słusznie postąpiła? Lekarze powiedzieli, że Neely już dawniej powinna trafić do kliniki, że w dzisiejszych czasach takie leczenie to nic wstydliwego i że kiedy jej się polepszy, dokona wielu wspaniałych rzeczy. Neely przeżyje ciężkie chwile, ale na dłuższą metę przyniesie jej to korzyść. I przecież nie więziono jej w jakichś straszliwych warunkach. Klinika prezentowała się wspaniale. Za tysiąc pięćset dolarów miesięcznie nie mogło być inaczej. Jednak błagalne spojrzenie przyjaciółki wciąż poruszało sumienie Anny. Przebywanie w zamknięciu, nawet tak luksusowym, musi być okropne. Za dwa tygodnie znów odwiedzi Neely. Może do tego czasu przyjaciółka lepiej dostosuje się do nowych warunków.

Podczas następnej wizyty Neely była w świetnym humorze. Została przeniesiona do pawilonu Pod Jodłami.

- Awansowałam! - zawołała na widok Anny. - Zasłużyłam sobie na kredkę do brwi i własne biurko. Co drugi dzień dostaję paczkę papierosów. Przywiozłaś mi karton? Wspaniale. Schowam go na później. Wciąż jeszcze pielęgniarki podają mi ogień, ale ta z nocnej zmiany to moja wielbicielka. Ostatniej nocy pomogła mi wymknąć się z pokoju. W jej gabinecie oglądałyśmy jeden z moich starych filmów. Obie kopciłyśmy jak lokomotywy.

Neely trochę utyla, ale wyglądała dobrze. Nadal narzekała na ból pleców i bezsenność. Ale postanowiła, że przez te trzy miesiące wszystko wytrzyma. Nie miała żalu do Anny, ponieważ zrozumiała, że poddano ją praniu mózgu. Wszystkich tutaj to spotykało. Nie znosiła tego miejsca, ale znalazła fajne koleżanki. Jednak ostatnio

wykryła, że nie są takie normalne, jak się na pierwszy rzut oka wydawało. Mary Jane była alkoholiczką, a Pat Tomey - elegancka dziewczyna, która twierdziła, że znalazła się tutaj, ponieważ mąż chciał odebrać jej dzieci - nie miała żadnego dziecka! Od szesnastego roku życia wciąż co jakiś czas trafiała do podobnych instytucji. Neely dowiedziała się tego od pielęgniarki.

- W porównaniu z tymi świruskami jestem najzdrowszą istotą pod słońcem - zawołała. - Ale z pozoru wszystkie wydają się normalne.

W maju Neely przeżyła załamanie. Dzięki przyjaźni z pielęgniarką, którą później zwolniono, ukradła buteleczkę nembutalu. Połknęła już połowę proszków, gdy znaleziono lekarstwo pod jej materacem. Kiedy próbowano odebrać jej resztę tabletek, bronila ich własnym ciałem.

Wywrzaskiwała przekleństwa i wpadła w dziką wściekłość. Uspokoila się dopiero po dziesięciogodzinnym pobycie w wannie. Cofnięto ją Pod Głogi. Podczas wizyty Anny Neely siedziała obrażona i milcząca.

Anna nadal odwiedzała ją co tydzień. Podpisała z Gillian umowę na nowy sezon. Kevin sprzedał firmę, ale wciąż bywał w studiu. Chociaż niewiele się odzywał, jego obecność na planie krzyczała głośniejsz niż najgwałtowniejsze słowa protestu.

W głębi duszy Kevin o wszystko obwinał Neely. Powtarzał sobie, że może być pewien uczucia Anny. Nawet bez ślubu należy tylko do niego. Przecież była z nim tak długo, nawet kiedy nie miał ochoty na małżeństwo. Zdawał sobie sprawę, że przesiadywanie w studiu może być źle widziane. Nowi właściciele doskonale sobie radzili i wszystko sprawnie działało. Po prostu nie wiedział, co robić z czasem. Sporadyczne wizyty u maklera, codzienne golenie, lunch z prawnikiem... to nie wystarczało, żeby wypełnić dzień. Ku własnemu zdziwieniu stwierdził, że coraz częściej przychodzi na plan i patrzy, jak Anna nagrywa reklamy. Za każdym razem obiecywał sobie, że więcej już się tu nie pokaże.

Właśnie powtarzał to sobie po raz kolejny. Dzień był zimny i deszczowy, aż trudno było uwierzyć, że to czerwiec. Kevin siedział na korytarzu przed drzwiami, za którymi Anna odbywała próbę. Cóż, za trzy tygodnie nadawanie programu zostanie zawieszona ze względu na letnią przerwę. Anna obiecała mu, że wybiorą się razem na wakacje.

Pewnie pojedą najwyżej do Dune Deck albo Hamptons, żeby nadal mogła co tydzień odwiedzać Neely.

Podszedł do niego Jerry Richardson, reżyser, prowadząc jakiegoś nieznanego.

- Kevin, chciałbym, żebyś poznał mojego starego przyjaciela. Byliśmy razem na wojnie. Kevin Gillmore, Lyon Burke.

Na dźwięk tego nazwiska Kevin zastygł w bezruchu. To pewnie ten sam; Burke nie jest pospolitym nazwiskiem. Wyglądał bardziej na aktora niż na pisarza. W dodatku dobrze zbudowany, opalony... Kevin nagle poczuł się bezbarwny i stary. Uzmysłował sobie, jak bardzo w ostatnich latach wyłysiał. Burke miał kruczoczną czuprynę, lekko siwiejącą na skroniach. Na domiar wszystkiego łajdak uśmiechał się od ucha do ucha. Kevin rozciągnął usta w nerwowym grymasie i ucisnął rękę Lyona.

- Chce pan dołączyć do firmy? - zapytał.

- Nie. Przyjechałem do Nowego Jorku tylko na kilka dni. Jadłem właśnie lunch z Jerrym, kiedy mi powiedział, że pracuje tu moja dawna przyjaciółka, Anna Welles. Wpadłem, żeby się przywitać.

- Sprawdź, czy jest wolna - odparł prędko Kevin. - To ja ją odkryłem... Zrobiłem z niej Gillian Girl. Chodźmy, jest w studiu. - Wziął Burke'a za ramię. Chciał być obecny przy ich spotkaniu, żeby zobaczyć reakcję Anny.

Odbywała się właśnie ostatnia próba kostiumowa, więc Kevin i Lyon usiedli na widowni. Kevin wiedział, że Anna ich nie widzi, ponieważ oślepiają ją silne reflektory, i ukradkiem obserwował minę Lyona, który z zainteresowaniem patrzył na próbę.

- Jest naprawdę wspaniała - odezwał się, jakby dokonał jakiegoś zaskakującego odkrycia.

- Od samego początku była doskonała - ostrożnie odparł Kevin.

- Dzisiaj widzę ją pierwszy raz od wielu lat. Mieszkałem w Europie.

- Już kończą. Chciałby się pan z nią przywitać? - Kevin starał się, żeby jego głos brzmiał obojętnie.

- Oczywiście! - Lyon zerwał się z miejsca i podążył jego śladem. Kiedy się zbliżyli, Anna omawiała właśnie jakieś zmiany z producentem. Zobaczyła Kevina i uśmiechnęła się ciepło.

- Za sekundę będę wolna - oznajmiła puszczając do niego oko. Prześlizgnęła się wzrokiem po Lyonie, ale zaraz znowu utkwiała w nim

oczy. Na jej twarzy odmalował się wyraz zaskoczenia i niedowierzania.

- Tak, to ja - odezwał się z szerokim uśmiechem. Podeszedł i chwycił ją za rękę.

Uśmiechnęła się blado. Czuła, że drżą jej wargi. Lyon, jeszcze przystojniejszy i bardziej zniewalający niż dawniej... W końcu udało jej się odzyskać głos i powiedzieć, jak bardzo się cieszy, że go widzi.

- Możemy na chwilę gdzieś usiąść? - zapytał. - W tych reflektorach można się usmażyć. A może masz dalszy ciąg próby?

- Nie, prawdę mówiąc jestem wolna aż do czasu nagrania.

- Mam coś do załatwienia w biurze - wtrącił Kevin. - Wybierzcie się gdzieś razem. Po tak długim czasie pewnie macie sobie mnóstwo do powiedzenia.

Stał sztywno wyprostowany - najwyraźniej wysiłek, żeby zachować się dumnie i z godnością, sprawił mu wielki ból. W Annie zmiękło serce. Bał się, ale walczył ze sobą i na pokaz starał się być odważny. Ona również zmagала się ze sobą, kiedy prowadziła Lyona do swojej garderoby. Wrócił, tak po prostu - myślała. Jak mam zapomnieć o tych piętnastu latach milczenia i przyjąć go z otwartymi ramionami? Ale przecież właśnie to pragnęłabym zrobić. Kiedy patrzę na niego, mam ochotę go dotknąć. Ale teraz jest Kevin... Co by się ze mną stało, gdyby nie Kevin? I gdzie Lyon się podziewał przez te wszystkie lata!

Dotarli do garderoby i usiedli. Lyon podał jej ogień. Anna czekała, aż się odezwie pierwszy.

- Wygląda na to, że miałaś rację - oznajmił.

- W jakiej sprawie?

- Nowy Jork... twoja prawdziwa miłość. - Zatoczył krąg ramieniem, wskazując na wszystko wokół nich. - Podobało ci się w tym mieście i odniosłaś sukces. Jestem z ciebie bardzo dumny.

- Ty też odniosłeś sukces.

- Trudno go zmierzyć w dolarach i centach, nie był też tak spektakularny, ale rzeczywiście, mogę powiedzieć, że mi się udało, ponieważ robię to, co chciałem. Wierzę, że wciąż jesteś tą samą dziewczyną, która powiedziała mi, że każdy musi dać sobie taką szansę.

- Co robisz w Nowym Jorku?

- W Anglii wszyscy są zafascynowani waszą telewizją komercyjną i błyskawicznymi karierami artystów telewizyjnych. Jedna z naszych gazet przysłała mnie tutaj, żebym napisał serię artykułów omawiających różne aspekty działania sieci telewizyjnych - piosenkarki, które zarabiają miliony dzięki jednej udanej płycie, gwiazdorzy westernów, którzy kończą jako właściciele fabryk, i dziewczyny, które zostają specjalistkami od finansów reklamując lakier do paznokci.

Roześmiała się.

- Czy u was nie dzieje się tak samo?

- Jeszcze nie. Sądzę, że niedługo już tak będzie. Jesteśmy jakieś dziesięć lat za wami. Teraz mogę przygotować Brytyjczyków do nadchodzącej inwazji. - Uśmiechnął się. - Nie o taki rodzaj pisarstwa mi chodziło, kiedy zaczynałem, ale nadarzyła mi się okazja. W dodatku dobrze płatna. I dzięki niej mogę odwiedzić Stany.

- Jak długo tu zostaniesz?

- Myślę, że około sześciu tygodni.

- Widziałeś się z Henrym?

- Jedliśmy wczoraj razem lunch. Henry jest zmęczony. Chce sprzedać cały interes. George Bellows próbuje znaleźć pieniądze, a jeśli mu się nie uda, wykupi go biuro Johnsona i Harrisa. - Zapalił papierosa. - Widziałem się również z George'em. Wygląda na to, że dobrze mu się powodzi, ale nie zazdroszczę mu. Wciąż trwa ten sam wyścig szczurów.

- Nic w życiu nie przychodzi łatwo.

- Nie, nawet ta dziennikarska robota, za którą zamierzam się zabrać. Muszę dobrze poznać wszystkie problemy, dokładnie sprawdzić dane liczbowe. Nie mogę tego pisać ot tak sobie, z głowy. Mimo to chcę to robić. - Pochylił się i wziął ją za rękę. - A co u ciebie? Nie wyszłaś za mąż, nie masz dzieci. Henry mówił mi, że nadal jesteś wolna.

Odwróciła wzrok. Miała nadzieję, że gruby telewizyjny makijaż ukryje rumieniec zażenowania.

Lyon nie wypuszczał jej dłoni z uścisku.

- Ja też nie założyłem rodziny. Tylko tego żałuję. Nie spotkałem nikogo takiego jak ty. Na całym świecie nie ma takiej drugiej kobiety... - Urwał. - Bardzo chciałbym się z tobą spotykać podczas

pobytu w Nowym Jorku. Zrozumiem, jeśli się na to nie zgodzisz. Henry mówił, że ty i ten Kevin Gillmore...

- Możemy się spotykać - odparła spokojnie Anna.

- Cudownie! W takim razie kiedy?

- Jutro wieczorem, jeśli ci to odpowiada.

- Świetnie. Jak się z tobą skontaktować?

- Ja do ciebie zadzwonię - odrzekła pospiesznie. - Cały dzień będę zajęta na mieście.

Napisał jej na kartce adres hotelu i numer telefonu. Zauważyła, że zatrzymał się trzy przecznice od niej. Z uśmiechem obiecała, że zadzwoni do niego o szóstej.

- Wybierzemy się na kolację - zaproponował swobodnie. Wstał. - Pójdę już. Na pewno chcesz się odświeżyć, zanim znowu staniesz przed kamerą. Jestem z ciebie bardzo dumny. W takim razie do jutra...

Przez długi czas siedziała nieruchomo. Lyon wrócił. Nie zmieniło się nic, a jednocześnie tak wiele. Nie ma już dwudziestu lat, a upływ czasu niesie ze sobą zmiany. Teraz jest przy niej Kevin, który obdarza ją miłością i zaufaniem. To dzięki niemu zrobiła karierę. Pomyślała, że postępuje jak idiotka. Przecież Kevin jej potrzebuje, a tymczasem gdy tylko pojawił się Lyon, ona jest gotowa wszystko rzucić i zapomnieć o tych latach milczenia. Postanowiła, że kiedy jutro do niego zadzwoni, powie mu, że jest zajęta. A może w ogóle nie zadzwoni. Ona czekała tak długo, niech teraz on poczeka.

Wiedziała jednak, że i tak się z nim spotka.

Kevin rozpoczął rozmowę na temat Lyona, dopiero kiedy skończyli kolację. Zapytał niedbale, po co przyjechał do Nowego Jorku. Wyjaśniła mu, na czym polega zadanie Lyona. Kevin słuchał w skupieniu, wpatrując się w kieliszek brandy.

- Teraz, kiedy go zobaczyłem, nareszcie zrozumiałem - odezwał się w końcu. - Taki mężczyzna jak Lyon z pewnością spodobałby się każdej dwudziestolatce. Oczywiście, wszystko w nim jest trochę przesadzone. Ta uroda amanta filmowego i pozowanie na Anglika. Ale pewnie żadna młoda, niedoświadczona dziewczyna nie mogłaby mu się oprzeć.

- Tak. - Anna sączyła drinka. - Urok Lyona polega też na tym, że nie zdaje sobie sprawy z tego, jaki jest przystojny...

- Akurat! Nie oszukuj się! - odparł Kevin, trochę zirytowany. - Ten ptaszek dobrze wie, jakie robi wrażenie. Potrafi doskonale

wykorzystać swój wygląd. Każdy jego ruch jest wystudiowany. Wie też, co robić, żeby i mężczyźni go lubili. Ja sam bym go polubił, gdyby to nie był twój dawny znajomy.

Uśmiechnęła się i sięgnęła po papierosa.

- Anno. - Głos Kevina brzmiał nerwowo. - Powiedz coś. Staram się zachować spokój, tak jak w filmach, ale, na miłość boską, pomóż mi. Daj mi się czegoś uchwycić. Powiedz, że jego widok cię nie poruszył.

- Nie mogę. Skłamałabym.

- Więcej się z nim nie spotkasz, prawda?

- Jeśli mi zabronisz, nie zrobię tego.

- Ale chcesz? - Błagał Annę, żeby zaprzeczyła. Odwróciła wzrok.

- Byłoby rozsądniej, gdybym się z nim spotkała. Obojgu nam wyszłoby to na dobre. Może wszystko, co mi się w nim kiedyś podobało, okaże się tylko dziecinnym wymysłem. Sam stwierdziłeś, że jego wygląd robi oszałamiające wrażenie. A ja nie wiem, jaki on jest dzisiaj. Może naprawdę nigdy go nie znałam... Może kochałam się tylko we własnym marzeniu. Henry mnie przed tym ostrzegwał. Jeśli jednak ty i ja chcemy mieć nadzieję na wspólną szczęśliwą przyszłość, muszę się tego dowiedzieć.

- To znaczy, że potrafiłabyś zniszczyć nasz związek tylko dlatego, że ten sukinsyn przyjechał tu na zlecenie jakiejś gazety? Gdyby nie dostał tego zadania, już byś go nigdy nie zobaczyła. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Oczywiście. Zależy mi na tobie, Kevinie. I to bardzo. Spędziliśmy razem długie lata i nic tego nie zmieni. Ale moja znajomość z Lyonem urwała się tak gwałtownie. Może teraz dobiegnie do naturalnego, łagodnego końca. To właśnie chcę sprawdzić.

- Anno, nie rób tego. Nie spotykaj się z nim. - Głos Kevina przypominał ochryple krakanie.

- Kevin, proszę cię. - Rozejrzała się nerwowo po restauracji.

- Anno. - Po omacku szukał jej ręki, niemal przewracając szklankę z wodą. - Jesteś dla mnie wszystkim. Nie potrafię bez ciebie żyć!

- Nie będziesz musiał. Wpatrywał się jej w oczy.

- Przrzekasz? Spostrzegła, że Kevin płacze.

- Przrzekam - odparła znękana.

Następnego dnia nie była w stanie podjąć żadnej decyzji. Kilkanaście razy sięgała po telefon, żeby zadzwonić do Lyona i odwołać spotkanie. Nigdy jednak nie udało jej się do końca wykręcić numeru. Być może się okaże, że już nic do niego nie czuje. Może będzie mogła po prostu odejść w swoją stronę. To by wszystko rozwiązało. Przyrzekła Kevinowi, że go nie opuści, ale nie obiecywała, że nie zobaczy się z Lyonem. Musi z nim porozmawiać.

Spotkali się o siódmej w Little Club. Kiedy weszła, siedział przy barze. Zerwał się na jej widok i zaprowadził ją do stolika.

- Takie kobiety jak ty nie siadają przy barze. - Zamówił drinka i przyjrzał się jej uważnie. - Anno, wyglądasz cudownie. Ani trochę się nie zmieniłaś. Nie, to nieprawda. Jesteś teraz o wiele piękniejsza.

- Ty też nieźle się trzymasz - odparła ironicznie.

- Często o tobie myślałem - ciągnął. - Kiedy bardzo za tobą tęskniłem, na pocieszenie wymyślałem sobie nedorzeczne historie. Mówiłem sobie, że się roztyłaś, że u twojej spódnicy stale wisi sześć albo siedem zasmarkanych bachorów. Tylko dzięki temu mogłem znowu usiąść do maszyny.

Roześmiała się.

- Wiesz, ja wmawiałam sobie, że całkiem wyłysiałeś.

Po takim wstępie rozmowa potoczyła się łatwo. Anna opowiedziała mu o Jennifer, uważając, żeby nie zdradzić całej prawdy. Czuła, że legenda Jennifer musi pozostać nietknięta. Takie piękne ciało nie mogło być skażone rakiem. Dyskutowali na temat Neely. Lyon wiedział o jej problemach od Henry'ego, ale trudno mu było uwierzyć, że coś takiego przytrafiło się bystrookiej Neely, którą pamiętał z dawnych lat.

- Ma niesamowity talent - powiedział. - W Anglii cieszy się ogromną popularnością. Jak na produkty hollywoodzkie, jej filmy okazały się bardzo dobre. Mimo cukierkowej otoczki widać, że to prawdziwa artystka. Wyjdzie z tego, prawda?

Wzrok Anny zachmurzył się.

- Mówią, że dąży do samozniszczenia i że zaburzeń, na które cierpi, nie da się do końca wyleczyć. Jednak można je złagodzić i przy odpowiedniej pomocy Neely będzie potrafiła znowu normalnie żyć. Ale nigdy nie opuszczą jej skłonności autodestrukcyjne. Tak przynajmniej twierdzą lekarze.

Westchnął.



- Pewnie dlatego nigdy nie stałem się wielki. Czasami mi się zdaje, że wszyscy wielcy artyści są trochę stuknięci. Ja jestem o wiele za normalny. Zасыpiam, jak tylko przyłożę głowę do poduszki, nie nadużywam alkoholu i nigdy nie brałem nawet aspiryny.

Roześmiała się.

- Ja chyba też jestem artystką drugiego gatunku. Może trochę za dużo palę, ale wypijam najwyżej jednego drinka i, chociaż nigdy bym się do tego nie przyznała, zdarza mi się zasypiać w środku filmu nocnego.

- Nie, Anno, ty jesteś w najlepszym gatunku - odpowiedział ze śmiechem. - Nie ma drugiej takiej jak ty. Mówię prawdę. Żadna z dziewczyn, które spotykałem, nie zapadła mi tak głęboko w serce. Nie wytrzymały porównania z tobą.

Do końca kolacji rozmawiali o Nowym Jorku i zmianach, jakie zauważył w tym mieście. Polecił jej kawę po irlandzku, której nigdy przedtem nie próbowała i od razu polubiła ten napój. Wciąż jeszcze zachwycała się jego smakiem, Lyon nagle jej przerwał.

- Nic się nie zmieniło, Anno. Nawet w tej chwili mam ochotę wziąć cię w ramiona. Wydaje mi się, że nigdy się nie rozstawaliśmy.

- Ja też chciałabym, żebyś mnie wziął w ramiona. Rozciągnął usta w uśmiechu.

- Obiecuję ci to. Ale najpierw zapłacę rachunek i się stąd wyniesiemy.

To niewiarygodne. Leżała obok niego i patrzyła, jak smużka dymu z papierosa zwija się w świetle nocnej lampki... Nie wahali się, nie musieli przekraczać żadnych mostów. Połączyli się, ponaglani miłością i pragnieniem. Spełnienie było całkowite. Kiedy go obejmowała, nagle pojęła, że ważniejsze jest kochać niż być kochaną. Wiedziała, że teraz decyzja należy do niej. Lyon ją kocha, na swój własny sposób. Czy to wystarczy? Czy kiedyś zatęskni za czułym, serdecznym oddaniem Kevina? Czy zabraknie jej mężczyzny, który by żył tylko dla niej? Z Lyonem każda sekunda będzie wyzwaniem. Czy jest gotowa na taką trudną, chociaż piękną miłość?

Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po nagich plecach.

- Było cudownie, Anno. Tak jak dawniej.

- Ja czuję to samo, ale tylko z tobą.

- Przecież jest Kevin Gillmore - odparł cicho. Poczł, że zeszywniała i pogłodził ją po głowie. - Wszyscy o tym wiedzą,

kochanie. Wszyscy też mówią, że chce się z tobą ożenić. - Urwał. - Przecież wiesz, że nie przypadkiem znalazłem się wczoraj na planie. Specjalnie umówiłem się z Jerryem Richardsonem. Chciałem zobaczyć tego Kevina Gillmore'a i spotkać się z tobą.

Odsunęła się od niego i usiadła.

- Co miałam robić przez te wszystkie lata? Odciąć się od ludzi i modlić się o twój powrót? Lyon... nie napisałeś ani jednego listu, nie odezwałeś się ani słowem.... nic.

- Cii... - Położył palec na jej ustach. - Rozumiem cię. Chciałem się odezwać. Boże, napisałem tyle listów, ale żadnego nie wysłałem. To przez tę moją cholerną dumę... Obiecywałem sobie, że zrobię to po następnej książce. Wrócę jako zwycięski bohater i zabiorę swoją dziewczynę, choćby była nie wiem z kim. Ale ja nie jestem bohaterem, a Kevin Gillmore to nie pierwszy lepszy facet, tylko ktoś wyjątkowy. To dobry człowiek, Anno. I z tego co słyszałem, jest w tobie po uszy zakochany.

Milczała.

- Gdybym miał silniejszy charakter, po dzisiejszym wieczorze więcej już bym się z tobą nie spotkał - oznajmił.

- Lyon! - zawołała ze strachem. Roześmiał się głośno.

- Powiedziałem, że zrobiłbym to, gdybym miał silniejszy charakter. Obawiam się, że tak nie jest. W dodatku spotkanie z tobą zniszczyło resztki mojej silnej woli. - Potem dodał poważnym tonem: - Anno, będę tutaj na każde twoje zawołanie, kiedy tylko zechcesz. Ale na tym koniec.

- Co to ma znaczyć?

- Po wykonaniu zadania wracam do Londynu. Zaczęłem właśnie pisać nową książkę. Pierwsza wersja jest już gotowa.

- Nie mógłbyś pisać tutaj?

- Możliwe, że tak. Ale nie mógłbym się tutaj utrzymać, przynajmniej nie na dotychczasowej stopie. W Anglii mam ładne mieszkanie, dorabiam pisaniem artykułów. Tam jest inne życie, ale ja je lubię. - Po namyśle dodał: - Zarabiam wystarczająco dużo, żeby spędzać długie ponure godziny przy maszynie, pisząc tak, jak mi się podoba. Prowadzę samotne życie, ale wciąż nie opuszcza mnie nadzieja, że właśnie ta książka okaże się przełomowa. Wierzę w swoje pisanie i w to, do czego dążę. Tobie powinienem za to dziękować. Co prawda przez to cię straciłem, ale inaczej pewnie nie mogło być.

- Dlaczego nie? - Uparcie nie chciała się z nim zgodzić. - Gdybym tamtego dnia w Barberry Room trzymała język za zębami i nie nalegała, żebyś pisał, pewnie zostałbyś najpotężniejszym dyrektorem w mieście, doczekalibyśmy się dzieci i...

- I byśmy się znienawidzili. Nie, Anno. Małżeństwo nie ma szans na powodzenie, jeśli walczy się o sukces. Gdybyś się potulnie zgodziła na ten szalony pomysł, żeby zamieszkać w Lawrenceville, pewnie też by się nam nie powiodło. Chyba po prostu jestem urodzonym samotnikiem. Ale tak się cieszę, że miałem okazję jeszcze raz się z tobą spotkać. Zachowam w pamięci każdą sekundę, którą mnie obdarowałaś. Musi mi to wystarczyć na deszczowe brytyjskie noce, kiedy znowu wrócę do domu. - Objął ją mocno, a w Annie zadrżało serce, zadziwione tym nowym objawieniem miłości.

Kiedy dotarła do domu, zaczynało świtać. Wkładając klucz do zamka, zauważyła smugę światła wydobywającą się spod drzwi.

- Co się stało, że wracasz tak wcześnie? Przecież jeszcze nie ranek. - Kevin siedział w salonie i palił.

Podeszła do niego i wyrwała mu papierosa z ust.

- Nie paliłeś od czasu zawału. Co chcesz mi udowodnić? Prychnął ironicznie.

- Skąd ta wielka troska o moje zdrowie? Zdaje się, że po dzisiejszej nocy nie będziemy już długo razem.

- Dlaczego tutaj przyszedłeś?

- Ponieważ wiedziałem, że jesteś z nim. Opowiedz mi wszystko. Czy udało mu się rozproszyć twoje wątpliwości? Dobrze się bawiliście?

- Przestań! Takie zdenerwowanie może ci zaszkodzić. Jeśli chcesz tu zostać, połóż się do łóżka.

- Poszłabyś dzisiaj ze mną do łóżka? - Zauważył, że zeszywniała. - Potrafiłabyś tak przeskoczyć z jednego łóżka do drugiego? Wiesz, jak można nazwać taką kobietę?

- Kevin, nie spaliśmy ze sobą od czasu twojego pobytu w szpitalu. Nie przeszkadzało mi to. Rozumiem, że tu chodzi o twoje zdrowie i...

- I wiek. No dalej, nie wstydz się. Powiedz to.

- To, co się wydarzyło dzisiejszej nocy, dotyczy tylko Lyona i mnie, nie ma żadnego związku z moim uczuciem do ciebie.

- Myślisz, że w to uwierzę? Lyon ma odgrywać rolę namiętnego ogiera, a ja poczciwego, trzęsącego się wujaszka?

- Jesteś moim przyjacielem, częścią życia... kimś, kogo bardzo kocham. Lyon to coś zupełnie innego.

- Nie zgadzam się na taki układ. Będziesz musiała wybierać.

- Dobrze - odparła zmęczona. - Jeśli mnie do tego zmusisz. Chwycił ją za ramię.

- Nie, Anno! Nie zostawiaj mnie! - Zaczął szlochać. Miała ochotę się wyrwać, ale tylko pogłaskała go po głowie. To okropne patrzeć, jak dorosły człowiek całkowicie się załamuje. Czy to ona ponosi za to odpowiedzialność, czy zawiniła tu jego choroba i podeszły wiek?

- Kevin, nie zostawię cię.

- Ale będziesz się z nim spotykała. Myślisz, że to wytrzymam? Jak się będę czuł, wiedząc, że wracasz do mnie prosto z jego objęć?

- Kevin... - Szukała właściwych słów. - Oboje wiemy, że wiele mnie z Lyonem łączyło. Ale on wraca do Anglii. Poza tym wie, że teraz jestem z tobą. Powiedział nawet, że jesteś wyjątkowy.

- Przemawia przez niego prawdziwy Anglik. Nie wiesz, że oni wszyscy mają dekadencje skłonności? Pewnie bardzo go podnieca, że należysz jednocześnie do nas obu.

Westchnęła starając się zachować cierpliwość. Kevin z pewnością tak nie myśli. Histeryczny strach zaburza mu poczucie rzeczywistości.

- Kevin, zostanę z tobą.

- Dlaczego? Czyżby on cię nie chciał?

Odwróciła się, poszła do sypialni i zaczęła się rozbierać. To niewiarygodne. Historia się powtarza. Kevin nagle upodobił się do Allena Coopera. Ma taką samą wystraszoną minę i tak jak tamten wybucha dziecięcym gniewem. A Lyon znowu usuwa się w cień, nic nie żąda i nic nie obiecuje. Ją tymczasem rozdzierają wątpliwości. Co tak naprawdę jest winna Kevinowi? Ich związek od samego początku trudno było nazwać doskonałym. Mimo to nigdy nie dała mu powodu do zazdrości czy niepokoju. Trafiało się mnóstwo okazji, interesowało się nią wielu mężczyzn młodszych i przystojniejszych niż Kevin, ale ona nie zwracała uwagi na ich starania. Dała mu czternaście lat szczęścia - czy to nie dość, żeby spłacić każdy dług wdzięczności? Ale Kevin jej potrzebuje. Siedzi tu przez całą noc i pali. Wiedziała, co to znaczy beczynnienie na kogoś czekać. Nagle poczuła wielki

przyływ czułości i litości dla Kevina. Mój Boże, wygląda tak staro i bezbronnie. Nie potrafiłaby go zranić.

Wróciła do salonu. Siedział tam i wpatrywał się w przestrzeń, złamany i pokonany.

Rozłożyła ramiona.

- Kocham cię, Kevin. Rozbierz się, już późno. Prześpij się trochę. Jestem przy tobie i zostanę na zawsze, tak długo, jak tylko zechcesz.

Podszedł do niej chwiejnym krokiem.

- Nie spotkasz się z nim więcej? Nie spotkasz się, prawda?

- Nie, Kevinie. Już nigdy się z nim nie zobaczę.

Przez dwa tygodnie zmagala się ze sobą, żeby do niego nie zadzwonić. Starala się usunąć go z myśli. Chociaż ani razu nie zatelefonował, wiedziała, że jest w mieście i czeka. Przywoływała na pomoc całe opanowanie i dyscyplinę, jakich nauczyła się w dzieciństwie, i udało jej się nie złamać postanowienia. Zdarzały się samotne noce, podczas których spadała na nią nieopanowana chęć, by chwycić za telefon, przebiec trzy przecznice dzielące ją od hotelu Lyona. Wychodziła na taras, wdychała balsamiczne nocne powietrze i patrzyła na gwiazdy. Taka noc jest po to, żeby kochać, żeby być razem z Lyonem, a nie męczyć się w samotności. W takich chwilach niezmiennie dzwonił Kevin sprawdzając, czy jest w domu. Nigdy przedtem mu się to nie zdarzało, ale teraz wydzwaniał o najróżniejszych godzinach. Żegnając się z nią, często mówił: „No cóż, moja droga, wracam na swoje starokawalerskie gospodarstwo. Dzisiaj już tylko ciepła kąpiel i do łóżka”. Trzy godziny później cicho wchodził do jej mieszkania i tłumaczył się: „Nie mogłem zasnąć. Czy mogę tu zostać na noc?” Uśmiechała się i ukrywała litość, jaką czuła na widok malującej się na jego twarzy ulgi, że zastał ją w domu, samą.

Siedziała w „21” z Kevinem i jednym z nowych właścicieli Gillian, kiedy do restauracji wszedł Lyon. Był koniec czerwca, jeden z tych dusznych, upalnych wieczorów, które tak niespodziewanie spadają na miasto z nastaniem lata. Temperatura przekroczyła trzydzieści stopni. Anna cały dzień nagrywała reklamy, więc była zmęczona. I znudzona. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Lyon wchodzi do sali. Towarzyszyła mu dziewczyna, którą Kevin nazwałby „bombową”. Nie spostrzegł jej, kiedy szef sali zaprowadził ich do odległego stolika. Ze swojego miejsca Anna mogła go obserwować, sama nie będąc zauważona. Towarzyszka Lyona, najwyżej

dwudziestoletnia, miała kruczoczarne, opadające na ramiona włosy. Dziewczyna musiała systematycznie pracować nad opalenizną, o czym świadczył ciemnobrązowy kolor skóry. Miała ładną twarz. Obcisła biała sukienka z cienkiego materiału, podtrzymywana tylko wąskimi ramiączkami, prowokacyjnie opinała jej młodzieńcze ciało i głęboko odsłaniała dekolt. Ręka, ze zdumiewająco długimi, pomalowanymi srebrnym lakierem paznokciami, cały czas splatała się z dłonią Lyona. Dziewczyna z uwagą słuchała jego słów. Odrzuciła włosy. W pewnej chwili coś powiedziała, a Lyon odchylił głowę w tył i głośno się roześmiał. Potem przysunął się do niej i złożył lekki pocałunek na czubku jej nosa. Anna czuła, że za chwilę się rozchoruje. Ile nocy spędził z takimi dziewczętami? A ona cały czas leżała bezsennie, pragnąc go, myśląc o nim, wyobrażając sobie, że jest sam i wystarczy tylko zadzwonić...

Dawno już nie przeżyła tak okropnego wieczoru. Rozmiar własnego cierpienia przerażał ją. Od czasu wspólnych dni z Lyonem nic nie dotknęło jej równie głęboko. Teraz jej zmysły nagle na nowo się rozbudziły. Wróciły emocje, które, jak jej się wydawało, przeminęły wraz z młodością. Jednak nie umarły, tylko pograżyły się we śnie, czekając na odpowiedni sygnał. Nie odrywała oczu od Lyona i dziewczyny, dziękując opatrności, że Kevin zajął się rozmową o akcjach.

Nieźnośnie długi wieczór dobiegł wreszcie końca. Wychodząc zerknęła jeszcze raz na Lyona; był pochłonięty słuchaniem opowieści dziewczyny.

Udała, że boli ją głowa, ale Kevin nalegał, że wejdzie z nią na górę.

- Ja też ich widziałem - oznajmił, kiedy tylko znaleźli się w mieszkaniu.

- Kogo?

- Twojego kochanka i tę piękną dziewczynę. Siedziałaś tam i skręcałaś się z zazdrości, prawda? - ciągnął złośliwie. - Teraz może wreszcie zrozumiesz, jak ja się czuję!

- Kevin, jestem zmęczona.

- Ona mogłaby być twoją córką.

- Daj spokój, mam dopiero trzydzieści sześć lat.

- Wiele osiemnastolatek rodzi dzieci. Tak, tak. Mogłaby być twoją córką. Widzisz, moja złota, twój Lyon nie zrezygnował jeszcze

z łowów. Ma powodzenie, może wybierać. Nie przyszło ci czasem do głowy, że przespał się z tobą tylko ze względu na dawne czasy? Zlitował się nad tobą, tak jak ty litujesz się nade mną. Nie martw się. Pasujemy do siebie, ty i ja. Dwoje odtrąconych. I powiem ci, że nawet mi ciebie trochę szkoda. Pewnie wciąż jeszcze rozmyślasz o tej cudownej, miłosnej nocy. Wygląda na to, że podarował ci tę noc z litości i poczucia winy. - Kiedy zobaczył ból w jej oczach, rozzłościł się jeszcze bardziej. - Tylko tyle, nic więcej! Czy błagał cię, żebyś się ze mną rozstała i wyszła za niego za mąż? Jasne, że nie! Jeśli w ogóle się z kimś ożeni, to z jakąś bombową dziewczyną. Dostałaś za swoje. Pewnie, że jesteś piękna, ale powoli dobiegasz czterdziestki. Podobałaś mu się, kiedy miałaś dwadzieścia lat, ale nawet wtedy cię porzucił. A stary, dobry Kevin pomógł ci się pozbierać. To on zrobił z ciebie bogatą i sławną kobietę. - Ruszył do drzwi, ale nagle się zatrzymał. - Wiesz, ja też mógłbym poderwać jakąś dwudziestolatkę, gdybym tylko zechciał. O, nie martw się! Zostanę przy tobie. Ale teraz ja jestem górą. Od dzisiaj ja ustalę warunki. Jutro wręczysz wymówienie. Nie będę przez następny sezon przesiadywał w korytarzu, czekając, aż skończysz pracę. I wybierzemy się w tę od dawna planowaną podróż dookoła świata. Tylko już nie jestem pewien, czy powinniśmy się najpierw pobrać. Muszę nad tym pomyśleć.

Kiedy wyrzucał to z siebie, patrzyła na niego w bezruchu.

- Nie mówisz tego poważnie - odezwała się, gdy skończył. - To takie do ciebie niepodobne.

- Ależ tak, złotko. Wreszcie czuję, że znowu jestem mężczyzną. Cały czas byłem ci taki wdzięczny za łaskawość, aż do dzisiejszego wieczoru, kiedy zobaczyłem twoją twarz. Chryste, co zazdrość może zrobić z człowiekiem. Na moich oczach twój wizerunek rozpadł się w kawałki. Przy tej dziewczynie nagle wydałaś mi się wypłowiała i zużyta. Te posępne zmarszczki na czole... Moja bogini nagle przestała istnieć. Zobaczyłem wyblakłą blondynkę, patrzącą z nie skrywaną zazdrością na ogiera, który ją rzucił dla młodszej dzierlatki.

- Proszę cię, wyjdź. To niemożliwe, żebyś naprawdę tak myślał.

- Nie odgrywaj przede mną wielkiej damy. Wystarczy. Jesteś po prostu odtrąconą kobietą. Mam ci to udowodnić? O tej godzinie powinien już wrócić do hotelu. Nie mógł się doczekać, kiedy zaciągnie tę dziewczynę do łóżka. Miałaś odwagę teraz do niego

zatelefonować? Zadzwoń i powiedz mu, że chcesz się z nim spotkać. Będę patrzył na zegarek Sama się przekonasz, jak szybko odprawi cię z kwitkiem.

Ruszyła do sypialni. Pobiegł za nią, chwycił wpół i odwrócił twarzą do siebie.

- Jeszcze nie skończyłem. Słuchaj mnie, jak do ciebie mówię. Nic nie zrozumiałaś? To już koniec pozwania na wielką damę.

- Kevin, ty chyba mnie naprawdę nienawidzisz.

- Nie, żal mi ciebie. Ty czujesz do mnie to samo.

- Jeśli powiedziałeś to wszystko poważnie, to proszę cię, wyjdź i więcej nie wracaj.

- O, nie! - Na jego twarzy ukazał się pewny siebie uśmiezek. - Wyjdę dopiero, kiedy zobaczę twoje ostateczne upokorzenie. - Podniósł słuchawkę. - Zadzwoń do niego. Jestem pewien, że numer znasz na pamięć. Jeśli nie chcesz zadzwonić, ja to zrobię. Powiem mu, że nie tknęłaś kolacji i byłaś chora z zazdrości. Ja też się nauczyłem jego numeru na pamięć. Przez te dwa tygodnie oboje o nim myśleliśmy, prawda? - Zaczął wykręcać numer.

Wyrwała mu telefon, ale on odebrał jej słuchawkę i odepchnął ją.

- Kevin! - Rzeczywiście wykręcił numer i prosił telefonistkę w hotelu o połączenie z pokojem Lyona Burke'a.

- Dobrze. - Oddał jej telefon. - Porozmawiaj z nim albo ja to zrobię.

Przyłożyła słuchawkę do ucha. Usłyszała sygnał. Modliła się, żeby Lyona nie było. To nie dzieje się naprawdę. To tylko jakiś senny koszmar. Rozległ się trzask odbieranego telefonu...

- Halo? - To on.

- Lyon? - Głos jej się łamał. Chwila ciszy.

- Anna?

- Dalej - zasyczał Kevin. - Powiedz mu, że chcesz do niego przyjść.

Posłała mu błagalne spojrzenie. Kevin rzucił się, żeby odebrać jej słuchawkę. Odsunęła się od niego.

- Lyon... Chciałabym do ciebie przyjść.

- Kiedy?

- Teraz.

Przez ułamek sekundy nic nie odpowiadał. Potem powiedział radosnym tonem:



- Daj mi dziesięć minut na uporządkowanie spraw, a potem przyjeżdżaj.

- Dziękuję ci. Zaraz u ciebie będę. - Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Kevina. Twarz mu poszarzała.

- Jasne! - krzyknął. - Mogłem się tego spodziewać. Zabawicie się w trójkę, ty, Lyon i ta dzierlatka. Mówiłem ci, że Anglicy to dekadenci... Musisz się do niego dostosować, bo nie masz innego wyboru.

- Och, Kevin - jęknęła. - Co myśmy sobie zrobili?

- Właśnie odkryłem, że zmarnowałem wiele lat życia dla dziwki! Dzwiki, która uchodziła za damę! - Wyszedł trzaskając drzwiami.

Przez chwilę stała nieruchomo. W końcu gniew ustąpił miejsca mieszanemu uczuciu smutku i ulgi. Kevin podjął decyzję. Boże, zazdrość to straszna rzecz - może zmienić silnego człowieka takiego jak Kevin w emocjonalny wrak. Jednak nie odczuwała do niego wrogości. Zaląła ją fala ulgi. Była teraz lekka, jakby zdjęto jej z ramion jakiś przytłaczający ciężar. Bez względu na to, jak rozwinie się związek z Lyonem, nie będzie musiała wychodzić za mąż za Kevina. To już skończone.... Odzyskała wolność!

Odświeżyła makijaż i szybkim krokiem przebyła trzy przecznice dzielące ją od hotelu Lyona.

Drzwi otworzyły się z rozmachem.

- Już zaczynałem tracić nadzieję - przywitał ją Lyon. Szybko przebiegła wzrokiem po pokoju.

- Już wyszła - oznajmił cicho.

Udawała, że nie rozumie, o czym mówi.

- Widziałem cię, kiedy wychodziłaś z „21”. Moja śliczna mała towarzyszka pisnęła: „Czy to nie Anna Welles?” Uwielbia oglądać cię w telewizji.

- Tak, ja też cię widziałam.

- Dobrze, przynajmniej dzięki temu do mnie przyszedłeś! - Podszedł do stojącego w drugim końcu pokoju stolika do brydża, który służył jako prowizoryczny barek, i przyrządził dwa drinki. - Wiesz, showbiznes zupełnie się zmienił. Wyznaję, że już nic z tego nie rozumiem. Ale nie do mnie należy roztrząsanie przyczyn tych zmian. Ostatnia płyta Connie Masters sprzedaje się w milionach egzemplarzy. Brytyjczycy są nią zachwyceni, więc muszę napisać artykuł o jej emocjonującym życiu.

- Kto to jest Connie Masters?

- Ta ślicznotka, z którą dziś jadłem kolację. Nie powiesz mi chyba, że nigdy o niej nie słyszałaś? - Anna potrząsnęła głową, a Lyon uśmiechnął się. - Oboje jesteśmy straconym pokoleniem. Kiedy ktoś zaczyna mówić o piosenkarkach, nam przychodzą do głowy tylko Dinah, Ella albo Neely. Connie Masters to sensacja ostatnich miesięcy. Ma dziewiętnaście lat i zabiegają o nią wszystkie wytwórnie filmowe, ale ja nie potrafię słuchać jej nagrań, jeśli przedtem nie wypiję czegoś mocniejszego.

Roześmiała się.

- Wiem. Codziennie dowiaduję się o jakiejś nowej gwiazdce, o której przedtem nic nie słyszałam. Ich wielbicielami są przede wszystkim nastolatki.

- Cóż, spełniłem swój obowiązek wobec brytyjskiej prasy i miłośników muzyki na całym świecie. Twój telefon powstrzymał mnie przed przekroczeniem granicy obowiązku.

- Chcesz powiedzieć, że poszedłbyś z nią do łóżka?

- Dlaczego nie? Czuję się bardzo samotny, kiedy tak siedzę i w nieskończoność czekam na telefon od ciebie. Och, wszystko rozumiem... naprawdę. Ale ona tu była, siedziała w fotelu, który ty teraz zajmujesz, i opowiadała mi, że uwielbia starszych mężczyzn. Co miałem robić? Wyrzucić ją na ulicę w tę upalną noc?

- Daj spokój, nie jesteś taki bezradny - odparła ze śmiechem.

- Nie, ale to nowe pokolenie potrafi człowieka zaskoczyć. Młode piranie. - Podszedł do niej i podniósł ją z fotela. - Ty jesteś piękna, elegancka i niebezpieczna, a jednak przy tobie nie czuję zagrożenia. - Pocałował ją i przytulił. Nagły dzwonek telefonu przerwał ich uścisk.

- Młoda pirania - oznajmił Lyon z uśmiechem.

Odebrał telefon. Zobaczyła, że oczy mu się zwięziły. Odezwał się lodowatym tonem:

- Proponuję, żebyś sam porozmawiał z Anną. - Odwrócił się i wyciągnął do niej słuchawkę. W odpowiedzi na jej nieme pytanie wymamrotał: - Kevin Gillmore.

- Nie chcę z nim rozmawiać. - Cofnęła się.

- Wolalbym, żebyś to zrobiła - odparł. Zdawała sobie sprawę, że podczas tej rozmowy nie próbował nawet zakryć ręką mikrofonu. Kevin wszystko słyszał.

Niepewnie ujęła słuchawkę, jakby aparat miał ją poparzyć.

- Kevin?

- Anno! Wybacz mi, Anno! Właśnie powiedziałem Lyonowi Burke, że dziś wieczorem coś we mnie wstąpiło. Chyba oszalałem. Zapomnijmy o tym. Ja tak naprawdę nie myślałem. Słuchasz mnie, Anno?

- Kevin, to na nic. Między nami wszystko skończone.

- Anno, proszę... wróć do domu. Nie mówiłem poważnie. Nie musisz rezygnować z pracy... możesz robić to, na co masz ochotę... - Głos mu się załamał. - Ożenię się z tobą nawet jutro, kiedy tylko zechcesz. Poczekam. Ty ustalisz warunki. Zrobię, co zechcesz. Błagam! Ja chyba oszalałem, kiedy zobaczyłem, jak bardzo cierpisz na widok jego z tą dziewczyną. Chciałem cię zranić tak głęboko jak ty mnie. - Zaczął szlochać. - Proszę, Anno... Wiem, że jestem stary. Pozwolę ci nawet na spotkanie się z Lyonem, jeśli ci na tym zależy. Tylko nic mi o tym nie mów. Będiesz robiła, na co będziesz miała ochotę, tylko wybacz mi i nie odchodź z mojego życia. - Zakrztusił się.

- Kevin, co ci się stało?

- Nic. Chyba szedłem trochę za szybko. Dzwonię z twojego mieszkania. Całą drogę biegłem. Anno, błagam... Dla Lyona jesteś tylko kolejnym podbojem, a dla mnie całym życiem!

- Porozmawiamy jutro.

- Nie będę mógł zasnąć. Nie teraz, kiedy wiem, że jesteś z nim w... - Znowu usłyszała, że z trudem chwyta powietrze. - Proszę... Dzisiaj... tylko dzisiaj wróć do domu. Pozwól mi spać na drugim łóżku. Chcę tylko wiedzieć, że wróciłaś. Od tej chwili nie będę cię więcej sprawdzał, tylko przy mnie zostań. Nie mam szans w walce z Lyonem... Nie jestem ani młody, ani zdrowy. Proszę... Błagam!

- Dobrze. - Słuchawka ciążyła jej w dłoni jak ołów.

- Przyjdiesz do domu? - Nadzieja brzmiała w jego głosie jeszcze bardziej rozdzierała jej serce niż łzy.

- Tak... już wychodzę. - Odłożyła słuchawkę i zwróciła się do Lyona.

- Znowu rozdarła? - zapytał. Stał do niej tyłem i nalewał sobie nowego drinka.

- Co mam zrobić? Wzruszył ramionami.

- Powiedziałbym, że zależy to od tego, kogo chcesz uszczęśliwić - siebie czy swoje sumienie. Czego szukasz? Szczęścia czy spokoju ducha?

- Czy to nie to samo?

- Nie. Spokój ducha często nie przychodzi wraz z miłością. Jestem pewien, że z Gillmore'em osiągniesz spokój ducha i nie będą cię przy tym nękały wyrzuty sumienia. Przy mnie musiałabyś z nimi walczyć. Ale przecież miłość to zwykle jest walka, prawda?

- Chcesz powiedzieć, że mnie kochasz?

- Dobry Boże, czy mam to ogłosić w prasie, żeby wreszcie do ciebie dotarło? Oczywiście, że cię kocham.

- Ale skąd miałam o tym wiedzieć? Przez te dwa tygodnie ani razu do mnie nie zadzwoniłeś, nie próbowałeś mnie o tym przekonać...

- Mówię o miłości! - przerwał jej z ogniem. - Nie o żebraniu. Miłość nie powinna z nikogo robić żebraka. Nie chciałbym miłości, gdybym musiał o nią błagać, targować się albo na nią zasłużyć. Nie zniósłbym też, gdyby ktoś kiedykolwiek błagał o moje uczucie. Miłość to coś, co otrzymuje się w darze, nie można jej kupić płacąc słowami, litością, a nawet rozsądkiem. Nigdy nie będę cię o nią błagał, Anno. Kocham cię. Musisz to pojąć. Zawsze będę cię kochał...

- Wiesz, że i ja cię kocham. Zawsze cię kochałam i nigdy nie przestanę...

- W takim razie, dlaczego tutaj stoimy i bez końca drażymy ten temat? Przyszłaś do mnie i chcę, żebyś tu została. - Uśmiechnął się, ale nie podszedł do niej.

- Ale ty wracasz do Anglii...

- A Kevin zostaje w Ameryce. - Roześmiał się. - Ja mówię o miłości, a ty o geografii. Coś mi to przypomina.

- Przecież miłość oznacza wspólne plany na przyszłość... wspólne życie.

- Miłość to uczucie. Dla ciebie to kontrakt z licznymi klauzulami i warunkami, które koniecznie trzeba spełnić. - Ujął ją za rękę. - Już na to za późno, Anno. Tak, wrócę do Londynu. Tam urządziłem sobie życie. Ty masz tu wszystko. Może powinnaś wrócić do Kevina. On świetnie dopasuje się do twojego życia. Wszystko, co ja ci mogę ofiarować, to kilka tygodni razem.

- Nie przyszło ci nigdy do głowy, że może spodobałoby mi się w Londynie?

- Jestem pisarzem. Być może nie najlepszym, ale pracuję nad sobą. Nie jesteś już tą pełną zapału dwudziestolatką, która przepisywała na maszynie moje rękopisy. Z czasem byś się tym znudziła, a potem byś to znienawidziła.

Odwróciła się i wyskoczyła z pokoju. Pobiegnęła korytarzem i nacisnęła przycisk windy. Może Lyon wyjdzie za nią. Jeśli tak, to... Winda przyjechała. Anna odwróciła się i spojrzała na zamknięte drzwi do pokoju Lyona. Za nimi panowała cisza. Weszła do windy.

Wolnym krokiem ruszyła w stronę domu. Kiedy dotarła do drzwi frontowych, rozmyślnie je minęła. Musi wszystko przemyśleć. Lyon ją kocha, ale nie obiecuje jej żadnej wspólnej przyszłości. Kevin jej potrzebuje i gotów jest poświęcić jej całe życie. Proponuje jej umowę, zgadza się na stawiane przez nią warunki, ale po co jej kontrakt, za który Kevin płaci oddaniem, którego ona nie potrzebuje? Zawsze usiłowała nakłonić do czegoś Lyona, zawsze chciała mu narzucić swoją wolę. Co z tego, że nie poprosił jej, żeby wyjechała z nim do Londynu? Przecież może pojechać za nim z własnej woli. Londyn to nie koniec świata. Ale przecież to byłaby zebranina, a to by mu się nie podobało. Miłość to coś, co się otrzymuje w darze, nie należy jej wymuszać.

Wróciła pod drzwi swojego domu. Kevin jest w mieszkaniu, potrzebuje jej. Jak mogłaby go zranić z powodu kilku tygodni szczęścia? Nagle przypomniały jej się wszystkie te zmarnowane lata, które spędziła przy jego boku. Kiedy Lyon wyjedzie, przeżyje jeszcze wiele takich lat... Ale na razie Lyon jest w Nowym Jorku, a ona ma szansę cieszyć się jego bliskością. Tak, znalazła właściwe rozwiązanie. Nie powinna naciskać Lyona. Jeśli on chce ofiarować jej kilka tygodni, powinna je przyjąć, i niech na tym wszystko się zakończy. Potem, jeśli Kevin jeszcze będzie jej chciał, mogą żyć razem - dwoje odtraconych, jak on to określił. Tymczasem Lyon jest jeszcze tutaj. I ona go nie odrzuci. Przyjmie każdą sekundę, każdą minutę, jaką zechce jej podarować.

Zawróciła i ruszyła szybkim krokiem. Po chwili zaczęła biec. Nie zwalniała kroku, dopóki nie dotarła do hotelu Lyona. Wydawało jej się, że nie przeżyje długiej jazdy windą. Otworzył drzwi, wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Przywarła do niego całym ciałem.

- Dopóki tu jesteś, ja cię nie opuszczę - powiedziała. - Nie będzie żadnych pytań, żadnych planów na jutro. Liczy się tylko każda sekunda, którą mogę z tobą spędzić. Kocham cię.

Ujął jej twarz w dłonie i popatrzył w oczy.

- Każda nasza wspólna chwila zamieni się w cały wiek. Kocham cię, Anno.

Spotkała się z Kevinem następnego dnia. Wyglądał jak ciężko chory człowiek. Próbowwała mu wytłumaczyć swoje uczucia i wyjaśnić, dlaczego musi spotykać się z Lyonem. Kiedy on wyjedzie, a Kevin wciąż będzie chciał ją znać... Jeśli nie... cóż, zrozumie go.

Kevin patrzył na nią bez słowa. Nagle jego twarz pokryła się czerwonymi plamami. Zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

- Jesteś tak samo zepsuta jak twój angielski ogier! - Zdawało się, że złość dodaje mu sił. Wypadł z jej mieszkania krzycząc, że za takie poniżenie jeszcze mu zapłaci.

Tym razem nie zadzwonił z płaczliwymi słowami przeprosin. W następnych dniach czynił dziecinne wysiłki, żeby pokazywać się w miejscach publicznych z coraz to inną ze znanych piękności. Kevin, który nie znosił nocnych klubów, teraz zamawiał w nich najbardziej eksponowany stolik przy parkiecie tanecznym i w środku wieczoru pojawiał się z najatrakcyjniejszą dziewczyną, jaką udało mu się akurat złowić. Gdy tylko w mieście pojawiała się nowa wschodząca gwiazdeczka, natychmiast widywało się ją w towarzystwie Kevina. Znajomi często żartowali, że Kevin czytuje „Celebrity Service” i kiedy tylko ukazuje się wiadomość o przyjeździe jakiejś aktoreczki, gna na lotnisko, żeby się z nią umówić.

Jego ostatnią i najbardziej desperacką próbą ukarania Anny były starania o zerwanie jej kontraktu z Gillian. Ponieważ wciąż jeszcze zasiadał w zarządzie, upierał się, że ma prawo bronić wizerunku firmy, którą sam stworzył. Twierdził, że Anna „już się kończy” i że Gillian Girl powinna zostać jakaś młodsza, świeża twarz.

Na jego wniosek zwołano posiedzenie zarządu. Okazało się, że nie było to dla niego szczęśliwe posunięcie. Przegłosowano go, a w dodatku Anna otrzymała nowy dwuletni kontrakt i dziesięć tysięcy dolarów podwyżki. Tym razem umowa zastrzegała, że Anna będzie pracować wyłącznie dla telewizji. W ten sposób odniosła kolejny sukces, ponieważ dotychczas musiała brać udział w kampaniach prasowych, co dodatkowo ją obciążało.

Wiedziała o poczynaniach Kevina, ale nie potrafiła go zmienawidzić. Czuła tylko litość i przytłaczający smutek, że skończyło się to w taki sposób.

Przez następne tygodnie związek z Lyonem dostarczał jej emocji tak silnych, jakich nigdy jeszcze w życiu nie doznała. Lyonowi podobało się, że jest bardzo popularna i wielbiciele natychmiast ją rozpoznają, ale ona nie starała się tego podkreślać i całą uwagę skupiła na jego pracy. Jak mu idzie pisanie serii artykułów? Przedstawił jej swoją koncepcję. Nie zamierzał mieszać z błotem amerykańskiej telewizji, ale chciał opisać ją z ironią i humorem. Czytała brudnopisy prac Lyona i często dawała mu cenne wskazówki.

Chociaż mieszkali osobno, Lyon każdą noc spędzał w jej mieszkaniu. Pewnego wieczora oznajmił, że następnego dnia przyjedzie po nią o siódmej, ale najpierw musi zajrzeć do szafy i zabrać ubranie na zmianę. Od tej pory żartobliwie nazywali jego hotelowy pokój szafą. Jednak w miarę upływu tygodni w Annie narastała świadomość, że zadanie Lyona dobiega końca. Nie wspominał o wyjeździe, ale wiedziała, że z wolna nadchodzi czas rozstania. Wpadała w coraz większą desperację, przygniatało ją poczucie nieuchronnego końca.

Jednak pewnego czerwcowego popołudnia wstąpiła w nią nowa nadzieja.

Jedli obiad w ogródku restauracji w Village.

- To był świetny pomysł - oświadczył Lyon. Spojrzał na bezchmurne niebo i dodał: - Właśnie tego najbardziej mi brakuje, kiedy jestem w Londynie - wspaniałej pogody. Tam nigdy nie można być pewnym tak pogodnego popołudnia jak to. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że zacznie padać.

- Pierwszy raz zdarzyło ci się powiedzieć coś miłego o Nowym Jorku. - Starła się, żeby jej głos brzmiał lekko.

- Tak bardzo cię kocham, że zaczynam dostrzegać zalety tego miasta. A czy ty lubisz deszcz? Wiesz przecież, że w Londynie ciągle pada.

A więc stało się! On nie chce jej opuścić. Musi działać ostrożnie, nie wolno jej do niczego go nakłaniać. Pomysł powinien wyjść od niego. Wpatrzyła się w słupek popiołu na końcu papierosa.

- Nigdy nie byłam w Londynie.

- Pomyśl o tym. - To wszystko, co odpowiedział.

Boże, nie była w stanie myśleć o niczym innym. Przedyskutowała tę sprawę z Henrym.

- Nigdy ci się to nie uda - upierał się. - Widziałem mieszkanie Lyona. Odwiedziłem go w zeszłym roku. Według niego to pałac, ale nie ma tam nawet centralnego ogrzewania ani windy. Anno, to tylko cztery małe pokoiki.

- Ale ja mam pieniędzy ile dusza zapragnie. Moglibyśmy kupić najlepsze mieszkanie...

- Niczego się dotąd nie nauczyłaś? - zapytał surowo Henry. - Nikt nie płaci za Lyona. Musielibyście utrzymywać się z jego zarobków.

- W takim razie pogodzę się z tym - oświadczyła zdeterminowana. - Będę mieszkać, gdziekolwiek on zechce. Nie potrafię bez niego żyć. Z nim byłabym wszędzie szczęśliwa, nawet w Lawrenceville.

- A co z twoją umową z Gillian? Jeśli ją zerwiesz, być może nigdy już nie będziesz mogła pracować w telewizji.

- Henry, ile mam pieniędzy?

- Ponad milion dolarów.

- No to po co miałabym pracować?

- A co będziesz robiła w Londynie?

- Będę z Lyonem.

- Wysłuchaj mnie, Anno. Nie jesteś dzieckiem, żeby tak pochopnie zaczynać życie od nowa. Lyon też nie. Tam urządził sobie swój mały świat. Nie miałabyś przyjaciół. On całymi dniami siedzi przy maszynie do pisania. Co ty ze sobą poczniesz?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że nie mogę bez niego żyć. Henry na chwilę się zamyślił.

- Istnieje tylko jedno wyjście - odezwał się w końcu. - Musisz zatrzymać go w Nowym Jorku.

- Ale jak. Niedługo kończy pisanie artykułu. W dodatku lubi Londyn.

- Graj na zwłokę. Każdy dzień spędzony tutaj sprawia, że Lyon coraz bardziej przyzwyczaja się do tego miasta. Niech no pomyślę. Zadzwoń do kilku znajomych w Barter Publications. Może załatwimy mu zlecenie na artykuły do ich czasopism. Tylko wszystko powinno wyglądać na zbieg okoliczności.

- Co mi to da?



- Lyon zostanie tu trochę dłużej, a czas działa na twoją korzyść.

To Neely nieświadomie poddała jej ten pomysł. Anna pojechała do niej - odwiedzała przyjaciółkę regularnie co dwa tygodnie. Siedziały w starannie utrzymanym parku i rozmawiały. Panował duszny upał, ale Neely wolała przebywać na świeżym powietrzu. Utyła, ale czuła się wyśmienicie i sprawiała wrażenie osoby na najlepszej drodze do wyzdrowienia. Przeniesiono ją do pawilonu Pod Jesionami, skąd miała już tylko krok do leczenia w przychodni.

- Kiedy znowu mnie przeniosą, będę mogła przyjeżdżać do Nowego Jorku na weekendy - oznajmiła radośnie.

- Neely, myślisz, że to rozsądne?

- Pewnie. Taka jest metoda. Rany, nie można tak przez pół roku siedzieć w zamknięciu, a potem od razu wyrwać się na wolność. Każą ci to robić stopniowo. Najpierw przenosisz się do internatu przy klinice. Po miesiącu pozwalają ci wyjść na jeden wieczór do pobliskiego miasta. Można iść do kina albo do salonu kosmetycznego. Jeśli nie nawalisz, na próbę puszczają cię na weekend do Nowego Jorku. Trzeba wrócić do kliniki w poniedziałek. Wtedy cię badają, żeby sprawdzić, czy zaburzenia nie wróciły. Po pewnym czasie na tydzień jedziesz do domu. Potem wypuszczają cię na dobre, ale wciąż musisz codziennie się zgłaszać do wyznaczonego przez nich psychologa. Pacjenci najbardziej obawiają się stresów czyhających na nich w normalnym życiu.

- Masz na myśli pracę? - zapytała Anna.

- Nie, różnego rodzaju naciski. Tutaj nic takiego cię nie dotyka. Jeśli mam ochotę spać, to śpię. Jeśli nie, to co z tego? Najwyżej nie zrobię ślicznej mozaikowej popielniczki na terapii zajęciowej albo nie spiszę się podczas gry w badminton. Poza tym, jem co mi się podoba. Rany, ważę siedemdziesiąt pięć kilo, czy to ważne? Ale, Anno, śpiewam! Chryste, śpiewam jak jakiś cholerny kanarek!

- Tak się cieszę. Wiedziałam, że to kiedyś nastąpi.

- Zdarzyło się coś dziwnego. Raz w miesiącu urządzają nam tańce. Niezła impreza. Świry z męskich pawilonów zakładają najlepsze garnitury, my też się stroimy i wszyscy spotykają się w sali gimnastycznej - rzecz jasna, pod nadzorem. Chodzę na te zabawy, bo muszę. Gdybym odmówiła, dostałabym minus. Sprowadzają trzyosobowy zespół muzyczny. Pewnego razu weszłam na podium i zaczęłam się trochę wygłupiać. Nie był to najlepszy występ, bo

pianista to nauczyciel z wiejskiej szkoły, który wystukuje melodie, jakby miał drewniane palce. Ale zaśpiewałam i nagle podszedł do mnie jakiś prawdziwy szajbus, facet z szarą gębą i tępym spojrzeniem. On jest tu na stałe, więc nigdy go przedtem nie widziałam. Ci, co siedzą tu dożywotnio, rzadko przychodzą na zabawy. Są nieuleczalni i rodziny zostawiają ich tu na dobre. Jasne, że do tego trzeba być bogatym szajbusem, ale wielu tu takich mamy. W domu Ewa mieszkają nieuleczalnie chore kobiety, w domu Adam mężczyźni. Naturalnie, pawilony dla mężczyzn znajdują się na drugim końcu parku, więc nigdy nie widzimy facetów, chyba że podczas tańców. Więc ten najprawdziwszy świr podchodzi do mnie. Jakaś pielęgniarka rzuciła się, żeby go powstrzymać, ale doktor Hall dał znak, żeby go zostawić w spokoju. Okazało się, że od dwóch lat nie odezwał się ani słowem i lekarz chciał zobaczyć, o co mu chodzi. W każdym razie przywłókł się do mnie, a ja śpiewałam akurat jeden ze starych kawałków Helen Lawson. Nic nie powiedział, tylko stanął obok. Śpiewałam dalej, tym razem kilka swoich starych piosenek. A on nagle zaczął śpiewać razem ze mną, tak pięknie i harmonijnie, jak nikt nigdy dotąd ze mną nie śpiewał. To było takie cudowne, że mało nie umarłam. Anno, aż mnie ciarki przeszły. Ten świr naprawdę ma głos. W dodatku zauważyłam w nim coś znajomego. Śpiewaliśmy razem przez godzinę, a wszyscy bili nam brawo jak wariaci, nawet doktor Hall i doktor Archer. Kiedy skończyliśmy, ten szajbus dotknął mojego policzka i powiedział: „Neely, zawsze miałaś to coś, oboje to mieliśmy”. Potem odszedł. Ja stałam jak wmurowana. Później doktor Hall przyszedł do mnie i powiedział: „On leczy się u nas od dwóch lat. Jego stan jest coraz gorszy. To pilnie strzeżony sekret, ale widzę, że się znacie. Proszę nikomu o tym nie mówić. Nazywamy go tutaj panem Jones”. Nie miałam pojęcia, kto to był, ale w tym wariatkowie nauczyłam się kilku sztuczek i potrafię już przechytryć doktora Halla. Udawałam, że wszystko rozumiem, i zapytałam: „Jak mam się do niego zwracać? On mówi do mnie Neely”. Na to lekarz: „Możesz mówić do niego po imieniu, Tony, ale używaj nazwiska Jones”.

- Tony? - Anna nie wiedziała, o co chodzi.

- Tony Polar! - zawołała Neely. - Ma jakąś tam wrodzoną chorobę mózgu. To szczęście, że on i Jen nigdy nie mieli dziecka. Pewnie skończyłoby tak samo.

Jennifer usunęła ciążę! Wiedziała! Nikomu nie zdradziła tej tajemnicy. Łzy napłynęły Annie do oczu.

- Neely - odezwała się. - Jen nikomu o tym nie powiedziała, ale z pewnością znała prawdę. Proszę, nie mów o tym nikomu.

- Dlaczego? Nie jest mężem Jen. A poza tym, przecież ona nie żyje.

- Ale umarła nie zdradziwszy tego nikomu. Chciała, żeby to pozostało tajemnicą. Ze względu na nią i na niego... proszę.

- Dobra. Zresztą, kogo to obchodzi?

- Cóż, kiedy stąd wyjdiesz, mogłoby to wzbudzić wielką sensację. Nie wykorzystuj tego. Tony niepostrzeżenie zniknął ze sceny. Krążą plotki, że osiadł w Europie, ale nikt nic nie wie na pewno, i chyba teraz niewiele osób się tym interesuje. Nich tak zostanie.

- Jasne - zgodziła się Neely. - Ale mój pobyt tutaj to z pewnością nie jest sekret. Zaproponowano mi, żebym opisała swoje przeżycia dla jakiegoś czasopisma. Ukazałoby się to w dwóch częściach. Zapłacą mi dwadzieścia tysięcy. George Bellows znajdzie kogoś, kto by to dla mnie napisał.

- George Bellows? A jak do ciebie dotarł?

- Znasz te plotkarskie gazety. Piszą w nich, że jestem gruba i nie potrafię śpiewać albo że jestem chuda jak szczapa i też nie potrafię śpiewać. Napisałam więc do nich, że w połowie mają rację. Jestem gruba, ale nigdy lepiej nie śpiewałam. Potem namówiłam doktora Halla, żeby pozwolił mi nagrać taśmę i wysłać ją Henry'emu Bellamy. Poprosiłam go, żeby przekazał ją prasie. Chyba właśnie on przekazał ją George'owi, bo zanim się obejrzałam, George przyjechał tu do mnie. To on złożył mi tę ofertę. Chce się mną zająć, kiedy stąd wyjdę. Próbuje zebrać pieniądze, żeby wykupić agencję Henry'ego.

- Lyon twierdzi, że biuro Johnsona i Harrisa zamierza wchłonąć firmę.

Neely wzruszyła ramionami.

- Jeśli George w ciągu kilku tygodni będzie w stanie zapłacić tyle samo co Johnson i Harris, on kupi agencję. Być może mu się uda, jeśli namówi tę swoją żonę alkoholiczkę, żeby dała mu trochę forsy. Ta baba siedzi na milionach. Annie zakręciło się w głowie.

- Jaka żona alkoholiczka? George jest kawalerem.

- George to skryty facet. Był żonaty, kiedy go poznałyśmy. Małżeństwo trwa już dwadzieścia lat. Twierdzi, że ożenił się dla dobra firmy. Miał nadzieję, że baba za kilka lat strzeli w kalendarz, ale chociaż jej wątroba nadaje się na śmietnik, wciąż jakoś ciągnie i trzyma łapę na pieniądzach. Nie bardzo sobie wyobrażam, jak mu się uda do nich dobrać. Chyba że pomoże żonie opuścić ten świat. O ile znam George'a, byłoby go na to stać. Zawsze go nienawidziłam, sukinsyna.

- Jednak złożył ci tę propozycję.

- Dostanie należny mu procent. Powiedziałam mu, że przydałoby mi się dwadzieścia tysięcy. Opłacasz mój pobyt w klinice i muszę ci wszystko zwrócić. Pieniądze będą mi też potrzebne, kiedy mnie stąd wypuszczą. Mimo to mam nadzieję, że firma Henry'ego nie wpadnie w ręce George'a. Nie znoszę go.

Anna pożegnała się z Neely i zaczęła rozmyślać. Pomysł skryształizował się w czasie powrotnej drogi. Henry mówił, że czas działa na jej korzyść, więc takie rozwiązanie bardzo by jej pomogło. Wstawiła samochód do garażu i zadzwoniła do Henry'ego. Powiedziała, że musi się natychmiast z nim spotkać, więc umówili się na kolację w niewielkiej restauracji na Pięćdziesiątej Trzeciej.

- Dlaczego nie? - odparł Henry, kiedy wszystko mu wyjaśniła. - Lyon znakomicie by sobie poradził z opisaniem historii Neely. Zna ją od dawna. A ty zyskałabyś na tym co najmniej miesiąc.

- Ale musisz podrzucić ten pomysł George'owi, a on powinien przedstawić go Lyonowi, i to tak, żebym ja nie miała z tym nic wspólnego.

Lyon bardzo się ucieszył, słysząc propozycję George'a, jednak nie zgodził się na odwiedziny u Neely. Chciał ją widzieć taką, jaka była kiedyś, młodziutką dziewczynę o dziecinnej twarzy. Upierał się, że potrafi o niej pisać tylko z takiego punktu widzenia. Rozmawiał z nią przez telefon i wysyłał jej do oceny brudnopisy, a Neely zachwycała się rezultatami jego pracy. Pisanie szło gładko i pod koniec września Lyon był gotów do opracowania ostatecznej wersji.

Na początku października Henry spotkał się z Anną w „21”, odpowiadając na jej kolejne dramatyczne wezwanie. Z błyskiem w oku przedstawiła mu swój najnowszy pomysł. Wysłuchał jej uważnie i zdesperowany wyrzucił ramiona do góry.

- Zmierzasz do celu jak dywizja pancerna. Ale to ci się nie uda.

- Dlaczego?

- On nie chce zostać właścicielem agencji. Wiem to. Lyon lubi pisać.

- Ale Henry, mógłbyś chociaż spróbować. Powiedz mu, że nie chcesz, żeby Johnson i Harris wchłonęli firmę, którą stworzyłeś i w której pracowałeś całe życie. Proszę cię, spróbuj.

- Nawet jeśli mu powiem, że to ja pożyczam mu pieniądze, i tak w końcu wszystko odkryje.

- Będę się o to martwiła, kiedy nadejdzie pora. Henry, nie mam chwili do stracenia.

Lyon z namysłem sączył kawę.

- Bardzo mi pochlebiasz, Henry... ale nie jestem człowiekiem, jakiego szukasz.

Henry zaczekał, aż kelner, który nalewał mu kawy do filiżanki, odejdzie.

- Słuchaj, Lyon - odezwał się w końcu. - Poświęciłem tej firmie całe życie. Biuro Johnsona i Harrisa nie zasługuje na tę plejadę gwiazd, którą do siebie ściągnąłem. George Bellows też niczym nie zasłużył, żeby na koniec spotkał go taki los. Pewnie, że go nie wyrzucą z pracy. Zrobią go jednym z wiceprezesów. Dadzą mu kopniaka w górę, ale odsuną go od najważniejszych decyzji i będzie zmuszony sam zrezygnować. Przyznam ci się, że bardzo mnie to gryzie. Właśnie dlatego proponuję ci pożyczkę na kupno agencji wspólnie z George'em.

- Ale dlaczego wybrałeś mnie? Dlaczego nie pożyczysz tych pieniędzy George'owi?

- Jak sądzisz, dlaczego George nie jest w stanie zebrać całej sumy?

- Bo to pewnie bardzo dużo.

- Nie. Rozeszła się pogłoska, że sam nie da sobie rady. To wspaniały biznesmen, ale nie umie postępować z ludźmi. Połowa gwiazd by odeszła. Ale jeśli wyznaczę ciebie, jeśli rozegramy to prawidłowo... Zacniemy od plotek na kolumnach towarzyskich... jak to wezwałem cię z Londynu... potem nagłośnimy sprawę... Wiesz przecież, ilu ludzi jeszcze pamięta, że byłeś bardzo dobry. Lyon potrząsnął głową.

- Jestem ci wdzięczny i czuję się zaszczycony, ale muszę odmówić. Dobrze mi w Londynie. Nie chcę kłopotów związanych z

prowadzeniem agencji. Nienawidzę tego wyścigu po sukces, za to bardzo lubię pisać.

- A co z Anną?

Lyon w skupieniu patrzył na papierosa.

- Jeślibym się na to zdecydował, to tylko ze względu na Annę. Czy ona wie o twojej propozycji?

- Nie. - Henry miał nadzieję, że jego odpowiedź zabrzmiała przekonywająco. - Nic jej nie mówiłem, bo wydaje mi się, że wolałaby, żebyś podjął tę decyzję bez żadnych nacisków z jej strony.

- Ale, Henry, musiałbyś mi udzielić takiej wielkiej pożyczki.

- Nie potrzebuję pieniędzy. Po prostu chcę się wycofać. Ostatni kardiogram przekonał mnie, że już najwyższy czas. Jednak chciałbym mieć pewność, że agencja będzie nadal działała. Mógłbyś mnie spłacać w niewielkich rocznych ratach. Nie martwię się o to.

- Czy byłoby ci bardzo przykro, gdybym odmówił?

- Tak. Już raz mnie opuściłeś, kiedy cię potrzebowałem. Teraz znowu cię potrzebuję. Chcę, żebyś wspólnie z George'em poprowadził agencję.

1962

Drugiego stycznia 1962 roku agencja Bellamy i Bellows oficjalnie zmieniła nazwę na Bellamy, Bellows i Burke. George został prezesem, Lyon wiceprezesem, a Henry całkowicie się wycofał. Jednak Lyon uparł się, żeby jego nazwisko pozostało w nazwie firmy. Z okazji zmiany kierownictwa zaproszono na szampana dziennikarzy i klientów agencji. Spotkanie zmieniło się w podwójną uroczystość, kiedy Lyon ogłosił, że on i Anna zamierzają się nazajutrz pobrać.

Przyjęcie było w pełnym rozkwicie, kiedy Henry odwołał Annę na bok. Nikt nie zauważył ich krótkiej narady.

- Za rok Lyon odkryje prawdę - wyszeptał Henry.

- Czy wszystko rzeczywiście musi wyjść na jaw?

- W przyszłym roku złożycie wspólne zeznanie podatkowe.

Wtedy się dowie, że to ty pożyczyłaś mu pieniądze na zakup agencji. Przecież będzie ci wypłacał procenty od zaciągniętej pożyczki, a to trzeba ujawnić w zeznaniu.

- Ale dlaczego ty nie pożyczyłaś mu pieniędzy? Wtedy ja mogłabym z kolei pożyczyć tobie i...

- I narobiliśmy sobie kłopotów w urzędzie podatkowym. Anno, ja nie mam tyle odłożonego kapitału co ty. Nie zarabiałem na czysto dwóch tysięcy tygodniowo i nikt nie dał mi dużych pakietów akcji Gillian. Nie miałem też takiego faceta jak Henry Bellamy, który dawno temu pomógłby mi zainwestować sto tysięcy w akcje AT&T, żebym mógł spokojnie patrzeć, jak podwajają swoją wartość. Nie mogę zainwestować swoich prywatnych pieniędzy... A tam, i tak nie zrozumiesz. Mówiąc w skrócie, nie mogę zainwestować własnych pieniędzy, żeby wykupić swoją firmę. A tak przy okazji, sprzedałem twój udział w Gillian. To w tej chwili najlepsze posunięcie. Akcje trzykrotnie przewyższają realną wartość spółki i wkrótce zaczną spadać. Musiałem też pozbyć się połowy AT&T. Nie grozi ci głodowanie, ale włożyłaś w ten interes wiele pieniędzy. To nie zabawka. Lepiej, żeby George i Lyon dobrze się spisali. Utopiłaś w agencji trzy czwarte swoich oszczędności.

- Jak myślisz, co powie Lyon, kiedy w przyszłym roku o wszystkim się dowie? - zapytała.

- To zależy. Jeśli będzie szczęśliwy i spodoba mu się praca w agencji, to pewnie uzna to za dobry żart. W końcu jaki mężczyzna

wpadłby w złość tylko dlatego, że jego ukochana zaciągnęła go do ołtarza, skrycie pożyczając mu pieniądze.

- Martwi mnie jedynie, że on czuje się wobec ciebie ogromnie zobowiązany. Wciąż powtarza, że nie może cię zawieść, bo twoja oferta dowodzi, jak bardzo w niego wierzysz. Powiedział, że tak naprawdę nie miał ochoty przejmować firmy, ale nie mógł odmówić widząc, jak bardzo mu ufasz.

- Bzdura. Jak widać nie ociągał się z poproszeniem cię o rękę. Jestem pewien, że właśnie to wpłynęło na jego decyzję.

- Możliwe. W każdym razie burza rozpuła się dopiero za rok. I niewykluczone, że nie będzie żadnych kłopotów. Sam tak mówiłeś. Ale nawet jeśli, to i tak nic mnie to nie obchodzi. Nie potrafię bez niego żyć. Próbowalam przez piętnaście lat, ale to nie było życie. Żeby dostać Lyona, zrobiłabym wszystko: mogłabym kraść, kłamać i oszukiwać. Liczy się jedynie on. Tylko módl się za mnie, kiedy wyda się ta wielka tajemnica.

- O ile cię znam, wtedy będziesz już w ciąży, interes rozkwitnie, a Lyon ucieszy się w głębi duszy, że dzięki twojej niewinnej intrydze spełniły się jego marzenia.

Pobrali się następnego dnia w mieszkaniu Henry'ego. Ślubu udzielił im bliski przyjaciel gospodarza, sędziego Hellman. Świadcami zostali George i jego żona. Anna i Lyon pośpiesznie wyjechali w czterodniową podróż poślubną do Palm Springs. Ustalili, że zamieszkają w apartamencie Anny. Lyon i George pobierali z firmy wynagrodzenie w wysokości siedmiuset dolarów tygodniowo i dodatkowo agencja pokrywała wszystkie ich służbowe wydatki. Zyski miały pozostać w firmie, a premie rozdzielano pod koniec roku finansowego.

W ciągu dwóch miesięcy Lyon podpisał umowy z kilkoma największymi angielskimi gwiazdami. Udało mu się również odebrać paru artystów innym agencjom. Przyjęli dodatkowych pracowników. Lyon chciał założyć filię agencji w Kalifornii, ale George odnosił się do tego pomysłu z rezerwą.

- Starannie wszystko rozważmy - zaproponował. - Zgadza się, że mamy wielu klientów. Jednak naprawdę duże pieniądze zapewnią nam tylko kontrakty telewizyjne. Musimy pozyskać kilka wielkich gwiazd, sprzedać je w telewizji i zorganizować całe serie programów



z ich udziałem. Potrzeba nam kogoś takiego jak Carol Burnett, Danny Thomas albo Judy Garland...

- Zgoda - odparł szybko Lyon. - Ale ich nie dostaniemy. Wszyscy mają znakomitych agentów. A poza tym, tak byłoby najłatwiej. Uważam, że powinniśmy wykreować własne gwiazdy. Na tym polega zadanie prawdziwego agenta. To się udało Henry'emu z Helen Lawson. Jeśli my stworzymy sławę, wszystkie inne gwiazdy będą chciały podpisać z nami kontrakt.

George przejrzał listę klientów.

- Nie widzę tu nikogo, kto by miał takie możliwości. Lyon zamyślił się.

- Jeśli film, który kręci w Metro Peter Shay, okaże się tak dobry jak scenariusz, z pewnością załatwimy dla niego umowę na trzy następne filmy. Może udałoby się zrobić z niego...

George potrząsnął głową.

- Peter to komik charakterystyczny. Nam potrzeba amanta, wielkiego aktora komediowego albo kobiety. Poza tym Peter wciąż krąży między Stanami a Anglią. Sam przecież znasz tych Anglików. Bez obrazy - dodał pośpiesznie. - Ale bez względu na to, jak wielki odniosą tu sukces, zawsze wracają na tę swoją deszczową wyspę, uwożąc ze sobą całą zarobioną forszę.

Lyon uśmiechnął się.

- Ta deszczowa wyspa to wspaniały kraj. Można tam znaleźć szczęście.

- Jasne. Dom jest tam, gdzie zostawiamy serce. Ale nam to nie pomaga. Zaświtał mi pewien pomysł. Jest ktoś, kogo moglibyśmy dostać. Jeśli zrobimy z niej gwiazdę, to cały świat będzie należał do nas. Neely O'Hara.

- Nic z tego nie będzie. - Lyon skrzywił się. - W dodatku ona wciąż jeszcze przebywa w Haven Manor. Trzeba sobie powiedzieć prawdę, George. Neely się skończyła.

- Ktoś taki jak Neely nigdy nie jest skończony. Publiczność identyfikuje się z przegranym. Ludzie czują, że przeżywają wszystkie jej tragedie wraz z nią. Zniszczyła sama siebie dotarłszy do szczytu sławy. Teraz mówi się o niej jak o zmarłej. Nikt już nie wierzy, że Neely kiedykolwiek wróci na estradę. Wszystko to działa na naszą korzyść. Jeśli to my się nią zajmiemy i doprowadzimy ją z powrotem na szczyt, to cały sukces zostanie przypisany nam, bo to my

dokonamy rzeczy niemożliwej. Wtedy zobaczysz, jak zbiegną się do nas wszystkie gwiazdy z GAC, CMA, od Williama Morrisa czy Johnsona i Harrisa. Dojdą do wniosku, że jeśli powiodło nam się z Neely, to i dla nich dokonamy czegoś niemożliwego. Gwiazdy to dziwaczne stworzenia. Mają wiele talentu, ale ani za grosz wdzięczności.

Trudno było przekonać Lyona.

- W przypadku Neely mamy do czynienia z czymś trudniejszym niż przebrzmiała sława. Ta dziewczyna cierpi na zaburzenia emocjonalne i w każdej chwili może popaść w załamanie nerwowe. Anna mówi, że Neely bardzo przybrała na wadze, no i nie jest już osiemnastolatką.

- Ma trzydzieści trzy lata. Zgadzam się ze wszystkim, co powiedziałaś. Ale to jeden z największych współczesnych talentów. Dostałem kilka taśm, które w zeszłym tygodniu nagrała w jakimś lokalnym studiu. Leczy się teraz w przychodni przy klinice. Ostatni weekend spędziła ze mną i z moją żoną. Jest gruba jak beczka, ale cudownie śpiewa!

Lyon wzruszył ramionami.

- Minie co najmniej rok, zanim schudnie. W dodatku taki stres może ją doprowadzić do kryzysu. Już jej się to zdarzało.

- Nie musi chudnąć. W tym cała rzecz. Niech nadal będzie gruba. Liczy się tylko to, że znowu śpiewa.

- A co mielibyśmy robić z grubą piosenkarką?

- Wyślemy ją w trasę koncertową. Wiesz, jakie wielkie pieniądze można zarobić urządzając koncerty w miastach całego kraju? Lena Horne, Garland, Liberace - wszyscy to robili, i z wielkim powodzeniem. Ludzie przyjdą obejrzeć Neely, choćby z czystej ciekawości. W ciągu roku same jej koncerty zarobią na utrzymanie naszego biura. Dochody z innych klientów będą już czystym zyskiem. Jeśli uda nam się utrzymać ją na powierzchni przez cały rok, inne gwiazdy będą na kolanach błagać o nasze usługi.

- Skoro chcesz się za to zabrać, proszę bardzo - oświadczył Lyon.

- Ale to twój pomysł i ty się nim zajmiesz. Ja dopilnuję biura, a ty pracuj nad karierą nowego ukochanego dziecka Ameryki.

- To nie takie proste - odparł wolno George. - Neely za mną nie przepada. A i moja żona nie wywiera na nią dobrego wpływu. -

Urwał. - Żona ma problem alkoholowy. Natomiast Neely lubi ciebie i zaciągnęła duży dług wobec Anny...

- Chwileczkę - przerwał mu Lyon. - Anna ciężko pracuje. Neely O'Hara to ostatnia osoba, jaką chcielibyśmy ściągnąć sobie na kark.

- Proszę cię tylko, żebyś spróbował ją namówić na podpisanie z nami umowy, a potem ja wykonam całą brudną robotę. Zajmę się prasą i ustalę terminy występów. Będę jej towarzyszył w podróżach. Ty tylko wystąpisz z naszą propozycją. Neely czuje się już dobrze i w każdej chwili może wyjść z tego wariatkowa. Wynajmiemy dla niej apartament w hotelu. Nie ma własnych pieniędzy, więc zapłaci agencja. Prawdę mówiąc, sfinansujemy wszystkie jej wydatki, włącznie z przygotowaniem do koncertów i próbami. Opłacimy kogoś, żeby pilnował jej dzień i noc. Znam odpowiednią osobę. To duńska masażystka, silna jak wół. Będziemy księgować każdego centa, który wydamy na Neely. Kiedy zaczną pracować, będziemy odciążać te wydatki w ratach od każdej jej wypłaty, aż wszystko nam się zwróci.

Jeśli Neely nawali, to zgodnie z prawem odpiszemy sobie wszystko od podatku.

- To wielkie ryzyko.

- Mamy niewiele do stracenia. Te kilka tysięcy, które na nią wydamy, zwróci nam się z nawiązką dzięki rozgłosowi, jaki będzie towarzyszył Neely. Na reklamę musielibyśmy wydać tyle samo. Poza tym, jeśli Neely odniesie sukces, zwróci pieniądze Annie. Wiesz przecież, że twoja żona płaciła jej rachunki za leczenie. Dług sięgnął już dwudziestu tysięcy dolarów.

Lyon potrząsnął głową.

- Nie podoba mi się to, ale jeśli chcesz się w to zaangażować, jestem z tobą. Z zastrzeżeniem, że odpowiedzialność należy do ciebie. Ja przedstawię Neely wstępną ofertę, ale potem ty przejmujesz ster.

- Dobrze - zgodził się George. - Sam zobaczysz, że wywinduję tę małą na sam szczyt sławy, a ona pociągnie za sobą nas wszystkich.

Anna weszła do mieszkania i włączyła klimatyzację. Żałowała, że dzisiaj wypadł sprzątacze wolny dzień. Powietrze było duszne i rozgrzane z powodu przetaczającej się nad miastem fali rekordowych upałów. Pobiegła do łazienki i gwałtownie zwymiotowała. Potem przyłożyła do czoła ręcznik zmoczony w zimnej wodzie. Uśmiechnęła się kwaśno. Kobiety zwykle cierpią na poranne mdłości, ona najgorzej

czuła się po południu. Była pewna, że jest, w ciąży. Dziesięć dni spóźnienia. Rzecz jasna, wciąż pozostawał cień wątpliwości. W lutym również zdarzyły się jej dwa tygodnie spóźnienia i razem z Lyonem świętowali już radosną nowinę, kiedy pewnego ranka obudziła się ze znajomym bólem w podbrzuszu. Tym razem nic mężowi nie powiedziała. Mdłości zaczęły się dopiero wczoraj, o tej samej godzinie co dzisiaj - o piątej trzydziści. Dobry Boże, żeby to była prawda! Wszystko układało się tak wspaniale, a teraz jeszcze dziecko! To będzie dziewczynka, bardzo podobna do Lyona.

Przerażało ją własne szczęście. Nikomu nie udaje się bezkarnie być aż tak szczęśliwym. Jedyłą czarną chmurą na horyzoncie była myśl o nadchodzącym terminie składania oświadczeń podatkowych, kiedy to Lyon dowie się całej prawdy o transakcji przejęcia agencji. Ale tymczasem interesy szły dobrze, a dziecko urodzi się przed tym terminem. Henry przekonywał ją, że Lyon wybaczy jej oszustwo. Jednak w przypadku Lyona niczego nie można być pewnym.

Wybrali się razem w odwiedziny do Neely i kiedy przyjaciółka wytoczyła się z pokoju, żeby ich powitać, Lyon z trudnością maskował szok wymuszonym uśmiechem. Przybrała tak bardzo na wadze, że jej figura była całkiem zniekształcona, oczy niemal znikły w pyzatej twarzy, a szyja tonęła w fałdach tłuszczu. Mimo to z Neely biła dawna energia. Zadziwiające, że ten dziecięcy entuzjizm potrafił się przebić przez taką masę ciała.

Neely natychmiast podpisała umowę. Zmarszczyła z niezadowoleniem nos, kiedy Lyon nie chciał przyjąć żadnych wyrazów uznania i wyjaśnił, że to George wymyślił całe przedsięwzięcie. Nie lubiła George'a, ale ponieważ był współnikiem Lyona, a Anna jej najlepszą przyjaciółką, z przyjemnością wyraziła zgodę na warunki kontraktu. W ciągu tygodnia przeprowadziła się do niedużego pensjonatu w pobliżu centrum. Towarzyszyła jej Christine, zwalista Dunka, która miała jej pilnować dzień i noc. Christine nie była gruba, tylko potężnie zbudowana. Wydawało się, że byłaby w stanie przepłynąć Kanał La Manche. Przyrzekła, że masażami przywróci Neely wspaniałą sylwetkę.

- Neely nie musi chudnąć - zastrzegła pospiesznie Anna. - Nie wolno wywierać na nią nacisku w sprawach wyglądu. Powinna skoncentrować się na śpiewaniu.

Christine pouczono, że ma szczególnie uważać, żeby Neely nie brała żadnych proszków i nie piła alkoholu. Za dwieście dolarów tygodniowo Dunka przyrzekła, że będzie strzegła swojej podopiecznej dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jak dotąd, dotrzymywała obietnicy.

Anna wyszła z łazienki. Zapaliła światło w salonie i naląła sobie brandy, w nadziei że drink uspokoi zżółkany żołądek. Neely ciężko pracowała, cztery godziny dziennie poświęcając na próby, a George rozpoczął kampanię reklamową. Pierwszy koncert miał się odbyć w Toronto, wystarczająco daleko od miejscowych krytyków. W razie klapy złe recenzje nie dotrą do Nowego Jorku. Neely dostała w ten sposób szansę na łagodny start.

Anna z żalem rozejrzała się wokół. Mieszkanie było piękne, ale teraz, kiedy jest w ciąży, trzeba się przeprowadzić. Będzie mogła odstąpić od umowy z Gillian na podstawie klauzuli o „zrządzeniu losu”. Cieszyła się z odzyskanej wolności. Teraz będzie miała dużo czasu na znalezienie i urządzenie nowego mieszkania. Jak umeblować pokój dziecinny? Z podniecenia zakręciło jej się w głowie. Dobry Boże, żeby to była prawda!

Dwa tygodnie później jej nadzieje się potwierdziły. Z początku Lyon przyjął wiadomość z mieszanymi uczuciami. Cieszył się, ale obawiał się gwałtownych zmian, jakie nastąpią w ich życiu. Anna będzie musiała zrezygnować z pracy pod koniec czerwca - dziecko miało przyjść na świat w połowie stycznia, ale Annie już przybyło w talii dwa centymetry. Jednak kiedy rozproszyła wątpliwości męża i zapewniła, że wszystko gładko się ułoży, Lyon również wpadł w zachwyty.

W połowie czerwca polecili do Toronto na koncert Neely. Anna siedziała na ciemnej widowni sparaliżowana ze strachu. Tak wiele zależało od tego występu. George i Lyon martwili się o zainwestowane pieniądze, ale ona zdawała sobie sprawę, że jeśli występ nie będzie sukcesem, Neely może znowu się załamać. Za kulisami przyjaciółka wydawała się spokojna i odprężona. Śmiała się i twierdziła, że nic nie ryzykuje i nie ma nic do stracenia - zawsze przecież może wrócić do wariatkowa i lepić popielniczki. George ze zdenerwowania wyłamywał sobie palce, a Lyon mrużył w napięciu oczy.

Światła przygasły i orkiestra zaczęła grać przebojową melodię z filmu, w którym Neely kiedyś odniosła wielki sukces. Rozsunęła się ciężka kurtyna i piosenkarka wyszła na pustą scenę. Ubrana była w prostą czarną suknię do kolan. Jej nogi wciąż pozostały zgrabne, a luźna czarna szata częściowo tuszowała otyłość. Mimo to słyhać było szmer zdziwienia na widowni. Ludzie podświadomie spodziewali się, że Neely wygląda tak samo, jak w swoich pierwszych filmach. Usłyszała to i odsłoniła zęby w uśmiechu.

- Wiem, że jestem gruba - oświadczyła energicznie. - No to co. Przecież wiele śpiewaczek operowych tak samo wygląda. Ale nie usłyszycie żadnych arii. Przyszłam tutaj, żeby wam wyśpiewać całe moje serce, które jest tak wielkie i grube jak ja. Jeśli tylko zechcecie, wysłuchacie wielu pięknych piosenek.

Rozległy się ogłuszające brawa. Neely zwyciężyła, jeszcze zanim wyśpiewała jedną nutę. Jej głos brzmiał czysto, prawdziwie i przejmująco. Widownia popadła w zbiorową hipnozę. Po zakończeniu występu ludzie oszaleli. Znowu przyjęli Neely do swoich serc. Anna nigdy jeszcze nie słyszała tak spontanicznych owacji.

To samo powtórzyło się w Montrealu. Neely pobiła wszelkie miejscowe rekordy. Bilety na koncert w Detroit zostały wyprzedane na dwa tygodnie przed jej przyjazdem. Do tego czasu gazety nowojorskie zapełniły się artykułami o jej powrocie na estradę, ale George rozmyślnie nie pozwalał jej przerwać trasy koncertowej. Podróżował z nią aż do września, gdy tymczasem Lyon zajmował się pracą agencji. Kontrakt Anny z Gillian został rozwiązany i przyszła mama wykorzystywała wolny czas na urządzenie nowego wielkiego mieszkania. Cięża była już widoczna, ale każdy ulotny ruch, świadczący o rozwijającym się w niej życiu, napawał ją dodatkowym szczęściem. Kierownictwo Gillian nalegało, żeby wzięła tylko czasowy urlop, ale Anna uparła się, że chce całkowicie zrezygnować z pracy. I chociaż nie oglądała się za siebie, poczuła miły dreszczyk satysfakcji, kiedy zarząd zdecydował, że teraz Gillian Girl będzie co tydzień zmieniana. Okazało się, że Anny nikim nie da się zastąpić.

W końcu George doszedł do wniosku, że Neely jest gotowa do występów w Nowym Jorku. Pierwszy koncert miał się odbyć w październiku. Agencja wynajęła znany teatr na Broadwayu i podpisała z Neely umowę na dwa solowe koncerty dziennie przez trzy tygodnie. Na tydzień przed pierwszym z nich sprzedano wszystkie bilety.

Pierwszy występ odbył się w burzliwej, pełnej wzruszenia atmosferze i zakończył się wielkim sukcesem. Publiczność wiwatowała z oczami pełnymi łez i z otwartymi ramionami przywitała swoje krnąbrne dziecko. Anna zauważyła, że z nalanej twarzy Neely znów zaczęły wylaniać się dziewczęce rysy. Przyjaciółka wciąż była tęga, ale już nie groteskowa. Po masażach Christine ubyło jej czternaście kilo. Szyja Neely znów się uwidoczniła, chociaż szpecił ją podwójny podbródek. Jednak po pierwszej piosence magia głosu artystki sprawiała, że wszyscy zapominali o jej wyglądzie.

Kłopoty zaczęły się w drugim tygodniu nowojorskich występów. George i Lyon próbowali wybrać najkorzystniejszą z napływających ofert. Proponowano Neely gościnne występy w telewizji, nakręcenie filmu i występy w kilku widowiskach muzycznych na Broadwayu, ale Lyon nalegał, żeby nie rezygnować z tras koncertowych.

- Przynajmniej przez rok - upierał się. - Może uda się ją odchudzić jeszcze chociaż o dziesięć kilo. Nigdy nie będzie taka szczupła jak kiedyś, nie możemy jej zmuszać do przestrzegania diety, to byłoby zbyt duże ryzyko. Jednak wysiłek związany z występami i masażami Christine mogą dokonać cudów. Dopiero wtedy porozmawiamy na temat filmu albo telewizji.

- Powinniśmy podpisać umowę na film albo musical - nalegał George. - Ona nie chce więcej podróżować.

- Ale ja właśnie zarezerwowałem sale w Los Angeles, San Francisco i w londyńskim Palladium - oznajmił Lyon.

George wzruszył ramionami.

- Wczoraj doszło do wielkiej awantury. Neely jest teraz na szczycie, więc spójrzmy prawdzie w oczy. Znowu zachowuje się jak jędrza. Wróciła jej stara gwiazdorska choroba. Nie doczekasz się od niej wdzięczności, ponieważ wie, że ma władzę. Powiedziała mi, że nie zamierza więcej podróżować, chce zamieszkać na stałe w jednym miejscu. Według mnie to oznacza tylko jedno: nasza podopieczna szuka sobie kochanka.

- O Chryste, a kto by ją zechciał? - zdziwił się Lyon. George roześmiał się.

- Już od miesiąca ten problem przyprawia mnie o ból głowy. Zapominamy, że nasza gwiazda to ludzkie stworzenie. W tym wariatkowie chyba karmili ją bromem, ale teraz nie może wytrzymać bez chłopa. Przez jakiś czas miała pewnego saksofonistę z orkiestry,

którego chyba podniecały takie grube beczki. Zaspokajał jej potrzeby, ale w końcu opuścił zespół. Opuścił? Uciekł, jakby go kto gonił. Potem znajdowała sobie facetów na jedną noc, ale chyba ma już tego dosyć. Powiedziała mi, że chce mieć własne mieszkanie i kogoś na stałe, kogoś, kto zawsze będzie przy niej na każde zawołanie. Mam przecucie, że za tym stoi biuro Johnsona i Harrisa. Pewnie wysłali jednego ze swoich przystojniaków w czarnym garniturze i z błyskiem w oku, żeby całował ją po rękach i zasypywał komplementami. Wydaje mi się, że ona chce od nas odejść.

- Niech odchodzi. - Lyon uśmiechnął się. - Jeśli Johnson i Harris chcą wykupić jej kontrakt, proszę bardzo. Za pół miliona dolarów.

- Myślałem o tym - odparł George. - Jednak nie możemy pozbywać się przynęty, kiedy ryby zaczynają brać. Na jutro jestem umówiony na lunch z Paulem Elsomem.

Lyon gwizdnął przeciągle.

- To by nas wyprowadziło na szerokie wody. George skinął głową.

- Jego dwa ostatnie filmy biją na głowę wszystkie inne. Jeśli go do siebie ściągniemy, za nim przybiegnie połowa gwiazd z Hollywood. MCA rezygnuje z opieki nad talentami, więc będzie w czym wybierać. Wszystkie ich gwiazdy mają kontrakty krótkoterminowe. Już wysłałem ludzi, żeby się rozejrzeli, ale Neely jest naszą przynętą. Musimy ją zatrzymać.

- W takim razie spróbuj ją przekonać.

- Już próbowałem. Powiedzmy sobie szczerze, ona mnie nigdy nie lubiła. To o wszystkim przesądza. Z początku nie miała wyboru, więc nie mogła sobie pozwolić na grymasy. Teraz jest poszukiwanym towarem i stać ją na to, żeby mi pokazać, jak bardzo mnie nienawidzi. Wczoraj wieczorem nazwała mnie tłustą świnią. Wyobrażasz sobie! Ta krowa nazwała mnie świnią. Nie, Lyon. Teraz kolej na ciebie.

Lyon czekał na Neely w jej garderobie. Popołudniowy koncert dobiegał końca. Lyon spoglądał na telegramy zatknięte za ramę lustra. Wszystkie sławy piosenkarskie przysłały jej gratulacje i najlepsze życzenia. Usłyszał huczne brawa. Orkiestra zagrała ostatni bis. Zebrał wszystkie siły do nadchodzącej walki.

Neely była przyjemnie zaskoczona, widząc go w garderobie.

- Dzięki Bogu, że ta świnia, twój współnik, dzisiaj się tu nie pokazał. Wczoraj mieliśmy straszną awanturę. - Wzięła od Christine



dużą szklankę piwa i wypła jednym haustem. - Ooo! To było wspaniale. Chcesz trochę, Lyon?

- Nie, dziękuję. A co byś powiedziała na obiad? - zapytał.

- Wspaniale. Anna do nas dołączy?

- Nie, pójdziemy tylko we dwoje. Roześmiała się wesoło.

- George przysłał swojego najlepszego człowieka, co? Nic z tego. Nie będę więcej podróżowała. Ale mogę zjeść z tobą obiad. Nie wiesz, gdzie podają dobre ślimaki?

- Zajrzyjmy do Luise. Mają tam znakomitą kuchnię, więc pewnie potrafią przyrządzić i ślimaki.

- Świetnie. Chyba nie będę tam musiała przestrzegać etykiety? Chciałabym, żeby ślimaki pływały w maśle czosnkowym, w którym mogłabym maczać grzanki z ciemnego chleba. Solowy występ ma swoje dobre strony. Nie trzeba przejmować się partnerem, którego mogłaby zde gustować woń czosnku. Po występie też się z nikim nie spotykam - dodała smutno.

- To się wkrótce zmieni - zapewnił Lyon. - Cały Nowy Jork leży u twoich stóp.

- I to wszystko, bo na razie nikt nie leży w moich ramionach. Potrzebuję mężczyzny. I to nie byle kogo. Z tym już koniec. Może nie wyglądam jak modelka, ale też nie jestem jakąś maszkara. Nie chodzi mi tylko o kogoś do łóżka. Chciałabym znaleźć człowieka, któremu by na mnie zależało, którego mogłabym szanować... i kochać.

- Porozmawiamy o tym przy obiedzie - zaproponował.

Neely zamówiła dwa tuziny ślimaków. Lyon miał na talerzu tylko sześć i bez apetytu przesuwiał je widelcem, słuchając skarg piosenkarki. Musiał przyznać, że jej narzekania nie były bezpodstawne. Życie Neely ograniczało się do występów na scenie.

- Neely. - Ujął jej dłoń. - Rozumiem cię. Pojeźdź tylko do Hollywood, San Francisco i Londynu. Potem urządzimy cię w Nowym Jorku i być może podpiszemy umowę na film albo występy na Broadwayu. Rozejrzę się za czymś odpowiednim. Jeśli dokonamy właściwego wyboru, rozpoczniemy sezon już na jesieni. Najlepszym rozwiązaniem byłby jakiś musical na Broadwayu.

- Kto pojechałby ze mną do Kalifornii i Londynu? - zapytała.

- Oczywiście, George.

- W takim razie nie ma mowy - oświadczyła stanowczo.

- Wiem, że się trochę posprzeczaście, ale George to porządny człowiek. Twój powrót na scenę to był wyłącznie jego pomysł.

- Nie odniosłabym sukcesu, gdybym nie miała talentu - powiedziała nadąsana.

- Jasne, ale dokonało się to dzięki wizji Georga i dzięki temu, że w ciebie wierzył.

- A ty nie?

- Szczerze mówiąc, nie. Miałem wątpliwości.

- Myślałeś, że już się do tego nie nadaję?

- Wiedziałem, że masz talent. Ale obawiałem się, że nie wytrzymasz obciążenia. Twój powrót kojarzył mi się z surową dietą, wysiłkiem i zdenerwowaniem. To George się upierał, że publiczność zaakceptuje cię taką, jaka jesteś. I się nie mylił.

Neely wypuściła z ręki kawałek chleba, który miała właśnie zanurzyć w sosie. Odsunęła talerz.

- Mówisz o mnie tak, jakbym była jakimś potworem.

- Daj spokój, Neely. Wiesz, co chciałem powiedzieć. Uważam, że jesteś cudowna. Masz wielki talent i wspaniałą osobowość.

- Ale wyglądam jak tłusta fleja, co?

- Nie, ale nie przypominasz też wiotkiej trzcinki, jak na swoich starych filmach.

- Dopóki tak wyglądam, pewnie żaden mężczyzna się mną nie zainteresuje. Zauważyłam, jak bliźniaki się na mnie gapiły, kiedy pojechałam do Detroit. Boże, jacy to udani chłopcy. Cieszę się, że mieszkają z Tedem. Chciałam umrzeć, kiedy w klinice dowiedziałam się, że przyznano mu nad nimi opiekę. Ale teraz widzę, że ułożył sobie życie. Wygląda na to, że jego małżeństwo jest udane. Wciąż uważam, że Ted zdradza żonę gdzie się da, ale chłopcy nic o tym nie wiedzą. Nigdy nie zapomnę ich min, kiedy mnie zobaczyli. Bud, ten wyższy, powiedział: „Rany, mama, widzieliśmy jeden z twoich filmów w telewizji, ale teraz wyglądasz zupełnie inaczej”.

- Wcale nie musisz chudnąć - zapewnił Lyon.

- Schudłabym, gdybym miała jakiś bodziec - stwierdziła ze smutkiem. - Nie będę się odchudzała tylko dlatego, że tak sobie życzy wytwórnia, ale zrobiłabym to z miłości. Kiedyś, kiedy w wytwórni strasznie na mnie wrzeszczeli, żebym więcej nie tyła, zaczęłam podjadać ukradkiem. Ale jak poznałam Teda i się w nim zakochałam, a on powiedział, żebym zrzuciła parę kilo, od razu to zrobiłam, bez

żadnego trudu. Wszystko dlatego, że sama chciałam to zrobić, żeby mu się podobać. Teraz rozumiesz, dlaczego chcę zostać w Nowym Jorku. Chciałabym się zakochać, znaleźć kogoś odpowiedniego. Nie mogę już dłużej na siebie patrzeć.

- Neely, ty to jest twój głos i osobowość, a nie figura - tłumaczył Lyon.

Potrząsnęła głową.

- Uwielbiam ładne ciuchy. Nie zamierzam całe życie występować w prostych czarnych sukienkach. Ale na razie muszę, żeby to i owo ukryć. Nie mam motywacji, żeby schudnąć. Powinnam kogoś sobie znaleźć. Wtedy zeszczuplałabym i znów bym siebie polubiła.

- Pojedź na występy do Hollywood, San Francisco i Londynu - namawiał ją. - Reszta przyjdzie sama.

Na chwilę się zamyśliła.

- Dobrze - odparła w końcu. - Pod jednym warunkiem. Ty będziesz mi towarzyszył zamiast George'a.

- Ależ Neely, ja nie mogę.

- Nie znoszę George'a. Jeśli będę musiała codziennie oglądać jego tłustą gębę, to się w końcu porzygam. Nie potrafi nawet grać w remika. Ty potrafisz?

- Jestem starym karciarzem. Ale nie mogę z tobą wyjechać. Anna jest w ostatnich miesiącach ciąży. Dziecko ma się urodzić za sześć tygodni.

- Och, zapomniałam. - Nagle się rozpogodziła. - Przełóżcie moje występy. Zorganizujcie je po urodzeniu dziecka. I tak przydałoby mi się trochę odpoczynku.

- Wtedy też nie mógłbym opuścić Anny. Nie zostawię jej samej z noworodkiem.

- Anna pojechałaby z nami. Słuchaj, sama urodziłam bliźniaki. Znam się na dzieciach. W pierwszym okresie potrzebują tylko dobrej pielęgniarki. Nic nie widzą, dopóki nie skończą trzech miesięcy.

- Daj mi czas do namysłu - poprosił.

Odwołanie występu w Palladium okazało się łatwe. Lyon przełożył koncert na połowę lutego. Nie udało się jednak zmienić rezerwacji w Los Angeles i San Francisco. Neely musiała tam wystąpić w czasie świąt i Nowego Roku. Lyon gorączkowo się starał,

żeby Anna nie dowiedziała się o tych kłopotach, ale Neely wszystko wypaplała.

Wpadła do przyjaciółki, żeby obejrzeć nowe mieszkanie. Meblowanie wreszcie się skończyło. Anna, ciężka i niezgrabna z powodu zaawansowanej ciąży, oprowadziła Neely po pokojach, ze szczególną dumą pokazując jej pokój dziecienny.

Usadowiły się w saloniku. Anna sączyła mały kieliszek sherry, a Neely piła piwo. Zaczął padać rzadki śnieg i Anna rozpałała ogień w kominku.

- To pierwszy raz w nowym mieszkaniu - powiedziała. - Wypowiedz jakieś życzenie.

- Dlaczego?

- Kiedy robisz coś po raz pierwszy, musisz wypowiedzieć życzenie.

- W takim razie chciałabym, żeby twoje dziecko urodziło się już dzisiaj.

- Jak to? Termin mam dopiero za miesiąc.

- Wiem, ale nie pojadę do Los Angeles, chyba że Lyon będzie mi towarzyszył, a on nie chce wyjeżdżać, dopóki nie urodzi się dziecko i ty nie będziesz w stanie podróżować razem z nami.

Anna wiedziała, że stosunki między George'em a Neely układają się źle, ale o zmianie planów słyszała po raz pierwszy. Wysłuchiwała wyjaśnień przyjaciółki.

- Ale ja nie pojadę do Londynu, nawet w lutym. Nie mogę zostawić dziecka - oznajmiła.

- Pewnie, że możesz - zaprotestowała Neely. - Do tego czasu dziecko nie będzie jeszcze w pełni człowiekiem.

- Dla mnie już teraz jest człowiekiem - oświadczyła ostro Anna. - Za każdym razem, kiedy się we mnie poruszy, w myślach posyłam mu całusa.

- Przez pierwsze kilka miesięcy to bezmyślny mały stworek. Nie kłamię. Nie wierz temu, że noworodki potrafią się uśmiechać. To tylko skurcze mięśni. Lekarz mi mówił. Spozstrzegają tylko światło i zamazane kontury przedmiotów. Dopiero po trzech miesiącach uczą się rozpoznawać matkę i skupiać wzrok na jednym punkcie. Dobra pielęgniarka zajmie się dzieckiem lepiej niż ty.

- Zbyt długo czekałam na to dziecko, Neely. I warto było czekać, choćby po to, żeby poczuć, że noszę w sobie część Lyona, coś, co powstało z naszej miłości. Nigdy nie zostawię dziecka.

- A gdyby Lyon musiał podróżować? Przecież nie będzie wiecznie siedział w Nowym Jorku.

- Wtedy będziemy jeździć razem, we trójkę.

- Bez niego nie pojedę do Kalifornii.

- Neely, proszę... Nie chcę spędzać świąt bez Lyona, a podróż to dla mnie zbyt duże ryzyko.

- A co ze mną? - zapytała Neely. - Czy wiecznie musi być tak jak ty chcesz? Masz wszystko. Zawsze tak było. Zarobiłaś fortunę, zdobyłaś ukochanego mężczyznę, a teraz jeszcze dziecko. Ja nie mam nic oprócz pracy. Znowu mi się powiodło, ale nie mam nic więcej. W dodatku pracuję, żeby ci spłacić dług.

- Nigdy nie upominałam się o pieniądze - zaprotestowała Anna.

- Wiem, ale powiedziałam George'owi i Lyonowi, że chcę ci je zwrócić. Po występach w Kalifornii oddam ci całą resztę. Poza tym zarabiam pieniądze dla agencji twojego męża, z czego i ty czerpiesz korzyści. - Rozejrzała się po mieszkaniu. - Mieszkam w nędznym hotelowym pokoju z tą lesbą, Christine, która zachowuje się jak strażnik więzienny. Jestem sama i proszę tylko o to, żeby Lyon pojechał ze mną do Los Angeles na dziesięć parszywych dni. Sama nie dam sobie rady w Hollywood. To mój pierwszy występ na Zachodnim Wybrzeżu od czasu powrotu na estradę. Może ci się wydaje, że to łatwo wyjść na scenę wiedząc, że wszyscy się na ciebie gapią i szepczą: „Zobacz, jaka gruba”. W dodatku muszę się do nich uśmiechać i zabiegać o ich sympatię. Jasne, że mój talent na nich działa, ale przedtem muszę jakoś przeżyć tę pierwszą minutę, kiedy patrzą na mnie ze zgrozą. Potrzebuję kogoś, kto by mnie pokrzepił przed każdym występem. Bez tego nie dam rady, Anno. Gdyby nie stała przy mnie jakaś przyjazna dusza, na pewno wzięłabym lalczkę albo wypila coś mocniejszego. Mam na myśli prawdziwego drinka, nie piwo. A to byłby koniec. W wariatkowie mnie ostrzegli, że jeśli choćby tknę alkohol czy prochy, to już po balu, panno Lulu.

- Jeśli Lyon zechce pojechać, to ja nie będę miała nic przeciw temu - odparła Anna.

- Mówisz tak, bo wiesz, że on nie pojedzie - warknęła Neely.

- Mówię poważnie. Nie będę się sprzeciwiała.

- Musisz zrobić coś więcej, bo inaczej on się stąd nie ruszy. Powinnaś sama go do tego nakłonić. Bo jak nie, to po prostu nie wystąpię. Zawsze mogę dostać zapalenia gardła.

Lyon nie chciał opuszczać Anny i bardzo mu się nie podobało, że Neely go szantażuje.

- Żadna gruba beczka nie będzie nam mówić, jak mamy żyć - oznajmił ze złością. - Możliwe, że dla agencji jest bardzo ważna, ale nie aż tak ważna, żeby narzucać nam swoją wolę.

- Przecież teraz właśnie ma się rozstrzygnąć, czy uda się wam ściągnąć do siebie kilka wielkich gwiazd - oponowała Anna. - George mi powiedział, że wreszcie coś zaczyna się dziać. Zrezygnują, jeśli Neely od was odejdzie, a to jest całkiem możliwe. Neely może zerwać kontrakt twierdząc, że nie zapewniście jej odpowiedniej opieki, kiedy tego najbardziej potrzebowała.

- Nie będę jej zatrzymywał. Gdybyśmy z George'em wiązali całą naszą przyszłość z tą górą sadła, to by znaczyło, że nie wierzymy w siebie. Nie wiem, co czuje George, ale ja mam już dość gadania o tym, jak to potrzebujemy Neely, żeby pozyskać inne sławy. Być może on nie wierzy, że mamy coś do zaoferowania klientom, ale Henry Bellamy zaufał mi wystarczająco, żeby mi pożyczyć pieniądze. Henry nigdy by nie pozwolił, żeby Neely O'Hara dyktowała wszystkim swoje warunki.

- Helen Lawson postępowała tak samo - przypomniała mu Anna.

- Henry się w niej kochał. Na tym polega różnica. My wydobyliśmy Neely z zapomnienia. To wystarczający sukces, żeby wyrobić nam renomę w środowisku. Henry we mnie wierzy i to dodaje mi odwagi. Mogę zaryzykować i pozwolić Neely odejść. Nie zamierzam być od nikogo zależny.

Następnego dnia Lyon wrócił do domu wcześniej niż zwykle. Jego oczy płonęły zimnym gniewem. Zdjął płaszcz i dziwnie przyjrzał się Annie. Ciężko uniosła się z głębokiego fotela i zaczęła przyrządzać drinki. Wyczuła, że nastąpił jakiś kryzys... widocznie w biurze wydarzyło się coś złego. Lyon w milczeniu przyjął podaną mu szklaneczkę.

- Czy robił jakieś trudności? - zapytała.

Usiadł i pociągnął długi łyk alkoholu. Potem spojrzał na nią uważnie.

- Powiedz mi, Anno, jak ci się wydaje, czy powinienem jechać z Neely do Kalifornii?

Zawahała się. Nagle to pytanie wydało jej się dwuznaczne. Nie podobał jej się sposób, w jaki mąż na nią spoglądał.

- Dziecko prawdopodobnie urodzi się dopiero w połowie stycznia. Oczywiście, nie chciałabym spędzać świąt bez ciebie, ale staram się patrzeć na to obiektywnie...

- Powiedz mi, co mam zrobić - nalegał tym samym dziwnym tonem.

- Wybór należy do ciebie - odparła. - Cokolwiek zdecydujesz, ja to zrozumieję.

- Nie, ty zdecyduj. Zdecydowałaś o wszystkim innym. No powiedz, ile będzie ważyło nasze dziecko? Wiem, że to będzie dziewczynka, bo ty tak postanowiłaś. Czy ty wszystko kontrolujesz?

- Lyon, o czym ty mówisz?

- O tobie! I o agencji Bellamy, Bellows i Burke. Boże, pewnie całe miasto się ze mnie śmieje. Kupiła mnie Anna Welles. Podejrzewam, że wszyscy o tym wiedzieli, oprócz mnie. Ale właśnie się dowiedziałem. Neely mi powiedziała.

- Neely? A skąd ona to wie? - Anna czuła strach. Nigdy jeszcze nie widziała u Lyona takiego wyrazu twarzy.

- Wiem, że to miała być tajemnica. Henry mi to wyjaśnił. Ale i tak wkrótce by się wydała. Te cotygodniowe czeki, które przesyłałem Henry'emu, wpływały na twoje konto. Musiałabyś to umieścić w formularzu podatkowym.

- Ale jak dowiedziała się o tym Neely?

- Henry jej powiedział. Zdaje się, że poszła do niego i opowiedziała, jak się sprawy mają, w nadziei że on cię namówi, żebyś pozwoliła mi z nią wyjechać. Wtedy właśnie Henry się zdradził. Powiedział, że z pewnością zechcesz, żebym postąpił jak najkorzystniej dla firmy, bo w grę wchodzi twoje własne pieniądze. Neely natychmiast przybiegła do mnie do biura i wszystko wygadała. Oczywiście, George odstawił niezłą komedię i udawał zaskoczonego. Ale przecież wszyscy o tym wiedzieli, i to od samego początku, prawda?

- Nikt o niczym nie wiedział. Henry nie powinien był wyjawiać tego Neely. Sama miałam zamiar wszystko ci wyjaśnić w

odpowiednim czasie. Zrobiłam to tylko z miłości do ciebie, żeby powstrzymać cię przed powrotem do Anglii.

- I dopięłaś swego. Kupujesz wszystko, na co masz ochotę! Nauczyłaś się tego od Kevina Gillmore'a? Wszystko jest na sprzedaż, trzeba tylko znać cenę.

- Ale przecież co moje, to i twoje. - Starła się nie wpadać w panikę. - Zrobiłam to dlatego, że cię kochałam. Chciałam wyjść za ciebie za mąż i urodzić ci dziecko. Nie rozumiesz?

- Nie. Wiem tylko, że George patrzył dzisiaj na mnie ze złośliwym uśmieszkiem i powiedział: „Obaj jedziemy na jednym wozie. Nasze żony są właścicielkami tego interesu”. Ale ja nie jestem taki jak George. I przyrzekam ci, że od dziś praca będzie dla mnie najważniejsza. Chodzi tu o twoje pieniądze i zrobię wszystko, żeby ci je zwrócić co do centa. W grę wchodzi też coś więcej niż dług - moja duma i szacunek dla samego siebie. Tylko w jeden sposób mogę je odzyskać - przez podwojenie twojej cholernej inwestycji.

- Lyon! - Zarzuciła mu ramiona na szyję, ale on pozostał sztywny i nieugięty. - Zrobiłam to z miłości. Rozumiesz?

- Wiem tylko jedno: Bellamy, Bellows i Burke stanie się najpotężniejszą agencją w mieście... na całym świecie! Kupiłaś ją dla mnie, złotko, i zapewniam cię, że to był dobry interes. Udowodnię ci to. Po pierwsze, zaraz wykupię bilety do Los Angeles dla siebie i dla naszej tłustej gwiazdy. Do diabła ze świętami! Ruszam całą parą naprzód.



1963

Jennifer Burke urodziła się w pierwszy dzień nowego roku. Ujrzała światło dzienne na dwa tygodnie przed terminem sprawiając, że lekarz i Anna bardzo pracowicie spędzili Sylwestra. Jej przyjście na świat trwało piętnaście godzin, ale kiedy wreszcie się zjawiała, czerwona i rozkrzyczana, Anna nie dostrzegła pomarszczonej, skrzywionej twarzy noworodka, tylko piękną małą istotkę, której dała życie. Cud narodzin przywrócił jej siły.

Bez Lyonsa czuła się samotna. Chociaż codziennie dzwonił z Kalifornii, czuła, że coś między nimi pękło. Nawet czułe słowa, które od niego słyszała, brzmiały jakoś bezosobowo, jakby rozdzielą ich gruba żelazna brama. Kiedy dziecko się urodziło, brama się otworzyła. Gdy tylko Anna otrzeźwiała z zamroczenia wywołanego środkiem znieczulającym, zadzwonił Lyon.

- To dziewczynka - oznajmiła mu niemal przeproszającym tonem.

Roześmiał się radośnie.

- To wspaniale! Jestem już za stary, żeby grać z synem w piłkę. Wolę uczyć nastoletnią córkę tańczyć.

Kiedy była w szpitalu, dzwonił dwa albo trzy razy dziennie. Neely odniosła w Los Angeles niezrównany sukces i była gotowa do występów w San Francisco. Czy Anna bardzo się będzie gniewać? Koncerty w San Francisco oznaczają kolejne trzy tygodnie poza domem.

- Ależ jedź - odparła szybko. Nie chciała prowokować dyskusji o agencji lub pracy Neely. Nie teraz, kiedy wszystko zaczęło się tak cudownie układać. - Kiedy wrócisz, Jennifer Burke będzie już dorosłą panną, ale postaram się, żeby nie zapomniała o ojcu - dodała żartobliwie.

- George obiecał, że zrobi jej kilka zdjęć z polaroida. Wyślij mi je, kiedy tylko wyschną.

- Właśnie posłałam ci fotografię, którą zrobili w szpitalu. Nasza córka wygląda na niej jak mały, pomarszczony gnom. Ale zapewniam cię, że wyrośnie na prawdziwą piękność. Ma ciemne włosy, niewiele ich, ale jednak trochę.

Pod koniec miesiąca Lyon wrócił do Nowego Jorku. Mała Jennifer ważyła ponad cztery kilogramy i buzia się jej wygładziła.

Wyglądała jak białoróżowy kłębuszek i Lyon był nią zachwycony. Z łagodnym uśmiechem wpatrywał się w twarzyczkę dziecka.

- Obawiam się, że jest do mnie podobna - oświadczył marszcząc brwi. - Anno, powinnaś była bardziej się koncentrować. Wolałbym, żeby przypominała ciębie.

- Koncentrowałam się, i to skutecznie. Chciałam, żeby wyglądała dokładnie tak jak ty.

Przyjechał prosto z lotniska do domu, żeby zobaczyć żonę i dziecko. Teraz jednak musiał jechać do biura.

- Dzisiaj przy kolacji będziemy świętować narodziny dziewczynki - obiecał.

Tego wieczora panna Cuzins, opiekunka Jennifer, pomogła Annie wcisnąć się w gorset. Był niewygodny, ale po długich miesiącach obnoszenia niezgrabnej, ciężkiej figury, chciała znowu pokazać Lyonowi, że jest szczupła i elegancka. Spojrzała w lustro i z satysfakcją stwierdziła, że wygląda bardzo dobrze. Waga wróciła do normy, tylko talia nadal wydawała się niezbyt wąska, ale gorset dokonał cudu. W końcu od porodu upłynął dopiero miesiąc. Dzięki Bogu, że dzisiaj będzie wreszcie mogła pójść z Lyonem do łóżka. Tak długo już nie sypiali razem, od siódmego miesiąca ciąży. Biedny Lyon. Lekarz ją ostrzegł, że z początku może to być bolesne, ale się tym nie przejęła. Najważniejsze, żeby znów trzymać Lyona w ramionach, czuć jego ciało tuż przy swoim.

O szóstej zadzwoniła sekretarka. Lyon musiał zostać dłużej w sali projekcyjnej. Czy Anna może się z nim spotkać o siódmej w restauracji Danny's Hideaway? Trochę rozczarowana odłożyła słuchawkę. Wyobrażała sobie, że w domu wypiją drinka, a potem zjedzą obiad w jakiejś cichej restauracji na uboczu, gdzie nie będzie im groziło, że natkną się na tłumy znajomych. Lubiła lokal Danny'ego, ale tam ciągle ktoś będzie podchodził do ich stolika, żeby porozmawiać o interesach. Zwykle takie rozmowy jej nie denerwowały, ale dzisiejszy wieczór miał być szczególny.

Siedziała przy stoliku w pobliżu baru i czekała. Dochodziła ósma i Anna wypila już dwie szklaneczki szkockiej, kiedy wreszcie ujrzała Lyona. Przyszedł w towarzystwie dwóch sekretarzy i Billa Macka, dyrektora telewizyjnego.

Szybko podszedł do niej i lekko pocałował w policzek.

- Wybacz, proszę. Przeglądaliśmy nagrania w NBC i ta cholerna taśma się zerwała, więc musieliśmy zaczynać wszystko od początku. Kochanie, pamiętasz Jima Handly i Buda Hoffa? - Dał znać dwóm młodym ludziom, żeby podeszli do stolika. - I oczywiście znasz Billa.

Usiedli za wielkim stołem i dyskutowali o nagraniu, które właśnie obejrżeli - o zwiastunie nowego serialu komediowego. Z rozmowy Anna wywnioskowała, że Bill Mack jest właścicielem praw do serialu i chce podpisać umowę z BBB, jak ostatnio coraz częściej nazywano agencję Bellamy, Bellows i Burke. Chciał im sprzedać wszystkie materiały. Lyon entuzjastycznie podchodził do tego pomysłu. Był pewien, że serialem zainteresuje się sieć CBS albo ABC i być może nakręca go ponownie z Joeyem Klingiem w roli głównej. Joey, którego uznano za najlepszego komika roku, został klientem agencji.

- Wystąpi razem z Neely w Palladium - wyjaśnił Lyon. - Prawdę mówiąc, za chwilę powinien tu przyjść. Prosiłem go, żeby mnie zabrał po drodze.

- Żeby cię zabrał? - zdziwiła się Anna.

- Och, skarbie! - W głosie Lyona słychać było szczere zatroskanie. - Plany się zmieniły zaledwie trzy godziny temu. Joey jedzie do Waszyngtonu na pierwszy występ.

- Ale ty chyba nie musisz z nim jechać, prawda?

- Kochanie, jak najbardziej! Neely myśli, że jutro ma solowy koncert. Powiniennem osobiście jej wytłumaczyć, jakie to ważne, żeby Joey pokazał się razem z nią na scenie.

- Nie zazdroszczę ci - wtrącił Bud Hoff. Lyon uśmiechnął się.

- Neely zdaje sobie sprawę, że w Palladium będą jej towarzyszyć inni artyści, ale w Stanach dotychczas występowała solo. Na plakatach zamieszczaliśmy wyłącznie jej nazwisko. Jednak kiedy jej wyjaśnię, że właśnie podpisaliśmy z Joeyem umowę... Neely to dobra dziewczyna, jeśli się wie, jak z nią postępować.

Wyjeżdża jeszcze dzisiaj wieczorem! Ta wiadomość przyprawiła Annę o zawrót głowy. Dzisiaj wyjeżdża!

- Kiedy wrócisz? - zapytała.

- Za dwa tygodnie. Zadzwoń do ciebie z samego rana. Może uda ci się przylecieć do mnie na weekend. Czy mała Jen da sobie bez ciebie radę?

- Musisz wyjechać już dzisiaj?

- Tak. Zamierzałem wyruszyć dopiero jutro, ale trzeba dopilnować reklamy Joeya i najlepiej będzie, jeśli od samego rana zajmę się tym osobiście.

Planował spędzić z nią tylko jedną noc!

Nagle w drzwiach ukazała się głowa Joeya Klinga. Lyon pomachał mu.

- Czekaj na nas samochód! - zawołał komik. - Zaparkowałem w niedozwolonym miejscu!

Lyon zerwał się na równe nogi.

- Bud, każ przesłać rachunek do agencji. Dobranoc, skarbie. Jutro zadzwonię. Aha, Bud! Odprowadzisz Annę do domu, dobrze?

Nie pojechała na weekend do Waszyngtonu. Co prawda panna Cuzins zapewniała, że wszystko będzie w porządku i Anna może spokojnie wyjechać, ale Lyon nie ponowił swojej propozycji. W piątek powiedział jej przez telefon:

- Zadzwonię do ciebie jutro, o tej porze co zwykle.

Dlaczego po prostu go nie zapytasz, o co chodzi? - zdziwił się Henry.

Anna wpatrywała się w filiżankę po kawie, jakby się spodziewała, że w fusach znajdzie jakieś cudowne rozwiązanie.

- Dlatego, że w zasadzie nic złego się nie dzieje - wyjaśniła. - Tylko w naszym związku nastąpiła jakaś nieuchwytna zmiana.

Bellamy westchnął. Anna wyglądała blado i mizernie. Kiedy zadzwoniła do niego z prośbą o spotkanie, jej głos brzmiał dramatycznie. Henry bał się jej pytań.

Jennifer skończyła już trzy miesiące, a Lyon spędził z nią dokładnie cztery dni. Jeden między powrotem z Kalifornii a wyjazdem do Waszyngtonu, i trzy między Waszyngtonem a Londynem. Siedzi w Anglii już od miesiąca. Neely robi tam furorę. Wiem, że ją tam zatrzymują, ale czy on nadal musi jej towarzyszyć?

- Co na ten temat mówi George? Uśmiechnęła się.

- Stara śpiewka. Twierdzi, że Neely nie chce tam zostać sama i że Lyon stał się dla niej niemal bogiem. Tylko jego słucha. No i poza tym Neely zarabia fortunę dla agencji.

Uśmiech Henry'ego był smutny.

- Tak wygląda życie dobrego menedżera. Zawsze najbardziej cierpi żona.

- Przecież zdobyli już kilka wielkich gwiazd. Interes świetnie prosperuje. Jak długo jeszcze zamierzają niańczyć Neely? Chyba już doszła do pełnej formy. Mogłaby stanąć na własnych nogach.

- Anno, oni są nowi w tym biznesie. Wszyscy pilnie obserwują każdy ich ruch. George nigdy nie znał się na ludziach. Co prawda, jest doskonałym biznesmenem, ale to Lyon gra rolę specjalisty od kontaktów międzyludzkich. Zawsze będą mieli kogoś takiego jak Neely, kogo trzeba niańczyć i rozpieszczać. Im prędzej się z tym pogodzisz, tym lepiej.

- Chcesz powiedzieć, że całe życie będę musiała to znosić?

- Z czasem się przyzwyczaisz.

- Nigdy!

Przez chwilę milczał.

- Anno, nie można mieć wszystkiego - odezwał się w końcu. - Widziałem twoje mieszkanie. Utrzymanie takiego apartamentu sporo kosztuje. A Lyon to jeden z tych mężczyzn, którzy nie pozwalają, żeby ktoś za nich płacił.

- Ale dlaczego mnie nie poprosi, żeby przyjechała do niego do Londynu?

Henry spuścił wzrok i uważnie przyglądał się własnym dłoniom.

- Nigdy dotąd nie wyjeżdżałaś za granicę. Może wydaje mu się, że gdybyś z nim była, powinien się tobą zająć, oprowadzić po mieście, a on od rana do nocy jest uwiązany w teatrze. Nie czułabyś się dobrze, będąc mu kulą u nogi.

- Jeśli tak by mi to wytłumaczył, zrozumiałabym. I na wszystko bym się zgodziła. Mogłabym sama zwiedzać miasto, wybrać się na inne przedstawienia. Chciałabym tylko od czasu do czasu go widywać.

- Na razie nic nie rób. Lyon lada dzień wróci do domu.

- Przyjedzie za tydzień. Ale co potem? Kto zgadnie, gdzie odbędą się następne koncerty Neely? A on znów wyjedzie razem z nią.

- Będiesz się tym martwiła później. Nie wybiegaj zbyt daleko w przyszłość - poradził Henry.

Lyon wrócił po dziesięciu dniach, ale mógł zostać w Nowym Jorku tylko przez tydzień. Neely miała nakręcić film w Europie, we Francji i Włoszech. Przewidziano doborową obsadę.

- Nie zbije na tym filmie majątku - wyjaśnił Lyon. - Ale udowodni hollywoodzkim wytwórniom i telewizji, że można na niej polegać, bo ja zamierzam dopilnować, żeby zdjęcia zakończyły się szybciej, niż przewiduje plan.

- Lyon, weź mnie ze sobą - poprosiła nagle.

- To nie jest dobry pomysł.

- Dlaczego?

- Wiesz, Neely czasami zachowuje się jak potwór. W Londynie odniosła oszałamiający sukces. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak reagują Anglicy, kiedy ktoś podbije ich serca. Tłumy ją uwielbiają wręcz niewiarygodnie. Ludzie wykrzykują jej imię, kiedy idzie ulicą, godzinami stoją w kolejkach, żeby ją zobaczyć chociaż przez chwilę. Biuro Johnsona Harrisa wysłało do Londynu dwóch swoich ludzi ze wspaniałą ofertą pracy w telewizji. Wszyscy chcą nam zabrać Neely. Ona doskonale zdaje sobie z tego sprawę i uderza jej to do głowy.

- Przecież powinna wykazać lojalność wobec ciebie i George'a. To wyście ją uratowali.

- Ale spłaciła już co do centa długi zaciągnięte w agencji i u ciebie. Zarabia wielkie pieniądze, a duża ich część przypada nam w udziale. Teraz ona dyktuje warunki. Jej zdaniem, to my powinniśmy być jej wdzięczni.

- A co to ma wspólnego z moim przyjazdem?

- Wprowadziłabyś zamieszanie. Neely by się to nie podobało.

- Neely by się to nie podobało! Jestem twoją żoną i jej najlepszą przyjaciółką. Jak mogłaby mieć coś przeciw mojej obecności?

- Odzyskała przewagę i dobrze o tym wie. Nie zapominaj, że pozwoliła umieścić na plakatach nazwisko Joeya Klinga tuż obok swojego. Dzięki temu wywalczyliśmy dla niego wspaniały kontrakt telewizyjny na przyszły sezon. Sprzedamy serial za sto pięćdziesiąt tysięcy tygodniowo, z czego nam dostanie się piętnaście tysięcy, i to pomnożone przez trzydzieści dziewięć tygodni. To zasługa Neely. W przyszłym roku załatwimy jej specjalny comiesięczny program w telewizji, za dwieście tysięcy dolarów każdy. W tej chwili wszystko kręci się wokół Neely. Jeśli pojechałabyś z nami, naturalnie musiałbym ci poświęcić trochę czasu. Pokazałbym ci Paryż, Rzym. Chciałbym być z tobą i zaniedbałbym Neely. Proszę cię, najdroższa, wytrzymaj jeszcze trochę. W przyszłym roku spłacę ci resztę

pożyczki. Jednak na razie Neely to podstawa BBB i trzeba się z nią ostrożnie obchodzić.

- Jestem pewna, że Neely nie denerwowałaby się moją obecnością. Sama mnie przecież namawiała, żebym zostawiła dziecko i pojechała z wami.

- Neely... cóż, trochę się zmieniła. Myśli teraz tylko o sobie. Powinnaś to zrozumieć, Anno. Nigdy przy niej nie byłaś, kiedy wszystko szło jej dobrze. Chroniła się pod twoje skrzydła w chwilach załamania. Wtedy zachowywała się jak człowiek, teraz trudno z nią wytrzymać. Cały czas jej pilnuję, żeby nie zrażała do siebie ludzi i dotrzymywała umówionych terminów. Odzyskała poczucie władzy. Znowu miewa napady wściekłości. Na szczęście potrafię je kontrolować i mam nadzieję, że to się nie zmieni. Ale właśnie dlatego powinienem poświęcać jej cały swój czas.

Anna z trudem przetrzymała kolejne trzy miesiące. Spędzała tak wiele czasu z małą Jennifer, że opiekunka narzekała na brak zajęć. Z zagranicy nadchodziły raporty o fantastycznych sukcesach Neely. Lyon pisał nieregularnie i dzwonił raz w tygodniu. Mówił, że kręcenie filmu idzie gładko, tylko trzeba powtórzyć nagrane na początku ujęcia, ponieważ Neely bardzo zeszczuplała. Wróci do domu pod koniec czerwca. Potem minął tydzień bez żadnej wiadomości z Europy.

Czwartego lipca zamówiła rozmowę zagraniczną. Telefonistka w hotelu George V oświadczyła, że pan Burke wyprowadził się dokładnie tydzień temu. Nie, nie zostawił żadnego adresu. Przypuszczalnie wrócił do Ameryki. Tak, pani O'Hara wyjechała w tym samym dniu.

Anna usiadła oszołomiona. Czyżby wracał statkiem? Ale dlaczego? Przecież tak bardzo tęsknił za nią i za córką. Zadzwoiła do George'a. Udzielał jej wymijających odpowiedzi. Tak, Lyon i Neely powinni już wrócić. Nie, od pięciu dni nie miał od nich żadnego sygnału.

Tej nocy leżała w łóżku i usiłowała oglądać telewizję. Nic nie wzbudziło jej zainteresowania. W końcu wyłączyła telewizor i zaczęła przeglądać poranne gazety. Nagle rzuciła jej się w oczy krótka notka na jednej z kolumn, jakby była wypisana neonowymi literami.

Czy legendarna gwiazda piosenki zawdzięcza fenomenalny powrót na estradę i odzyskanie kształtnej figury swojej nowej miłości?

Jednak ten romans z życia gwiazd być może nie zakończy się szczęśliwie. Ukochany piosenkarki, a zarazem jej menedżer, jest od jakiegoś czasu żonaty ze znaną piękną telewizyjną.

Żołądek podjechał jej do gardła. To niemożliwe! Ale przecież Lyon sam mówił, że Neely zeszczipła. Poczula, że za chwilę zwymiotuje albo zemdleje. Chwileczkę. No dobrze, może Neely zakochała się w Lyonie. O to nietrudno. Ale to jeszcze nie znaczy, że Lyona coś z nią łączy. Być może trzyma ją na dystans. Pewnie od dawna zdawał sobie sprawę, że tak się stanie. To by wyjaśniało, dlaczego nie chciał się zgodzić na przyjazd żony do Europy. Może starał się ją chronić. Zapewne sam przeżywa ciężkie chwile... W takim razie, gdzie się teraz podziewa?

Sięgnęła po telefon i bez zastanowienia zamówiła rozmowę z hotelem Beverly Hills w Kalifornii. Modliła się, żeby jej domysły okazały się błędne. Odezwała się telefonistka. Tak, pan Burke mieszka w hotelu. Wprowadził się trzy dni temu. Nie, nie ma go w pokoju. Tak, pani O'Hara też jest tu zameldowana. W jej pokoju nikt nie odpowiada. Tutaj jest dopiero dziewiąta. Czy życzy sobie pani zadzwonić jeszcze raz? Anna podziękowała i opadła na poduszki. Od trzech dni jest w Kalifornii! Nie zadzwonił! Szybko włożyła spodnie i wybiegła w noc.

Henry długo nie odpowiadał na pukanie.

- Chryste, co się stało? - spytał zasnym głosem. - Zawiązał pasek od szlafroka i wprowadził ją do salonu. Zapalił światło i wskazał Annie fotel. - Siadaj. O co chodzi?

Anna zachowywała się histerycznie.

- Widziałeś to! - Wskazała na leżące na podłodze poranne gazety. - Henry, nie udawaj przede mną, że nic nie wiesz. Właśnie odkryłam, że Lyon od kilku dni jest w Ameryce. Zatrzymał się w Kalifornii, razem z Neely. Nawet do mnie nie zadzwonił.

- Napijmy się czegoś - zaproponował Henry.

- Henry... pomóż mi! - Zagłębiła się w fotelu i zaczęła płakać. Spokojnie przyrządził drinka i podał go Annie.

- Przestań histeryzować i spójrz prawdzie w oczy. Chcesz ocalić swoje małżeństwo, prawda?

- A więc ty też w to wierzysz!

- Oczywiście. Wiem o tym od jakiegoś czasu.



Nie mogła wydobyć słowa. Patrzyła na niego tak, jakby właśnie straciła ostatniego przyjaciela.

- Zachowuj się jak dorosła osoba - nakazał. - Od dawna się na to zanosilo. Masz kilka dróg wyjścia. Po pierwsze, możesz od niego odejść, zachowując dumę. Po drugie, jeśli bardzo chcesz go zatrzymać i wystarczy ci odwagi, możesz poczekać i odzyskać męża.

- Nie potrafię żyć bez Lyona - szlochała.

- W takim razie zapanuj nad sytuacją. Jeśli zrobisz mu awanturę, wepchniesz go prosto w ramiona Neely.

- Ale ona jest gruba jak beczka. To niemożliwe, żeby coś do niej czuł.

- Już nie jest gruba. - Henry mówił ostrożnie. - Właśnie wczoraj wróciłem z Zachodniego Wybrzeża. Natknąłem się na Neely i Lyona w restauracji Chasens. Ona wygląda wspaniale. Waży najwyżej czterdzieści sześć kilo.

- Neely?

- Chyba miłość tak na nią podziałała. W czasie pierwszej podróży do Los Angeles zrzuciła około czterech kilogramów, dalsze cztery w San Francisco i w Waszyngtonie, a reszty dokonał trzymiesięczny pobyt w Europie. Prawie nic nie je. Obserwowałem ją. Jest taka szczupła, że jeszcze trochę, a zniknie. Ale szaleje na punkcie Lyona. Nie odrywa od niego oczu, wciąż się do niego przytula.

Anna ukryła twarz w dłoniach.

- Henry, przestań! Chcesz mnie zabić?

- Nie, staram się tylko powiedzieć ci całą prawdę. Jeśli poznasz wszystkie fakty, może będziesz wiedziała, jak walczyć. Zaskoczona przegrasz. Lepiej wszystkiego się dowiedzieć. Teraz zbierz wszystkie siły. To cię może załamać. Wygląda na to, że Lyon wcale się Neely nie opiera.

- Nie... nie... - zawodziła.

- Skończ wreszcie z tą histerią. Zastanówmy się, co zrobić. Spojrzała na niego nie wierząc własnym uszom.

- Henry, ty chyba oszalałeś. To już koniec, nic się nie da zrobić. Wzruszył ramionami.

- Świetnie. Zajmę się formalnościami rozwodowymi. Lyon będzie ci musiał wypłacić wysokie odszkodowanie i alimenty na dziecko. Jestem pewien, że na wszystko się zgodzi.

Zaszlochała jeszcze gwałtowniej.

- Nie... nie... Nie dam mu odejść.

- W takim razie weź się w garść. Wypij drinka i razem się zastanówmy. Nie jesteś pierwszą kobietą, której mąż robi skok w bok. Ani nie ostatnią. Musisz się tylko zastanowić, co ma dla ciebie większe znaczenie, Lyon czy duma.

- Nigdy już nie będzie między nami tak samo.

- Nie, nie będzie. Zniknie wzajemna fascynacja, ale odzyskasz go. Trochę cię znam i wydaje mi się, że wolisz mieć choćby część Lyonsa niż całkowicie go utracić.

- Henry, przecież on straci do mnie cały szacunek, kiedy się dowie, że zgadzam się na taki układ.

- No właśnie - odparł zniecierpliwiony. - Cała rzecz w tym, żeby się nie domyślił, że ty wszystko wiesz. Jeśli się domyśli, nie będziesz miała innego wyjścia, jak tylko poprosić o rozwód. Właśnie na to liczy Neely. Posłuchaj mnie... Lyon zaangażował się w znajomość z nią w jak najlepszej wierze. Musisz to zrozumieć. Stał się dla niej wyrocznią, a taka rzecz bardzo uderza do głowy, szczególnie jeśli przydarzy się w odpowiednim momencie. Lyon bardzo tego potrzebował, żeby poprawić sobie poczucie własnej wartości. On ma naturę twórcy, Anno. Myśli, że odebrałaś mu możliwość tworzenia i podstępem zmusiłaś do zmiany zawodu. To wszystko bzdura. Gdyby naprawdę mu na tym zależało, nikt by go nie powstrzymał. Ale teraz znowu odnalazł możliwość tworzenia. Zmienił górę sadła w szczupłą, oszałamiającą gwiazdę, która jest całkowicie od niego uzależniona. Nie jest już menedżerem, jest twórcą. Czuje się wszechwładny, a poczucie władzy każdego oszałamia. Żaden człowiek mu się nie oprze. Neely doskonale się dostosowała do wyznaczonej jej roli i udaje słabą, bezradną istotkę. Jest równie bezradna jak kobra, ale Lyon tego nie dostrzega. Jemu się wydaje, że to ty jesteś silna, potężna. To ty byłaś dla niego wyrocznią. Prawdę mówiąc, nie jesteś nawet w połowie tak silna jak Neely. Takich jak ona nic nie zniszczy. Ale twoje opanowanie i pewność siebie sprawiają, że przy tobie Lyon nie czuje się w pełni mężczyzną. Co innego przy Neely. Pewnie uważa, że psychicznie go wykastrowałaś, i to nie raz, ale dwa. Najpierw, kiedy nie chciałaś dla niego wyjechać z Nowego Jorku, a potem kiedy kupiłaś mu agencję.

- Gdybyś tylko nie powiedział o tym Neely - jęknęła.

- To się stało pod koniec grudnia. Byliście z Lyonem szczęśliwi, a Neely uchodziła za twoją najlepszą przyjaciółkę. Tak mi się przynajmniej wydawało. Zwróciła się do mnie, ponieważ wiedziała, że mnie wysłuchasz. Chciała, żebym cię przekonał do wyjazdu po urodzeniu dziecka. Szlochała, zaklinała się, że bez Lyona nie pojedzie, histeryzowała... Twierdziła, że nie przyjmiesz rozsądnych argumentów, bo jesteś milionerką i agencja nic cię nie obchodzi; że pewnie chcesz, żeby Lyon się wycofał. Wyjaśniłem jej więc, że błędnie postrzega sytuację i że w grę wchodzi tu twoje własne pieniądze. Przecież i tak miałem wkrótce o wszystkim Lyonowi powiedzieć. Skąd mogłem wiedzieć, że właśnie Neely wykorzysta tę wiadomość przeciwko tobie? Chryste, wiesz, ile razy mi powtarzała, że wszystko w życiu ci zawdzięcza? To dzięki tobie zagrała w Pod samo niebo. To ty namówiłaś Gila Case'a, żeby Neely zastąpiła Terry King. Ty opłacałaś jej pobyt w Haven Manor. Nigdy nie podejrzewałem, że Neely zwróci się przeciw tobie, nie mówiąc już o tym, że zechce odebrać ci Lyona. Popełniłem wielki błąd, ale działałem w jak najlepszej intencji. Teraz musisz stawić czoło rzeczywistości. Przy tobie Lyon nie czuł się jak wielki człowiek. Wtedy pojawiła się Neely i wyniosła go na piedestał. Powinnaś poczekać, aż wszystko się uspokoi.

- Jak to zrobić? - zapytała błagalnie.

- Działaj ostrożnie. Przestań zabawiać się w pana Boga i przez jakiś czas bądź kobietą. Poczekaj, aż Neely ujawni swoje prawdziwe oblicze. Lyon to nie głupiec. - Zamilkł na chwilę. - Wiesz, od początku byłem zdania, że nie powinnaś się z nim wiązać. Ale tak bardzo go chciałaś. W porządku, zdobyłaś go. Zbyt wiele przeszłaś, żeby teraz poddać się bez walki. Najważniejsze, żebyś się zachowywała, jakby nic się nie wydarzyło. To nie przyjdzie ci łatwo, prawdę mówiąc, chwilami będzie wręcz niemożliwe, bo romans z Neely stanie się jeszcze bardziej gorący, zanim wygaśnie. Ale jeśli to wytrzymasz, koło się odwróci. W końcu Lyon ją znienawidzi. Ona go wykastruje, robi to wszystkim swoim mężczyznom. Szkoda, że nie słyszałaś, co

o niej wygadywał Ted Casablanca. Na początku Neely to sama słodycz i delikatność, ale jak to bywa z gwiazdami, pod tą miękką powłoką kryje się zimna stal. Z czasem, jeśli uda ci się przetrzymać najgorsze ciosy, w oczach Lyona przeistoczysz się w bezbronną,

skrzywdzoną kobietę. Zaczną go nękać wyrzuty sumienia. Zapragnie otoczyć cię opieką. Małżeństwo trochę na tym ucierpi i być może, kiedy ta sprawa się skończy, już nie będziesz chciała go znać. Ale jeśli nadal będziesz go kochała, dostaniesz go z powrotem. Zapowiada się wojna nerwów, ale wydaje mi się, że dasz sobie radę.

- Spróbuję - odparła znużona. - Henry... świat zawalił mi się na głowę. Myślę, że dzisiaj pierwszy raz w życiu wezmę laleczkę.

- Co to takiego?

- Seconal. - Uśmiechnęła się blado. - Jennifer i Neely tak nazywały tabletki seconalu. Nigdy ich nie brałam, ale dzisiaj chyba sobie na jedną zasłużyłam. Zastanawiam się, gdzie mogłabym je dostać.

Poszedł do apteczki i wrócił z buteleczką.

- Proszę, zapas na dwa miesiące. Przed chwilą sam jedną połknąłem.

- Ty też? - zapytała ze smutnym uśmiechem.

- Od dwudziestu lat. W naszej branży wszyscy je biorą. Zażyj jedną i połóż się do łóżka. Nie pal. Jeśli nigdy tego nie brałaś, podziała błyskawicznie.

Wzięła buteleczkę i wyszła. Nogi miała jak z ołowiu. Podczas jazdy taksówką przed oczyma jej wyobraźni przesuwwały się natrętne obrazy Lyona i Neely.

Po powrocie do domu weszła do łazienki i przez chwilę przyglądała się buteleczce pełnej błyszczących czerwonych kapsułek. Wysypała je i przeliczyła. Sześćdziesiąt pięć. Bez wątpienia Henry jej ufa. Dlaczego nie. Nie zamierza poddawać się bez walki. Ma dziecko, które jej potrzebuje, i męża, którego musi odzyskać. Chodzi tylko o kilka godzin zapomnienia, podczas których uwolni się od koszmaru, który spadł na nią tak nagle. Przełknęła jedną kapsułkę.

- Witaj, laleczko. Zobaczymy, czy to prawda, co o tobie mówią. Weszła do łóżka i podniosła gazety, które przed wyjściem zrzuciła

na podłogę. Próbowwała czytać, ale wkrótce druk zaczął tańczyć jej przed oczami. Cudownie... głowę miała lekką... powieki same się zamykały... Laleczka to wspaniała rzecz... zaraz zaśnie. Jutro o wszystkim pomyśli.

Tydzień później przyjechał Lyon. Wyjaśnił, że wracali do Nowego Jorku dłuższą drogą i na chwilę zatrzymali się w Kalifornii. Udawała zaskoczoną. Spojrzał na nią jakoś tak dziwnie.

- Chcesz powiedzieć, że nie wiedziałaś o moim pobycie w Los Angeles?

- Skąd miałabym wiedzieć? Sądziłam, że coś cię zatrzymało w Europie.

Odwrócił się, ale nie wystarczająco szybko, więc udało jej się dostrzec zaskoczenie w jego oczach. Wrócił spodziewając się kłopotów, przygotowywał sobie całą listę wyjaśnień, a tymczasem ona go o nic nie pytała. Zjedli kolację w Colony, a potem spędzili pierwszą wspólną noc. Kochała go czule i z oddaniem. To było trudne; miała ochotę rzucić się na niego z pazurami, zostawić rany na jego ciele, które by świadczyły, że należy do niej. Dręczyły ją wizje Neely w łóżku z Lyonem, ale jakoś udało jej się stłumić wściekłość. Namiętnie odpowiadała na uściski męża.

Przeżyli razem pięć cudownych dni. Niemal uwierzyła, że nic złego się nie stało, a jeśli nawet, to już odeszło w przeszłość. Potem wróciła Neely. Podpisała umowę na dziesięć comiesięcznych gościnnych programów w telewizji. Pierwszy miał być we wrześniu, więc nagrania rozpoczynały się w sierpniu. Ponieważ minęła dopiero połowa lipca, Neely się nudziła, więc przyjechała do Nowego Jorku w poszukiwaniu rozrywki.

Był czwartek. Anna nic nie wiedziała o przyjeździe Neely. Wybierali się z Lyonem do teatru, a potem na spotkanie w klubie Copa z agentem nowego piosenkarza. Prawie wszyscy agenci w mieście starali się załatwić dla swoich klientów gościnne występy w programie Neely.

O piątej zadzwoniła sekretarka Lyona. Pan Burke został wezwany na spotkanie ze sponsorami i nie zdąży do teatru. Wysłała Buda Hoffa, żeby jej towarzyszył. Potem dołączy do nich w Copa.

Annie nie przyszło nawet do głowy, że dzieje się coś niedobrego. Bawiła się z dzieckiem, wzięła długą kąpiel i ubrała się do wyjścia. Przyjechał Bud i zabrał ją do teatru. Potem poszli do klubu, gdzie czekał już agent, zajmując dla nich najlepszy stolik na balkonie. Anna wyjaśniła, że Lyona zatrzymały interesy i że później do nich dołączy.

Agent skinął głową.

- Obawiałem się, że będzie zajęty. Przecież dzisiaj przyjechała Neely.

Anna poczuła, że pali ją twarz, ale zdołała uśmiechnąć się obojętnie.

- No tak... racja. O której Neely wylądowała, Bud? - zapytała, jakby ta wiadomość nie była dla niej zaskoczeniem.

- Około południa, tak mi się przynajmniej wydaje - odparł zmieszany Bud. - Właśnie o tej porze zadzwoniła.

Anna zamówiła drinka.

- Biedny Lyon. Miał nadzieję, że Neely zostanie w Arizonie z synami. - Czyżby Bud i agent wymienili między sobą znaczące spojrzenia? Chyba jej się zdawało. Ilu ludzi zna prawdę?

Zmusiła się do oglądania występów, a nawet zdobyła się na kilka komplementów pod adresem piosenkarza, którego reprezentował agent. Czekał na Lyona krzesło zdawało się z niej drwić. Z przyklejonym do twarzy uśmiechem, jak dobra żona usprawiedliwiała nieobecność męża. Zauważyła, że agent jest bardzo rozczarowany, ale ona denerwowała się o wiele bardziej.

- Pewnie wyniknęły jakieś problemy związane z programem Neely. Ona tak bardzo polega na Lyonie. Z pewnością bardzo mu przykro, że nie zdążył na występ, ale Bud zda mu dokładne sprawozdanie. Prawda, Bud?

Bud zapewnił, że to zrobi. Znowu jej się wydało, że obaj mężczyźni dziwnie na siebie spojrzeli.

Minęła już trzecia nad ranem, kiedy Bud odwiózł ją do domu. Wiedziała, że Lyona jeszcze nie ma. Na palcach weszła do pokoju córki, pocałowała ją i okryła kołderką. Śliczna, mała Jennifer, z czarnymi włosami i błękitnymi oczami ojca. Jest taka piękna. Anna poczuła napływające do oczu łzy. Coś ścisnęło ją w gardle. Nie - musi być spokojna, kiedy wróci Lyon. Żadnych łez. Z uśmiechem przyjmie każdą bajeczkę, jaką jej opowie.

O piątej zeszła cicho do salonu. Może wrócił, tylko nie chciał jej budzić? Może śpi w gabinecie? Ale i salon, i gabinet były puste. Mój Boże, Lyon, dlaczego? A Neely? Jak mogła mi coś takiego zrobić? Poszła do łazienki i wzięła czerwoną pigułkę. Do czasu przyjazdu Lyona przez tydzień połykała jedną co wieczór. Wydawało jej się, że jedynie seconal pozwolił jej zostać przy zdrowych zmysłach. Po powrocie męża nie połknęła ani jednego proszka. Ale teraz znowu zacznie je brać. Dzięki Bogu za śliczne czerwone lealeczki. Z nimi mogła przetrwać kolejne noce. Dnie były łatwiejsze - bawiła się z dzieckiem, zwykle jadła lunch z Henrym lub jakimś dalszym znajomym.

Znała wiele kobiet, które jadały lunch w „21” albo w Little Club. Były żonami współpracowników Lyona, reżyserów lub klientów i równie gorączkowo jak ona starały się zapełniać sobie czas. Jednak, od czasów Neely i Jennifer, z nikim się bliżej nie zaprzyjaźniła. Przyjaźnie zawiązują się we wczesnym okresie życia. Po trzydziestce coraz trudniej o przyjaciółki; nie ma już tylu nadziei, marzeń i lęków, którymi można by się z nimi dzielić. Annie co prawda zawsze udawało się znaleźć kogoś, z kim mogłaby spędzić popołudnie, wybrać się do restauracji lub po zakupy. Co innego noc! Długo po tym, jak mała Jen i panna Cuzins zasnęły, ona wciąż nie mogła zmrużyć oka. Myślała o Lyonie, widziała jego twarz i uśmiech - wyobrażała sobie, co robi z Neely. Kiedy nie mogła już tego znieść, znajdowała pociechę w niezawodnej czerwonej laleczce. Wkrótce Neely i Lyon rozplływali się w nicości i Anna zapadała w ciemność pozbawioną snów. Tak upłynął jej tydzień przed powrotem męża.

Teraz wszystko zaczynało się od nowa. Leżała w łóżku i zastanawiała się, jak długo Neely zamierza pozostać w Nowym Jorku. Może tylko kilka dni. Pokój wokół niej zawirował. Dzięki Bogu, proszek zadziałał.

Nie wiedziała, jak długo już śpi, ale niejasno zdała sobie sprawę, że Lyon wrócił i cicho krąży po sypialni. Z trudem otworzyła oczy. Świeciło słońce. Mąż był w łazience.

- Lyon? - Usiadła w pościeli. Spojrzała na zegarek. Ósma! Czyżby dopiero wrócił? Zobaczyła jego garnitur na krześle.

Wyszedł uśmiechnięty z łazienki. Miał na sobie tylko spodenki.

- Przepraszam, obudziłem cię.

- Która godzina?

- Ósma. Właśnie się ubieram. - Usiadł na zaścielonym łóżku, żeby Anna nie zauważyła, że pościel jest całkiem nie wymięta. Próbował udawać, że spędził noc w domu!

- O której poszłaś spać? - zapytał niedbale, sznurując buty.

- Około trzeciej - skłamała. Cholerna pigułka. Przez nią nie mogła jasno myśleć.

- Wróciłem po czwartej - oznajmił beztrząsco. - Spałaś jak suseł. Opadła na poduszkę.

- Neely przyjechała do Nowego Jorku - powiedział zakładając czystą koszulę.

- Wiem, Bud mi powiedział.

Zdawała sobie sprawę, że Lyon obserwuje jej reakcje. Nie otwierała oczu.

- Przyszła na spotkanie ze sponsorami. Chce wprowadzić kilka zmian w scenariuszu swojego programu. Natknęliśmy się na parę problemów, które trzeba było rozwiązać. Neely chce więcej smyczków w orkiestrze, nalega, żeby producent za to zapłacił. Upiera się, że telewizja musi pokryć połowę kosztów własnych. Dyskusja zabrała nam kilka godzin.

Do ósmej rano. Nadal nie otwierała oczu.

- Potem poszedłem na późną kolację ze sponsorami. Musiałem ich udobruchać. No i ten Ted Kelly... Sama wiesz, jaki z niego pijak. Ach, racja. Nie poznałaś go. Pracuje w agencji. Siedziałem z nim w „PJ” aż do trzeciej trzydzieści, żeby się trochę uspokoił. Chciałem zadzwonić do ciebie do Copa, ale on by nalegał, żeby się do nas przyłączyć, a był kompletnie zalany. Wolałem niańczyć go sam. Dzięki Bogu, że tam zamykają o czwartej. Wróciłem prosto do domu.

Dłużej tego nie wytrzymam - pomyślała. Zaraz zacznę krzyczeć. Jednak tylko zagryzła wargi i milczała.

- Obudziłaś się, kochanie? - Kiedy lekko skinęła głową, uśmiechnął się. - Sama chyba trochę za dużo wypijaś, bo jesteś taka wykończona. A tak przy okazji, umów się na dzisiejszy wieczór z którąś ze swoich przyjaciółek. Ja muszę zabrać Neely i kilku współpracowników z agencji do Village, żeby obejrzeć nowe programy artystyczne.

Opuściła ją cała senność.

- Nie mogłabym pojechać z wami?

- Nie czułabyś się dobrze - odparł szybko. - Będziemy załatwiać interesy. Nikt nie przyjdzie w towarzystwie żony. Jeślibyś się zjawiała, spotkanie nabrałoby towarzyskiego charakteru, wszyscy inni też sprowadziliby żony i w końcu zmieniliby się to w wielkie przyjęcie. W takim dużym towarzystwie trudno szybko przemieszczać się od klubu do klubu.

- Ale przecież będzie z wami Neely - upierała się Anna. Spojrzał na nią zaskoczony.

- Przecież to naturalne. Chodzi o przygotowania do jej występu i osobiście musi ocenić każdego wykonawcę. - Uśmiechnął się i dodał: - Chyba słyszę Jennifer. Przysięgłbym, że powiedziała „dada”. Zjem śniadanie z naszą małą księżniczką. Ty sobie jeszcze pośpij.



Nie widziała go przez pięć następnych nocy, chociaż słyszała, jak przychodził wczesnym rankiem, żeby zmienić ubranie. Czasami się budziła i zachowywała tak, jakby wierzyła, że mąż spędził całą noc we własnym domu. Po przyjściu nigdy nie zapominał wzburzyć pościeli i zawsze miał gotowe usprawiedliwienie. Twierdził, że musiał obejrzyć jakieś przedstawienie, spotkać się z agentami, nadzorować sesję nagraniową Neely albo przesłuchać piosenki do jej nowego albumu. I co noc łykała czerwoną kapsułkę, żeby zapaść w litościwy, dający zapomnienie sen.

Szóstego dnia nastąpił kolejny kryzys. Lyon właśnie wrócił. Wy tłumaczył, że znowu spędził noc w towarzystwie Teda Kelly. Byli tylko we dwóch. Udała, że w to wierzy i opadła na pościel. Jednak nie mogła już zasnąć. Poszła do łazienki i połknęła jeszcze jedną czerwoną lealeczkę.

Obudziła się o pierwszej po południu. Zadzwoiła po pokojówkę i oznajmiła, że nie czuje się dobrze, więc wypije kawę i zje grzankę w łóżku. Służąca wniosła tacę i popołudniowe gazety. Anna leniwie rozłożyła jedną z nich i zaczęła przeglądać magazyn ilustrowany. Wielkie zdjęcie Neely i Lyona natychmiast rzuciło jej się w oczy. Podpis głosił: „Neely O'Hara tańczy w El Morocco ze swoim osobistym impresariem, Lyonem Burke”.

Neely wyglądała dobrze. Anna ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że ostatni raz widziała ją... Kiedy? Jeszcze przed narodzinami dziecka, jakieś osiem albo dziewięć miesięcy temu. Neely nie stara się nawet ukryć romansu z Lyonem. Nie, przecież nie patrzyłaby na niego z tak promiennym uśmiechem. Lyon również ma uszczęśliwioną minę. O Boże, co teraz? Został przyłapany na kłamstwie. Gdyby tylko jej nie mówił, że spędził noc w towarzystwie Teda Kelly. Wykręciła numer Henry'ego.

- Wyrzuć tę gazetę - nakazał jej. - Nie proś go o wyjaśnienie. Przecież to prawdopodobne, że mogłaś nie widzieć zdjęcia.

- Henry, dłużej już tak nie wytrzymam - łkała. - Nie potrafię...

- Przyjedź do mnie - zaproponował błagalnie. - Porozmawiamy.

Henry krążył po salonie.

- Przyznaję, że to trudne - odezwał się. - Nie przypuszczałem, że zachowa się tak bezczelnie. Sądziłem, że po powrocie z trasy trochę się uspokoi. Wiedziałem, że dokuczy ci samotność, ale nie przewidziałem, że tak otwarcie podsuną ci swój romans pod nos.

- Co mam robić? Stałam się pośmiewiskiem dla całego miasta. Nie mogę już nawet pójść na lunch do restauracji. Zaledwie wczoraj oświadczyłam publicznie, że Lyon wolałby, żeby Neely wróciła do Kalifornii, bo ma dosyć odgrywania roli jej niańki. Słuchały mnie trzy znajome i wyczułam, że w duchu się ze mnie śmieją. Teraz nie mogę nawet wyjść z tego z twarzą. - Wzięła gazetę.

- Mam zadzwonić do Lyona? - zapytał. - Porozmawiam z nim jak przyjaciel, nie zdradzę, że mnie odwiedziłaś. Sprawdziłbym, co da się jeszcze zrobić.

Potrząsnęła głową.

- Lyon by się domyślił. Wie, że tylko tobie ufam. Nagle Henry chwycił za telefon.

- Co zamierzasz? - zdziwiła się.

- Zatelefonuję do Neely - oznajmił. - Udam, że chcę udzielić jej rady, bo najwyższy czas, żeby ktoś przemówił jej do rozumu. Wysłuchaj tej rozmowy. W sypialni jest drugi aparat.

Przez chwilę obserwowała Henry'ego, który kilka minut gratulował Neely wspaniałej figury i licznych sukcesów. W końcu przystąpił do rzeczy.

- Neely, przejrzałem właśnie popołudniową gazetę. Co to, do cholery, za historia z Lyonem?

Annie nie spodobał się wyraz jego twarzy. Poszła do sypialni i ostrożnie zdjęła z widełek słuchawkę dodatkowego telefonu. Usłyszała głos Neely.

- Słuchaj, Henry, bardzo cię lubię, ale nie wtrącaj się w nie swoje sprawy.

- Neely - odparł cicho. - Nie obchodzi mnie, co czujesz. Nawet jeśli uważasz, że nie masz wobec Anny żadnych zobowiązań, powinnaś chronić swój publiczny wizerunek. Wszyscy wiedzą, że Lyon jest żonaty. Dotychczas ukazało się w gazetach tylko kilka zawołanych aluzji, ale to zdjęcie... W końcu twoi sponsorzy z pewnością nie życzyliby sobie żadnego skandalu. Przecież Lyon wciąż mieszka z Anną.

- Akurat - prychnęła Neely. - Wraca do domu nad ranem, żeby zmienić ubranie. Wciąż ma nadzieję, że Anna go nakryje. Ale ona zawsze śpi.

- Może tylko ci się wydaje, że Lyon chce dać się złapać?

- Bzdura! Ostatnio spędza ze mną wszystkie noce. Kiedy wczoraj zrobili nam to zdjęcie w El Morocco, powiedział nawet: „Może to i lepiej. Jeśli fotografia się ukáže w gazecie, wszystko się wyda”. To są jego słowa. Nie mówi nic Annie, bo się boi, że ona się załamie. No i...  
- Neely zawahała się. - Cóż, kocha to swoje dziecko.

- Neely, to się zwróci przeciwko tobie - ostrzegł Henry. - Nie można zaspokajać wszystkich swoich zachcianek, nie martwiąc się o uczucia innych. Na każdym w końcu los się zemści.

- Ja nie jestem każdy! - piskliwie krzyknęła Neely. - Najwyższy czas, żebym dostała to, czego chcę. Wiesz, dlaczego? Całe życie tylko dawałam. Nawet jako dzieciak... Ci pieprzeni Gauchos nie umieli tańczyć, to dzięki mnie mogli występować. Mój szwagier jest teraz kasjerem u Macy'ego. Po moim odejściu nigdzie nie wystąpili. Zarabiałam pieniądze dla wytwórni, ale oni kopnęli mnie w tyłek. Jednak mnie nic nie mogło zniszczyć. Dobrze wiesz, że nie ma takiej drugiej jak ja. Nie muszę przestrzegać żadnych cholernych zasad, które obowiązują zwykłych ludzi. Ja jestem niezwykła. Nic nie da mi rady, zapewniam cię. Ani demerol, ani tabletki, ani wariatkowo czy tusza - nic. Dzięki Lyonowi czuję, że żyję. Kiedy z nim jestem, nie muszę nic jeść. Mogę pić, łykać tabletki na odchudzanie, a nawet proszki nasenne, i nic mi nie szkodzi. Do diabła, Henry, uszczęśliwiam talentem cały świat. A Lyon uszczęśliwia mnie. Czy ja nie mam prawa do szczęścia? Lyon jest mi potrzebny. Cóż to znowu za ważna persona, ta Anna?

- Zapomniałaś już, że była twoją najlepszą przyjaciółką?

- A, jasne. Coś ci powiem. Miała szczęście, że chciałam się z nią przyjaźnić. Przecież bardzo lubiła moje towarzystwo. I nic dziwnego. Jestem barwną postacią, prawdziwą gwiazdą. A kim ona jest, jeśli się nad tym głębiej zastanowić? Nawet w młodości byłam lepsza niż ona. Jasne, Anna to elegancka dama, ale nic więcej. Kim jest teraz? Chudzielcem bez nazwiska, który kiedyś reklamował w telewizji lakier do paznokci i latami sypiał z jakimś starym dziadem. To za jego pieniądze kupiła Lyona, a teraz odgrywa niewiniątko. Dziewica Orleańska! Mnie nikt nie dał pieniędzy na tacy w nagrodę za ładną twarz. Na wszystko zarobiłam własnym talentem. Anna wystarczająco długo bez wysiłku szła przez życie, tylko dlatego, że wygląda jak wielka dama. Ma już trzydzieści osiem lat, a ja dopiero trzydzieści cztery, i w dodatku wygląd nigdy nie miał dla mnie znaczenia. To nie

dzięki niemu osiągnęłam sukces. Jeśli uważasz się za przyjaciela Anny, powiedz jej, żeby zwróciła Lyonowi wolność. Potem, jak sobie zoperuje zmarszczki, może zainteresuje się nią Kevin Gillmore albo jakiś inny staruch. Zawsze miała talent do podrywania milionerów! - Parskając ironicznie, Neely z trzaskiem się rozłączyła.

Anna ostrożnie położyła słuchawkę na widełki. Podeszła do lustra. Kurze łapki pod oczami odznaczały się dzisiaj wyjątkowo mocno. Wokół ust zauważyła drobne zmarszczki. To dziwne, ale nigdy nie pomyślała, jakie znaczenie dla Lyona ma jej wygląd, ale...

- Odejdź od lustra! - Henry wszedł do sypialni. - Ta mała sekutnica ma pod oczami sińce do pasa. W dodatku uważa, że picie jej nie szkodzi. To dobrze. Jej wątroba długo tego nie wytrzyma. - Zaczęła dygotać. Henry objął ją i mocno przytulił. - Daj spokój. Ona się tylko popisывała. Wiedziała, że będę z tobą o niej rozmawiał.

- Może ona ma rację. Pewnie Lyon rzeczywiście chce rozwodu.

- Twój mąż nic takiego nie powiedział. Słuchaj, Anno. Sama mówiłaś, że codziennie rano burzy pościel. Przynajmniej wciąż stara się ciebie zwodzić. Stale wynajduje nowe wymówki.

- Powinnam być wdzięczna za małe dobrodziejstwa - wyszłochąła.

- Wytrzymaj. Neely twierdzi, że nic nie zniszczy jej talentu. Owszem, zniszczy. Ona się zniszczy sama. Zobaczysz.

Potrząsnęła głową.

- To już koniec. Nie potrafię dłużej udawać.

- Ależ potrafisz! I będziesz to robiła. Masz klasę i tyle samo siły, co ta mała jędza.

Tego wieczora Lyon nawet nie zadzwonił, żeby wytłumaczyć swoją nieobecność. Po prostu nie wrócił na noc. Zbliżała się północ i Anna właśnie zamierzała wziąć proszek, kiedy usłyszała płacz dziecka. Jen zwykle zachowywała się spokojnie i przesypiała całą noc. Z pewnością coś się stało. O Boże, w dodatku panna Cuzins ma dzisiaj wychodne. Pobiegnęła do pokoju dzieciennego. Córeczka płakała. Twarz miała czerwoną. Anna podniosła ją delikatnie z łóżeczka. Sprawdziła, czy nie rozpięła się jakaś agrafka. Jen miała mokro, ale żadna agrafka nie wbijała się w jej ciało. Zmieniła małej pieluchę i dała butelkę, ale Jennifer nie chciała jeść. Krzyczała coraz głośniej. Skórę miała rozpaloną. Ząbkowała, więc może stąd te kłopoty. Anna wtarła trochę żelu w džiaśta córki. Panna Cuzins zapewniała, że jest

niezwykle skuteczny. Dziecko nadal zachowywało się niespokojnie i zanosilo się płaczem. Dla pewności Anna zmierzyła Jen temperaturę. Ponad czterdzieści stopni! Z małą w ramionach pobiegła korytarzem i zapukała do drzwi służącej. Zaspana kobieta posłusznie założyła szlafrok i wzięła na ręce rozkrzyczane dziecko. Anna tymczasem próbowała dodzwonić się do lekarza.

Był piątek i dowiedziała się, że wyjechał z miasta na weekend. Dostała numer lekarza dyżurnego. Telefonistka zawiadomiła ją, że doktor jeszcze nie wrócił, ale będzie osiągalny za godzinę. Anna zastanawiała się gorączkowo, co robić. Gdzie jest Lyon. Zadzwoiła do Henry'ego, ale sygnał powtarzał się w nieskończoność - jego również nie było. Oczywiście, przecież Henry ma letni dom gdzieś w Westport. Czyżby wszyscy wyjechali z miasta?

Zdecydowanym ruchem wykręciła numer hotelu, w którym zatrzymała się Neely. Podała swoje nazwisko telefonistce. Po chwili usłyszała głos Neely.

- Witaj - odezwała się Anna bezosobowym, spokojnym tonem. - Czy jest u ciebie Lyon?

- Nie.

- Muszę go znaleźć. To ważne.

- Cóż... - Neely ziewnęła. - Jeśli do mnie zadzwoni, powiem, że go szukasz.

- Neely, dziecko zachorowało.

- Wezwij lekarza.

- Próbowałam, ale wyjechał na weekend. Jennifer płacze i ma ponad czterdzieści stopni gorączki.

- Nie wpadaj w panikę. Małe dzieci często dostają wysokiej temperatury, zwykle bez powodu. Daj jej pół aspiryny.

- Jeśli Lyon się do ciebie odezwie, powiedz mu, że dzwoniłam. Proszę cię.

- Jasne, nie ma sprawy. A teraz dobranoc. Jutro mam sesję nagraniową. Powinam się wyspać. Bliźniaki często dostawały temperatury. Nie ma się czym przejmować. - Stuknęła odkładana słuchawka.

Anna uwierzyła Neely. Nawet ona nie mogła być do tego stopnia pozbawiona serca. Na miłość boską, gdzie jest Lyon?

Neely podniosła słuchawkę i poleciła, żeby nikogo z nią nie łączono. Gdzie, do cholery, podziewa się Lyon? Ach, tak. Poszedł do

hotelu Victoria na spotkanie z aranżerami. Mieli razem opracować słowa do jej nowej piosenki. Powiedział, że będzie tam do drugiej, a potem przyjdzie do niej. Czy zadzwonić i powiadomić go o chorobie dziecka? Nie, to nic takiego. Dzieci często dostają gorączki. Anna po prostu wykorzystuje jedyny argument, jaki jej pozostał, żeby go ściągnąć do siebie. Czego nie zrobi kobieta, żeby zdobyć mężczyznę? Nie, Neely nie da się na to nabrać. Kiedy Lyon przyjdzie, będzie już smacznie spała, więc nic dziwnego, że nie przekaże mu wiadomości od żony. Tak, na poduszce zostawi liścik, że o dwunastej wzięła pigułki. Teraz jest pierwsza piętnaście. To jasne, że po zażyciu proszków nie jest w stanie zapamiętać telefonu od Anny. Lyon chyba pójdzie spać. A może, widząc że ona śpi, wróci do domu, do swojej cholernej żony i bachora. Do diabła z tym. Połknęła trzy kapsułki i wypila szklaneczkę szkockiej. Dobrze, tę jedną noc może spędzić w domu. W przyszłości i tak będzie należał tylko do niej. Zasypiając myślała o nowej piosence. Miała nadzieję, że zrobi z niej przebój. Występowała jako autorka tekstu. To Lyon wymyślił ten trik. Wszyscy autorzy ubiegali się, żeby nagrywała ich piosenki albo śpiewała je w telewizji. Żądała więc, żeby wymieniano jej nazwisko jako współautorki. Wkrótce wyrobi sobie świetną opinię w związku twórców. Uśmiechnęła się z zadowoleniem, czując, że pigułki zaczynają działać. Wreszcie zasnęła.

Małą Jennifer zabrano do szpitala o drugiej nad ranem. Pojawił się wreszcie dyżurny lekarz. Z początku bał się, że to polio, ale w końcu stwierdził zapalenie płuc.

Kiedy Lyon przyszedł do hotelu i zastał Neely śpiącą, wrócił do domu. Ku swojemu zdziwieniu spostrzegł, że palą się światła, ale Anna gdzieś zniknęła. Zapłakana służąca wymamrotała nowinę. Wypadł z mieszkania i pognął do szpitala. Anna, blada i przerażona, siedziała w poczekalni. Ledwie zauważyła jego przybycie.

- Co się z nią dzieje? - zapytał.

- Umieścili ją pod namiotem tlenowym. Opiekują się nią dwie pielęgniarki. Nie chcą mnie wpuścić do pokoju.

- Pracowałem z autorami piosenek nad nowym przebojem Neely. Długo nad tym siedzieliśmy i kiedy wróciłem do domu, stwierdziłem że cię nie ma, więc...

- Kilka godzin temu dzwoniłam do Neely - powiedziała obojętnie.

- Mnie tam nie było - odparł niemal urażony. - Dlaczego zadzwoniłaś akurat do niej?

- Ponieważ myślałam, że wie, gdzie cię znaleźć. Od tygodnia cię nie widziałam. Pewnie zajmowałeś się jej sprawami.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Przygotowanie widowiska telewizyjnego zawsze wymaga wiele czasu i wysiłku. Doszliśmy do wniosku, że trzeba dla Neely opracować nowy przebojowy utwór i zmienić jej sceniczny wizerunek.

- Lyon, przepraszam cię, ale nie mam w tej chwili ochoty na rozmowy o programie Neely. Zamartwiam się o dziecko.

Wziął ją za rękę. Ten gest, odruchowy i naturalny, bardzo ją zaskoczył i wytrącił z równowagi. Czy kiedyś byli sobie naprawdę bliscy? Czy ten przystojny nieznajomy należał kiedyś do niej? Teraz stał się obcy. Związany z nią wobec prawa, należał do innej kobiety.

A jednak go kochała. Doznała wstrząsu, kiedy to sobie uzmysłowiła. Chciała go znienawidzić. Jednak teraz, chociaż wydawało się to niemożliwe, pragnęła go jeszcze bardziej. Ona nie ma dumy... Nigdy nie pozwoli mu odejść. Chyba że sam poprosi o rozwód. O Boże, żeby to się nigdy nie stało! Jakie to straszne, że dopiero takie nieszczęście sprowadziło go do jej boku.

Zdawało się, że upłynęła wieczność, zanim pojawił się lekarz. Wstrzymali oddech. Uśmiechał się! Wszystko będzie dobrze. Dzięki Bogu za penicylinę i za to, że niemowlęta są takie silne.

Lyon przychodził do szpitala codziennie o siódmej wieczorem. Anna wynajęła pokój sąsiadujący z pokojem dziecka i spędzała z córką całe dni i noce. Lyon spoglądał na drobne ciało w łóżeczku i z czułością cmokał. Uparł się, żeby co wieczór zabierać Annę na kolację do restauracji koło szpitala. Spędzał z rodziną co najmniej dwie godziny. Anna z ponurą satysfakcją myślała, że przynajmniej w ten sposób udało jej się zepsuć wieczory Neely.

Dziesięć dni później zabrali małą Jennifer do domu. Lyon kazał ozdobić kwiatami całe mieszkanie. Zjedli razem kolację i bawili się z dzieckiem. Tej nocy kochali się pierwszy raz od wielu tygodni i zasnęli spleceni w uścisku.

O czwartej zadzwonił telefon. Anna pierwsza się obudziła. W ciemnościach po omacku podniosła słuchawkę.

Dzwoniła Neely. Anna usłyszała jej niewyraźny bełkot i domyśliła się, że Neely nafaszerowała się proszkami.

- Daj mi tego sukinsyna - wymamrotała Neely.

- On już śpi.

- To go obudź.

- Nie zrobię tego.

- Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? Obudź go, bo jak nie, to zaraz tam przyjadę i sama to zrobię.

Lyon otworzył oczy. Anna szeptem powiedziała mu, kto dzwoni. Odebrał jej słuchawkę.

- O co chodzi? - Pochylił się nad Anną, żeby dosięgnąć telefonu, więc wyraźnie słyszała piskliwy głos Neely.

- Całą noc na ciebie czekam! - wrzeszczała.

- Dziecko wróciło dzisiaj ze szpitala.

- No to co? Zasypia o siódmej, nie?

- To jej pierwsza noc w domu.

Anna zamknęła oczy. Mąż przeproszał kochankę, że wykradł jedną noc z własną żoną.

- Przyjedź natychmiast.

- Neely, jest czwarta rano.

- Lepiej, żebyś zaraz się tu zjawił. Połknęłam siedem proszków.

Zaraz wezmę jeszcze dziesięć.

- Neely! Jutro udzielasz wywiadu dla „Life'u”?

- Mam to w dupie! Zaraz tam przyjadę, jeśli natychmiast się u mnie nie zjawisz!

- Dobrze. Już wychodzę.

Anna patrzyła, jak wstaje z łóżka. Muszę to przetrzymać - nakazywała sobie w duchu. On tak naprawdę nie ma ochoty dzisiaj do niej jechać. Zmusiła go. Jeśli dobrze to rozegram, odniosę pierwsze zwycięstwo. Położyła się i zamknęła oczy. Lyon podszedł do niej ubrany do wyjścia.

- Anno, rozumiesz, co się dzieje?

- Rozumiem, że nie chcesz tam iść - odparła.

- Wiem, jakie to dla ciebie okropne. Chyba musimy podjąć jakąś decyzję.

Poczucie zwycięstwa zniknęło. Czyżby wybrał życie z Neely, a nie z nią i z dzieckiem?



- Wszystko się jakoś ułoży - zapewniła go pospiesznie. - W środku nocy nie podejmuje się ważnych decyzji.

- Ale żadne z nas dłużej tego nie wytrzyma, ani ty, ani ja, ani Neely.

- Ja wytrzymam, bo wiem, że to się kiedyś zmieni. Lyon, wpędziłeś się w trudną sytuację.

- Neely mnie potrzebuje. Ona ma wielki talent, ale nie potrafi się kontrolować. Trzeba ją prowadzić za rękę, jak dziecko. Ty jesteś silna.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nie, nie jestem. Trzymam się tylko dzięki miłości do ciebie. Odwrócił się szybko i wyszedł z pokoju.

Z początkiem nowego sezonu telewizyjnego Anna wróciła do pracy. Henry przedstawił ją producentowi nowego quizu telewizyjnego. Anna stwierdziła, że świetnie sobie radzi w nowej roli, i natychmiast ją zaangażowano. Program emitowano codziennie, więc miała co robić. Teraz przynajmniej nie zauważała, że Lyon coraz więcej czasu spędza z Neely.

Pod koniec września Lyon i Neely wyjechali na Zachodnie Wybrzeże, gdzie mieli nagrywać pierwszy z cyklu jej programów.

Show Neely zrobił furorę. Natychmiast znalazł się w pierwszej dziesiątce najpopularniejszych widowisk i wszyscy uznali, że to zasługa Lyona. Siła oddziaływania Neely zadziwiła Annę. Już po pierwszym programie kilka gwiazd podpisało umowy z agencją Lyona i George'a. Czasopismo „Variety” zamieściło kilka artykułów o BBB, najlepszej nowojorskiej agencji. A wszystko to dzięki Neely.

Lyonowi udało się kilka razy przyjechać na krótko do Nowego Jorku. Podczas tych wizyt Annie nieraz wydawało się, że jej szanse rosną. W nocy, kiedy mocno ją obejmował, prawie zapomniała, że mąż tak samo kocha się z Neely. Spokój zakłócały ciągle telefony z Kalifornii, które nie dawały jej zapomnieć, że kochanka jest wciąż dla niego ważniejsza.

Przyjechał do domu kilka dni po Bożym Narodzeniu, obładowany zabawkami dla Jennifer. Ona dostała drogi komplet biżuterii. Zdawała sobie sprawę, że Lyon znów gra na dwa fronty. Święta spędził z Neely, ale wrócił do Nowego Jorku, żeby ona i Jen nie czuły się samotne w tak ważnym okresie.

Trzy dni później zatelefonowała Neely żądając, żeby Lyon natychmiast do niej przyjechał. Anna siedziała w gabinecie i w milczeniu przysłuchiwała się rozmowie przez drugi telefon.

- Niedługo wrócę - zapewniał Lyon trochę zniecierpliwiony.

- Dzisiaj! - krzyknęła Neely. - Wiesz, jaki jutro dzień? Sylwester!

- A pierwszego stycznia moja córka kończy rok - oznajmił stanowczym głosem.

- Gównu! Zrób jej przyjęcie urodzinowe dzisiaj. Dzieciak nie zauważy różnicy.

- Ale ja tak. Bądź grzeczną dziewczynką. Tylu ludzi zaprosiło cię do siebie. Ktoś z agencji będzie ci towarzyszył. Przyjadę nie później niż piątego. Muszę tu zostać, żeby zobaczyć premierę Ślicznotki.

Neely parsknęła śmiechem.

- Ta Margie Parks zrobi zupełną klapę.

- W zeszłym roku widziałem ją w Błękitnym aniele. Ona ma w sobie coś.

- Tylko że muszą sztucznie ją nagłaśniać - dowodziła Neely. - Owszem, doskonale śpiewa. Ja pierwsza jestem gotowa to przyznać. Używa głosu jak instrumentu muzycznego. Ale słyszałam, jak to było. Mieli już zastąpić ją kimś innym, tylko ktoś wpadł na pomysł, żeby załatwić dla niej odpowiedni mikrofon. Śpiewa gardłem. To nie wróży długiej kariery. Za kilka lat się wypali. Mnie też by to spotkało, gdyby nie pomógł mi Zeke Whyte.

- Cóż, agencja chce podpisać z nią kontrakt. - Lyon pozostał nieugięty. - Muszę być na premierze.

- To znaczy, że chcesz marnować czas, żeby się nią zajmować osobiście? - Głos Neely brzmiał groźnie.

- Jasne, że nie. George też nie będzie nią sobie zawracał głowy. Ta dziewczyna ma dopiero dziewiętnaście lat. Zaopiekuje się nią Bud Hoff. Kobiety go lubią. On będzie ją niańczył.

- Bud Hoff to dupek. Wydaje mu się, że wszystkie kobiety wariują na jego punkcie. I te jego czarne krawaty i garnitury. Rany, faceci z twojej agencji wyglądają tak, jakby ich ktoś umundurował. Pewnie właśnie takich ci potrzeba... - Neely ziewnęła. - Cholerne pigułki wreszcie zaczynają działać. Kiedy przyjedziesz?

- Najpóźniej piątego - zapewnił.

- Kochasz mnie?

- Wiesz, że tak - odparł szybko.

- Bardzo?
  - Okropnie.
  - Bardziej niż żonę i dziecko?
  - Zdaje się, że tak. Słuchaj, muszę kończyć. Anna jest w domu. Może podnieść słuchawkę.
  - O niczym innym nie marzę.
  - Tak lubisz ranić ludzi?
  - Nie, ale gdyby się wszystkiego dowiedziała, zwróciłaby ci wolność.
  - A może już wie.
  - Powiedziałaś jej?
  - Nie, ale Anna nie jest gruboskórna ani głupia. W mieście aż huczy od plotek.
  - Więc dlaczego nie pozwala ci odejść? Lyon nie odpowiadał.
  - Do cholery, chyba sama do niej zadzwonię i wszystko opowiem. Wtedy będzie musiała się uwolnić. Duma nie pozwoli jej postąpić inaczej.
  - Nie rób tego.
  - Zrobię...
  - Nie. To i tak nic nie da. Widzisz... Ja już odbyłem z nią rozmowę.
  - Kiedy? Nic mi nie mówiłeś.
  - Ostatniej nocy.
- Anna przestraszyła się, że usłyszą jęk, który wydarł się z jej gardła. Dawno już nie byli sobie z Lyonem tak bliscy, jak zeszłej nocy.
- I co się stało? - zapytała Neely.
  - Nic. Powiedziała mi, że o wszystkim wie, ale woli przymykać oko. Oświadczyła, że nigdy nie da mi rozwodu.
  - W takim razie zmusimy ją. Zaczniemy publicznie zachowywać się jak kochankowie.
  - Już tego próbowałeś. Dziennikarze cię lubią. Chcą cię chronić. Nie piszą wszystkiego, co o tobie wiedzą.
  - Udzielę wywiadu. Powiem im, że chcemy się pobrać, ale twoja żona stoi nam na przeszkodzie.
  - A wiesz, co by się wtedy stało z twoim programem? W umowie jest klauzula o moralności. Twój sponsor produkuje płatki

kukurydziane, produkt dla całej rodziny. Zerwaliby z tobą umowę, zanimbyś zdążyła mrugnąć okiem.

- No to co? Wyjechalibyśmy do Europy i nakręcili kolejny film.

- Neely, ja mam wspólnika. Taki wyjazd zaszkodziłby agencji. Nie mogę myśleć wyłącznie o sobie.

- Och, ty i twoja pieprzona agencja. Dobra, kiedy zarobię milion dolarów, wykupię twój udział i oboje im powiemy, żeby nas pocałowali gdzieś. Chcę, żebyś był przy mnie dzień i noc, w każdej chwili.

Roześmiał się.

- Do zobaczenia piątego, Neely.

- Hej, nie tak szybko. Zadzwoń do mnie jutro w południe, tutejszego czasu.

- Dobrze.

- Kochasz mnie?

- Uwielbiam.

Odłożyli słuchawki.

1963

Musical Ślicznotka stał się przebojem sezonu. Anna patrzyła, jak drobna, szczupła dziewczyna o łobuzerskim uśmiechu podbija serca publiczności. Ta nie szkolona dziewiętnastolatka miała w sobie coś takiego, że od razu dostrzegało się w niej gwiazdę.

- Poszczyściło się nam - wyszeptał George. - Lyon uparł się, żeby już wczoraj podpisać z nią umowę. Po dzisiejszym wieczorze wszystkie agencje będą chciały ją dostać.

- Ta mała to będzie wyłącznie twój kłopot - szepnęła Lyon wychylając się przed Annę.

George uśmiechnął się.

- Chyba żartujesz. Będzie uszczęśliwiona, jeśli zajmie się nią Bud Hoff, Ken Mitchell albo którykolwiek z chłopców z agencji.

Anna wróciła myślą do innego wieczoru, kiedy to wiele lat temu siedziała obok Lyona i oglądała pierwszy występ Neely na Broadwayu. Dawna przyjaciółka też była wtedy miłą, nie zmanierowaną dziewczyną. Dziewiętnaście lat temu... Anna kochała wtedy Lyona, i teraz też go kocha. Z podsłuchanych rozmów telefonicznych z Neely wywnioskowała, że odniosła zwycięstwo, ale jakoś wcale nie czuła jego słodkiego smaku. Lyon okłamywał Neely udając, że poprosił żonę o rozwód. Tak naprawdę wcale nie chciał od niej odejść. Nie zamierzał też w nieskończoność tkwić u boku Neely, szczególnie teraz, kiedy pokazała mu swoją prawdziwą naturę jadowitej kobry. Piąty był już jutro, ale Lyon do tej pory nie wspomniał nic o wyjeździe. Co więcej, planował obejrzenie kolejnej premiery ósmego stycznia. Odniosła zwycięstwo, czy tylko doprowadziła do sytuacji patowej? Neely nadal jej zagraża, i tak pewnie będzie już zawsze. Czy Lyona fascynuje ciało kochanki? Czy kocha się z Neely tak samo jak z nią? Nigdy się tego nie dowie.

Nawet zamieszanie za kulisami było takie samo jak dziewiętnaście lat temu. Margie Parks wyglądała młodo i bezbrinnie. Oszalałami ją, że ma tak wspaniałych menedżerów i że tyle wybitnych osobistości przyszło gratulować jej sukcesu.

Na przyjęciu popremierowym Anna siedziała między Lyonem a George'em. W pewnym momencie, kiedy Lyon poszedł do innego stolika, żeby omówić jakieś interesy, Margie zajęła jego miejsce.

- Chciałam pani powiedzieć, pani Welles, że od wielu lat jestem pani wielbicieleką.

Anna uśmiechnęła się.

- Mówisz o tym quizie? Dobry Boże, to nic wielkiego.

- Bardzo lubię panią oglądać w tym programie - zapewniła Margie. - Ale kiedy była pani Gillian Girl... po prostu się w pani kochałam. Pamiętam, że kiedy miałam dziesięć lat, ukradłam dolara z portmonetki mamy i kupiłam sobie szminkę firmy Gillian. Chciałam wyglądać tak samo jak pani.

Anna nagle zrozumiała, co czuła Helen Lawson. Jak cudownie być młodym i wierzyć, że to się nigdy nie zmieni. Wiedziała jednak, że ona, Anna Welles, jest dla Margie Parks symbolem sukcesu - elegancka kobieta, żona ważnego człowieka, która w dodatku sama też zdobyła sławę. Margie nie odznaczała się urodą. Miała nu sobie zieloną suknię, nie podkreślającą zalet jej figury, na którą zarzuciła czarny jedwabny płaszcz na każdą okazję, podobny do tego, który Anna kiedyś kupiła u Bloomingdale'a. Zauważyła, że dziewczyna z podziwem spogląda na jej futro z norek. Ale czy ona wie, że gęste wspaniałe włosy Anny wymagają już farbowania i że pod starannym makijażem kryją się drobne zmarszczki w kącikach powiek? W łagodnym świetle, takim jak tutaj, wygląda pięknie. Wiedziała, że wszystkie głowy odwracają się w jej stronę, kiedy wchodzi do sali. W telewizji prezentowała się wspaniale i pewnie będzie tak przez następne piętnaście lat, przy odpowiednim oświetleniu i charakteryzacji. Nie zamierzała jednak udawać, że jest młodsza niż w rzeczywistości. Kogo mogłaby oszukać? Jej wiek nie był dla nikogo tajemnicą.

Margie bez przerwy paplała. Lyon nie ukrywał znudzenia, więc godzinę później wyszli, zostawiając ją pod opieką George'a. Tej nocy Lyon wyglądał na zmęczonego.

W domu zastali wiadomość, że Neely kilkakrotnie telefonowała. Lyon zadzwonił do niej z niechęcią. Nie starał się ukryć przed Anną, z kim rozmawia. Mówił szybko i bezosobowo. Tak, przedstawienie odniosło sukces. Tak, Margie podpisała umowę z agencją. Oczywiście, że ma talent. Tak, Lyon przyjedzie do Kalifornii za kilka dni.

Margie wspinała się na szczyt sławy w oszałamiającym tempie. Jej album z piosenkami z musicalu sprzedawał się fenomenalnie, a single weszły na listę przebojów. W kwietniu George załatwił jej wspaniały kontrakt na cykl występów w telewizji, które miały

rozpocząć się w przyszłym sezonie. Agencja BBB firmowała wszystkie te programy.

Lyon wielokrotnie wyjeżdżał do Kalifornii. Występy Neely cieszyły się powodzeniem i przedłużono jej umowę na kolejny sezon. Agencja otwierała biuro na Zachodnim Wybrzeżu i kilku agentów od Johnsona i Harrisa przeszło do BBB.

Neely rzuciła się w wir życia towarzyskiego Hollywood. Wynajęła wielki dom i zatrudniała liczną służbę. Na jej wystawnych przyjęciach pojawiali się wszyscy popularni i sławni ludzie.

Nagrywała właśnie ostatni program, kiedy George wezwał Lyona do Nowego Jorku. Sieć telewizyjna zażądała scenariusza występów Margie Parks w przyszłym sezonie.

- W naszym zespole to ty jesteś twórcą - stwierdził George. - Ja dobiłem targu, teraz ty zajmiesz się ułożeniem programu.

Lyon wyjechał z Kalifornii ukradkiem. Zostawił Neely liścik, w którym obiecał, że wróci za dwa dni. W ten sposób miał nadzieję uniknąć awantury. Wydawało mu się, że panuje nad sytuacją. Dwie trzecie programu zostały już utrwalone na taśmie.

Spotkał się z przedstawicielami sieci telewizyjnej i sponsorami. Rozmowy przeszły gładko. Z Kalifornii zadzwonił reżyser. Neely wpadła we wściekłość, ale jak na razie nie odmawiała współpracy. Lyon się uspokoił i postanowił nie spieszyć się z powrotem. Zaprosił Annę do teatru; wybrał się z Jennifer na jej pierwszą przejażdżkę na kucyku po Central Parku.

Leżąc w łóżku oglądali właśnie program nocny, kiedy nagle ukazał się spiker i podał wiadomość z ostatniej chwili: „Neely O'Hara została zabrana do szpitala. Jest bliska śmierci”.

Sekundę później zadzwonił George. Telefonował do Kalifornii i dowiedział się, że Neely ma spore szanse na przeżycie. Zażyła pół buteleczki prozoków. Lyon ubrał się, a Anna spakowała mu walizkę.

O pierwszej trzydzieści odlatywał samolot. Jeśli się pospieszy, to zdąży. Program Neely nie został do końca nagrany, ale Joey Kling miał polecieć do Kalifornii i zastąpić piosenkarkę. Z nagrań Neely i Joeya będzie można na czas zmontować odpowiednie widowisko.

Lyon wszedł do szpitalnej sali. Osłabiona Neely leżała w łóżku i patrzyła pustym wzrokiem. Przetrzymała najcięższy kryzys i wiadomo było, że przeżyje. Wyciągnęła do niego ramiona.

- Boże, Lyon, kiedy się dowiedziałam... To był koniec. Myślałam, że umrę.

- Kiedy o czym się dowiedziałas? - Objął ją delikatnie i pogładził po głowie.

- Na planie wpadło mi w ręce jakieś pismo branżowe. Wyczytałam w nim, że ściągnięto cię z Kalifornii, żebyś się osobiście zajął karierą Margie Parks.

- I dlatego próbowałaś... - Głos mu zamarł ze zdziwienia.

- Słuchaj, Lyon, zniosę fakt, że od czasu do czasu sypiasz z żoną. Może nawet bym ci wybaczyła, gdybyś mnie zdradził z inną kobietą. Ale nigdy nie pozwolę, żebyś zajmował się karierą innej gwiazdy. Powinieneś dbać wyłącznie o mnie.

- Ależ Neely, nasza agencja nie zajmuje się tylko twoimi sprawami.

- To ja stworzyłam tę cholerną agencję! I w każdej chwili mogę ją zniszczyć. Zapamiętaj to sobie! Jeśli odejdę, połowa waszych klientów odejdzie wraz ze mną. Potrzebujesz mnie, braciszku, więc od dzisiaj będziesz do mnie przybiegał na każde zawołanie! Lyon wstał i wyszedł z pokoju.

- Lyon! Wracaj! - krzyknęła.

Nie oglądając się zniknął w korytarzu.

Wrócił do Nowego Jorku najbliższym samolotem. Wezwał George'a na pilną naradę.

- Tylko jedno pytanie - zaczął. - Czy spłaciłeś już dług żonie?

- Nie, i nie zamierzam tego robić - odparł George z uśmiechem.

- Właśnie wypisałem ostatni czek dla Anny. Jestem teraz czysty. Od tej chwili, jeśli coś zaryzykuję, to w grę wejdą moje własne pieniądze, nic więcej.

- Zapominasz o moim udziale w firmie. - George znowu się uśmiechnął.

- Wcale nie. Mimo to doszedłem do wniosku, że powinniśmy się rozstać z Neely. Nie jest warta kłopotów, które ciągle przez nią mamy. Już jej nie potrzebujemy.

- Nie wydaje ci się, że to nam zaszkodzi? - zapytał wspólnik. Lyon potrząsnął głową.

- Ani trochę. Program Margie przyniesie dwa razy więcej dochodu. Nie zapominaj, że będzie występowała co tydzień. Joey Kling jest coraz lepszy. Neely wkrótce się wykończy, może nie w



przyszłym roku ani nawet za dwa lata, ale w końcu będzie musiała odejść. Jeśli wtedy będzie naszą klientką, nie przysłuży się to naszej sławie. Pozbądźmy się jej, póki czas.

- Skąd ta pewność, że Neely się wykończy? W tym wariatkowie nieźle ją podreperowali.

Lyon roześmiał się.

- Jak długo można normalnie żyć, biorąc dwa zastrzyki demerolu dziennie?

- Mówiła, że to witaminy - zdziwił się George.

- Ładne witaminy! Zebraliśmy w agencji wspaniałą zespół ludzi. Dobrze nam się razem pracuje. Ty potrafisz dobijać targu, nikt ci w tym nie dorównuje; ja znam się na pracy z agentami i na opiece nad gwiazdami. Nie możemy tracić sił i energii na ciągłe podróże na drugi koniec kontynentu, żeby zabawiać się w niańkę tej ośmiornicy.

George, ona pożera ludzi żywcem! Bóg jeden wie, jak Annie udało się to wszystko wytrzymać. Rozstajemy się z Neely. Wiem, że Abe Kingman z biura Johnsona i Harrisa poleciał do Hollywood, żeby zaproponować jej przejście pod ich skrzydła. Zwolnijmy ją z zobowiązań wobec BBB.

- Dobrze - odparł George, szczerząc zęby w uśmiechu. - Sam wyślij telegram. To ci się od życia należy.

Neely podpisała kontrakt z Johnsonem i Harrisem i rozpowiadała wokół, że jej poprzednia agencja zajmowała się nią wyjątkowo nieudolnie. Nie zaszkodziło to BBB. We wrześniu ruszyły telewizyjne programy Margie Parks i natychmiast zdobyły wielki rozgłos.

Neely z powodzeniem rozpoczęła nowy sezon. Trzech przedstawicieli Johnsona Harrisa dotrzymywało jej towarzystwa przez całą dobę.

- Myślisz, że da sobie radę? - wypytywała Anna. Lyon skinął głową.

- Przez jakiś czas. Znowu jest na prostej drodze do samozniszczenia. Wzięła na siebie zbyt dużo - wielki dom, służbę, nieustanne przyjęcia z morzem alkoholu. Znowu jest gwiazdą, a to już raz mało jej nie zabiło.

- Jeśli się załamie... - Anna mimowolnie zachowała dla niej resztki współczucia. Neely tak chorobliwie dążyła do katastrofy.

- Kiedyś w końcu się załamie - odparł Lyon. - To nieuchronne.

- A co potem?

- Będzie wracała na scenę jeszcze raz, i jeszcze raz... tak długo, jak długo wytrzyma jej organizm. To przypomina wojnę domową. Emocje Neely walczą z jej talentem i fizyczną wytrzymałością. Pewnego dnia któraś ze stron zostanie pokonana i ulegnie zniszczeniu.

1965

Anna żałowała, że dała się namówić na to przyjęcie sylwestrowe. Patrzyła na niezliczonych gości. Wciąż ktoś wychodził i przychodził. Ludzie tłoczyli się w windzie, tłumnie oblegali bar potrójnym pierścieniem. George i Lyon skłonili ją do tego, ale dopiero teraz zrozumiała, że urządzenie wielkiego przyjęcia nie jest takie łatwe jak pójście z wizytą do kogoś. Z cudzego przyjęcia można w każdej chwili wyjść. Na własnym trzeba wytrwać do końca.

Zaczęli napływać słynni artyści z Broadwayu. Minęła pierwsza, a ona nie widziała męża od chwili, kiedy o północy wymienili krótki pocałunek. Nastął już pierwszy stycznia, drugie urodziny Jen. Wymknęła się z salonu i poszła do pokoju dziecinnego. Światło małej lampki nocnej wydobywało zarys śpiącego dziecka.

- Szczęśliwego Nowego Roku, mój aniołku - wyszeptała. - Kocham cię... Mój Boże, jak bardzo cię kocham. - Nachyliła się i pocałowała gładkie dziecięce czoło, a potem cicho wyszła z pokoju. W salonie powietrze aż drżało od hałasu. W gabinecie też panował tłok, a do baru nie można się było przecisnąć. Weszła do sypialni i zamknęła drzwi. Nie, tak nie powinna robić. Gospodyni nie może ukrywać się przed gośćmi. A poza tym, jeśli drzwi będą zamknięte, zaraz ktoś do nich zapuka. To niegrzeczne. Otworzyła drzwi i zgasiła światło. Tak lepiej. W ten sposób nikt jej tu nie zauważy. Miała nadzieję, że żaden z gości nie zabłądzi do sypialni. Głowa pękała jej z bólu.

Wyciągnęła się na łóżku. Zdawało się, że wesołe krzyki dobiegają z daleka, a muzyka... Usłyszała brzęk tłuczonej szklanki i wybuch śmiechu. Nagle rozległy się kroki. O Boże, ktoś nadchodzi. Powie, że musiała chwilę odpocząć. Zobaczyła sylwetki dwojga ludzi. Leżała bez ruchu, w nadziei że odejdą.

- Zamknijmy drzwi - wyszeptała dziewczyna.

- Niemądry pomysł. Zwrócimy cię uwagę. To był Lyon... Nie mogła rozpoznać dziewczyny.

- Kocham cię, Lyon. - Głos brzmiał znajomo.

- Daj spokój. Jesteś jeszcze dzieckiem.

- I co z tego. Kocham cię. W zeszłym tygodniu śpiewałam tak dobrze jak nigdy przedtem, bo ty osobiście wszystko nadzorowałeś.

Lyon uciszył ją pocałunkiem.

- Przyjdiesz w przyszłym tygodniu?

- Spróbuję.
  - Nie ma co próbować. Masz przyjść, i już - nalegała. - Przecież jestem jednym z najcenniejszych nabytków agencji.
  - Margie, czy chcesz szantażem zdobyć moją miłość? - zapytał beztrąsko.
  - Czy tak postępowała Neely O'Hara?
  - Nigdy nic mnie z Neely nie łączyło.
  - Akurat! Zresztą wszystko mi jedno. Nas na pewno połączy bardzo wiele. Chryste, jak ty mi się podobasz!
- Znów ją pocałował.
- Teraz bądź grzeczną dziewczynką. Wracamy na przyjęcie, zanim ktoś zauważy, że nas nie ma.

Anna leżała cicho, dopóki nie wyszli. Potem wstała i wygładziła suknię. Poszła do łazienki i połknęła czerwoną lalczkę. To dziwne, ale nie wpadła w panikę. Więc teraz kolej na Margie Parks... Stwierdziła, że tym razem zabolalo ją to o wiele mniej. Wciąż kochała męża, ale już trochę słabiej. Po odejściu Neely był jej bardziej oddany niż kiedykolwiek. A jednak nie odczuwała triumfu. Jakaś część jej osobowości przestała istnieć wraz ze zniknięciem Neely. Teraz wiedziała, że zawsze będzie jakaś Neely czy Margie... ale za każdym razem sprawi jej to mniejszy ból. Po każdym romansie jej miłość do Lyona trochę osłabnie, aż pewnego dnia nie zostanie z niej już nic. Nie będzie ani cierpienia, ani miłości.

Uczesała włosy i odświeżyła makijaż. Wyglądała dobrze. Miała Lyona, piękne mieszkanie, wspaniałe dziecko, atrakcyjną pracę, Nowy Jork - wszystko, czego pragnęła. Od dzisiaj nic już jej nie zrani tak głęboko jak kiedyś. W dzień zawsze znajdzie sobie jakieś zajęcie, a lalczki pozwolą jej przetrwać samotne noce. Dzisiaj weźmie dwie. Dlaczego nie? Przecież to noc sylwestrowa.